

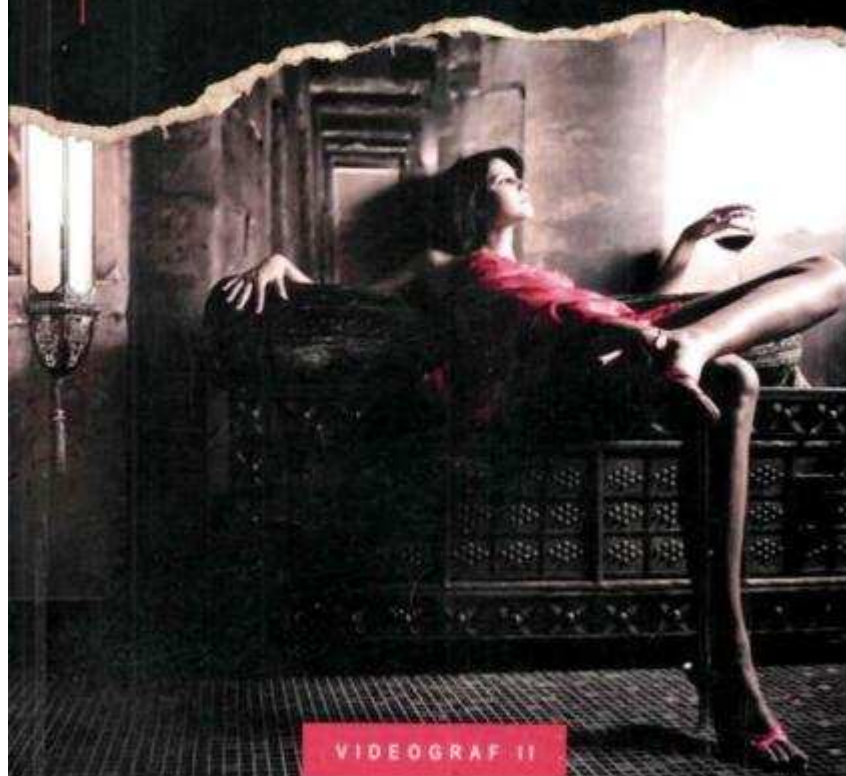


Nowa gwiazda rosyjskiego kryminału.
Ponad 10 milionów sprzedanych egzemplarzy!

SERIA I KOBRA

Wiktorija Płatowa <

RYTUAŁ OSTATNIEJ NOCY



VIDEOGRAF II



Wiktorija Płatowa <
**RYTUAL
 OSTATNIEJ NOCY**

Bohaterką powieści jest dziewczyna imieniem Waria, która pracuje w agencji towarzyskiej. Pewnego ranka stwierdza, że jej klient Olew, z którym spędziła noc w luksusowym hotelu, leży martwy, z zabytkowym nożem wbitym w pierś. Ostatnie zlecenie od początku wydawało się jej podejrzane. By uwieść Olewa, światowej sławy wiolonczelistę, który przybył na tournée do Petersburga, musiała ucharakteryzować się na jego zmarłą żonę. Plan okazał się łatwy do zrealizowania – muzyk, zahipnotyzowany pojawieniem się tajemniczkiej kobiety, proponuje jej wspólny wieczór. Tak rozpoczyna się krótka znajomość, która kończy się tragicznego poranka. Waria ucieka z hotelu i jedzie do swojego zleceniodawcy. Ten jednak również nie żyje. Dziewczyna staje się główną podejrzaną i musi się ukrywać. Jedyne, co jej przychodzi do głowy, to podjęcie śledztwa na własną rękę i odnalezienie prawdziwych zabójców. Zmieniając kolejne kryjówki, stopniowo odkrywa tajemnice Olewa i ludzi z nim związanych.

Wiktorija Płatowa jest nową gwiazdą rosyjskiego kryminału. Ukończyła Instytut Filmowy w Moskwie i pracowała jako scenarzystka dla różnych wytwórni filmowych. Jej powieści sprzedały się w nakładzie ponad 10 mln egzemplarzy, a niektóre z nich zostały sfilmowane na potrzeby telewizji. Aktualnie mieszka w Petersburgu.

Patronat medialny:



WP.PL

Złoty Standard Kultury

polki.pl



ISBN 978-83-7163-715-9



9 788371 837159 >

Cena 34,90 zł

Wiktoria Płatowa

Rytuał

ostatniej nocy

Z języka rosyjskiego przełożyła
Danuta Blank



VIDEOGRAF II
Katowice

Tytuł oryginału Ритуал последней брачной ночи

Redakcja

Elżbieta Spadzińska-Żak

Projekt okładki

Marek J. Piwko (mjp)

Zdjęcie na okładce

© Cevdet Gökhan Palas

Redakcja techniczna

Damian Walasek

Skład i łamanie

Ewa Mierzwa

Korekta

Barbara Trybus

Zarówno bohaterowie, jak i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne.

Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych postaci jest zupełnie przypadkowe.

Wydanie I, czerwiec 2009

Wydawca: Videograf II Sp, z o.o.

41-500 Chorzów, al. Harcerska 3c

tel. (0-32) 348-31-33, 348-31-35

fax (0-32) 348-31-25

office@videograf.pl

troili, videograf.pl

Dystrybucja: DICTUM Sp, z o.o.

01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21

tel. (0-22) 663-98-13, fax (0-22) 663-98-12

dystrybucja@dictum.pl

www.dictum.pl

© 2000 by Viktoria Platova

© Copyright for the Polish edition by Videograf II Sp, z o.o., Chorzów 2009

Druk i oprawa:

opolgraf

Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12 www.opolgraf.com.pl

ISBN 978-83-7183-715-9

Preludio andante

Cholera jasna!

Teraz już dokładnie wiem, gdzie byłam w czasie, gdy Staruszek Bóg rozdawał inteligencję: w kolejce obok, po francuski strój kąpielowy. Po zakupie stroju obłowiłam się zimowymi butami i kożuchem z guzikami z kości - niestandardowy wyrób, renesans sztuki rzemieślniczej. Jakuccy rzeźbiarze w kłach morsów mogą się schować w tych swoich jarangach... Potem zjadłam kanapkę z łososiem i wróciłam do Boga - po ten nieszczęśny olej do głowy.

Ale, jak się łatwo domyślić, dla mnie już nie wystarczyło. Podobnie jak i dla kilku innych osób, cierpiących na zespół Gansera ¹, bradyphrenię ² czy też oligofrenię w zaawansowanym stadium debilizmu...

Diagnoza mojego stanu okazała się najcieęższa - inaczej bowiem ja, Warwara Sulejmienowa, nie stałabym tu teraz, w hotelowym pokoju dla VIP-ów, boso, w samym bikini z koronką w kwiatki kiepsko udające zwiędłe hiacynty - i... cholera jasna! z zakrwawionym nożem w ręce!

¹ Zespół Gansera - (Ganser syndrome) stan widywany u osób uwięzionych; objawia się gwałtownymi atakami hysterii.

² Bradyphrenia - spowolnienie czynności psychicznych.

* * *

A wszystko zaczęło się zupełnie zwyczajnie - w naszym (moim i Stasa) zuchwałym stylu. Najpierw usłyszałam umówiony sygnał telefoniczny

(„zajrzyj do mnie na chwilę, skarbie”), później nastąpiła defilada po korytarzu z kilkoma cieniutkimi teczkami („dla zmyły”) i obrót klucza w zamku. Na powitanie Stas pocałował mnie tylko w policzek, a nie, jak zazwyczaj, bardziej „osobiście” - co najmniej w dekolt. Zrozumiałam od razu: jest robota.

- Jest robota - mruknął Stas, z trudem odrywając ode mnie lubieżny wzrok.

- Kto tym razem? - wykorzystując swoją służbową pozycję, usadowiłam się na stole, bardziej przypominającym teren seksualnych bitew. Stas nawet teraz, po upływie tylu lat, nie zapominał o swojej burzliwej alfonsowskiej przeszłości.

- Widziałaś afisze? - bez żadnych wstępów przeszedł do interesów. - Porozwieszali po całym Newskim Prospieckie.

Wczoraj, przejeżdżając miejscowym Bulwarem Zachodzącego Słońca, byłam co prawda w stanie lekkiego upojenia alkoholowego, zdołałam jednak zauważyć jeden transparent - „Zespół Pieśni i Tańca »Žok«, Republika Mołdawia”. Na to wspomnienie z miejsca straciłam dobry humor.

- Wiesz, jakie mam zasady, Stas. Jestem przeciwna braniu udziału w seksie grupowym - powiedziałam dobitnie i po chwili milczenia dodałam: A już tym bardziej z mołdawskimi szumowinami.

- Głupolu - Stas protekcyjnie poklepał mnie po kolanie, odzianym w piękne kabaretki - nikt nie wymaga od ciebie aż takiego poświęcenia. Chodzi mi o jednego faceta - Olewa Kiwi.

Olew Kiwi. Nie brzmi ani odrobinę lepiej od jakiegoś tam Hunnara Kuusika albo Jychu Rebane... Niedające się wyrazić prostymi słowami, przeciągłe, bezsensowne estońskie zestawienie liter.

Skrzywiłam się, jakby mnie rozbolał ząb. Zresztą, tak właśnie się poczułam. Estonia jest bowiem dla mnie przewlekłą próchnicą, opryszczką, syfilisem - lista jest długa. Zaś na samym jej końcu znajduje się wrzód na dupie. Zwyczajne dzieciństwo na ulicy Pae, zwyczajna młodość na ulicy Vene. Następnie niezwykajny miniburdel w Iasmyae, funkcjonujący pod płaszczykiem amatorskiego klubu golfowego. Trzeba przyznać, że nieźle wbijali piłeczki do dołków wszyscy ci chwilowi handlarze kolorowego złomu i niszczyiele tajgi z Igarki. Tam właśnie poznałam Stasa. Tam też, niedaleko Iasmyae, w tallińskim ogrodzie zoologicznym, mój

młodszy brat Dimas sprzątał małpie odchody. W zeszłym roku powinien był awansować i zacząć sprzątać odchody po słoniach, jednak odmówiono mu tej niezwykle prestiżowej i dobrze płatnej fuchy z powodu oblania kolejnego egzaminu z języka estońskiego.

Precz z przekłętą dyskryminacją! Precz z przeklętym apartheidem! W Estonii nawet kupy słoni padają na ziemię z wyjątkowym akcentem...

A tutaj nagle, proszę, mam zabawiać jakiegoś Olewa Kiwi.

*Tere-tere, vana kere!*³

³ *Tere-tere, vana kere!* - (est.) Witam, witam, stary ośle!

- Nie da rady - zdjęłam rękę Stasa ze swojego kolana. - Wiesz przecież, jakie mam zasady...

- Wsadź je sobie w tyłek - odparował Stas. - Olew Kiwi to wielka sława. Będzie w Sankt Petersburgu za tydzień na występach gościnnych. I to właśnie on jest mi potrzebny.

Ze wszystkich estońskich znakomitości znałam tylko Annie Raamat, gwiazdę amatorskich filmów porno. Dlatego też postanowiłam się upewnić:

- A dzięki czemu jest taki sławny, ten twój Kiwi? Naparza na perkusji w grupie „Rolling Stones”? Czy robi u George'a Michaela, nie daj Boże, w chórkach?

- Jest wiolonczelistą - Stas ponownie zaczął głaskać moje kolano. - Wiesz, jak wygląda wiolonczela?

- Nie bardzo.

- Jak skrzypce, tylko trochę większe.

- Skrzypce, tylko trochę większe, to kontrabas - zauważyłam rozsądnie. - A skoro nie możesz przeżyć bez tego wirtuoza, to poproś o pomoc Kaje. Do tej roboty będzie najlepsza.

Kaje, nasza wspólna przyjaciółka ze zdeprawowanego nadmorskiego miasta Piarmi, już od blisko roku mieszka w Petersburgu. Do tego w swoim czasie ukończyła szkołę muzyczną, klasę cymbałów.

- Porażka - Stas pogardliwie wysunął dolną wargę. - Ta idiotka ni z tego, ni z owego postanowiła zająć w ciążę. A poza tym, nie pamiętasz, jaką ma gębę? Wygląda zupełnie jak Cyganka, tylko bębenka jej brakuje.

- A ja?

- A ty - no cóż, twoja twarz jest właśnie taka, jakiej potrzebuję. Prawdziwa z ciebie walkiria, więc nie domagam się już komplementów.

Jeśli nawet byłam walkirią, to wyraźnie umęczoną lotem. Niedawno stuknęło mi dwadzieścia sześć lat - z czego ostatnie siedem spędziłam w gotowości bojowej przy męskich rozporkach z paroma krótkimi wypadami: do Grecji, Turcji i miejscowości Piestrawka w guberni samarskiej.

- Może wyprawisz mnie już na emeryturę, Stasik, co? - zapytałam z beznadzieją w głosie.

- Oczywiście, że wyprawię - po raz kolejny skłamał uroczyście i wtulił się twarzą w moje kolana. - A nawet więcej. Zrobię cię starszym menedżerem. Tylko najpierw pomóż mi z Olewem Kiwi. Olew Kiwi - i to wszystko. Koniec. Basta. Finito.

- No dobrze - poddałam się, jak zwykle zresztą. - Co mam zrobić?

Głupie pytanie, przecież doskonale wiedziałam, co mam zrobić. To, co przeważnie robią panienki do towarzystwa: miła pogawędka przy kolacji, obmacywanie nóg pod stołem, lekki petting w samochodzie, głęboki francuski pocałunek w windzie pomiędzy piętami... Reszta zależy od stopnia upojenia alkoholowego oraz zboczenia seksualnego klienta.

Stas wyjął z kieszeni plik dolarów i niedbale rzucił je w moją stronę.

- Najpierw zajmiesz się swoją garderobą.

Zabrzmiało to jak obraza. Co jak co, ale ciuchy zawsze miałam niezłe. Z najlepszej półki, specjalnie dla mnie. Chociaż...

- Potrzebuję czegoś wyjątkowego? - zważyłam w rękę kasę, którą wręczył mi Stas: w zupełności wystarczyłoby jej nie tylko na wspaniałą peniar, ale i na skromną sukienkę od zabójczego Versace, którą upatrzyłam sobie w butik na ulicy Odlewniczej - wyzywająca, pikantna, zniewalająca linia bioder.

Stas nie raczył odpowiedzieć. Zamiast tego zaczął szperać w szufladzie biurka.

- Nie wiem, ile strun ma wiolonczela. Czy to jakiś problem? - przypomniałam o swoim istnieniu.

- Przeczytasz sobie w *Słowniku muzycznym* - odparł Stas i rzucił na stół zdjęcie. - A tymczasem spójrz na to.

„Ciekawe. Od kiedy Stas trzyma w swoim haremie niepozorne szatynki?” - pomyślałam.

Z fotografii spoglądała bowiem na mnie właśnie taka kobieta: samotna róża w ręku, zaniedbane włosy, ścięte na niesforne „pazia” à la Mireille Mathieu. Do tego brwi sterczące we wszystkie strony, rozbiegane oczy i usta pozbawione nawet cienia pomadki - zbyt ciemne jak na szatynkę.

Tak, słowo „zbyt” bardzo do niej pasowało.

Była „zbyt” prosta.

- A co to za pindzia?

- Nie mówi się źle o zmarłych - pouczył mnie Stas.

- No to co to za świętej pamięci pindzia? - poprawiłam się posłusznie.

- To żona Olewa Kiwi. Zginęła w zeszłym roku w niewyjaśnionych okolicznościach. Ale to jest sprawa drugorzędna. Twoje główne zadanie: w ciągu tygodnia stać się choć w niewielkim stopniu podobną do niej.

Jeszcze raz - tym razem wnikliwiej - przyjrzałam się ciemnym niczym noc ustom zmarłej pani Kiwi. Następnie przenieśliśmy spojrzenie na pieńdzę.

- Trochę mało, mój drogi. Trzeba by z tysiączek dorzucić... A poza tym tydzień to zdecydowanie za mało, żeby doprowadzić się do takiego koszmarnego stanu.

- Jeśli chodzi o „dorzucenie”... to nie jesteśmy na targu, moja ślicznotko. Musisz się zadowolić tym, co ci daję. Weź zdjęcie, będzie ci łatwiej się do niej upodobnić.

- Jak miała na imię... hmm... zmarła?

- A po co ci to? - zdziwił się Stas.

- No... sam przecież powiedziałeś, że mam się do niej upodobnić. Mogłabym przedstawiać się jej imieniem i...

- To już przesada. Intelktualiści tego nie lubią. Pamiętaj, co za dużo, to niezdrowo.

- A co ty mi tu z intelektualistami wyjeżdżasz?! - byłam bardzo dumna, że nawet nie zacięłam się na tak trudnym słowie.

- Olew Kiwi to intelektualista pierwszej wody! - Stas podniósł palec do góry. - Masz tydzień. Przygotuj się. W piątek sprawdzę cię osobiście.

Zgodziłam się bez dalszego sprzeciwu, wycofałam się w kierunku drzwi i pchnęłam je biodrem.

Jest się nad czym zastanowić. Najpierw jednak sprawię sobie sukienkę od Versace w butik na Odlewniczej. Należy mi się...

Po powrocie do biura z włoskim trofeum pod pachą, spędziłam resztę dnia na uciążliwych rozmyślaniach. Po pierwsze, w tym tygodniu trzeba będzie zrezygnować z usług masażystki - Lenki (w środę) i manikiurzystki - Swietki (w czwartek), opuścić wizytę w solarium, na siłowni i dwa zajęcia z fitnessu. Po drugie, (o, *kurat!**) trzeba odłożyć na lepsze czasy peeling, żel i wszelkie kremy przeciwzmarszczkowe. Nie wspominając już o wodoodpornym tuszu, nowiutkich cieniach ani angielskim pudrze o cudownym odcieniu...

⁴ *Kurat!* - (est.) do diabła!

Kurat-kurat-kurat! Precz z przekłętymi intelektualistami z wionoczelą pod pachą! I z tymi ich zmarłymi zaniedbanymi muzami!

Po raz kolejny spojrzałam na zdjęcie, które dał mi Stas:

„Ała. Kronsztad. Marcowe refleksy słoneczne”. I data, na którą nawet nie zwróciłam uwagi.

Ciekawe, co to takiego te „Marcowe refleksy słoneczne” - nazwa cieszącego się powodzeniem miniburdelu, czy też próby poetyckie wionoczelisty?

W każdym razie udało mi się dostrzec w tej czerwonoookiej Ałlie coś poza jej odpychającym wyglądem: była Rosjanką (Oj, Olewie Kiwi, Olewie Kiwi, gdzie miała oczy twoja porządna estońska rodzina?!). No i najwyraźniej, gdy tylko pozbyła się męża, zaraz pędziła do Kronsztadu. Dlaczego Stas tak się upiera, żebym upodobniła się do zmarłej? Nie jestem, oczywiście, przesądna, ale mimo wszystko, mimo wszystko...

Wysłałam z biura o równej piątej, okiełznałam swoje ledwie zipiące auto i, zatrzymując się na każdym czerwonym świetle, rozmyślałam o Stasie i jego dziwnym zadaniu. Nie, grzechem byłoby obrażanie się na Stasa. Przecież to właśnie on - Stas, Stasik, Stanisław Driemow - wyciągnął mnie z prawdziwego nacjonalistycznego bagna z Tallina. Umył, doprowadził do ładu, ubrał i zatrudnił w branży. A przed miesiącem kupił mi nawet jednopokojowe mieszkanie w dzielnicy sypialnej. Za wysługę lat i dobre wyniki w pracy.

I tak już cztery petersburskie lata kręcę się przy mężczyznach, jak kucharka przy garach.

Tylko po co jemu - szefowi agencji, która organizuje koncerty dobrze sprzedającym się zagranicznym wykonawcom zamierzonego gatunku rock-n-roll'a - po co mu ten niezmanierowany wiolonczelista?

Przecież to jest zupełnie inny kierunek w sztuce muzycznej.

W poniedziałek dowiedziałam się, ile strun ma wiolonczela. Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu okazało się, że ma je cztery. Niezbyt dużo, ale w porównaniu z bałajką postęp jest widoczny.

A we wtorek udałam się do Nadii, do salonu fryzjerskiego „Oleńka”.

Moja nadplanowa wizyta zaskoczyła Nadię, a prośba, aby włosy, które zapuszczałam i pielęgnowałam już od dwóch lat, obciąć na pazia w stylu retro, ostatecznie ją dobiła.

- Pogięło cię, moja droga - mamrotała. - Żeby niszczyć takie włosy... Nie jestem w stanie tego zrobić...

Wyzywająco pomachałam jej przed nosem jasnozielonym pięćdziesięci dolarowym banknotem i powiedziałam przymilnie:

- Nie gniewaj się na mnie za ten mój kaprys.

Pięć minut zajęło jej przypomnienie sobie tej unikatowej fryzury. A potem, niczym drapieżka, zaczęła ciachać nożycami przy moim uchu.

- Moim zdaniem to zboczeniec - mimowolna skłonność do paradoksalnych wypowiedzi była typową cechą mojej ulubionej fryzjerki.

- Kto?

- Ten młot, który zmusił cię do ścięcia włosów.

Westchnęłam. Całkowicie się z nią zgadzałam. Z tym, że zboczeniec nie był osamotniony. To było całe stado zboczeńców: rzępolących na wiolonczeli, rzucających marcowe refleksy słoneczne i wpychających mi do ust dolary - tylko po to, żeby przeistoczenie z pięknej kobiety w potwora wypadło jak najkorzystniej.

Po upływie półgodziny fryzura była gotowa. Obejrzałam dokładnie jej dzieło. Ponieważ przyzwyczałam się ściśle wypełniać wszystkie wytyczne Stasa, musiałam skrytykować swój nowy image.

- Tak nie przejdzie - wydałam werdykt.

- Jak to nie przejdzie? - twarz Nadii pokryła się czerwonymi wypiekami. Była mistrzynią w swoim fachu i ostatnią w życiu uwagę otrzymała pewnie jeszcze w szkole, za nieobecność na lekcji wf.

- Za ładnie.

- Ciebie naprawdę porąbało - Nadia coraz bardziej utwierdzała się w swoim przekonaniu. - Co to znaczy „za ładnie”?

- To co znaczy. Ta fryzura... - pstryknęłam palcami, dobierając odpowiednie wyrażenie - ...ta fryzura powinna być bardziej niedbała. No, tak, jakbym strzygła się nie u ciebie, a w jakimś podrzędnym Rejonowym Domu Pomocy. I do tego za darmo. Kumasz?

Nadia dąsała się jeszcze przez chwilę, a następnie ponownie zabrała się do pracy.

- Jesteś walnięta, Warka - lamentowała, z zapalem wyrrywając całe garście włosów z mojej męczeńskiej głowy. - A jeśli przyjąć, że nigdy nie pracowałam w podrzędnym Rejonowym Domu Pomocy...

Druga próba okazała się bardziej udana i już prawie zupełnie upodobniłam się do ideału przedstawionego na zdjęciu.

- Ohyda - Nadia pociągnęła nosem.

Ja natomiast z zadowoleniem się uśmiechnęłam.

- Wspaniale. Teraz trzeba je tylko ufarbować. Muszę wyjść od ciebie jako taka swojska szatynka z oklapniętymi włosami. Zapłacę podwójnie, więc nie marudź, tylko puść wodze fantazji...

Salon „Oleńka” opuściłam w pełnej konspiracji: okulary słoneczne na pół gęby i chustka na głowie. Wzięłam ją tylko na wszelki wypadek i, jak się okazało, dobrze zrobiłam. Żeby mnie tak teraz zobaczył Leszyk Bogomoł, mój ostatni wielbiciel, a zarazem najhojniejszy ze wszystkich klientów, których naraił mi Stas.

Co za szczęście, że Leszyk odsiaduje wyrok w petersburskim Alcatraz i nie sądzę, żeby w najbliższej przyszłości odzyskał wolność.

Teraz pozostało już tylko odpowiednie ubranie. Dziwaczna krwistoczerwona suknia z krótkimi rękawami i nazbyt rzucającymi się w oczy falbanami. Pewnie za życia mocno uciskała nieboszczkę w piersiach.

Żadnych podobnych do uwiecznionych na fotografii elementów obrzydliwej garderoby Ałły nie miałam we własnej szafie, a sklepy z tanią odzieżą okazały się kompletnie bezużyteczne. Resztę tygodnia spędziłam więc na wizytach u krawcowych. Kosztowało mnie to kilka siwych włosów, ale najważniejsze, że do piątku byłam już w posiadaniu czerwonej sukmany. Na Stasie parcianka zrobiła niewiarygodne wrażenie.

Podobnie zresztą, jak idiotyczny „paź”, do którego nie mogłam się w żaden sposób przyzwyczaić.

- Świetnie - zaczął biegać po gabinecie, zacierając ręce. - Po prostu genialnie, moja ty gołąbeczko! Nawet nie przypuszczałem, że aż tak... Jesteś w te klocki coraz lepsza. Od następnego kwartału musisz dostać podwyżkę.

- Skąd wiesz, że jestem coraz lepsza? - zdziwiłam się. - O ile pamiętam, nie spaliśmy ze sobą.

- Nic się przede mną nie ukryje - wyszczerzył się Stas. - A teraz porozmawiajmy o naszej robocie.

Otworzyłam notes i przygotowałam się do pisania.

- Przylatuje jutro z Wiednia.

- Jakim rejsem?

- To nieważne.

- To nie mam go odebrać z lotniska?

- Broń Boże!

Ciekawe, zwykły scenariusz bierze w łeb.

- Czekaj, czekaj, bo nie rozumiem... Nie załatwiasz mu występów gościnnych?

Stas podszedł do mnie i leciutko postukał palcami po moim zachwycająco nieskazitelnym czole.

- Nie dopuszczają mnie do niego na kilometr. To jest przecież zupełnie inny poziom.

- W takim razie po jaką cholere...

Poczułam, jakby wbijano mi nóż w plecy. Dla mnie to najbardziej perfidna ze zdrad. Czy warto było tak się zeszcpecić? Jedyne dla chwilowej zachcianki szefa? Przypomniałam sobie odbicie w lustrze, które widziałam dziś rano we własnym przedpokoju i zaczęłam płakać.

Stas wytarł mi nos rękawem.

- Nie rycz, tylko posłuchaj uważnie. To nie jest zwyczajna... sprawa. To jest moja osobista prośba.

- To jakiś przekręt.

- Zachowaj swoje wnioski dla siebie. I daj mi dokończyć, do jasnej cholery! Będzie miał konferencję prasową od razu po przyjeździe, już na lotnisku. Potem jeszcze jedną, a wieczorem - koncert solowy w Wielkiej Sali Filharmonii. Masz - Stas podał mi bilet. - Idź tam i pokrzep się duchowo.

Filharmonia, brrr... Już sama nazwa działa na mnie jak najlepszy środek nasenny.

- Ale wiesz, Stas, czasem zdarza mi się uciąć komara i chrapać jak lokomotywa. Myślę, że wielbicielom Czajkowskiego i jemu podobnych to się nie spodoba.

Stas miał głęboko gdzieś wszystkie moje wątpliwości.

- Kiwi zatrzyma się w hotelu gościnnym na Kriestowce, powinnaś go kojarzyć.

Pewnie, że kojarzę! Dwupiętrowy hotel. W niemieckim stylu. Tylko dla bogaczy.

- I co, mam tam stanąć przy wejściu z chlebem i solą? Jeśli tak, to trzeba będzie dokupić odpowiednie odzienie i kokosznik na głowę, mój Stasiku.

- Masz spędzić z nim noc w tym hotelu.

- A on o tym wie? - zapytałam.

- Jeszcze nie - Stas wyróżniał się anielską cierpliwością i taką samą wiarą w cuda. - Ale zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby wskoczyć mu do łóżka.

Z moim obecnym ekwipunkiem szanse na łóżkowe ekscesy w pokoju hotelowym słynnego wiolonczelisty są równe zeru. Usiłowałam wbić to Stasowi do jego napalonej łepetyny, ale nawet nie chciał mnie słuchać.

- Wieczorem je kolację w „Europie”, już ci zamówiłem stolik. Nie zachowuj się zbyt wyzywająco. Żadnych zaczepnych spojrzeń. A jak już się do ciebie dosiędzie, lepiej słuchaj, a nie gadaj. Bo jeszcze palniesz jakieś głupstwo. Już ja dobrze cię znam. Nogi trzymaj razem i nie oblizuj warg. Zachowuj się porządnie. No i w ogóle... staraj się odpowiednio wcielić w rolę.

- Czyją? - zapytałam, choć doskonale znałam odpowiedź: kretyńskiej baby z amatorskiej fotografii z Kronsztadu. - Myślisz, że chwyci przynętę?

- Może być różnie - Stas wyciągnął z kieszeni pierścioneł z kamieniem i uroczyście włożył mi go na palec.

- A to co znowu?

- To - od firmy. Za wieloletnią nienaganną pracę. Jeśli cię... jeśli cię ktokolwiek zapyta, skąd go masz, powiesz, że to prezent od matki. Pamiątka rodzinna. Dostałaś w spadku i takie tam.

- Aleś dowalił, Stas! Moja biedna mama przez całe swoje życie nawet marnej paczki podpasek nie dała mi w prezencie.

- Nieważne. Jeśli... jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, pojutrze poznasz nas ze sobą. Przy obiedzie. Obiad będzie również w „Europie”. O trzeciej. Pojawię się tam znienacka i nas sobie przedstawiś. Przypadkiem... że niby to spotkałaś starego znajomego i czy nie ma nic przeciwko, żebym się dosiadł do waszego stolika. Zresztą, sama dobrze wiesz, jak to się robi.

- Pewnie, że wiem. Ale, zdaje mi się, że coś kręcisz. Nie chciałabym, żeby moje wdzięki tak się marnowały.

- Od kiedy to? - Stas władczo złapał mnie za pierś. - Noo... Nie myśl zbyt intensywnie, moja droga, bo od tego robią się zmarszczki na czole.

To prawda. Idź się gonić, Stas. Ty i te twoje głupie tajemnice. Wzięłam się w garść i zapytałam rzeczowo:

- A co z upodobaniami seksualnymi?

- Moimi? - zdumiał się Stas. - Jeszcze tego nie wiesz? Po tylu latach?

- Nie twoimi, idioto. Chodzi mi o tego twojego przekłętego *eesti guy* ⁵.

⁵ *Eesti guy* - (est.) estoński chłopak.

- Nie mam pojęcia. Ale nie sądzę, żeby był szczególnie wybredny. Chyba że zapragnie smyczy podczas uniesień miłosnych.

Coraz trudniej było mi się z nim dogadać. Zmieniłam zatem temat na znacznie przyjemniejszy, przynajmniej dla mnie.

- A honorarium?

- Honorarium otrzymasz, jak napiję się z klientem kawy. Nie martw się, przecież do tej pory nigdy cię nie oszukałem, maleńka... Zaczynamy o dziewiętnastej zero zero. Powodzenia.

Byłam już przy drzwiach, gdy Stas mnie dogonił.

- Liczę na ciebie, kochanie. I jeszcze jedno: zetrzyj sobie lakier z paznokci.

* * *

Już w pobliżu metra spotkałam ludzi poszukujących biletów na Olewa Kiwi. Wszędzie były okropne tłumy i przez to udało mi się zaparkować dopiero trzy przecznice od całej tej filharmonijnej jatki. Cholerna sukienka pasowała mi równie dobrze, jak futrzany kozuch tubylcowi z Wybrzeża Kości Słoniowej, a jakby na dopełnienie wszystkich nieszczęść złamałam sobie paznokieć...

Nie napawało to optymizmem przed słuchaniem I suity G-dur na wiolonczelę solo.

Jan Sebastian Bach.

Dalej, jeśli wierzyć programowi, powinien być Brahms, Schubert i Artur Rubinstein z fantazją „Demon”, ale już samego Bacha wystarczyłoby mi z nawiązką. Również rząd, który mi się trafił, zupełnie nie skłaniał do słuchania tak trudnej muzyki. Cholerny Stas nawet się nie wysilił, żeby stworzyć mi komfortowe warunki pracy. Z lewej strony opierała się na mnie jakaś sterana życiem klimakteryczka. W miejscu, gdzie zwykle mieszczą się piersi, miała przyczepiony wielki kwiat. Z prawej strony posapywał łysy lubieżnik. Niezłe sąsiedztwo, nie ma co.

Na widok Olewa Kiwi i reszty zespołu widownia wstała. Nie miałam innego wyjścia, jak pójść w ślady melomanów. Z wielkim trudem stłumiłam w sobie chęć wyniesienia się z tego symfonicznego grobowca. Póki nie jest za późno.

Niestety, stało się...

Olew Kiwi usadowił się na krześle, przyciągnął do siebie swój instrument - i rozpoczęły się moje katusze. Przed zakończeniem suity zdążyłam obgryźć wszystkie paznokcie lewej ręki i przerzucić się na prawą. Następnie - tylko po to, żeby nie zasnąć - zaczęłam zastanawiać się nad prowokacyjną istotą wiolonczeli. Ta bandura wyglądała dosyć erotycznie. Zresztą pozycja, którą przyjął Estończyk, również była niczego sobie... A przy ostatnich taktach suity przypomniałam sobie nagle sprośny dowcip, który opowiedziała kiedyś Annie Raamat, gwiazda estońskich filmów porno: „Pytanie: Jak nazywa się kobieta, która pracuje z rozsuniętymi nogami? Odpowiedź: Wiolonczelistka”.

Rozsunięte nogi jakoś przyćmiły moją niechęć do filharmonii. A to, co się później wydarzyło, było już zupełnie nieprawdopodobne.

Nagle Olew Kiwi spojrzał prosto na mnie.

To nie było przypadkowe spojrzenie, raczej wyuczony aktorski ruch głową. Jego oczy wpiły się we mnie jak drzazga w piętę. Smyczek zeskończył ze strun i efektowny zazwyczaj finał stanął pod znakiem zapytania. Nie spuszczał ze mnie wzroku podczas oklasków, przechodzących w owację na stojąco. I nie wiadomo, czego w tym na wpół mglistym spojrzeniu było więcej: zdziwienia, nienawiści czy bezgranicznego

ubóstwienia. Poczułam się, jakbym była goła. Gołe ręce, gołe nogi i - najważniejsze - goły tyłek, tkwiący w rozgrzebanym mrowisku.

Co za uczucie.

...Nawet jeśli ten dupek, Stas Driemow, kombinuje coś na boku, to w jednym miał stuprocentową rację: estońscy intelektualści symfoniczni po prostu mdleją na widok zaniedbanych włosów. No, chyba że Olew Kiwi, mimo pozornie zdrowego wyglądu, ma kłopoty ze wzrokiem. Niedowidzi, a szkła kontaktowe zostawił dziś w hotelu, na muszli klozetowej...

Po Bachu nastąpiły utwory innych wymienionych w programie kompozytorów. Rozpalone oczy Estończyka prześwieślały mnie przy każdej zmianie muzycznego tematu. Zmęczona tą ciągłą obserwacją, ukryłam oczy za długimi rzęsami i błagałam tylko o jedno: Niech się wreszcie skończy to patetyczne rzępolenie.

Na całe szczęście, pierwsza część zakończyła się dość szybko, zanim zdążyłam się zupełnie zestarzeć, stracić cały swój wdzięk i urok, i sprawić sobie sztuczną szczękę. Byłam pierwszą osobą, która wybiegła z sali. Przy tym o mało nie przewróciłam znudzonej sprzedawczynie płyt CD.

Trzeba uciekać! Jak najprędzej stąd spadać! Chyba tylko groźba gilotyny mogłaby mnie teraz zmusić do przekroczenia progu tej, pozał się Boże, świątyni sztuki...

Na ulicy przed filharmonią zobaczyłam Stasa. Chwycił mnie za rękaw, groźnie się przy tym uśmiechając.

- Dokąd to, moja droga?

- No... chciałam pooddychać świeżym powietrzem... - wyjąkałam. - Zbyt wiele wrażeń jak na mój wątyły organizm.

- To dobrze, bo już pomyślałem, że postanowiłaś dać nogę - przeświecił mi na wylot ten mój idealny alfons.

No nic, nie ma co udawać...

- Jeśli mam być szczerą, to od tej klasyki boli mnie już brzuch. Zlituj się nade mną! Jeszcze się nabawię urojonej ciąży!

Zanim zdążyłam powiedzieć coś więcej, Stas zaczął mnie ciągnąć do swojego poobijanego jeepa.

Usadowiwszy się na siedzeniu pasażera, wyciągnęłam papierosa i popatrzyłam znacząco na mojego prześladowcę. A on, zamiast podać mi

zapalniczkę, odebrał mi całą paczkę papierosów i bez żadnych skrępowań wyrzucił przez okno.

- O paleniu będziesz musiała zapomnieć, dziecko. Przynajmniej na okres godowy z klientem. Nie znosi palących kobiet.

- Skąd to wiesz? - z żalem podążyłam wzrokiem za biedną paczką „Voque”, tonącą właśnie w kałuży.

- Po prostu wiem - odpowiedział wymijająco Stas. - Trzymaj.

Wyciągnął w moją stronę wspomniane przeze mnie w złą godzinę szkła kontaktowe.

- Dziękuję, ale obawiam się, że z moim wzrokiem jest wszystko w porządku.

- Weź. Wiesz, jak się je zakłada?

- Widziałam w serialu meksykańskim - warknęłam i założyłam soczewki.

Na niezbyt ostry i w dodatku szybko mijający ból byłam uodporniona. Dziewczyny, które szybko straciły dziewictwo, nie boją się bólu.

- No i jak? - zapytał Stas.

- Jak-jak... jak flak, bezduszny kacie.

Sięgnęłam do torebki, wyjęłam lusterko i zerknęłam na swoje odbicie: oczy straciły swój naturalny jasnozielony odcień i zmieniły się w piwne.

- Pani Kiwi - cmoknęłam z niezadowolaniem.

- Pani Ała Kodrina - poprawił mnie Stas. - Nie przyjęła nazwiska po mężu.

- Bardzo mądrze z jej strony - uśmiechnęłam się zalotnie do swojego odbicia. - I jak, jestem podobna do tej świętej pamięci nimfy?

- Niezbyt - Stas jak zwykle był nastawiony krytycznie. - Ale ujdzie w tłułu. Powinien się nabrać.

Z trudem powstrzymałam się, żeby mu nie opowiedzieć o hipnotyzującym wzroku wiolonczelisty z pierwszej części koncertu, ale w porę ugryzłam się w język. Nie ma co dawać mu przedwczesnej nadziei.

- I co teraz robimy? - perspektywa powrotu na koncert jakoś mi się nie uśmiechała

- Druga część - przypomniał Stas.

- Już się zaczęła. Nie wpuszczą mnie teraz do środka.

- Niech cię jasna cholera! Zrobimy więc tak: podrzucę cię do „Europy”. Klient powinien się tam zjawić za jakieś półtorej godziny. Reszta

należy do ciebie. Improwizuj w zależności od tego, co się będzie działo. Pamiętaj tylko, że jutro macie zjeść razem obiad...

W „Europie” miałam zamówiony stolik. Stas osobiście mnie do niego zaprowadził, pocałował w rękę, szepnął do ucha kilka sprośności, po czym się ulotnił. Zostałam sama w czarującym towarzystwie hiszpańskiego muskatu „Miralva”. Wino również wybrał za mnie Stas. Odchyliwszy się na oparcie krzesła i przymknąwszy oczy, bawiłam się pierścionkiem na palcu i powtarzałam sobie w myśli ostatnie wskazówki Stasa: nie rozkładać nóg, nie oblizywać warg, nie patrzeć wyzywająco, nie zamawiać wódki, nie siadać na kolana, nie rozpinąć paska i nie wspominać o pieniądzach za usługę.

Takie zadanie to dla mnie pestka.

Zanim Olew pojawił się w sali restauracyjnej, zdążyłam wypić całe wino i urzeczona przyglądałam się matronie siedzącej przy sąsiednim stoliku. Stara łykowata bizneswoman miała na sobie uroczą garsonkę, która w żaden sposób nie pasowała do jej pomarszczonej, długiej jak u konia zaprzęgowego, szyi. Już nawet naszkicowałam sobie odpowiedni fason na serwetce i teraz zastanawiałam się, ile kosztowałoby mnie uszycie takiego fatalaska.

I właśnie w tym momencie wszedł głodny Estończyk-wiolonczelista. Przybył ze zgrają swoich lizusów. Zasiedli niedaleko mnie, w samym rogu sali. W tej samej chwili zleciał się do nich cały personel restauracji, na czele z kierownikiem hotelu. Wyglądali jak sępy tłoczące się wokół padliny.

„Niech ich rozszarpia” - pomyślałam, solennie wykonując polecenie Stasa: żadnych prowokujących ruchów ciała.

Jeszcze odrobina wina.

Wino znalazło się na moim stoliku po upływie pięciu minut. A po kolejnych pięciu minutach przysiadł się do mnie cherlawy młodzieniec z twarzą skończonego psychopaty.

- Można? - zapytał ochryplym głosem, chwytając za brzeg obrusu.

Tylko tego mi brakowało!

Zmierzyłam wzrokiem jego zbiegające knykcie: na oderwanie ich od stołu, przynajmniej w ciągu najbliższych trzydziestu minut, nie było żadnych szans.

- U kogo się pan leczy? - zapytałam przymilnie.

Chłopak spojrział na mnie przenikliwie, zlustrował od stóp do głów, po czym wyciągnął z kieszeni wizytówkę: „Petersburska Anomalia. Kronika kryminalna. Siergiej Sinienko. Korespondent specjalny.”

No tak, wszystko jasne.

Westchnęłam ciężko.

- Pani też? - przelknąwszy ślinę, wyszeptał Siergiej Sinienko.

- Co - też?

- Też na niego poluje?

- Na kogo?

- Na Estończyka. Na Olewa Kiwi.

Zaskoczona aż drgnęłam, ale natychmiast wzięłam się w garść. Dwa najstarsze zawody świata ciągle na siebie wpadają, gdzie popadnie, nawet tu, w sali restauracji „Europa”.

- Dlaczego pan tak myśli?

- Odniosłem wrażenie...

- ???

- ...że zbyt intensywnie się pani mu przygląda.

Skrzywiłam się. Tego mi jeszcze brakowało do pełni szczęścia. Jakiegoś domorosłego detektywa.

- Co za bzdury pan wygaduje?! - napadłam na bezczelnego reportera.

Zamilkł na chwilę. Niestety, niezbyt długą.

- Przepraszam, czy przypadkiem pani już wcześniej gdzieś nie widziałem?

„Kretynie jeden, całej tej twojej żalosznej wypłaty nie wystarczy, żeby mnie zobaczyć! Nawet w oknie przejeżdżającego obok samochodu, nie mówiąc już o jakiejś erotycznej pozycji!”

- Obawiam się, że nie - zasłoniłam się kieliszkiem i upiłam łyk wina.

- Powinienem przeprowadzić z nim wywiad - nie dawał mi spokoju.

- Ależ proszę - pozwoliłam wspaniałomyślnie. - Tylko po co mi pan to mówi? Co mi do tego?

- On nie udziela wywiadów. Już od roku. Od czasu, kiedy zginęła jego żona.

- Nie wiedziałam.

- Bierze jedynie udział w konferencjach prasowych. Kretyńskie wywody na temat sztuki...

Sprawa zaczynała przyjmować interesujący obrót. Zaciekawiona, postanowiłam nieco zachęcić tajnego agenta gazety „Petersburska Anomalia”. Może dowiem się czegoś ważnego? Ważnego dla mnie...

- A co się stało tej żonie? Jak zginęła?

Korespondent otworzył już usta, żeby coś powiedzieć, ale zamiast tego zamknął je z głośnym kłapnięciem. Do naszego stolika zbliżał się bowiem Olew Kiwi.

- On... tu idzie... - dramatycznym szeptem wymamrotał Sinienko.

Nie musiał mi tego mówić. Estończyk, ściskając w dłoni kieliszek z czerwonym winem, nadciągał niczym wielokrotny orgazm u prawdziwej nimfomanki: nieuchronnie, nieodwołalnie i bardzo szybko. Stał przy naszym stoliku i popatrzył na dziennikarza.

- Mogę porozmawiać z pana kobietą? - zwrócił się do niego.

- Tak, oczywiście... - wydusił z siebie mój niespodziewany mężczyzna.

- Sam na sam - powiedział w typowy dla Estończyków, flegmatyczny sposób. Tallin, który opuściłam bez żalu cztery lata temu, znów wrócił niczym bumerang i chwycił mnie swymi zgrubiałymi czuchońskimi palcami.

- Oczywiście, oczywiście...

Sinienko wstał z krzesła i niepewnym krokiem skierował się do wyjścia. Rozłożyłam łokcie na stole (To tylko łokcie, Stas, nic w tym złego!) i zaczęłam przyglądać się Olewowi Kiwi.

Był niezły, całkiem niezły. Z takim można pójść do łóżka bez zaliczki: masywna szczęka i delikatne wargi, brwi dopasowane do oczu, a oczy do koloru włosów. Tak właśnie wyglądają piaszczyste wydmy na morskim wybrzeżu we wrześniowym słońcu. I nie gdzieś tam, w napchanej jachtami Piricie, a na znajdujących się pod ochroną, ekskluzywnych wyspach.

Nigdy nie byłam na takich wyspach.

Estończyk nie pozostał mi dłużny: pożerał wzrokiem moją twarz, cały czas wahając się, czy zrzucić kotwicę i zejść na brzeg, czy też popłynąć dalej.

Przeciągające się milczenie stawało się już nieco krępujące. W końcu postanowiłam pomóc temu biednemu żeglarzowi.

- Słucham pana.

Zamiast odpowiedzieć, zaczął wpatrywać się w etykietkę na winie i grdyka zdradziecko mu drgnęła.

- To jest przypadek, prawda? Wybrała pani wino na chybił trafił? - delikatny, wprost błagający głos nasuwał mi odpowiedź, jaka zaprowadziłaby nas na bezpieczną drogę.

Ale ja nie chciałam znaleźć się na tej drodze z jałowym estońskim czarnoziemem.

- To tylko kochanków wybiera się na chybił trafił. I prezerwatywy w aptece - nie mogłam powstrzymać się od sarkazmu. - A do win się człowiek przyzwyczaja.

Olew Kiwi zrobił smutną minę i zaczął wiercić się na krześle jak emerytowany major z hemoroidami.

- Tak, rozumiem... Proszę mi wybaczyć to nietaktowne pytanie.

- Napije się pan ze mną? - cholera, moja niewyparzona gęba wyraźnie dominowała nad mózgiem. Przyspieszałam bieg wydarzeń, a to chyba nie spodoba się Stasowi.

Estończyk zatrzepotał długimi jak u dziewczyny rzesami i zamilkł na dłuższą chwilę. Widać było, że się nad czymś zastanawia. Siedzieliśmy w tej ciszy nad jego niedopitym kieliszkiem czerwonego wina, nad moim kieliszkiem „Miralva” i nad plasterkami cytryny na spodku. W końcu zdecydował się do mnie dołączyć. Wylał resztki swojego wina do sosjerki i wyciągnął rękę w stronę mojej butelki.

Teraz byliśmy sobie równi - oboje z muskatem w dłoniach.

- Jak ma pani na imię? - spojrzał na mnie badawczo.

- Waria. Warwara. Niektórzy mówią do mnie Barbara, całkiem nieźle brzmi.

Imienia „Barbara” używali wszyscy przechodzący przez moje ręce cudzoziemcy oraz pewien rodzimy biznesmen, amator wieloodcinkowej *Santa-Barbary*.

- Podobają mi się rosyjskie imiona - westchnął Kiwi i jakby się trochę uspokoił. - Pani zdrowie, Wario.

Rosyjskie imiona, kto by pomyślał!

Stuknęliśmy się kieliszkami. Diabelski płyn „Miralva” był mi tak samo obojętny, jak męska anatomia: ciało jak ciało, wino jak wino, jedno z wielu. Za to Olew Kiwi! On zrobił z banalnego pierwszego toastu prawdziwy rytuał! Początkowo pił powoli, małymi łykami, delektując się

smakiem. A potem, nie wytrzymawszy, wlał w siebie resztkę muskatu. Jakby ze wszystkich sił starał się wrócić do przeszłości.

Jakby do niej biegł i bał się, że się spóźni.

Odstawił pusty kieliszek, po czym odchylił się na oparcie krzesła i znów zaczął pożerać mnie wzrokiem - jak wtedy w filharmonii. W tym momencie zrozumiałam, że estońskie oczy weszły w konflikt z umysłem: *jaa, jaa, jaa* ⁶ - podszeptowały oczy, *mitte, mitte, mitte* ⁷ - podpowiadał rozum. - „Nie. To jest niemożliwe”.

⁶ *Jaa, jaa, jaa* - (est.) tak, tak, tak. ⁷ *Mitte, mitte, mitte* - (est.) nie, nie, nie.

Niezwykłą siłą woli Olew Kiwi zapanował nad swoimi żądzami. Po czym ponownie się do mnie zwrócił.

- Widziałem panią dzisiaj w filharmonii - wybełkotał. - Chyba mi się nie zdawało?

- A może się pan tak rozglądać po sali w czasie koncertu? - zapytałam wymijająco.

- To nie tak... - pstryknął palcami, dobierając odpowiednie wyrażenie. - ...Ujrzałem panią, ponieważ... ponieważ chciałem ujrzeć...

I nie dokończywszy, znów wziął butelkę zbawiennej „Miralve” (zamówionej, tak *à propos*, na mój rachunek) i wlał w siebie kolejny kieliszek.

- To miejsce, które pani zajmowała...

- Zawsze zamawiam bilety właśnie na to miejsce - w lot zrozumiałam podpitego wiolonczelistę. Stas mógł być ze mnie dumny.

- *Maania* ² - wymamrotał żalonym głosem.

⁸ *Maania* - (est.) bezsens.

„Całkowicie się z tobą zgadzam, mój drogi”.

- Mówił pan coś? - zapytałam ze współczuciem i położyłam mu dłoń na rękawie.

Pierścionek, który tkwił na moim palcu, wyprężył swój kamień niczym paw pióra. Dość efektowny kamień, ale tylko kamień, banalny i nie całkiem szlachetny szmaragd. Na dodatek niedbale oszlifowany. Ale jego cudowne pojawienie się wywołało u Olewa prawdziwy szok. Nawet wiadomość o szturmie tallińskiego ratusza przez rosyjski oddział specjalny (a co w tym czasie robiło NATO?!) nie wywarłaby na Estończyku takiego wrażenia. Dość brutalnie chwycił moją dłoń i o mało nie zerwał z niej pierścionka. Wyraźnie zaczynało mu brakować powietrza.

- Skąd to pani ma? - wyszeptał, ledwie ruszając zsiniałymi wargami.
- To rodzinna pamiątka - odpowiedziałam zgodnie z idiotycznymi wskazówkami Stasa. - Prezent od matki. Niech mnie pan puści, proszę. To boli...

Jego rozpaczliwe, obłąkane palce rozluźniły uchwyt.

- *Maania* - znów powtórzył. - Jak pani powiedziała, że ma na imię?

- Warwara. Waria.

To nie było to, co chciał usłyszeć.

- To nie może stanowić pamiątki rodzinnej. Przynajmniej nie pani...

Ten pierścionek podarowałem swojej żonie.

Zaciął się i przeniósł spojrzenie z mojej ręki na swoją. Podążyłam za jego wzrokiem. Na jego małym palcu ładnie prezentował się pierścionek. Męski odpowiednik mojej „pamiątki”. Kamienie były prawie identyczne.

- Chciała, żebyśmy zawsze o sobie pamiętali - Kiwi zauważył mój wzrok.

Przeraziłam się nie na żarty. Nie miałam już żadnych wątpliwości, cwaniak Stas podłożył mi prawdziwą świnię. Świnię z dodatkiem indyjskiego gulgotania.

Olew zapewne za chwilę wezwie tu na pomoc otyłego goryla. I oskarży mnie o kradzież pierścionka. Może nawet posądzą mnie, że dopuściłam się zbezczeszczenia zwłok po to, aby zakosić biżuterię jego żonki.

Łatwo się domyślić, co nastąpi później...

- Niech mnie pan puści... Jeśli pan natychmiast nie przestanie, zawołam kierownika hotelu - syknęłam, zdrętwiała ze strachu. I, po chwili milczenia, dodałam: - Pan chyba zwariowała

Dzięki Bogu, moje ostatnie zdanie podziałało na niego otrzeźwiająco. Estończyk puścił moją rękę, odsunął się ode mnie i zakrył twarz dłońmi.

Biedak...

- *Vabastama* ⁹... Przepraszam... Niech mi pani wybaczy... Nie wiem, co we mnie wstąpiło... Przepraszam...

⁹ *Vabastama* - (est.) przepraszam.

Przepraszałby tak jeszcze całe wieki, pociągając nosem i przeskakując z jednego języka na drugi - postanowiłam mu więc przerwać.

- Nic się nie stało, panie Olewie... - po raz pierwszy zwróciłam się do niego po imieniu.

- Pani wie, jak mam na imię? - podniósł głowę i spojrzał na mnie nieufnie.

Rusz łepetyną, durnoto! Bo się zaraz wkopiesz.

- Oczywiście. Wiolonczela jest moim ulubionym instrumentem. Nie opuszczam żadnego koncertu. - Boże, wybac mi to kłamstwo!

Przy stoliku, przy którym rozsiadła się załoga Kiwi, na dobre zaczęto się niecierpliwic. Poplecznicy mistrza dawali coraz rozpaczliwsze sygnały swojemu pryncypałowi. Usiłowali go przywołać stukaniem widelcami, kieliszkami i spinkami do serwetek. Jeden z nich przewrócił nawet krzesło. Wszystko na nic. Kiwi ani drgnął. W końcu oddelegowali do nas jednego spośród siebie. Posłaniec - obrzydliwy facet z opuszczonymi ramionami (jak nic, ukrywający się pedał) - zbliżył się do nas i wymamrotał coś z szacunkiem po estońsku. Ogólny sens jego wypowiedzi był mniej więcej taki: „Olew, cholera jasna, czekamy na ciebie! W mordę, to po prostu chamstwo! Do jasnej cholery, kazać czekać takiej ilości osób i, kurde, siedzieć przy stole z tą rosyjską zdzirą! Do diabła!”.

Posłałam blondwłosemu pedałowi pełne wdzięczności spojrzenie. Historia z uwiedzeniem Olewa Kiwi coraz mniej mi się podobała. Nawet obiecana przez Stasa podwyżka nie była już tak atrakcyjna. W zasadzie to przecież wystarcza mi moja prowizja, a w najgorszym wypadku zawsze mogę zgłosić się na konduktora w tramwaju. Wszystko jest lepsze od grzebania w tajemniczej przeszłości rozhisteryzowanego Estończyka i wyciągania na wierzch jego brudów. Tym bardziej, że w naszej rodzinie jest już jeden specjalista od brudnej roboty.

Jeśli teraz wiolonczelista wstanie i sobie pójdzie, to będę uważać tę historię za najlepsze szybko zakończone ekscesy miłosne w moim życiu.

Tak że, sorry, Stasik.

Niestety, ten cholerny Kiwi nie wstał i nie poszedł sobie. Przeciwnie, obrzucił pedałowatego posłańca potokiem estońskich obelg, dorzucając kilka soczystych rosyjskich przekleństw. Nawet ja poparłam w duchu takie inwektywy: nieźli są ci Czuchońcy, jednak czegoś nauczyli się od Wielkiego Brata...

Facet poddał się i wycofał, pozostawiając po sobie zapach śledzia. Ale ja, w przeciwieństwie do niego, nie zamierzałam się poddawać.

- Pańscy znajomi są chyba niezadowoleni...

- Proszę nie zwracać na nich uwagi... pani Wario - wymówił moje imię powoli i pieszczotliwie, przyzwyczajając się do nowego połączenia liter.

- Na mnie już czas.

- Już pani wychodzi? - jego głos zdrzął niczym struna podczas finału I suitu G-dur J. S. Bacha.

Zerwał się z miejsca.

„Biedactwo” - pomyślałam po raz kolejny.

- Tak - na potwierdzenie swoich słów zaczęłam zbierać się do wyjścia.

- Dziękuję za koncert. Był pan wspaniały... Jak zawsze.

- Ale... pani przecież wyszła już po pierwszej części.

„Aha, czyli cały czas mnie obserwowaleś? Nieźle”.

Jednak Stas wiedział, co robi, kiedy rozstawiał wnyki: to się nazywa polowanie na żywca.

- Ale przecież pani wyszła - nie dawał za wygraną Estończyk. - Dlaczego pani wyszła?

- Wystarczyło mi to, co usłyszałam - chlapięłam bez namysłu. - Pańska muzyka rozrywa mi serce.

Moje na wskroś fałszywe i zaprawione służalczym pochlebstwem wytłumaczenie było szyte grubymi nićmi, ale Olew Kiwi chętnie się na nie nabrał. I nie przejawiał najmniejszej chęci, żeby się ze mną rozstawać.

- Lubi pani wiolonczelę?

Zadrżałam, ale zdołałam się opanować.

- Wydaje mi się, jakby w tym instrumencie uwięziona została dusza Stwórcy - Chryste Panie, skąd ja wzięłam taką gadkę? Szybko przeanalizowałam w głowie wszystkich swoich klientów, zatrzymałam się na Leszyku i z miejsca przypomniałam sobie, skąd pochodzi to zdanie.

„Wydaje mi się, jakby w tym instrumencie uwięziona została dusza Stwórcy” - w taki właśnie górnolotny sposób wyrażał się Leszyk o swoim członku.

Ale Olew Kiwi nie znał biednego Leszyka, a już tym bardziej jego członka - dlatego też moja wypowiedź zrobiła na nim odpowiednie wrażenie: docenił piękno sformułowania.

- Nie mogę pozwolić pani odejść... tak po prostu...

- Naprawdę na mnie już czas...

Kończąc rozmowę, skierowałam się do wyjścia. Nie mogłam się opamiętać i profesjonalnie zakolysałam biodrami. Olew Kiwi naprawdę mnie przestraszył. Czułam, jakby wciągało mnie intelektualne grzęzawisko. Przed czymś takim nikt mnie nie uratuje. Najlepsze, co mogę w tej sytuacji zrobić, to wziąć nogi za pas. Tak, wziąć nogi za pas! Widocznie ten cały podryw był z góry skazany na niepowodzenie.

Opuściwszy salę restauracyjną, z ulgą westchnęłam i weszłam do damskiej toalety. Ale niedane mi było rozsiąść się wygodnie na zalatującym ginekologiczną sterylnością sedesie. Do drzwi bowiem ktoś nieśmiało zapukał.

- Kto tam? - zapytałam głupio i na wszelki wypadek podciągnęłam rajstopy.

- Ja - przymilny głos należał do mężczyzny. Nie do Olewa Kiwi, to było pewne.

- To damska ubikacja, proszę pana - mój głos z lekka się załamał.

- Musimy porozmawiać.

Z impetem spuściłam wodę i otworzyłam drzwi. O mały włos nie uderzyłam stojącego za nimi reportera Siergieja Sinienki.

- Czego pan chce, do jasnej cholery?! - jego pojawienie się w damskiej toalecie ani trochę mnie nie zdziwiło. W poszukiwaniu materiału do swoich przekłamanych artykułików wlaźby wszędzie, nawet do wielkiego, rozgrzanego do czerwoności pieca. Damski wychodek to dla niego pestka. Zaledwie rozgrzewka.

Szalony dziennikarz patrzył na mnie błagalnie.

- Rozmawiała pani z wiolonczelistą, widziałem.

- No i co?

- Proszę mnie z nim zapoznać... Redakcja pani za to zapłaci.

- Ile? - podeszłam do sprawy rzeczowo.

- A ile pani chce?

Z trudem stłumiłam w sobie chęć podania kwoty i zostania informatorem podrzędnego brukowca. Kim jak kim, ale dziwką mass mediów jeszcze nie byłam.

- Czcze gadanie, Siergiejku - pogłaskałam dziennikarzynę po zapadłym obrośniętym policzku. - Wyjdź stąd. Bo inaczej zawołam ochronę i zrobię z ciebie zbrojeńca.

Ale nawet to na niego nie podziałało. Z miną spiskowca wyrzucił oczami i wcisnął mi w dłoń swoją podnieszoną wizytówkę.

- Tak na wszelki wypadek... Gdyby zmieniła pani zdanie.

Z przyzwyczajenia wsunęłam wizytówkę za dekolt sukni à la Ała Kodrina i ruszyłam w stronę drzwi. Sinienko ledwie za mną nadązał.

- Dobrze zapłacimy za poufne informacje - dalej mnie namawiał.

- Obejdzie się.

- Jest pani z nim w bliskich stosunkach? - niespodziewanie zapytał i wtedy już na dobre się przestraszyłam.

Popełniłam błąd, rozpoczynając w ogóle rozmowę z tym łachudrą. Nie zdziwiłabym się, gdyby jutro na pierwszej stronie w tej jego klozetowej gazecie pojawił się artykuł z moim zdjęciem.

Wyobraziłam sobie ogromny nagłówek: „Z wiolonczelą w łóżku”.

Odeszłam od niego na bezpieczną odległość i już prawie dotykałam zbawiennej klamki, kiedy...

- Ej! - krzyknął. - Proszę poczekać! Coś pani upadło...

Chyba diabeł mnie podkusił, żeby się odwrócić! Sinienko pstryknął aparatem fotograficznym. Stary, ale niezawodny chwyt. A ja się nabrałam.

Podeszłam do sprytnego Siergieja z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki mnie było w danej chwili stać - i z rozmachem walnęłam go po jajach. Ale to była tylko niewielka satysfakcja, bowiem dobrze zahartowane dziennikarskie krocze dzielnie zniosło uderzenie. Sinienko zdołał się utrzymać na nogach i nie stracił panowania nad sobą. Aparat pozostał poza moim zasięgiem.

- Skończony dupek - powiedziałam ze złością. Chociaż bez większego potępienia.

- Dziwka - reporter nie pozostał mi dłużny, a potem dodał uprzejmie:

- Mam nadzieję na dalszą współpracę...

Trzasnęłam drzwiami, truchtem przebiegłam hol i już po chwili znalazłam się na dworze. Doskonale wytresowany odźwierny natychmiast otworzył przede mną drzwiczki taksówki. Opadłam na tylne siedzenie i odetchnęłam z ulgą. Wieczór był udany, nie ma co.

Kierowca, ogromny facet, ruszył z miejsca.

- Na ulicę Wierności - pisałam. I w tym samym momencie zadrżałam na całym ciele. W kącie auta, zwinięty się w kłębek, siedział Olew Kiwi. Przymknęłam na chwilę oczy, policzyłam do dziesięciu i ponownie je otworzyłam: najpierw jedno, a po chwili drugie. Olew Kiwi jednak

nie zniknął, przeciwnie, wysunął się z cienia niczym nocna zmora.

- Przepraszam panią - jego głos zabrzmiał głucho.

Mimo przeprosin wcale nie wyglądał na skruszonego.

- Co to ma znaczyć? - złączyłam kolana. Nic dodać nic ująć, cnotkaniewydyмка z sekcji tenisa stołowego!

- Nie dałem rady... Chciałem pozwolić pani odejść... Ale nie dałem rady.

- Niech pan zatrzyma samochód.

- Proszę mnie posłuchać... pani Wario.

- Niech pan zatrzyma samochód. Czy chce pan, żebym wyskoczyła w biegu?

Musiało to nieźle wyglądać - niewinna kruszynka i perfidny uwodziciel. Pomyślałam sobie: „No taaak... zabawa w cnotkę może być podniecająca, nawet jeśli jest się dziwką ze stażem, a lista twoich występów nie ma końca”.

Olew Kiwi lekko skinął głową i kierowca gwałtownie zahamował.

- Czego pan ode mnie chce? - zapytałam.

- Ja... nie wiem...

Niezbyt mądrze, ale przynajmniej szczerze.

Chyba rzeczywiście nie miał pojęcia, co ma zrobić z kobietą, która aż tak przypomina jego zmarłą żonę. Wygląda na to, że Stas miał niezłych informatorów i wszystko dokładnie zaplanował: rząd i miejsce w filharmonii, muskat „Miralva”, beznadziejną suknię i równie okropną fryzurę...

No i pierścioneek.

Ciekawe, jak go Stas zdobył? I po co mu ten światowej sławy wiolonczelista?

Potrząsnęłam głową i zmusiłam się, żeby o tym nie myśleć. W końcu, to jego sprawa. Każdy ma swoje kościotrupy w szafie. Przecież nikt nie jest święty.

Podczas gdy ja, nie mogąc się zdecydować, szarpałam uchylone drzwiczki, Olew Kiwi zdążył wyjąć butelkę jakiegoś (oczywiście dosyć mocnego) alkoholu i wlać w siebie jej zawartość. Dostarczyło mu to dodatkowych sił i znów zaczął mnie przekonywać.

- Powinna pani ze mną pojechać.

- Powinam?

- Bardzo panią proszę... *Palun!*¹⁰

¹⁰ *Palun!*- (est.) proszę!

Spojrzał na mnie i niespodziewanie się rozplakał. Zupełnie się rozkleił, nie wiadomo dlaczego...

- Dobrze - poddałam się w końcu. „Możesz być z siebie zadowolony, Stas. Wszystko idzie zgodnie z planem. Tak jak tego chciałeś”.

Samochód ruszył z miejsca, a ja zamknęłam oczy. Niech się dzieje, co chce. Chyba mnie nie zabije. A całą resztę, włącznie z pewnymi rozdziałami z *Praktycznej encyklopedii seksu*, już przerabiałam.

* * *

Maestro Olewa Kiwi, wyróżnionego licznymi dyplomami, laureata i honorowego członka mnożących się po całym świecie Akademii, przyjmowano w Sankt Petersburgu z najwyższymi honorami. Zrozumiałam to, gdy tylko nasza taksówka znalazła się na Kriestowce, ekskluzywnej wyspie pośrodku miasta z pełnymi przepychu willami „bohaterów narodowych” i nadmierną liczbą kamer.

Do tej pory nigdy tu nie byłam. Zbyt mało liczyłam się w światku prostytutek, żeby odwiedzać podobne miejsca. Drugiej takiej szansy być może nie będę już miała. A więc głowa do góry, Warwaro Sulejmienowa, we wszystkim można znaleźć coś pozytywnego.

Zanim dotarliśmy do dzielnicy dla VIP-ów, Olew Kiwi zdążył cztery razy rozmawiać przez komórkę i to w różnych językach: w całkiem przyzwoitym angielskim, łamanym francuskim i koszmarnej kaleczonym włoskim... Ostatni telefon, w odróżnieniu od poprzednich, wykonał osobiście. Rozmowa toczyła się w języku estońskim - w tym samym estońskim, którego nikłe resztki bezskutecznie usiłowałam zapamiętać. Wiolonczelista umawiał się na spotkanie albo na randkę: Oslo, „Królowa Regina”, pokój 217. Tu nastąpiła krótka sprzeczka co do terminu, po czym Kiwi i jego rozmówczyni poszli na kompromis: siódmego lipca.

Siódmego lipca. Siódmego, a dzisiaj jest czwarty. Za dwa dni będzie w Oslo, sukinsyn! A ja zostanie tutaj. Ze zrzędzącym Stasem i podwyżką, jeśli będę miała szczęście.

Cholera wie dlaczego, ale poczułam się dotknięta. Szczytem nieprzyzwoitości jest bowiem pożerać oczami jedną kobietę i jednocześnie gruchać z inną. Ostatecznie, wyrzuciwszy z głowy idiotyczne instrukcje, założyłam nogę na nogę, wyciągnęłam rękę w stronę butelki, która leżała na siedzeniu między nami, i solidnie z niej pociągnęłam.

Whisky. Zupełnie niezła.

Kiwi wsunął komórkę do kieszeni i znów zaczął się mi przyglądać. Po czym poprosił taksówkarza, żeby się zatrzymał. Zrobiłam się czujna: czyżby zwęszył podstęp? Może to przez te moje nieprzyzwoite kolana rozpoznał we mnie kobietę lekkich obyczajów? Zaraz mnie wyrzuci z samochodu albo, co gorsza, zażąda zaświadczenia od lekarza...

Jednak nic takiego nie nastąpiło. Zamiast mnie przegnać, sam wyszedł z auta i wrócił po pięciu minutach z szampanem i różami - najbarniejszy chwyt, jaki można sobie wyobrazić. Szampana nie cierpię jeszcze od czasu początków mojej pracy w Tallinie. Wtedy totalnie nawaleni klienci oblewali nim pościel, pępki i bieliznę, sądząc (co za kretyni!), że jest to bardzo erotyczne. A róże... Róże są zbyt nietrwałe, żeby żywić do nich jakiegokolwiek uczucia.

Poza tym doskonale pamiętałam, że na zdjęciu, które dał mi Stas, żona Kiwi trzymała w rękach właśnie różę.

Wiadomo więc, dla kogo tak naprawdę przeznaczony jest alkohol i kwiaty. Na pewno nie dla mnie. Olew Kiwi pała nieodpartym pragnieniem, żeby drugi raz wejść do tej samej rzeki...

- To dla pani - powiedział na przydechu i podał mi okazałych rozmiarów bukiet.

Jasna sprawa, że to dla mnie, a nie dla szofera. Dobrze, że mi powiedział, bo bym nie wiedziała! A szampana trzeba będzie pić z gwinta, bo pewnie nie pomyślał o kieliszkach.

O żadnym szkle, rzecz jasna, nie było nawet mowy. Skończyło się na tym, że Estończyk otworzył butelkę i zalał pianą całą moją czerwoną suknię. Nawet nie zdążyłam stosownie zareagować na ten husarski wybryk, gdyż facet natychmiast przykleił dłonie do mokrej tkaniny, potem przeniósł je na moje kolana, biodra i brzuch.

Nieskładne przeprosiny zmieniły się w taki sam nieskładny bełkot o niemożliwości, nierealności tego wszystkiego, co się dzieje.

Chyba nawet nazwał mnie Ałłą.

Powrót do rzeczywistości nastąpił niespodziewanie. Samochód zatrzymał się przy wysokim ogrodzeniu, za którym przed hyclami, ekshibicjonistami i pozostałym marginesem społecznym ukryty był wspaniały dom. Kiwi potrząsnął wypłowiałymi włosami, rozliczył się z kierowcą i pomógł mi wysiąść z taksówki.

- Co teraz? - zapytałam.

- Zniszczyłem pani sukienkę - cholerny wiolonczelista okazał skrucę. Zabrzmiało to jak: „Zepsułem pani wieczór i zamierzam zniszczyć całe życie”. - Chciałbym odkupić swoją winę.

Ciekawe, w jaki sposób? Pewnie jak nasi przodkowie: prosta kozacka kopulacja pod osłoną futerału od wiolonczeli. Chociaż, w sumie, właśnie za to mi płacą.

- Wejźmy do mnie - głos biedakowi drżał. Cały czas bał się, że się odwróci i zniknę jak sen. Dureń...

- Powinna pani przynajmniej wysuszyć ubranie.

Jego pokój mieścił się na drugim piętrze. Wyglądał niczym apartament prezydenta. Stało tam kilka filharmonijnych koszy ze specjalnie zamówionymi na koncert kwiatami (wydatki wliczone w gażę), parę neseserów podróżnych z drogiej skóry (za każdą z tych wspaniałych rzeczy gotowa byłam zapłacić w naturze, tu i teraz), sterta jakichś zaproszeń na stole i jego narzędzie pracy stojące na środku pokoju.

Na widok tych, puszających się niczym paw, przerośniętych skrzypiec z miejsca poczułam zimno. Na pewno zaproponuje, żebym wysłuchała czegoś z jego repertuaru. Oczywiście, zanim zawlecze mnie do łóżka.

Na sto procent.

Tak też się później stało, zaczęło się jednak od czegoś zupełnie innego.

- Zje pani coś? - zapytał.

- Najpierw chciałabym się umyć - oblana szampanem sukienka przylepiła mi się do nóg, przez co odczuwałam straszny dyskomfort.

- Tak, tak, oczywiście...

Odprowadził mnie do drzwi łazienki i z szacunkiem otworzył je przede mną.

- Proszę. Wszystkie ręczniki są czyste...

Gdzie jak gdzie, ale w pokoju hotelowym czułam się jak ryba w wodzie. Zamknęłam drzwi i zasunęłam zasuwkę. Puściłam wodę.

Na zmycie z siebie resztek szampana potrzebowałam jedynie trzech minut.

Potem, klnąc na czym świat stoi, wyprałam sukienkę i założyłam grubą frotowy szlafrok, wiszący na wieszaku. Ten hotelowy łasek powinien podniecić Olewa, gdyż kobieta w męskim szlafroku zawsze daje nadzieję na intymno-poufne stosunki. Na najzwyczajszą w świecie bliskość seksualną.

Kiedy wróciłam do salonu, Olew Kiwi, zamiast się natychmiast podniecić, wyraźnie posmutniał.

- Zdjęła pani sukienkę? - zapytał głupio.

Nie, mój drogi, powinnam była pewnie ją na siebie nałożyć i sterczeć tu w mokrej szmacie tylko dlatego, że kiedyś taki fason spodobał się twojej żonie!

- Musi wyschnąć - powiedziałam, z trudem stłumiwszy w sobie złość.

- No tak, jasne... nie pomyślałem. Zamówiłem do pokoju owoce i szampana.

- Wspaniale - odparłam, choć nie było w tym nic nadzwyczajnego.

Olew ulokował się w fotelu, a ja usiadłam naprzeciwko niego. Plecami byłam zwrócona do okna i dzięki temu prawie niewidoczna. Poza zasięgiem niewyraźnie migającego światła białej nocy. Olewowi Kiwi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Zapewne nie miał ochoty patrzeć na moją twarz, więc nie zapalił żadnej lampy.

Przez kilka chwil siedzieliśmy w tych ciemnościach, pogrążeni w milczeniu.

- A zatem? - zaczęłam milczącego Estończyka. - Mógłby mi pan wreszcie wytłumaczyć, o co chodzi?

- Obawiam się, że to nie będzie takie proste... ja... niezbyt dobrze mówię po rosyjsku...

Gadaj zdrow, mądralo! Bardzo dobrze znasz język rosyjski i bez zająknięcia się nim posługujesz, kiedy musisz.

- Nic nie szkodzi. Postaram się zrozumieć.

- Ma pani piwne oczy, prawda?

Szkła kontaktowe, jeśli już. Szkła kontaktowe, specjalnie dla ciebie.

- A to ma jakieś znaczenie?

- Nie... ale...

No dalej, Olew, mów! Im szybciej podzielisz się ze mną historią swojej żony, tym lepiej. Razem popłaczemy nad jej tragicznym losem i spokojnie przejdziemy do igraszek miłosnych.

- Moja żona też miała piwne oczy - Olew zdobył się wreszcie na odwagę. - I też była Rosjanką.

- Dlaczego „była”? - uniosłam brwi. - Zostawiła pana?

- Zostawiła. O, tak. Zostawiła - to dobre słowo... Ona umarła.

Zamierzałam już złożyć wdowcowi kondolencje, kiedy ktoś cicho zapukał do drzwi.

- Proszę wejść! - Kiwi westchnął z ulgą. Wyraźnie ucieszył się, że rozmowa o żonie zostaje odłożona na później. Przynajmniej o te kilka chwil.

Drzwi otworzyły się ostrożnie i do pokoju wszedł służący hotelowy. Pchał przed sobą stolik z romantyczną kolacją. Nieprzykuwająca uwagi postać z rozczochranymi czarnymi kudłami. Twarz służącego nie budziła najmniejszego zaufania: rozbiegane oczy, porowata cera i wystający podbródek. Początkujący transwestyta - stwierdziłam bez wahania - pewnie wydaje połowę swojej wypłaty na damską bieliznę i chodzi w niej po domu, od czasu do czasu onanizując się aż do stanu wyczerpania.

Chwycił butelkę szampana i spojrzał z wyczekiwaniem na Olewa.

- Nie teraz - powiedział Estończyk. - Później. Sam otworzę.

Służący westchnął zawiedziony i zaczął przestępować z nogi na nogę w oczekiwaniu napiwku. Kiwi jednak wcale nie miał zamiaru dawać mu dodatkowo zarobić. To ta słynna estońska oszczędność, łamiąca wszelkie przyjęte hotelowe zasady.

- Jest pan wolny.

Westchnąwszy raz jeszcze, służący wycofał się w stronę drzwi. Znów zostaliśmy sami.

- Opowiadał mi pan o... - ponownie przystąpiłam do przesłuchania.

- Czym się pani zajmuje?

Dobre pytanie.

Nazwałabym swoją pracę trochę hmm... monotonna, ale te możliwości, które przede mną roztacza! Wykończeni ciągłą walką z konkurencją biznesmeni (mój podstawowy kontyngent z okresu tallińskiego) nie zawsze byli dobrymi kochankami, ale zawsze mieli ochotę na rozmowę.

Dzięki temu miałam jako takie wyobrażenie o: a) metalach kolorowych, b) operacjach giełdowych, c) produkcji aluminium, d) utylizacji odpadów jądrowych.

Ale wszystkie te poważne bzdety nie pasowały do wiolonczelisty. Moja obecna praca to zupełnie inna sprawa. Znam się na źle ogolonych, prawie już zapomnianych, rock-and-rollowcach. A słowo „promotion” nie wywołuje u mnie przyspieszonego bicia serca.

- To czym się pani zajmuje?

- Pracuję w show-biznesie... Jako producent - o mały włos bym się wygadała, podając nazwę firmy Stasa. Na szczęście w porę ugryzłam się w język.

- Brzmi bardzo interesująco...

Nie ma w tym nic interesującego, wierz mi. Zwłaszcza, że zagraniczni starszycy jako partnerzy seksualni są już dawno do niczego. Na dodatek rano rzadko myją zęby.

Olew, całkowicie ignorując przyniesionego szampana, przyssał się do swojej butelki. I znów zaczął się na mnie gapić.

- Zatem jest pani organizatorem koncertów?

- Tak. Popowych i rock-and-rollowych zespołów... Chociaż nie mogę stwierdzić, że mnie to bardzo pociąga...

- A klasyka? - Kiwi zadowolony z siebie nadął policzki.

- Dopiero klasyka jest dla mnie natchnieniem. Jako jedyna - kłamałam jak z nut.

Odpowiedzi już nie otrzymałam i rozmowa na temat pracy umarła śmiercią naturalną.

Wiolonczelista wstał, podszedł do okna (jakby chciał zasunąć zasłony albo może je rozsunąć - kto go tam wie). I znalazł się w niebezpiecznie bliskiej odległości ode mnie. Poczułam jego delikatne palce, dotykające moich włosów.

No to się zaczęło!

Ale Olew Kiwi nie przekroczył granic przyzwoitości. Łasił się do moich włosów jak stary pijak do budki z piwem, w nadziei, że trafi mu się chociażby jakaś pusta butelka. To właśnie ona - nadzieja - była tym, czego pragnął za wszelką cenę.

A moje postrzępione na użytek Ałły Kodriny włosy mu ją dawały. Przymknęłam oczy i przygotowałam się do dalszego rozwoju wydarzeń.

- *Armastatud*¹¹ ... O... *Tutarlaps*¹² ... - odważył się wreszcie gorący estoński chłopak.

¹¹*Armastatud*- (est.) kochana.

¹²*Tutarlaps* - (est.) dziewczyna.

¹³*Plika* - (est.) dziwka.

Doskonale wiemy, że żadną *tutarlaps* nie byłam. *Plika*¹³ - to było to, co do mnie pasowało. Ale Olew Kiwi miał głęboko gdzieś ten całkowicie oczywisty fakt. Obchodziły go tylko moje włosy. Ta jego zmarła żona wzbudzała we mnie coraz większą ciekawość. W jaki sposób, wyglądając tak mało atrakcyjnie, wręcz odpychająco, udało jej się poderwać całkiem przystojnego artystę światowej sławy? Wersję o niezaspokojonej kochance z miejsca odrzuciłam. Takie niezaspokojone kochanki zazwyczaj cierpią na nimfomanię i gotowe są oddać się pierwszemu lepszemu, nawet w najbardziej anty-sanitarnych warunkach. A może głównym atutem Ałły Kodriny była właśnie jej aseksualność? Nigdy nie rozpraszała męża i nie odrywała go od czterostrunowej przyjaciółki. I zawsze była obok z filiżanką gorącej czekolady. Jednakże o takich mało wyrazistych, choć oddanych, żonach szybko się zapomina. A już na pewno nie rozpacza się po ich stracie aż tak długo.

A Olew Kiwi pamiętał. I nie miał zamiaru zapomnieć.

Czyżbyśmy mieli tu do czynienia ze sławetnym pokrewieństwem dusz, w które nigdy nie wierzyłam? Jedna szansa na tyśiąc?

Skurczyłam się w sobie. Skąd o tym wszystkim dowiedział się Stas?

Chwyliłam dłonie Olewa i mocno ścisnęłam nadgarstki. Czas, który mu dałam na wygadywanie bezsensownych bzdur, właśnie dobiegł końca. Do niego samego też to dotarło i znów zaczął mnie wylewnie przeproszać.

- Niech mi pan powie, co się dzieje.

Kiwi odskoczył ode mnie niczym pchła i rzucił się w przeciwny kąt pokoju - po zbawienną butelkę.

- Dobrze... Kiedy dziś panią zobaczyłem... Siedziała pani na tym miejscu, gdzie zawsze siadała moja żona. Nie gdzieś obok, o jedno miejsce dalej, nie... Siedziała pani dokładnie na tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy ją ujrzałem... trzy lata temu.

To nie było trudne do przewidzenia. Czekaając na rozwój fabuły, obserwowałam jego przelyk, pochłaniający whisky: grdyka Estończyka chodziła niczym tłok, a mokry podbródek lekko drgał.

- I pani suknia... To jej ulubiony kolor. Czerwony...

„I fason” - dodałam w myśli.

- Wydawało mi się... Wydawało mi się, że to ona. A potem, kiedy zobaczyłam panią w restauracji... Piła pani jej ulubione wino...

- Przepraszam... Nie wiedziałam. Gdybym wiedziała, zamówiłabym sobie coś innego - udałam urażone niewiniątko.

- To nie miało tak zabrzmieć... Kochała pani kiedykolwiek? Tak naprawdę?

Tak naprawdę kochałam jedynie smak brukselki, łażenie po sklepach i perfumy „Acqua di Gio”. Postanowiłam więc przemilczeć tę kwestię.

- Kiedy się tak naprawdę kocha, nie można się pogodzić z utratą najbliższej osoby - wymamrotał Estończyk. - Jest się skazanym na wieczne poszukiwanie... I zawsze będzie się miało wrażenie, że się po prostu spóźniło na spotkanie i że ten ktoś cały czas czeka... w małej kawiarence... gdzieś na rogu ulicy Rachu...

Dokąd cię zanosło, Olewie Kiwi! Znam tę kawiarnię na ulicy Rachu. To najzwyklejszy w świecie bar szybkiej obsługi. O wiele lepszą kawę parzą na Starym Mieście... Coś mi się zdaje, że widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć...

- Dlaczego ona zmarła? Pańska żona.

- Nieszczęśliwy wypadek.

No jasne, w wyższych sferach wszyscy umierają śmiercią naturalną albo, w skrajnym przypadku, stają się ofiarami wypadków samochodowych.

- Przykro mi... Kiedy to się stało?

- Rok temu... Jestem wściekły! Ona mnie zostawiła... Po prostu podle zostawiła...

Jeśli się tak gryziesz, to dlaczego nie pójdziesz w ślad za nią? Olew Kiwi patrzył na mnie szklistymi oczami: miał już nieźle w czubie.

- Cztery miesiące nie dotykałem instrumentu... I przez rok nie przyjeżdżałem do Petersburga... A ja lubię to miasto. Nawet bardzo. To jest jej miasto. Rozumie pani?

- Tak, oczywiście.

- I oto przyjeżdżam tu po tak długiej przerwie... żeby panią zobaczyć... żeby znów ją zobaczyć... To nie może być zwykły zbieg okoliczności...

Jeszcze jak nie może! No dalej, Olew, dalej!

Zaczęłam kręcić na palcu nieszczęsny pierścionek i Olew Kiwi całkowicie się rozkleił.

- Dlaczego mnie opuściłaś, Ała? Dlaczego? - zaczął szlochać.

Postanowiłam wziąć inicjatywę w swoje ręce.

Wstałam z fotela, zbliżyłam się do Estończyka i objęłam jego potężną głowę. Dalej jednak mi się nie udało. Kiwi sapnął i odsunął się ode mnie. Widocznie jego zmarła żona nie była taka szybka.

- Proszę mi wybaczyć - teraz przyszła kolej na moje przeprosiny. - Sama nie wiem, jak do tego doszło.

- To moja wina... Nie powinienem był...

- Niech mi pan powie, nie miał pan żadnej kobiety? Od tamtej pory, kiedy umarła pana żona? - przystąpiłam do zwykłych zabiegów terapeutycznych.

Popatrzył na mnie jak na idiotkę, która znieważyla jego rodzinną świętość.

- Nigdy, przenigdy i z nikim nie będę tak blisko... nigdy...

Wszystko jasne. Zwykle paranoidalne urojenia, które pracholicy-impotenci biorą za astralny seks. Podeszłam do stolika z owocami, wybrałam największe jabłko i wyzywająco zaczęłam je głośno chrupać. Zgiń, przypadnij, Olewie Kiwi! I ty, Stasio Driemowie. Sądząc po wszystkim, obaj jesteście sadomaso. A mnie się wcale nie uśmiecha, żeby ktoś brał od tyłu moją duszę...

- Proszę wyjść! - nadszpiewanie trzeźwym głosem powiedział Estończyk.

Wzruszyłam ramionami i udałam się do łazienki. Sukienka jeszcze nie wyszła, ale jakie to miało teraz znaczenie? Zrzuciłam szlafrok na podłogę i przebrałam się. Po cichu podeszłam do drzwi.

„Żegnaj, Olewie Kiwi! Żegnaj, dupku!”

Zanim wyszłam, doskoczył do mnie trzema susami i chwycił za ramiona.

- Plotę bzdury... Nie mogę pani wypuścić...

„O Boże, a jednak będzie bzykanko! Impreza dopiero się rozkręca. Jeśli nad ranem będę jeszcze cokolwiek kojarzyć, to na pewno zażądam od Stasa podwyższenia honorarium...”

Olew Kiwi po raz kolejny posadził mnie w fotelu i zrobił minę spanie-la.

- Chciałbym coś dla pani zagrać... Coś, co ona lubiła najbardziej.

„Podwyżka - i to podwójna!”. Skinęłam głową. „No to do dzieła!”

Ale Olew nie potrzebował zachęty. Usadowił się już na krześle, przysunął do siebie wiolonczelę, nachylił głowę i wywrócił oczami. A potem zaczął wodzić smyczkiem po strunach. Z odpowiednio smutną miną, podparłszy ręką głowę, ze stoickim spokojem wysłuchałam całego tego zestawu dźwięków. Brzmiało to niczym przeraźliwe wycie wiatru, zgrzytanie kół, trzaskanie okiennic i miauczenie kotów. Nieopisany koloryt wczesnego estońskiego wieczoru pod koniec marca!

„Marcowe refleksy słoneczne” - przypomniałam sobie napis na zdjęciu Ałły Kodriny. A może ta tęska melodia była prawdziwą przyczyną jej śmierci? Ani trochę bym się nie dziwiła.

W czasie, gdy Olew Kiwi w natchnieniu przeciągał smyczkiem po strunach, zdążyłam już pozazdrościć nadgryzionemu przeze mnie jabłku, zamkniętej butelce szampana, kwiatom w koszach i wypucowanym butom samego Olewa. Te przedmioty, w odróżnieniu ode mnie, nie miały uszu. W końcu westchnął przejmująco, popatrzył na mnie i opuścił smyczek.

„Co za ulga!”

- Wspañiale! - znalazłam w sobie siłę, żeby parę razy klasnąć w dłonie.

- Naprawdę podobało się pani?

- Co za pytanie!

- To jest moja własna kompozycja - skromny autor z dumą wysunął podbródek. - Sonata na wiolonczelę solo.

„Lepiej pozostałbyś przy Bachu!”

- Nie grałem jej już od roku - nieufnie popatrzył na swoje ręce. - Tylko ona to słyszała... Ona i teraz pani.

- Jestem wzruszona...

Wystarczyło, że wypowiedziałam to zdanie, kiedy Olew Kiwi ostrożnie odstawił instrument, raz jeszcze lyknął dla odwagi whisky... po czym

rzucił się na mnie jak szalony. Nikt mnie nie przekona, że nie ma niezastąpionych kobiet... A czy to są dziwki na jeden raz, czy też żony wielokrotnego użytku - jakie to ma znaczenie?

Olew Kiwi okazał się dość niezwykłym kochankiem, jeśli, oczywiście, oceniać go według standardowych miar. Skrupulatnie wycalaował każdy zakamarek mojego ciała. Szukał wargami każdego wżgórka i każdego dołeczka. Wyglądał przy tym tak, jakby przepuszczał wszystkie doznania przez siebie, przez swoje zmysły i wspomnienia. Jednak niczego nie pamiętał. Niczego nie odczuwał. Kochanek od siedmiu boleści! Kilkakrotnie chciałam przejąć inicjatywę, ale, przypomniawszy sobie wskazówki Stasa, zrezygnowałam. „Rób, co chcesz!”. Zamknawszy oczy, przypominałam sobie starą bizneswoman z „Europy” i jej niesamowitą sukienkę, której fason naszkicowałam na serwetce. Och, jakbym chciała mieć ją teraz na sobie! A jeśli dołożyłabym do tego jeszcze złoty łańcuszek, podarowany przez Leszyka, zanim wsadzili go do paki - to miałabym teraz pełnię wyuzdanej nietykalności.

Podczas gdy ja rozmyślałam o niewinności, Olew Kiwi zrzucił z siebie resztę ubrania i wyciągnął się obok mnie. I ucichł. Żadnych pośpiesznie wyciąganych prezerwatyw, żadnego miecza gotowego do walki. Wszystko to wyglądało dość dziwnie. Szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że już od roku nie miał żadnej kobiety. Gdyby nie Stas i jego klasztorne pouczenia, już ja bym go rozpracowała, i to bardzo szybko. Ale...

Nie wiadomo w ogóle, jak zareagowałby na moje zabiegi. Przed naszym szybkim skokiem do łóżka byłam wcieleniem akademickiej niewinności. Nie warto teraz psuć sobie dobrego wizerunku.

- Olew! - wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po splątanych włosach.

Zero reakcji. Przekłeta whisky zrobiła swoje: Estończyk spał jak niemowlę. Albo raczej kozak, który dopiero co spełnił swój małżeński obowiązek. Brakowało mu jedynie bawełnianych kalesonów i dojarki w potężnych łapskach. Skrzywiłam się z niezadowoleniem. Wstałam z łóżka, po czym wyszłam z sypialni i otworzyłam szampana. Wlałam w siebie pół butelki. A potem, ośmielona, dotknęłam palcami strun na wiolonczeli. Wydobył się z niej niski i niespodziewanie głęboki dźwięk, który pojednał mnie z rzeczywistością.

Zdrowy głęboki sen - to było to, czego teraz potrzebowałam najbardziej.

Zdrowy sen przyszedł nawet szybciej, niż się tego spodziewałam. Ledwie zdążyłam dotrzeć do łóżka z wygniecioną pościelą i natychmiast wpadłam w objęcia Olewa.

- Obiecay, że już więcej mnie nie zostawisz! Nie zostawisz mnie, Ała?
- nie otwierając oczu, wymamrotał, mocno ściskawszy mnie za ramię.
Nie zdążyłam mu już jednak odpowiedzieć...

* * *

Nie przyśniły mi się ruiny klasztoru karmelitanek w połowie drogi z Tallina do Pirity.

A zawsze mi się śniły, kiedy nocowałam poza domem, a już tym bardziej - w podejrzanym towarzystwie niepewnego kochanka. I za każdym razem złorzeczyłam Bogu: to była jego intryga. Widocznie ciągle jeszcze nie tracił nadziei i starał się nawrócić mnie na drogę cnoty.

A tu, proszę, zmiana w programie. Tym razem nic mi się nie śniło.

Wynurzyłam się ze snu, jak z pokrytego rzesą stawu - z przeraźliwym bólem w skroniach i drżącymi kończynami. Odruchowo namacawszy obok siebie zimne męskie ciało, równie odruchowo zaczęłam przypominać sobie szczegóły minionej nocy. Spuściłam nogi na podłogę i powoli udałam się do łazienki. Soczewki niemiłosiernie paliły mnie w oczy, więc szybko się ich pozbyłam. Teraz mogłam już ujrzyć swoje prawdziwe oblicze. Oparłszy się dłońmi o lustro, przez kilka chwil studiowałam swoją twarz i nawet wydawało mi się, jakby stała się ona trochę bardziej inteligentna. Niewątpliwie towarzystwo artysty uszlachetnia.

Doszłam do tego prostego wniosku, po czym usiadłam na bidecie: nigdy nie wiadomo, co może przyjść do głowy mojemu obłąkanemu wionczeliście. Dobrze pamiętam, co powtarzała mi mamusia: podmywajcie się dziewczyny, bo nie znacie dnia ani godziny. Zawsze powinnam być w pełnej gotowości bojowej. Tym bardziej, że czekał mnie jeszcze obiad w jego towarzystwie.

A potem...

Potem podniosłam głowę i to zobaczyłam.

„To” było tak nierealne, tak niemożliwe, że aż się uszczypnęłam. Ale »to” nie znikło. Przeciwnie, zbliżało się do mnie, jakby chciało mnie pożreć w całości.

To „coś” było moją własną dłonią. A dokładniej, jej odciskiem na nieskazitelnej tafli lustra. Krwawym odciskiem. Przerażająco wyraźnym odciskiem. Każdy palec był doskonale odciśnięty, każda linia papilarna na dłoni była na swoim miejscu, włącznie z linią życia.

Uuu, nędzny czeka cię teraz żywot, Warwaro Sulejmienowa...

Stop. Kto tak powiedział? Chyba nie jestem aż tak głupia?

Powoli, jak w koszmarnym śnie, odwróciłam prawą dłoń i spojrzałam na nią. Nie miałam już wątpliwości.

Dłoń również była cała we krwi.

I ten zapach... Zapach poderżniętego gardła koguta, rozbitego kolana, martwej mewy, rozwalonej głowy mojego brata Dimasa, gdy wpadł pod motorower... Zapach, wypływający z najstraszliwszych wspomnień mojego dzieciństwa...

Krew.

Nie syrop z żurawiny ani keczup - tylko najprawdziwsza w świecie krew.

Prawie spadłam z bidetu, gdyż od tego mdlącego, słodkawego zapachu zrobiło mi się niedobrze.

Co ta krew robi na mojej dłoni? Jak się tam znalazła?

Nie odczuwałam żadnego bólu - więc, to nie mogła być moja krew. W takim razie czyja?

Może Olew mi to wszystko jakoś wytłumaczy?

Uporczywy dźwięk telefonu, dobiegający zza drzwi łazienki, wyrwał mnie ze stanu odrętwienia.

Zaczęłam nasłuchiwać: w pokoju nikt się nie ruszał. Czyżby on nie słyszał?

Nie słyszał. Spał, a wokół panowała martwa cisza. Powiedziałam „martwa”?!!!

Nie pamiętam, ile czasu potrzebowałam, żeby dowlec się do sypialni.

Olew Kiwi - maestro, laureat, dyplomata - leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam. Nic a nic się nie zmieniło.

Poza jednym... Z jego piersi sterczał nóż!

Nóż, wbity po samą rękojęść...

Allegro ma non presto

Koszmarny sen trwał. Czułam się, jakbym siedziała w kinie, w którym operator, krzątający się gdzieś na górze, pomylił pudełka z filmami i zamiast w lekkim, romantycznym erotyku znalazłam się w śmierdzących zaułkach krwawego thrillera.

Kretynka, kretynka, po trzykroć kretynka! W idiotycznym bikini w durne hiacynty!

Kiedy ta kretynka odzyskała wreszcie przytomność umysłu, okazało się, że stoi pośrodku sypialni, boso i z zakrwawionym nożem w ręku.

Jasna cholera!

Do tej pory nie potrafię sobie wyjaśnić, w jaki sposób udało mi się wyciągnąć nóż z zastygłej piersi Olewa Kiwi. A - co najważniejsze - po co w ogóle to zrobiłam?! Ale fakt pozostawał faktem: narzędzie zbrodni jakby na amen złączyło się z moją dłonią. Tą samą, która miała jeszcze na sobie ślady krwi estońskiego kozła ofiarnego. Nie zwymiotowałam, chociaż zdarzało mi się to nawet w mniej ekstremalnych sytuacjach. Nawet mnie nie zemdliło. Może dlatego, że nadal nie wierzyłam w to, co się działo. Nie tracąc jeszcze wszelkiej nadziei, zbliżyłam się do Olewa i, starając się nie patrzeć na ciemną kałużę, która zapaskudziła idealne VIP-owskie prześcieradło, chwyciłam go za nadgarstek.

Tętna nie wyczułam.

Nie było wyczuwalne również na jego szyi. Miałam do czynienia z kompletnie, niewyobrażalnie i nieodwołalnie martwym człowiekiem.

Z denatem, jeśli uciec się do powszechnie przyjętych sformułowań. Kiedy powoli trawiłam to odkrycie, ktoś zastukał do drzwi.

Stukanie było zbyt nachalne, żeby je zignorować.

Stukanie nie zwiastowało niczego dobrego. Jeśli teraz nie otworzę tych cholernych drzwi, to je po prostu wyłamiam. Niezłe będę wyglądać na tym zabójczym tle!

Ogłuszona i przybita, zaczęłam miotać się po pokoju, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie wszystkie znane mi przekleństwa. A potem narzuciłam szlafrok, wsunęłam rękę z nożem do kieszeni i na drżących nogach podążyłam na spotkanie z przeznaczeniem.

Ciekawe, ile lat mi dadzą? Wziąwszy pod uwagę pozycję społeczną Olewa Kiwi i jego autorytet w wyższych kręgach... *Kurat!* Wpadłam w pułapkę, która przykleszczyła mój lubieżny, przyzwyczajony do szybkiego zarobku, odwłok.

Za drzwiami stał pedałowaty posłaniec. W zamyśleniu obracał w rękach tabliczkę z napisem „Nie przeszkadzać” i okropnie sapał (na pewno miał polipy). Na mój widok zasapał jeszcze mocniej.

- Olew - wycedził wyniośle. - Potrzebny mi Olew.

- Jest w łazience. Niedługo wyjdzie - starałam się nadać drżącemu niczym osika głosowi ton obojętności. - Czy mam mu coś przekazać?

- Chciałbym z nim porozmawiać - nie ustępował.

Jeszcze chwila i odsunie mnie ramieniem, wejdzie do pokoju i...

- Pan ma chyba na imię...

Przez chwilę obserwował mnie, rosyjską dziwkę, która wdarła się do świątyni i śmiała zawładnąć ciałem jego szefa, zastanawiając się, czy zniżyć się do mojego poziomu.

- Kalu - odparł.

- Tak, Olew mi o panu opowiadał...

- Wobec tego proszę mu przekazać, że jest już spóźniony na konferencję prasową. Powinniśmy byli wyjechać pół godziny temu. Czekam na niego na dole. Za dziesięć minut.

Miałam wrażenie, jakby mi naubliżał. Choć nie wypowiedział przecież ani jednego złego słowa. Wyjęłam z jego rąk tabliczkę i ponownie powiesiłam na drzwiach.

- Coś jeszcze?

- *Plika!*- rzucił na odchodnym.

Też mi nowość! Przecież o tym wiem!

Zamknęłam drzwi i przycisnęłam do nich rozpalone czoło. Dziesięć minut. Mam dziesięć minut, żeby wziąć nogi za pas. Te dziesięć minut to moja jedyna szansa. Potem będę mogła rwać sobie włosy z głowy, ryczeć wniebogłosy i tarzać się po podłodze, ale to wszystko - potem. A teraz muszę trzeźwo myśleć. Tylko to może mnie uratować. Trzeźwe myślenie oraz przynajmniej minimalna zdolność analizowania sytuacji...

Boże, dlaczego nigdy nie robiłam niczego pożytecznego? Tylko rozwiązywałam te głupie krzyżówki w czasopiśmie „Relaks dla Ciebie”!

Chociaż, prawdę powiedziawszy, nawet te krzyżówki wystarczyły, żeby zrozumieć: w ośmiu polach poziomo wychodziło bardzo nieprzyjemne słowo. Rymowało się z „ja chromo!”, ale zawierało w sobie głębszy sens.

Spokojnie, Warwara. Nie wierć się pod klientem, jak mawiał Stas Driemow. Sukinsyn, wrobił mnie w tę śmierdzącą sprawę. To niech mnie z niej teraz wyciąga.

Do sypialni z martwym panem Kiwi więcej już nie wchodziłam. Wystarczyły mi dwie minuty, żeby narzucić na siebie płaszcz i założyć pantofle. Resztę czasu straciłam na rękę i nóż. Szorowałam je z taką wściekłością, że o mało nie przetarłam ich na wylot. Jakbym była w jakimś szale! Z trudem zmusiłam się do przerwania tego nieprzynoszącego żadnych efektów zajęcia, zakreśliłam wodę, zawinęłam nóż w kilka warstw papieru toaletowego i ruszyłam w stronę wyjścia.

Pieprzony Kalu zrobił mnie w konia. Nadal tam był. Wcale nie miał zamiaru czekać na Olewa na dole. Wprost przeciwnie, zajął najdogodniejsze do obserwacji miejsce. Siedział w głębokim skórzanym fotelu stojącym tuż obok drzwi. O mały włos nie zemdlałam na widok jego ponurej facjaty.

- Olew zaraz wyjdzie, Kalu! - to naprawdę ja? Ja to powiedziałam? Nawet głos mi nie zadrżał. Mogę być z siebie dumna.

- *Onneks!*¹⁴ - twarz pomocnika pana Kiwi wykrzywiła się w ateistycznym grymasie.

¹⁴ *Onneks!*- (est.) Chwała Bogu!

Znalazłam w sobie dość siły, żeby mu pomachać ręką (z której tak długo usuwałam ślady krwi). Narazicho, przystojniaku! Jeszcze się

zobaczymy. Teraz często będziemy się widywać. Twój ekscentryczny szef poprosił mnie o rękę i poważnie zastanawia się, czy nie mieć ze mną dzieci...

I przesłałam obok niego, ledwie trzymając się na nogach. Żeby się tylko nie zdradzić! Nie mogę zacząć biec! Od zbawiennych schodów dzieliło mnie zaledwie kilka metrów. A później trzeba będzie jeszcze po nich zejść.

Przesłałam obok windy, która nie wiadomo po co została zamontowana w dwupiętrowym domu iomalże nie łamiąc sobie obcasa, pokonałam koszarne schody i znalazłam się w przestronnym holu. Marmurowa posadzka, fontanna z taką samą marmurową rzeźbą jakiegoś antycznego gówniarza, stonowana i wtapiająca się w tło recepcja, za którą stał współczesny gówniarz.

I trzech tępoślówych ochroniarzy-ogierów, którzy już z dala zalatywali „Playboyem”, chipsami i smarem do czyszczenia broni. Jednego z nich, ogolonego na wojskowego jeża, widziałam wczoraj wieczorem. Dwaj inni najprawdopodobniej przejęli zmianę w nocy. Albo nad ranem. W czasie, gdy ktoś zabił Olewa Kiwi.

Za-bił.

Tak, w tym właśnie momencie wreszcie zrobiło mi się niedobrze!

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby kamery wideo zarejestrowały treść mojego żołądka. Trzy kamery wideo. Prześwietlały mnie na wylot i spowalniały moje ruchy. Ciekawe, co teraz porabia wierny Kalu? Na pewno wszedł już do pokoju, żeby ponaglić szefa... Boże, jaki Ty jesteś niesprawiedliwy!

Pośpiesz się, idiotko, bo inaczej wyjdiesz stąd z eskortą...

Dwaj goryle-żółtodzioby ruszyli już w moim kierunku, ale „język” powstrzymał ich jednym tylko gestem. Byłam gościem ważnej osoby i miałam prawo swobodnie poruszać się po hotelu. Jesteśmy coraz bliżej Europy, całkiem nieźle.

Niestety, „język” sam ruszył w moją stronę.

- Dzień dobry - powiedział, profesjonalnie zmierzwszy mnie od stóp do głów.

Już jest dzień, to bardzo dobrze. Długo spaliśmy. A niektórzy w ogóle się nie obudzili...

- Dobry - wybelkotałam.

Najwidoczniej pracował wcześniej w jakiejś zawszonej komendzie rejonowej i był kuratorem prostytutek. Inaczej bowiem między nami nie nawiązałyby się tak bliski kontakt wzrokowy.

„Napracowałaś się, ślicznotko?” - zapytały jego oczy.

„Nawet nic nie mów! Naharowałam się, chłopcze” - odpowiedziały moje.

„A chociaż przywoicie ci się odwdzięczył?”

„Na waciki wystarczy”.

„Uważaj, żebyś nie złapała jakiegoś AIDS-a. Kto ich tam wie, tych bogaczy...”

„Będę uważać”.

Otworzył przede mną drzwi i przytrzymał mnie za rękę. Jego uścisk był tak silny, że z trudem powstrzymałam się, żeby nie przyznać się do winy.

- Powodzenia - uśmiechnął się, ukazując przyjaźnie wilcze kły.

- Przepraszam, a która jest godzina? - zapytałam bezczelnie.

- Dwunasta. Za dziesięć.

- Jestem spóźniona!

Słoneczny letni dzień był już w zasięgu ręki. Zrobiłam krok w jego stronę.

A teraz - biegiem! Uciekać stąd ze wszystkich sił! Cholerne obcasy...

Na szczęście nie musiałam biec daleko. Za żywoplotem z wiciokrzewu dyżurowała taksówka.

Może mam jeszcze jakąś szansę?

Rzuciłam się do samochodu i wsunęłam głowę do środka.

- Wolny?

Ale numer! To był wczorajszy bysior, ten sam, który wioził mnie i Olewa na Kriestowkę. Facet też mnie poznał i rozpląnął się w uśmiechu - zupełnie jak przed chwilą ochroniarz.

- Na ulicę Wierności?

Speszyłam się. Szofer, jak się okazało, miał fenomenalną pamięć. Nie zapomniał podanego przeze mnie wczoraj adresu. Skończona kretyńska, jeszcze nie zdążyłaś opuścić miejsca zbrodni, a już zostawiasz ślady i rodzisz poszlaki z szybkością królika!

- Na Suworowską - palnęłam pierwsze, co przyszło mi do głowy i dopiero wtedy dotarło do mnie, że na Suworowskiej mieszka Stas. Przed

drugą nie pojawia się w biurze. Teraz mamy dwunastą. Świetnie. Tylko Stas może mnie uratować...

- Jak Suworowska to Suworowska - spasiony sukinsyn obserwował mnie w tylnym lusterku w bezceremonialny sposób. Wcałe mu się nie spieszyło.

- Jedźmy już! - nie wytrzymałam. - Jestem spóźniona.

Po pięciu minutach wyjechaliśmy z ekskluzywnej dzielnicy i wcisnęliśmy się na zakorkowany Prospekt Kamiennooostrowski. Rozbolała mnie głowa, drżał mi podbródek, a przed oczami ciągle jeszcze miałam gołą, zakrwawioną klatkę piersiową Olewa Kiwi. I nóż. Nóż, który leżał teraz w mojej torebce.

- Źle się pani czuje? - zapytał ze współczuciem kierowca.

- Przeholowałam... trochę... - z trudem rozkleiłam wargi. Mdłości, które odczuwałam dotąd gdzieś w okolicach mostka, podniosły się do gardła.

- Zdarza się.

- Niech się pan zatrzyma... tylko na chwilkę.

Kiwnął ze zrozumieniem głową i wcisnął hamulec. Wyskoczyłam przy stacji metra Piotrogradzka, zbeszcześciłam pierwszy napotkany śmietnik i wróciłam do auta.

- No i jak? - szofer nie miał zamiaru zostawić mnie w spokoju.

- Już lepiej.

- Niech sobie pani kupi kefir. A jeszcze lepiej popijać wódkę kefirem w trakcie. Stary sprawdzony sposób ładoskich nurków.

- Jest pan nurkiem? - zapytałam głupio.

- Byłem.

„To lepiej byś tam został, nad tym jeziorem...” - pomyślałam, a na głos powiedziałam:

- Tak w ogóle, to na ulicy Wierności mieszka moja przyjaciółka. Akurat wczoraj się do niej wybierałam.

- Tak sobie właśnie pomyślałem.

- Naprawdę?

- Na ulicy Wierności taka świętoszka jak ty nie ma czego szukać.

O Chryste, jeszcze jeden znawca ludzi się znalazł! Kolejny dowcipniś.

Resztę drogi przebyliśmy w całkowitym milczeniu. Poprosiłam, żeby się zatrzymał trzy domy przed naszym miejscem schadzek. W mojej sytuacji nie zawadzi być ostrożną... Kierowca nie wytrzymał i gdy tylko złapałam za klamkę, odwrócił swoją naleśnikowatą głowę z bliznami po ospie, które przypominały kratery na księżycu, i zapytał:

- Może się zabawimy?

- Innym razem, mój drogi...

Miałam ogromną nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczę. Nawet jeśli będę miała pecha i resztę życia będę zmuszona się ukrywać.

- Poczekaj...

Pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu czegoś do pisania. Nie znalazł niczego odpowiedniego, więc wyciągnął ze schowka kawałek gazy i zapisał numer telefonu na marginesie.

- Mam na imię Giena. Zadzwoń, jak się będziesz nudzić.

- Nie omieszka.

Łamiąc obcasy, wyskoczyłam na chodnik. Napalony Giena jeszcze jakieś dziesięć metrów jechał obok mnie, po czym zatrąbiwszy kilkakrotnie, pomknął w stronę pałacu Smolnego.

No dobra. Teraz do Stasa. On po prostu musi wyciągnąć mnie z tego szamba, w które się przez niego wpakowałam.

* * *

Stas umiał żyć z rozmachem.

Dochodziłam do tego wniosku za każdym razem, gdy wkraczałam do jego szykownego bloku. Bloku z kwiatami na klatkach schodowych i portierkami z wąsami. Kwiaty nosiły podejrzaną nazwę „jasiek mokry”.

- Pani do kogo? - po raz setny zapytała mnie baba o imieniu Luba - były klawisz z pobliskiego więzienia.

- Pod dziewiętnastkę. Do pana Driemowa - odpowiedziałam po raz setny w życiu.

- Jest w domu. Jeszcze nie wyszedł... - spuściła z tonu i dodała z całym uprzedzeniem klasowym, na jakie było ją stać: - Łażą tu wszelkie typy...

Stas mieszkał na ostatnim piętrze, w tak zwanym „rosyjskim penthousie” z mansardowymi oknami i wybitymi ściankami działowymi. Od czasów naszej znajomości w Tallinie wzbogacił się i stał się prawdziwym

burżujem. Sprawił sobie drogie meble, dwie palmy daktylowe i papugę żako o imieniu Stary Toomas. Cały swój wolny czas poświęcał na uczenie tępego ptaka przekleństw.

Teraz będzie musiał ich wysłuchać z moich ust.

Winda, jak zwykle, była zajęta, więc powlokłam się pieszo na piąte piętro.

Na chwilę zatrzymałam się przed wielkim lustrem pomiędzy pierwszym a drugim piętrem - ciężki kolos w pozłacanej ramie został tu jeszcze z czasów rewolucji lutowej. Przyjrzałam się swemu odbiciu i stwierdziłam, że wyglądam znacznie gorzej niż rano: resztki cieni, zbrylony tusz na rzęsach, zapadłe policzki i opuszczone kąciki ust. A już o oczach nie ma nawet co wspominać. Zupełnie nie w porę przypomniałam sobie, że właśnie tak (powiedzmy to wprost - blado) wyglądała nasza wspólna przyjaciółka Kaje po nocy spędzonej z dwoma przystojnymi absolwentami szkoły imienia Frunzego.

Cholera, teraz zgodziłabym się na całą watahę takich studentów, żeby tylko cofnąć czas i zapobiec temu wszystkiemu, co się wydarzyło. Niestety, nóż nadal leżał w mojej torebce i nie miał najmniejszego zamiaru stamtąd zniknąć.

Stałam pod drzwiami Stasa i niecierpliwie nacisnęłam dzwonek. Przygotowałam się, żeby od progu wyróżnić go w szczękę. Do rękoczynów jednak nie doszło, gdyż za drzwiami panowała cisza.

- Stas! - krzyknęłam. - Otwieraj, ty świniou!

Żadnej odpowiedzi.

Poczekalam jeszcze parę minut (na wypadek, gdyby siedział w ubikacji), po czym ponownie natarłam na drzwi. Niestety, bez skutku. Nadal nikt mi nie otwierał. I wtedy zaświtała mi w głowie myśl: „A co, jeśli Stas po prostu mnie wrobił?!”

Początkowo wydawało mi się to nieprawdopodobne, jednak szybko zaczęłam kojarzyć pewne fakty. Stas nie miał nic wspólnego z organizowaniem występów w filharmonii, jednak z jakiegoś powodu pilnie potrzebował spotkania z Olewem Kiwi. Dał mi fotografię jego żony i zlecił, żebym jak najbardziej się do niej upodobniła. Kupił mi bilet do filharmonii - właśnie na to miejsce, które ona zawsze zajmowała. A stolik w „Europie”? A cholerny muskat „Miralva”? A szkła kontaktowe? A pierścionek?!

O mało nie przebiłam głową tych cholernych drzwi. Olew Kiwi twierdził, że bardzo podobny pierścionek podarował swojej żonie. Co za bzdura, „podobny”?! To był na pewno dokładnie ten pierścionek! Ale skąd go Stas wytrzasnął? I po co, no po co?!

Wtuliliłam twarz w listki „jaśka mokrego”, stojącego na parapecie, i zaczęłam ryczeć. Ale to nie były łzy rozpaczy - rozsadzała mnie wściekłość. Jak mogłam zapomnieć o jego alfonsofskiej przeszłości? W tym, żeby zrobić dziwkę, nie było nic nadzwyczajnego. Nic złego. Wprost przeciwnie, to było nawet ogólnie popierane: dziwkę powinno się krótko trzymać.

Zapłacisz mi za wszystko, Stasie Driemowie! Tym bardziej, że nie mam już nic do stracenia. Znam jeszcze jeden sposób, żeby dostać się do twojego mieszkania.

Weszłam pół piętra wyżej i znalazłam się przed drzwiami prowadzącymi na strych. Klucz od nich był schowany w skrzynce przeciwpożarowej, za wzorcowo skręconym brezentowym pasem.

Tę skrytkę pokazał mi kiedyś sam Stas, będąc w stanie błogiej nieważkości: czasami go ponosiło. Wspominał wtedy, jak w dzieciństwie marzył o zostaniu astronomem i odkryciu przynajmniej jednej nowej gwiazdy. Jednak niczego nowego nie odkrył, a dziecięce marzenie zamienił na wygolone łona. Tylko jego pociąg do zakrapianych imprez na strychu pozostał niezmienny.

Klucz był na swoim miejscu.

Włożyłam go do dziurki i otworzyłam strych.

Do małej lukarny prowadziło wąskie przejście. Część strychu była przegrodzona ścianą, za którą mieściło się piętro dwukondygnacyjnego mieszkania Stasa. Rok temu dał w łapę komuś ze spółdzielni, żeby pozwolono mu zaadaptować część strychu, przebić spróchniałe ścianki działowe i w ten sposób powiększyć swoje włości.

Żeby wydostać się na dach, musiałam zdjąć buty. Z całego serca przekląłam szmatławą kopię sukni Ałły Kodriny. Nie dość, że taki fason nigdy mi nie pasował i utrudniał chodzenie, to jeszcze ta szmata odegrała rolę przynęty na Olewa Kiwi. To ona wpakowała mnie w kłopoty. Rozgrzany dach palił mnie w pięty, ale nie czułam bólu. Niosła mnie złość.

Stas Driemow musi mi za wszystko zapłacić! Albo wszystko wyjaśnić.

Dotarwszy do pierwszego okna, zjrzałam do środka: porażka - całe okno przesłaniała ogromna, rozrośnięta palma daktylowa. Pozostawało mi jeszcze jedno okno. Jeśli druga palma wykazuje takie samo tempo wzrostu - będzie ze mną krucho.

Tym razem szczęście mi dopisało. Drugie okno znajdowało się bowiem bezpośrednio nad łóżkiem Stasa. Jego pijackie zamięłowanie do gwiazd przeważało nad trzeźwym zamięłowaniem do flory.

Hura, *olgu tervitatud*¹⁵ dziecięce marzenia, jak powiedziałyby Annie Raamat, uwielbiana przeze mnie gwiazda estońskich filmów porno...

Stas leżał na łóżku z szeroko rozłożonymi rękami - w swojej ulubionej pozie zaspokojonego szejka. Żeby przyciągnąć jego uwagę, zaczęłam stuknąć obcasem w szybę. Niestety, nic go nie ruszało. Tylko Stary Toomas, chodzący po łóżku, podniósł głowę i zatrzepotał wyliniałymi skrzydłami. Złożyłam dłonie w daszek, zasłaniając się przed słońcem, i zbliżyłam twarz do szyby. Teraz już światło słoneczne mi nie przeszkadzało i mogłam przyjrzeć się wnętrzu pokoju.

I Staremu Toomasowi.

I Stasowi.

Stary Toomas podniósł ogon i narobił prosto na prześcieradło. Ale Stas nie odegnał świntucha. Nie mógł tego zrobić... Bo był martwy!

Martwy jak Olew Kiwi.

Martwy. Zabity.

Zupełnie jak wiolonczelista.

Miał całą głowę we krwi.

Przez chwilę miałam wrażenie, że jestem w hotelu. W hotelu, z którego z trudem wydostałam się czterdzieści minut temu. Chyba zwariowałam! Ale to nie był hotel, to było mieszkanie Stasa! Pochylałam się nad nim, wczepiwszy się zbiegającymi palcami w ramę okienną. Z beużytecznymi pantoflami w rękach, z beużyteczną torebką, z beużytecznym życiem...

Pokój Stasa zawirował mi przed oczami, krew na prześcieradle przybrała kształt wyspy Saaremaa - właśnie tam zaprosił mnie Stas pierwszego lata naszej znajomości. Zaprosił i zaproponował, żebym dla niego pracowała. Na Saaremaa w końcu nie pojechaliśmy, ale propozycję Stasa

¹⁵ *Olgu tervitatud!* - (est.) niech żyją!

przyjęłam. A teraz leży tu martwy. I nie mam już szefa. W mojej sytuacji, po ucieczce z hotelu, mogę liczyć co najwyżej na jakiś marny kącik kra- wiecki w kolonii karnej dla kobiet. A i to w najlepszym przypadku. Zda- wałam sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia. Zaczęłam ję- czeć. Jeszcze wczoraj wieczorem byłam stosunkowo wolna i stosunkowo szczęśliwa.

Na chwilę straciłam kontakt z rzeczywistością.

Niestety, kiedy oprzytomniałam i spojrzałam w dół, ciało Stasa nadal tam było. A moje własne ciało, rozpląszczone na szybie, rzuciło niezwy- kły cień na łóżko. I dziwnym, niemalże mistycznym zbiegiem okoliczno- ści, kontury mojego cienia prawie zupełnie nakładały się na postać Sta- sa. Zlewały się w jedną plamę. „*Pociągnie mnie za sobą, pociągnie*” - dudniło mi w skroniach.

Odkleiłam się od szyby i na czworakach dotarłam do okienka na stry- chu.

„Znikaj stąd! Teraz możesz liczyć jedynie na siebie”.

Dotarłam na klatkę schodową, strąsnęłam kurz z ubrania i włożyłam pantofle. Po czym, usiłując utrzymać w piersi wściekle kołaczące serce, skierowałam się do windy. A już w następnej chwili... Nie zdążyłam zro- bić żadnego ruchu, gdyż drzwi windy się otworzyły, a z wnętrza wyłoniła się Wiera Konstantinowna, odwieczna gosposia Stasa. Stara suka, nie- nawidząca wszystkich kobiet na świecie poniżej trzydziestego piątego roku życia.

- Dzień dobry - wyszeptalam z trudem.

- Jest w domu? - zapytała tylko po to, żeby o coś zapytać.

- N-nie wiem... Ja... Nie otworzył mi drzwi.

Twarz Wiery Konstantinowny wykrzywiła się w grymasie: Już my wiemy, jak się nie dodzwoniłaś. Wiemy, za jaki dzwonek ciągnęłaś”.

- A dlaczego jesteś taka blada? - starucha nie miała zamiaru się ode mnie odczepić.

- Jakoś mi niedobrze...

„No pewnie, że ci niedobrze, trzeba mniej się po chłopach szlajać!”

- Może wejdiesz? - przyjrzała mi się badawczo.

Drgnęłam i upuściłam torebkę. Na szczęście się nie otworzyła.

- Nie, dziękuję. Chyba jednak pójdę - szybko złapałam zamykające się już drzwi windy.

- Pozdrowić od ciebie?
- Kogo?!
- Stanisława. Co z tobą?

Dobre sobie. Co jak co, ale moje pozdrowienia potrzebne są mu teraz jak dziura w moście. Niczego już nie potrzebował, ani tych wielkich palm daktylowych, ani papugi, gosposi, gabinetu w biurze, negocjacji, kontraktów, maszynki Gillette, ani nawet piwa w puszcze. Wcisnęłam guzik „parter” i winda ruszyła w dół. Szybciej, szybciej! Na odkrycie zwłok tej suce wystarczą dwie minuty. Być może będzie potrzebowała jeszcze z minuty na otrząśnięcie się z szoku (to i tak długo, zważywszy na zaprawioną w bojach radzieckiej rzeczywistości Wierę Konstantinownę), minuty - na wybór magicznych cyfr „02”... A potem do niej dotrze, co się stało, rzuci się w dół i...

Muszę stąd zniknąć, zanim Wiera Konstantinowna przypomni sobie o moim istnieniu. Zanim doda dwa do dwóch i narobi krzyku. Skinęłam na pożegnanie wąsatej Lubię, wyszłam na dwór i natychmiast zatrzymałam poobijane żiguli.

Cholera jasna, już po raz drugi muszę brać nogi za pas. I to jednego dnia.

Żiguli wysadziło mnie przy stacji metra Plac Męstwa, nazwanym przez naszą przyjaciółkę Kaje „Placem Cudzołóstwa”.

Teraz muszę się dostać do Akademickiej. I to jak najszybciej. Do domu. Potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć i zdecydować, co mam dalej robić.

Resztę drogi w najbanalniejszy sposób przeplakałam. Z trudem powstrzymałam się, żeby nie rzucić się na podłogę w wagonie metra i nie zacząć walić w nią pięściami. Dwa razy próbowały pocieszyć mnie rencistki, cztery - jakieś młode osoby najróżniejszych rozmiarów i ubarwienia. To właśnie oni proponowali mi: piwo „Admiralskie” z kija, tokaj z kolekcji, rejsik łódką w Centralnym Parku Kultury i Wypoczynku, małe bzykanko, wizytę w klubie dla gejów i saunę. Jeszcze wczoraj (O, Chryste, to było tak niedawno! Wczoraj!) byłabym skłonna pozytywnie rozpatrzyć te propozycje. Ale dzisiaj... Dzisiaj nie wiedziałam nawet, gdzie zastanie mnie noc...

Przy swojej klatce nie zauważyłam niczego podejrzanego. Żadnego patrolu. Żadnych snajperów na dachu. Weszłam do siebie na piąte piętro

i od razu włączyłam telewizor. Za pół godziny powinny się zacząć lokalne wiadomości. Na pewno zabójstwo Olewa Kiwi będzie ich głównym tematem (O ja biedna, nieszczęśliwa!). A tymczasem trzeba przestać histeryzować, spróbować wziąć się w garść i spokojnie przemyśleć sytuację.

No więc, pomyślmy. Kto mnie wczoraj widział z cholernym nieboszczykiem?

Wczoraj wieczorem w restauracji „Europa” na oczach wielu osób pewna nikomu nieznaną kobietą poderwała pewnego bardzo znanego mężczyznę.

Bezpośrednimi świadkami mogą być:

1. Kierownik restauracji. Jego gęby nie byłabym w stanie sobie przypomnieć nawet pod groźbą najcięższych tortur.

2. Dziennikarz kryminalny - Siergiej Sinienko.

3. Pedalowały Kalu.

4. Kierowca Giena.

Następnie - w hotelu mamy kolejny zestaw naocznych świadków:

1. Portier. Był profesjonalistą, gdyż nie mam pojęcia, jak wyglądał. Zlewał się z kontuarem, za którym sterczał.

2. Ogolony na „jeża” ochroniarz, który w mig rozgryzł moją profesję po sposobie kręcenia tyłkiem.

3. Kelner-oferma z kolacją.

4. Ponownie Kalu. Natrętny jak przedstawiciel sekty „Świadkowie Jehowy”.

5. Dwaj poranni ochroniarze.

6. Po raz drugi kierowca Giena.

Razem dziewięciu. Dziewięć osób bez chwili namysłu zezna przed organami śledczymi, że spotkałam się z żywym Olewem Kiwi i w krótkim czasie zrobiłam z niego nieboszczyka. Z kolei śledczy szybko dojdą do tego, czym tak naprawdę się zajmuję. I wyznaczą mi sadomasochistycznego adwokata z urzędu... Dlaczego, do jasnej cholery, wszyscy przedstawiciele tego poważanego zawodu wydają mi się sadomasochistami?! Adwokat jako linię obrony przyjmie: przekroczenie obrony koniecznej. Albo chwilową niepoczytalność, spowodowaną zapewne moją egzotyczną pracą. Cudowna perspektywa, nie ma co!

A potem na świadków zostaną powołane dwie staruchy, które opowiedzą, jak oskarżona Sulejmienowa opuszczała dom przy ulicy Suworowskiej w stanie silnego zdenerwowania.

Nie, nie dam rady się wybronić. Za żadne skarby świata nie uda mi się z tego wykaraskać...

Utwierdziłam się w tym przekonaniu jeszcze bardziej, gdy na ekranie telewizora pojawił się zwiastun bloku informacyjnego. Jako pierwszą podano potężną bombę: dzisiaj rano w pokoju hotelowym znaleziono zwłoki Olewa Kiwi, światowej sławy wiolonczelisty. W mieście podjęto natychmiast akcję, mającą na celu zatrzymanie przestępcy (cha-cha), ale niestety nie udało się go do tej pory zatrzymać (hi-hi). Prokuratura rozpatruje kilka wersji wydarzeń i dysponuje już rysopisem prawdopodobnego mordercy. Osoba zabójcy jest w toku ustalania.

Portret pamięciowy był dość udany. W każdym razie, od razu poznałam w nim siebie, przebraną za Ałę Kodrinę.

No, to teraz już naprawdę leżę martwym bykiem. To koniec. Widać, że milicja się zawzięła. Odnalezienie mojego mieszkania zajmie im najwyżej kilka godzin. W końcu nie tak często w Petersburgu mordowani są światowej sławy wiolonczeliści...

Najpierw ogarnęło mnie odrętwienie, potem wściekłość, a następnie rozpacz. Kiedy się ocknęłam, stałam już przed otwartą szafą, gorączkowo wyszukując odpowiednie ubranie.

Ucieczka. Jedyne rozsądny pomysł. Przynajmniej na tę chwilę.

Niestety, wszystkie moje ciuchy nadawały się tylko do ucieczki pod prysznic po odbytym stosunku. Prowokacyjne sukienki, mikroskopijnych rozmiarów bluzeczki, zasłaniające co najwyżej połowę piersi, wyuzdane spódniczki, zlewające się w ekstazie z linią bioder... Pończochy ze szwem, pończochy bez szwu, całe pudło rajstop i... bielizna, bielizna, bielizna. No po kiego czorta potrzebne mi było tyle bielizny?!

To, czego szukałam, znalazłam na wieszaku w przedpokoju: dzinsy, w których zwykle wynosiłam śmieci, i koszulkę Leszyka, którą już dawno zamierzałam wyrzucić. Teraz cała reszta: dwa eksperymentalne kremy przeciwko zmarszczkom, lifting, żel, kosme... Nie, kosmetyki mi się raczej nie przydadzą.

I znów zaczęłam płakać - i płakałam tak długo, aż doszłam do kompromisu: z kosmetyków wezmę tusz, szminkę i puder (można podążyć

w nieznaną z absolutnie gołym tyłkiem, ale z gołą twarzą to już byłaby przesada!). I krem. Tylko jeden krem. Jeden jedyne...

Następnie wygrzebałam wszystkie posiadane pieniądze. Zebrała się całkiem przyzwoita suma: gdzieś około dwóch tysięcy dolarów.

Plus trzy sturublowe banknoty, które leżą w mojej torebce...

Razem z nożem.

Nóż trzeba wyrzucić przy najbliższej okazji. Do śmietnika. Do kanału Murińskiego. Do Newy, jeśli uda mi się tam dotrzeć. Gdziekolwiek.

Otworzyłam torebkę (po raz ostatni otwierałam ją jeszcze w hotelu na Kriestowce), wyjęłam pognieciony kłęb papieru toaletowego i wyciągnęłam nóż. I zamarałam.

Nóż, który skrywał w sobie tajemnicę śmierci Olewa Kiwi, był najbardziej niezwykłym nożem, jaki w życiu widziałam. Prawdę mówiąc, to nie był nawet nóż. Już raczej sztylet. W rękojeść, wykonaną w kształcie jakiegoś kwiatu, wstawiony był okazałych rozmiarów kamień. Wyglądał jak prawdziwy diament. Wszystko zatrzęsło mi się w środku na widok jego lśniących krawędzi.

Trzeba się skonsultować z jakimś jubilerem, a nuż mam rację i ten kamień jest naprawdę cenny?! Można byłoby go wyjąć i podzielić na mniejsze.

Popukałam się w czoło: naprawdę masz coś z głową, Warwaro! Znalazłaś sobie odpowiednią chwilę na marzenia o jubilerze i wielkich bogactwach!

Zwymyślałam sobie w duchu od idiotek, ale czułam, że nie będę w stanie rozstać się z tym nożem ani na chwilę. Cholernik miał nade mną jakąś dziwną władzę. Nawet członek w porównaniu z tym stalowym ideałem tracił wszelki urok i wyglądał jak pomyłka przyrody. Z trudem odebrałam dłoń od noża, po czym ponownie zawinęłam go w papier, wsunęłam do skarpetki i włożyłam do torebki. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że nóż będzie ostatnią rzeczą, z jaką się dobrowolnie rozstanę.

To znacznie zmniejsza moje szanse na wyjście z depresji... A jednocześnie, o dziwo - zwiększa je. W ręce wpadł mi bowiem bardzo oryginalny przedmiot. Zbyt oryginalny. Czymś takim nie zabija się pierwszej lepszej ofiary. Czymś takim w ogóle się nie zabija! Ten sztylet może powiedzieć o wiele więcej, niż dwa trupy, które za sobą zostawiłam. A jeśli to

rzeczywiście jest diament (jakich to cudów nie ma na świecie!), to jestem zabezpieczona na całe życie.

Po dziesięciu minutach byłam już gotowa: dwie torby - mała i nieco większa, jedna swobodnie mieszcząca się w drugiej - trochę bielizny, podpaski, perfumy, dezodoranty, szczoteczka do zębów, pasta i mydło.

„Zestaw dla skauta - pomyślałam ze smutkiem. - Brakuje tylko podbieraka, namiotu i nadmuchiwaney łódki »Romantyka«”.

Jeszcze pieniądze i dokumenty - i do autobusu do Estonii, póki nie jest za późno. Kilka dni przewałuję w Tallinie, u Dimasa w tym jego głównianym zoo. A potem ucieknę gdziekolwiek. Gdzieś, gdzie obowiązuje system bezwizowy. Mogę się nawet zaszyć w mysiej dziurze, wszystko mi jedno... Albo na greckiej wyspie Idra... Przygrucham sobie brzuchatego Aborygena, właściciela tawerny, leniwego kochanka. Po tylu latach uprawiania tego sportu pracowity nie jest mi potrzebny...

Niespodziewanie zadzwęczało mi w uszach. System bezwizowy. „Bezwizowy” pochodzi od słowa „wiza”. A wiza - dowolna wiza - powinna znajdować się w paszporcie. Ważność mojego paszportu, wyrobionego przez Stasa, skończyła się równo dwa tygodnie temu... A dowód osobisty złożyłam niedawno do Urzędu Miasta, żeby się zameldować. Powinnam była pójść po niego w najbliższy wtorek. Jak mogłam o tym zapomnieć?!

Żadnej Idry. Zadnego Tallina. Bez dowodu osobistego nie dojadę nawet do stacji Bołogoje, chyba że stopem. I to z przesiadkami. Na każdym dworcu znajduje się grupa glińiarzy, która pod wieczór będzie dysponować moją podobizną.

Weź się w garść, Warwara! Tak czy inaczej nie możesz tu zostać.

Ta prosta, a zarazem beznadziejna myśl towarzyszyła mi, kiedy zatraskiwałam drzwi niedawno nabytego mieszkania.

Ciekawe, kiedy tu wrócę. I czy w ogóle kiedykolwiek wrócę.

Jadąc metrem, doszłam do wniosku, że pierwsze, co powinnam zrobić, to zmienić swój image. W tym celu udałam się do salonu „Oleńka”. Dżinsy jak ze śmietnika i wyciągnięta koszulka Leszyka w połączeniu z męczeńsko uniesionymi brwiami zrobiły swoje: Nadia nie od razu mnie poznała.

- Co się stało? - zapytała, kiedy usiadłam w fotelu.

- Ostrzyć, ogolić i skropić wodą kolońską - zdobyłam się na kiepski dowcip.

- Wreszcie odzyskujesz rozum! Skończyłaś już z tym dupkiem? Z tym, dla którego się tak oszpeciłaś? - Nadia nigdy niczego nie zapomniała.

- Skończyłam. Ale pojawiło się dwóch nowych. Dla nich się właśnie tak staram.

W zasadzie to była prawda... Okrutna, ale prawda.

- Co będziemy robić? - końcówki ostrych nożyczek wpiły się w podbródek fryzjerki.

- Przecież powiedziałam. Strzyć. Tylko radykalnie.

- Na lyso? - przestraszyła się Nadia.

- To byłaby już przesada. Możesz zostawić języka. Ze dwa-trzy centymetry.

- To zrobimy pasemka. Będą ci pasować. A z tyłu zgołę maszynką.

- Niech będzie.

Nadia zaczęła szaleć przy mojej głowie, a ja zagapiłam się w lustro, w którym odbijał się obraz z telewizora dudniącego za moimi plecami. Po raz kolejny pokazywali moją podobiznę - portret pamięciowy. Tym razem w głównym wydaniu wiadomości. Nadia na szczęście odwróciła się w stronę telewizora dopiero, kiedy znikłam z ekranu.

- Słyszałaś? - zapytała. - Zabito jakiegoś muzyka.

- Codziennie kogoś mordują... - zaczęła płonąć mi twarz, a po skroni popłynęła zdradziecka kropla potu.

- Ale upał - Nadia mimochodem otarła kroplę z mojej twarzy. - Też kiepsko znoszę taką pogodę. Pod wieczór ledwie powłóczę nogami. Ciekawe, dlaczego go zabili?

No pewnie, że ciekawe! Sama chciałabym to wiedzieć.

- Bandyckie porachunki - rzuciłam przypuszczenie. - Może przewoził narkotyki. W wiolonczeli.

- A co, to był wiolonczelista? Wydaje mi się, że nic nie wspomiano na ten temat...

Przekląłam w duchu swoje gadulstwo. Stasa nie ma już wśród żywych, ale jego postulaty są wciąż aktualne: Prostytutka powinna jak najrzadziej otwierać usta. Zwłaszcza, jeśli nie dotyczy to jej obowiązków zawodowych.

Nadia po raz ostatni ciachnęła nożycami, odsunęła się od fotela i zaczęła mi się przyglądać. Poczułam się nieswojo. Nie, ona jest za głupia. Nie da rady połączyć ze sobą oczywistych faktów. Granica jej możliwości w budowaniu łańcuchów logicznych to: włosy-nożyce-grzebień-opłata-według-kursu-banku centralnego...

- I jak? - zapytałam. - Udało się?

- Pierwszy raz widzę cię bez makijażu - odpowiedziała w zamyśleniu.

- Wyglądasz zupełnie inaczej niż zwykle.

Cóż, teraz wszystko jest zupełnie inne niż zwykle.

Wyciągnęłam dwudziestkę (na więcej Nadia nie zasłużyła) i wręczyłam banknot fryzjerce. Pocałowałyśmy się na pożegnanie (Dlaczego wcześniej mnie to nie denerwowało?). Gdy już prawie wychodziłam, w telewizji podawano właśnie informację o zabójstwie prezesa firmy „Antaries”,

Stasa Driemowa.

* * *

Kaje przyjechała do Petersburga niecały rok temu i od razu poderwała jakiegoś tajemniczego młodziana. W ten sposób trafiła na peryferie miasta - na jakieś odludzie w rejonie Prospiektu Obuchowskiej Obrony. Przez ostatnie sześć miesięcy słyszałyśmy się jedynie przez telefon. Teraz jednak postanowiłam zatrzymać się u niej na jakiś czas. Nie zamierzałam siedzieć jej zbyt długo na karku. Potrzebowałam tylko kilku dni, żeby się pozbierać i przemyśleć całą sytuację. I zdecydować, co dalej robić.

Żeby dostać się na miejsce, musiałam skorzystać z kilku rodzajów transportu. Ostatnim z nich okazał się stary rozklekotany tramwaj z czasów panowania Nikity Chruszczowa. Wskoczywszy z tramwaju, zaczęłam błąkać się po wiejskich zaroślach i dopiero po jakimś czasie natknęłam się na dość oryginalną (jak na Petersburg) budowlę: czteropiętrowy budynek z pochodnią i otwartą książką na fasadzie frontowej. Cementowe brzegi tej rzeźby (symbolizujące zapewne triumf radzieckiego oświecenia) już dawno się obłupały i teraz wystawały z nich kawałki prętów. Właśnie tu (o zgrozo!), na parterze, w mieszkaniu komunalnym żyła moja Kaje.

- *Tere!* - powitałam Kaje.

- *Tere-tere* - odpowiedziała, wyraźnie ucieszywszy się z możliwości poćwiczenia ojczystego języka.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa, po czym rzuciłyśmy się sobie na szyję. Musiałam wygiąć się w pałąk, żeby nie zahaczyć jej wyzywająco zaokrąglonego brzucha.

- Kiedy? - zapytałam.

- *Ruttu...*¹⁶ za miesiąc.

Ruttu - (est.) wkrótce.

Przyłożyła palec do ust i zaprowadziła mnie do pokoju. Ciekawe, od kiedy to Kaje, amatorka tańców na stole w negliżu, zrobiła się taka delikatna?

W siedemnastometrowej klitce, którą teraz zajmowała, panował idealny estoński porządek, z dodatkiem takiego samego idealnego estońskiego smaku: wyszukana ceramika, suche kwiaty w niskich wazonach, świece, koce, serwetki. Zasłony, stylizowane na sieć rybacką. I aromat kawy. Brakowało jedynie flagi narodowej za oknem i hymnu na gramofonowej płycie.

- Ale się zmieniłaś! - nasze okrzyki zabrzmiały równocześnie i Kaje się roześmiała.

Też bym się roześmiała. W innej sytuacji.

- Jak tam twój chłopak? - zapytałam.

- Mąż? O! *Toredasti!*¹⁷

Toredasti - (est.) wspaniale.

Wygląda na to, że nasza mała latawica z cyckami w tatuażach naprawdę się ustatkowała. I nawet oficjalnie to potwierdziła.

- A co u ciebie? - zapytała ostrożnie Kaje.

- Mam kłopoty.

Prychnęła i chwyciła młynek.

- Pójdę zaparzyć kawę - powiedziała, po czym ruszyła w stronę drzwi.

Zostałam sama w pokoju.

Wyciągnąwszy się na kocu, przymknęłam oczy i westchnęłam. Nie zdziwię się, jeśli Kaje po miłej pogawędce pokaże mi, gdzie są drzwi. Zrozumiem to doskonale. Jestem jej najlepszą przyjaciółką. Sześciu lat nie da się tak łatwo przekreślić. Nosłam jej paczki do szpitala, kiedy trafiła tam po pechowej aborcji. Robiłam jej okłady, kiedy pewien pijany Norweg o mało nie wybił jej oka. Należę jednak do jej przeszłości.

Jej haniebnej przeszłości. Która raczej nie spodobałaby się jej kochanemu mężusiowi.

Kiedy Kaje wróciła z kuchni z tacą, byłam przygotowana na wszystko. I ona o tym wiedziała. Starannie przytrzymując ręką brzuch, usiadła obok mnie, pochyliła głowę i powiedziała łagodnie:

- Co mogę dla ciebie zrobić, Waria?

O Boże, jak dawno nikt się już tak do mnie nie zwracał! Uśmiechnęłam się, wzięłam filiżankę i upiłam aromatycznego, brązowego i cudownie gorącego płynu. Estończycy potrafią zaparzać wspaniałą kawę, bez dwóch zdań!

- Nic niezgodnego z prawem. To znaczy nic, co mogłoby urazić twojego szlachetnego... męża...

Słowo „mąż” w stosunku do rozwiązałej Kaje zabrzmiało dość groteskowo.

- Muszę gdzieś pomieszkać przez parę dni. Da radę?

- A co się stało?

Nie miałam najmniejszej ochoty na wtajemniczenie kobiety będącej w zaawansowanym stadium ciąży w szczegóły zabójstwa dwóch facetów. Do tego wszystkiego jeden z nich przez długi czas był jej alfonsiem. Ograniczyłam się więc do historyjki o wymaganiach pewnego klienta.

- Wkurzył mnie jeden taki dupek. Chce się bzykać co trzy godziny. Mam teraz okres, a on ma to gdzieś. Dzisiaj w nocy prawie mi wyważył drzwi.

- Powinnaś rzucić to zajęcie, Waria - powiedziała z zapalem misjonarki, spokojnie wchodzącej do izby przyjęć w leprozorium.

- Też się nad tym zastanawiam... Już nie te lata, a poza tym młody narzybek depta nam po piętach. To co, mogę zostać?

- Oczywiście. Mamy fotel... rozkładany. Możesz się tam ulokować. A teraz muszę iść na badanie kontrolne...

Badanie kontrolne! Ależ ona ma problemy! Nigdy w życiu nie zazdrościłam Kaje, mimo że jej cycki były zawsze o wiele jędrniejsze od moich, a na dodatek po zewnętrznej stronie miały tatuaże. Ale teraz... Muszę przyznać, że teraz chciałabym zamienić się z nią miejscami. I nawet nosić głupie dziecko pod głupim sercem. I nawet mieć głupiego idealnego męża. Ciekawe, co to za typ? I jak mu się udało w tak krótkim czasie

usidlić Kaje i poskromić jej libido? Nie obyło się bez zapasowego jajka w mosznie, to pewne.

Kaje cmoknęła mnie w policzek, po czym pobiegła na to swoje badanie. Zostałam sama. Wykorzystałam ten czas na zapoznanie się ze swoim nowym schronieniem.

Pokój był przegrodzony półkami własnej roboty. Półkami na książki. Wznosiły się one aż do samego sufitu. Większą część powstałej w ten sposób powierzchni (tę bliżej drzwi) zajmowało małżeńskie łóżko, stół, szafa i telewizor. W małym kąciку przy oknie stał fotel (ten sam, o którym wspomniała Kaje), biurko z lampką i magnetofon.

Nie za dużo tego wszystkiego...

Rozłożyłam fotel i rzuciłam się na niego w butach. Zdjęłam z półki pierwszą z brzegu książkę. Trafiłam na *Wybór chińskiej liryki VIII-XIII wieku*. Na przeczytaniu tytułu się skończyło. Po pierwsze, czcionka była zbyt drobna jak na moją nieprzyzwyczajoną do czytania siatkówkę (przez ostatnie lata czytałam tylko ilustrowane babskie czasopisma). Po drugie, przed oczami ciągle jeszcze miałam obraz martwych: Olewa i Stasa. A po trzecie...

Nie cierpię wierszy!

Kiedy się obudziłam, w pokoju panował półmrok. Tylko po małżeńskiej stronie paliło się małe światło. Te cholerne białe noce! Nie mogłam się do nich przyzwyczać już od czterech lat. Nieodmiennie mnie ogłupiały i pozbawiały orientacji w czasie. Całkiem możliwe, że jest teraz północ. Albo druga w nocy. Albo w ogóle - rano.

Byłam przykryta kocem, a buty, w których się położyłam, stały obok na podłodze idealnie ustawione. Kochana Kaje, pasuje ci rola pani domu!

Już chciałam wstać i wyjść ze swojego zacisznego kąta, kiedy nagle usłyszałam męski głos:

- Na długo przyjechała? - w tym głuchym, nieco rozdrażnionym tonie nie było ani krzty gościnności.

Od razu odechciało mi się wstawać.

- Na kilka dni, Juri... To moja dobra przyjaciółka. Najbliższa...

„Dziękuję, Kaje! Jeśli jakimś cudem uda mi się wyjść cało z tej historii, to wpadniemy do jakiejś restauracji na tych tramwajach na rzece i będziemy balować przez całą noc!”.

- A dlaczego wcześniej nic mi o niej nie wspominałaś?
- Pochodzi z Tallina. Ma kłopoty i przyjechała tutaj... - trzeba przyznać, że zupełnie nieźle szło jej to zmyślanie. Moja mała Kaje!

- Jakie kłopoty?

Mężulek, jak widać, aż nadto dociekliwy!

- Jej przyjaciel okazał się draniem. Bił ją... A potem przyprowadził ze sobą jakichś pijanych kolegów. Chcieli ją zgwałcić.

Nieoczekiwany zwrot akcji! Kaje, jestem pod wrażeniem!

Rozległ się stuk łyżki o talerz. Mąż z charakterystycznym mlaskaniem pochłonął jedzenie i wrócił do tematu.

- Na to jest paragraf- powiedział surowym tonem. - Jutro z nią porozmawiam. Chodź do mnie, moja słodka...

Coś puknęło, coś stuknęło, mąż się roześmiał, Kaje również, i do moich nieszczęsnych uszu zaczęło dochodzić miłosne titanie: mój-maluszku-moja-kruszynko-mój-brzuszek-jak-tam-nasz-skarbek-już-niedługo-wyjdzie-do-tatusia!

Usiłowałam zagłuszyć te brednie, nakładając sobie na głowę poduszkę. Jednak po kilku minutach usłyszałam coś o wiele gorszego:

- Dlaczego nagle posmutniałaś, Juri? - dysząc, zapytała eksnieżadnica, a obecnie kochająca żona. - Jesteś zmęczony?

- Wszystko w porządku.

- Nie, przecież widzę... To ta twoja głupia praca, tak?

- Naprawdę wszystko w porządku.

- Wcale nie! Powiedz mi, co się stało. Jakaś poważna sprawa?

- Nie możesz się denerwować.

- Będę się denerwować... Będę się denerwować, jeśli mi nie powiesz, co się stało, Juri!

Kaje umiała urabiać ludzi - już ja coś o tym wiedziałam. Jej mąż nie był wyjątkiem. Jeszcze przez chwilę pojęczał dla przyzwoitości, a potem powiedział:

- Dzisiaj zabito takiego jednego typu. Tak *à propos*, też pochodził z Tallina. Z twoich rodzinnych stron.

O mało nie zemdląłem. A niech mnie! Z wywalonym językiem przybiegłam tutaj, żeby znów dostać po łbie tym przeklętym Olewem Kiwi. Ech!!!

- Olew Kiwi, znany muzyk, grał na wiolonczeli. Nie słyszałaś o nim?

- Nie - powiedziała beztrąsko Kaje. - Nigdy nie interesowałam się wiołonczelą. A dlaczego go zabito?

- Zwyczajna sprawa. Dorwał wczoraj w restauracji jakąś dziewczynę, zaciągnął do siebie do pokoju. Najpierw długo się zabawiali, a potem najwidoczniej o coś się pokłócili. Krótko mówiąc, zaszlachtowała go, po czym się ulotniła.

- A co to za dziewczyna?

- A cholera wie... najprawdopodobniej jakaś prostytutka. Kupa ludzi ją widziała: jak się mizdrzyła, wchodziła do lokalu, wychodziła... Wymknęła nam się z rąk, szuja. I narzędzie zbrodni zabrała ze sobą, całkiem się rozzuchwiała! Attache prasowy tego Kiwi wszedł do pokoju pięć minut po tym, jak ona go opuściła. Wiołonczelista był już... nie oddychał.

- Ale ty ją przecież i tak złapiesz, kochanie - w głosie Kaje dały się słyszeć krwiożercze nutki. - Wierzę w ciebie!

- Złapać złapię, no bo co mi innego pozostaje... To tylko kwestia czasu. Niestety, w tym właśnie przypadku nie mamy go zbyt wiele. To mnie przyprawia o ból głowy. Po pierwsze, on jest obywatelem innego państwa. Po drugie, był bardzo znany, koncertował na całym świecie... Zatluc jakiegoś biznesmena - to jeszcze mogę zrozumieć, bo to nasza wewnętrzna sprawa. Robimy, co chcemy. Ale tu - wielka sława! I wszystko spadło na moją głowę. Zjechały się władze miejskie, żądają wszystkiego od razu, a ja w najbliższym czasie miałem dostać kolejną gwiazdkę. Poza tym mam jeszcze trzy inne sprawy...

- A jak zamierzacie szukać tej... Jak to będzie po rosyjsku... Kobiety lekkich obyczajów?

„Kaje, Kaje, czy to naprawdę ty?!”

Podczas gdy ja przeżywałam prawdziwy wewnętrzny dramat, za regałami rozległ się odgłos pocałunku.

- Znajdziemy, nie martw się. Rysopis już mamy, to najważniejsze. Cała reszta to tylko sprawa techniki.

- Rysopis?

- Portret pamięciowy. Chcesz, to ci pokażę?

Kaje zaklaskała w dłonie, a ja poczułam, jak stanęły mi dęba wszystkie włosy na głowie. Mąż Kaje wstał ze skrzypiącego krzesła, położył przez chwilę po pokoju i czymś prztyknął - pewnie teczką. Zaczęłam drzeć na całym ciele i wsunęłam sobie pięść do buzi - żeby tylko nie krzyknąć!

Nadciąga mój wyrok!

Zaraz wyciągnie zasraną podobiznę, podsunie ją pod nos swojej żonie i Kaje natychmiast mnie rozpozna... A figa, Kaje! Nic nie powiesz, nie jesteś aż tak głupia! Powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli mnie wydasz, to ja wydam ciebie. I nie byłabym taka pewna, która z nas będzie miała większe nieprzyjemności!

Mąż-wilkołak szperał w teczce trochę dłużej niż przypuszczałam. Potem zaś rozległ się jego zmieszany głos:

- W mordę, zapomniałem... To nic, jutro przyniosę.

Opadłam na poduszkę i nerwowo ziewnęłam.

- Wiecznie wszystkiego zapominasz, Juri! Taka ciekawa sprawa, a ty zapominasz!

- No już, proszę, nie gniewaj się, piękności moja, moja mała Estoneczko! Chcesz, pokażę ci, jak prycha kotek?

Cholera! Wiedziałam, że nie ma nic głupszego od małżonków, którzy oszaleli na swoim punkcie! Przez następne pół godziny wysłuchałam od początku do końca całej audycji radiowej. Gliniarz Juri („Aleś sobie męża przygruchała, Kaje Tammika, czy jak się tam teraz zwiesz?”) prychał jak kot, kumkał jak żaba, pohukiwał jak sowa. Potem zaczął naśladować jakiegoś torbacza, a na zakończenie zapiął niczym kogut. Czułam, że od tego wszystkiego już zupełnie zwariowałam.

Po całym tym obrzydliwym przedstawieniu w końcu się uspokoiłi, rozłożyli kanapę i wyłączyli światło. A po pewnym czasie usłyszałam zamysłony głos Kaje:

- Jak myślisz, Juri, dlaczego go zabiła?

- Kto?

- Ta kobieta. Tego muzyka.

- A skąd mam to wiedzieć?

- Może źle ją traktował? Zmuszał do robienia jakichś okropnych rzeczy? A może sam chciał ją zabić, a ona po prostu się broniła?

„Dzięki Bogu, Kaje, chociaż odrobina zawodowej solidarności!”

- No pewnie! - zauważył zgryźliwie Juri. - Broniła się! Chciałabyś! Te przekłete prostytutki wszystkie są takie same i to samo wygadują! Właśnie ręcznie bym je rozstrzelał! Przyzwoitej kobiecie takie rzeczy się nie zdarzają. Moja kochana... A w ogóle, bardzo mi się nie podoba, że tak się

tym wszystkim przejmujesz i bierzesz do siebie. Nie powinnaś o tym myśleć. Ty jesteś najlepsza, najkochańsza...

Następnie cnotliwa Kaje i jej surowy mąż przez chwilę jeszcze pocmokali, aż wreszcie ucichli na dobre. Szczęściarze.

Na wszelki wypadek odczekałam jeszcze pół godziny, po czym powoli spuściłam nogi z fotela i wsunęłam je w buty. Dobrze jeszcze, że torebka z narzędziem zbrodni stała tuż obok! Chwyciłam ją, wstałam po cichu i podeszłam do okna. Parter i żadnych krat.

Żegnaj, Kaje!

Nocny klub o dwuznacznej nazwie „Pociąg Pancerny 14-69” był moją ostatnią deską ratunku. Zostawiłam go sobie na koniec - na wypadek, gdyby Kaje odmówiła mi pomocy. Na czarną godzinę. Niestety, ta czarna godzina właśnie nadeszła...

Do knajpy, specjalizującej się w męskim striptizie, wpuszczała kolejna z moich tallińskich przyjaciółek - Montezuma-Schokolade. Byłam jedną z nielicznych osób, które mogły ją tak nazywać. Dla pozostałych Montezuma była - Karine Surienowną, odnoszącą sukcesy bizneswoman. Talent do biznesu odkryła w sobie zupełnie przypadkowo, po tym, jak do jej łóżka (również zupełnie przypadkowo) trafił jakiś wrażliwy podstarzały Szwed. (Jego imienia nie dało się wymówić! Nazwiska również!). Montezuma ujęła Szweda swoim wschodnim temperamentem. Szaleńczo zakochany, natychmiast poprosił ją o rękę, oferując w zamian tartak w okolicach Trelleborga. Montezuma okazała się bystrą dziewczyną. Szybko połapała się w obróbce drewna i zorganizowała przy tartaku małą fabrykę, wyrabiającą drewniane meble na eksport. Po upływie dwóch lat mała fabryka przekształciła się w wielki zakład produkcyjny, a Szwed, nie wytrzymałszy takiego szaleńczego tempa pracy, przeniósł się na łono Abrahama.

Montezuma, która tęskniła za swoją ojczyzną, skierowała dostawy mebli do Petersburga, a potem sama przeniosła się w te strony. Zachowała przy tym jakimś cudem szwedzkie obywatelstwo. „Pociąg Pancerny 14-69” był jej ukochanym dzieckiem. Kochała go bardziej niż trzy salony meblowe, które również posiadała. W końcu „Pociąg Pancerny” miał jakieś powiązanie z „drewnem”. „Pnie” - tak właśnie, niegdyś upodlona, Montezuma nazywała mężczyzn.

„Pnie” i „fiutogłowy” - były dla niej wyczerpującymi opisami płci brzydkiej.

Dzisiaj za barem stał rasowy ogier - Akop, daleki krewny Montezumy, pochodzący z Erewania. Zamówiłam martini z lodem i przez kilka minut tępawo przyglądałam się tłumowi napalonych bab, zdzierających slipy z kolejnego kulturysty.

- Zastałam Karine? - zapytałam Akopa, dopiwszy swoje martini.

Ten skinął głową i życzliwie się wyszczerzył, ukazując nienagannie wypucowane zęby.

- Zawołać?

- Jeśli byłbyś tak miły.

Podał mi jeszcze jedną porcję martini (na koszt firmy) i wcisnął jakiś guzik.

Montezuma pojawiła się po trzech minutach i podobnie jak Nadia nie poznała mnie od razu. Uznałam to za dobry znak.

Pocałowałyśmy się na powitanie, po czym zaprowadziła mnie do swojego biura. Gabinet utrzymany był w urbanistycznym stylu. Nad jego drzwiami można byłoby śmiało powiesić tabliczkę: „KOBIECY! NIE MYŚLCIE O CZŁONKACH, TYLKO O SOBIE. WTEDY WSZYSTKO WAM SIĘ UDA!”.

Montezuma posadziła mnie w fotelu, a sama usiadła naprzeciwko ze szklanką wody mineralnej w ręce.

- Nareszcie. Skończyłaś z tym - powiedziała z zadowoleniem, obmacawszy mnie od stóp do głów. - Skończyłaś czy nie?

- Prawie.

- Chcesz u mnie popracować? Nie obiecuję wielkich pieniędzy... z początku.

Zabawne, że akurat teraz po raz pierwszy zaproponowała mi pracę.

- Obawiam się, że nic z tego nie będzie - postukałam się po czole i rozłożyłam ręce. - Nie nadaję się do tego interesu. Nic nie wiem o produkcji mebli. Mój mózg jest z innego materiału. Same wióry. A w „Pociągu Pancernym” masz tylko chłopaków.

- No, jeśli chodzi o mózg, to nie byłabym taka pewna. Słuchaj, bardzo dobrze ci w tej fryzurze. Sama wymyśliłaś?

- Sama.

- Moje gratulacje... Jak tam Stas? Nie zdechł jeszcze?

Montezuma nienawidziła Stasa. Nienawidziła go tak, jak tylko może nienawidzić alfonsa dziwka, która wyrwała się z jego szponów. Szczerze, zaciekle i do końca świata. A nawet dzień dłużej.

- Zdechł - odpowiedziałam zgodnie z prawdą i Montezuma roześmiała się swoim aksamitnym wschodnim śmiechem: doceniła mój żart.

- No widzisz, słuszna decyzja. To mnie cieszy. To co, podpiszemy umowę?

- Nie teraz... mam mały problem, Monti.

- Ile? - Karine Surienowna rzeczywiście stała się prawdziwą kobietą interesu.

- Tu nie chodzi o pieniądze, tylko o pewną sprawę. Jesteś kumata babka i na pewno coś mi poradzisz.

- Postaram się.

- Właściwie, to nawet nie mój problem - zaczęłam się wycofywać - tylko takiej jednej mojej znajomej.

- Pracuje dla Stasa? - Montezuma przejrzała mnie na wylot.

- W pewnym sensie. Tak więc, wpadła w tarapaty. Jeden jej klient... - nabrałam powietrza w płuca, zebrałam się w sobie i wypaliłam: - Jeden jej klient zasnął i się już nie obudził.

- Serce odmówiło posłuszeństwa?

- Można tak powiedzieć. Ktoś wbił mu w nie nóż.

- I co, ta twoja znajoma nie widziała, kto to zrobił? - Montezuma wydeła nozdrza.

- Nie, nie widziała. W tym czasie słodko spała na drugim boku.

- Chcesz przez to powiedzieć, że położyła się do łóżka z żywym kochankiem, a obudziła się z trupem?

- Otóż to! I wszyscy widzieli, jak oni... - odetchnęłam - ...ta moja znajoma i jej klient... jak wchodzili razem do pokoju. A potem, jak ona stamtąd wychodziła. Sama.

- A trup został w pokoju?

- Przecież nie mogła go zabrać ze sobą w torebce, no nie? Do kieszeni też się jej jakoś nie zmieścił... Krótko mówiąc, dziewczyna jest teraz główną podejrzaną.

Montezuma odchyliła się na oparcie fotela i przymknęła powieki.

- Na jej miejscu wynająłabym sobie dobrego adwokata - powiedziała wreszcie, po czym dodała: - albo dała dyla z kraju. Jak najszybciej, zanim nie jest za późno.

- Wykluczone - potrząsnęłam ze smutkiem głową.

- A ma łeb na karku? - zapytała zgryźliwie Montezuma. - Jeśli ma, to niech znajdzie sobie jakiegoś naiwniaka spośród gliniarzy. Przekona go o swojej niewinności... Jak będzie trzeba, to mu się odda. Przecież to potrafi, no nie?

- Ale po co?

- Naprawdę jesteś aż taka ciemna? Żeby się oczyścić z zarzutów, trzeba znaleźć prawdziwego sprawcę - Montezuma pouczająco podniosła palec. - A w ogóle to przyprowadź ją do mnie, nienawidzę historii z trzeciej ręki...

- Świetnie - podsumowałam, chociaż niczego świetnego w tym nie było. - Przekazę jej...

Podniósłszy się z fotela, Montezuma podeszła do przeciwległej ściany i powoli uniosła zasłonę, która przypominała gobelin. Za zasłoną ukazało się okienko, wychodzące na salę (z sali okienko wygląda pewnie jak niewinne lustro).

- Mój nowy nabytek - powiedziała z dumą Montezuma, kiwnąwszy brodą w stronę striptizera, którego oblegał tłum kobiet. Za jego skąpe slipy zatknięte były banknoty.

- Bardzo milutki - to było wszystko, na co było mnie stać.

- Wiesz, gdzie ich mam? Tu - pokazała mi garść. - Chodzą jak w zegarku. Wyciskam z nich siódme poty. Planuję otworzyć nieduży męski dom publiczny. Dla bogatych klientek. Chcesz się tym zająć? Świetnie byś sobie z tym poradziła.

Zatkało mnie. Biedna Montezuma-Schokolade! Kilka lat, spędzonych w szponach Stasa, uczyniło z niej wroga mężczyzn. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że chłostała swoich pracowników różgami. I zmuszała do skandowania: „Wszyscy mężczyźni - to dupki!”.

- To co? Weźmiesz się za to?

- Muszę się zastanowić... - czym jak czym, ale organizacją „domu publicznego” na pewno nigdy się nie zajmę!

- Zastanów się dobrze. Może chcesz jakiegoś chłopca?

- Teraz?

Montezuma się roześmiała.

- Oczywiście. Mam wspaniałych facetów, spełnią każdą twoją zachciankę. Nawet najbardziej wymyślną. Dla ciebie będzie za darmo. Na koszt firmy.

- Nie dzisiaj, Monti. Nie jestem w nastroju...

- Jak sobie chcesz...

Po półgodzinie Montezuma pojechała do domu, a ja zostałam w knajpie - pogrążona w smutnych rozmyślaniach o swoim smutnym losie. Może popełniłam błąd? Może powinnam była powiedzieć jej prawdę? Nie wzięłam pod uwagę tego, że niemal wszechmocna Karine Surienowna zawsze stanie po stronie kobiety. Obojętne, co by tamta zrobiła. Aby kobieta mogła zatriumfować nad mężczyzną, Montezuma gotowa była na krzywoprzysięstwo, kłamstwa, zacieranie śladów i podjęcie wszelkiego możliwego ryzyka. Nie, nie miałam zamiaru jej w to wplątywać. Zbyt dobrze jej życzyłam.

A niech tam, no dobrze, nawet ją lubiłam! Tak samo, jak zdrajczynię Kaje i pozostałe nasze nieszczęśliwe koleżanki, z którymi niejedną beczkę spermy już wypiliśmy.

Nie mam prawa... Nie mam prawa...

Chociaż nie, jeśli będę miała nóż na gardle, jeśli mnie otoczą i nie pozostawią innego wyboru... To wtedy oczywiście, poproszę Montezumę o pomoc. Poproszę, żeby mnie ukryła. I ona mi nie odmówi.

Ta myśl trochę mnie pokrzepiła. Dała jakąś nadzieję. Zaczęłam zastanawiać się nad sensem niedbale rzuconych przez nią słów: „Żeby się oczyścić z zarzutów, trzeba znaleźć prawdziwego sprawcę”. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej zapalałam się do tego pomysłu. To jedyne rozsądne wyjście w mojej parszywej sytuacji. Tylko jak mam się do tego zabrać? Od czego zacząć?

Zamówiłam u Akopa kolejne martini i usiłowałam ułożyć sobie w głowie wydarzenia minionego tygodnia. Mój ograniczony umysł nie był najlepszym miejscem do porządkowania czegokolwiek. No, może oprócz myśli o optymalnej długości paznokci.

Ale spróbować zawsze warto.

Dla ułatwienia zadania wyciągnęłam z torebki serwetkę z fasonem pamiętnej restauracyjnej sukienki. Odwróciłam ją na drugą stronę i włożyłam długopis. Na samej górze napisałam: „STAS” i „OLEW KIWI”.

Miałam wiele pytań dotyczących tych facetów, ich śmierci i powodów, które do nich doprowadziły. Ponieważ nie mogłam liczyć na ich współpracę z zaświatów, postanowiłam przelać wszystkie pytania na papier. Może, gdy je zobaczę w „kupie”, coś przyjdzie mi do tej tępej, głowy.

Zabrałam się do pracy. A zatem:

1. Po co Stasowi był potrzebny Olew Kiwi?
2. W jaki sposób udało mu się poznać najdrobniejsze szczegóły z prywatnego życia gwiazdy?
3. Skąd miał taką pewność, że Kiwi chwyci przynętę w postaci kobiety tylko trochę przypominającej jego żonę?
4. Dlaczego wybrał właśnie mnie?
5. Czy wiedział, że ktoś chce zabić Olewa Kiwi?
6. Czy wiedział, że jemu samemu grozi niebezpieczeństwo?
7. Jeśli to nie on zabił Olewa Kiwi, to kto to zrobił?
8. W jaki sposób sprawca przedostał się do zamkniętego hotelu dla VIP-ów i jak się stamtąd wydostał, nie budząc przy tym niczyich podejrzeń?
9. Kto miał motyw, aby zabić Olewa Kiwi?
10. Kto skorzystał na śmierci Olewa Kiwi?
11. Dlaczego nie zabito go zwyczajnie, tylko zadźgano tak charakterystycznym narzędziem?
12. Czy diament w rękojeści noża jest prawdziwy czy nie?

Po chwili zastanowienia stwierdziłam, że to pytanie nie odnosi się do istoty sprawy. Zaczęłam pisać dalej:

13. Dlaczego ktoś zabił Olewa Kiwi, a mnie nawet nie tknął?
14. Jeśli nóż nie jest zwyczajnym narzędziem zbrodni, tylko wskazówką, to co z niej można wywnioskować?
15. Co tak naprawdę stało się z żoną Olewa Kiwi?

Po zapisaniu ostatniego punktu poczułam w głowie kompletną pustkę. Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Na chwilę obecną były one poza zasięgiem mojego umysłu.

Dlaczego jestem taka głupia? Dlaczego zamiast pójść na prawo albo przynajmniej do szkoły milicyjnej, objęłam ciepłutką posadkę nierządnicy i jedyne, co teraz potrafię robić, to rozkładać nogi?

To wszystko jest dla mnie za trudne, zbyt skomplikowane. Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań - ani na pierwsze, ani na piętnaste... A co najgorsze, nie wiem, jak mogę je zdobyć... Jak i skąd...

A może jednak machnąć na wszystko ręką i poczekać do rana na Montezumę? Rzucić się jej do nóg i błagać, żeby przemyciła mnie w jakiejś skrzyni do Szwecji...

Na pamiątkę zostanie mi zdjęcie Ałły Kodriny z okresu marcowych refleksów słonecznych w Kronsztadzie...

Niespodziewanie w ograniczonym labiryncie mojego odurzonego alkoholem umysłu zaświtała jakaś myśl. Resztkami sił zebrałam się w sobie i kurczowo się jej uczepliłam. Myśl była prosta jak gumowa lalka, a jednocześnie genialna jak wibrator.

Tak prosta i zarazem genialna, że aż się roześmiałam i mrugnęłam porozumiewawczo do znudzonego barmana.

Ałła Kodrina. Piętnaste pytanie...

Jest ktoś, kto wie, co się z nią stało i ten „ktoś” zostawił mi swoją wizytówkę. Dziennikarski wyrzutek, Siergiej Sinienko, aż się rwał, żeby opowiedzieć mi jakąś chwytającą za serce historię o nieboszczce. I pewnie by mi ją opowiedział, gdyby nie Olew Kiwi, który zjawił się w najmniej odpowiednim momencie. Jeśli go poproszę, to mi ją na pewno opowie. Trzeba go tylko odpowiednio podejść...

Z pewnością już wie, co się wydarzyło w hotelu. Przecież na tym polega jego zawód: krążyć nad padliną i odgryzać najsmaczniejsze kęski. Ale mam to gdzieś. Szczerze mówiąc, jest mi to nawet na rękę. Niewinnie oskarżona, szuka pomocy u reportera - za taki temat dałby się pewnie powiesić! Wywiad z prawem wyłączności w zamian za kilka informacji. To powinno wypalić.

Nabrałam otuchy.

Być może nie obieram najbardziej słusznej drogi, ale w tej chwili nie mam innego wyjścia. Jeśli się dowiem, jak i dlaczego umarła Ałła Kodrina, jeśli otrzymam odpowiedź na swoje piętnaste pytanie, to może uda mi się odpowiedzieć również na pozostałe.

Wyjęłam pogniecioną wizytówkę Sinienki (Co za szczęście, że jej nie zgubiłam i jako przetrwała te wszystkie wczorajsze perypetie!) i dokładnie przestudiowałam jej treść. „Petersburska Anomalia. Kronika kryminalna. Siergiej Sinienko. Korespondent specjalny”. Dalej widniał numer służbowego telefonu, który pominęłam z uwagi na zbyt wczesną porę. Następnie adres, najprawdopodobniej domowy. Wyglądał nieco dziwnie. Na tyle dziwnie, że aż kilkakrotnie go przeczytałam. I nic.

„Wyspa Kanonierska 5/96”.

I tyle. Ani śladu ulicy.

Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie znajduje się ta Wyspa Kanonierska. Miałam nadzieję, że w obrębie miasta, a nie, na przykład, gdzieś u brzegu Finlandii. Żeby to sprawdzić, poprosiłam Akopa o mapę. Dopiero po dobrych dwudziestu minutach udało mu się ją zdobyć od jednego ze striptizerów. Zaraz zabrałam się za jej studiowanie. Wyspa Kanonierska rzeczywiście istniała - w okolicach Morskiego Portu Handlowego - nie było na niej jednak żadnych budynków. Na wyspę prowadził wąski prześmyk, pod którym widniał napis „tunel”.

No cóż, świetnie. Mamy już jakiś punkt zaczepienia.

Gdy wychodziłam z „Pociągu Pancernego”, nad Petersburgiem świeciło już w pełni poranne słońce. Dotarłszy do najbliższej stacji metra, wykupiłam wszystkie gazety informacyjne, łącznie z „Petersburską Anomalią”, i ulokowałam się z nimi na ławce niedaleko kiosków.

Przelana na papier rzeczywistość przerosła moje najgorsze oczekiwania. Nagłówki - co jeden to gorszy - rozrywały moje i tak już doszczętnie znękanе serce: „Tragedia na Kriestowce”, „Zabójstwo znanego wiolonczelisty”, „Ostatni występ Olewa Kiwi”, „Rekwiem dla Artysty” i inne tego typu bzdury. Wydarzenia zinterpretowano dokładnie tak, jak przedstawiał je mąż Kaje: nieznana kobieta (w bardziej cywilizowanych gazetach występowałam w roli fanki, która postradała zmysły z miłości do artysty, zaś w podrzędnych szmatławcach opisywano mnie jako „dziewczynę na jedną noc”) opuściła pokój Olewa Kiwi o godz. 11.45. A o 11.55 attaché prasowy muzyka, Kalu Kullemiae, znalazł zwłoki. Prowadzone jest śledztwo w tej sprawie. Trwają poszukiwania zbrodniarki. Organa wymiaru sprawiedliwości zakładają kilka wersji wydarzeń. Najbardziej prawdopodobną z nich jest zabójstwo na tle osobistym.

Ciekawe, co rozumieją pod określeniem „na tle osobistym”? Przecież nie prowadziłam z Olewem wspólnego domu.

Dalej umieszczono, napisaną przerażająco fachowym językiem, informację o tym, że sprawą zajęło się biuro samego gubernatora. Następnie znalazłam wypowiedzi ludzi z kręgów muzycznych. Reakcję kręgów twórczej inteligencji. Reakcję konsulatu estońskiego. Fala sprawiedliwego gniewu, wypływająca z gazet, całkowicie mnie pochłonęła.

Brać ją! Brać tę nieodpowiedzialną sukę, która pozbawiła szeroką publiczność złotej wiolonczeli!

Przezytałam wszystkie gazety od deski do deski i stwierdziłam, że w świetle wydarzeń na Kriestowce zabójstwo na ulicy Suworowskiej zeszło na plan dalszy: jedna śmierć pochłonęła drugą. Stas Driemow został zaszczycony zaledwie paroma linijkami w kronice kryminalnej. Napisanymi na dodatek drobnym maczkiem. Potraktowano go na równi z wypadkiem na ulicy Żołnierza Korzuna i podpaleniem domu w dzielnicy Tosnieńskiej. Śmierć prezesa firmy „Antaries”, Stanisława Driemowa, łączono z jego powiązaniem zawodowymi.

Dobre i to.

Wyrzuciłam przeczytane gazety do pobliskiego śmietnika i zaczęłam przeglądać „Petersburską Anomalię”. „Anomalia” ukazywała się raz w tygodniu. Ostatni numer był zatwierdzony do druku wczorajszej nocy, dlatego też nie zawierał żadnej informacji na temat śmierci Olewa Kiwi. Za to na drugiej stronie, w rubryce „Z życia gwiazd”, znalazłam swoje, beznadziejnej jakości, zdjęcie. To samo, które ten idiota zrobił mi podstępem w toalecie „Europy”. Zostałam uchwycona w półobrocie, górna część twarzy była zniekształcona, a dolna - rozmazana. Poza tym wyglądałam jak otumaniona paniusia z jajowatą głową. Pod fotografią umieszczono notatkę zatytułowaną „Z wiolonczelą w łóżku”.

To było do przewidzenia.

Początek krótkiego artykułu okazał się dość zabawny: „Maestro Olew Kiwi, który rok temu stracił żonę (o czym informowaliśmy już naszych czytelników), zrzucił w końcu żałobną maskę. Wczoraj przybył do Petersburga z występem gościnnym i już tego samego wieczora widziany był przez naszego korespondenta w restauracji hotelu »Europa« w towarzystwie młodej kobiety. Maestro ukrywa imię swojej nowej wybranki. Wiadomo tylko, że lubi ona ciemną szminkę i muskat »Miralva«...”

Kurat!

Nie byłam w stanie doczytać tego do końca. I bez tego patetycznego pieprzenia wiedziałam, jaki tytuł będzie nosić kolejne dzieło ruchliwego, niczym pomyje w śmietniku, „naszego korespondenta”.

»W łóżku z mordercą”.

„Petersburska Anomalia” trafiła tam, gdzie było jej miejsce: do zaplutego, brudnego, pokrytego petami śmietnika. Podniosłam się z ławki, ostrożnie ominęłam znudzonego gliniarza, stojącego obok kiosku z kwiatami, i podeszłam do wystawy sklepu „Petersburskie Starocie”. I pokazałam sobie w szybie środkowy palec.

Krótką fryzurą, okulary przeciwsłoneczne na czubku głowy, opaska na lewym nadgarstku, rozmamłana koszulka, ufajdane dżinsy i wojskowe buty - idealnie nadające się do podboju Mont Blanc, a nie wdowców-wiolonczelistów. Nie miałam absolutnie nic wspólnego z tą „kobietą w czerwonym”, która ulotniła się wczoraj z pokoju Olewa Kiwi.

Nigdy nie używałam ciemnej pomadki. Nigdy nie nosiłam czerwonych sukienek. Nigdy nie strzygłam się na pazia. W życiu nie słyszałam o hiszpańskim muskacie „Miralva”. A poza tym nie mam piwnych oczu, tylko zielone. Tak więc to nie byłam ja. Gliny będą musiały się zadowolić soczewkami, które zostawiłam w hotelowej łazience.

Nigdzie nie figurują również moje odciski palców...

W tym miejscu mnie zastopowało i o mało nie zemdlałam. Z trudem zdołałam utrzymać się na nogach i tylko cudem nie wybiłam tą swoją kretyńską, ciężko kapującą, aczkolwiek twardą mózgownicą witryny „Petersburskich Staroci”.

Odciski... no tak... figurują!

Sześć lat temu... Tak, równo sześć lat temu, prawie co do dnia (a raczej, co do nocy), zostałyśmy zatrzymane (z Montezumą) przez rozjuszoną tallińską POLITSEI jako element przestępczy, stanowiący zagrożenie dla duchowego i fizycznego rozwoju estońskiego narodu. Zwykle podobny „element” traktowano z przymrużeniem oka. Jednak my byłyśmy rosyjskojęzycznymi dziwkami, więc nie należałyśmy do tej nietykalnej grupy społecznej.

Montezuma, z właściwym dla niej wschodnim temperamentem, natchmiał wdała się w burzliwą dyskusję z organami władzy. Pyskówka przeszła w równie burzliwą bójkę. Zabrano nas na komisariat, gdzie nieobywatelka Republiki Estońskiej Karine Surienowna Arzumianian z miejsca zaczęła obrażać policjanta.

- Panie komisarzy, czy u was przypadkiem nie pracują krewni senatora McCarthy'ego?

- Skąd przyszło to pani do głowy? - tęgi, podstarzały komisarz był nastawiony do nas dość łagodnie. W przeciwieństwie do swoich podwładnych.

- Podobno senator pod koniec życia postradał zmysły i wyskoczył z okna z okrzykiem „Ruskie idą!”.

Chociaż nie zrozumiałam jej szyderstwa, popatrzyłam na nią z niemym uwielbieniem. Za to komisarz bardzo dobrze rozumiał. Zdjęto nam odciski palców i dopiero po tym z wielkim hukiem wyrzucono na ulicę. Po dwóch dniach już o tym nie pamiętałam. A teraz, po upływie sześciu lat, przypominałam sobie minione wydarzenia. Cholera! Gdyby Olew Kiwi był chociaż obywatelem jakiegokolwiek innego kraju!

Ale niestety był Estończykiem i na pewno gliny „podążą estońskim tropem”, jak lubią się wyrażać w filmach akcji. I w ten sposób znajdują mnie, Warwarę Andriejewnę Sulejmienową... wykonywany zawód - myślnik... ostatnie miejsce pracy - firma „Antaries”. Ta sama, której prezesa zabito w niewyjaśnionych okolicznościach. I - dziwnym trafem - Warwarę Andriejewnę widziano w pobliżu obu miejsc zbrodni. Uchwyć się wersji, zakładającej początek krwawego dramatu w Tallinie. Zaczną nachodzić Dimasa, potem Montezumę...

Montezumę, która natchnęła mnie swoimi słowami:

„Żeby się oczyścić z zarzutów, trzeba znaleźć prawdziwego sprawcę”. Nie widać żadnego światełka w tunelu. Dobrze, że chociaż tunel jest.

Jeszcze raz spojrzałam na swoje odbicie, odeszłam od witryny i ruszyłam w stronę jezdni.

Dopiero trzeci z kolei taksówkarz orientował się w planie miasta na tyle, że zgodził się wypełnić bliżej niesprecyzowaną prośbę podwiezienia mnie do tunelu przy porcie morskim. Przejechaliśmy w pobliżu stoczni na Prospieckie Admiraltyjskim, skręciliśmy z Fontanki na zapuszczony Bulwar Ryżski i płynnie wjechaliśmy w strefę portową. Wokół rozciągał się rząd odpychających administracyjnych gmachów na przemian z jakimiś składami i magazynami. Jedyłą jasną plamą na horyzoncie był hotel marynarki wojennej z zaparkowanymi przy nim taksówkami. Jeśli byłabym początkującą dziwką, na pewno spróbowałabym tu swojego szczęścia.

Już od dzieciństwa uwielbiam marynarzy.

Nie dane mi było jednak oddanie się marzeniom. Kierowca minął jeszcze jedną ulicę - obfitującą w najprawdziwszych Murzynów w czapkach z daszkiem - i po jakichś stu metrach popatrzył na mnie pytająco.

- Jesteśmy na miejscu. Tunel.
- A przez ten tunel nie można przejechać?
- Można. A czego właściwie pani szuka?
- Wyspy Kanonierskiej.
- Właśnie za tym tunelem będzie Kanonierska.
- A są tam jakieś domy mieszkalne?

Kierowca nie raczył mi odpowiedzieć, jedynie wzruszył ramionami.

- No dobra, niech mnie pan przewiezie przez tunel. A dalej sama już sobie jakoś poradzę...

Opuściłam wytworne auto na niewielkim placu, przylegającym frontem do zatoki. Z drugiej strony, w cichej zatoce, stało mnóstwo holowników, dźwigów i kotłów mazurowych. Przedemną natomiast piętrzył się dziewięciopiętrowy dom. Po chwili prowadziłam już serdeczną rozmowę z ożywioną grupką, składającą się z trzech bezdomnych.

- Co to za ulica, panowie? - zapytałam grzecznie, przyciskając do siebie torebkę z dwiema tonami dolarów.

- To nie ulica. To Kanonierska - wyjaśnili. - Na tej wyspie nie ma ulic, są tylko domy. A jakiego numeru szukasz?

- Piątki.

- No to idź do końca. Na pewno się nie zgubisz - machnęli równocześnie w stronę kilku wieżowców, majaczących na horyzoncie.

Skrzywiłam się, słysząc to dwuznaczne wyrażenie „idź do końca”.

Całe szczęście, że sponiewierana wizytówka Siergieja Sinienki nie kłamała. Dobrze i to. Zgodnie z radą skręciłam w zieloną alejkę. Po jej obu stronach stały dwupiętrowe baraki. Nie zwróciłam na nie większej uwagi, gdyż mój wzrok przyciągnął inny widok. Po przeciwległej stronie alei mieściła się odnoga portu morskiego. Przepływały tamtędy drobniowce, drewnowce i inne wspaniałe olbrzymie statki z najróżniejszymi flagami.

Och, gdybym była początkującą dziwką... Boże, ile bym dała za to, żeby móc być teraz początkującą dziwką!

Dom numer pięć - jeden z czterech wieżowców - znajdował się najbliższej zatoki. Weszłam do klatki, o mało nie pośliznęłam się na czyichś wymiocinach i czym prędzej wskoczyłam do windy. Podczas gdy ta,

skrzypiąc i trzeszcząc, wiozła mnie na górę, dokonałam prostych (nawet jak dla mnie) matematycznych obliczeń i wyszło mi, że mieszkanie Siergieja Sinienki powinno znajdować się na samej górze - na szesnastym piętrze.

Tak właśnie było.

Tabliczkę z numerem „96” przymocowano do najbardziej obdrapanych na całej klatce schodowej drzwi. A na futrynie widniał piękny napis „ZAPŁADNIACZ”.

„No nie, jeszcze jeden utrudzony fiutek” - pomyślałam, po czym wcisnęłam dzwonek.

* * *

Siergiej Sinienko stanął przede mną w pogniecionych satynowych majtkach i koszulce z obrazkiem przedstawiającym kopulację zwierząt.

- Cześć - powiedziałam, uważnie przyglądając się stosunkowi dwóch kangurów. - Zapładniacz?

- Słucham?

Zamiast odpowiedzieć podałam mu jego własną wizytówkę.

Od razu ją rozpoznał, gorzej było z moją osobą. Usiłował mnie sobie przypomnieć, ale widać było, że mu to nie wychodzi. Cóż, kolejny punkt na moją korzyść.

- Będziemy tak stać w progu? - powiedziałam zniecierpliwiona.

- Proszę wejść.

Nie czekając, aż zamknę za sobą drzwi, Siergiej poszedł do kuchni, po drodze podciągając spadające mu z tyłka majtki. Nie pozostawało mi nic innego, jak pójść za nim.

Kuchnia stanowiła idealne dopełnienie gospodarza: mała i błada, z tradycyjną obecnością karaluchów. Wszędzie wałała się karma dla kotów. I to w najróżniejszych postaci. Od suchej karmy po mięso z puszki. Siergiej powrzucał do miski, stojącej obok kubła na śmieci, zawartość kolejnych opakowań. Po czym usiadł na koślawym taborecie i głośno zawołał:

- Chodź tu!

- Już tu jestem.

- To nie do pani. Chodź tu!

- ???

- Chodź tu! - szalony reporter wciąż krzyczał mi do ucha. - Chodź!!!

Usłyszałam miauczenie, a po chwili pomiędzy moimi nogami przebiegł kot, który kiedyś, za dobrych czasów, był pewnie angorski.

- Jedz, Chodźtu, kochanie - zaszczebiotał Siergiej. - Jedz, mój mały!

- Jak się wabi? - zapytałam zaskoczona.

- Wabi się Chodźtu. A pani co za jedna? I po co pani tu przyszła? - dla mnie nie był tak miły, jak dla wyliniałego kocura.

- Ja z poufną informacją.

Błada dziennikarska ćma wyraźnie się ożywiła i energicznie podrapała w pachwinę.

- Aha. Handel dziecięcymi organami do Rumunii?

- Niezupełnie.

- Pedofilia wśród urzędników administracyjnych?

- Nie.

- Szczury-mutanty na stacjach metra? Rodzina kanibali z Siertołowa? Zarznęli i zjedli agenta sprzedaży nieruchomości...

- Znowu pudło.

W ten sposób będę tu sterczeć przez cały dzień. Zanim on wyliczy wszystkie podniecające dla tych walniętych obłąkańców z „Petersburskiej Anomalii” tematy, ja się zupełnie zestarzeję!

- Niech pani poczeka... Kiedy dałam pani swoją wizytówkę?

- Przedwczoraj. W damskiej ubikacji hotelu „Europa”. Szwendął się tam pan przez cały wieczór.

Siergiej zmienił się na twarzy. Popatrzył na mnie uważnie. Widać było, jak w myślach zmienia mi makijaż i ubiera w czerwoną suknię. Jeszcze tylko inny kolor oczu, długość włosów... i wreszcie sobie przypomniał.

- To... pani?!

Kiwnęłam głową.

W tym momencie jego prawa ręka odruchowo i całkowicie niezależnie od swojego właściciela wyciągnęła się w stronę rozklekotanego, owiniętego taśmą izolacyjną telefonu.

- Nie teraz - warknęłam.

- Aha. Rozumiem. Proszę chwilę poczekać. Zaraz wrócę.

To powiedziawszy, wypadł z kuchni. Nie zdążyłam nawet mrugnąć jednym okiem, gdy już był z powrotem.

W rękach ścisnął dyktafon (również owinięty taśmą izolacyjną), a na jego piersi wisiał znany mi już aparat fotograficzny. Uruchomiony dyktafon natychmiast znalazł się na stole.

- Proszę mi opowiedzieć - łamiącym się głosem wymamrotał reporter.

- O czym?

- O tym, jak zabiła pani Olewa Kiwi. Bo przecież po to tu pani przyszła? Żeby publicznie przyznać się do winy?

- Przyznać?!

- Dobrze, że zwróciła się pani do niezależnego dziennikarza, a nie oddała się w ręce władz... Co popchnęło panią do tej zbrodni? Może to są jakieś stare porachunki? A może działała pani w stanie afektu?

Jeśli mu zaraz nie przerwę, to zaleje go własny potok krasomówstwa.

Uniosłam rękę, dając mu do zrozumienia, żeby się przymknął. Na szczęście zrozumiał i zamknął gębę. Wzięłam dyktafon i zaczęłam obracać go w dłoni.

- Do czego mówić?

- A wszystko jedno do czego...

- Dobrze.

Dyktafon trzeszczał tak, jakby miał lada chwila pęknąć albo może porzucić taśmę, którą był pooklejany. Przybliżyłam go do twarzy, po czym powoli powiedziałam:

- Ja, Warwara Andriejewna Sulejmienowa...

Sinienko wytrzeszczył oczy (dobrze, że mu nie wypadły z głowy). Język, który wywalił aż na brodę, miał pokryty białym nalotem. Przypominał mi wściekłego psa, który dwa lata temu o mało nie pogryzł Stasa Driemowa.

- ...w pełni zdrowa na umyśle oficjalnie oświadczam...

Pieprzony reporterzyna zaczął się jakoś dziwnie zachowywać: miał przerywany oddech, który ze świstem wydobywał mu się z płuc. A ręka, pozostawiona sama sobie, zaczęła nagle wykonywać posuwiste ruchy w okolicach... Wiadomo jakich. Cholera jasna, jeszcze trochę i będzie miał orgazm! Jak ja nienawidzę tak szybkiej ejakulacji!

Żeby do tego nie dopuścić, przysunęłam się jeszcze bliżej dyktafonu i warknęłam:

- ...oficjalnie oświadczam: NIKOGO NIE ZABIŁAM!!!

Twarz Sinienki wykrzywiła się w gniewnym grymasie, po czym stała się blada jak ściana. Po chwili zaczęły pokrywać ją wypieki. Nic dziwnego. Co za gnida ze mnie! Przerwałam mu w ostatniej fazie. A dobrze mu tak. Świnia i zbrojeniec!

- Jak to „nie zabiłam”?

- A tak to. Nie zabiłam i tyle.

- Ale to niemożliwe...

- Możliwe. Jeśli zamkniesz gębę, to postaram ci się to jakoś wyjaśnić.

Niestety, widziałam wyraźnie, że nie przyjął tego do wiadomości. Dla niego byłam morderczynią. Koniec. Kropka.

- Musiała go pani zabić - usiłował mnie przekonać. - Pani nie mogła go NIE zabić! Byłem tam. Byłem tam przez cały wczorajszy dzień. Jeśli się mnie pani boi...

Jasne, nie mam już się kogo bać, tylko bęcwałowatych reporterów.

- Nie zabiłam go.

- Ale ja rozmawiałem z naocznymi świadkami - burknął i zaczął wyginać palce. - Najpierw z jego rzecznikiem prasowym. Powiedziała mu pani, że Olew Kiwi za chwilę do niego wyjdzie. A przecież musiała pani wiedzieć, że on już nie żyje. Jeśli naprawdę nie zabiła go pani, to dlaczego pani skłamała?

- A co ty byś zrobił na moim miejscu? Wyobraź sobie, że budzisz się i widzisz leżące obok ciało, martwe ciało!?! Jak byś się w takiej sytuacji zachował?

Głupie pytanie. Doskonale wiedziałam, jak postąpiłby ten fanatyk: na dobry początek wypstrykałby całą kliszę na uwiecznienie przerażających zwłok. Następnie zadzwoniłby do redakcji i rzeczowo przedstawił zaistniałą sytuację. A w końcu zacząłby nagrywać na ten swój cholerny dyktafon kolejny artykuł... Tyle że on nie był prostytutką oskarżoną o morderstwo... A ja tak...

Siergiej nie dawał za wygraną.

- Widziała panią ochrona. Wieczorem, kiedy przyjechaliście oboje. I rano, kiedy wyjeżdżała pani sama. Co pani na to?

- Nie przeczę, tak było.

- Poza tym zmarły zamówił do pokoju lekką kolację. Kelner, który ją przyniósł, zauważył kobietę. I dość dokładnie ją opisał. Jego opis całkowicie zgadzał się z opisem ochroniarza.

- Przecież już powiedziałam: byłam tam. To normalne, że wszyscy mnie widzieli...

- Idźmy dalej. W hotelu nie było znów aż tak dużo osób. I żadnych obcych.

- A jeśli ktoś przedostał się z ulicy... Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że okna były otwarte.

- Wykluczone! - Siergiej aż parsknął. - Po pierwsze, hotel jest strzeżony. Na całym terenie porozstawiane są kamery wideo. Mucha się tam nie przemknie niepostrzeżenie. Nie mówiąc o człowieku. Raz jeszcze pani powtarzam: tej nocy nikt obcy nie kręcił się na terenie hotelu. Nikt oprócz pani.

- Zatem mordercy należy szukać wśród personelu. Albo gości.

Reporter popatrzył na mnie z politowaniem i popukał się po głowie.

- Personel przeszedł staranną selekcję. Goście są szanowanymi obywatelami. Niektórzy z nich - to znane osobistości. A pani kim jest?

Rzeczywiście, kim ja jestem?

Milczałam. Siergiej postanowił definitywnie mnie dobić.

- Sam widziałem panią w tej restauracji. Podrywała pani Olewa Kiwi, to więcej niż pewne. Tego wieczoru miała pani inną fryzurę i inny kolor oczu. Zgadza się?

Milczałam.

- Tak *à propos*, w łazience znaleziono kolorowe szkła kontaktowe.

- Skąd panu przyszło do głowy, że to ja je tam zostawiłam?

- Jeśli nie pani, to kto? Olew Kiwi? Niech mi pani powie, po co miałby zmieniać kolor oczu?!

Miażdżący argument.

- Jeśli jest pani niewinna, to po jaką cholerę zmieniła pani swój wygląd zewnętrzny? - Siergiej ostrożnie zbliżył się do mnie i położył mi rękę na ramieniu. - A w ogóle, ile to już razy go pani zmieniała?

Nie wytrzymałam. Z oczu popłynęły mi zdradzieckie łzy. Zaraz cały tusz się rozmaże i będę miała cienie pod oczami. Odruchowo wytarłam oczy i dopiero wtedy przypomniałam sobie, że nie mam makijażu. Już od wczoraj. Po raz pierwszy od wielu lat nie byłam w gotowości bojowej.

- Niech się pani uspokoi - w głosie reportera słychać było protekcyjny ton. - Niech się pani uspokoi i opowie mi, co tak naprawdę się wydarzyło. Dlaczego go pani zabiła?

Jako niewinna ofiara zbiegu okoliczności nie zainteresuję tego maniackalnego dziennikarza. Nie kiwnie nawet palcem, żeby pomóc, uwiłkanej przez przypadek w morderstwa, idiotce. Co innego jako zabójczym... na dodatek znanej osoby! Ociekająca krwią tajemnica, niejasne motywy zbrodni - jaką fabułę można byłoby na tym zbudować! Jaką książkę napisać! Ciekawe, czy on kiedyś myślał o napisaniu książki?

Dla mordercy, który sam do niego przyszedł, ten zboczeniec będzie gotowy na wszystko. Byle tylko zdobyć sensacyjny materiał na kolejny artykuł, o którym wszyscy i tak lada dzień zapomną. Zapomną tak, jak się zapomina o zużytych prezerwatywach.

Tak, będzie gotowy wszystko dla mnie zrobić. I właśnie o to mi chodzi...

Wyłączyłam bezużytecznie kręcący się dyktafon i powiedziałam pośpiesznie:

- To długa historia.
- To nic, mam czas. Mam mnóstwo czasu.
- Pomożesz mi?
- Oczywiście!

Sinienko napuszył się jak paw, otworzył szafkę nad okapem i wyciągnął z niej pękatą butelkę.

- A to co znowu? - zapytałam zdziwiona.

- „Chianti”. Wszystkie kobiety-morderczynie lubią wina dobrej jakości. A ty jesteś taka wymagająca... Zgadza się?

Był chyba jeszcze większym kretyńcem, niż mi się z początku wydawało.

- A wódki nie masz?

Zaskoczyłam go. To całkowicie przeczyło jego wyobrażeniom o „kobietach-morderczyniach”. Skrzywił się niezadowolony, ale wyciągnął wódkę.

- Tu będziemy pić? - zapytałam.

- Możemy w pokoju...

Pokój Siergieja, podobnie jak kuchnia, był całkowitym odzwierciedleniem niechlujnego gospodarza: siermiężna prostota umeblowania, minimalna ilość przedmiotów i wylażący z każdego kąta syf. Pewnie nigdy tu nie sprzątał.

Skąpa garderoba Sinienki wystawiona była na widok publiczny: wszystko wisiało na gwoździach wzdłuż ścian - pomiędzy lornetką, szelkami, flagą miasta Turku i dziecięcymi dwupłozowymi łyżwami. A na rozbebeszonej kanapie, w zatęchłej, stojącej na baczność z brudu bieliźnie walał się cholerny kot.

- Chodźtu, spadaj stąd! - krzyknął Siergiej, zgonił kota i wykonał zapraszający gest ręką. - Niech się pani rozgości.

- Pchły są? - z niejaką obawą popatrzyłam na ten relikw.

- Już nie. Wytępiłem. Proszę się nie martwić i spokojnie usiąść.

Przysunął do kanapy nie do końca ociosany kozioł, który służył mu najwyraźniej jako stolik, i postawił na nim butelkę wódki.

- A zakąska?

- Moment...

Wcale się nie zdziwię, jeśli na zakąskę przyniesie mi tu zaraz karmę dla kota. Po nim można się spodziewać wszystkiego.

W czasie, gdy Siergiej krzątał się w kuchni, uważniej przyjrzałam się tej jego norze. Z mebli nie było tu nic oprócz kanapy i kozła. Nie miał nawet najzwyczajszego w świecie krzesła. Za to większą część pokoju zajmowały długie i wysokie - aż do samego sufitu - stelaże.

Na stelażach, ciasno do siebie przytulone, stały te czki: grube, cienkie, z tasiemkami i bez. Wszystkie poustawiane według alfabetu i zaopatrzone w tekturowe tabliczki. Niektóre z nich zdołałam nawet odczytać:

„SPRAWA W TAMBOWIE”, „SPRAWA W KAZANIU”, „SERYJNY MORDERCA - CHIKATIŁO”, „KUBA-ROZPRUWACZ Z SOŁNCEWA”, „POSZLAKI W SPRAWIE MECHANIKA SAMOCHODOWEGO”...

Ciekawe, co też mu się śni - w takich warunkach... Wkrótce pojawi się tu i moja teczka, jeśli oczywiście jeszcze jej nie ma. Tylko jak będzie zatytułowana?

„WIOLONCZELISTKA”? „DWULICOWA DZIWKĄ”?

Siergiej, który pojawił się w drzwiach z talerzem smażonej ryby w rękach, przerwał moje przygnębiające rozmyślenia. Postawił rybę na kozle, rozlał wódkę do kieliszków i zaczął się na mnie gapić: pewnie w oczekiwaniu toasty.

- No to - powiedziałam - chlup! Za nową znajomość.

- Pani zdrowie!

No tak, zdrowie będzie mi potrzebne. W pace często są przeciągi...

- Mówmy sobie na „ty”.

- Dobrze - zgodził się bez najmniejszego oporu i wychylił kieliszek.

Podążyłam za jego przykładem. Wódka była ohydna, prawdziwy denaturat.

- Jestem podejrzana?

- Trafnie to pani ujęła - Siergiej uśmiechnął się rozbrajająco.

- A zdjęcie... - przypomniałam sobie swoją zniekształconą podobiznę w rubryce „Z życia gwiazd”.

- Musiałem udostępnić je milicji, przepraszam. W zamian za, jak by to powiedzieć... za przepustkę w krąg wtajemniczonych. Ale i bez tego sporządzili portret pamięciowy. Nawet nieźle im to wyszło.

- Widziałam.

- Jeszcze po jednym? - ze współczuciem dotknął mojego ramienia.

- Możemy. A kto prowadzi śledztwo? Ktoś w miarę rozsądny?

Sinienko wyciągnął się w moją stronę, wyszarpnął spode mnie swoje dżinsy i wyjął z nich podniszczony notes.

- Starszy śledczy - Jurij Kiriakow. Niegłupi facet.

Jurij Kiriakow. Juri. Mąż Kaje. Zakochany pawian. Jego punkt widzenia jest mi już znany.

- Najprawdopodobniej sprawę przejmą wyższe władze. Włączy się do tego FSB...

Denaturat, który zamierzałam właśnie przelknąć, gwałtownie mi się cofnął. Zakrztusiłam się.

- FSB?! A po co?

- No co ty! - Siergiej dobrodusznie poklepał mnie po plecach. - Ty myślisz, że kogo zaszlachtowałaś? Wujka Gienka z podrzędnej knajpki? Nie! Olewa Kiwi - wybitną postać. Wywołałaś międzynarodowy skandal. Postępowe społeczeństwo domaga się twojego skalpu. Ta zniewaga krwi wymaga. Sama doskonale powinnaś to rozumieć.

Pewnie, że rozumiem.

Po raz kolejny zebrało mi się na płacz i zaczęłam pociągać nosem.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło. I gdzie jest narzędzie zbrodni?

- Zabrałam ze sobą.

- Zuch dziewczyna! - popatrzył na mnie ze źle ukrywanym zachwytem. - A potem wyrzuciłaś do rzeki?

- No tak.

- I słusznie. Też bym wyrzucił. Nie ma narzędzia zbrodni - nie ma przestępstwa.

- Tak sądzisz?

- Nie, no oczywiście przesadziłem. Ale bez głównego dowodu będą mieli problem. Pokażesz, gdzie wyrzuciłaś?

- Pokażę.

- Świetnie. Zadzgałaś go nożem, tak?

- Tak. Nożem.

- A czym on sobie tak nagrabił u ciebie?

- To jest związane z jego żoną - najwyższa pora sprowadzić Siergieja na odpowiednie tory.

Sinienko rozchylił usta, przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, po czym klepnął się w czoło.

- Cholera! No jasne! Teraz dopiero do mnie dotarło, dlaczego w „Europie” wydawało mi się, że gdzieś już cię widziałem... Byłaś podobna do jego żony! Specjalnie to wszystko ukartowałaś? Mam na myśli to spotkanie.

- Tak- powiedziałam zgodnie z prawdą.

- Dlatego tak ogłupiał, kiedy cię zobaczył! No tak! Widać było, że dostał małego rozumu... Poczekaj, gdzieś miałem jej zdjęcie...

Zerwał się i rzucił w stronę stelaży. Wstrzymałam oddech. Jeśli Siergiej ma dossier Ałły Kodriny, to moje pojawienie się tutaj okaże się jedynym słusznym posunięciem.

Sinienko wyjął z jednej z górnych półek grubą teczkę, otworzył ją i wyciągnął kopertę z plikiem fotografii. Następnie odłożył teczkę na swoje miejsce i stanął przy mnie.

- Spójrz tylko.

Wydobył zdjęcia z koperty i podał mi jedno z nich.

To, co zobaczyłam, zmroziło mi krew w żyłach. Na leżącym przede mną zdjęciu uwieczniona była żona Kiwi. W życiu nie widziałam czegoś równie okropnego. Drżącą ręką chwyciłam butelkę z denaturatem. Dopiero po wlaniu w siebie całkiem przyzwoitej ilości palącego płynu byłam w stanie raz jeszcze spojrzeć na pośmiertną podobiznę kobiety. Bo to tyło zdjęcie zrobione po jej śmierci. Siergiej musiał je dostać od milicyjnego fotografa. Żona wiolonczelisty nie zmarła bowiem w wyniku

nieszczęśliwego wypadku. Ani, tym bardziej, nie była to śmierć z „przyczyn naturalnych”.

Ona została zabita.

Świadczyła o tym wielka rana na potylicy. Ała Kodrina leżała na brzuchu, twarz miała skierowaną do podłogi. Leżała w kałuży własnej krwi.

Siergiej zajął mi przez ramię i zręcznie wyrwał z rąk fotografię.

- Nie, to nie ta. Tu nie widać twarzy. Poczekaj...

Raz jeszcze przejrzał wszystkie zdjęcia, po czym podał mi dwa - na szczęście nie tak krwawe, jak poprzednie. Tym razem Ała leżała na plecach. Wyglądała zupełnie, jakby spała. Ciemne plamy rozlanej dookoła jej głowy krwi wyglądały jak rozrzucone włosy. Jej piwne oczy były szeroko otwarte, a brwi lekko uniesione do góry. Na ustach zastygł uśmiech. Ten uśmiech coś mi przypominał... Pewną konkretną sytuację... Jednak postanowiłam, że nie będę o tym teraz myśleć. To nie czas ani miejsce.

Druga fotografia stanowiła niemal idealną kopię pierwszej, z tym, że ujęcie było szersze. Piersi kobiety jakoś mnie nie zachwyciły. Mówiąc wprost, nie miałyby co robić w naszym fachu. Chociaż niektórym facetom się podoba...

- No i jak? - Sinienko po raz kolejny przerwał moje rozmyślenia.

- Pryszczki - przymrużyłam oczy. - Jakby tak posmarować maścią cynkową, to w ciągu tygodnia znikną.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Siergiej.

- O jej cyckach - powiedziałam z przyzwyczajenia. I natychmiast się zreflektowałam. Jeszcze tego brakowało, żebym wygadała, czym się zajmuję.

- Zabierz je, proszę - postanowiłam się zrehabilitować i dla lepszego efektu głośno pociągnęłam nosem. - To okropne, okropne...

- Jasne, przepraszam. To nie jest widok dla osób o słabych nerwach. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ty.

Ciekawe, co też on myśli? Kim, jego zdaniem, była dla mnie zmarła? Co podpowiada mu ten jego, rozpalony do czerwoności, umysł? Trzeba zmienić tok jego rozumowania, żeby przestał mnie uważać za kochankę denatki, ale jednocześnie nie poczuł się rozczarowany. Moja wizyta w „Europie” nie była przypadkowa i on o tym wiedział. Wiedział również (nawet głupiec by to zauważył), że usiłowałam upodobnić się do zmarłej.

A zatem, logicznie rzecz biorąc, musiałam ją znać. No dobra, ale co dalej? Co dalej? Myśl, głupia, myśl! Przez całe życie nie nadwerężałam mózgowicy tak, jak przez ostatnią dobę. Z tego wysiłku jeszcze dostanę wylewu...

No co dalej, cholera jasna?

Spojrzałam z ukosa na Siergieja.

Sądzę, że mam dwa wyjścia. W jednym z nich moim celem jest Kiwi, w drugim - jego zmarła żona. W pierwszym przypadku wykorzystałabym podobieństwo do Ałły, żeby zbliżyć się do wiolonczelisty (z jakichś tam bliżej nieokreślonych powodów). Wtedy ona byłaby środkiem do osiągnięcia celu.

W drugim przypadku - także wykorzystałabym podobieństwo do Ałły. Tym razem jednak po to, żeby pomścić jej śmierć. Wtedy wystąpiłaby jako cel.

Druga opcja wydawała się o wiele lepsza. Przedstawiała mnie w korzystniejszym świetle. Morderstwo z zemsty ma swój smaczek... To się powinno spodobać redaktorkowi. Postanowiłam to wykorzystać. Tym bardziej, że Sinienko najwyraźniej doszedł do podobnych wniosków.

- Były panie przyjaciółkami? - zapytał ostrożnie.

Nie, „przyjaciółkami” - to lekka przesada. Z jakiej paki miałabym się mścić za przyjaciółkę? Przecież są od tego odpowiednie władze. Normalna przyjaciółka poczekałaby na wyniki śledztwa, a później w czasie świąt odwiedzałaby rodziców zmarłej...

- Nie - odchyliłam się w bok i o mało co nie przygniotłam cholernego Chodźtu, który niepostrzeżenie wskoczył na kanapę. - Byłyśmy więcej niż przyjaciółkami.

Siergiej wydał nozdrza. Już widziałam te skandaliczne nagłówki, które z wielkim rozgłosem ukażą się w najbliższej „Petersburskiej Anomalii”.

- Byłyśmy więcej niż przyjaciółkami - powtórzyłam. - Byłyśmy siostrami.

- Jakimi siostrami? W Chrystusie Panie?

- Nie. Rodzonymi.

- A niech mnie! - Sinienko aż gwizdnął przez zęby. - No i?

- Jestem pewna, że to on... on zabił Ałłę... Niestety, sprawa nie została wyjaśniona. Do tej pory nie wykryto mordercy - poszłam na całość.

Przypomniałam sobie bowiem moją ostatnią rozmowę ze Stasem, w której napomknął o śmierdzącej historii ze śmiercią Kodriny.

- Nie wykryto - potwierdził.

Dzięki Bogu! Lecimy dalej.

Udawanie gniewu przyszło mi z największą łatwością. Czyż wielokrotnie, w swoim dotychczasowym życiu, nie udawałam orgasmów? Gniew przy tym to pikuś.

- Wykorzystał swoją pozycję w społeczeństwie... był nie do ruszenia... Nie mogłam dłużej czekać, chciałam stanąć z nim twarzą w twarz...

- Świetnie! - Siergiej szczerze poparł mój patos. - Sąd ci uwierzy. Jest tylko mały problem, Ała Kodrina nie miała siostry.

Szczęka mi opadła. Cholera! Skąd on to wszystko wie?! - Jak to nie miała? A ja to co?

- Nie wiem. Brata miała, to wiem na pewno. Filip Kodrin, pracuje w Ermitażu. Zebrałem wszystkie możliwe informacje w tej sprawie. O Warwarze Sulejmienowej nie ma nigdzie żadnej wzmianki. Przykro mi.

- Widocznie coś przeoczyłeś. Jej ojciec ożenił się po raz drugi - byłam święcie przekonana, że każdy normalny facet co najmniej raz w życiu zmienia żonę, nie mówiąc już o ciągłych skokach w bok.

Trafiłam w dziesiątkę. Siergiej wydawał się z lekka skonsternowany.

- Tak głęboko nie kopałem.

- A trzeba było. Jesteśmy przyrodnimi siostrami.

- Rozumiem... - wyciągnął rękę po denaturat. - To co teraz zrobimy?

- Musisz mi pomóc...

- Pomóc?

- W zamian za poufne informacje. Powiem ci wszystko, co wiem... Z najdrobniejszymi szczegółami. Lepszego materiału nie znajdziesz. Wyobraź sobie nagłówek: „Morderczyni gwiazdy światowej sławy”. Tylko ty będziesz znał całą prawdę.

- Zgoda - nie czekając na mnie, wychylił kolejny kieliszek. - Dlaczego nie pijesz?

- Kiepską masz wódkę.

- Sama chciałaś. Proponowałem ci „Chianti”.

- „Chianti” tak z samego rana? A co do twojej pomocy... Węszysz koło tej sprawy, no nie? Rozpracowujesz śledczych i innych drani. Będę ci wdzięczna, jeśli zapoznasz mnie z wynikami śledztwa.

Siergiej skinął, patrząc na mnie zakochanym wzrokiem. Po chwili przeniósł spojrzenie na przedpotopowy budzik i podskoczył jak oparzony.

- Kurde! Co ja tu jeszcze robię?! Za czterdzieści minut mam spotkanie!

Chwycił dżinsy, szybko w nie wskoczył, po czym schylił się i wydobył spod kanapy skarpetki. Parę stojących z brudu skarpet, do których przywarły jakieś paproszki i inne śmiećki. Zawahał się przez moment, po czym podsunął mi pod nos swoje przekłete onuce.

- Jak myślisz, jeszcze się nadają? - zapytał.

Prawie się porzygałam przez ten obrzydliwy zapach. Jechało jak od zdechłej myszy!

- Z raz możesz jeszcze założyć - syknęłam przez zęby, z trudem powstrzymując się od wymiotów.

- Słowo kobiety jest dla mnie święte!

Po dwóch minutach Siergiej był już w pełnym rynsztunku.

- Mam nadzieję, że na mnie poczekaś - powiedział przed wyjściem.

- Poczekać...

- Tam masz pierogi z mięsem. Wczorajsze. I chleb. Będę po południu...

Wstałam z kanapy, ostrożnie zbliżyłam się do niego i chwyciłam za pasek.

- Tylko pamiętaj, Siergiej... Jeśli przyprowadzisz ze sobą gliniarzy... to będzie koniec twojej kariery. Tytuł Najlepszego Dziennikarza Roku możesz sobie wybić z głowy. Nie powiem ani słowa. Zrozumiano?

Siergiej zaczął machać rękami.

- Oszalałaś?! Czy ja wyglądam na durnia - żeby piłować gałąź, na której siedzę?! Będę milczał jak grób!

Wierzyłam mu. Z daleka było widać, że sensacyjne wydarzenia stanowiły sens jego życia. Za odpowiednio pikantną informację sprzedałby własną matkę. A tu taka perspektywa! Nie, Siergiej mnie nie wyda, nawet jeśli bohaterskie gliny zaczną mu wrywać paznokcie.

Wdzięcznie cmoknęłam go w policzek i już po chwili zostałam sama.

Mam sporo do zrobienia.

Najpierw spędziłam kota ze stelaża i sama się tam wdrapałam w poszukiwaniu dossier Ałły Kodriny.

Siergiej był największym brudasem, jakiego w życiu spotkałam. Jego mieszkanie przypominało chlew, bielizny nie prano chyba z pięć lat, ciuchów nie przyjęłaby w darze żadna dobroczynna organizacja. Nawet Komitet Ratowania Dzieci w Somalii. Ale za to papiery!

Wszystkie dokumenty były utrzymane w idealnym porządku. Od wszystkich tych przerażających historii, zamkniętych w teczkach, wiało nowością. Zbrodnie stanowiły jego świątynię, od której promieniowało jasne światło Chrystusa. Najmniejszej drobiniki kurzu na świętych ikonach.

Odsunęłam na bok zasmrodzoną pościel, usiadłam, rozwiązałam taśmę czerwonej teczki i zagłębiłam się w lekturze tragicznej historii Ałły Kodriny.

Po upływie pół godziny znalazłam już wszystkie szczegóły sprawy. Zwłoki Ałły Donatowny Kodriny, urodzonej w 1968 roku, obywatelki Rosji, znaleziono na osiedlu Kukkariewo w domu rodziców ofiary. Rodzice Kodriny zmarli przed kilkoma laty, brat Filip mieszka w Petersburgu, przy ulicy Barmalejewa, w domu swojej żony, Jany Soszalskiej.

Latem dom, w którym rozegrała się cała tragedia, był wykorzystywany w charakterze dachy. Czasami przyjeżdżano do niego również zimą - na weekend - jednak przez większą część roku stał pusty. Ciało Kodriny znalazł jej brat z żoną, którzy przewozili właśnie rzeczy na lato. To oni wezwali milicję.

Prokuratura ustaliła, iż do momentu znalezienia zwłok Ałła Kodrina nie żyła już od ponad dwóch dni. Ani Filip, ani jego żona nie mieli pojęcia o jej przyjeździe do Rosji. Przez kilka ostatnich lat mieszkała bowiem wraz z mężem poza granicami kraju. A dokładnie w Tallinie oraz Wiedniu.

Wersja zabójstwa na tle rabunkowym okazała się nieprawdziwa: w neseserze podróżnym denatki znaleziono dość pokaźną sumę w obcej walucie. Nie zginęło nic z jej biżuterii, wszystkie rzeczy i dokumenty były na swoim miejscu.

Kodrina przyleciała z Wiednia w dniu zabójstwa (kopia biletu załączona do akt). Na lotnisku „Pułkowo 2” wzięła taksówkę. Taksówkarz został odnaleziony i przesłuchany. Według jego zeznań, wysadził swoją pasażerkę przy hotelu „Astoria”. Jednak w hotelu się nie pojawiła. Nie miała tam nawet zarezerwowanego pokoju.

Dalej wszelki ślad się urywa.

W pokoju, w którym odkryto ciało, nie udało się zdjąć żadnych odcisków palców - ani zmarłej, ani nikogo innego. Stół przygotowany dla dwóch osób, o czym świadczą dwa nakrycia i dwa kieliszki (również bez odcisków). W krwi ofiary wykryto niewielką ilość alkoholu. Butelka z resztkami mozelskiego wina została załączona jako materiał dowodowy.

Nie udało się ustalić, co posłużyło jako narzędzie zbrodni. Charakter rany świadczył o wykorzystaniu w tym celu jakiejś białej broni: specjalnie zaostrzonego noża, sztyletu bądź kindżału.

Zadano tylko jedną ranę. Śmiertelną.

Mąż ofiary - dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie dawał kilka koncertów w Moskwie - przerwał swoje występy i przyleciał do Petersburga. Oświadczył, że nie miał pojęcia o podróży żony do Rosji. W przeddzień zabójstwa dzwonił do Wiednia i rozmawiał z nią przez telefon, ale ani słowem mu nie wspomniała, że gdzieś się wybiera. Co więcej, Ała Kodrina powinna była wyjechać po męża na wiedeńskie lotnisko dwa dni po jego ostatnim telefonie.

Z uwagi na brak jasnego motywu zbrodni nie udało się nakreślić kręgu podejrzanych. Sprawa utknęła w martwym punkcie...

Wzięłam do ręki ostatnią kartkę. Zawierała doskonale sporządzone podsumowanie sprawy. I tu wyszedł na jaw fakt, który do tej pory pominięto. Otóż na krótko przed śmiercią (dokładnego czasu zgonu nie udało się, co prawda, ustalić) ofiara odbyła stosunek. Śmiertelny cios dosięgnął ją nagą w łóżku.

Zważywszy na obecność dwóch nakryć i kieliszków stojących na stole, nie ma w tym właściwie nic dziwnego. Bo czym jeszcze może się zająć parka po obaleniu butelki wina?

Durny wiolonczelista! Zachciało mu się petersburskiej wiernej żonki!

Podczas, gdy on ślęczał nad wiolonczelą, zarabiając na jej zachcianki i nabawiając się przy tym odcisków na palcach, ona spokojnie popijała sobie wino i pieprzyła się z jakimś samcem. Całkiem niezłe jak na tę niepozorną mysz, którą oglądałam na „marcowym” zdjęciu.

Po raz pierwszy Ała Kodrina wzbudziła we mnie coś w rodzaju współczucia.

Nie na długo jednak, za moment bowiem znalazłam w teczce jeszcze jedną kartkę. Była to kopia spisu biżuterii zmarłej:

1. Złoty łańcuszek (ze skomplikowanym, skręcanym splotem).
2. Złoty wisiorek (znak zodiaku - Waga).
3. Złota bransoleta (z tego samego kompletu co łańcuszek).
4. Złote kolczyki ze szmaragdami (małe wkretki).
5. Złoty pierścionek (zaręczynowy).
6. Złoty pierścionek ze szmaragdem, który obejmowały liście winogrona.

Nie wierzyłam własnym oczom. Stas wręczył mi identyczny pierścionek! Z języczkami w kształcie malutkich listków winogrona, które podtrzymywały kamień.

Czy to był tylko podobny pierścionek, czy też dostałam dokładnie TEN?

Faktem jest, że Kiwi wpadł w szal, gdy go zobaczył.

A jeśli miałam pierścionek zmarłej? Pierścionek, który miała na palcu w momencie, gdy ktoś zadawał jej śmiertelny cios w głowę... to noszę w swojej torebce jedyne go świadka zabójstwa?! Ale jak ten pierścionek mógł trafić do Stasa? I gdzie się podziały pozostałe rzeczy z listy?

Odpowiedź na ostatnie pytanie otrzymałam natychmiast. Według notatek Siergieja Olew Kiwi z niewiadomych przyczyn odmówił zabrania klejnotów. Dlatego przekazano je bratu Ałły Kodriny - Filipowi. Za pokwitowaniem.

Odstawiłam teczkę na swoje miejsce i podeszłam do okna.

Z wysokości szesnastego piętra roztaczał się oszałamiający widok na zatokę, port i nowy kompleks mieszkalny, położony na przeciwległym brzegu. Gdzieś w dole zahuczał mały holownik. Boże, gdybym tu mieszkała, gdybym była na miejscu Siergieja Sinienki i umiała pisać - nigdy nie grzebałabym się w tych wszystkich, ociekających krwią, ludzkich brudach. Pisałabym zupełnie o czymś innym - o tym małym holowniku, o statkach, przycumowanych do pirsów, o pochyłych dźwigach, a nawet o kwiatkach i puchu z topoli.

Puch z topoli - petersburska plaga od początku czerwca aż do końca lipca! Włazi do nosa, wplątuje się w sierść psów, nie daje spokoju nawet nocą. Przy otwartym oknie potrafi wlecieć do pokoju i przylepić się do spoconego tyłka klienta...

Podparłam głowę ręką i roześmiałam się w głos: nie będzie ze mnie łagodnego lirycznego poety. To pewne.

Zresztą, podobnie jak detektywa.

Co z tego, że wiedziałam już, jak zginęła Ała Kodrina, skoro nie przybliżyło mnie to ani o krok do rozwiązania zagadki śmierci jej męża. Jedynie, co mi pozostało, to podążyć śladami tego przekłętogo pierścionka. A prowadzą one prosto do brata zmarłej kobiety. Ciekawe, jaki miał stosunek do swojego słynnego szwagra?

* * *

Dokładnie o ósmej wieczorem usłyszałam trzask drzwi wejściowych. Siergiej, który dość długo krzątał się w przedpokoju, zapukał delikatnie do drzwi i równie delikatnie zapytał:

- Można?

Ton jego głosu z miejsca wzbudził moją czujność: może myśli, że zabawiam się z jego kotem i właśnie w tej chwili poddaję go zuchwałym seksualnym eksperymentom?

- Można? - powtórzył Siergiej.

- Jasne. Przecież to twój dom.

Wszedł zupełnie jak nie on: cichutko i delikatnie. W jednej dłoni dzierzył bukiet gerber, a w drugiej ogromną reklamówkę z naszą kolacją.

- Jak ci minął dzień? - zapytałam tonem kochającej żony.

- Cudownie.

- Co to za kwiaty?

- No tak... - zaczerwienił się uroczo - ...to dla ciebie.

To dla mnie. Jasne. Pewnie od wdzięcznych fanów moich kryminalnych zdolności. Nie mam już żadnych wątpliwości, to prawdziwy zboczeniec.

Tymczasem na stole pojawiła się kolacja. Byłam niezmiernie zaskoczona. Wędzona kielbasa, kawałek jesiotra, suszona połówka wołowa, ser „Dorblu” z uroczym nalotem pleśni. Do tego oliwki i inne smakołyki.

Na końcu zobaczyłam butelkę wódki „Smirnoff”, whisky i tequilę.

- A ta impreza to z jakiej okazji?

- Z twojej - Siergiej złapał się za ucho i w końcu pozwolił sobie spojnie mi prosto w oczy.

Mogę przysiąc, że ujrzałam w nich nieme uwielbienie.

- Tak?

- Jeśli, oczywiście, nie masz nic przeciwko...

Oczywiście, że nie miałam nic przeciwko. Szczególnie, że na pierogi z mięsem, które mi zostawił, połasiłby się jedynie samobójca.

- Alkoholu wzięłam więcej, do wyboru. Mocny. Specjalnie dla ciebie.

- Jestem wzruszona.

Zaczęliśmy od whisky.

Siergiej bez mrugnięcia okiem wlał w siebie dzienną dawkę, przełknął bez apetytu kawałek mięsa i zaczął się na mnie gapić.

- Znałaś Stanisława Driemowa? - zapytał przejmującym szeptem.

W jego ustach zabrzmiało to jak: „Czy zgodzisz się za mnie wyjść, kochanie?”.

Z zaskoczenia aż się zakrztusiłam oliwką. Doszłam do siebie dopiero po przełknięciu pestki.

- Dlaczego o to pytasz? - odpowiedziałam takim samym tonem. W moim wykonaniu zabrzmiało to jak: „Spadaj, kochanie!”.

- Bo mnie okłamałaś.

Proszę, proszę, jacy jesteśmy wrażliwi!

- W jakim sensie - „okłamałam”?

- Ojciec Kodriny nie ożenił się po raz drugi. Był klasycznym przykładem wzorowego domatora. Nie wyszło ci to kłamstwo o przyrodnych siostrach.

A niech mnie! W niezłą rodzinę się wpakowałam: tatulek, typowy pantoflarz, który przez całe życie warował przy pantalonach swojej żony. I rozrywkowa córeczka, która zabawiała się, jak się tylko dało. Szargała dobre imię rodziny, latając z gołym tyłkiem... I tak ją pochłoneły miłosne uciechy, że nie zauważyła, jak ktoś przetrzącił jej kark.

- No i co teraz? - Siergiej nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Skoki w bok wykluczone? - zapytałam rzeczowo.

- Na to wygląda.

Posłałam Siergiejowi dobrze wypracowany prowokacyjny uśmiech. I oblizyłam wargi. Mój nieodzowny chwyt, w stu procentach działający na dokerów w miastach portowych.

- Sam wymyśl. Podobno jesteś dziennikarzem.

- Dzisiaj nadeszła informacja o kolejnej sprawie. Wcześniej ją przeoczono... Na tle zabójstwa takiej znakomitości wszystko inne zeszło na plan dalszy... zresztą sama to rozumiesz.

- Jaka sprawa?

- Zabójstwo prezesa firmy „Antaries”. Taka podrzędna firma, z siedzibą gdzieś na przedmieściach showbiznesu. Jej celem jest zwabianie do kraju podstarzałych, pokrytych kurzem zapomnienia, sław. Krótko mówiąc, to są zwykłe hieny...

Wyczerpująca charakterystyka naszego zespołu. Stas przewróciłby się w grobie, gdyby to usłyszał. No, może w kostnicy, czy gdzie tam teraz leży...

- Bez przesady, jakie znów hieny - wstawiłam się za „Antaries”. - Ludzie robią swoje. I tyle.

- No to znasz go czy nie?

- Nazwisko jest dość popularne... A co mu się stało?

- Powiedziałem przecież, został zamordowany. Tak samo jak Olew Kiwi. I jak żona Olewa Kiwi. Dziurka w skroni. Wybacz, że przypominam.

- Nie szkodzi.

- A wiesz, co jest w tym wszystkim najciekawsze? To, że to ty. Ty go zabiłaś.

Po raz kolejny wypowiedź Siergieja zabrzmiała całkiem inaczej niż powinna. Tym razem nie były to już zwykłe oświadczenia. Tym razem zabrzmiało to jak: „Jeśli mnie zostawisz, nie przeżyję tego. Bez ciebie wszystko traci sens. Jeśli mnie zostawisz, to się powieszę. Albo nałykam się tabletek, albo podetnę sobie żyły, albo wyskoczę z okna z butelką octu. Nie zostawiaj mnie, kochana moja, nie zostawiaj, nie zostawiaj!”

- Ja?! Ja zabiłam jakiegoś Stanisława Driemowa? Z jakiej racji miałabym go zabijać?

Siergiej nie spuszczał ze mnie wzroku: „O, jaka ty jesteś wspaiała, ukochana moja, zboczona krwią, jak ty jesteś wspaiała...”

- Widziano cię, jak opuszczałaś jego mieszkanie.

Cholera, to ta stara suka, Wiera Konstantinowna.

- A poza tym często się u niego pojawiałaś. Pracowałaś w jego firmie - Siergiej niespiesznie wyjął ze swojego sfatygowanego plecaka złożoną we czworo kartkę i pomachał mi nią przed nosem. - Sulejmienowa Warwara Andriejewna, pomocnik menedżera. Coś mi się wydaje, że byłaś kimś więcej. Wykonywałaś również inne, delikatniejszej natury zadania.

Uśmiechnęłam się. Misja zawsze była jedna i ta sama, a co do delikatności... Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek delikatnie osiągał orgazm. Przynajmniej ja sobie tego nie przypominam.

- Załóżmy... załóżmy, że znałam Stasa Driemowa. I pracowałam w jego firmie. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy i samo w sobie nie jest karalne.

- Byłaś w jego mieszkaniu, kiedy miała miejsce ta zbrodnia.

- Nie byłam w jego mieszkaniu.

- Byłaś, byłaś. Nie pamiętasz, że widziała cię jego gosposia? Spotkałaś ją przy windzie i powiedziałaś, że Stas ci nie otworzył.

- Bo naprawdę mi nie otworzył.

- Portierka z dołu zapamiętała zarówno godzinę twojego przybycia, jak i wyjścia. Na górze przebywałaś ponad pół godziny. Wystarczająco długo, żeby dokonać morderstwa. Czas zgonu ustalono z dokładnością co do dziesięciu minut. Załapałaś się.

Cholera, po co jem tak dużo sera? Kawałek po kawałku... Dwadzieścia jeden pionowo: chorobliwe uczucie głodu będące objawem rozstroju nerwowego. Na siedem liter.

BULIMIA.

Bingo! Szkoda, że wówczas, gdy rozwiązywałam krzyżówkę, nie udało mi się odgadnąć tego słowa. A nerwy, jak się okazuje, mam diabła warte. Dziwi mnie tylko jedno: Dlaczego Siergiej wrócił do domu sam, bez obstawy? Skoro jest przekonany, że mam na swoim sumieniu dwa trupy, to bezsprzecznie można mnie określić mianem „szczególnie niebezpiecznej morderczyni”. A może oddział specjalny czeka już na mnie za tymi drzwiami, przy windzie?

No tak, winda!

Teraz sobie przypominam: ta cholerna winda jeździła gdzieś głęboko w mojej podświadomości - nawet Wierę Konstantinową spotkałam właśnie koło windy. Do Stasa wchodziłam po schodach, ponieważ... Ponieważ ktoś zwinął mi windę sprzed nosa! I ten „ktoś” zjeżdżał z góry. Całkiem prawdopodobne, że był to właśnie morderca!

- Moim zdaniem, ser jest świetny - powiedziałam powoli, nie spuszczać wzroku z Siergieja. - Gdzie masz swoich wyważaczy drzwi?

- Jakich wyważaczy drzwi?

- Takich w kamizelkach kuloodpornych. Chyba ściągnęłaś posiłki?

Siergiej niespodziewanie mocno się zaczerwienił, a w jego oczach zakręciły się łzy. Wyglądały na krokodyle.

- Napijemy się? - chciałam dodać mu otuchy. - Strzemiennego?

W tym momencie stała się rzecz niesłychana. Siergiej podszedł do mnie i wymierzył mi policzek. Nie było to zbyt silne uderzenie, ale poczułam się dotknięta do żywego. Czułam, jakby powróciły błogosławione tallińskie czasy, kiedy to w taki właśnie sposób Stas Driemow usiłował oduczyć mnie ukrywania części pieniędzy, otrzymywanych od klientów. Strach, który wydawał się być już raz na zawsze pogrzebany w zakamarkach mojej duszy, wydostał się na zewnątrz ze zdwojoną siłą.

Przestraszyłam się nie na żarty. W oczekiwaniu na kolejne razy, wtuliłam głowę w ramiona i zasłoniłam się ręką.

Na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Siergiej wyglądał na bardzo przestraszonego swoim wybuchem. Chyba nawet bardziej ode mnie.

- Sądzisz, że mógłbym wydać cię w ręce milicji?! - zaczął lamentować. - Naprawdę tak sądzisz?!

Każdy normalny człowiek tak by właśnie postąpił. Ale Sinienko nie był normalnym człowiekiem - on był dziennikarzem. Nienormalnym dziennikarzem, który w dodatku specjalizuje się w aferach kryminalnych. Patrzyłam mu prosto w oczy i nie miałam już żadnych wątpliwości. Moja potencjalna wina przyciągała go tak samo, jak psa przyciąga cieczka. Ta sytuacja ogromnie go podniecała.

- Zrobiłaś to, prawda?!

- Ale co właściwie?

- Kropnęłaś tych dwóch... A potem przyszałaś do mnie... - nie wierzył własnemu szczęściu.

- Nie boisz się? - zapytałam.

- No, wiesz... Do odważnych świat należy...

- Ale mimo wszystko?

- Bać się? Ciebie?

- A jeśli jestem maniaczką?

- Nie wyglądasz na maniaczkę... Miałem już do czynienia z maniakami. Poświęciłem im sporo artykułów.

- A na kogo wyglądam twoim zdaniem?

- Na nikogo - powiedział zupełnie szczerze. - Opowiesz mi wszystko, prawda?

- Może... Jeśli mi pomożesz.
- Zrobię wszystko, co zechcesz - przysiągł, przyciskając dłoń do piersi.
- Masz zapewniony materiał na całą książkę - powiedziałam z powagą, sama się dziwiąc, że potrafię tak spokojnie kłamać i wcale nie drży mi przy tym głos. Skąd to się we mnie bierze?

- Oni byli jakoś ze sobą powiązani - ten wiolonczelista i Driemow? Załatwiali razem jakieś ciemne interesy na wielką skalę?

Wiedziałam już, co mam robić. Znów poczułam się w swoim żywiole. Dotknęłam palcami ust Siergieja. Natychmiast skorzystał z okazji i obysypał moją dłoń pocałunkami.

- Przecież już powiedziałam - wszystko ci wytłumaczę w swoim czasie.

- Dla kogo pracujesz?

- Dla siebie... - tylko częściowo minęłam się z prawdą. Ostatni raz pracowałam dla siebie w wieku siedemnastu lat, kiedy dobrowolnie oddałam się Sulewowi Chaasu, swojemu pierwszemu chłopakowi, który chodził ze mną do jednej klasy. Późnym wieczorem, na przedszkolnej werandzie.

- Nie miałaś żadnych oporów przed dokonaniem tych zbrodni?

- To dla mnie pestka.

Pożądanie powaliło nieszczęsnego Siergieja na kanapę z taką siłą, że naprawdę szczerze mu współczułam. Siedziała teraz przed nim nie jakaś zwyczajnie ponętna jałówka, tylko ponętna jałówka, która zamordowała dwóch roślących chłopów. Potencjalny materiał na książkę, pomijając już artykuły w gazecie. I owa jałówka gotowa jest rzucić światło na mechanizmy zbrodni, chcąc zostać jego królikiem doświadczalnym. Rzeczywiście można popaść w obłąd.

Po tylu latach obcowania z facetami doskonale znałam wszystkie ich zwyczaje i nauczyłam się reagować na każde ich posunięcie, nawet odruchowe. Teraz też wiedziałam, co się za chwilę stanie. Jedno z dwojga: zacznie mnie całować albo (jeśli sytuacja wymknie mu się już całkowicie spod kontroli) pójdzie do łazienki, żeby się zaspokoić i spuścić do muszli klozetowej rozszalałą spermę.

- Przepraszam, ale muszę na chwilę wyjść - ciężko dysząc, wymamrotał Siergiej. - Zaraz wrócę...

Spiliśmy się jak świnie. Siergiej jeszcze kilkakrotnie zamykał się w łazience, mieszał tequilę z whisky, a whisky z wódką. Choć strasznie płątał mu się język, cały czas usiłował się dowiedzieć, co czuje człowiek, kiedy zabija i czy to prawda, że w tym momencie przeżywa się coś w rodzaju emocjonalnego orgazmu. W odpowiedzi mruczałam dwuznacznie, a dokładniej odpowiadałam jedynie na pytania o podniecenie seksualne, gdyż tak naprawdę tylko o nim miałam jako takie pojęcie.

Następnie, kompletnie pijany, podsunął mi pod nos dyktafon i zażądał, żebym wydała naszą rosyjsko-estońską szajkę. Według niego zajmowaliśmy się:

1. Handlem narkotykami.
2. Handlem pamiątkami narodowymi.
3. Handlem antycznymi instrumentami muzycznymi.
4. Handlem żywym towarem.
5. Handlem egzotycznymi zwierzętami.
6. Handlem technologiami jądrowymi.
7. Handlem know-how w dziedzinie zabezpieczeń komputerowych.

Nie próbowałam się z nim sprzeczać, tylko od czasu do czasu głaskałam go po głowie i namawiałam łagodnie:

- Zdecyduj się, kochanie, co właściwie chcesz ode mnie usłyszeć? Co stanowiłoby najbardziej pikantny kąsek dla tej twojej gazety?

Siergiej zaczął się rozwodzić na temat potrzeb czytelnicy i z wielką powagą oświadczył mi, że poważne przestępstwa ekonomiczne obchodzą ludzi znacznie mniej, niż krwawe zbrodnie z wykorzystaniem noży, siekier, pił elektrycznych i przecinarek gazowych. Po zakończeniu tej płomiennej mowy sam mówca runął na podłogę, po czym urwał mu się film.

Poszłam do kuchni, nakarmiłam zapomnianego przez swojego ukochanego właściciela Chodźtu, położyłam przed sobą torbę i wyłączyłam światło.

Mieniący się przeróżnymi światłami port wyglądał teraz jeszcze bardziej majestatycznie niż za dnia. Z trudem powstrzymałam się od gapienia na migocące świetliki portowych dźwigów i zrobiłam coś, o czym marzyłam przez cały dzień.

Wyciągnęłam nóż i ujęłam go w obie dłonie.

I znów poczułam tę niewytłumaczalną władzę, którą posiadają nad ludźmi stare przedmioty. Bo nie miałam już żadnych wątpliwości, że jest

to bardzo stary nóż. Wspomnienie wieczności czuło się w każdym calu rękojeści, w każdym calu diamentu. (O, żeby to rzeczywiście był diament!) Przecież żaden normalny człowiek dobrowolnie nie rozstałby się z tym nożem. Nie zostawiłby go nawet we własnej kuchni wśród pogiętych sztuczków - a co dopiero mówić o ciele innego człowieka.

A jeśli ten kamień to rzeczywiście diament? Mam ot tak sobie po prostu pozbyć się bogactwa i dobrowolnie oddać je w ręce zachłannych organów sprawiedliwości? Wygląda na to, że ktoś okropnie nienawidził Olewa Kiwi, skoro zdecydował się na coś takiego. Żeby dać upust swojej nienawiści gotów był poświęcić majątek. To się nazywa: „pokazowa egzekucja”!

Ciekawe jednak, dlaczego morderca zostawił mnie w spokoju? Nie bał się, że mogę się obudzić w najmniej odpowiednim momencie? A gdybym cierpiała na bezsenność? Przecież nie mógł tego wiedzieć.

Westchnęłam. Na bezsenność przez długi czas cierpiała Montezuma-Schokolade. Dlatego też pracowała w łóżku dwie zmiany z rzędu, dzięki czemu zarabiała najwięcej z nas wszystkich.

A potem pojawił się staruszek-Szwed, łóżkowe zajęcie odeszło w przeszłość i Montezuma przerzuciła się z członków na tabletki.

Metakwalon. Najlepszy środek nasenny.

Podparłam głowę ręką i zamyśliłam się. Dlaczego ten morderca był tak pewny, że się nie obudzę? I dlaczego tak szybko zapadłam w sen? Przecież ledwie się dowlokłam do łóżka, a już spałam jak zabita. I dlaczego rano moja własna głowa wydawała mi się taka ciężka? I - co najważniejsze - dlaczego nie przysniły mi się moje ukochane ruiny klasztoru karmelitanek?!

Chyba, że byłam pod wpływem środka nasennego, bez którego Montezuma nie może się już obejść?

Przed oczyma stanął mi chłopak hotelowy pchający stolik z owocami i szampanem.

No jasne! Przecież aż się rwał, żeby otworzyć butelkę, ale Olew mu zabronił... Nie zaczęliśmy pić od razu... Nie, tak naprawdę tylko ja go piłam...

No tak, cholera jasna, ta cicha woda, ten cholerny kelner mógłby mi sporo wyjaśnić! Strasznie długo nad nami sterczał, aż mu się głowa trzęsła z przejęcia i jakoś nie mógł się odkleić od swojego stolika... Wstrętny typ. Od razu wydał mi się podejrzany!

Z trudem tłumiąc ogarniające mnie wzburzenie, ścisnęłam w rękę nóż.

W tym samym momencie coś się stało... coś się zmieniło... Tak...

To było najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznałam. Najbardziej przerażające, a zarazem zachwycające. Jakby moja własna ręka wpadła w pułapkę, w sprytnie zastawione wnyki.

A nóż jakby tylko na to czekał. Natychmiast zapuścił we mnie swe niewidzialne korzenie. Korzenie, które zaczęły przesuwając się ku górze, centymetr po centymetrze, zagłębiały się w ukrytych labiryntach kości, pełzły po odgałęzieniach ścięgien, przenikały przez trzony kręgów szyjnych, aby dotrzeć do samego jądra mojego jestestwa - mózgu.

Zacząłam inaczej postrzegać rzeczywistość - wewnętrznym, zimnym, obojętnym wzrokiem. Niczym żona kata ogarnęłam pokój, w którym spał dziennikarz. Koszula wyszła mu z dzinsów i wystawał spod niej kawałek gołego ciała.

Kawałek ciała i pępek - to wszystko, co było mi w tej chwili potrzebne.

Kawałek ciała, kawałek plaży z małym dołkiem pośrodku.

Dołkiem, wykopanym specjalnie dla Mojego Noża. A kiedy się w nim zagłębi, promienie słońca oświecą diament na jego rękojeści...

...I poznam Tajemnicę!... Poznam Wielką Tajemnicę!...

...Kurat!...

Skąd on się, do diabła, wziął?!

Chodźtu prychnął i podrapał mi nadgarstek.

To wystarczyło, żebym rozluźniła uchwyt. Nóż wypadł mi z ręki. Odsunęłam się od Siergieja i upadłam na kolana. Cholera, co ja robię w tym pokoju? Co mnie opętało?!

Jeszcze nie do końca docierało do mnie, co się stało. Potrząsnęłam głową, po czym odnalazłam wzrokiem nóż. Leżał sobie spokojnie obok mnie, nieszkodliwy niczym martwy wąż. Czy to się naprawdę wydarzyło? Czy to ja przed momentem byłam gotowa wbić go w zapadły brzuch Siergieja? I tylko dzięki Chodźtu, który ulokował się na ręce swojego śpiącego właściciela, do tego nie doszło?

Następne piętnaście minut spędziłam w ubikacji, w zastraszającym tempie zwracając niestrawioną kolację. Siergiej tak długo wmawiał mi, że jestem morderczynią - że omal się nią stałam.

Pieprzony nóż. Cholerny, pierdzielony, zasrany nóż! Jest gorszy, skuteczniejszy od najgorszego faceta! I prawie się poddałam temu sukinsynowi!

Wróciłam do pokoju. Pogłaskałam kota, po czym usiadłam po turecku na podłodze. Diament wyglądał teraz zupełnie niewinnie. I dobrze o tym wiedział. Dlatego znów zaczął mnie nęcić. Całym swoim dostojnym królewskim blaskiem. I - kompletnie nie w porę - przypomniałam sobie rozważania Annie Raamat, która wszystkie wolne od filmowych konwulsji chwile poświęcała wybieraniu i klasyfikowaniu fallicznych motywów. Wszędzie i we wszystkim je widziała. Noże również się do nich zaliczały. I zajmowały we wszystkich jej tabelach zaszczytne pierwsze miejsca. Noże były dla niej symbolem oszustw i zdrad mężczyzn. W jej mniemaniu nawet po nieszkodliwym plastikowym nożu (takim do krojenia sałaty) można się było w każdej chwili spodziewać niecnego podstępu.

A teraz mnie samej wpadł do rąk wypasiony egzemplarz.

Jakakolwiek by była prawda, ktokolwiek by zabił Olewa Kiwi, jedno jest pewne: morderca miał współnika. I tym współnikiem był nóż. Nawet więcej niż współnikiem, był siłą sprawczą. Po tym, jak przed chwilą sama o mało co mu się nie poddałam, niczego nie jestem już pewna...

Nawet tego, czy za chwilę nie wezmę go znów do ręki.

Wystarczyło tylko, że o tym pomyślałam, a już poczułam nieprzeparłą chęć, aby go dotknąć. Co to, to nie! Nie pozwolę tak ze mnie drwić!

Rozejrzałam się wokół w poszukiwaniu odpowiedniego zabezpieczenia na ten cholerny nóż. I nawet dosyć szybko go znalazłam. Na gwoździu, na parze uwalanych krawatów wisiał okrągły metalowy futerał niewielkich rozmiarów. Zdjęłam go z gwoździa i wyciągnęłam z niego jakiś dziwny przyrząd przypominający lunetę.

Nauczona gorzkim doświadczeniem, koniuszkami palców ostrożnie podważyłam ostrze noża. Staralam się nie patrzeć na diabelski kamień. Wepchnęłam nóż do futerału.

I mocno zakręciłam wieczko.

Mam cię, kochaniutki! Teraz zobaczymy, jak się stąd wydostaniesz.

Tak ukryty diament schowałam do torby i od razu poczułam się lepiej. Pora wrócić do kelnera z hotelu i doprawionego szampana. Jeśli to on jest mordercą, a szampan rzeczywiście był z jakimś środkiem nasennym, to wiele rzeczy by się wyjaśniło. Po pierwsze to, że zasnęłam

kamiennym snem. Wtedy morderca bez problemu mógł wejść do pokoju. Po drugie, według zapewnień ochrony, do hotelu nie mogła przeniknąć osoba z zewnątrz. A nawet gdyby jej się udało, to na pewno ktoś by ją zauważył. Personel, do którego można zaliczyć hydraulików, ślusarzy, listonoszy i kelnerów, idealnie nadaje się na morderców. W zasadzie są anonimowi, nikogo bowiem nie interesuje, jak się wabi ich pies albo czy mają kochankę. I nigdy nie zwraca się na nich większej uwagi. Pamiętam, że swego czasu Montezuma-Schokolade opowiadała mi o takim jednym listonoszu - jej stałym kliencie. Na pierwszy rzut oka był właśnie taki niewidzialny i anonimowy. W końcu okazało się, że jest... nie, nie mordercą - tylko zwykłym wandalą, bezczeszczącym pomniki na żydowskim cmentarzu. A wcześniej wydawał się całkiem przyzwoity, chociaż jakiś taki szary, bez wyrazu.

A zatem wśród ewentualnych podejrzanych mamy hydraulików, ślusarzy, listonoszy i kelnerów. Doskonale.

Niestety, w wersji z kelnerem-zabójcą nie pasowała mi jedna rzecz. Tym „czymś” był przeklęty nóż. Po tym, co przeżyłam pół godziny temu, kiedy to omal nie wysłałam na tamten świat śpiącego Siergieja, po całym tym koszmarze gotowa byłam uwierzyć, że to nie nóż był narzędziem zbrodni.

Narzędziem zbrodni równie dobrze mógł być człowiek.

A Nóż tylko nim kierował. W ten sposób Nóż stawał się mózgiem całej gry, a w konsekwencji także mordercą. Mogło się zdarzyć, że ktoś z ciekawości wziął go do ręki, a potem zupełnie nieświadomie uczynił to, czego i ja przed chwilą omal nie uczyniłam. Wtedy jednak bez odpowiedzi pozostaje pytanie - dlaczego nadal żyję? Dlaczego nie zabił także mnie?

Czyżby Nóż potrzebował tylko jednej ofiary? Czyżby Nóż potrzebował właśnie mężczyzny?

Nie podobało mi się to wszystko. Bardzo mi się nie podobało.

Postanowiłam powrócić do bezpiecznej wersji z kelnerem. Tu wszystko było jasne. Ktoś chciał zabić Olewa - i zrobił to. Sam, czy miał współników - nie ma większego znaczenia. Najważniejsze, że morderca był w jakiś sposób powiązany z hotelem i przebywał w nim tego wieczoru. Znowu przypominałam sobie kelnera. Nie, jednak nie. Zabójstwo do niego nie pasowało.

Kradzież bułeczek z konfiturą z bufetu - i owszem. Ale cała reszta... Muszę się dowiedzieć, kto w tym samym czasie był w hotelu. Poproszę Sinienkę, niech się wykaże i zdobędzie taką listę...

Wlałam sobie whisky, trąciłam się z butelką i wyszeptalam:

„Dowiedzieć się od Siergieja szczegółów o mieszkańcach hotelu”.

Przestałam rozmyślać o Kriestowce i przerzuciłam się na zabójstwo Stasa. I im więcej o nim myślałam, tym bardziej niedorzeczne mi się ono wydawało. Nie, żeby zupełnie niedorzeczne... Mogłam sobie wyobrazić, że ktoś chciał go kropnąć, w końcu w jego fachu miewa się wrogów... Natomiast niedorzeczne wydawało mi się powiązanie tych dwóch spraw. Szukałam go i nie mogłam znaleźć. A przecież te dwa morderstwa były do siebie zbyt podobne - zbyt podobne, żeby nie mieć ze sobą nic wspólnego. Stasowi z jakiegoś powodu na gwałt potrzebny był wiolonczelista. Potem dziwnym zbiegiem okoliczności ten wiolonczelista został zabity, a zaraz po nim zginął Stas... Hmm... Chyba że to nie Stasowi był potrzebny, tylko zupełnie komuś innemu? I ten ktoś wykorzystał Stasa... Wy tłumaczył mu, jak się zbliżyć do pana Kiwi, wręczył pierścionek i fotografię... A potem usunął świadka...

Boże, co ja takiego zrobiłam, że mnie tak doświadczasz?!

Dlaczego nie mogę sobie teraz leżeć z rozłożonymi nogami? W jakiejś cichej zatoczce... Chryste... Czyżbyś postanowił wyrwać mnie z tego potępanego przez opinię publiczną zawodu? W taki barbarzyński sposób? Jeśli tak, to ci się udało. Wygrałeś, moje gratulacje...

I staruchę-gospozię podsunąłeś mi w odpowiednim momencie, i portierka znalazła się na swoim miejscu. Odnotowała czas mojej wizyty i z radością o tym doniosła. Tylko ta winda, której się nie doczekałam...

Chlapnęłam sobie dla kurażu - tym razem tequili - i poszłam budzić Siergieja. Moje starania zakończyły się sukcesem dopiero po dwudziestu minutach. Przez kilka chwil patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem, po czym, rozpoznawszy mnie w końcu, bardzo się ucieszył.

- Jesteś tu... - powiedział słabym głosem, po czym dotknął palcami mojego policzka.

- A gdzie miałabym być?

- Głowa mi pęka...

Nalałam do kieliszka trochę tequili i na siłę wlałam mu ją do gardła. Od razu mu ulżyło.

- Jesteś taka piękna... Mogę cię pocałować?

Pocałunek z mordercą - to ma swój urok. Nie mówiąc już o tym, że można to później opisać na kilku stronach maszynopisu.

- Ale tylko w zamian za pewną informację - natychmiast zaczęłam się targować.

- Jaką?

- Muszę wiedzieć, kto jeszcze, oprócz Olewa, mieszkał w hotelu.

- Po co?

- W czasie, gdy ty słodko sobie spałeś, ja wszystko przeanalizowałam...

Dotychczas analizowałam jedynie stan swojego zdrowia. Raz na pół roku badałam krew na obecność wirusa HIV. Ale samo słowo „przeanalizowałam” zwiększało powagę sytuacji. Od razu wyglądałam poważniej we własnych oczach. W oczach Siergieja również. Wyrężył się i przyjął postawę „wiernego psa”.

- Przeanalizowałam sprawę... - powiedziałam z pewnością w głosie - ...i doszłam do jednego smutnego wniosku. Możliwe, że sprzątnęłam nie tę osobę.

Moja wypowiedź zadziałała na niego w magiczny sposób. Widać było, że to, co do mnie czuje, bez problemu można było zakwalifikować jako „nieuchronne przyciąganie”.

- Jesteś pewna? - w myślach najprawdopodobniej zdjął już ze mnie wszystkie ciuchy i teraz dotykał nagiego ciała.

- Wszystko jest możliwe. To co, zdobędziesz dla mnie listę gości?

- Spróbuję.

- Jak najszybciej. Jutro. To znaczy, dzisiaj...

- Postaram się. Coś jeszcze?

- Tak. Mówiłeś, że portierka na Suworowskiej zapamiętała przybliżony czas trwania mojej wizyty... A nikogo innego nie zauważyła?

-W tym czasie - nie. Poza gosposią Driemowa, naturalnie.

Ciekawa sprawa. W przeciągu co najmniej pół godziny byłam jedyną osobą, która się tam pojawiła. To co miała znaczyć ta poruszająca się winda? Ktoś w niej przecież zjeżdżał! Mieszkańcy domu pozostają poza podejrzeniami?

Mieszkańcy domu. Nie ma szans. Sąsiedzi, skazani wyłącznie na siebie, nie zaczną się przecież nawzajem wyrzynać jak wieprze. Ktoś z

zewnątrz mógł natomiast spokojnie uciec dachem. A potem wydostać się przez okno na strychu.

Przymknęłam oczy i spróbowałam odtworzyć w myśli swoją wizytę na dachu.

Palma, papuga Stary Toomas, martwy Stas na łóżku...

Okna były zamknięte od wewnątrz. Tak, teraz to sobie przypominam. Okna były zamknięte, a Stas miał klimatyzację.

Pozostawał dach.

Ale z dachu morderca mógł skorzystać jedynie, jeśli wiedział, gdzie leży klucz od strychu. Nie sądzę, żeby Stas wtajemniczał w takie rzeczy kogoś na kilka chwil przed swoją śmiercią. Więc jeśli nie wydarzył się jakiś cud, ten ktoś musiał opuścić mieszkanie drzwiami. I zniknąć gdzieś między piętami...

- A może portierka nie uznała za konieczne informować kogokolwiek o wychodzących mieszkańcach? Może po prostu o tym zapomniała?

- Takie staruchy nigdy o niczym nie zapominają - powiedział Siergiej.

- A ty co, usiłujesz wynaleźć sobie alibi?

- Usiłuję zrozumieć, komu jeszcze był potrzebny Stas. Oprócz mnie.

- Polowali na niego? - zapytał z szacunkiem Siergiej.

- Powiedzmy, że się nim interesowano.

Zamilkłam na dłuższą chwilę. Najstarszy zawód świata nauczył mnie, że trzeba przewidywać i spełniać życzenia klienta. Teraz też muszę grać według tych reguł. Powinnam mówić tylko to, co chce ode mnie usłyszeć. Najważniejsze, żeby nie przegiąć i nie wziąć na siebie jeszcze kilku zbrodni, włącznie ze śmiercią Johna Lennona i Indiry Gandhi.

W czasie, gdy się nad tym zastanawiałam, zboczeniec po raz kolejny udał się do łazienki.

Najwyższy czas iść do łóżka. Kiedy wróci, powinnam już słodko spać - tylko w ten sposób uda mi się uniknąć kolejnej serii pytań.

Wyglądziłam pościel, ale po chwili namysłu ją zdjęłam, pozostawiając na kanapie tylko poduszkę i kawałek starej sierści, służącej jako koc. I wyciągnęłam spod kanapy lunetę, której futerał posłużył za schowek dla noża.

W życiu nie widziałam tak zabawnego przedmiotu. Luneta była krótka i dosyć wąska, z plastikową pokrywką zasłaniającą okular. Przystawiłam ją do lewego oka i obejrzałam pokój. Jednak wszystkie przedmioty

znajdowały się zbyt blisko, dlatego ich kontury się rozmywały. Podeszłam więc do okna, uchyliłam je i skierowałam okular w stronę portu.

Teraz, kiedy się rozwidniało, byłam w stanie dojrzeć wiele szczegółów.

Dźwigi zbliżyły się na wyciągnięcie ręki, niewyraźne flagi na masztach od razu nabrały odpowiedniego narodowego charakteru, wagony kolejowe nie wydawały się już zabawkowe... Ale najbardziej zaszokowała mnie wielkość jednego z najbliższych przycumowanych promów. Ciekawe, kiedy on zdążył przypląć? Jeszcze półtorej godziny temu na pewno go tu nie było. I dlaczego przycumowano go tu, a nie na Angielskim Nabrzeżu, gdzie zwykle aż się roi od tego typu turystycznego paskudztwa... A może to jest jakiś pośredni przystanek przed wpłynięciem do miasta?

Zachłannie omiotłam spojrzeniem lśniące pokłady, szalupy ratownicze, wiszące między nimi (szalupa ratownicza to jest właśnie to, co by mi się teraz najbardziej przydało) i przeniosłam wzrok na rufę. Prześliznąwszy się po nazwie statku, podniosłam lunetę nieco wyżej, na różnobarwne flagi, kołyszące się na wietrze jak bielizna na lince i... znów spuściłam wzrok na nazwę. Ustawiłam lepszą ostrość.

„QUEEN REGINA”.

Trochę poniżej tej nazwy znajdował się dopisek „OSLO” - miejsce rejestracji statku.

„Królowa Regina”. Oslo. To połączenie wydało mi się dziwnie znajome. Gdzieś je już słyszałam. I to nie tak dawno. Miało to coś wspólnego z trzema cyframi: 217. I jakąś datą.

Potałam lunetą koniuszek nosa i nagle doznałam olśnienia. No tak, rozmowa przez komórkę w taksówce! Olew Kiwi gdzieś dzwonił i rozmawiał po estońsku.

„Królowa Regina”, Oslo, numer 217. Siódmego lipca. Myślałam wtedy, że chodzi o pięciogwiazdkowy hotel w Norwegii, ale rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Mowa była o zwykłym statku, który stał tu teraz przycumowany i czekał na martwego wiolonczelistę. Umówione spotkanie miało się odbyć nie w pokoju hotelowym, lecz w kajucie numer 217. A może nie chodziło wcale o żadne spotkanie, tylko Kiwi miał zamiar odpląć tym promem?

- Elegancka balia, no nie? - rozległ się za moimi plecami głos Siergieja.

- Całkiem niezła - opuściłam lunetę.
- Szukasz sobie miejsca na dolnym pokładzie?
- Jeszcze się do końca nie zdecydowałam. A co ta balia tu robi? Przecież to jest port towarowy, prawda?
- Przystanek pośredni. Pewnie niedługo ruszy do miasta. Gdzieś nad ranem.
- Na Angielskie Nabrzeże? - na wszelki wypadek postanowiłam się upewnić.
- Albo na Lejtenanta Schmidta... Wolisz przy ścianie czy z brzegu?

* * *

Po krótkim sporze Siergiej ułożył się na podłodze, zwinąwszy się przy moich nogach w kłębek jak pies. Na szczęście, trzeba mu to przyznać, nie wyklócał się za bardzo, żeby spać ze mną w jednym łóżku. Najwidoczniej trochę się obawiał, że może skończyć jak Olew. A nie miał najmniejszego zamiaru zasnąć i już się nie obudzić. Nie mógł sobie na to pozwolić, gdyż wtedy jego przyszły bestseller *W objęciach kobiety-pająka* nie ujrzałby światła dziennego.

Zanim zapadłam w sen, sporządziłam sobie w myśli listę tego, co powinnam jutro zrobić. Praktykowałam to od zawsze, jeśli oczywiście noc nie zastawała mnie przy podstarzałym ciele jakiegoś warchlaka z trzody Stasa. Zazwyczaj owa lista była bardzo niewinna i zawierała: wizytę u Nadii (manikiurzystki Swietki, masażystki Leny), rajd po sklepach i wyprzedazach. Kolejne na liście było wyjście do kina na film Dolby Stereo, McDonalda z bułeczkami z dżemem wiśniowym i musical z pedałowatymi tancerzami w tle.

Teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Moja nowa lista była znacznie krótsza i składała się tylko z dwóch punktów (ale za to jakich!):

Filip Kodrin - z rana i „Królowa Regina” - wieczorem.

Pozostawał jeszcze dom państwa Kodrinów w Kukkariewie, ale na razie nie wiedziałam, jak się tam dostać. Dlatego odsunęłam Kukkariewo na dalszy plan. Podobnie jak Kronsztad z fotografii Ałły. Wraz z jej „marcowymi refleksami słonecznymi”.

Wieczorem Siergiej przyniesie listę z hotelu na Kriestowce. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Reporter, umierając ze strachu, ciekawości i pożądania, już włączył się do gry. W ten sposób karmił

swoją próżność i napawał się szczęściem, jakie go spotkało: w jego mniemaniu został moim współnikiem. Dzięki temu był zdecydowany na wszystko. Im bardziej więc będzie czuł na swoim tyłku gorący oddech niebezpieczeństwa - tym lepiej.

Tym sposobem zyskałam już jednego sojusznika. Nie licząc oczywiście szczerwanego lisa - Montezumy-Schokolade. Jednak z jej pomocy skorzystam tylko w ostateczności.

Poduszka śmierziała kotem, niemytymi włosami i skrytymi reporterskimi pragnieniami. Skuliłam się. Z takimi żądzami powinieneś pracować w rzeźni, mój drogi. Ale, jeśli wszystko dobrze się skończy, rzeźnię będziesz miał zapewnioną. W łóżku, rzecz jasna. Teraz mogę już sama wybierać sobie partnerów.

Jakie to dziwne, że wolność, o której tak szalenie marzyłam przez wszystkie te ostatnie lata, nadeszła zupełnie niepostrzeżenie. Wypełzła zza martwego ramienia Stasa, stanęła na niepewnych, cienkich nóżkach i nie wiedziała, co ma dalej robić.

Wszystko, co ci się rzewnie podoba. Zanim nie dosięgnie cię wymiar sprawiedliwości.

* * *

Siedziałam przy stoliku w małej nadbrzeżnej kawiarni. Byłam w pełnej gotowości bojowej. Tuż za moimi plecami tętniła życiem „Królowa Regina”, a przed nosem miałam mały pasażerski terminal, który od czasu do czasu wypluwał kolejną porcję turystów. Teraz, kiedy Driemowa nie było już wśród żywych, nie miał mnie kto pouczać. Po raz pierwszy w życiu szczerze tego żałowałam. Potrzebowałam jego dobrego nosa, jego umiejętności przygotowania dowolnej laski tak, żeby była w stanie zadowolić każdego klienta. Stas znał się na tym jak nikt inny. Bycie alfonssem było nie tylko jego pracą - bycie alfonssem stanowiło istotę jego życia. A teraz sama muszę wystąpić w roli własnego „naganiacza”. Muszę się czegoś dowiedzieć o „Królowej Reginie”. Nie mogę po raz kolejny przegapić swojej szansy. Już raz to zrobiłam. Z Filipem Kodrinem...

... Tak, dzień już od samego rana kiepsko się zapowiadał.

Najpierw zaspaliśmy. Potem Chodźtu zżarł całą wędzoną kielbasę, która została z wczorajszej kolacji. A następnie Filip, którego śledziłam od domu na ulicy Barmalejewa aż do najbliższej kawiarni na Bolszym Prospieckie, stanowczo odmówił zapoznania się ze mną.

Był zupełnie niepodobny do swojej pospolitej siostry.

Wysoki, z idealną figurą, z idealnej wielkości głową, z idealnym rozstawem kości obojczyka w idealnym wycięciu idealnej koszuli - co on tu robił, na tej ulicy, w tym mieście, w tym kraju? I co to za jakieś takie bezpłciowe i niejasne stanowisko - „pracownik Ermitażu”?

Filip zamówił filiżankę kawy i dwie kanapki. Zajął miejsce przy stoliku przy oknie i rozłożył przed sobą, będące w oplakanyim stanie, czasopismo z najbardziej smutną nazwą, jaką tylko można sobie wyobrazić: „MUZEA ŚWIATA”. Trzymał filiżankę niczym Keanu Reeves, pożerał kanapkę niczym Brad Pitt, a kartki przewracał niczym Michael Douglas. Wyglądał jak cały Hollywood razem wzięty.

Ja natomiast w najlepszym wypadku byłam marną kopią studia filmowego Dowżenki.

A jednak byłam na tyle bezczelna, żeby do niego podejść.

- Można? - zapytałam anielskim głosem.

Podniósł wzrok. Spojrzał na mnie swoimi idealnymi oczami Hugh Granta i zrobił zdziwioną minę. Usta miał niczym Pierce Brosnan.

- Słucham? - momentalnie rozpoznałam intonację Seana Connery w roli agenta 007.

- Pozwoli pan, że się przysiędę?

Zabrzmiało to wyzywająco, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że kawiarnia była prawie pusta. Filip Kodrin wzruszył ramionami. Nie powiedział ani „tak”, ani „nie”. Całą odpowiedzialność zrzucił na mnie. Usiadłam (odnosząc wrażenie, jakbym siadała na kaktusie) i zaczęłam głośno mieszać swoją kawę. Nie miałam pojęcia, jak mam się zabrać do rozmowy z tą zbitką filmowych przystojniaków. Dlatego też wybrałam znaną ścieżkę. Ścieżkę małej dziewczynki ciekawej świata.

- Interesujące czasopismo?

Nawet nie podniósł głowy, a po chwili cicho i dobitnie powiedział (nie dodać, nie ująć, Anthony Hopkins w roli Hannibala Lectera):

- Niech pani przestanie.

- Ale co?

- Niech pani przestanie mieszać tę kawę. To nie przystoi.

Wyjęłam łyżeczkę i demonstracyjnie stuknęłam nią o brzeg filiżanki.

Na kilka chwil przy naszym stoliku zapanowała cisza, którą zakłócało jedynie przewracanie kartek.

Patrząc na idealny przedziałek na głowie Filipa, gorączkowo zastanawiałam się, jak by tu podejść tego chłopaczka. Mogę kontynuować temat „muzea świata”, ale to zakończy się klęską. Tylko raz w swoim życiu znalazłam się w niebezpiecznie bliskiej odległości od muzeum i to tylko dlatego, że kupowałam niedaleko, w sąsiednim kiosku, jajko wielkanocne (prezent dla zdrabcyzny Kaje) i szal indyjski (prezent dla Montezumy-Schokolade).

Mogę porozmawiać z nim o pogodzie, mogę porozmawiać z nim o zaletach (wadach) picia kawy w tym lokalu. I w końcu mogę mu powiedzieć, że mi się podoba! Ciekawe, od ilu kobiet już to słyszał?

Zgrzyt moich zwojów mózgowych był tak silny, a wysiłek umysłowy na tyle widoczny, że wreszcie przyciągnęłam uwagę Keanu-Brad-Michael-Hugh-Pierce-Sean-Anthony-Filipa.

- Coś się pani stało? - zapytał.

- Dlaczego pan pyta?

- Ma pani taki wyraz twarzy... Tak pani na mnie patrzy...

- Tak?

No to teraz będzie już z górki. Dostrzegł moją reakcję na swoją urodę i pierwszy wyciągnął do mnie rękę. Na mężczyzn to zazwyczaj działa. Podobnie jak element prowokacji w zachowaniu kobiety. Na obwąchanie się nawzajem nam wystar...

- Jest pani bardzo ładna...

Co za szczęście! Wreszcie to zobaczyłeś!

- Naprawdę? - włożyłam w to pytanie całą swoją nieśmiałą dziewczęcą kokieterię, na jaką było mnie stać.

- Tak. Tylko niech się pani tak na mnie nie gapi.

- Ale...

- Chcę po prostu spokojnie coś zjeść. I to wszystko. Czy naprawdę mam jakieś dziwne, nienaturalne potrzeby?

Sukinsyn! Chociaż, z drugiej strony, mogę go zrozumieć. Taka doskonała uroda jest jedną z odmian brzydoty. W każdym razie, tak samo drażni wzrok. I nieszczęsny Fila zapewne wstydzi się swojego wyglądu podobnie, jakby wstydził się brodawek na rękach. Ale brodawki zawsze można usunąć, a idealna głowa nie pójdzie pod nóż. A szkoda.

- A moje potrzeby? - powiedziałam niespodziewanie nawet dla samej siebie.

- Jakie potrzeby?

- Moje potrzeby są równie naturalne, jak i pańskie - postanowiłam pójść vabank. - Widzę przystojnego mężczyznę i nie mogę oderwać od niego wzroku.

Gwałtownie zamknął czasopismo i ponuro na mnie spojrział.

- Czy do tej pory nikt pani jeszcze nie zwrócił uwagi, że nieprzyzwoicie jest zaczepiać nieznajomych? Zwłaszcza w przypadku, jeśli nie mają oni najmniejszej ochoty pani poznać.

- Ale to nie ten przypadek - przymrużyłam oko. - Pojęcie „przyzwoitość” nie odnosi się do piękna. Piękno samo w sobie jest nieprzyzwoite.

- Bezczelna dziewczyna - stwierdził z zadowoleniem Filip.

- Które miejsce z kolei zajmuję na pana liście bezczelnych dziewczyn, które pana podrywają? - doskonale zdawałam sobie sprawę, że mnie poniosło. Ale przecież i tak nie miałam nic do stracenia.

- Poza trzecią dziesiątką.

W tym momencie wszystko zepsułam. Niestety, przyzwyczajęń nabytych przez całe lata nie można się pozbyć ot, tak. Żadnych oryginalnych pomysłów. Żadnego urozmaicenia. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, spojrzałam na niego rozmarzonym wzrokiem, przejechałam językiem po wargach i dotknęłam palcami szyi. Po czym skromnie spuściłam rzęsy. Dobrze chociaż, że nogi pozostały złączone.

- Dziwka - podsumował Filip, po czym wstał i wyszedł, nie dopiwszy nawet swojej kawy.

Cholera! Szkoda, że nie mamy swojego związku zawodowego. Wnioślabym przeciw niemu skargę za nieprzyzwoite zachowanie. Poważnie.

Posiedziałam jeszcze przez kilka chwil przy pustym stoliku, zjadłam kanapkę Filipa (jednej nawet nie tknął) i pogrążyłam się w głębokiej zadumie. Filip zerwał mi się z haczyka. Okazał się odporny na kobiece wdzięki. Wdzięki, za które nie musiałby nawet zapłacić. Pewnie jest taki sam jak jego ojciec - wzorowy mąż, wzorowy tatuś. Do tego cały swój wolny czas poświęca muzealnym eksponatom. W każdym razie moja misja zakończyła się fiaskiem. Ale przynajmniej wyciągnęłam z tej lekcji jeden cenny wniosek: nie wszyscy mężczyźni rzucają się od razu na kobiety.

Chociaż nie. Dowiedziałam się jeszcze czegoś innego, ale nie miałam ochoty o tym myśleć.

Nie potrafiłam rozpatrywać swojego życia w innej kategorii poza łóżkową. Usiłowałam torować sobie drogę piersią tam, gdzie potrzebne byłyby chociaż załączki szarych komórek. Nie miałam pojęcia, co mam robić z mężczyznami, oczywiście oprócz podrywania i uwodzenia. Matko jedyna! Przecież ja nawet nigdy nie byłam w muzeum!

Wraz z odejściem Filipa cały dzień stracił dla mnie jakikolwiek sens. Na pocieszenie zamówiłam sobie wino. Potem likier. Potem wódkę. W myśl zasady: mieszając alkohol, w żadnym wypadku nie wolno zmniejszać procentów. Alkohol podziałał na mnie kojąco. Postanowiłam znaleźć inną drogę do Filipa i, jeśli się uda, nasłać na niego konia trojańskiego - Siergieja Sinienkę (No, może Konika Garbuska. Cóż, jaka Troja, taki koń...). W końcu jest dziennikarzem. Zaledwie kilka dni temu zabito szwagra Filipa Kodrina, a rok wcześniej zginęła jego siostra. W tej sytuacji uwaga prasy jest całkowicie uzasadniona.

Po dojsciu do takiego wniosku, pogodziłam się z samą sobą i zaczęłam snuć plany na wieczór.

„Królowa Regina”.

Nie mogę sobie pozwolić na kolejną wpadkę. Drugiego „siódmego lipca” nie będzie.

Kwestia dostania się na „Reginę” niezbyt mnie przerażała. W sforze cudzoziemców zawsze znajdzie się jakiś typ, który przyjechał do innego kraju specjalnie po to, żeby sobie poużywać z kobietami. Miałam kiedyś jednego takiego, pożał się Boże, kolekcjonera z zaprzyjaźnionej Bułgarii. Miał na imię Stojan, czy może Kostek... Zresztą to nieistotne... Cały swój wolny czas spędzał na seks-analizie porównawczej. To właśnie od niego się dowiedziałam, że Niemki wolą tradycyjny seks, a Holenderki cholernie lubią eksperymentować. Że Angielki biegają pod prysznic co pięć minut, a Rumunki w ogóle się nie myją. Islandki są chłodne i bierne, i aby je rozpalić potrzebne są duże napiwki, i że jego najlepszą kochanką była podstarzała Szwedka, którą poderwał gdzieś w Madrycie. To właśnie on wyjawiał mi, że istnieje szczególny gatunek mężczyzn, którzy poznają i oceniają inne państwa po możliwościach ich obywaterek. Pokazał mi nawet coś w rodzaju mapy świata, którą sam sporządził. Rosja była na niej zaznaczona na zielono, co znaczyło: „Przed wami wielka przyszłość w dziedzinie seksu. Wielka przyszłość, baby!”

Miałam nadzieję, że takich idiotów jak on jest więcej na świecie. A w każdym razie, że na tym ogromnym statku znajdzie się chociaż jeden egzemplarz.

Dla mnie.

Ale najpierw muszę się przygotować, żeby odpowiednio zaprezentować towar na sprzedaż. Ciągle jeszcze miałam na sobie to zgrzebne odzienie (a może właśnie przez ten strój uciekł mi Filip Kodrin?). I żadnej tapety na twarzy. A całe moje zawodowe oprzyrządowanie wraz z toną różnorakich kosmetyków zostało na ulicy Wierności.

W błyskawicznym tempie kupiłam minisukienkę i sandały na platformie. I przebrałam się w toalecie na Rynku Troickim, cały czas słuchając przekupek handlujących jednorazowymi skarpetkami i równie wytrzymałymi majtkami. Sukienka leżała na mnie jak ulał i gotowa była przy pierwszej dogodnej okazji zerwać się z cienkich ramiączek. Sandały również doskonale pasowały i były gotowe ześlizgnąć się ze stóp przy pierwszej dogodnej okazji. Niby wszystko było jak zawsze, ale jakoś...

Po raz pierwszy od wielu lat poczułam się nieswojo. Jakbym wychodziła na polowanie pierwszy raz w swoim życiu. Wiedziałam, że powinienam zachować odpowiedni dystans między zwykłą poszukiwaczką przygód a profesjonalną kapłanką miłości. Granica między nimi była niezmiernie cienka. Wymagała odpowiedniego kunsztu, delikatnego makiażu i doskonałej linii skrzyżowanych nóg.

Przez resztę dnia podstępnie podkradałam się do „Królowej Reginy”. Co jakiś czas zmieniałam kawiarenki na nabrzeżu, stopniowo zbliżając się do statku. Trenowałam na samotnych facetach. Grałam cnotliwą kobietę, która na chwilę wyrwała się z biura, żeby napić się kawy. Faceci, rozgorączkowani szaleństwem białych nocy, walili drzwiami i oknami, jednak żaden nie zastosował wobec mnie przemocy. Nikt nie chciał zaciągnąć mnie gdzieś w ciemny kąt i nie potrząsał przed moim nosem wyświechtanym portfelem. Nikt nie zaproponował mi stosunku na tarasie widokowym Isaakijewskiego Soboru, ani nie namawiał mnie na strip-tiz w podrzędnej spelunie. Tak, image cnotliwej kobiety zdecydowanie ma swój urok.

W pewnej chwili zauważyłam, że tłum samców znacznie się przerzedził. Pewnie muszą wreszcie odpocząć od swoich żądz i pragnień. Ale czy

można od nich odpocząć? Złapałam się na tej myśli i bardzo się zmartwiłam. Ciągłe jeszcze dźwigałam na plecach brzemię narzucone mi przez Stasa. Ciągłe jeszcze sądziłam, że cały świat kręci się wokół genitaliów.

Dlaczego, no, dlaczego nie mogę się od niego uwolnić? Dlaczego nie mogę go z siebie zrzucić? Dlaczego muszę zrzucić z siebie coś innego?

Przecież Montezuma-Schokolade, ta wspaniała Montezuma, najmądrzejsza z nas, powiedziała mi (już po swoim tryumfalnym powrocie do Sankt Petersburga w charakterze bizneswoman) któregoś dnia:

- Warwaro, seksu nigdy nie zaliczyłam do swoich priorytetów. Nie ma go w pierwszej dziesiątce najważniejszych dla mnie rzeczy.

Wtedy nie próbowałam z nią nawet na ten temat dyskutować. Wiedziałam, że nigdy nie wybaczyła sobie swojego dawnego zajęcia i skrycie nienawidziła wszystkich mężczyzn.

Typowo wschodnią, czekającą na odpowiedni moment, żeby się ujawnić, nienawiścią.

Poprosiłam tylko, żeby wymieniała ową dziesiątkę priorytetów.

- Wolność, Pieniądze, Władza - chętnie zaczęła zaginać palce - Praca, Przyroda, Podróże, Sztuka, Dzieci, Przyjaciele, Dobra Kawa.

Co do dzieci, to nie bardzo się z nią zgadzałam, ponieważ Dzieci bez Mężczyzn nie istnieją, ale jej tego nie powiedziałam. Natomiast tezę o Dobrej Kawie całkowicie poparłam.

Teraz, przygotowana do ataku, siedząc w pobliżu „Królowej Reginy” i kartkując książkę w zielonej okładce, też marzyłam o dobrej kawie. Książka była odpowiednia do sytuacji, w jakiej się znalazłam. Nazywała się bowiem *Zagadki kryminalne - rozwiąż je sam*. Kupiłam ją na Troickim Rynku na targu ze starzyzną. Przyszła mi wtedy do głowy myśl, że dobrze byłoby poznać podstawy zawodu, zanim przystąpię do pracy prywatnego detektywa. Ale niczego o odpowiedniej tematyce poza tą dziecięcą książką nie znalazłam. Sumiennie przestudiowałam dwieście stron i nie rozwiązałam żadnej z siedmiu zagadek. Za to nieźle się zrelaksowałam przy *Poradniku śledczego* i teraz miałam już niezgorsze pojęcie o szyfrach, sympatycznym atramencie i przekazie wiadomości za pomocą luster. Zapewne byłabym już w stanie zdjąć odciski palców, zbadać próbki włosów, włókien albo krwi. Śmiało mogłam wyznaczyć teren działań przestępcy i go wysledzić (przynajmniej wiedziałam już, jak to się robi).

Najbardziej ubawiły mnie jednak metody wykrywania kłamstw. Zwłaszcza że sama zamierzałam teraz kłamać jak najęta.

Obiekt pojawił się na horyzoncie w momencie, kiedy kończyłam czytać rozdział *Identyfikacja odcisków palców*. Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że to jest właśnie on. Wychwyciłam go wzrokiem z grupy roześmianych turystów i od razu zaczęłam się w niego intensywnie wpatrywać.

Brat bliźniak mojego Bułgara - przynajmniej tak wyglądał. Na świecie aż się roi od podobnych typów. Mój egzemplarz okazał się w niezłym stanie: osobnik płci męskiej, zakonserwowany na poziomie jakichś 40 lat (albo coś koło tego), krzywe owłosione nogi, wystające spod letnich szortów. Do tego średniej wielkości brzuszki, krótki tułów, krótka, gruba szyja i wymuskane baczki. Na głowie miał fikuśny panamski kapelusz (pewnie ukrywał pod nim swoją łysinę), a w rękach ścisnął kamerę wideo.

Ten norweski snajper postrzegał otaczającą go rzeczywistość przez pryzmat swojego celownika-penisu. Zauważyłam to od razu. Założyłam nogę na nogę. W należyty sposób: nie jak tania dziwka, jakich wiele w każdym porcie, ale i nie jak cnotka-niewydymka.

Przeczekaliśmy, aż banda Norwegów minie terminal i zbliży się do stolików. Musieli przejść obok kawiarni, nie mieli innej drogi. Miałam więc pewność, że się na siebie natkniemy.

Spuściłam niewinnie oczy i z boku obserwowałam swoją ofiarę. Ta nie nadążała za rodakami i nie zdążyła wpakować się do autobusu. Krzyknęła coś do przewodnika i ponownie ruszyła w stronę terminalu.

Proszę, proszę.

Spokojnie odprowadziłam swojego mężczyznę wzrokiem i zamówiłam sobie lampkę wina. Skoro nie podają tu dobrej kawy...

Pojawił się po pięciu minutach (dłuższe ukrywanie się pod osłoną terminalu było zbyt niebezpieczne, mogłam przecież wstać i wyjść). Natychmiast wokół mnie zaczęło coś iskrzyć. To facet usiłował wysłać w moją stronę fluidy.

Uczepił się swojej kamery wideo i udając, że próbuje znaleźć jak najlepsze ujęcie pomnika (cierpiącego na wodowstręt dowódcy floty Kruzenszterna), zaczął powoli się do mnie zbliżać. Usilnie nie zauważałam jego manewrów. W ogóle nie patrzyłam w jego stronę. Jeśli się co do niego nie pomyliłam, to zaraz powinien nastąpić burzliwy początek

naszej znajomości. Stojan (czy też Kostek) swego czasu przepalił mi sukienkę papierosem - tylko po to, żeby mnie zagadnąć. Ciekawe, na jaki pomysł wpadnie ten krzywonogi amator wideo?

Cóż, nie był zbyt pomysłowy. Po prostu przewrócił na mnie mój własny kieliszek wina!

Zrobił to z taką elegancją i wprost nieopisaną gracją, że z trudem powstrzymałam się, żeby nie wstać i nie nagrodzić jego triku oklaskami.

Już po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni ktoś zapaćkał mi sukienkę. Chyba najwyższy czas się do tego przyzwyczaić.

Po dziesięciu minutach rozmawiałam już w najlepsze ze swoim Norwegiem.

Ścisłe mówiąc, to nie był Norweg, tylko Czech - Honza, który wiele lat temu osiadł w Oslo. Ale to nie zmieniało postaci rzeczy, ponieważ Honza podrywał mnie w ten sam sposób, w jaki robił to niegdyś Bułgar.

Swój człowiek! Pozwoliłam sobie na pełne rozluźnienie przed swoim pokazowym numerem i na razie oddałam inicjatywę w jego ręce.

Honza całkiem niezłe mówił po rosyjsku. Jeszcze kilka lat temu przedstawiłby się jako dysydent (wtedy to było modne), ale teraz w pełni zadowolili się rolą biznesmena, posiadającego swoją własną agencję modelek (a kto by w to wątpił!). Chwył z agencją był zamierzony - celem były moje nogi. W ciągu pół godziny, które spędziliśmy przy stoliku, Honza zdążył mnie już w myśli rozebrać do naga, z grubsza ocenić, jak będę się prezentować w różnych pozycjach i chyba był zadowolony. Ja natomiast stosowałam wobec niego ostrożny podryw: delikatne ruchy głową, dziecięce wyłamywanie palców... Przy tym żadnej nachalności w spojrzeniu. Myśliwy musi czuć nad zwierzyną pełną kontrolę i władzę.

Omówiliśmy uroki Wielkiej Wody („wasze miasto to Wielka Woda, droga pani!”), po czym przerwaliśmy się na „Królową Reginę”. Spontanicznie, niczym przeurocza absolwentka collegeu, przyznałam mu się ze smutkiem, że nigdy nie byłam na tak pięknym statku („to nie statek lecz prom, droga pani!”).

Honza zamówił jeszcze po jednej lampce wina, przypadkiem dotknął mojego ramienia (chyba po to, aby się upewnić, czy na pewno mam jędrne ciało), przypadkiem upuścił zapalniczkę, a potem długo ją podnosił, macając podłogę tuż przy moich nogach i niechcący (akurat!) ich dotykając (aby się upewnić, że są zgrabne).

Wreszcie zaproponował mi krótką wycieczkę zapoznawczą po statku. „Tylko na piętnaście minut, droga pani!”

I dzięki Bogu!

Statku w końcu i tak nie zobaczyłam.

Honza od razu zaprowadził mnie do baru - w celu porównania jakości win. A ja nie protestowałam i w ten oto sposób wszyscy momentalnie zapomnieli o piętnastominutowej wycieczce. .

Po dwóch koktajlach mój kawaler zdjął wreszcie kapelusz (rzeczywiście miał pod nim niewielką pikantną łysinę) i zaczął kombinować, jak by tu w sprytny sposób zwabić rosyjską dziewczynę do swojej kajuty. Zlito- wałam się nad nim i postanowiłam mu pomóc. Zawstydzonym szeptem zapytałam go, gdzie jest toaleta.

Już po dwóch minutach, o mało nie łamiąc sobie nóg, zesłam po ja- kiejś służbowej drabince i znikłam za plecami stewardów.

Kajuta numer 217 (jeśli wierzyć planom, wywieszonym na każdym z pokładów) powinna była znajdować się po lewej stronie statku. Dwu- krotnie wybrałam niewłaściwy kierunek, raz nadziałam się na kręgielnię i trzykrotnie byłam zmuszona skorzystać z pomocy świetnie wyszkolonej obsługi okrętowej. Nie wiem, jak długo jeszcze bym się błąkała po tym cholernym statku, gdyby nie młody steward, który z przyklejonym na stałe uśmiechem zaprowadził mnie w odpowiednie miejsce.

Zamierzałam właśnie zapukać do wspaniałych, wykończonych w dę- bie drzwi, kiedy zauważyłam, że są uchylone. Trudno było nie uznać tego za swego rodzaju zaproszenie. Weszłam więc bez zastanowienia, nie my- śląc wcale o konsekwencjach swego czynu.

W kajucie nikogo nie było. Zacerpnęłam powietrza i zaczęłam roz- glądać się po pomieszczeniu. Na apartament to nie wyglądało, ale było tu całkiem przytulnie. Wykładzina na podłodze, dwa zasłane łóżka, fo- tel... Na jednym z łóżek leżała otwarta walizka. Pochyliłam się nad nią i już zamierzałam przetrząsnąć jej zawartość, kiedy nagle usłyszałam za swoimi plecami jakiś szmer. A potem ktoś kaszlnął. W tym delikatnym, aczkolwiek znaczącym kaszlnięciu słychać było groźbę. No pewnie, a co byś chciała?! Twoja poza jest co najmniej dwuznaczna. Pokojówka, która przyszła zmienić ręczniki i postanowiła ograbić właścicieli z ich rodzin- nych klejnotów; prostytutka, która uspiła klienta i chce ogołocić teraz

jego portfel; poszukiwaczka przygód, lubiąca podróżować statkami, która zamierza zakosić biznesmenowi jakieś ważne dokumenty - a co za różnica, kim tak naprawdę jesteś?

Najważniejsze, że cię przyłapano, laluniu.

Nie miałam nic do stracenia, więc spokojnie się odwróciłam. Za mną stał młody mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Dosyć wysoki, o wyraźnych, regularnych rysach twarzy, z typowo spierzchniętą twarzą stuprocentowego Estończyka. Spędziłam w Estonii masę czasu i śmiało mogę stwierdzić, że Estończycy mają niezmiernie charakterystyczną urodę. Nie da się jej porównać z żadną inną na świecie. Wszystko zachowane jest u nich w równych proporcjach: morze, wiatr, ryby i piasek. Trochę więcej wiatru - i oto mamy Litwina. Trochę więcej piasku - i mamy Łotysza. Mieszkańcy Skandynawii różnią się od siebie jedynie gatunkami ryb. I tylko w Estończykach można ujrzyć wszystkie te cztery żywioły w całkowitej równowadze.

I tak oto przede mną stał Estończyk, który najwyraźniej wyszedł właśnie spod prysznica. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego. W błyskawicznym tempie połączył ze sobą fakty: mnie i walizkę. I żądał wyjaśnień. Żeby uspić jego czujność odezwałam się po angielsku:

- What do you want?

W tym momencie, co tu dużo ukrywać, pragnęłam tylko jednego - jak najszybciej wyrwać się z potrzasku. Jednak wyraz twarzy miał tak zdecydowany, a wzrok tak beznamiętny, że nasuwał się tylko jeden wniosek: kajutę opuszczę jedynie w towarzystwie ochroniarza. Nietrudno się domyślić, co nastąpi później. Na pewno nie przejdzie dziecięca wymówka, że pomyliłam pokoje. Niestety, moje manipulacje przy walizce nie pozostawiły mi żadnej szansy.

Za wszelką cenę muszę znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Jeszcze trzy dni temu spróbowałabym puścić do niego oczko i kokieteryjnie złożyć usta w dzióbek. Trzy dni temu żyłam w innym wymiarze. Celuloidowy Filip Kodrin nieco zmienił mój sposób postrzegania rzeczywistości. Nie wszyscy mężczyźni od razu rzucają się na kobietę.

Sparaliżowana ze strachu, przeszłam na płynny estoński. To powinno zadziałać. Estończycy są zbyt małą nacją, żeby napadać na kogoś, kto potrafi poprawnie rozłożyć akcenty i nie myli przypadków.

- Czy to numer 217? - zapytałam.

Był wyraźnie zaskoczony.

- Powinna była pani sprawdzić tabliczkę, zanim tu pani weszła - odpowiedział po chwili milczenia.

- Czy to numer 217? - powtórzyłam z uporem maniaka.

- Tak.

- Ktoś miał do pana zadzwonić - O matko, co ja wyczyniam?! Ale przecież chłopak, który przede mną stoi, to Estończyk. A Olew Kiwi rozmawiał z kimś po estońsku. Może z nim?

- Zadzwoń?

- Czwartego, wieczorem.

Moje ostatnie zdanie wyraźnie mu się nie spodobało. Bardzo mu się nie spodobało. To było widać gołym okiem. Jak również to, że doskonale pamięta „czwartego wieczorem”.

- I co z tego? - ciągle jeszcze udawał, że nie wie, o co mi chodzi.

- Bo przecież nazywa się pan... - zrobiłam wymowną pauzę. Jednak jego pauza była jeszcze bardziej wymowna. Nie zamierzał się przedstawić. Takie tanie chwytaki na niego nie działały.

Milczenie się przeciągało i stawało się już nieco kłopotliwe, postanowiłam więc wyjąć jedyne gościa z rękawa.

- Olew mi mówił, ale zapomniałam... Pamięć mi szwankuje... Przepraszam.

No, wreszcie udało mi się wzruszyć tę górę lodową! Trafiłam w dziesiątkę - wypowiedzenie imienia Olewa Kiwi zadziałało na mojego ponurego rozmówcę w magiczny sposób. Zebrał się w sobie i wydusił z trudem:

- Rejno.

- No tak! - ucieszyłam się jak dziewczynka, która dostała przed chwilą nowy rower. - Właśnie. Rejno. Jak mogłam zapomnieć?

Ale Rejno nie zamierzał podzielać mojej radości. Wytarł włosy ręcznikiem i zaczął je rozczesywać. W obecności nieznanym! Dobrze jeszcze, że nie zaczął obcinać paznokci u nóg.

- Miał się pan dzisiaj spotkać z Olewem, prawda?

- Powiedzmy, że tak.

Mój estoński usypiał jego czujność. W tym ogromnym rosyjskim chlewie ocieraliśmy się o siebie przy tym samym żłobie niczym potulne zachodnie jagnięta. Z Estończykiem stanowiliśmy jedno.

- Na pewno „tak” - oświadczyłam beczelnie. - Ale on nie przyjedzie.

- Przecież się umówiliśmy...

- Nie przyjedzie - uciełam.

- A co się stało?

- Nieprzewidziane okoliczności. - No cóż, jego śmierć można w pełni zaliczyć do nieprzewidzianych okoliczności. Sądząc po spokojnym tonie, Rejno nic o niej nie wie. Nie będę go uświadamiać.

- A kiedy będzie w stanie przyjechać?

Kompletnie zbił mnie z tropu. Usiłowałam wymyślić coś na poczekaniu, tymczasem Rejno sam przyszedł mi z pomocą.

- Statek odpływa dzisiaj w nocy.

Dlaczego tak szybko? Nie spodobało się wam w naszej północnej stolicy?

- On nie przyjedzie - powtórzyłam ponownie.

- To jego problem - Rejno był opanowany.

- Właściwie jestem tu właśnie po to, żeby rozwiązać ten problem.

To było z mojej strony bardzo ryzykowne posunięcie. Nie wiedziałam przecież, o jakiego typu problemy chodzi.

Może o karciany dług. A może o dostawę większej partii narkotyków. Siergiej Sinienko, podejrzewając całą ludzkość o nieczne zamiary i obwiniając o wszystkie śmiertelne grzechy, wcale aż tak mocno się nie mylił. Każdy ma coś do ukrycia. Miałam tylko nadzieję, że Rejno nie jest bramkarzem z knajpy albo mafioso. Zupełnie nie wyglądał na kogoś takiego. Nie miał nażelowanych włosów, niechlujnego zarostu czy złotego sygnetu na małym palcu.

- Nic mi o pani nie wspominał - ciągle się jeszcze wahał.

- Przecież już panu tłumaczyłam: nieprzewidziane okoliczności.

- Dobrze. Zaraz do niego zadzwonię.

Cholera, z minuty na minutę idzie mi coraz gorzej! Wystarczy teraz, że wybierze numer Olewa, a po drugiej stronie słuchawki natychmiast ustawi się kolejka gliniarzy. Zanim zdążyłam zaprotestować (choć w sumie, jakie ja miałam podstawy, żeby protestować?), Rejno wyciągnął swoją komórkę i szybko wystukał odpowiedni numer. Przysiadłam na skraj fotela...

Nic się nie wydarzyło.

- Do diabła... nie odbiera - nadal miał niezdecydowaną minę.

Doskonale go rozumiałam. Też bym się wahała. Kompletnie nieznaną kobietą wdiera mu się do pokoju. Tymczasem on oczekuje

zupełnie kogoś innego, konkretnego mężczyzny. Potem baba bełkocze coś o jakichś nieprzewidzianych okolicznościach i chce czegoś od posłańca. Sama nie wiedząc, czego.

Język estoński to oczywiście dobra rzecz. Zbliża rozmówców szybciej niż jakakolwiek wódka. Jednak sam język nie wystarczy...

I tu mnie olśniło!

Przestałam grać rolę ubogiej krewnej, siedzącej grzecznie na brzegu fotela. Starając się jak najbardziej się rozluźnić, usiadłam wygodniej i spojrzałam Rejno prosto w oczy. Już mnie tak nie przerażał. Jego wstydlivy dołeczek na podbródku mógł oznaczać tylko jedno: to był jednorazowy posłaniec. Taki nie zaczyna wymachiwać mi przed nosem pistoletem. Pewnie nawet go nie ma!

O Boże, żebym tylko nie przełożyła go do walizki, do tego przeklętego noża! Żebym tylko nie zostawiła go u Sergiusza!

Nadal nie spuszczać wzroku z Rejno i promiennie się do niego uśmiechając, przytknęłam zamkiem, zanurzyłam rękę w torebce i namaçałam pierścionek. Ten sam, który dał mi Stas. Ten sam, który wywarł takie wrażenie na wiolonczeliście.

Może teraz też mi się poszczęści. I posłuży mi za przepustkę do tajnego świata Olewa Kiwi...

- Dobrze zna pan Olewa? - zapytałam.

- Dostyc dobrze...

- W takim razie powinien pan znać ten przedmiot.

Wydobyłam pierścionek z torebki i zaczęłam nim obracać przed jego nosem.

- Poznaje pan?

Wyraźnie złagodniał. Widocznie dość dobrze znał Olewa Kiwi.

- Teraz mi pan wierzy?

- No, dobrze. Wierzę pani.

Podszedł do walizki, wsunął do niej rękę, rozpiął zamek prowadzący do ukrytego dna i wyjął stamtąd kopertę. Jednak nie dał mi jej od razu.

- Moja prowizja - powiedział łagodnie. - Skoro się pani zajmuje tą sprawą...

Kurat! Dlaczego zawsze i za wszystko musi płacić kobieta? Dlaczego odnoszący sukcesy muzyk nie zapłacił z góry?!

- Oj, jakoś wypadło mi z głowy... na jaką sumę się umawialiście? - uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie.

- Dwa tysiące - uśmiechnął się jeszcze przyjaźniej. - Dolarów.

- Świetnie.

Jasne, bardzo świetnie! Da mi teraz kota w worku - jakąś żółtą cienką kopertkę. A ja mam za nią zapłacić swoją krwawicą! Zostanę bez grosza przy duszy. Nie wystarczy mi nawet na marszrutkę. Chyba na to nie pójdziesz, Warwaro?!

- Proszę - wyjęłam z torebki wszystkie pieniądze, jakie miałam i z bez-troskim wyrazem twarzy mu je podałam. Nie drgnął mi przy tym ani jeden mięsień na twarzy.

Estończyk łaskawie przyjął ode mnie plik „zielonych” i równie łaskawie zaczął je przeliczać.

- Zgadza się? - nie mogłam spokojnie patrzeć, jak w czyichś wielkich łapach znika cały mój kapitał.

- Wszystko się zgadza.

Wrzucił pieniądze do walizki, po czym wyciągnął z niej sprane dżinsy. Odwrócił się do mnie tyłem, zrzucił szlafrok i został w samych slipach. Miał niezły tyłek. Zdażyłam go sobie dokładnie obejrzeć, zanim się ubrał. Zachowując się w ten sposób, dawał mi jasno do zrozumienia, że nasze spotkanie się skończyło. Wcale się przy tym nie krępował. Szczerze mówiąc, ja też nie czułam się zażenowana. W końcu byliśmy tylko pośrednikami.

Spotkaliśmy się, a teraz spokojnie się rozstaniemy. Gdy tylko wyjdę z kajuty, zapomnę o Rejno...

- Niech pani przekaze Olewowi, że więcej nie będę się zajmował jego sprawami.

- Nie odpowiada panu pańska prowizja?

- Nie odpowiada mi, jak się mnie wykorzystuje.

Nie tylko ciebie, Rejno.

Wciągnął koszulkę i spojrzał na mnie wyczekująco: dostałaś swoją kopertę, więc spadaj!

- Wszystkiego dobrego, Rejno - posłusznie wstałam. I tak zbyt długo tu siedziałam.

- Odprowadzę panią.

To było ostatnie zdanie, które od niego usłyszałam. Rzeczywiście mnie odprowadził, tyle, że jedynie do końca korytarza. Tam skinął mi ciężką niczym but płetwonurka głową i znikł gdzieś na górnym pokładzie.

Znalazłam się w małym holu. Umierając z ciekawości, otworzyłam kopertę. Zapłaciłam za nią dwa tysiące dolarów i miałam głęboko gdzieś tajemnicę korespondencji.

Z koperty wypadły trzy zdjęcia. Zwyczajne, zrobione najtańszym aparatem. Do tego stopnia zwyczajne, że poczułam nieodparte pragnienie wrócić do Rejno i walnąć go po tym jego zakutym łbie. I to gównu kosztowało dwa tysiące dolarów?!

Zaczęłam płakać.

Moje łzy kapwały na jakiegoś łysego typka z odrażającą mordą. Z miejsca go zniecierliłam (przy czym moja nienawiść była wprost proporcjonalna do sumy, którą wyłożyłam za jego podobiznę).

Na szczęście nie byłam aż tak głupia, żeby je podrzeć na strzępy. Chociaż miałam ogromną ochotę to zrobić. Jednak się powstrzymałam. Przetarłam twarz rękami i wzięłam kilka głębokich wdechów. Trochę spokojniejsza, zaczęłam dokładnie przyglądać się zdjęciom. Skoro były tyle warte, to musi być w nich coś szczególnego.

Na pierwszym z nich łysek stał sam na tle jakiegoś urzędu pocztowego. Starannie zaklejał kopertę.

Druga fotografia była ciekawsza: główna postać została ujęta w uniwersyteckiej todze. Facet stał na podrabianej katedrze i wygłaszał mowę do grupy debili, którzy siedzieli z opadniętymi szczękami.

Najwięcej osób znajdowało się na ostatnim zdjęciu, zapewne zrobionym gdzieś na przyjęciu. Nic ciekawego. Prawdę mówiąc, nawet mu się dokładnie nie przyjrzałam, bo co mnie obchodzi jakaś głupia impreza. Odwróciłam fotografie w nadziei, że chociaż jedna z nich będzie podpisana.

Guzik.

Na odwrotnej stronie znajdowało się tylko logo „Kodak”.

I to wszystko? Ten cholerny Rejno najnormalniej w świecie mnie wykołował! Bez najmniejszego skrępowania wcisnął mi to gówno! I jeszcze kazał sobie zapłacić jak za zboże.

Zaczęłam głęboko oddychać i spróbowałam wziąć się w garść. W końcu te zdjęcia nie były przeznaczone dla mnie, tylko dla Olewa Kiwi.

Pewnie dlatego nie potrzebowały komentarza. To, co było dla mnie totalnie bez znaczenia, dla niego mogło być niezmiernie ważne. Ale Kiwi wypadł z gry i nic mi już nie wyjaśni. Ani mnie, ani nikomu innemu.

Tylko z czego ja teraz będę żyć? Chyba nie z tej mizernej wypłaty Siergieja Sinienki?

Wspomnienie o reporterze zadziało na mnie otrzeźwiająco.

Najwyższy czas wracać. Na Kanonierską. W jedyne miejsce, gdzie będę względnie bezpieczna.

* * *

Na Kanonierską dotarłam dopiero późnym wieczorem. Siergiej czekał na mnie przy klatce. Siedział na wkopanej w ziemię oponie od samochodu. Obok melancholijnie żuł trawę jego wierny kot. Reporter posepnie go szturchał i wpatrywał się w zarysy zrujnowanego budynku, stojącego po przeciwległej stronie kanału. Usiadłam obok i również zapatrzyłam się na ten opuszczony dom. Tak pewnie właśnie będzie wyglądało moje przyszłe życie - rozbite, bezużyteczne i zaniedbane. Jeśli nie uda mi się wybronić... Jeśli dam się schwytać w klatkę.

- Coś późno wracasz - odezwał się w końcu Siergiej, nie zmieniając pozycji.

- Miałam dużo spraw do załatwienia - powiedziałam wymijająco.

- Załatwiłaś jeszcze kogoś? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Obeszło się bez tego.

Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu.

- Zdobyłem to, o co prosiłaś. Kompletną listę gości wraz z obsługującym ich personelem.

- Znakomicie. Jak tam śledztwo?

- Jesteś poszukiwana listem gończym.

Omam nie spadłam z opony. Ja??? Skromna pracownica, która nigdy w życiu nie skrzywdziła nawet muchy? Która mdlała na samą myśl o miesiączce? To właśnie mnie biorą za zbrodniarkę?! Chciałam się rozpłakać, ale niestety mój dzisiejszy limit łez się już wyczerpał. Pogłaskałam ocierającego się o moje nogi Chodźtu (widocznie zwykłych morderców cechuje sentymentalność) i zapytałam obojętnym głosem:

- A o co jestem oskarżona?

- O podwójne morderstwo - odparł z cichą dumą Siergiej. - Stasa Driemowa i Olewa Kiwi.

- Zgadza się.

- Nie ma innej wersji?

- Znalezione twoje odciski w Estonii - Siergiej odwrócił się, ujął moją dłoń i z czułością ją pocałował. - Odciski tych właśnie paluszków.

- Sprawnie działają - no i wypłynęła na wierzch historia z tallińską policją. - Jestem zaskoczona. Jak im się to tak szybko udało?

- Nie ma w tym nic dziwnego. Sprawa nabrała międzynarodowego rozgłosu. Kiedy w grę wchodzi reputacja, nasi też potrafią się postarać. Wysłali odciski do ojczyzny ofiary. Niedawno nadeszła odpowiedź.

No cóż, zdarzenia rozwijają się według mojego najczarniejszego scenariusza. Nie wiem, dlaczego nadal jeszcze spokojnie siedzę na tej opo- nie. Zamiast tego powinnam już zaciskać sobie pętlę na szyi.

- A jak to wszystko tłumaczą?

- Ale co dokładnie?

- Dlaczego zabiłam Kiwi.

- Jedynie ty to możesz wyjaśnić. Oni tylko przypuszczają. Przypusz- czają, że poznaliście się z Kiwi w Estonii, w czasie twojego pobytu... - Siergiej zrobił pauzę.

- No mów! - straciłam cierpliwość.

- W czasie twojego pobytu jako dziewczyny do zadań specjalnych... - wstał i zerwał gałązkę bzu, która nie zdążyła jeszcze przekwitnąć. I rzucił ją przede mną na ścieżkę. - Dlaczego, dlaczego nic o tobie nie wiem?!

- Przecież obiecałam, że wszystko ci opowiem.

- Kiedy?!

- Kiedy pomożesz mi połączyć ze sobą pewne fakty...

Siergiej gwałtownie chwycił mnie za rękę i zaciągnął do klatki. Nie protestowałam. Byłam zbyt zmęczona, żeby się czemukolwiek sprzeci- wiać. Do czwartego piętra dojechaliśmy w napiętym milczeniu, a potem Siergiej znów na mnie napadł:

- Przyszedł do mnie po zabiciu dwóch osób. Przyniosłaś ze sobą jakiś sztylet z kamieniem, pewnie kradziony... A na dodatek zakosiłaś mój futerał...

- Grzebałeś w mojej torbie! Wszystko jasne - popatrzyłam z wyrzutem na Siergieja.

- Grzebanie w rzeczach - to mój zawodowy obowiązek. Wybacz. Za to mi płacą...

Nóż. Zmrużyłam oczy i momentalnie poczułam go w swojej dłoni. Ciekawe, czy Sinienko też tego doświadczył?

- Brałeś go do ręki?

- Kogo?

- Nóż?

Siergiej mrugnął do mnie porozumiewawczo: wiem, co ci chodzi po głowie!

- Nie jestem przecież głupi. Od samego początku kłamałaś. Zmyśliłaś historię o szlachetnej zemście! Może więc zmyśliłaś również to, że wyrzuciłaś do wody narzędzie zbrodni. Może właśnie ten nóż jest głównym dowodem rzeczowym w sprawie. Po co miałbym więc zostawiać na nim swoje odciski palców?!

- Dobrze kombinujesz. Boisz się, że zostaniesz współnikiem?

- Boję się tylko jednego: że wymknie mi się tak dobry materiał... na książkę... Ale przecież mnie nie zostawisz, prawda? Nie zostawisz? Obiecałaś...

Z rozrzewnieniem spojrzałam na Siergieja i przypomniałam sobie Sulewa Chaasa, swoją pierwszą miłość. Sulew Chaas zostawił mnie dla mojej przyjaciółki Wikki, przeszedł gruźlicę skóry w wieku dwudziestu lat, a potem został psychiatrą. Nie ulegało wątpliwości: gdyby tak Siergiej Sinienko trafił w ręce ambitnego Sulewa - doktorat byłby murowany. A wykaz wszystkich manii, fobii i stanów na pograniczu rzeczywistości, którym ulegał, zająłby niejedną stronę.

Cholerny psychopata!

Niestety na razie muszę żyć w zgodzie nawet z psychopata. Na razie nie mam innego wyjścia.

Gdy tylko przekroczyliśmy próg mieszkania, zażądałam od Siergieja hotelowej listy. Na szczęście tym razem nie próbował się już ze mną targować i żądać w zamian za nią dowodów miłości, szczegółów zbrodni, czy też składania zeznań. Dziwne, ale jeśli chciał, to potrafił poskromić swoje redakcyjne demony.

Usiedliśmy w kuchni, naprzeciwko siebie. Siergiej uroczyście otworzył swój sfatygowany reporterski Talmud, wyjął z niego kilka kartek i zaczął z uczuciem czytać:

- Dwupiętrowa willa gościnna na Kriestowce, bardziej znana jako Marynarska Dacza. Wybudowana w 1902 roku przez architekta...

- Tylko bez rysów historycznych - przerwałam mu.

- Jak chcesz.

Z pełnym spokojem przyjął moją uwagę i przeszedł do głównej części tekstu:

- Teraz z najnowszej historii. Od 1994 roku Marynarska Dacza funkcjonuje w charakterze VIP-HOTELU. Ma 12 pokoi, po sześć na dwóch piętrach. Na parterze - pomieszczenia służbowe: kuchnia, bar, hol, pokój dla ochrony. Hotel zaopatrzony jest w cztery kamery umieszczone na zewnątrz budynku oraz jedną w holu.

- A na piętrach? - zapytałam, choć doskonale pamiętałam, że na korytarzu nie było żadnych kamer. Siergiej to potwierdził:

- Na piętrach nie ma kamer. Specjalnie, żeby nie denerwować gości. Przecież nie mogą czuć się skrępowani. Wracając do rozmieszczenia pokoi. Na każdym piętrze jest tak samo: trzy pokoje po jednej stronie i trzy - po drugiej. Rozmieszczone w szachowym porządku.

- A między pokojami są wewnętrzne przejścia?

Siergiej wrócił do pierwszej kartki i przez kilka chwil bezgłośnie poruszał wargami.

- Nie. Teraz już nie. Kiedyś były, ale Marynarska Dacza została przebudowana. Początkowo w planach było zastosowanie amfiladowego układu wewnątrz. Potem jednak drzwi zostały zamurowane.

W ten sposób uporaliśmy się z architektonicznymi formalnościami i przeszliśmy do sedna sprawy. Mój dobrowolny pomocnik przewrócił kolejną kartkę.

- Czyli tak, w noc zabójstwa w hotelu znajdowali się: kelner, portier, dwaj ochroniarze i barman. Razem - pięć osób z personelu. Mam dane ich wszystkich. Teraz goście. Z dwunastu pokoi było zajętych siedem.

- Jedźmy z tym koksem. Mów, kto tam był.

- Oprócz ciebie i Olewa Kiwi w hotelu znajdował się biznesmen z Niemiec oraz Mołdawianin - jakiś winiarz. Zajmowali sąsiednie pokoje na pierwszym piętrze: Ów Niemiec jest poważnym przedsiębiorcą, inwestuje w napoje bezalkoholowe. Zawsze zatrzymuje się na Kriestowce.

Przypomniałam sobie architekturę hotelu: bawarski domek z pierników. To w pełni zrozumiałe, że Niemiec woli hotel na Kriestowce od jakiegoś innego w centrum. Niemcy są strasznie przywiązani do swojej ojczyzny. Wprost maniackalnie szukają podobieństwa z nią w każdym

kraju, w każdej części świata. Podobieństwa, a nie różnicy. Miejscowości, w których nie można znaleźć żadnych podobieństw do Turyngii albo Meklemburgii-Pomorza Przedniego, dla nich nie istnieją. Jeden mój znajomy Niemiec...

Ale Siergiej nie pozwolił mi się oddać wspomnieniom.

- Mołdawianin - czarny koń, bardziej podobny do cygańskiego barona. Jeśli wnioskować po liczbie zębów.

- Złoty?

- Trafiałś w dziesiątkę. Pije tylko wino, które sam produkuje. Każdego ranka zamawia mamałygę, paprykę i marynowany czosnek.

- Mamałygę? A co to takiego?

- Mamałyga? - Siergiej podrapał się pod pachami i zaczął zawzięcie kartkować swój notes. - Aha, mam. Mamałyga to kasza kukurydziana. Przygotowuje się ją na mleku, z dodatkiem oleju, soli i tartego sera.

- Odwaliłeś niezły kawał roboty! - z szacunkiem popatrzyłam na jego notes, który wydawał mi się teraz miejscowym wydaniem znanego *Słownika encyklopedycznego* Brockhousa i Efrona.

- Przecież jestem zawodowcem!

- Ta dwójka nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Kogo tam jeszcze mamy?

- Obok Mołdawianina mieszkał i jeszcze przez najbliższą dobę będzie mieszkać Kalu Kullemaie, rzecznik prasowy ofiary. Załatwia teraz wszystkie formalności: mszę żałobną, przetransportowanie ciała do kraju i temu podobne.

Nie miałam najmniejszego zamiaru myśleć o martwym ciele Olewa Kiwi, więc szybko zmieniłam temat.

- Zostają nam jeszcze trzy pokoje.

- Tak. Jeden na pierwszym piętrze i dwa na drugim. Zacznijmy od tego jednego, żeby mieć z głowy to piętro - zamieszkuje go znana moskiewska aktorka.

- Co to za jedna?

- Wyjątkowa suka - twarz Siergieja wykrzywiła się w okropnym grymasie, a w jego głosie słychać było nutkę osobistego, w pewnym stopniu obrażonego, zainteresowania. - Występuje teraz w Sankt Petersburgu, w jakimś serialu kryminalnym.

- Nie udzieliła ci wywiadu? - przechyliłam się przez stół i potargałam Siergieja po grzywce. - Rzuciła butem przy wszystkich na planie? Czy chlusnęła ci w twarz drinkiem? Przyznaj się!

- Aż tak to mi na tym wywiadzie nie zależało, nie moja działka... Po prostu koledzy mnie poprosili. Szedłem tam jak na ścięcie, jak Boga Kocham! Mówię ci, ma okropny charakter... - ponownie zaczął zawzięcie kartkować notes. - Mam tu co nieco o niej. Sam zbierałem te wiadomości. Producenci przez tę idiotkę już po raz czwarty zmieniają reżysera...

- A co z drugim piętrem? - jeśli mu teraz nie przerwę, to będzie się o tej moskiewskiej kreaturze wywnętrzał do rana, już ja to czuję.

Siergiej westchnął i niechętnie przerzucił się ze skandalizującej gwiazdy filmowej na nudny jak flaki z olejem wykaz hotelowych gości.

- To samo, co z pierwszym. Świątobliwie jak w synagodze. Pokój naprzeciwko was zajmował sławny historyk sztuki. Specjalista w dziedzinie Azji Południowo-Wschodniej. Podobno bardzo spokojny. Opuścił hotel jeszcze tego samego dnia. Teraz obraca się gdzieś w mieście.

- Myślałam, że buddyści zen są znacznie mniej wrażliwi...

- Też tak myślałem. Ale w końcu co to ma za znaczenie. Ostatni z całej siódemki to jeszcze jeden aktor. Też moskiewski i też występuje w serialu.

- W tym samym?

- Nie, w innym. Tamten był kryminalny, a ten jest melodramatyczny. Teraz tych seriali zrobiło się na pęczki. Wszyscy rzucili się zarabiać na nich kasę. Telewizja naciera ze wszystkich stron. A Sankt Petersburg kroczy w pierwszej linii ataku, zresztą sama wiesz.

- I co to za aktor? Tak samo skory do kłótni jak poprzedniczka?

- Nieco lepszy, ale też nie anioł. Baby sobie sprowadza przez okno - chyba traktuje to jako coś w rodzaju sportu. Jedna z jego fanek spadła i złamała rękę. Cztery dni temu. Do skandalu nikt, naturalnie, nie dopuścił... I to byłoby już wszystko.

- Wesolutki lokal!

- Spelunka - podsumował Siergiej.

Zamyśliłam się na dłuższą chwilę. Gwiazdorski skład na Kriestowce nie napawał optymizmem. Osoby wymienione przez Siergieja nadawały się na morderców tak samo jak i ja. Zastanawiał mnie jedynie ten tajemniczy historyk sztuki, specjalista od Azji Południowo-Wschodniej.

Po pierwsze - wyprowadził się od razu po morderstwie. A po drugie - Filip Kodrin, brat Ałły i szwagier Kiwi, był pracownikiem Ermitażu. Zatem również musiał się na sztuce znać. Dwaj znawcy sztuki płatali się w tym samym czasie nie opodal miejsca zbrodni.

- No i jak ci się podobają te wiadomości? Naświetliły sprawę?

- Mam nadzieję, że wkrótce naświetlą.

Odczekałam parę chwil, po czym wyciągnęłam z torebki fotografie otrzymane od Rejno i podałam je Siergiejowi.

- Znasz tego człowieka?

- Po raz pierwszy go widzę - wzruszył ramionami, ale nie oddał mi od razu zdjęć.

Przyglądał się im znacznie dłużej, niż można było przypuszczać. Szczególnie zainteresowało go ponure przyjęcie. Ta sama fotografia, którą ja sobie od razu odpuściłam. Nie wypuszczając zdjęcia z ręki, Siergiej wysunął szufladę biurka i wyciągnął stamtąd zdezelowaną lupę, do której poprzyklejały się okruszki chleba. Przez chwilę przesunął ją po zdjęciu, po czym nagle zatrzymał się w jednym punkcie.

- O! Tego gościa to ja znam. Odludek Fila!

- Jaki znowu Fila?

- Brat Ałły Kodriny, Filip. Ciekawy typ. Mogę ci o nim opowiedzieć. Ciekawe, bardzo ciekawe...

Keanu-Brad-Michael-Hught-Pierce-Sean-Anthony-Filip. Poczulałam, że pocą mi się dłonie.

Siergiej podał mi zdjęcie wraz z lupą. Ale i bez niej spokojnie rozpoznałabym idealny przedziałek Filipa. Jego właściciel stał wbity w zapadły kąt fotografii. Jak mogłam go wcześniej nie zauważyć? Pewnie dlatego, że wyglądał na zwykłego statystę. I znajdował się na drugim planie, z dala od bohatera fotograficznej epopei...

Sarabanda

Nie spałam przez całą noc. Ale tym razem moje nocne czuwanie było zupełnie innego rodzaju niż to, do którego byłam przyzwyczajona. Myśleć jednak musiałam w tym samym tempie i z tą samą intensywnością.

Wystawiłam miski Chodźtu do przedpokoju, dokładnie zamknęłam drzwi do kuchni i obłożyłam się papierami zdobytymi przez Siergieja. Gdy tylko zaczęłam je przeglądać, korespondent specjalny „Petersburskiej Anomalii” z kategorii psychopaty awansował do kategorii anioła-stróża. Ja mogłam się pochwalić jedynie zawałonym spotkaniem z Filipem Kodrinem, na wpół zawałoną wizytą u Rejno i stosunkowo pomyślną, chociaż niezbyt pomysłową, akcją z niejakim seks-turystą Honzą. Jak w tym samym czasie Siergiejowi udało się dokopać do takiej ilości informacji - było dla mnie niepojęte. W końcu pocieszyłam się, że na tym właśnie polega jego praca i trochę mnie to uspokoiło.

Sinienko odniósł się do mojej prośby poważnie. Nawet, powiedziała-bym, bardzo poważnie. Przypominał mi profesjonalnego kelnera, który uważnie obserwuje popielniczki i na czas je wymienia. Nie narzuca się, nie wrywa z rąk karty win, ale zawsze jest na tyle blisko, żeby móc szepnąć klientowi na ucho:

„Proszę wziąć kalifornijskie »Chardonnay« z dziewięćdziesiątego siódmego. Wyjątkowy rocznik. Pana towarzyszce na pewno będzie smakować”.

Daje z siebie wszystko w nadziei na dobre napiwki.

Siergiej też się postarał. Prześwietlił chatkę na Kriestowce wzdłuż i wszerz. Zdobył wszystko, co było możliwe do zdobycia. Kartki, z których korzystał podczas rozmowy ze mną, były tylko wstępem. Najważniejsze było jeszcze przede mną. Jakimś cudem zebrał mnóstwo informacji na temat każdej z tych osób. Do niektórych dołączone były również wycinki z gazet, co istotnie ułatwiało głębsze poznanie danego gościa hotelowego.

Postanowiłam zacząć właśnie od nich.

Olewa Kiwi z miejsca odrzuciłam. Nim już się teraz zajmuje niebiański departament. Lista pozostałych sześciu nazwisk robiła wrażenie:

1. Günther Knoblauch, biznesmen z Hamburga. Zakłady napojów bezalkoholowych na terytorium Niemiec: w Hamburgu, Badenii-Wirtembergii oraz w kilku kantonach Szwajcarii. Od pięciu lat zajmuje się podobnym biznesem na rosyjskim rynku.

2. Aurel Czorbu, sprzedawca win z Mołdawii. Dwa firmowe mołdawskie sklepy win i koniaków. Przybył na zaproszenie organizatorów wystawy „Produkcja i sprzedaż win”. Wystawa ma miejsce w „Lenekspo” (adresy petersburskich sklepów Czorbu zostały dołączone do zebranych akt, podobnie jak i program wystawy w „Lenekspo”).

3. Kalu Kullemaie, rzecznik prasowy zmarłego Olewa Kiwi. Natręta Kalu już znałam, postanowiłam więc nie tracić na niego więcej czasu.

4. Polina Czarska, aktorka (tu już Siergiej poszedł na całość: sarta wywiadów z bezczelną gwiazdą filmową, ogromny zbiór plotek i pogłoszek, okrojona filmografia i równie okrojone opinie krytyków. Poza tym kilka fotografii - musiałam przyznać, że całkiem niezła z niej laska. Jasne oczy, ciemne włosy, mocno, wręcz agresywnie zarysowane kości policzkowe - w naszym smutnym zawodzie na pewno byłyby w samej czołówce).

Czarska grała w serialu *Prawo i bezprawie* drugorzędną rolę przyjaciółki głównego bohatera. Już od pierwszych dni nagrań ujawniła swój wstrętny charakter. Na tyle wstrętny, że autorzy scenariusza, podjudzani przez producenta, usiłowali pozbyć się jej pod koniec każdej z serii. Grała przez nią bohaterka tonęła w samochodzie, dostawała kulę w głowę, dźgali ją nożem w brzuch albo wyrzucali z okna wieżowca lokalni petersburscy mafiozi, jednak... wszystkie te starania spełzały na niczym.

Główny zleceniodawca z Moskwy ją uwielbiał i skończyło się na tym, że usunięto z serialu nie ją, lecz głównego bohatera. Pola Czarska zajęła jego miejsce i teraz sama pilnowała porządku w kryminalnej stolicy.

5. Teo Lhermitte, ten sam znawca sztuki, którego obecność w hotelu wydawała mi się niezupełnie przypadkowa. Tajemniczy specjalista od tajemniczego Południowego Wschodu. Niestety, w tym miejscu Siergiej nawalił. Nie było bowiem o nim żadnych dodatkowych informacji.

6. Ilja Slipecow, były kaskader, obecnie bohater kostiumowych melodramatów. Jego głupia średniowieczna twarz gościła już na okładkach wszystkich popularnych czasopism. Uwielbiały go zarówno kobiety, jak i kamery. Za to nienawidzili mężczyźni i stacje radiowe zakresu FM.

Pokoje znajdowały się w hotelu tylko na dwóch piętrach. Pierwsze sześć rozmieszczono w porządku szachowym na pierwszym piętrze. W pierwszym, znajdującym się najbliżej schodów, mieszkał Günther Knoblauch. Drugi pokój - naprzeciwko (tylko lekko w bok) - był wolny. Trzeci, obok pokoju Knoblaucha, zajmował Aurel Czorbu. Kolejny, czwarty (naprzeciwko) znów był wolny, a w piątym (sąsiednim) mieszkał Kalu Kullemaie.

Szósty pokój, na samym końcu korytarza, zajmowała Polina Czarska. Dlaczego przy swojej skłonności do kłótni nie zażądała oddzielnej mansardy?

Na drugim piętrze gości było jeszcze mniej: Olew Kiwi, Teo Lhermitte i Ilja Slipecow. Slipecow zajmował ósmy pokój, a Kiwi i Lhermitte, odpowiednio, jedenasty i dwunasty - na samym końcu korytarza, naprzeciwko siebie. W ten sposób Kalu Kullemaie, tak samo jak w życiu, znajdował się pod swoim szefem. A Teo Lhermitte zajmował pokój bezpośrednio nad Czarską. Oprócz głównych schodów i windy w „modernistycznym” stylu, w hotelu była jeszcze droga przeciwpożarowa, której nie zauważyłam podczas swojego pobytu na Kriestowce.

Podsumowałam w myśli informacje o gościach hotelowych i ciężko westchnęłam. Z całej tej szóstki na mordercę nadawała się tylko jedna osoba - Teo Lhermitte.

Po pierwsze, obracał się w tych samych kręgach, co Filip Kodrin, a po drugie, pasowało do niego narzędzie zbrodni - nóż.

Ten bowiem bezwarunkowo zaliczyłam do dzieł sztuki. Ale z drugiej strony, czy osoba, która strzeże cennych przedmiotów, byłaby skłonna tak nimi szastać? Oto jest pytanie.

Z pozostałymi sprawa wyglądała o wiele prościej. Czarską i Slipecowa wykluczyłam z powodu ich głupoty, Niemca Knoblaucha - z powodu jego oddania się bez reszty bezalkoholowemu biznesowi (tak bezsensownego w rosyjskich realiach). Aurela Czorbu z jego mamałygą i winami nawet nie brałam pod uwagę. Mołdawianie są dobrzy jedynie w kradzieży makucho z winogronowych pestek. Wyrafinowane zbrodnie nie są dla nich. A ostatni z całej szóstki, Kalu Kullemaie, nie piłowałby gałęzi, na której siedzi. Praca dla Olewa Kiwi z pewnością była całkiem nieźle opłacana.

Skończyłam z asami i przesłam do słabszych kart w tej talii - do hotelowego personelu. Było ich pięciu: kelner, portier, dwaj ochroniarze i barman.

Pierwszy z nich, zgodnie z zebranymi przez Siergieja informacjami, nazywał się Walenty Wotiakow.

Mógł się okazać dzokerem, jeśli tylko moje przypuszczenia co do środka nasennego były prawdziwe. Wtedy jednak podejrzany staje się także barman, który miał łatwy dostęp do alkoholu. Barman - Andron Czulaki - sądząc z krótkiego wywiadu Sinienki - zasłynął jako świetny specjalista i przed rozpoczęciem pracy na Kriestowce był zatrudniony w kilku prestiżowych nocnych klubach.

Nazwiska obu ochroniarzy brzmiały niczym parodia: Nowak i Kowalski. Długo się zastanawiałam, który z nich był „językiem”, z taką kurtuazją odprowadzającym mnie do wyjścia. Jednak nie doszłam do żadnego wniosku. Pozostawał jeszcze portier - Lisowski, tak samo bezpłatny, jak jego nazwisko. Jego kandydaturę odrzuciłam więc bez zastanowienia.

Od nadmiernego wysiłku umysłowego rozboleła mnie głowa i obniżyło mi się ciśnienie. Niestety Siergiej nie miał ani kawy, ani herbaty. Ani nawet czajnika. Musiałam zadowolić się wodą z kranu. Za oknem w porcie nadal huczały holowniki. Przypomniałam sobie „Królową Reginę” i Estończyka Rejno z jego fotografiami. Ciekawe, jak Kiwi sformułował swoją prośbę? I z jakiego powodu Rejno śledził właśnie tego nieszczęsnego łysola? Trzy zdjęcia o wartości dwóch tysięcy dolarów nie dały mi żadnego klucza do rozwiązania zagadki. Albo prawie nie dały. To „prawie” polegało na tym, że znów wróciłam do punktu wyjścia - do Filipa Kodrina. „Odludka Fila”, jak nazwał go Siergiej.

„Na dzisiaj to wszystko” - powiedziałam sama do siebie.

Trzeba w końcu iść spać.

Ale nie chciało mi się iść do pokoju i kłaść na wpół zbutwiałe legowisko. Spać też mi się nie chciało. A może by tak chociaż pobieżnie przejrzeć wywiady z Poliną Czarską? Tym bardziej, że na niektóre z nich natrafiałam już kiedyś w swoim ulubionym czasopiśmie „Relaks dla Ciebie”.

Rozpoczęłam od najnowszego, którego tematem był serial *Prawo i bezprawie*. Przez jedną trzecią wywiadu zachwycona korespondentka i nieco bardziej opanowana Polina rozwodziły się nad zaletami głównej bohaterki.

Następnie przerzuciły się na osobiste życie samej Czarskiej i, sądząc po opisie, było ono pełne tragicznych zwrotów akcji i równie tragicznych rozczarowań.

Aktorka wyraźnie dawała do zrozumienia, że jest prześladowana przez swoich złośliwych moskiewskich kolegów po fachu. Do tego czuje się samotna, gdyż dopiero co zakończyła burzliwy romans z jakimś mężczyzną, którego imienia nie chce podawać. Przez niego prawie na miesiąc zrezygnowała z pracy. Potem znajdował się standardowy zestaw banałów: miłość, praca, rodzina, dzieci, role. I tu Poleńkę poniosło: w jej życiu nie liczy się nic poza pracą, codziennie składa się w ofierze sztuce, co godzinę napotyka mur niezrozumienia - i inne tego typu aktorskie psychopatyczne brednie. Z utęsknieniem pomyślałam o Montezumie-Schokolade, która w roli gwiazdy filmowej nigdy nie wyglądałaby tak banalnie.

W końcu wyczerpana do granic możliwości korespondentka przeszła do ataku, zadając krótkie, szybkie pytania: ulubiony autor, ulubiona potrawa, ulubione miasto, ulubiona pora roku. Całą tę długą, nikomu niepotrzebną partię Czarska rozegrała wyśmienicie: „ulubiona kuchnia - meksykańska” (No pewnie! Przecież nie będzie żarła ruskich pierogów na oczach zdumionej publiczności.), „ulubiony autor - Borges” (Kto to taki, nie miałam pojęcia. Pewnie jeden z tych pseudopisarzy, których nikt nie rozumie.), „ulubione miasto - Wiedeń” (Dobrze cię tam bzykali w tym Wiedniu, co?!), „ulubiona pora roku - jesień”...

Odłożyłam na bok wywiad. Nie byłam już w stanie czytać dłużej tych bredni.

Lepsze od tego pieprzenia będą już *Zagadki kryminalne - rozwiąż je sam*. Zabrałam się więc za ich lekturę. Ale zanim na dobre zagłębiłam się w zawilim opisie sposobu wykorzystywania przejęzyczeń podejrzanym, coś sobie uświadomiłam.

Wiedeń.

Co pomyślałam, kiedy przeczytałam, że ulubionym miastem Czarskiej jest Wiedeń? Coś nieprzyzwoitego... Aha, „dobrze cię tam bzykali w tym Wiedniu, co?”... Ale właściwie to dlaczego jestem aż tak źle nastawiona do Wiednia? Przecież nigdy tam nawet nie byłam.

Czarska nie była moskwianką, tego byłam pewna. Gdzieś o tym czytałam. Pyskata dziewczyna z prowincji, która pragnie otrzymać od życia wszystko... Nie sędzę, żeby taka osoba rzeczywiście uważała patriarchalny Wiedeń za idealne miasto. Paryż - rozumiem, wszyscy są tego zdania. Wenecja - również. Nowy Jork - stolica świata. Los Angeles ze swoją pijawką - Hollywood - stolica antyświata... Czarska, sądząc z pozostałych wypowiedzi, ze wszystkich sił chciała wyglądać na bardzo egzotyczną. Powinna zatem wybrać Hongkong albo Barcelonę. Wiedeń jest zbyt nudny. Jest jak marudna żona, przez wiele lat przykuta do wózka inwalidzkiego...

A jednak wybrała Wiedeń. Dlaczego?

I ta historia o niedawno przeżyтым burzliwym romansie.

Olew Kiwi mieszkał w Wiedniu.

Byłam zła sama na siebie. No proszę, po co mi były te wszystkie zawiłe przypuszczenia! Po to, żeby powiązać ze sobą Czarską i Kiwi. Czarska jest jednak zbyt zepsuta na to, żeby zabić. Nie wystarczyłoby jej cierpliwości. Urządzać histerie - a i owszem... Odgrywać kilka scen naraz - proszę bardzo... Ale z nieboszczykami nie da się grać. Są w tym kiepcy, nie słuchają i nie odpowiadają. Nie można ich stłamsić wspaniałym odegraniem swojej roli ani wytknąć braku profesjonalizmu. A ona przyzwyczaiła się do ciągłego prowadzenia gry - ze wszystkimi, zawsze i wszędzie...

Co za myśli przychodzą mi do głowy?! Muszę koniecznie podzielić się nimi z Montezumą - tylko ona należycie je oceni.

Rozpierzana dumą i poczuciem własnej przewagi nad wszystkimi tymi aktoreczkami, złożyłam papiery i poszłam do pokoju, żeby obudzić Siergieja. Ale nie musiałam się wysilać - mój osobisty pies myśliwski nie spał.

- No i jak? - zapytał stłumionym głosem. - Poradziłaś sobie? Wszystko ci odpowiada?

- Jesteś geniuszem, Siergiej. Będę musiała złożyć podanie do twojego kierownictwa. Żeby ogłosili cię reporterem roku.

- Już to zrobili - uniósł się na łokciu. - Spóźniłaś się.

- Moje gratulacje - nachyliłam się i go pocałowałam. - A czy mogę jeszcze trochę wykorzystać najlepszego reportera roku?

- Spróbuj.

- Muszę się spotkać z Filipem Kodrinem. Mógłbyś to załatwić?

Siergiej demonstracyjnie odwrócił się do ściany.

- Mógłbyś to załatwić? - powtórzyłam.

Zamiast odpowiedzieć, podrapał się po tyłku. A po chwili burknął:

- Jeśli mi wyjaśnisz, po co ci to. Już mi się sprzykrzyło takie zgadzanie się na wszystko i na oślep. Czuję się wykorzystywany.

No tak, oczywiście. Marynarza Rejno też tak wykorzystywano. Ale on dostał za to dwa kawałki. Wspomnienie o tym nieprzewidzianym wydatku znów wprawiło mnie we wściekłość. Gwałtownie pociągnęłam Siergieja za ramię i przewróciłam na plecy. Spojrzałam mu prosto w oczy. Oczy maminsynka, przyłapanego w toalecie z *Kamasutrą*.

- W tej sprawie wszyscy są tak samo wykorzystywani. Dlaczego miałbyś stanowić wyjątek? - wyszeptalam i żeby zwiększyć siłę przekonywania, potrząsnęłam go za ramię.

Maminsynek wziął się w garść i teraz był już zdecydowany udowodnić, że to, co trzyma w rękach, to nie żadna *Kamasutra*, tylko powieść Czernyszewskiego *Co robie?*

- Dlaczego miałbyś stanowić wyjątek? - powtórzyłam.

- Bo nie chcę grać z wami w tę waszą gierkę.

- Kiedy ty już jesteś w naszej drużynie. Na dodatek w głównym składzie - nie mogę pozwolić, żeby zapomniał, z kim ma do czynienia. W końcu to za mną, a nie za nim, rozesłano listy gończe. Mogę to wykorzystać? Mogę czy nie, do jasnej cholery?!

* * *

Redakcja „Petersburskiej Anomalii” zajmowała piwniczne pomieszczenie na Fontance i, sądząc po braku jakiegokolwiek szyldu, zakurzonych

szybach i w połowie przeżartych rdzą żelaznych drzwiach, już od dawna działała nielegalnie.

- Co tak marnie? - zapytałam Siergieja. - Przecież ukazujecie się w przyzwoitym nakładzie.

- Maskujemy się...

- A co, znieważone sławy tłuką was po gębach?

- Bez przesady... chociaż, w sumie niekiedy zdarzają się takie incydenty. Ostatnio, jeszcze na ulicy Marata, połamali żebra naszemu wydawcy. Byliśmy więc zmuszeni się przeprowadzić.

- Trzeba od razu uciekać się do rękoczynów? Nie można inaczej? - W duchu ucieszyłam się ze złamanych żeber dziennikarskiej szui. - Dlaczego nie wnieśli skargi do sądu?

- Bo to nie ma sensu - Siergiej rozpląnął się w diabelskim uśmiechu. - Przecież jesteście zwykłym brukowcem. Łapówka to nasze drugie imię. Nic by na tym nie zyskali. No i tak się przenosimy z miejsca na miejsce. Pewnie do czasu, aż ktoś nie podłoży naczelnemu jakiejś bomby.

- A jak podłożą, co wtedy?

- Nie zostaniemy bez pracy. Spokojna głowa. Wiesz, jakich mamy speców? Dorwą każdego, nawet Madeleine Albright w kibelku.

- Nieźle. A kto to jest? Modelka? - wydawało mi się, że już gdzieś słyszałam to imię. Dziwne tylko, że „Relaks dla Ciebie” nigdy o niej nie wspominał.

- Pogromczynie tygrysów - uciał Siergiej, tym samym kończąc temat. - Zrobimy tak. Poczekasz na mnie w podwórzu. Zaraz wrócę.

Po tych słowach odwrócił się i zniknął w drzwiach zmurszałej kryminalnej twierdzy. Ja natomiast ulokowałam się na żeliwnej ławce przy murze.

Nie było go dobre pół godziny. Przez cały ten czas „Anomalia” tętniła życiem. Żelazne drzwi co parę minut wypluwały z siebie łowców sensacji, chodzących trójkami i zaopatrzonych w kamery wideo, oraz bohaterów ze zniszczonymi torbami, działających w pojedynkę. Z takim samym natężeniem wysysała w siebie przeróżnych szaleńców: począwszy od beznogiego kaleki, a skończywszy na dwóch transwestytach, którzy przedelfowali przez podwórze w rozmarzonym rytmie argentyńskiego tanga.

Co tu dużo mówić. Gazeta „Petersburska Anomalia” wyraźnie zasługiwała na swoją nazwę.

Przy tych właśnie rozmyślaniach zastał mnie Siergiej.

- Nudzisz się? - zapytał opiekuńczo.

- Z tobą nie można się nudzić - odpowiedziałam zupełnie szczerze. -

Trzymaj - rzucił mi na kolana jakąś legitymację.

Na granatowej okładce widać było niewyraźną pieczętkę „PETERSBURSKA ANOMALIA”. Otworzyłam dokument i przeczytałam: „Karpuchowa Rimma Chajdarowna. Korespondent”. Do legitymacji podpisano fotografię czterdziestopięcioletniej matrony, która najwyraźniej właśnie wchodziła w stadium wczesnego klimakterium.

- No i jak? - Siergiej mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Co - jak?

- Popracujesz trochę jako Rimma Chajdarowna?

- Obawiam się, że z tym zdjęciem mogę mieć niejakie problemy... - nawet jego kot był bardziej podobny do tej tajemniczej Rimmy Chajdarownej niż ja.

- Głupstwo - oświadczył optymistycznie. - Nikt nie zwróci uwagi na taki drobiazg. A jeśli nawet zwróci, to powiesz, że kiedy się fotografowałam, byłam bardzo chora...

Chyba na ospę wietrzną.

- A skąd wytrzasnąłeś tę legitymację?

- Wyciągnąłem z torby - Siergiej robił wyraźne postępy. Jak tak dalej pójdzie, niedługo wstąpi do jakiegoś gangu.

- A nie było tam kogoś nieco młodszego?

- Ci nieco młodsi trzymają się ode mnie z daleka.

- Dlaczego?

- A skąd mam wiedzieć? Może nie jestem w ich typie... - Siergiej naburmuszył się i potrząsnął głową.

Pocałowałam go w kącik obrażonych ust. Z całą czułością, na którą było mnie stać. W końcu na to zasłużył.

- No tak. Jak zawsze dostaję to, o czym piszę - skomentował ten niewinny przyjacielski pocałunek. - Ostatni raz całowałem się z satanistami.

Równie niezapomniane doznania.

Minęliśmy bramę wejściową, obficie podlaną moczem bohaterów i zbrodniarzy „Petersburskiej Anomalii” i znaleźliśmy się na Karawanowej - pomiędzy kinem a cyrkiem. Po raz kolejny pomyślałam, że lepszego miejsca dla tego piśmidła nie można byłoby już wymyślić.

- Jak go dorwiemy? - zapytałam.
- Kogo?
- Filipa.
- Najpierw pójdziemy coś przekąsić, a potem się zobaczy...

Zamówiłam sobie naleśniki z kawiozem, a Siergiej - z nadzieniem śledziowym. Jedzenie było naprawdę smaczne, ale na tym zalety niewielkiego, urządzonego w pseudorosyjskim stylu baru się kończyły. Nie wolno było palić, nie podawano żadnego alkoholu i nikt nie grał w karcie na bałajce. Nie było nawet wypchanego niedźwiedzia z tacą na napiwki „na odbudowę świątyni Męczennicy Eufemii”.

Za to po dwudziestu minutach pojawił się Filip Kodrin. Kręcił swoją idealną głową we wszystkie strony, wyraźnie kogoś wypatrując. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, Siergiej pomachał do niego ręką.

- Umówiłeś się z nim? - wyszczałam, omal nie zadławiwszy się przy tym resztką kawioru.

- A masz coś przeciwko?

- No nie... po prostu nie sądziłam, że się znacie.

- Przecież zajmowałem się sprawą jego siostry - szeptem wyjaśnił mi Siergiej. - Przestań się tak na niego gapić. Jeśli będziesz robić do niego maślane oczy, to się nam wymknie. Lepiej uważaj.

- Nie mam zamiaru...

- Bądź chamska. Poznaj się trochę nad jego wyglądem zewnętrznym. Nienawidzi swojej laleczkowatej gęby.

- No, no, no... Ale z ciebie psycholog - popatrzyłam na niego z szacunkiem.

Siergiej nie zdążył mi już odpowiedzieć, gdyż w tym momencie Filip podszedł do naszego stolika. Pochylił się i wyciągnął rękę do Siergieja.

- Cześć! - mój anioł stróż słabo odpowiedział na uścisk ręki przystojniaka. - Kiepsko wyglądasz. Jakież kłopoty?

Przez twarz Kodrina galopem przeleciał ledwie dostrzegalny uśmiech: wykapany Jack Nicholson w roli maniaka z *Lśnienia*.

- Jak do tej pory wszystko w porządku - odparł radośnie i usiadł obok Siergieja. Tym samym już po raz kolejny siedziałam naprzeciwko idealnego mężczyzny.

Ze smutną miną zaczęłam się wpatrywać w solniczkę.

- Załatwili twojego szwagra - Siergiej podsunął Kodrinowi menu. - Słyszałeś?

- I po to chciałeś się ze mną spotkać?

- Po to też. Och, byłbym zapomniiał. Poznajcie się, to jest moja koleżanka z pracy, Rimma Karpuchowa. Początkujący reporter. Zbiera materiał w tej sprawie.

Nadal usilnie wpatrywałam się w solniczkę.

- A czego ode mnie chce? - Filip był wyraźnie zaskoczony moim brakiem zainteresowania.

- Żebyś opowiedział jej o Olewie. Cenne szczegóły z prywatnego życia. Takie wspomnienia tych, którzy jeszcze pozostali na tym świecie.

- Jej? - przystojniak nawet nie był w stanie ukryć swojego rozczarowania. - Myślałam, że ty...

- Niestety nie. Nie podpiszę się pod tym epitafium. Ile masz czasu?

- Noo... jakąś godzinkę.

- No to super. Wy tu sobie porozmawiajcie, a ja tymczasem uciekam. Mam kilka spraw do załatwienia. Rimula, na razie! - reporter opiekuńczo pogłaskała mnie po głowie. Złapałam go za rękę.

- A kto ma zapłacić za to jedzenie? Zeżarłeś i teraz się zwijasz? Dupek! - „duppek” to była już przesada, ale to właśnie rozweseliło Kodrina do granic możliwości.

- Zawsze taka jest - westchnął Siergiej i wyciągnął z kieszeni zlepiony plik pięćdziesiątek, które już dawno straciły swój pierwotny wygląd. - A to na lody dla ciebie, przeciwniczko mężczyzn! Widzimy się o piątej przy redakcji...

To powiedziawszy szybko wyszedł z baru, a ja w myśli posłałam za nim buziaka.

Zostaliśmy sami. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Kodrin mnie nie rozpoznał. Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógł mnie już kiedyś widzieć. Nie zazdrościłam mu jego losu. Jego piękno przyciągało kobiety, jak miód przyciąga pszczoły. Ich namiętne spojrzenia prześladowały go dniem i nocą, nie dając mu nawet sekundy wytchnienia. A cóż może być gorsze od namiętności...

- Pani Rimmo - on również przerzucił swój wzrok na solniczkę - naprawdę nienawidzi pani mężczyzn?

- Jestem lesbijką - wypaliłam bez zastanowienia. - Jeszcze jakieś pytania?

Nie, nie miał już więcej pytań. Za to wyraźnie się rozluźnił i stracił swoją zwykłą czujność. Nie patrzył już na solniczkę. Teraz całą swoją uwagę skierował na mnie. Nic dziwnego, przecież jako kobieta nie stanowiłam dla niego żadnego zagrożenia.

- Będzie pan coś zamawiał? - starannie unikałam jego wzroku. Tak samo, jak on unikał mojego dzień wcześniej, w pamiętnej kawiarni na Piotrogradce.

- Może poszukamy ciekawszego miejsca? - zapytał niepewnym głosem. - Bardziej sprzyjającego rozmowie.

- Jak pan sobie życzy.

Jeśli mnie teraz zaprowadzi do jakiejś spelunki dla lesbijek - będzie ze mną źle!

Jednak Filip nie zaproponował niczego ekstremalnego. Wsiedliśmy do jego nadszarpiętego zębem czasu audi. Zanim włączył silnik, jeszcze raz uważnie zlustrował mnie od stóp do głów. Wytrwale zachowywałam lesbijski wygląd: pogardliwy uśmiech, zero zwracania uwagi na jego doskonały profil, zero kokieterii w głosie.

- Z którego roku ta bryka? - postanowiłam definitywnie dobić go typowo męskimi pytaniami.

Moje zainteresowanie technicznymi sprawami wyraźnie mu schlebilo.

- Z osiemdziesiątego trzeciego. Ale ma niewielki przebieg.

- Jeszcze się nie sypie?

- Na razie nie. Nawet pani nie zapytała, dokąd jedziemy.

- Wszystko mi jedno. Najważniejsze, żeby pan się dobrze czuł.

Filip czuł się dobrze jedynie w swojej klitce w Ermitażu. Do muzeum weszliśmy przez pomieszczenia służbowe, po czym przemknęliśmy do pokoju, który z lekka przypominał komórkę w buddyjskiej świątyni. Było tam niezmiernie ciasno. Z trudem mieścił się tylko stół, dwie szafy, czajnik i telefon.

- Czym się pan zajmuje?

- Indyjską sztuką dekoracyjną.

Otóż to! Indie - państwo sąsiadujące z Południowo-Wschodnią Azją, pozostające z nią w przyjaznych stosunkach. Filip Kodrin i tajemniczy Teo Lhermitte mają ze sobą coraz więcej wspólnego. Zainteresowanie

Wschodem, sztuką indyjską, być może także bronią... Jeszcze chwila i połączą się w namiętnej ekstazie u stóp wszechmocnego Buddy.

Nie zamierzałam jednak pytać Kodrina o Teo Lhermitte'a. Wolałam spokojnie poczekać na dalszy rozwój naszej rozmowy.

- Tak à propos - herbata też jest indyjska.

- Taka ze słoniem? Z zakładów herbacianych w Odessie?

- Ależ skąd! Znajomi przysyłają mi z Madrasu. Gatunki najwyższej jakości.

„Gatunki najwyższej jakości” nie zrobiły na mnie najmniejszego wrażenia. Pociągnęłam kilka łyków (z czystej uprzejmości), po czym otworzyłam swój notes.

- Znał pan Olewa Kiwi?

- W pewnym stopniu - Filip ulokował się naprzeciwko mnie i podparł głowę rękoma. - Ożenił się z moją siostrą. Z moją zmar...

Smutne wspomnienia przerwał dźwięk telefonu. Przeprósiwszy mnie szybkim mrugnięciem rzęs (Mickey Rourke w końcówce filmu *Harley Davidson i Marlboro Man*), odebrał telefon.

- Tak, moja droga... Rozumiem... Wybacz, że nie oddzwoniłem... Musiałem wyjechać... No co ty, jaka znów kobieta, o czym ty mówisz?!

Filip zniżył głos, a ja wyniośle się uśmiechnęłam - zgodnie z narzuconą sobie, niewdzięczną rolą kochającej „inaczej”.

- Tak, wrócę do domu punktualnie, Janeczko. Pamiętam. Tak, na pewno do ciebie zadzwonię.

Janeczka.

Przypomniałam sobie czerwoną teczkę z informacjami o Albie Kodrinie. Janeczka też tam figurowała jako Jana Soszalska, małżonka Filipa Donatowicza Kodrina. Bardzo chciałam spojrzeć na tę rzymską wilczycę, która na moich oczach przerobiła na farsz zlodowaciały męski kawałek mięsa!

Filip odłożył słuchawkę i zwrócił się do mnie:

- Przepraszam. To żona. Martwi się...

- Rozumiem - powiedziałam, chociaż absolutnie nic z tego nie rozumiałam. Żeby przy jego wzroście, wyglądzie i wymarzonem wprost rozstawie brwi siedzieć pod pantoflem jakiejś kłótlivej jędzy... Totalna bzdura! I pewnie na dodatek wcale mu nie gotuje. No bo który normalny facet po wyjściu z domu rzuca się do pierwszego lepszego baru!

- Bardzo wrażliwa osoba - chrząknął Fila.

- Kto?

- Moja żona. - Widać było, że ciągle jeszcze nie może się pozbierać po rozmowie telefonicznej. - Na czym to stanęliśmy?

- Na pana zmarłej siostrze - popełniłam gafę i natychmiast spróbowałam ją naprawić: - Powiedział pan, że Olew Kiwi był żonaty z pana zmarłą siostrą...

- Niezbyt dobrze go znałem... I w ogóle... To małżeństwo wydawało mi się przedwczesne.

Teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia, Fila. Przecież oboje już nie żyją. Małżeństwo okazało się nie przedwczesne, lecz nagłe. Za to ich śmierć była zdecydowanie przedwczesna.

- A pańska siostra...

- Przepraszam bardzo... - Filip od razu stał się czujny. - O kim zbiera pani materiał? O Olewie czy o mojej siostrze?

- Odnoszę wrażenie, że w ich odejściu z tego świata jest jakaś tragiczna prawidłowość...

- Tak? - niespodziewanie się zaniepokoił.

- Zabójstw dokonano w nieco ponadrocznym odstępie. Wydaje mi się, że przyczyn śmierci muzyka należy doszukiwać się w zabójstwie jego żony.

Filip wstał, po czym znów usiadł, chwycił się za nos, wyciągnął rękę w kierunku czajnika, wyciągnął szufladę, z powrotem ją zasunął i dopiero po tych wszystkich manewrach postanowił mi się sprzeciwić.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Ledwie przeżyliśmy ten ubiegłoroczny koszmar... Nie chcę, żeby to się powtórzyło.

- Ale przecież jest pan rozsądnym człowiekiem - zdecydowałam się na komplement. - Powinien pan rozumieć, że sprawa Ałły Kodriny do tej pory nie została wyjaśniona. A teraz doszło jeszcze zabójstwo jej męża. Podczas śledztwa mogą pojawić się pytania... Dodatkowe pytania.

Po skroni Filipa spłynęła zdradziecka kropla potu.

- Jest pani w jakiś sposób powiązana z tym śledztwem? - głośno wypuścił powietrze.

- Nie, ale...

- Zgodziłem się spotkać z panią tylko dlatego, że poprosił mnie o to Siergiej... Ustaliłem z nim jednak, że nie będzie żadnych pytań dotyczących mojej siostry.

- Dobrze - wycofałam się. - Jak pan sobie życzy. Nie będzie żadnych pytań o nią. Czy kontaktował się pan z Olewem Kiwi po tym, jak... Czy utrzymywał pan z nim kontakt przez ostatni rok?

- Nie - Filip odzyskał pewność siebie. - Nie utrzymywaliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

Ponieważ nie mogłam poruszać sprawy Ałły Kodriny, temat rozmowy szybko się wyczerpał. Nie miałam już pojęcia, o co go dalej pytać. Nieoczekiwanie sam mi w tym pomógł.

- Zwróciła się pani do niewłaściwej osoby - powiedział po chwili milczenia. - Nie będę w stanie dodać do jego portretu nic pozytywnego. Pomimo wszystkich jego odznaczeń.

- Ach, tak.

- Może dla kręgów muzycznych jego śmierć jest niepowetowaną stratą. Chociaż wątpię, by rzępolił na tym swoim instrumencie lepiej od Rostropowicza... Dla mnie osobiście jego śmierć to pusty dźwięk. Nigdy go nie lubiłem. Ni-gdy! I nie sądzę, żeby to było zabójstwo.

Z tym stwierdzeniem raczej nie mogę się zgodzić. Na własne oczy widziałam kałużę krwi na prześcieradle i wyjęłam nóż z piersi pokonanego maestra... Przecież sam się chyba nie dźgnął?!

- To co w takim razie się wtedy wydarzyło?

- Zemsta! Niespodziewany zakręt życiowy.

- W jakim sensie - zemsta? - zapytałam.

- Kara za śmierć Ałły! - wypowiedział imię siostry, łamiąc tym samym zasady, które sam ustanowił. W każdym razie ja czułam się zwolniona z ich przestrzegania.

- Podejrzewa pan, że on... miał w tym jakiś udział?

- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością - Filip natychmiast spuścił z tonu - ale zachowywał się dość podejrzanie. I jakimś dziwnym trafem pojawił się w Rosji, w Moskwie, akurat wtedy, gdy do Petersburga przyjechała Ałła.

- Ale przecież nie mógł o tym wiedzieć. O ile się nie mylę, przyleciała incognito?

- Jest pani dobrze poinformowana. Jak na początkującego reportera... - przerwał, jakby coś sobie przypomniał. - Mogę zobaczyć pani legitymację?

No to nadszedł twój czas, Rimmo Chajdarowna!

Byłam pewna, że wariant z ospą wietrzną nie wypali. Mogłam spróbować nawiązać do operacji plastycznej albo kremów odmładzających, ale wątpiłam, żeby uwierzył w to specjalista w dziedzinie indyjskiej sztuki dekoracyjnej. Nie byłam w stanie niczego innego wymyślić, więc z miną urażonego niewiniątka podałam Kodrinowi wysłużoną legitymację. „Masz, udław się, draniu!”. Zaczęłam kombinować, jakby tu, nie wywołując większego skandalu, ulotnić się z tej muzealnej chałupki.

Filip wziął legitymację do ręki, ale z jakiegoś powodu krępował się ją otworzyć. Przelotnie spojrzął na skromnie ozdobioną okładkę. A potem na mnie - tak samo skromną. Prostą jak budowa cepa, domorosłą lesbijkę. Niską, lecz dumną. Kobietę, która nie dopytywała się o jego numer telefonu i nie próbowała zajrzeć mu w spodnie.

- Tylko niech sobie pani nie pomyśli... - wymamrotał.

- Już sobie pomyślałam - powiedziała ostro i zręcznym ruchem wyrwałam legitymację z jego niezdecydowanych palców. - Mnie też się nie uśmiecha to zadanie. Nie cierpię grzebać w czyichś brudach. Z wielką przyjemnością napisałabym coś o rajdzie Paryż - Dakar... Mówił pan o swoich podejrzeniach oficerowi śledczemu?

- Nikt by mnie nie wysłuchał. Olew Kiwi był znaną osobistością. Zbyt znaną. Ale teraz, kiedy nie żyje...

„Teraz, kiedy nie żyje, można wieszać na nim wszystkie psy” - pomyślałam ponuro. Filip jednak wyraźnie chciał się ze mną podzielić jakimiś wnioskami.

- Nigdy nie byliśmy sobie szczególnie bliscy z moją siostrą. Za to od razu zaprzyjaźniła się z Janką. Moją żoną. Wiadomości o Olewie Kiwi miałem więc nawet nie z drugich, a dopiero z trzecich rąk. Wydaje mi się jednak, że pomiędzy Ałą i jej mężem nie układało się zbyt dobrze. Nie było tak kolorowo, jak twierdzili.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Nic - Filip momentalnie się przestraszył. - Wie pani, jak się poznali? Kiwi dawał koncert w Sankt Petersburgu i Ała na niego poszła. I tam się właśnie poznali. Tego wieczoru, w przerwie między odśłonami. Zdaje się, że wysłał do niej któregoś ze swoich pomocników. Poprosił przez niego, aby siostra zaczekała na niego po koncercie.

Ze skupionym wyrazem twarzy rysowałam w notesie serca przeszyte strzałami. Jak do tej pory zeznania martwego Kiwi i żywego Kodrina

pokrywały się ze sobą. Przyszli małżonkowie poznali się na koncercie i wiolonczelista, nie wiedząc dlaczego, od razu zakochał się w niepozornej słuchaczce.

- Już po tygodniu się pobrali. Przeżyli ze sobą trzy lata. Myślę, że na początku ich małżeńskiego pożycia Ała była szczęśliwa. I nic w tym dziwnego, przecież to był artysta światowej rangi. Te wszystkie występy gościnne, przyjęcia, kalejdoskop państw... Miał cały świat u swych stóp. Sława jest tak samo kusząca, jak ser w pułapce na myszy. I tak jak mysz płaci za ser, tak my musimy płacić za ten cały splendor.

Dobrze wiedziałam, jaką cenę przyszło ponieść za tę sławę Ałlie. Chciałam się jednak dowiedzieć, jak dokładnie wyglądało jej życie po tej początkowej sielance. Zapytałam więc:

- A co się później wydarzyło?

Filip znów zaczął kręcić:

- Już pani mówiłem, że posiadam jakąś tam wiedzę, ale dopiero z trzecich rąk. Jednak... wydaje mi się, że Olew Kiwi był zazdrosny... wręcz chorobliwie zazdrosny... I w którymś momencie zmienił jej życie w piekło na ziemi.

Przestałam gnębić biedne serca strzałami i postawiłam obok nich duży znak zapytania. Patologiczna zazdrość w żaden sposób nie pasowała do estońskiego charakteru. No, chyba że się założy, że krew Kiwi wypaczył jakiś ekspansywny ranczer z Meksyku, który przespał się z jego babcią. Ale ta opcja wydawała mi się mało prawdopodobna.

- Sama panu o tym powiedziała?

- Nie, ale... te aluzje... te przypadkowo rzucane zdania... Przecież już pani mówiłem, ona była przyjaciółką mojej żony. Chociaż w sumie, jak na przyjaciółki, nie spotykały się aż tak często. Możliwe, że w ostatnim roku w jej życiu ktoś się pojawił. Ktoś nowy.

- Ktoś?

- Mam na myśli mężczyznę - popatrzył na mnie z lekkim współczuciem: „Pani, z pani skłonnościami, i tak tego nie zrozumie”. - W przeciwnym razie nie potrafię wyjaśnić jej ostatniej wizyty. I... okoliczności, w jakich ją znaleźliśmy.

Dwa kieliszki, dwa nakrycia na stole, niedopite mozelskie... Pierwsze dni lata, bardziej przypominające późną, niezbyt pogodną wiosnę, która umiera za oknami pustego domu... Mężczyzna. Kochanek. Nie ma innej opcji.

Ale co tu ma do rzeczy Kiwi?

- Ale co tu ma do rzeczy Kiwi? - zapytałam głupio.

- Przebywał w tym czasie w Moskwie. Akurat w Moskwie, a nie gdzieś w Salzburgu albo w Glasgow. Moskwę od Sankt Petersburga dzieli siedemset kilometrów. To tylko osiem godzin jazdy. Miał przerwę w występach. Wiem, bo dokładnie to sprawdziłem. Miał cały wolny dzień! Rozumie pani, co mam na myśli?

Wszystko było jasne jak słońce. Filip Kodrin popychał mnie lekko, co tam „lekk” - z całej siły! - w stronę prostego wniosku: mordercą był najprawdopodobniej kochający mąż. Wspaniały wiolonczelista. Inteligentny człowiek. I właśnie ten inteligentny człowiek poczuł, że dzieje się coś złego i postanowił osobiście to sprawdzić. Przyjechał, nakrył, zdzielił po głowie niezidentyfikowanym przedmiotem i uciekł. Z powrotem do Moskwy. Na wieczorny koncert.

Nawet dla mnie, głupiej dyletantki, to wszystko było szyte zbyt grubymi nićmi.

Wiadomo teraz, dlaczego niepokieszeni krewni nie podzielili się swoimi podejrzeniami z milicją. Dziennikarze z podrzędnego brukowca to zupełnie inna sprawa. Mogą napisać wszystko, co im się żywnie podoba. I ujdzie im to na sucho. Czy to właśnie dlatego Filip Kodrin tak łatwo zgodził się na spotkanie z Sinienką? Być może sam szukał pretekstu, żeby się spotkać z jakimś dziennikarzem. Teraz, kiedy Olew Kiwi nie żyje i niczego już nie może powiedzieć. Nie może się bronić. Teraz można mu wszystko przypisać: patologiczną zazdrość, zamordowanie żony, uprowadzenie samolotu, zamiłowanie do mrożonych owoców morza i kradzież średniowiecznych gobelinów z muzeum.

Filip spojrział na mnie badawczo: „No dalej! Na co czekasz, cholerna babo?! Przecież to sensacja!”. Ja jednak w dalszym ciągu milczałam.

I nie wiadomo, jak długo byśmy tak siedzieli w tej przytłaczającej ciszy, gdyby ktoś nie zapukał do drzwi. Filip, który był już wyraźnie zmęczony zaistniałą sytuacją, rzucił się co tchu, żeby otworzyć. Jego nowy gość okazał się zaniedbanym tłusciochem, ocierającym stale pot z czoła. Na mój widok okropnie się wystraszył, jakbym była co najmniej z udziału do walki z przestępczością gospodarczą. A on - właścicielem cmentarza, który obawia się, że oskarzę go o łapówkarstwo i nieuzasadniony przydział miejsc „wiecznego spoczynku”.

Filip uspokajająco poklepał go po ramieniu i prawie siłą zaciągnął do swojego biurka. To właśnie ono przeszkodziło mi w dokładnym śledzeniu ich dalszych poczynąń. Pomocne okazały się jednak odgłosy, które zza niego dochodziły. Wszystko wskazywało na to, że Filip wysunął szufladę i obaj mężczyźni się nad nią pochylili.

- I co pan o tym sądzi? - zapytał niewyraźnie grubas.

- Bez wątpienia jest to tybetański sztylet Phurba - Filip zniżył głos, ale nie na tyle, żebym nie mogła zrozumieć wypowiedzianych przez niego słów. - Jego pochodzenie datowałbym na... najprawdopodobniej nie później niż piętnasty wiek. To rzecz o dużej wartości. Przynajmniej dla kolekcjonerów.

Grubas prychnął i mocno potrząsał dłonią kolegi. Przez twarz Filipa przeszedł ledwie dostrzegalny grymas - natychmiast rozpoznałam w nim nieprawdopodobną mimikę Jima Carreya (w okresie jego wczesnych, głupkowatych filmów). Szuflada została zamknięta. Grubas odebrał z rąk Filipa niewielki pakunek. To chyba właśnie ta cenna rzecz, o której była mowa. Jak zaczarowana obserwowałam każdy ich ruch. Na dnie mojej torby, leżącej teraz w mieszkaniu Sergieja Sinienki, także znajdowała się pewna rzecz. I miałam nadzieję, że jest równie cenna. Ale raczej nigdy jej nie pokażę...

Filip pożegnał się z grubasem, po czym odwrócił się do mnie.

- Jestem konsultantem kolekcjonerów - powiedział pośpiesznie.

- Jest pan ekspertem w dziedzinie broni?

Moje niewinne pytanie wyraźnie go zakłopotало.

- Ale... jaka znowu broń... Przecież pani mówiłem, że jestem specjalistą od sztuki dekoracyjnej. A, jakkolwiek by patrzeć, przedmioty rytualne też się do niej zaliczają.

- Przedmioty rytualne do składania ofiary? - dociełam Kodrinowi. Zupełnie w stylu niezapomnianej Montezumy-Schokolade.

- Ciekawa z pani kobieta - odparł półgębkiem. - W jakim dziale pani pracuje, bo zapomniałem?

- Dział wydarzeń kryminalnych.

- To niech to pani sprawdzi. To, o czym pani opowiedziałem.

- Dlaczego wcześniej pan milczał?

Nie odpowiedział, zamiast tego demonstracyjnie spojrzął na zegarek: „Czas minął, tak więc: komu w drogę, temu nóż w plecy! Kimkolwiek

byś była. Idź przetrzymaj informacje, które otrzymałaś. Pisz te swoje paszkwile, pastw się nad martwym lwem i szarpnij go porządnie za ten jego wionolczelowy smyczek - na to przecież jesteś ty i twój brukowiec!”

- Mam dużo pracy, pani Rimmo. Proszę więc wybaczyć...

- Ależ oczywiście. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać - mówiłam, zbierając się do wyjścia. A Filip z chamowatą gracją (wykapany szalony Tarantino we wszystkich swoich szalonych kryminalnych agitkach!) popychał mnie w stronę drzwi.

- Wszystkiego dobrego. Mam nadzieję, że pokaże mi pani przygotowany materiał. Zanim go opublikujecie.

- Będę musiała sprawdzić jeszcze pewne fakty... A może spotkałabym się z pana żoną...

Na wspomnienie żony Filip wyraźnie zdziwił się i bezceremonialnie mi przerwał:

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

„Ciekawe, czego on się tak boi? Że zacznę się do niej zalecać?”

- Dlaczego? - zapytałam niewinnym tonem.

- Ona nie powie pani nic ponad to, co ja pani powiedziałem. A poza tym bardzo ciężko przeżyła całą tę historię. Nie chciałbym, żeby się to znów powtórzyło.

- Rozumiem...

Wyprowadził mnie z pokoju tak szybko i z takim wdziękiem, że nawet nie zdążyłam się zorientować, a już byłam za drzwiami. I dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nie zadałam mu głównego pytania. A przecież właśnie po to tu przyszłam!

Ponownie zaskrobałam do drzwi.

Filip otworzył prawie natychmiast. Prawdopodobnie nawet szybciej, niż sam tego chciał.

- Coś jeszcze?

- Tak - wyciągnęłam z torby fotografię i podałam ją Kodrinowi. - Wie pan, kto się na niej znajduje?

Ostrożnie wziął zdjęcie i... *kurat!* Jego ręce drgnęły!

- Nie - wykrztusił z trudem. - NIE.

- Poza panem, oczywiście - robiłam się coraz bardziej bezczelna. - Bo to przecież jest pan? Tam, w prawym górnym rogu, prawda?

Filip kompletnie stracił mowę. Dosłownie jakby połknął swój język: niezłe przygotowanie do „kolumbijskiego krawatu”.

- To przecież pan.

- Ja? Wygląda na to, że ja... A skąd ma pani to zdjęcie?

- Niech się pan tak nie denerwuje!

Wyglądał, jakby miał lada moment zejść z tego świata i dołączyć do siostry.

- Dlaczego sądzi pani, że się denerwuję? Wcale się nie denerwuję - gorączkowo przebiegał wzrokiem po fotografii. - Tak, to ja... Rzeczywiście. Może na jakimś pokazie. Ciągłe nas zapraszają. Minimum raz na dwa tygodnie... Nie da się tego wszystkiego spamiętać. A... interesuje panią coś konkretnego?

Jeśli teraz ten dwumetrowy łoś straci przytomność, to w życiu nie dam rady wciągnąć go do środka!

Na szczęście nie musiałam wykazywać się bohaterstwem na polu bitwy, gdyż Fila szybko doszedł do siebie. Na tyle, że sam przeszedł do ataku.

- Zna pani te imprezy. Nikt o nikim nic nie wie. Każdy zjawia się wyłącznie po to, żeby się za darmo nażreć. Niestety, to nasza cecha narodowa. I nasza narodowa rozrywka.

Nie tylko nasza, niestety. Mogłabym opowiedzieć Filipowi, jak te nieliczne zachodzące już gwiazdy estrady, które zabawiałam swoim towarzystwem (a także ich liczni lokaje i służący) rzucały się jak nienormalne na darmowe jedzenie. Jakby przez ostatnie pięć lat żywili się korzonkami w lesie i dopiero teraz, po raz pierwszy w życiu, mieli okazję skosztować kury w winie.

- Niestety - z zapalem potwierdziła wiecznie głodna, wyrosła na bułkach z kapustą, początkująca korespondentka Rimma Chajdarowna Karpuchowa.

- Nie, nie mogę sobie przypomnieć - Filip nadal obracał w rękach fotografię. - Przykro mi. Może gdyby mi pani coś podpowiedziała...

Spadaj, Fila! Gdybym wiedziała, z czym powiązać to cholerne zdjęcie, nie żebrałabym u ciebie o informację. Obeszłabym cię z daleka! Wielkim łukiem! Pewnie, że nie możesz sobie przypomnieć - ale tylko dlatego, że wcale nie musisz sobie niczego przypominać! Doskonale wiesz, kto się obok ciebie znajduje. Ty się po prostu boisz. Ciekawe tylko, kogo bardziej: mnie czy tej osoby?

- Nie jestem w stanie nic panu podpowiedzieć - Boże! Żeby tylko wszystkiego na koniec nie spieprzyć! - Przepraszam, że tak nagle wyskoczyłam z tym zdjęciem. W tych naszych redakcyjnych teczkach pełno jakiegoś chłamu.

- Teczkach? Jakich teczkach?!

- Teczkach gwiazd - wykręcałam się niczym stary Żyd przed wierzyicielami. - Olew Kiwi był gwiazdą, więc pan jest nominalnym krewnym gwiazdy. Chcąc nie chcąc, załapuje się pan w kadr.

- Dzięki Bogu, nie jestem już żadnym jego krewnym! - podsumował bez najmniejszego szacunku dla muzycznych zasług zmarłego.

- Będę informować pana na bieżąco. O wszystkim.

- Jeśli byłaby pani taka uprzejma - Filip ciągle jeszcze ociagał się z wejściem do biura. Jakby nie chciał się ze mną rozstawać. Jakby chciał się upewnić, że ta nieszczęsna fotografia pojawiła się przez czysty przypadek. I że nie był to żaden zamierzony dziennikarski chwyt.

Ja też chciałam, żeby tak myślał. Bardzo chciałam utwierdzić go w tym przekonaniu. Niestety, zupełnie nie wiedziałam, jak to zrobić.

- Jeśli pani chce, to mogę poszperać w swoich archiwach - wydusił z siebie w końcu. - Może znajdę coś podobnego...

- Nie, nie warto - od razu zrozumiałam, o co mu chodzi. - Nie sądzę, żeby to zdjęcie miało jakiegokolwiek znaczenie...

Nie, na pewno tak nie myślałam.

Siedząc na nadbrzeżnej balustradzie i przyglądając się głodnej zgrai kutrów, wcale tak nie myślałam. Za całym blaskiem Kodrina, za całym jego nienaturalnym pięknem skrywała się obezwałniona strachem duszyczka. Kto jak kto, ale on na pewno coś przede mną ukrywa. I nie tylko przede mną. Przed całym światem. A wszystkie jego schowki są porozrzucane w czasie i przestrzeni. Poupychane w takich miejscach, że będę się musiała nieźle upaprać, zanim do nich dotrę.

Żeby choć trochę uporządkować swoje rozszalałe myśli, szybko nabażrałam hasło: „Dwie lub trzy rzeczy, które o nim wiem”.

O dziwo, okazało się, że wiem o nim o wiele więcej niż przypuszczałam. Na kartce pojawiło się aż sześć punktów.

Po pierwsze: Filip zgodził spotkać się z dziennikarzami tylko po to, żeby zrzucić zabójstwo swojej siostry na Olewa Kiwi. Miał bowiem stu-procentową pewność, że Kiwi nie będzie już w stanie się obronić.

Po drugie: prowadził rozmowę ze mną dość beładnie - najpierw zabronił (mnie i sobie) wspominać imienia swojej siostry, a zaraz potem z własnej, nieprzymuszonej woli opowiedział jej historię. Podkreślał przede wszystkim to, czego nie można już teraz sprawdzić. A mianowicie, zazdrość Kiwi oraz fakt, że Ała była bardzo nieszczęśliwa w tym związku.

Po trzecie: zajmuje się ekspertyzą białej broni, czyli ma z nią bezpośredni związek. A Kiwi został zabity właśnie nożem.

Po czwarte: wyraźnie rozpoznał kogoś na fotografii, ale nie chciał się do tego przyznać. Jeśli nie ma nic do ukrycia, to co miały znaczyć te jego trzęsące się ręce i mętne oczy?

Po piąte: stanowczo sprzeciwił się wciąganiu do dziennikarskiego śledztwa swojej żony. Dlaczego? Czyżby jej nie ufał? A może ona wie albo widziała coś, co zaprzecza jego wersji? Albo, przeciwnie, potwierdza ją, a na dodatek wzmacnia.

Po szóste: Pierścionek. Jak ten nieszczęsny drobiazg znalazł się u Stasa, a potem u mnie? Należał przecież do Ały, a po jej śmierci wszystkie klejnoty (włącznie z nim) zostały przekazane Filipowi i jego żonie. Po tym, jak zrzekł się ich Kiwi.

Ten ostatni punkt zakasował wszystkie poprzednie.

Skreśliłam hasło „Dwie lub trzy rzeczy, które o nim wiem” i wstawiłam nowe: „Sześć powodów, przez które nie wierzę Filipowi Kodrinowi”.

Uzbrojona w to hasło ruszyłam w kierunku ulicy Barmalejewa, do Jany Soszalskiej, jego zazdrosnej żony. Adres, jak wszystko inne, znalazłam w czerwonej teczce Siergieja. I zupełnie nieświadomie go zapamiętałam. Tak jak zwykłam zapamiętywać różne niestworzone bzdury, włącznie z owłosieniem klientów i kolorem ich skarpetek.

Przez całą drogę na Pietrogradkę wmawiałam sobie, że robię wszystko jak należy. Tak czy inaczej z Soszalską będzie trzeba porozmawiać. Przecież zwłoki znaleźli oboje. A poza tym - bezdennie głupia Janka i niepozorna Ała były przyjaciółkami. Filip sam mi o rym powiedział. Niewykluczone więc, że dowiem się od niej jakichś szczegółów z życia zmarłej Kodriny. A swoją drogą, sam Filip zdążył mi już dość sporo wyjaśnić. Również odnośnie do fotografii. „Ciągłe nas zapraszają” - powiedział. „Nas” - czyli zarówno jego, jak i jego żonę. W sumie to byłoby mi trudno uwierzyć, że baba, która urządza awantury przez telefon z powodu

półgodzinnej nieobecności męża, równocześnie zgadza się na jego całonocne wypadki na jakieś bankiety. A zwłaszcza samotne wypadki. Na sto procent towarzyszy mu na każdej imprezie. A poza tym na zdjęciu widziałam również kilka kobiet - od przodu, z profilu, od tyłu. Jeśli, jakimś cudownym zbiegiem okoliczności, jedno z tych pleców należy do Jany Soszalskiej, to mam szansę.

Muszę ją tylko trochę przycisnąć. Zadziałać szybko i sprawnie. Obojętnie, jak bardzo by się starali, to Filip i Janka nie są na tyle sprytni, żeby zachować całkowitą zgodność w każdym kłamstwie.

* * *

Mieszkanie Kodrina i Soszalskiej mieściło się w starym, czynszowym domu. Bez najmniejszego problemu znalazłam odpowiednią klatkę, weszłam na drugie piętro i zadzwoniłam do wysokich drzwi. I dopiero potem zaczęłam się zastanawiać, jak mam rozpocząć rozmowę i co w ogóle powiedzieć tej kobiecie. I jaką pozycję przyjąć, jeśli postanowi zrzucić mnie ze schodów. Najlepsze w takiej sytuacji jest zasłonięcie głowy rękami i przyciśnięcie kolan do podbródka.

Soszalska otworzyła dopiero po drugim dzwonku, zastygła w progu i zaczerpnęła powietrza. Można było śmiało stwierdzić, że jest piękna. Piękno to jednak wyraźnie nie współgrało z pięknem Filipa Kodrina. Żadnych utartych filmowych wzorów. Żadnego hollywoodzkiego podobieństwa. Wszystkie osoby o podobnej urodzie wymarły na długo przed pojawieniem się telewizji. Zaraz po dinozaurach. Niczym niezmacona obojętność na twarzy. Żadnej zmarszczki, żadnego flirtu w oczach czy choćby odrobiny zainteresowania światem w pogodnym błękitnym spojrzeniu.

- Spóźniła się pani - powiedziała, sprawiając wrażenie, jakby mnie obwąchiwała.

Czyżby? Wyczułam w jej słowach jakiś podstęp, więc na wszelki wypadek kawalek się cofnęłam.

- Zmieniła pani perfumy, pani Aneczko?

Kurde, co tu się dzieje?! Za kogo ona mnie bierze? Po pierwsze, przez ostatnie pół roku używałam non stop „Acqua di Gio” (żadna rewelacja, ale mnie się podobają). A po drugie, od czasu, gdy diabeł mnie podkusił, żeby wyciągnąć nóż z piersi Olewa Kiwi, w ogóle się nie perfumuję.

- Ładny zapach - usłyszałam kolejną bzdurę.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i ruszyła w głąb mieszkania. Nie miałam innego wyjścia, więc udałam się w ślad za nią. Odruchowo zatrzasnęłam za sobą drzwi i natychmiast poczułam, jakby za moimi plecami zgrzytnęły zasuwki inkwizycyjnej celi.

Plecy Soszalskiej zaprowadziły mnie do kwadratowego pokoju z wąskimi oknami. Oknami szczelnie zasłoniętymi starodawnymi bambusowymi żaluzjami z jakimś wytartym już chińskim pejzażem. Pomyślałam sobie, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że spryciarz Fila, wykorzystując zajmowane stanowisko, wypożyczył je z muzealnego magazynu.

Wystrój wnętrza doskonale pasował do żaluzji: rzeźbione drewniane parawany, miedziane kadzielnice, dwie najprawdziwsze nargile i cały pluton przeróżnych wersji Buddy. W dodatku w pokoju wyraźnie czuć było jakiś intensywny zapach - wonnych olejków albo może męskich perfum. A pośrodku całego tego skromnego kramiku z antykami stał najzwyczajniejszy w świecie sowiecki stół, cały zavalony jakimiś ciuchami.

- Na stole są rzeczy do prasowania - powiedziała rozkazującym tonem Soszalska, siadając w bujanym fotelu. - W kuchni leży lista zakupów i pieniądze.

Byłam skołowana. Nie miałam zielonego pojęcia, co się dzieje. Niezdecydowana wsunęłam kciuk do ust. Wszystko to przypominało dobrze przeciwczony kawał. Za kogo ona mnie bierze?! A może Fila wcale nie jest takim naiwniakiem? Może przewidział moje kolejne posunięcie i uprzedził o mojej wizycie swoją, szalejącą z zazdrości, żonę?

- Podłóg nie trzeba dziś myć - definitywnie dobiła mnie już Soszalska, zabierając się za robotkę na drutach.

To ciekawe! A kiedy ja je w ogóle myłam?! Chyba w poprzednim wcieleniu. W co też wątpię. Montezuma-Schokolade, święcie wierząca w reinkarnację, twierdziła, że w poprzednim życiu (sądząc po moim uległym charakterze) byłam rośliną o nazwie „dziko rosnący bluszcz”.

Soszalska dziergała, nie patrząc przy tym na druty. Po prostu dokładnie liczyła oczka. Sytuacja przestała mnie już bawić. Co ma znaczyć ten wyniosły wyraz twarzy i kompletnie nieobecny wzrok? Przesząpiłam z nogi na nogę i deska pod moim półbutem ledwie słyszalnie skrzypnęła.

Dźwięk był tak cichy, że nie tyle go usłyszałam, co raczej poczułam.

Ona jednak musiała mieć doskonały słuch, gdyż momentalnie odwróciła do mnie swą beznamiętną twarz.

- Dlaczego nie zabiera się pani do pracy?

Co to ma w ogóle znaczyć?! Nie dość, że drwi ze mnie w żywe oczy, to jeszcze słyszy niczym egipska kotka! Z takim słuchem powinna pracować w stacji sejsmologicznej, a nie dziergać w bujanym fotelu!

W czasie, gdy się tak piekliłam w myślach i usiłowałam znaleźć dla Jany Soszalskiej najlepsze miejsce pracy, zadzwonił telefon.

Pomyślałam ponuro, że to pewnie Filip i się nie pomyliłam. Ta parka nie mogła bez siebie żyć. Soszalska namacała słuchawkę stojącego obok aparatu i odebrała. Jej twarz natychmiast się ożywiła. Jedynie oczy pozostały nieruchome.

- Tak, kochanie... Aneczka już przysła. Powłoczki z pralni chemicznej? Dobrze, powiem jej... Będziesz przed siódmą? Dlaczego tak późno?! Chałtura? Jaka znów chałtura?! Co to ma znaczyć - „uspokój się”? Jestem spokojna. Całkowicie. Mam w nosie jakieś tam twoje spotkania...

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, co mi tu przez cały czas nie grało. I w samej Soszalskiej, i w tym pomieszczeniu.

Światło.

W pokoju nie było światła. Wszędzie panował półmrok. Ale nie delikatny, letni, z promieniami słońca, wpadającymi przez żaluzje - nie. Ten półmrok nie był zależny ani od żaluzji, ani od pory roku. On był tu od zawsze. Nigdy stąd nie znikał. Jak można dziergać przy takim oświetleniu? Jak można dojrzeć jakiegokolwiek oczka?!

Twarc Soszalskiej była w ciągłym ruchu. Kąciki ust co jakiś czas się rozciągały, a na zapadłych policzkach drgały mięśnie. Jednak cała ta mimika przegrywała natychmiast po zetknięciu z oczami, jakby poddawała się przed nimi.

Oczy pozostawały nieruchome.

Oczy.

„Cholera jasna! Przecież ona jest ślepa!” - pomyślałam niespodziewanie. - Ona nic nie widzi! Dlatego ma taką gładką twarz. Barwy świata nie mącą jej spokoju! Ich wcale nie obchodzi ani Jana Soszalska, ani jej druty! Ciągle jeszcze nie do końca sobie dowierzając, po cichu zdjęłam buty

i na palcach ruszyłam w stronę kobiety. Zaraz zatrzyma mnie okrzykiem, rzuci wełną, wyciągnie rewolwer spod spódnicy!

Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Podeszłam najbliżej, jak się dało i machnęłam dłonią przed jej oczami. Ponownie żadnej reakcji. Jana Soszalska rzeczywiście nic nie widziała.

W takie bagno jeszcze nigdy nie wdepnęłam (jeśli nie liczyć dwóch zimnych już trupów). Najgorsze, że niepotrzebnie tu przyszłam. I tak niczego się nie dowiem. Nic tu po mnie. Nie czekając na koniec małżeńskiej sprzeczki, rzuciłam się w stronę wyjścia. Przy drzwiach o mało co nie przewróciłam białej cienkiej laski (dlaczego jej wcześniej nie zauważyłam?). Przekręciłam klucz w zamku i w błyskawicznym tempie wyskoczyłam na zewnątrz. Odetchnęłam dopiero na klatce schodowej.

Kto mógł przypuszczać, że żona Kodrina jest niewidoma? Pożytku z niej tyle, co mleka od kozła.

W każdym razie miałam kilka problemów z głową. Nie musiałam podtykać jej pod nos nieszczęsnego zdjęcia, narażając się na to, że mi się zaraz oberwie. Nie musiałam zadrećzać jej pytaniami o Ałłę. Jana Soszalska zeszała na dalszy plan. Niestety, to wcale nie oczyszczało z podejrzeń jej męża. Jedno było pewne. Jeśli kiedykolwiek jeszcze będę musiała się z nią spotkać, będę już na to gotowa.

* * *

Siergiej się spóźnił.

Zdażyłam posiedzieć i poleżeć na ławce obok redakcji „Petersburskiej Anomalii”, zjeść jabłko ukradzione na straganie i odpędzić od siebie wściekłego pitbulla i dwóch równie wściekłych typków z ogolonymi czuchami.

Zdażyłam również wyciągnąć wnioski ze spotkania z obłąkaną rodziną Kodrinów.

Zboczeńcy, idealnie do siebie pasujący: niewidomy zazdrosny babsztyl i Apollo Belwederski, który nienawidzi swojej przeklętej urody.

Niewidoma żona w pełni odpowiada Filowi, bo nie może zobaczyć jego piękna. Piękna, którego ten tak się wstydzi.

Zboczeńcy i tyle.

- Przecież umawialiśmy się na piątą! - napadłam na Siergieja, gdy tylko się pojawił. - Nieładnie jest kazać kobiecie na siebie czekać.

- Tęskniłaś? - cmoknął mnie w policzek. - No i jak Fila? Szybko cię wygonił?

- Wyobraź sobie, że mnie nie wygonił. Przeciwnie, poczęstował elitarnym napojem z Madrasu.

- Dobra, dobra, nie zalewaj! Jego kontakty z kobietami są bardzo napięte. Zawsze się boi, że będą chciały zdobyć jego drogocenne nefrytowe genitalia. A on jest stały w uczuciach.

- Musiałam podać się za kobietę innej orientacji.

Siergiej się roześmiał.

- Czadowo! Jak widzę, jesteś sprytna. Kiedy wyjdiesz z pudła, wstawię się za tobą u redaktora naczelnego. Powiem, że rokujesz wielkie nadzieje jako korespondent.

Niezbyt to było miłe z jego strony, przypominać o koszmarnej sytuacji, w jakiej się znalazłam. Z tym wyrokiem, jaki mi grozi, wyjdę z mamra pewnie jako emerytka. W dodatku bez jakiegokolwiek szansy otrzymania pomocy materialnej od państwa.

- Ustalmy jedno, żywej mnie nie wezmą - oświadczyłam. - A co się tyczy idealnego męża... Nie powiedziałaś, że ma niewidomą żonę.

- A pytałaś? A poza tym, po co ci jego żona?

- Ożenił się z nią tylko dlatego, że nie widzi ni cholery? - zapytałam, unikając odpowiedzi. - Czy może były jakieś inne powody? Bardziej romantyczne.

- Nie mam pojęcia. Ona mnie nie interesuje. Nie jest dobrym tematem do artykułu. Nie w mojej gazecie. Już bardziej nadaje się do jakiegoś babskiego czasopisma. Żeby głupim gospodyniom domowym leciały gile podczas czytania...

- Przecież jest świadkiem. Znalazła ciało.

- Ślepy świadek to tylko wrzód na dupie, moja droga - pobłażliwie wyjaśnił Siergiej. - A poza tym, o ile mi wiadomo, z materiałów śledztwa wynika, że Alę znalazł jej brat. A jego ślepa ślubna siedziała w tym czasie jak kwoka na werandzie. Słuchaj, a po co ci wszystkie te bzdety? Jaki to ma w ogóle związek z twoimi morderstwami?

Rzeczywiście, po co mi te bzdury? Zaczynam tracić wizerunek idealnego mordercy, a to może się źle skończyć.

- Przecież ci mówiłam - w natchnieniu podjęłam swoją poprzednią linię obrony. - Później ci to wyjaśnię. Potrzebny jest ci materiał na książkę?!

Nie na jakiś zawszony artykuł, a na konkretną książkę? Potrzebny czy nie, do jasnej cholery?! Chcesz się pewnego dnia obudzić jako sławny dziennikarz?

- No - zgrzytnął zębami. Widać było, że nienawidzi siebie za tę niewolniczą zależność od swojego zawodu. Siebie i przy okazji mnie.

- W takim razie nie zadawaj już żadnych pytań. Zamknij się i rób to, o co cię proszę. Nie będziesz żałował, obiecuję.

- A niech cię! Niech będzie po twojemu - .Siergiej od razu spotulniał i nawet zdobył się na uśmiech. Najbardziej wysublimowany masochista, jakiego w życiu widziałam.

- Bardzo mądrze z twojej strony. Dowiedziałeś się czegoś o Teo Lhermitcie?

- Tak. Zdobyłem pewne informacje. Ten typek wyprowadził się z Kriestowki. Teraz mieszka w „Astorii”. Zarezerwował sobie pokój na kolejny tydzień. W następny wtorek ma jakąś konferencję naukową. A potem pewnie pomacha nam rączką na pożegnanie.

- No to jedziemy do „Astorii”.

- Nie da rady. Już go tam nie ma, zasięgnąłem informacji.

- Co to znaczy - nie ma? - przestraszyłam się. - A gdzie się podział?

- A skąd mam to wiedzieć? Może śmignął do jakiejś pracowni konserwatorskiej na inspekcję. Nie martw się, do wtorku na pewno wróci. Kto cię jeszcze interesuje? Mołdawianin?

- W zasadzie wina mnie ani ziębią, ani grzeją - przyznałam uczciwie.

- A koniaki?

- Też nie. Tylko wódka. Pod każdą postacią.

- Słuchaj, Czorbu urządziła prezentację. Otwiera nową galerię win. Żeby, że tak się wyrażę, produkcja pomyślnie przyjęła się na rynku. Mam nawet zaproszenia - Siergiej wyciągnął z plecaka dwa bezkształtne kawałki jakiegoś błyszczącego papieru. - Pojutrze o siódmej.

- Kiedy ty to wszystko zdążyłeś załatwić? - westchnęłam.

- Odpowiednie znajomości - wyjaśnił. - Nasz zawód jest wart więcej niż wszystkie pieniądze świata. W każdej szajce mam swoje wtyki! A te dwa artystyczne kartoniki zdobyłem w „Bachusie”.

- Jakim znowu „Bachusie”?

- To takie czasopismo o kulturze picia. Dopiero od niedawna na rynku wydawniczym. Redaktor naczelny jest moim kumplem. Z pijaństwa

leczył się przez pół roku. Teraz ma wszywkę. No i z braku innych możliwości założył czasopismo. Dla alkoholowych smakoszy. Zgadnij, jak im się powodzi? Cały nakład schodzi jak ciepłe bułeczki! Pierwszy numer nie zdążył jeszcze wyjść z drukarni, a już był rozchwytywany!

Wyjęłam z jego rąk zaproszenia i zaczęłam je studiować.

Niebale zgięte kartoniki wyglądały jak totalne bezguście. Po białym polu niczym koziołki skakało kilka par w narodowych strojach. Miało to chyba przedstawiać mołdawski taniec wokół beczki z winem. I służyć jako ramka dla dwóch wytłaczanych złotem słów - „Casa Mare”. Po wewnętrznej stronie zaproszenia widniał wątpliwej jakości ginekologiczny aforyzm: „Bez Bachusa i Cerery brak w Wenerze namiętności”.

- A co to za dziwaczny tekst? - zapytałam Siergieja.

- No, co ty?! Nie wiesz?! To przecież alegoria. Powinno się czytać: „Bez chłańska nie ma ruchańska!” - bardziej uprościć tej myśli już się chyba nie dało. - Terencjusz, rzymski komediopisarz. Takie rzeczy trzeba wiedzieć!

Wstydząc się swojej ignorancji, doczytałam zaproszenie do końca. Pełny tekst brzmiał następująco: „AUREL CZORBU MA ZASZCZYT ZAPROSIĆ PAŃSTWA NA UROCZYSTE OTWARCIE GALERII WIN »CASA MARE«, KTÓRE ODBĘDZIE SIĘ 10 LIPCA O GODZ. 19.00. ADRES GALERII: SRIEDNIJ PROSPIEKT WYSPY WASILIEWSKIEJ 70, WEJŚCIE NR 2”.

- To jak, skoczymy? - mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Przy okazji przyjrzymy się dokładniej Mołdawianinowi.

- Jeśli dożyjemy - zacisnęłam wargi niczym Oblubienica Pańska i zwróciłam mu oba zaproszenia.

Nasze ręce prawie się ze sobą zderzyły, gdyż on w tym samym czasie podał mi klucze.

- Trzymaj. Jedź do domu i zaczekaj tam na mnie. I nie zapomnij nakarmić kota. Ten głodomór od samego rana nic nie żarł.

- A ty? - oburzyłam się. - Dlaczego nie jedziemy razem?

- Mam jeszcze stary dług u chłopaków z „Różności” do uregulowania. Zmywam się na plan filmowy, żeby przeprowadzić wywiad z tą żmiją. Będę sześćset sześćdziesiątą szóstą osobą, w którą ciśnie kamerą.

- Kto taki?

- Polina Czarska. - Siergiej z wielką przyjemnością wymówił to nazwisko, po czym szybko dorzucił pod jej adresem parę pikantnych inwektyw.

Polina Czarska, świetnie. Polina Czarska - tragiczne rozstanie z mężczyzną, Wiedeń w roli ukochanej pocztówki ze starego albumu z fotografiami... I pokój na pierwszym piętrze w hotelu na Kriestowce. I żadnego związku z zabójstwem Olewa Kiwi... Zbyt zepsuta i głupia, żeby zabić...

- Słuchaj, a mogłabym pojechać tam z tobą?

- Na plan?

- No. Czy to niemożliwe?

- Nie, dlaczego - Siergiej z przyzwyczajenia podrapał się pod pachą. - Urozmaicimy jej menu. Mnie pożre na pierwsze danie, a ciebie - na drugie.

* * *

Na plan filmowy jechaliśmy prawie godzinę. Siergiej ciągle sprawdzał adres w swoim notesie, zmieniał tramwaj na trolejbus, a trolejbus na autobus. Na końcu trasy czekał na nas, niedokończony na różnych poziomach, budynek, na którego samym wierzchołku wznosiła się okrągła wieżyczka.

- To tu - uroczyście ogłosił Siergiej. - Mają dzisiaj zdjęcia kaskaderskie. Bohaterka ucieka przed grupą bandytów, posługując się dźwigiem budowlanym.

- Bomba.

- Powiedz to producentowi. Będzie zachwycony.

Przy jednej z klatek przestępowały z nogi na nogę dwa kurduple w służbowym ubraniu - ochrona. Kawalek dalej pasło się małe stadko jednakowo ostrzyżonych brunetek.

- Fanki - Siergiej z pogardą splunął w ich stronę. - Idiotki. Dniami i nocami czekają na autograf. Lepiej by dogadzały swoim chłopom.

Podeszliśmy do zaniepokojonych ochroniarzy i Siergiej wyciągnął legitymację.

- Siergiej Sinienko. Gazeta „Petersburska Anomalia”. Mieli was uprzedzić.

Pies łańcuchowy grupy filmowej *Prawo i bezprawie* uważnie przestudiował zaświadczenie, zwrócił je Siergiejowi, po czym zaczął mi się bacznie przyglądać.

- A ona?

- Praktykantka. Z tej samej gazety.

- Wchodźcie. Są na dwudziestym drugim piętrze.

Siergiej chwycił mnie pod rękę i zaprowadził do ogrodzonego zieloną siatką wejścia.

- Mam nadzieję, że winda działa? - zadałam spóźnione pytanie.

O windzie nie było nawet mowy. Z boku zobaczyliśmy jedynie zięjący pustką szyb. Siergiej natychmiast znalazł wyjście na schody. Powlekliśmy się na górę.

Polinę Czarską usłyszeliśmy pomiędzy dziewiętnastym a dwudziestym piętrem. Z trudem przedostaliśmy się przez kupę żwiru, opadliśmy na worki z cementem i zapaliliśmy.

- Lekkie są beznadziejne - stwierdził Siergiej, łapczywie się zaciągając.

- Trzeba rzucić palenie...

W tym momencie rozległ się nieludzki krzyk. Był tak donośny i wściekły, że aż mi brzęczało w uszach. A wnętrzości wywróciły mi się do góry nogami.

- Tam się chyba coś stało... Chodźmy!

- Co ty tak przeżywasz? - Siergiej wyraźnie nie miał zamiaru rozstać się z okropnie śmierdzącą fajką „Biełomor-Kanał”. - Dopalimy i pójdziemy.

- A jeśli ktoś wypadł przez okno?

- Jeśli ktoś wypadł - to go podniosą ci, którzy są na dole.

Dopiero po dłuższej chwili udało mi się go nakłonić do dalszej drogi. Prawie na kopach pogoniłam go na dwudzieste drugie piętro. Krzyki robiły się coraz wyraźniejsze. Można było już określić płęć krzykacza: bez wątpienia była to kobieta. Kiedy w końcu dotarliśmy do upragnionego celu, odniosłam wrażenie, jakbyśmy wpadli na potężny mur. Mur przekleństw. Nawet ja nie słyszałam takich inwektyw, mimo że przez pewien czas miałam do czynienia ze zdziczałymi dokerami, rozładowującymi węgiel w tallińskim porcie morskim.

- Tego się właśnie obawiałem - stwierdził Siergiej, przechodząc przez rozciągnięte na podłodze kable. - Polina trenuje gardło. Potrafi rzucać mięchem, nie ma co!

Na korytarzu, po którym szliśmy, zaczęli pojawiać się ludzie: operatorzy światła, asystenci, śmiertelnie przerażona asystentka reżysera, dwie

blade dekoratorki i całkowicie spokojny chłopak z krótko ostrzyżoną bródką.

- Przerwa? - zapytał Siergiej, uściskawszy dłoń młodzieńca.

- No, trwa już trzecią godzinę - westchnął chłopak. - Ta menda nie może przeżyć, że pracuje ze zwykłymi śmiertelnikami. Dlatego się wyżywa.

- *À propos*, poznaj proszę - Siergiej przypomniał sobie o moim istnieniu. - Anton Czechow. Producent.

- Naprawdę? - zdziwiłam się.

- Co - naprawdę? - chłopak podrapał się po szyi. - To, że producent? Czy że Anton Czechow?

Nie wiedziałam, co mam mu odpowiedzieć.

- Słuchaj, Antosza - Siergiej odciągnął producenta na bok. - Mam z nią wywiad...

- Zapomnij. Ta Suka jest dzisiaj nie w sosie. A że jesteśmy na dwudziestym drugim piętrze, nie mogę ci zagwarantować bezpieczeństwa.

- A można chociaż popatrzeć, jak kręcicie?

- Nie ma problemu. Jeśli się dziś cokolwiek zacznie. I tak straciliśmy już całe dwa dni... U Tej Suki w hotelu kogoś zaszlachtowali, przez co zupełnie już oszalała. Nie wychodziła z pokoju... Ze wszystkimi terminami jesteśmy do tyłu. Prawdziwa masakra!

Patrzcie, patrzcie, jaka wrażliwa!

Zostawiłam chłopaków i ruszyłam w stronę dochodzących wrzasków. Docierały one zza otwartych drzwi jednego z mieszkań. Tam też ciągnęły się kable. I właśnie stamtąd wyskakiwali pozostali członkowie ekipy filmowej. Już zamierzałam wejść do tego cholernego mieszkania, kiedy nagle chwyciła mnie za rękaw jakaś litościwa dziewczyna z termosem w rękach.

- Niech pani tam nie wchodzi - wyszeptwała. - Zrówna panią z ziemią. Zmiesza z błotem. Lepiej trochę odczekać.

- To kawa? - zapytałam.

- Kawa.

- Mogę?

- Oczywiście...

Trzęsącymi się rękami dziewczyna nalala gorącego napoju do plastikowego kubka. Kawa była całkiem znośna i to dodało mi pewności siebie.

Stwierdziłam, że pewnie nie będę już miała drugiej szansy spotkania się z Tą Sławną Moskiewską Suka. Grzechem byłoby z tego nie skorzystać. A gdyby tak jeszcze się udało z nią porozmawiać! Nie bałam się tej jędzy. W mojej sytuacji śmieszne byłoby czegokolwiek się bać. Przecież i tak byłam poszukiwana listem gończym. Cholera, rzeczywiście się nie bałam! Wprost przeciwnie, jeszcze nigdy nie czułam się tak pewna siebie. Jakbym zupełnie zapomniała, że przez całe życie prześladował mnie strach - strach przed Stasem, strach przed rzeźączką, strach przed seksualnymi fantazjami klientów...

Ale teraz - teraz byłam wolna! Wolna i z kubkiem kawy w ręce.

Jest co uczyć.

Stanowczym gestem odsunęłam dziewczynę na bok i weszłam do mieszkania. W drugim pokoju, pośród rekwizytów ujrzałam Polinę Czarską i krępego chłopaka z krótkim krzywym nosem. Pomyślałam, że to zapewne były bokser, a obecnie reżyser. Nie miałam wątpliwości, że jego czterej poprzednicy byli dżudokami, mistrzami w walce wręcz i specjalistami w walce grecko-rzymskiej.

Inaczej bowiem nie poradziliby sobie z Tą Suka.

A Ta Suka stała teraz pośrodku pokoju i wrzeszczała na reżysera jak na małego chłopca, który zlał się w łóżko. Po raz pierwszy widziałam gwiazdę filmową z tak bliskiej odległości. Wszystko było w niej wyolbrzymione: zbyt ostre rysy twarzy, zbyt gęste ciemne włosy, zbyt ruchliwe usta, zbyt jaskrawe oczy...

W myśli zaczęłam stawiać kropki w miejscach przekleństw i bardzo mnie to zajęcie wciągnęło.

- Grisza ... - wrzeszczała Czarska. - Rezygnuję ze zdjęć w Wenecji dla waszego ... serialu! Każę najlepszej propozycji spierd... i tkwię w tym ... chlewie i w tym ... mieście... Nie mogę już na nie patrzeć, na to ... miasto i wasze ... gęby!!! I uczyć się waszych ... tekstów!!! Kto je wymyślił, te ... teksty?! Jaki obszarpaniec? Jakiś ... autor?!! Nie można ich nawet... po pięciu butelkach gorzały ... nie da się wymówić! Ubiegają się o mnie trzy moskiewskie teatry, niedługo ogłoszą mnie zasłużoną artystką Rosji, a wy mnie ... zmuszacie do łązenia po tych ... schodach! I jeszcze muszę ciągle ... po pociągach się szlajać przez tę waszą ... mydlaną operę!!! Po cholere mi... pociąg?! Przecież zawsze proszę: kupcie mi bilet na samolot, nienawidzę ... pociągów!!! ... Żadnych warunków do pracy! Dostałam

propozycję od Tarantino, żeby zagrać z Johnnym Deppem, a ja siedzę w tej ... dziurze i nie mogę się wyrwać. Przez ten wasz ... kontrakt...!!! A na dodatek te wasze ... dziewczuchy nie potrafią nawet porządnej kawy zrobić! A przecież wiesz, że bez kawy nie mogę żyć...!!! I zwolnij tę ... dublerkę! Ma figurę jak... zapaśnik sumo! Co to ma w ogóle znaczyć?! Może ja też mam taką figurę?! No co, mam?! A ... charakteryzatorka?! Na co ona sobie pozwala, ta ... blerwa!!! Jej się nie powinno nawet do nieboszczyków dopuszczać, boby powstawali z grobów! A co tu dopiero mówić o charakteryzowaniu aktorek!!! I zmień mojego ... partnera, bo od tego jedzie cebulą!!! Jak mam się z nim ... całować?! No powiedz mi, jak?! Wolałabym już gówno żreć ... Łyżkami!!! Daj mi tu zaraz wiadro gówna, to je ... zeżre!!!

Potulny Grisza podrapał się po głowie, zrobił w tył zwrot i na ugiętych nogach ruszył w stronę drzwi. Czarska nabrała powietrza w płuca i puściła w ślad za nim kolejną wiązanekę:

- I nie myśl sobie ... Griszulku, że długo tu zagościsz...!!! Twoja ... chaldejska gęba też mi się nie podoba!!! Możesz powiedzieć ... Antonowi, że nie zamierzam dłużej z tobą pracować!!!

W ślad za oddalającym się reżyserem poleciał akumulator od kamery. Cóż to było za wspaniałe przedstawienie!

Czarska była tak cudownie chamska, że nie mogłam się już dłużej powstrzymać i zaczęłam klaskać. Oklaski podziały na nią otrzeźwiająco. Odwróciła się do mnie i pochyliła głowę jak byk przed natarciem na czerwoną płachtę.

- Kim ty jesteś...?! ... mać! Dlaczego obcy kręca się na planie?!

Nie zdążyła już jednak nic dodać, gdyż chlusnęłam jej w twarz resztką kawy. Co za odlot, nie mogę!

Kawa momentalnie popsowała wypacykowaną gębę, zniekształciła usta i ukazała nos - nos najzwyczajszej w świecie rozrabiary, koleżanki opitego piwem motocyklisty.

- I co, lepiej już? - zapytałam.

- Nie rozumiem? - niżony do tragicznego szeptu głos Czarskiej okazał się całkiem zwyczajny.

- A co tu jest do rozumienia? Nie lubię, jak ktoś wrzeszczy. Można powiedzieć to samo, z tym że ciszej. Dużo ciszej.

- Kim jesteś? - zapytała ponownie.

Podeszłam do kamery i spojrzałam przez obiektyw. Widok nie był jakiś szczególny, ale mimo wszystko można powiedzieć, że Czarska była ładna.

- Zatem to pani jest tą Poliną Czarską - powiedziałam przeciągle, nie odrywając oczu od obiektywu - o ksywce „Ta Suka”. Bierze pani role, których nikt nie chce odgrywać. Nawet Lija Aheďzakowa.

W tym momencie trochę przesadziłam. Czarskiej o mało co nie rozsadziła wściekłość.

- A o tym Johnnym Deppie to mu pani nieźle dowaliła. Poszło mu w pięty. Tylko że Johnny Depp nie występuje w amatorskim porno...

Wybacz mi, Annie Raamat! I tak zaraz dostanę za swoje. Najdziwniejsze było jednak to, że nie usłyszałam żadnych przekleństw pod swoim adresem. Postanowiłam więc jeszcze trochę podrażnić lwa.

- Z Tarantino to też lekka wpadka. On nie współpracuje z Deppem - kiedyś czytałam o tym w swojej kieszonkowej biblii - czasopiśmie „Relaks dla Ciebie”. Teraz ta informacja bardzo mi się przydała. - Kobieto, kto pisze dla pani te wszystkie teksty? Takich scenarzystów trzeba od razu zwalniać!

I Czarska nie wytrzymała! Nareszcie!

Skoczyła do przodu jakby podrzucona sprężyną, przewróciła kamerę i wczepiła mi się rękami we włosy. A ja, zamiast nastrzelać jej po tym zakutym łbie i odciągnąć od siebie za ten zwykły chuligański nos, zaczęłam dziękować w myśli swojej fryzjerce. Natchniona Nadienka ścięła moje kudły prawie na zero.

Ta Suka szybko zrozumiała, że nie ma co szukać szczęścia na mojej głowie i przerzuciła się na twarz. Zanim zareagowałam, zdążyła mi już zaorać policzek.

- *Vastik!*¹⁸... *Elukas!*¹⁹... - zakląłam, zawywszy z bólu. - *O, kurat!*

Czarska odskoczyła ode mnie jak od zakażonego kleszcza.

- Co... co ty powiedziałaś? - wyszeptwała, łapiąc powietrze.

Milczałam.

- To było po estońsku, prawda? Jesteś Estonką?

- *Moonam e*²⁰ - od razu stałam się czujna. - Nawet jeśli, to co z tego?

¹⁸*Vastik!*- (est.) gad!

¹⁹*Elukas!*- (est.) bydlę!

²⁰*Mooname* - (est.) załóżmy.

W tym momencie stała się rzecz niesłychana. Polina Czarska, Ta Suka - udręka dziennikarzy, przekleństwo reżyserów, utrapienie producentów, demon charakterysterek, postrach kostiumologów - po prostu się rozpląkała. Rozpląkała się jak ostatnia dziwka, której nie zapłacił klient.

- Wiedziałam, że tak będzie... że ktoś się w końcu pojawi...

Podparłam ręką podrapany policzek. Od momentu, kiedy przestała istnieć giełda pracy o imieniu Stas Driemow, byłam zmuszona ciągle się przekwalifikowywać. Kim już nie byłam! W jakiej branży nie robiłam! Romantyczny morderca dla Siergieja, pragmatyczny posłaniec dla fotografa Rejno, korespondentka - przeciwniczka mężczyzn - dla Filipa Kodrina i tajemnicza Aneczka dla jego żony.

Ciekawe za kogo mnie teraz bierze Polina Czarska?

- Co teraz zrobimy? - zapytałam. To pytanie było idealne, nie nastrezczało żadnych problemów z inrepr... Tfu! Z interpretacją. Czarska usłyszy to, co będzie chciała usłyszeć.

- Jak się nazywasz? - przeciągała słowa. Robiła między nimi takie przerwy, że można byłoby w nie wcisnąć niejedną przemowę. Najwyraźniej chciała zyskać na czasie.

- Kaje - skłamałam.

Który to już raz zmieniam sobie imię? Zdaje się, że trzeci... Mój brat Dimas chyba padł ze śmiechu. Ale Polinie Czarskiej nie było wcale do śmiechu i ja o tym wiedziałam. Dlatego po krótkiej chwili milczenia posiedziałam cicho:

- Czy Olew o mnie nie wspominał?

Teraz Polina wystraszyła się już na dobre. Wyglądała jak bezdomne dziecko, które ściągnęło Cygance kogucika z patyczka i od razu zostało zatrzymane na miejscu lizakowego przestępstwa. *Kurat!* Trafiłam w czuły punkt. Niestety, nie wiedziałam dokładnie, w jaki.

- W ogóle nie masz akcentu - skoncentrowała się zupełnie na czymś innym, niż można było przypuszczać. - Chodźmy.

- Dokąd?

Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi. Zamiast tego Polina pociągnęła mnie w stronę okna, za którym kołysał się podnośnik budowlany.

- Skacz - powiedziała.

- Ty pierwsza.

Czarska wzruszyła ramionami, po czym nie wspomniawszy ani słowem Tarantino, Johnny Deppa, trzech moskiewskich teatrów czy dublerki z figurą zawodnika sumo, skoczyła w dół i wylądowała na starannie ułożonych skrzynkach. Podążyłam za jej przykładem. Wisiałyśmy teraz na wysokości dwudziestego pierwszego piętra. W innej sytuacji zacząłabym pewnie podziwiać panoramę miasta. Kiedy indziej - tak, ale nie w tym momencie.

Jeśli skrzypiące od wiatru liny się urwą, prokuratura będzie ogromnie rozczarowana.

Ale Czarska miała gdzieś świszczący wiatr. Otworzyła jedną ze skrzynek i wyjęła z niej płaską butelkę.

- Chcesz? - zapytała.

- Ty pierwsza.

Odkręciła butelkę i solidnie z niej pociągnęła. Nawet się przy tym nie skrzywiła. Ponownie podążyłam za jej przykładem. W butelce znajdowała się najwyklesza w świecie wódka.

- Nie mam nic wspólnego z jego śmiercią - powiedziała cicho. - Bo to cię przecież interesuje, czyż nie?

- Nie tylko to.

- To prawda, mieszkaliśmy wtedy na Kriestowce... Ale to po prostu zbieg okoliczności, czysty przypadek... Nawet się nie widzieliśmy...

Po raz drugi chlapnęłam sobie dla kurażu.

- No dobrze... - Ta Suka zaczęła się wycofywać - ...widzieliśmy się... Kiedyś go tam spotkałam... Całkiem przypadkowo. Cześć - cześć... I to wszystko...

- Wszystko? - nadal nie miałam pojęcia, o co jej tak naprawdę chodzi.

- Przecież oddałam wszystkie klejnoty, więc po jaką cholerę przyszedłaś?! Obiecał mi, że nic nie wyjdzie na jaw... Obiecał. Obiecał, że zwróci mi ten film i że o wszystkim zapomnimy. I zostaniemy przyjaciółmi.

- On nie żyje - przypominałam delikatnie. - Wszystkie obietnice są więc nieważne.

Polina przygryzła swoją gwiazdorską wargę i nachyliła do przodu gwiazdorskie czoło. A ja... Triumfowałam w duchu! Wyrolowałam Tę Sukę! Wykołowałam ją w najlepszym stylu! Jak przystało na czytelnickę

zakręconych historii w czasopiśmie „Relaks dla Ciebie”! I okazało się, że to nie było aż takie trudne. To była łatwizna - wystarczyło w odpowiednim momencie rzucić stosowną replikę. No i wiedzieć, kiedy lepiej zamilknąć i powstrzymać się od głupiego kłapania dziobem. Czego jak czego, ale nie przypuszczałam, że potrafię milczeć w odpowiedniej chwili.

Po raz kolejny z przyjemnością przyssałam się do butelki - tym razem piłam już za własne wyrafinowanie. I dopiero po chwili zaczął do mnie docierać sens wypowiedzianych przez nią słów.

Co to znaczy - „oddałam klejnoty”? Co znaczy - „obiecał, że nic nie wyjdzie na jaw”? Co znaczy - „obiecał, że zwróci mi film”? Co znaczy - „o wszystkim zapomnimy i zostaniemy przyjaciółmi”? I dlaczego Ta Suka tak się wystraszyła, kiedy usłyszała mój, daleki od ideału, estoński? Znała Kiwi - każdy głupi by to zrozumiał. I być może nie była to zwykła znajomość. Może byli dla siebie kimś więcej? To by wyjaśniało jej wypowiedzi w prasie na temat nagle zakończonego romansu. Aktorki nigdy nie wymyślają sobie miłosnych historii. Po prostu z lekka je zmieniają, koloryzują i obracają na swoją korzyść. I dryfują z nimi w stronę łzawocukierkowego programu *Oczami kobiety...*

- Chce pani pieniędzy? - zapytała cicho Czarska, ze strachu przechodząc ze mną na „pani”.

Pieniądzy w ogóle nie miałam, jeśli nie liczyć kilku uwalanych banknotów Siergieja. Nie chciałam się jednak zniżyć do szantażu. Tym bardziej, że siedziałam na podnośniku budowlanym. A poza tym nie wiedziałam nawet, czym mam ją zaszantażować. Filmem czy klejnotami? A może jednym i drugim? Jeśli Czarska „oddała klejnoty” - to znaczy, że wcześniej je zabrała. Tylko od kogo i po co? A jeśli Kiwi „obiecał, że nic nie wyjdzie na jaw”, to znaczy...

- Ile? - nie dawała za wygraną.

- Nie potrzebuję pieniędzy - odpowiedziałam zszokowana własną szlachetnością.

- Chce mnie pani wsadzić do więzienia? - uśmiechnęła się niespodziewanie niczym japoński kamikadze i pociągnęła za jedną z lin.

Podnośnik zakołysał się, a my razem z nim. Jakże mogłam zapomnieć, że robi mi się niedobrze, zawsze gdy jestem u góry? Nawet w łóżku...

- Tylko proszę nie krzyczyć „Banzai!” - wydusiłam z siebie, rozglądając się na boki w poszukiwaniu jakiegoś cudem latającego woreczka. - A kto tu mówi o więzieniu? Nikt nie ma zamiaru pani tam wysłać. *Lollpea!*²¹

²¹ *Lollpea!*- (est.) idiotka!

Mój kulawy estoński po raz kolejny nią wstrząsnął. Bała się tego języka jak diabeł święconej wody. Co więcej, ona się przed nim płaszczyła! Czyżby dlatego, że w tym języku szczebiotał jej do ucha Olew Kiwi? Olew Kiwi, który wiedział o niej coś strasznego. Coś, o czym ja na razie nie miałam pojęcia.

Podnośnik przestał się chybotać. Czarska (Chryste Panie, gdzie się teraz podziewa ekipa filmowa?! Mieliby okazję uwiecznić poskromienie złoŃnicy!) skromnie złożyła ręce na kolanach. Wypisz wymaluj Maria Magdalena przed wizytą w gabinecie ginekologicznym!

- A zatem Olew obiecał zwrócić pani kasotę, tak? - postanowiłam podejść ją z drugiej strony.

- Tak.

„Wiedeń - zadudniło mi w głowie. - Wiedeń, Wiedeń, Wiedeń. Wiedeń - ukochane miasto”. Ten szczęśliwy miesiąc pod koniec zeszłego roku, kiedy to Czarska uwolniła od swojej osoby wszystkie szmatławce...

- Wygląda na to, że słono musi pani płacić za Wiedeń - powiedziałam, z lekka parafrazując jej wypowiedź z gazety.

Co za efekt! Czarska zaczerwieniła się, potem zbladła, następnie ostrożnie wypuściła wytresowaną łzę spod powieki (to epokowe ujęcie śmiało można byłoby zrobić zajawką serialu!), dopiła wódkę, po czym powiedziała jednym tchem:

- Już się rozliczyłam. Zwróciłam klejnoty. Wszystkie co do jednego. A poza tym, to moja sprawa. Moja i Olewa. Co pani do tego?!

W tym momencie mnie olśniło! Porozrzucane kawałki ułożyły się w jedną całość z wyraźnym kryminalnym akcentem. Czarska najprawdopodobniej, będąc świeżo upieczoną kochanką, zwinęła Kiwi jakieś błyskotki. W Wiedniu. I ktoś to widział. Przy czym świadkowie byli uzbrojeni w kamery i bynajmniej nie byli tacy strachliwi, jak ta załoga liliputów. Nie dało się ich nastraszyć przeraźliwymi wrzaskami. Nie można było ich też zwolnić za źle wykonaną charakteryzację. Pozostawało jedynie pokorne błaganie o amnestię.

Ten wiolonczelista był naprawdę niezły!

Olew Kiwi cały czas nie przestawał mnie zadziwiać. Mienił się coraz to nowymi barwami. I, jak się okazuje, drogocennymi...

- Obawiam się, że nie oddała pani wszystkiego - wyciągnęłam swój notes i powoli go otworzyłam. Trafiłam akurat na stronę pokrytą sercami przesytytymi strzałami.

- Co to ma znaczyć?! O co pani chodzi?! - oburzyła się Czarska. - Czy pani sobie w ogóle zdaje sprawę z tego, co pani mówi?!

- Najzupełniej - z całej siły starałam się odegrać tę otrzymaną jakimś cudem rolę do samego końca, głupio się przy tym nie wkopując. - Inaczej by mnie tu nie było.

- Ale Olew...

- Olewa już nie ma. A ja działałam w interesie jego mocodawców... - jakoś udało mi się nie zająknąć na ostatnim słowie, chociaż dokładnie nie wiedziałam, co tak naprawdę oznacza. - Nie mamy innego wyjścia. Trzeba zacząć wszystko od początku.

Teraz muszę się skupić. Muszę ująć wylęknioną Czarską za rękę i zaprowadzić do drzwi, za którymi kryje się rozwiązanie zagadki. Żeby tylko wszystkiego nie popsuć! Na pewno nie mogę jej grozić... prosić też nie mogę...

- Czego pani ode mnie chce?

- Może jeszcze raz... eee... sprecyzujemy listę klejnotów? Pamięta je pani? - udając wielkie skupienie, zaczęłam wpatrywać się w pusty notes.

- Jeszcze raz?! Boże, czy naprawdę przez całe życie będą mnie przesładować z powodu dwóch głupich świecidełek i tej cholernej koliai?!

„A co ty sobie, kochanie, myślałaś, he!?”. Wchodząc w narzuconą sobie rolę, spojrzałam na nią z pogardą.

- Czyli tylko kolia? I dwa świecidełka?

Niespodziewanie w oczach Czarskiej ujrzałam prawdziwą wartość tych trzech (bynajmniej nie zwyczajnych) przedmiotów. Zawierała w sobie tyle zer, że aż zaczął mnie swędzieć nos.

- A co z pierścionkiem? Ze szmaragdem otulonym listkami winogron? - pierścionek Ałły Kodriny już mnie uratował na „Królowej Reginie”. Może i tym razem na coś się przyda...

- Nie widziałam niczego takiego. Wzięłam jedynie mały pierścionek, kolczyki i kolia. To był komplet. Więcej nic, przysięgam... - po raz kolejny

uroniła kilka łez. - Przecież wszystko widać na filmie... Była mowa tylko o tym komplecie. Dogadaliśmy się z Olewem! Przecież mi obiecał... Co za świnia, świnia, świnia, żeby mnie tak zrobić!

- *Pea suu!* ²² - bezlitośnie zaaplikowałam Czarskiej kolejną dawkę estońskiego. Podziała, gdyż momentalnie ucichła. - Jak widzę, niezbyt pani za nim przepadała.

²² *Pea suu!* - (est.) zamknij się!

Czarska spojrzała na mnie z bezsilną wściekłością.

- Owszem, ale nie na tyle, żeby go zabić.

- Kto to wie... - na wszelki wypadek mocniej chwyciłam za linę.

- Niech mnie pani posłucha... Kaje, czy jak się tam pani nazywa... Ja... Naprawdę bardzo dobrze odnosiłam się do Olewa. Myślałam... myślałam, że może nam się uda... Ale kto mógł przypuszczać, że tak się będzie czepiać za błyskotki swojej zmarłej żony?! I kto mógł przypuszczać, że ja... Naprawdę nie miałam zamiaru kraść tej biżuterii! Ale gdyby ją pani widziała... Nie mogłam się powstrzymać... Chciałam po prostu... Oddałabym ją... Ale kiedy wszystko się wydało, zaczął mi grozić. Krzyczał jak opętany. Jakbym co najmniej grzebała w ukrytej części jego sejfu...

- A grzebała pani? - zapytałam odruchowo.

- Nie - skłamała szybko. I równie szybko się wydała: - Broń mnie nigdy nie interesowała... A Olew... chciał się ode mnie uwolnić. Te cholerne klejnoty posłużyły mu jedynie jako pretekst. A wszystko przez jego żonę... To był jej ulubiony komplet. Prezent od niego... Miała go na sobie w czasie ceremonii ślubnej... A on, widzi pani, bardzo ją kochał...

Już ja coś o tym wiedziałam i dużo mogłabym na ten temat powiedzieć, jednak się powstrzymałam.

- Wierzy mi pani? - Czarska przejmująco westchnęła.

Gdyby mnie teraz mógł zobaczyć Siergiej Sinienko! Wpierniczyłby z zazdrości swój plecak! Ta Suka, nie dość, że zapomniała o nieprzyzwoitym słownictwie, to w dodatku szukała u mnie współczucia! Wcale nie jest powiedziane, kto rzeczywiście powinien nosić miano „Najlepszego Reportera Roku”!

- Najpierw się stąd wydostańmy.

- Ale...

- Myślę, że uda się jakoś uniknąć problemów...

Przyciągnęłyśmy podnośnik do okna i jednocześnie przerzuciłyśmy nogi przez parapet. I równie jednocześnie zamaryłyśmy. W drzwiach stał najprawdziwszy w świecie gliniarz! Najprawdziwszy w świecie gliniarz - z czapką w ręce, z gwiazdkami na pagonach, z wąsami na spierzchniętej gębie...

- Suka - wyszeptła Czarska i nerwowo się roześmiała. - Suka, suka, suka! „Uda się uniknąć problemów”? Przyszedł z obstawą i robisz sobie ze mnie jaja?!

Jednak ja już dłużej nie słuchałam tego, co mówiła do mnie ta złodziejka, niewinna amatorka klejnotów. Ojej, tylko mały komplecik biżuterii sobie zwinęła! Na taki wybryk można spokojnie przymknąć oko, kiedy mowa o dwóch morderstwach. Jaką trzeba być idiotką, żeby zapomnieć, że jest się główną podejrzaną! Jaką trzeba być idiotką, żeby zupełnie otwarcie chodzić po mieście, w którym została ogłoszona operacja „Pojmanie”! Łazić po barach, śledzić facetów, ufać dziennikarzom... Ale to nic. To nic... Kiedy wyjdę z pudła - za jakieś piętnaście lat - to może wreszcie zmądrzeję...

Z natłoku wrażeń zakręciło mi się w głowie. Uczepiłam się ręki Czarńskiej, żeby nie wypaść z okna.

- Nie musi mnie pani trzymać - wysyczała i boleśnie uderzyła mnie w bok. - Nie zamierzam wyskakiwać przez okno. Przynajmniej nie bez dublera...

W tym momencie wąsaty gliniarz zakaszlał i uśmiechnął się zmieszany.

- Mogę z panią porozmawiać, pani Polino?

- Porozmawiać? - Czarska uniosła brwi.

- Starszy oficer Wiatkin, Główny Wydział Spraw Wewnętrznych... Przyszedłem z prośbą... Chłopacy chcieliby... Czy nie mogłaby pani wystąpić u nas osobiście? Z ekipą filmową, oczywiście... Koledzy interesują się kinem. Bardzo chcielibyśmy...

- Moment, moment! Pan chce, żebym... do was przyszła?

- Tak. W odwiedziny, na herbatę... Posiedzimy sobie, porozmawiamy, nasi chłopcy mogą opowiedzieć dużo ciekawych historii. Zobaczysz pani, na pewno przyda się w pracy przy jakimś filmie... Przy okazji zapozna się pani ze specyfiką naszego zawodu. Czasami takie głupoty pokazują w tych serialach kryminalnych, że paść można... No to jak?

Czarska nabrała tchu, po czym powoli odwróciła się w moją stronę. W jej rozszerzonych źrenicach ujrzałam własne odbicie. Lustrzane odbicie. Nasze przerażenia, pomnożone przez siebie, splotły się ze sobą i teraz nie można już było odróżnić, które jest czyje.

- Zgadzam się - powiedziała Czarska. - Tylko niech pan najpierw ustalili to z moim producentem. Taki młody chłopak z bródką.

- Wiem, który. Dziękuję pani - gliniarz odwrócił się po wojskowemu i zniknął z naszych oczu.

My natomiast nadal nie mogliśmy oderwać od siebie wzroku. Patrzyłam jej głęboko w oczy. Z każdą sekundą coraz wyraźniej zarysowywały się w nich kawałki ozdób, które kiedyś świsnęła.

W końcu Czarska spuściła wzrok, powoli rozwarła moje palce, uwalniając się z uścisku, i weszła do pokoju. Po drodze podniosła akumulator, którym cisnęła w nieszczęsnego reżysera. Nie przypominała już Tej Suki.

Teraz była skromną czarującą dziewczyną z okładki „Playboya”.

- Ale nas zrobił, no nie?

Uśmiechnęłam się, ale Polina Czarska nie ufała już mojemu uśmiechowi. Zbyt długo patrzyła mi w oczy. Z pewnością znalazła w nich coś interesującego.

- Ja wiem, dlaczego się przestraszyłam - powiedziała cicho. - Ale pani... Czego się pani boi?...

* * *

Siergiej był niesłychanie zdziwiony, kiedy zobaczył mnie całą i zdrową. - Już myślałem, że cię wyrzuciła przez okno...

- Niepotrzebnie. Bardzo miła dziewczyna. Trzeba tylko odpowiednio do niej podejść.

- A tobie się to udało?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdyż nagle z różnych stron zaczęły napływać osoby z ekipy filmowej: operatorzy światła, asystenci, a nawet reżyser. Producent, Anton Czechow, najpierw chwycił za telefon komórkowy, po czym wziął do galopu scenarzystę i operatora.

Pomyślałam, że jeśli wziąć pod uwagę ciszę morską, która zastąpiła tornado o imieniu „Polina Czarska”, zdjęcia powinny się zacząć już dzisiaj.

- Zdjęcia się jednak dzisiaj odbędą - szepnął mi Siergiej. - Jak ci się udało ją poskromić, kochanie moje?

- Po prostu ją wypowiadałam. I odpuściłam wszystkie grzechy.

- Szalona kobieta...

- Ona czy ja?

Siergiej z szacunkiem uszczypnął mnie w tyłek.

- Mam nadzieję, że pamiętasz, kto ma prawo na wyłączność do ciebie?

- Brzmi jak „kto ma prawo z tobą spać” - skrzywiłam się.

Od kiedy to zaczęłam się krzywić na dźwięk takich słów?

W tym momencie podbiegł do nas Anton Czechow i przypadł do mojej ręki.

- Chylę przed panią czoła - mruzczał pomiędzy pocałunkami. - Może chciałaby pani popracować przy serialu?

- W jakim charakterze?

- W jakimkolwiek. Korzystnie wpływa pani na Tę Sukę. Specjalnie dla pani wymyślę jakąś postać. Niech się pani zgodzi. Bardzo proszę...

Jak tak dalej pójdzie, to może jednak nie zostanę bez pracy... Ciekawe tylko, co mi zaproponują w obozie karnym o zaostrzonym rygorze?

- Czy mogłabym skorzystać z pana komórki? - zapytałam grzecznie.

Anton Czechow podał mi telefon. Wysłałam na schody. Tu nikt mi nie będzie przeszkadzał w telefonicznych zwierzeniach. Nie mam żadnej gwarancji, że następny facet w mundurze zaprosi mnie na komendę tylko „na herbatkę”. Nie mam również żadnej gwarancji, że na własną rękę zdołam wykryć mordercę Olewa Kiwi. Dlatego muszę przygotować plan awaryjny... Żeby Montezuma była na miejscu! Odebrała od razu.

- Monti, to ja - w słuchawce coś bulgotało, gwizdało i trzeszczało, jednak Montezuma mnie usłyszała. I sądząc po jej głosie, niezbyt się ucieszyła z mojego telefonu.

- Przyjedź do klubu - odparła.

- Kiedy?

- Teraz. Jeśli możesz...

- Mogę. Oczywiście, że mogę.

- Czy... wszystko u ciebie w porządku?

- Tak. A co?

- Czekam.

Rozłączyła się szybko, a ja jeszcze przez chwilę słuchałam sygnału w słuchawce. Dlaczego powiedziała - „jeśli możesz”? I skąd taki pośpiech? Przecież nawet nie zdążyłam jej niczego opowiedzieć. A może... A może ona już o wszystkim wie? Przecież czasami ogląda telewizję, słucha radia w samochodzie... A może zadzwoniła do niej Kaje (co do tego, że jej mąż dotrzymał słowa i przyniósł z pracy mój portret pamięciowy, nie miałam żadnych wątpliwości). A najgorsze, że mogły jej złożyć wizytę wyższe władze. Rusofilski żart w tallińskim departamencie policji zbyt dużo nas kosztował...

A co, jeśli teraz u niej siedzą? Co, jeśli ją przycisnęli? Co, jeśli Montezuma ma posłużyć jedynie za przynętę? Lampę, do której powinna przylecieć naiwna ćma - Warwara Andriejewna Sulejmienowa?

Potrząsnęłam głową: nie, Montezuma mnie nie wyda. Na pewno nie wyda.

Podczas gdy ja, złożony rękę jak do modlitwy, sama siebie przekonywałam co do wierności Montezumy-Schokolade, na klatkę wyskoczył Siergiej.

- Gdzie się podziewasz, kochanie? Już zaczynają...

- Muszę pojechać w jedno miejsce.

- W jakie miejsce? - zaniepokoił się reporter.

- Do wieczora wrócę.

- Już jest wieczór.

- Wrócę, Siergiej.

Jego twarz pokryły zmarszczki.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz przyznawać się do winy? - zapytał z zazdrością.

- Spotkamy się na Kanonierskiej - z przyzwyczajenia cmoknęłam go w policzek i zaczęłam zbiegać ze schodów. Zatrzymałam się jednak w połowie drogi i zapytałam: - Słuchaj, Siergiej... Kiwi miał broń?

- W jakim sensie - broń?

- W sensie - „jakakolwiek broń”. - To pytanie nurtowało mnie od czasu, gdy Ta Suka wygadała się o ukrytej części sejfów.

- A po co ci ta informacja?

- Widocznie potrzebna, skoro pytam.

Siergiej wyciągnął z plecaka swój notes, poślinił palce i zaczął go kartkować.

- Miał pistolet gazowy. I jednolufową strzelbę - prezent od Towarzystwa Myśliwskiego szwajcarskiego kantonu Schaffhausen. Pistolet zawsze woził ze sobą dla samoobrony - Siergiej chrząknął, po czym spojrział na mnie. - No tak... powinien był wybrać sobie coś pewniejszego.

- Najlepiej jakiś automat! - krzyknęłam do niego już z dołu.

Teraz muszę być bardzo ostrożna.

Wizyta milicjanta otrzeźwiła mnie i przypomniała o położeniu, w jakim się znajdowałam. Dzisiaj cię nie złapali, ale to wcale nie oznacza, że nie złapią cię jutro. Gdyby chodziło jedynie o śmierć Stasa Driemowa, nie byłoby jeszcze tak źle. Jednak dokonano również morderstwa wysokiej klasy artysty, który był w dodatku obywatelem innego państwa. Głiny nie odpuszczają. Będą szukać tak długo, aż złapią sprawcę. No, chyba żeby w naszym świątobliwym mieście zabito kogoś ważniejszego. Ale na to raczej nie ma co liczyć. Przynajmniej w niedalekiej przyszłości... *Kurat!* Gdzie się podzieli płatni zabójcy?! Gdzie są teraz skorumpowani politycy i sprzedajne władze?! Gdzie wojny gangów na wielką skalę?! Można by było tego cholernego Olewa Kiwi ukryć pod innymi ciałami. I miałabym cały ten problem z głowy...

Zawstydziłam się trochę swoich myśli i krwiożerczych pragnień. Z przyzwyczajenia zatrzymałam się przy stoisku z gazetami i wykupiłam wszystkie dzisiejsze wydania. I „Relaks dla Ciebie” na dokładkę. Niestety, gazety mnie nie pocieszyły. A raczej nie tyle one, co ich zawartość. Pierwsza, najsilniejsza fala informacji na temat śmierci wiolonczelisty już minęła, jednak mimo wszystko trafiały się jeszcze pojedyncze, spóźnione artykuły.

Samo zabójstwo nie było w jakiś szczególny sposób wyolbrzymiane. Ja natomiast (O, Boże! Ja!!!) zostałam opisana jako schizofreniczka, którą do dokonania morderstwa doprowadziła chorobliwa fascynacja muzyką.

Ani słowa o Tallinie. Ani słowa o Stasie Driemowie. To mogło oznaczać tylko jedno: tropiąca mnie sfora psów traktuje mnie bardzo poważnie. Nie chce spłoszyć zwierzyny.

To było coś nowego. Nikt nigdy nie traktował mnie poważnie. Nawet rozkraczeni narwani biznesmeni, którzy czasem chcieli się ze mną ozenić.

Mnie nie można poważnie traktować! Najlepszym dowodem na to jest fakt, że zamiast się gdzieś zaszyć, latam teraz po mieście. Moja własna głupota przeważa nad instynktem samozachowawczym...

Zanim pojawiłam się w pobliżu „Pociągu Pancernego”, zmieniłam kilka samochodów i objeździłam miasto wzdłuż i wszerz, myśląc tropy. A potem jeszcze przez godzinę siedziałam w sąsiedniej kawiarni, obserwując klub. I myślałam o Polinie Czarskiej.

Nietrudno było odtworzyć przebieg jej znajomości z Kiwi. Ta Suka zniknęła pod koniec zeszłego roku, ponieważ pojechała do niego do Wiednia (pewnie da się to łatwo sprawdzić). Krótki romans był w jej stylu. Żaden mężczyzna długo nie wytrzyma z kobietą o takim temperamencie. Zwłaszcza Olew Kiwi. A już tym bardziej po śmierci ukochanej żony. Wtedy w nocy na Kriestowce skłamał. Mówił przecież, że odkąd został wdowcem, nie miał żadnej kobiety. Skłamał tak, jak kłamią wszyscy, kiedy chcą kogoś zaciągnąć do łóżka... Ale nawet jeśli coś między nimi było, to Kiwi szybko stracił zapał. Tego byłam pewna. Naprawdę zbyt mocno kochał swoją żonę i we wszystkich kobietach szukał podobieństwa do niej.

A Polina, z jej niepokohowanym charakterem, nie była do niej ani odrobinę podobna. W dodatku okazała się najzwyklejszą złodziejką, która nie była w stanie oprzeć się urokowi brylantów. Bezczelnie włamała się do sejfu i wyciągnęła z niego cały komplet biżuterii.

Ciekawe, czy to było przed czy po zerwaniu? A może Czarska ma rację i Kiwi skorzystał z kradzieży, żeby zakończyć niewygodny romans?

W każdym razie wiolonczelista i artystka ze spalonego teatru mieli jakąś wspólną tajemnicę. I każde z nich miało swój interes w tym, żeby ta tajemnica nie ujrzała światła dziennego. Jechali na tym samym wózku. Śmierć Olewa Kiwi wszystko zmieniła. Czarska czuła się zagrożona. We wszystkim widziała podstęp. Zawsąd obawiała się pojawienia taśmy z nagraniem jej złodziejskich wyczynów.

Nie, martwy Kiwi jest dla Czarskiej zagrożeniem. Dużo większym niż żywy.

Westchnęłam.

Na Polinie Czarskiej można spokojnie postawić krzyżyk. I na jej hotelowym pokoju na pierwszym piętrze na samym końcu korytarza - również.

To nie ona zabiła.

No i do diabła z nią! Od samego początku byłam przekonana, że to nie ona jest mordercą.

Doszedłszy do tego smutnego wniosku, zapłaciłam za kawę i ruszyłam w stronę klubu Montezuma-Schokolade. Postanowiłam nie wchodzić głównym wejściem. Zamiast tego skorzystałam z dodatkowych, tylnych drzwi.

Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

* * *

Tego samego zdania musiała być również Montezuma-Schokolade. W przeciwnym razie nie czekałaby na mnie przy drzwiach prowadzących do magazynu.

- Cześć - spróbowałam się uśmiechnąć.

Zamiast odpowiedzieć Montezuma dwoma palcami wyciągnęła, wystający z mojej torebki, „Relaks dla Ciebie” i z rozmachem chlasnęła mnie nim po twarzy.

- Pisemka się czyta?! - zapytała, podczas gdy ja rozcierałam piekący policzek. Policzek, który doskonale pamiętał jeszcze paznokcie Poliny Czarskiej. Po raz drugi tego dnia miał pecha. Wyraźnie to nie był jego dzień.

- Nie te czasopisma się czytuje, nie te - ciągnęła Montezuma, rozrywając moją lśniącą ilustrowaną biblię na drobne kawałki. - Kupiłabyś sobie lepiej „Wiadomości Przestępcze”, idiotko!

- Zostaw w spokoju zwykłą prostytutkę - nie próbowałam się nawet bronić.

- Otóż właśnie - zwykłą prostytutkę. Zwykłą! - chwyciła mnie za kołnierz, wciągnęła do środka i zamknęła drzwi na zasuwę. - To czemu nie śpisz ze zwykłymi penisami?! W co ty się wpakowałaś?! Pytam cię, w co?!

W najbardziej upokarzający sposób zaczęła ciągnąć mnie po ciemnym korytarzu, po czym siłą wepchnęła mnie do swojego gabinetu. Tam przy biurku, głaszcząc czule wystający brzuch, siedziała Kaje. Jeszcze tylko tego brakowało!

Ominąwszy mnie, Montezuma podeszła do biurka, wysunęła szufladę i wyciągnęła mój, naprędce sporządzony przez milicję, portret pamięciowy.

- Poznajesz? - zapytała.

- Bardzo dobrze. Więc już o wszystkim wiecie. Nie muszę niczego wyjaśniać...

Kaje zaczęła płakać. Jednak Montezumę-Schokolade nie tak łatwo było wyprowadzić z równowagi. Znowu mnie uderzyła. A ja po raz kolejny nie zareagowałam.

- Musisz! Musisz wyjaśnić! I to zrobisz! Natychmiast! - zaczęła biegać po gabinecie, ziejąc przy tym ogniem jak smok wawelski. - Czy ty chociaż zdajesz sobie sprawę, w co się wpakowałaś?!

- Nie do końca.

- *Idiootlikkus!!!*²³ - w porywie silnych emocji Montezuma zawsze przechodziła na estoński. - *Sonimine!!!*²⁴ Zdajesz sobie sprawę, co to za bagno?!

²³*Idiootlikkus!* - (est.) idiotyzm!

²⁴*Sonimine!* - (est.) - bzdura!

- A to coś zmienia?

- Przestań odpowiadać pytaniem na pytanie! *Kurat!!!*

- Nie przeklinaj przy kobiecie w ciąży - powiedziałam łagodnie.

- Szybko zaczęłaś się przejmować kobietą w ciąży - odbijałyśmy ciężę Kaje jak piłeczkę ping-ponga. - A kiedy przyzłaś do niej od razu po zabójstwie?! I zmyśliłaś debilną historię, a potem w nocy wylzłaś przez okno?! Wtedy nie wiedziałaś, że spodziewa się dziecka?!

- Skąd mogłam wiedzieć, że jej mąż jest gli... Funkcjonariuszem milicji?! Może miałam zostać, żeby zobaczył moją głębę? I żeby ciężarna kobieta podała mu kajdanki?

- Ale ja nie mam żadnego męża! - oświadczyła Montezuma. - Żadnego!!! A też mi nic nie powiedziałaś... Kręciłaś przez pół nocy! Że niby to „bliska przyjaciółka znalazła się w trudnej sytuacji”!?

- Nie chciałam was w to wciągać...

- Aha, nie chciałaś! *Pahn!!!*²⁵

²⁵*Pahn!* - (est.) menda!

- Proszę was, dziewczyny, uspokójcie się - w porywie silnych emocji Kaje zawsze przechodziła na rosyjski. - Niech Waria nam sama wszystko opowie. I razem postanowimy, co dalej robić.

Spojrzałam na nią z wdzięcznością.

- Nic nie trzeba robić. Nikogo nie zabiłam.

- Stasa z chęcią własnoręcznie bym zatłukła! - nie wytrzymała Montezuma. - No mówże wreszcie, co się stało?!

Zanim przystąpiłam do opowiadania, mogłam się w końcu porządnie wyrzucić. Nigdy jeszcze tak szczerze nie płakałam. A dziewczyny, moje kochane przyjaciółki - jedyne, co mi tak naprawdę pozostało w tym życiu - płakały ze mną. Montezuma - z charakterystyczną dla siebie dumą, a Kaje - ze współczuciem.

Opowiedziałam im o wszystkim - o zabójstwach, o Siergieju Sinience, o „Królowej Reginie”, fotografiach Rejno i o obłąkanych krewnych Ałły Kodriny. Dobrałam się nawet do Poliny Czarskiej. W tym miejscu mojego opowiadania Kaje wyraźnie się ożywiła. Była fanką filmu *Kołyśka dla mordercy*, w którym Czarska zagrała spodziewającą się dziecka żonę milicjanta.

Żeby nie mieć na sumieniu przyszłej matki, odpuściłam sobie historię z kradzieżą biżuterii i pomyślnie dobrnęłam do końca swojej opowieści.

Wybuchowa Montezuma po raz kolejny mnie walnęła.

- Za co, do cholery?! - wrzasnęłam. - Też sobie znalazłaś dziewczynkę do bicia!

- To było za to, że wszystko zataiłaś. Przed nami - swoimi przyjaciółkami. A zwróciłaś się do jakiegoś zakichanego reporterzyny... Ten fiut przekaże cię w ręce milicji przy pierwszej nadarżającej się okazji! Jak mogłaś nam tak nie ufać, Warwaro? Dla mnie osobiście to obelga. A dla ciebie, Kaje?

- Wzięłaś od niej autograf? - Kaje patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Od kogo?

- Od Czarskiej.

- Jakoś nie przyszło mi to do głowy, wybacz...

Montezuma się roześmiała.

- Jak widzę, obie macie nierówno pod sufitem. No dobrze. Najpierw Kaje - Montezuma wyjęła z barku butelkę koniaku „Remy Martin” i szybko rozlała go do kieliszków. - Opowiedz Warwarze wszystko, co mi opowiedziałaś.

- Zacząć od tego, jak Juri pokazał mi jej zdjęcie?

- Te mrozące krew w żyłach szczegóły możesz sobie odpuścić - Montezuma z właściwą sobie energią zaczęła przewodzić akcją „Ocalenie świętej Barbary”. - I to, jak o mało co nie urodziłaś przed czasem małego glińiarza - też.

- Juri pokazał mi ten...

- Portret pamięciowy - odpowiedziałam usłużnie.

- No właśnie. Niezbyt jesteś na nim do siebie podobna, ale można cię rozpoznać. Juri powiedział, że wysłali pisma do Estonii i Austrii, gdzie mieszkała ofiara. I że z Estonii przyszła odpowiedź.

Popatrzyłam z wyrzutem na Montezumę.

- Okazuje się, że wasze... - Kaje przytknęła palcami - ...wasze *sormejaig* ²⁶ wciągnęli do rejestru. Przesłali dane. Nic szczególnego tam nie było. Po prostu rodzaj zajęcia...

²⁶ *Sormejaig*- (est.) odciski palców

- No właśnie, kiedy wreszcie zmienisz ten rodzaj zajęcia? - wtrąciła się Montezuma.

- Możesz uważać, że już zmieniłam.

- Potem ustalili, gdzie mieszkasz... Twój dowód osobisty jest podobno do odebrania w Urzędzie Miasta. To prawda, Waria?

- Tym dowodem można się teraz podetrzeć - podsumowała Montezuma. - I zapomnieć o nim raz na zawsze. Mów o wersjach, Kaje.

Kaje odchyliła głowę do tyłu i zaczęła opowiadać:

- Krótko mówiąc, mają dwie wersje wydarzeń. Jedną z nich opracowuje Juri, a drugą jakiś chłopak z FSB. Nazywa się Lemieszonek. Straszna z niego świnia. Chce odsunąć Jurija od sprawy...

- Kaje, te ministerialne kłótnie też sobie odpuśćmy. Myślę, że Warwara ma gdzieś, kto ją wsadzi - czy twój mąż, czy jakiś tam efesbeszny duppek. Proszę o wybaczenie za brzydkie słownictwo...

- Ale wy nie znacie Jurija! - Kaje targały sprzeczne uczucia: kobieca przyjacielska solidarność oraz wielka, prawdziwa miłość do męża. - Gdybyśmy mu o wszystkim powiedziały, na pewno by zrozumiał i pomógł.

- Na pewno by pomógł - rzekła cynicznie Montezuma. - Pomógłby zacisnąć nam pętlę na szyi. W ogóle wątpię w zdolności umysłowe mężczyzn. I im dłużej żyję - tym bardziej wątpię... Wracaj do tematu, Kaje...

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Wystraszona Kaje usiłowała zasłonić się swoim brzuchem, a ja z trudem powstrzymałam się od wskoczenia pod biurko i pozostania tam na zawsze.

- Tak, dziewczyny - zauważyła Montezuma, zbliżając się do drzwi - widzę, że nerwy macie już doszczętnie zszargane. To tylko Akop.

- Ty to masz dobrze... - znów zaczęła chlipać Kaje. - ...Ciebie nikt nie ruszy... Twoje meble stoją w domku letniskowym gubernatora.

Do gabinetu, z szacunkiem, zgiąwszy się wpół, wszedł barman z ogromnym koszem w rękach. Zgiąwszy się jeszcze bardziej i z jeszcze większym szacunkiem (biedak!!!), zaczął wykladać serwetki, sztućce i talerzyki zjedzeniem.

- To co, dziewczyny, przekąsimy coś? - Montezuma uwielbiała rolę gościnnej gospodyni. - Dawno się razem nie spotykałyśmy... Szkoda tylko, że okazja jest wątpliwa... Może zaprosimy kogoś z moich chłopców?

- A po co? - zdziwiłam się.

- Potańczyliby dla nas podczas kolacji... Mają akurat nowy program. Taniec brzucha. Robi wrażenie...

- Ja się nie zgadzam - wtrąciła natychmiast Kaje. - *Mina naine abielus!*²⁷

²⁷ *Mina naine abielus!* - (est.) jestem zameżna!

- Boże, co za nudziara! - Montezuma nadziała na widelec kawałek wędzonego węgorza. - W takim razie, jeśli nie chcesz się trochę zabawić, to leć dalej z tymi wersjami...

- Juri uważa, że poznaliście się jeszcze w Estonii - w odróżnieniu od Montezumy Kaje ograniczyła się do brzoskwiń i winogron. - I że coś was łączyło. I że jesteś... wariatką...

- Jak miło z jego strony.

- Przepraszam, Waria... to znaczy, może niezupełnie wariatką... Miałaś rachunki do wyrównania i z Kiwi, i ze Stasem. Pracowałaś dla Stasa. Stas podsunął ci klienta. Klient okazał się twoim starym znajomym. Być może źle cię potraktował... Broniłaś się i go zabiłaś... Potem wpadłaś w szal. Wróciłaś do Stasa i zrobiłaś z nim to samo, gdyż był twoim alfonssem... I też cię źle traktował.

- Poczekaj, poczekaj... Czyja to tak naprawdę wersja? Twojego męża czy może raczej twoja własna?

Kaje zamyśliła się, odruchowo oderwała kulkę winogrona i rozgniotła ją w palcach. Nie spodziewała się takiego pytania.

- Oboje tak sądzimy, Waria... I ja, i Juri... To jest bardzo rozsądne wyjaśnienie. A poza tym, kiedy tak myślałam, nie wiedziałam jeszcze, że nikogo nie zabiłaś...

- A druga wersja?

- Lemieszonke chce pokazać, że jest lepszy od Jurija i zająć jego stanowisko - Kaje potrząsnęła głową. - Uważa, że to wszystko nie jest takie proste i że najprawdopodobniej jesteś płatnym zabójcą.

Montezuma popatrzyła na mnie z zazdrością.

- Ja? Płatnym zabójcą? - zapytałam.

- Tak. I że sprawa jest bardziej skomplikowana. Że ma jakiś związek z biżuterią.

- Z jaką biżuterią? - zaniepokoiłam się.

- Kiwi posiadał dużą kolekcję brylantów. Znaną w całej Europie. Być może został zabity właśnie przez te kamienie.

- Zakosiłaś je?! Przyznaj się w tej chwili! - Montezuma postukała paznokciem w mój kieliszek.

Jedyną cenną rzeczą, która została mi w spadku po Olewie Kiwi, był pierścionek jego żony. Jednak nie zamierzałam się nim chwalić przed dziewczynami.

- Nie widziałam żadnych kamieni. A co, to on je przywiózł ze sobą?

- Nie - Kaje zmarszczyła czoło. - Przynajmniej na granicy niczego nie zadeklarował. Ale równie dobrze mógł nabyć coś tutaj. W jego notesie znaleziono adres pewnego jubilera. Nielegalnego.

- Co to za jeden? - zapytałam.

Montezuma czujnie uniosła ciekawą brew.

- Żadnych poczynań na własną rękę! I tak już ugrzęzłaś po same uszy.

- Otóż to. Nie mam nic do stracenia - próbowałam ją przekonać.

Bezskutecznie.

- Masz. W przeciwnym razie byś nie zadzwoniła. Bo przecież zadzwoniłaś, żeby... - spojrzała na mnie wyczekująco.

- Zgadza się. Zadzwoiłam, żebyś pomogła mi wydostać się z kraju - nie było sensu się tego wypierać. - No bo mi chyba pomożesz, no nie?

- Pomoże - wtrąciła się Kaje. - Jej meble stoją w domku letniskowym gubernatora.

- Nie tylko u niego - Montezuma uśmiechnęła się z dumą. - Ale nie w tym rzecz. Potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko zorganizować. A tymczasem zatrzymasz się u mnie.

- Nie.

- Co to znaczy - nie? - Montezuma nienawidziła, kiedy ktoś się jej sprzeciwiał. - A gdzie masz zamiar się ukryć? U swojego reporterka?

- Nie zamierzam się nigdzie ukrywać...

- Aha. Chcesz przeprowadzić śledztwo na własną rękę - metodycznie wbijała ciernie sarkazmu w moje nieszczęsne ciemię.

- Przecież sama mówiłaś: „Żeby się oczyścić z zarzutów, trzeba znaleźć prawdziwego mordercę”.

- A co ty masz do tego? „Znaleźć mordercę”! Przecież ty nawet swoich gaci nie mogłaś rano znaleźć! Nigdy! Już nie pamiętasz?! Wiecznie ode mnie pożyczalaś.

- Ode mnie też - Kaje zawsze stawała po stronie Montezumy. I zawsze była nią zafascynowana. Tak samo, jak teraz była zafascynowana swoim mężem.

- No widzisz! Myślisz, że jesteś taka mądra? To dlaczego pałętałaś się po całym mieście? Chyba doskonale wiedziałaś, że jesteś poszukiwana?!

- Przynajmniej się czegoś dowiedziałam...

- Czego, na przykład?

- Po pierwsze, ustaliłam krąg podejrzanych. Po drugie, udało mi się dostać na prom i wyděbić zdjęcia. Po trzecie, dotarłam do Filipa Kodri-na...

- I o czym to świadczy? - wycodziła przez zęby Montezuma, oglądając swoje wymanikiurowane paznokcie.

- No o czym?

- O tym, że każdy facet jest sto razy głupszy od kobiety. Nie, nie sto. Tysiąc - szybko się poprawiła. - W procesie myślowym uczestniczy jedynie jego pała. Penis. Członek.

- A co w takim razie z impotentami? - zapytała Kaje.

- Impotenci myślą dupą. Jeszcze jakieś pytania?

- Juri nie jest taki...

- Ten twój Juri to... - rozpoczęła Montezuma, jednak zerknąwszy na brzuch Kaje, szybko się zreflektowała. - Nie ma reguły bez wyjątku. Twój Juri jest wyjątkiem.

- Zgoda, niech ci będzie, że każdy facet jest głupszy od kobiety - przyznałam jej rację, chociaż wcale tak nie myślałam. - Ale przecież Czarską też rozpracowałam. Dowiedziałam się, że znała Kiwi... A Czarska jest kobietą. Chyba nie zaprzeczysz?

- Czarska to aktorka. A aktorki są jeszcze głupsze od facetów. Niestety. Zrobimy tak. Jakoś cię przemycimy do tej Szwecji. Zatrzymasz się na jakiś czas w Trelleborgu. A potem zobaczymy, co dalej.

- Jakiś czas - to znaczy ile?

- Nie wiem... - Montezuma straciła zwykłą pewność siebie. I bardzo jej się to nie spodobało. Sposepniała i szybko dokończyła: ...aż wszystko ucichnie. Albo do czasu, aż złapią prawdziwego sprawcę.

- Ale przecież doskonale zdajesz sobie sprawę, że prawdziwy morderca nigdy nie zostanie odnaleziony! Nikt go nie będzie szukać. Bo to mnie szukają. Myślą, że to ja jestem mordercą. Prawdziwym mordercą!

- To prawda - potwierdziła Kaje, nasza ciężarna agentka w szeregach wroga. - Nikt nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że Stasa i wiolonczelistę wykończyła Waria. Wszyscy ją widzieli.

Montezuma jednym haustem dopiła koniak i znów zaczęła biegać po gabinecie.

- Słuchaj, Kaje - powiedziała w zamyśleniu. - A gdybyś tak dała do zrozumienia swojemu lubemu, że sprawa wcale nie jest taka prosta, jak się wydaje? I że sprawcą, być może, jest zupełnie inna osoba? Mężczyzna. Albo jeszcze lepiej - dwóch. Albo trzech... Im więcej ich wsadzą - tym lepiej...

- Jak to sobie wyobrażasz? - Kaje przygryzła wargę. - Żebym ja, święta kobieta, żona i przyszła matka, ni stąd ni zowąd odwracała podejrzenia od jakiejś prostytutki? Od upadłej kobiety, którą należy poddać sterylizacji i której miejsce jest za kolczastym drutem...

- Co?! - krzyknęłyśmy równocześnie.

Kaje zatrzepotała rzęsami i pociągnęła nosem.

- To Juri tak mówi...

- Matko jedyna, gdzie ty go poznałaś?! Na kazaniu w luterańskiej cerkwi? - w głosie Monti słychać było prawdziwe zainteresowanie.

- Czy na odsłonięciu pomnika „Ofiarom AIDS”? - dodałam.

- *Lollpea!!!* Głupie! W parku na Wyspie Jełagińskiej. Pływaliśmy sobie łódką...

- ...i on kupił ci balonik i wate cukrową... Ciężki przypadek - tylko tyle była w stanie powiedzieć Montezuma. - Ale przynajmniej wiemy, że nie zdołamy zmienić jego zapatrywań na pewne tematy.

- Juri powiedział, że jeśli będziesz miała dobrego adwokata, to dostaniesz najwyżej piętnaście lat. A może nawet dziesięć...

Od takiej radosnej perspektywy aż mnie wziął kaszel. Montezuma poklepała mnie po plecach.

- Nie ma mowy - wypaliła. - Jasne, że mogłabyś żyć w więzieniu, ale żeby regularnie przez piętnaście lat nosić ci paczki... Wybacz, ale nie jestem zdolna do takich poświęceń.

- Ale ja jestem - Kaje zawsze wyróżniała się ofiarnością. Nawet za tallińskich czasów, kiedy znienacka dopadał nas okres, a klient nie chciał się odczepić, zawsze można było na niej polegać. - Nie zostawię cię, Waria!

- Czyli za przyjaciółką jesteś gotowa pójść wszędzie? A co z mężem? Co zrobisz, jeśli się dowie... - Monti mrugnęła porozumiewawczo do skruszonej Magdaleny - ...że wspierasz upadłą kobietę, którą trzeba poddać sterylizacji i której miejsce jest za kolczastym drutem?

- Nie dowie się - wymamrotała Kaje.

Jednak w jej głosie nie było ani odrobiny pewności.

- A potem podrośnie twój dzidzius - Montezuma przysiadła obok Kaje i czule położyła dłoń na jej brzuchu - i też będzie nosić cioci Wani... suchary i robione na drutach skarpetki...

- Nie znoszę sucharów! - wtrąciłam.

- Tym bardziej opcja z więzieniem odpada. Pozostaje tylko jedno. Przemycić cię do Szwecji. Ale to się uda nie wcześniej niż za tydzień. A tymczasem... Gdzie masz tę swoją listę podejrzanych?

Przez następne pół godziny przeplatałyśmy kolejno listę podejrzanych z koniakiem „Remy Martin”, dwiema butelkami deserowego „Sauternes” i mlecznym koktajlem (Kaje).

- A zatem - podsumowała nasze rozważania Montezuma - zajmę się tym cholernym buddystą, Teo Lhermitte'em. Przygotuję akurat pewien ekskluzywny projekt „Sukhawati - sypialnia w indyjskim stylu”...

- Sukhawati? A co to takiego? - zapytała Kaje.

- Niewykształcone idiotki! Wasz wzrok nie sięga dalej niż do waszego łona! „Sukhawati”- w tłumaczeniu „szczęśliwa kraina”- strefa działania Buddy. Kładziesz się w takiej sypialni i od razu wpadasz w nirwanę.

- Nieziemsko! - byłam zachwycona.

- No pewnie! W tej sytuacji nie powinno mi sprawić najmniejszego problemu zapoznanie się z tym znawcą sztuki. Wyciągnę go nawet spod ziemi! Wproszę się do niego na konsultację. Teraz co do Stasa. Potraktowaliśmy go tak jakoś po macoszemu. To duży błąd... Gdzie on, mówisz, mieszkał?

- Na Suworowskiej.

- Niezłe miejsce. Nie miał żadnych krewnych? - Montezuma doskonale wiedziała, że za jedynych jego krewnych można uznać papugę - Starego Toomasa - i dwie palmy daktyłowe, ale wolała się upewnić.

- Nie. Nie miał - przytaknęłam skwapliwie.

- I nic dziwnego. Takiego drania nie mogła urodzić żadna kobieta. Chyba sobie kupię to jego gniazdko.

- Ty?! - byliśmy zaskoczone.

- A co? Jeśli nikt do niego nie pretenduje, to wystawią go na sprzedaż. Mam znajomości i w urzędzie do spraw majątkowych, i w agencjach nieruchomości. Tym bardziej, że już od dawna planowałam polepszyć swoje warunki mieszkaniowe.

- Zobacz tylko, Kaje, jaką mamy ważną przyjaciółkę! - zachichotałam i wysłałam z butelki resztkę „Sauternes”.

- A jej meble stoją w domku letniskowym gubernatora - poparła mnie Kaje.

- Mam gdzieś wasze drwiny. Naprawdę nie rozumiecie, że można połączyć przyjemne z pożytecznym? Pokręcę się trochę jako potencjalny nabywca, a jednocześnie wywęszę, co i jak. Mówiłaś, że masz bilety na prezentację tego Mołdawianina?

- Tak. Dla dwóch osób. Dla mnie i dla Sinienki.

- Fiutogłowa kopniakiem w dupę - Montezuma zaczęła chyba mylić nasz skromny wieczór paniński ze swoją meblową produkcją. - Zamiast niego pójde ja. Tak będzie lepiej.

- Nie - po raz pierwszy tego wieczoru wyraźnie się sprzeciwiłam. - Nie. Nie pokażesz się tam. Zaproszenia nie są moje, tylko Siergieja, i on może się na to nie zgodzić. To po pierwsze. A po drugie, to nie jest główny front tej bitwy. Nie ma powodu, żebyśmy wysyłały tam nasze najlepsze siły. Mam na myśli... oczywiście... ciebie.

Karine Surienowna Arzumianian, jak każdy człowiek ze Wschodu, była łasa na drobne pochlebstwa, dlatego natychmiast zmieniła swoje stanowisko.

- Niech i tak będzie... Ale przecież nie wykluczyliśmy jeszcze Mołdawianina z kręgu podejrzanych. A jeśli to właśnie on jest mordercą...

- Otóż to - dorzuciła swoje trzy grosze Kaje - Mołdawianie są perfidni. Perfidni i żądni krwi. To oni wymyślili Draculę.

- Draculę wymyślili Rumuni - poprawiłam Kaje.

- Draculę wymyślił Bram Stoker - poprawiła mnie Montezuma.

- To nie zmienia postaci rzeczy. A jeśli... jeśli jest tak jak twierdzisz i to właśnie winiarz jest mordercą, to tym bardziej głupio pokazywać się w tej galerii. Prezentacja przeznaczona jest dla prasy! Siergiej łapie się na nią ze słusznych dziennikarskich względów. Ja - też powiedzmy słusznych, jako jego osoba towarzysząca... Ale co tam będzie robić królowa mebli?

- Poddaję się - Montezuma podniosła rękę. - Sama się nim zajmij. Ale i tak to wszystko to jedno wielkie dyletanctwo. Nawet nie wiemy, kto miał interes w śmierci Olewa Kiwi. Na pewno zostali po nim jacyś spadkobiercy, którym dostaną się te wszystkie brylanty. Może to właśnie oni postanowili go zlikwidować... A my tu się uganiamy za jakimiś mołdawskimi buddystami...

- Spadkobierczynią była jego żona - powiedziała cicho Kaje. - Tak przynajmniej jest podane w testamencie.

- A ty skąd to wiesz? - zdziwiłam się.

- Juri zajmuje się tą sprawą, przynajmniej na razie.

- Skoro tak, powinnaś również wiedzieć, że jego żona została w zeszłym roku zabita.

- Milutka rodzinka - gwizdnęła przez zęby Montezuma. - Rodzinka umarłaków.

- Trzy lata temu Kiwi trafił do szpitala - Kaje postanowiła ostatecznie dobić nas swoim rozeznanem w całej sprawie - w Szwajcarii. Do jakiegoś miasta... Schaffhausen... tak, na pewno, do Schaffhausen. Miał poważne problemy z nerkami. O mało co nie umarł. Właśnie wtedy napisał testament. Cały majątek powierzał w nim swojej żonie...

Schaffhausen, Schaffhausen... Zdaje się, że już gdzieś słyszałam tę nazwę. No tak! Jednolufowa strzelba, prezent od Towarzystwa Myśliwskiego szwajcarskiego kantonu Schaffhausen". Informacje z notesu Siergieja Sinienki...

- Co za spryciarz. Najpierw pisze testament... - Montezuma nigdy nie wierzyła mężczyznom, to było jej życiowym credo. Jediną istotą płci męskiej, której ufała, był pomnik Barclaya de Tolli przy Soborze Kazańskim. - ...A potem jego żonę znaleziono martwą...

- Monti, przecież tak nie można! - nie wytrzymałam. - Gdyby mu się odechciało dzielić swoim majątkiem z żoną, to mógłby po prostu sporządzić nowy testament...

- Teraz to i tak bez znaczenia - przerwała mi Kaje. - Nie ma innego testamentu. Jutro powinien przyjechać adwokat Kiwi.

- Po co? - zdziwiłam się. - Po co tu jego adwokat, skoro cały majątek znajduje się za granicą?

- Nie mam pojęcia. Ale mogę zapytać Jurija...

- Gdybyś była taka miła.

- Podsumowując - Montezuma ponownie przejęła dowództwo - ja i Warwara pośledzimy niedobitków ze zgodnej hotelowego załogi.

- Tam była również obsługa. Pięć osób... - przypomniałam.

- Nie przerywaj... pionki zostawimy na później. A Kaje będzie nam dostarczać informacji. Na bieżąco. Zgoda, Kaje?

- *Jah!*²⁸ - Ogrom ofiary był tak widoczny, że Kaje aż się zarumieniła i na naszych oczach urosła o kilka dobrych centymetrów.

²⁸ *Jah-* (est.) dobrze!

I natychmiast przystąpiła do swoich obowiązków. Wyjęła z torebki złożoną kartkę papieru i mi ją podała.

- Co to jest? - zanim zdążyłam rozprostować kartkę, Montezuma już mija wyrwała. Niczym doskonale wytresowany jastrząb.

- To adres jubilera. Tego nielegalnego - skromnie wyjaśniła Kaje.

- Zuch dziewczyna! Czapki z głów! - powiedziała Montezuma, nosząca tylko chustki. - Twój przyszły potomek może być z ciebie dumny. Jutro zajmujemy się tym typkiem...

- Jeśli będziesz miała jeszcze jedną okazję, Waria - Kaje w błagalnym geście złożyła ręce na brzuchu - zdobędziesz dla mnie autograf Poliny Czarskiej?

- Masz to u mnie jak w banku - obiecałam.

A miałam jakieś inne wyjście?

* * *

Montezuma, której nigdy wcześniej nie widziałam tak podminowanej, podjęła się rozwiezienia nas do domów. Najpierw podrzuciłyśmy Kaje na ten jej odległy Prospiekt Obrony Obuchowskiej. Ta niewdzięcznica kategorycznie zabroniła Montezumie podjeżdżać eleganckim, ozdobionym przyciemnionymi szybami BMW do swojej rudery bliżej niż na dwie przecznice. Siedziałam z tyłu i jednym uchem przysłuchiwałam się ich sprzeczce.

- Nie chcę jakichś niepotrzebnych pytań, Monti...

- No to zaprosz mnie do siebie, dziecino. Przedstawisz mnie jako bliższą przyjaciółkę.

- No co ty?! - Kaje przestraszyła się nie na żarty. - A niby skąd mam przyjaciółki z takimi brykami? Juri nie zrozumie...

- Wybacz. Zupełnie zapomniałam, że jesteś skromną córką mechanika, który przez całe życie tyrał na karuzeli. Wszystkie twoje przyjaciółki, jeśli w ogóle na czymś jeżdżą, to wyłącznie na „diabelskim młynie”... - tu Montezuma nie wytrzymała i walnęła pięścią w kierownicę. - Cholera jasna, Kaje, co się z tobą dzieje?! Co w tym złego, że ktoś podwiezie do domu ciężarną kobietę? Nawet jeśli zobaczy...

- Juri nie zobaczy... Jest w pracy.

- Tym bardziej nie rozumiem. O co ci chodzi?

- Sąsiedzi mogą zobaczyć. Nie chcę im dawać powodu...

- Wypad z samochodu, skończona kretynko!

Kaje rozplynęła się w uśmiechu, objęła Monti, cmoknęła mnie w policzek, otworzyła drzwiczki i ostrożnie opuściła nogi na ziemię. Jeszcze przez chwilę postaliśmy, obserwując jak drepcze ulicą - z ogromnym brzuchem, zwycięskim brzuchem, Brzuchem Początku Świata.

Montezuma otworzyła schowek, wyciągnęła stamtąd okropnie wyglądające cygaro, ścięła końcówkę małą lśniąca gilotynką, a następnie zapaliła.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedziała, wypuszczając dym przez nos. Jej nozdrza były tak cienkie, jakby zostały narysowane chińskim tuszem.
- Sama - idiotka, mąż - kretyn, dzielnica - wygwizdowo, dom - masakra, pokój - szambo, sąsiedzi - niedorozwoje... Może to właśnie jest szczęście, jak myślisz, Warwara?

Przejechawszy przez całe miasto, zatrzymałyśmy się w końcu na małym placyku tuż za tunelem. Montezuma zaparkowała przy siatce z tabliczką „CENTRALNA STACJA AERACJI i wyszła z samochodu. Podążyłam za jej przykładem.

Przez pewien czas wpatrywałyśmy się w zatokę, a potem Montezuma się odezwała:

- Czyli nie zgadzasz się pojechać do mnie?

- Nie gniewaj się, Monti... Nie chcę cię narażać. A jeśli wpadną do ciebie gliny? Do ciebie albo do klubu?

- Już - Montezuma w zamyśleniu podrapała brew. - Ale tu jest cudownie, Warka. I pomyśleć, że mogłabym tego nie zobaczyć przed śmiercią.

- Co - już? - przestraszyłam się.

- Już wpadli. Nie zapominaj, że moje paluszki dotykały tych samych rzeczy, co twoje...

- I co?!

- I nic. Jestem szanowaną kobietą interesu, obywatelką Szwecji...

- I twoje meble stoją w domku letniskowym u gubernatora... pamiętam.

- Nie tylko u gubernatora. Z grubsza rzecz biorąc, dałam im popalić. Powiedziałam, że po raz ostatni widziałam cię sześć lat temu w Tallińskim Ogrodzie Botanicznym. Powołałam się na pewne nazwiska... Nie martw się, wszystko jest w porządku. U mnie będziesz bezpieczna.

- Nie - objęłam Montezumę za szyję i przytuliłam się do jej żelaznego ramienia. - Nie.

- Jak sobie chcesz... Plan na jutro jest następujący. Przyjeżdżasz do mnie do „Pociągu Pancernego”. Z samego rana. Najlepiej przed dziesiątą.

I nie waź się zaspać. Doprowadzimy cię do normalnego wyglądu i ruszamy do jubilera. Zrozumiano?

Zasalutowałam i uśmiechnęłam się.

- Tak jest!

- No to splywaj już!

Kiedy zawitałam do mieszkania Siergieja, mój specjalny korespondent już spał. W ubraniu, zwinąwszy się w kłębek i schowawszy dłonie pod pachami. Na tej części twarzy, która była widoczna, dostrzegłam niemą wymówkę. Na samym czubku jego głowy pysznił się ogon kocura. Po cichu go przegoniłam (kota, nie Siergieja), przykryłam dziennikarza kocem i na paluszkach udałam się do kuchni.

Tam, pośrodku stołu zobaczyłam kartkę, podpartą butelką po tequili: „Czekałem na ciebie do godz. 1.33, Ty Szmatol!”.

Wyjęłam z torby futerał z nożem i kartkę z listą podejrzanych. Wykreśliłam z niej Polinę Czarską, postawiłam dwa znaki zapytania obok Aurela Czorbu, trzy - przy Teo Lhermitcie i jeden - przy Güntherze Knoblauchu. Przy tym ostatnim dlatego, że jeszcze w „Pociągu Pancernym”, kiedy ponownie usłyszałam nazwę szwajcarskiego kantonu „Schaffhausen”, przypomniałam sobie, że pod względem zawodowym Knoblaucha interesowały nie tylko Niemcy i Rosja, ale również Szwajcaria.

Koniecznym trzeba się dowiedzieć, czy drogi Olewa Kiwi i Günthera Knoblaucha kiedykolwiek się ze sobą skrzyżowały... Jeśli tak, to... To co wtedy? Wtedy liczba osób, które znały wiolonczelistę i mieszkały z nim w jednym hotelu, znów się powiększy. Czy to będzie tylko czysty przypadek?

Skończyłam przeglądanie listy i zabrałam się do kolejnej nocnej rozrywki - oglądania zdjęć, które otrzymałam od Rejno. Nawet nie tyle zdjęć, co zdjęcia. Tego, na którym uwieczniony został Filip Kodrin. Nauczyłam się już tej cholernej fotografii na pamięć. Dokładnie znałam liczbę osób, które na niej widniały. Nawet je ponumerowałam. Byłam w stanie opisać je z zamkniętymi oczami.

1. Filip Kodrin z nażelowanym przedziałkiem (w lewym górnym rogu).

2. Wydekoltowana babka stojąca obok Filipa. Przyjęłam, że to jego żona (w lewym górnym rogu).

3. Łysy szuja-wegetarianin - obiekt obserwacji (w samym centrum zdjęcia).

4. Kurdupel w muszce, rozmawiający z szują-wegetarianinem (patrząc od środka zdjęcia - lekko z prawej strony).

5. Jakiś typek z długą rockową kitką, ujęty od tyłu (lekko z lewej strony od środka zdjęcia).

6. Fragment kobiecego ramienia (prawa krawędź zdjęcia).

7. Fragment kobiecej głowy (prawa dolna krawędź zdjęcia).

Prędzej czy później Kodrin zacznie mówić i wtedy dowiem się, dlaczego się tak przestraszył któregoś z tych osób. I której... Prędzej czy później...

Wsunęłam zdjęcie pomiędzy kartki i trochę się uspokoiłam. Jednak nie na długo. Nóż, schowany w futerał, ciągle jeszcze mnie nęcił. Czulałam nawet dziwnie palące ciepło w palcach, które pamiętały jeszcze dotyk rękojeści. I skutki tego dotyku.

Nie. Nie otworzę futerału. Przynajmniej nie teraz.

Zanim wrzuciłam futerał z powrotem do torby, sprawdziłam, co w ogóle się w niej znajduje. Wyciągnęłam kawałek gazety. Na początku nie mogłam sobie uświadomić, co to za jakiś bezsensowny skrawek. I skąd go mam. Dopiero po jakimś czasie sobie przypomniałam.

Kierowca Giena.

Kierowca Giena, który zawiózł mnie na Kriestowkę, a potem w drodze powrotnej w pośpiechu zapisał swój numer telefonu na kawałku gazety. Ten numer był mi potrzebny jak łysemu grzebień, dlatego całkowicie go zignorowałam. Za to odruchowo zaczęłam czytać strzępy płatnych ogłoszeń.

„Kupię radziecki kask z 1936 roku z grzeb
na górze i gwiazdą na prze
Tel...”

„Kupię szklaną kulę z figur
wodzie i sztucznym śnieg
wewnątrz. Igor, Larysa, tel...”

„Kupię miecz japoński, szab
sztylety „SS”, „PZM”, ekspert, tel...”

„Kupię figurki kobiet, Łomon...
porcelana. Drogo. Tel...”

„Kupię wybitne...”

Na tym tekst się urywał. Nie miałam już nic więcej do czytania, bo „Relaks dla Ciebie” rozwścieczona Montezuma podarła nad moją niešťczesną, ostrzyżoną głową. Już miałam zgnieść kartkę i wyrzucić ją do kosza, gdy nagle dotarł do mnie sens słów: japoński miecz, sztylet, ekspert i nie do końca zrozumiałe „szab”, oznaczające chyba „szablę”. Ekspert, a dlaczego nie? Skoro nie mogę pokazać noża Filipowi Kodrinowi, to niech przynajmniej rzuci na niego okiem jakaś orientująca się w temacie osoba.

To był całkiem niezły pomysł. Pomysł, który sam wpadł mi w ręce. Postanowiłam, że zajmę się tym następnego dnia. Schowałam skrawek gazety do tylnej kieszeni džinsów, po czym odwróciłam notatkę Siergieja i szybko napisałam po drugiej stronie:

„Wróciłam o 2.07. Twoja Szmata” - i ponownie postawiłam ją na stole. To by było chyba na tyle. Idę spać...

* * *

Do Montezумы się, rzecz jasna, spóźniłam. Przyjechałam do „Pociągu Pancernego” dopiero przed jedenastą.

Jednak, ku mojemu zdziwieniu, nie miałam z tego tytułu żadnych kłopotów. Montezuma była zajęta rozmową telefoniczną i tylko kiwnęła głową w stronę kanapy, na której leżała już cudowna, powalająca sukienka (O, gdzie jesteś, moja ukochana szafa, wypełniona po brzegi takimi rzeczami?! Gdzie jesteś, moja łazienka z wanną z pianą, żelem, szamponem i odżywką? Gdzie jesteś, moje niepowtarzalne mieszkanie przy ulicy Wierności?! Gdzie jesteście: Lenko, Swietko i Nadienko?! Czy już do końca życia przyjdzie mi się tulać po świecie w džinsach i spranej koszulce Siergieja?).

Oglądałam ze wszystkich stron ten cudowny ciuszek, przypominający mi moje wspaniałe, poprzednie życie, tymczasem Montezuma skończyła wreszcie rozmawiać i odłożyła słuchawkę na widelki, po czym zwróciła się do mnie:

- Przebieraj się.

- A co, w tym roboczym ubranku ci się nie podobam? - zaczęłam się z nią droczyć z czystej przekory. Sukienka była zbyt ładna, żebym mogła się jej oprzeć. A poza tym miałam wrażenie, że błagalnie wyciąga do mnie swe wąskie rękawy i woła: „Załóż mnie, załóż!”. Jak mogłabym jej odmówić?

- W tym łachu możesz co najwyżej reprezentować gazetę „Na dnie”. A my jedziemy do poważnej osoby w poważnej sprawie.

- Dowiedziałas się czegoś o tym jubilerze?

- Co nieco. Petersburg nie jest w końcu aż taki duży... Okazało się, że jeden ze znajomych Akopa upłynął u niego jakieś cacka.

- Skradzione z zakrystii katolikosa?

- Coś w tym stylu. Dzięki Bogu, już go wsadzili.

- Kogo? Katolikosa?! - niezmiernie się zdziwiłam.

- Kolegę Akopa. Ale spokojnie możemy się na niego powołać... Przebijaj się, nie mamy zbyt wiele czasu. On już na nas czeka. Będę na sali...

Zostałam sama. Szybko się przebrałam i postanowiłam sprawdzić suknię w ruchu. W tym celu przysiadłam na kanapie i przyjąłm kilka wywiczonych pozycji. Noga założona na nogę - ręce podtrzymują kolana, nogi są skrzyżowane - ręce swobodnie leżą na kanapie, noga na nogę - mały palec gładzi wargi... Lekko zdziwiona uświadomiłam sobie, że moje ciało, które nigdy wcześniej mnie nie zawiodło, teraz odmawia posłuszeństwa. Protestuje, żąda ochrony swoich praw i nie zamierza dłużej godzić się na wykonywanie, uwłaczającego jego godności, zawodu.

- Bunt? - zapytałam samą siebie i ze smutkiem spojrzałam na dzinsy i koszulkę, w których przyszłam do Montezumy.

„Bunt” - potwierdziły moje kolana, które mocno się do siebie przytuliły niczym dzieci-sieroty podczas burzy.

„Bunt” - potwierdziły moje palce, które szczepiły się ze sobą niczym archijerej z archimandrytą.

„Bunt” - potwierdziły moje wargi, gotowe całować odtąd jedynie ikonę Matki Boskiej Kazańskiej.

No to się doigrałam. Brakuje mi tylko różańca, mnisiego habitu i powrozów na nogach. I marsz do celi! - pokutować za grzechy.

Wstałam z kanapy, poprawiłam sukienkę (zupełnie jak skromna kierowniczką rejonowej biblioteki), po czym podeszłam do telefonu. Montezuma nie będzie się chyba gniewać, jeśli skorzystam z jej aparatu. Muszę zadzwonić do eksperta od japońskich mieczy, sztyletów, „szab” i innych niebezpiecznych zabawek.

Odebrał mężczyzna.

- Słucham - zadudniło w słuchawce. Z takim głosem, przypominającym trąby jerychońskie, można iść między lud i śpiewać więzienne piosenki.

- Skupuje pan japońskie miecze? - pisnęłam.

- Tak.

- A czy przeprowadza pan także ekspertyzy?

- Chce pani sprzedać miecz?

- Niezupełnie. Chciałabym zasięgnąć opinii specjalisty...

Już po chwili byliśmy umówieni. Miałam podjechać do sklepu „Le-gion”, gdzie najprawdopodobniej pracował ten znawca japońskich mieczy. Przedstawił mi się jako Dementij. Nazwa sklepu niezbyt mi się spodobała, podobnie jak przeraźliwy głos jego właściciela. A w ogóle co to za jakieś dziwne fanaberie, żeby wyznaczać spotkanie w sklepie?

Zanim wpakowałyśmy się do samochodu, Montezuma krytycznie obejrzała mnie ze wszystkich stron i stwierdziła:

- Nie pasi.

- Co - „nie pasi”?

- Ta suknia do twojej skwaszonej gęby. Nie sądziłam, że przez te kilka dni aż tak się zmienisz.

Pomyślałam, że chciałabym zobaczyć, jak by wyglądała, gdyby to w jej „Sukhawati - sypialni w indyjskim stylu” leżały dwa trupy... Gdyby to ona je znalazła, a potem była poszukiwana przez milicję całego kraju... Jednak nie powiedziałam tego wszystkiego na głos. Mimo wszystko byłam jej bardzo wdzięczna, że jako szanowana kobieta interesu dobrowolnie zdecydowała się wstąpić na drogę przestępstwa - jako współniczka mordercy.

Nielegalny jubiler, jak przystało na nielegalnego jubilera, mieszkał w niedawno odbudowanym, bardzo wytwornym domku na Nabrzeżu Robespierre'a. Ten mieniący się nowymi plastikowymi oknami dom znajdował się naprzeciwko Kriestów - petersburskiego więzienia. Wystarczyło przepłynąć rzekę i już było się w zupełnie innym świecie. Zaparkowałyśmy na nabrzeżu i przez kilka chwil w zamyśleniu podziwialiśmy panoramę miasta - od słynnego więzienia aż do samego przytułku dla bogaczy.

- No tak - odezwała się wreszcie Montezuma. - Po tej stronie - raj na ziemi, a po tamtej - płacz i zgrzytanie zębów. Dostrzegasz współzależność?

- Więzienie i niebezpieczeństwo czyhają na każdym kroku - palnęłam pierwsze, co mi przyszło do głowy.

- Co prawda, to prawda. Ja bym tu jeszcze most zbudowała, żeby nie ganiać naokoło.

- Jak zwykle jesteś żądna krwi, Monti. Tylko nie zapominaj, że na razie pierwszym kandydatem do więzienia jestem ja.

Moja celna uwaga nieco ostudziła mordercze zapędy Montezumy. Skierowałyśmy się do domu, gdzie pod osłoną skromnego szyldu „ANTYKWARIAT” urzędował nasz jubiler.

Natychmiast po wejściu do sklepu Montezuma zapytała o cenę dwóch starodawnych kandelabrow (przypuszczałam, że kandelabry potrzebne są jej wyłącznie po to, żeby w chwili duchowych uniesień rzucać nimi w swoich striptizerów).

- Monti - pociągnęłam ją za ramię - nie po to tu przyszłyśmy... zapomniałaś?

Ona jednak nigdy o niczym nie zapominała. Zapłaciła sprzedawcy za kandelabry, po czym poprosiła, aby zaprowadził nas do właściciela antykwariatu („pan Schamne został uprzedzony o naszej wizycie”). Już po chwili znalazłyśmy się w niewielkim, lecz gustownie urządzonej gabinecie. W rogu stał duży zegar. Na jego wierzchołku znajdowała się rzeźba jakiegoś potężnego gościa, owiniętego głowami zmij. Facet usiłował się od nich uwolnić, próbując którąkolwiek z nich złapać. Serdecznie mu współczułam, ponieważ w pewnym sensie przypominał mi mnie i moje pożalowania godne życie.

- Przystojniak, co? - szepnęłam do Montezumy.

- Tobie tylko jedno w głowie - popatrzyła na mnie z wyrzutem. - Nimfomanka. Też sobie znalazłaś obiekt. To przecież Herakles. Herakles i Hydra Lernejska.

- Kto kogo? - zapytałam.

- Hydra nie ma żadnych szans - w głosie Montezumy dał się słyszeć skryty smutek z powodu niesprawiedliwości świata, w którym męski pierwiastek zawsze odnosi zwycięstwo nad żeńskim.

Jeśli chodziło o mnie, taki układ w pełni mi odpowiadał. Niestety, nie zdążyłam ucieszyć się ze zwycięstwa Heraklesa, gdyż do gabinetu wszedł

gładko ogolony typek. Tak na oko miał około trzydziestu pięciu lat, na nosie zaś gimnazjalne okulary, a nad nimi gimnazjalny loczek.

- Pan Schamne? - zapytała Montezuma.

- Zgadza się, Iłarion Iłarionowicz Schamne - potwierdził mężczyzna, po czym wyczekująco popatrzył na Montezumę.

- Dzwoniłam do pana. Karine od Graczyka.

Iłarion Iłarionowicz zapraszającym gestem wskazał nam fotele, ustawione naprzeciwko biurka. Podziękowałyśmy i usiadłyśmy.

- Słucham panie.

Montezuma wyjęła z torebki małą szkatułkę, otworzyła i podała mu ją.

- Chciałabym, żeby wycenił pan ten kamień.

- Chce go pani sprzedać? - Schamne wyciągnął z szuflady zwykłą lupę.

- Nie, po prostu chcę go wycenić. To prezent od mojego przyjaciela.

Mężczyzna zdjął okulary, przyłożył lupę do oka i zaczął uważnie przyglądać się kamieniowi. Montezuma zaś wróciła do przygotowanego wcześniej planu.

- Prezent od przyjaciela - kontynuowała z tragiczną nutką w głosie. - Zmarłego. Straszna historia. W dodatku całkiem świeża. Został zabity dosłownie kilka dni temu.

- Moje kondolencje - wymamrotał Schamne, po czym włączył elektryczną lampę.

Przez jakiś czas w skupieniu obserwowaliśmy jego poczynania. Badał kamień z taką samą dokładnością, z jaką lekarz bada chorego. Ukończywszy diagnostykę, z uznaniem popatrzył na Montezumę.

- Cóż, całkiem przyzwoity aleksandryt. Rewers jest dosyć wysoki. Co prawda jest dużo mineralnych komponentów... Ale ogólnie stan jest dobry.

- Rewers?

- Rewers to zdolność kamienia do zmiany koloru. Ocenilibym go na dwa siedemset - dwa dziewięćset za karat. Tu są dwa karaty, więc niech pani sobie sama policzy.

- Czyli dwa dziewięćset za karat? - Montezuma podniosła brew.

- Dolarów, ma się rozumieć. Razem około sześciu tysięcy. Pani zmarły przyjaciel był hojnym człowiekiem.

- Tak. Olew miał szeroki gest.

W życiu bym nie przypuszczała, że Schamne okaże się taki nerwowo. Ktoś, kto był przyzwyczajony do balansowania na granicy prawa, powinien być bardziej opanowany. Nerwowość zupełnie nie pasowała do nielegalnych interesów. A jednak! Na dźwięk imienia „Olew” drgnął, upuścił lupę, po czym natychmiast zanurkował pod stołem, żeby ją podnieść.

- Może pan o nim słyszał - Montezuma ściszyła głos. - Olew Kiwi... Sławny wiolonczelista...

- Nie śledzę rynku muzycznego - odparł spod stołu stłumionym głosem. - Mam zupełnie inne zainteresowania.

Montezuma trąciła mnie łokciem: „Ale się nam dupek trafił, no nie!”. Kiedy wreszcie wyszedł spod stołu, włosy sterczały mu we wszystkie strony. Aż żal było na niego patrzeć.

- Coś się stało? - zapytała współczująco Montezuma.

- Wszystko w porządku. Po prostu spadła mi lupa.

- Olew miał wspaniałą kolekcję kamieni - oczy Monti zaszyły łzami. - Jakie to wszystko jest smutne, jakie smutne...

Jubiler milczał.

- Ale przecież on mi o panu opowiadał...

- Kto?!

- Olew.

Nie spodziewałam się po Montezumie takiego sprytu. I muszę przyznać, że to wszystko niezbyt mi się podobało. Wyglądało na to, że Monti chce zagonić biedaka w kozi róg. Chyba pomyliła go ze swoimi chłopcami. Przyzwyczała się do tego, że zamiast mózgu u facetów pulsuje inny organ. Ale przecież jubiler to całkiem inna sprawa! To tylko nic nieznaający, wyleniały, podstarzały uczeń.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi? - Schamne wyraźnie się już opanował.

- Kiwi. Olew Kiwi - upierała się przy swoim Montezuma.

Jubiler podrapał się po nosie, po czym niespodziewanie się uśmiechnął.

- Hmm... tak... Coś sobie przypominam... No tak, rzeczywiście... Rubin birmański. Pięciokaratowy. Rzadki okaz. Dla jubilera to wielkie szczęście móc chociaż potrzymać taki kamień w rękach... Poprosił, że bym go wycenił. Teraz już sobie przypomniałem. Tak. Mówi pani, że umarł?

- Został zabity.

- Mam nadzieję, że nie przez rubin. To był wyjątkowy okaz.

Montezuma zgrzytnęła ze złości zębami. Jedno z dwojga: wściekła się albo z powodu birmańskiego rubinu, który był poza jej zasięgiem, albo przez tego, wyslizgującego jej się z rąk, jubilera. No cóż, obrał słuszną taktykę, nie wypierał się tej znajomości i mówił prawdę. Tylko czy aby na pewno całą?

Jeszcze przez pewien czas porozmawialiśmy na luźne tematy, chociaż było już wiadomo, że tak naprawdę wizyta dobiegła końca i niczego już tu nie osiągniemy. Jednak Montezuma, jak to ona, nie chciała się tak łatwo poddać. Postanowiła spróbować jeszcze raz i tym razem podejść jubilera z innej strony. W pewnym momencie, zupełnie znienacka, zapytała go, czy w ogóle sprzedaje kamienie.

Pan Schamne potwierdził to z promiennym uśmiechem i dodał, że w jego sklepie jest nawet specjalny dział ich sprzedaży. Był niezmiernie zdziwiony, że jeszcze się z nim nie zapoznaliśmy. W odpowiedzi uśmiechnęliśmy się jeszcze promienniej i obiecałyśmy, że na pewno tam zajrzemy...

Im dłużej słuchałam wywodów o tych wszystkich szmaragdach, szafi-rach, opalach i szlachetnych jadeitach, tym mocniej ściskałam swoją torebkę. Na samym jej dnie leżał bowiem futerał z nożem, przygotowa-nym dla eksperta od japońskich mieczy. Bałam się, że znów weźmie mnie w swoje władanie, gdyż zbyt dobrze pamiętałam śnieżnobiałą, lśniąca powierzchnię kamienia i swoje kompromitujące myśli, żeby przepiłować go na drobne kawałki.

- Najmocniej przepraszam, a... zajmuje się pan szlifem? - zapytałam. Na to pytanie Schamne aż podskoczył.

- W jakim sensie - szlifem?

- No, gdyby ktoś przyniósł panu kamień i poprosił, żeby podzielić go na kilka mniejszych części...

-No co też pani! Do tego potrzebna jest specjalna licencja i linia pro-dukcyjna... Szlif to skomplikowana formuła matematyczna. I w końcu też sztuka. Mogę wycenić kamień, mogę...

Monti spojrzała na mnie porozumiewawczo. „Mogę kupić i sprzedać kradziony klejnot”- przeczytałam w jej oczach.

- ...mogę doradzić, co najlepiej z nim zrobić... Ale, jak sama pani zresztą rozumie, zajmuję się biżuterią. Pierścionkami, broszkami,

bransoletkami, kolczykami... A szlachetne kamienie bez żadnej oprawy to jedynie moje hobby. Nic więcej. Tak na przykład, pani aleksandryt, pani Karine, nadaje się bardziej do broszki niż pierścionka.

Wyobraziłam sobie Montezumę z broszką na piersi i o mało co nie parsknęłam śmiechem. Powstrzymałam się jednak resztką sił i tylko się uśmiechnęłam. Wstałyśmy z foteli, pożegnałyśmy się z Schamne, po czym wyszłyśmy ze sklepu.

- No i co ty na to powiesz? - zapytałam ostrożnie.

- Jedna wielka kicha - Monti była niezadowolona. Niezadowolona ze mnie. Niezadowolona z Schamne. Niezadowolona z aleksandrytu. - Dwa dziewięćset za karat! Śmieszne! Co najmniej trzy i pół. Już wcześniej dawałam go do wyceny. Chciał mnie oskubać o sześćset dolarów, cham!

- Przecież wcale nie zamierzasz go sprzedawać!

- Nie o to chodzi. Ten, pożałuj Boże, jubiler jest tylko płotką. I dla nas nie ma żadnego znaczenia. Rozumiesz?

- Nie.

- Idiotka! Pamiętasz, co mówiła nam Kaje? Że wiolonczelista miał ogromną kolekcję klejnotów. Znaną w całej Europie. Zastanów się, jak ją skompletował? Na pewno zaopatrywał się gdzieś u Buchelatti ²⁹ w Nowym Jorku na Piątej Alei... Albo u „Black, Starr & Frost ³⁰”. To po jakiego grzyba mu ten salon? Przyjeżdżać specjalnie do Petersburga, żeby dawać kamienie do wyceny jakiemuś baranowi, który bez mrugnięcia okiem cię jeszcze oskubie? Jakiemuś podrzędnemu handlarzowi kradzionych rzeczy?

²⁹„Buchelatti”- znany sklep jubilerski.

³⁰„Black, Starr & Frost”- znany sklep jubilerski.

- A może to pan Schamne mu je opylał? Te kradzione rzeczy. Są na pewno tańsze...

- A jak by je przemycał przez granicę? Wpisywałyby je po prostu do deklaracji celnej? Jeśli były kradzione, to ktoś ich szukał. Szczególnie, gdyby zostały wyrwane komuś z ucha na krótko przed trafieniem do Schamne. Albo zdjęte z czyjegoś palca.

Zamyśliłam się.

- Ale przecież ty też zamierzasz mnie przemyścić do Szwecji. Nielegalnie. Pewnie on też tak robił... nielegalnie... miał swoje kanały...

- Ale nie był dyplomata. Nie mógł przekraczać granicy bez żadnej rewizji.

- A jeśli miał znajomości w jakimś konsulacie? - zapytałam przygnębiona. - A co, jeśli tu grasuje cała szajka? Pod płaszczykiem wionolenceli?

Taka perspektywa wyraźnie nie spodobała się Montezumie.

- Trzeba będzie włączyć w to Akopka.

- Jak to - włączyć?

- Normalnie. Niech weźmie kilku napakowanych chłopaków i niech przycisną tę stonogę w okularach...

Wyobraziłam sobie przystojniaka Akopa z jego dobronudnym uśmiechem seryjnego mordercy i łagodnym wyrazem twarzy pedofilagorszydziela.

- No dobra, dobra! - splunęła Montezuma, która natychmiast zrozumiała moje powątpiewające spojrzenie. - Może to nie jest najlepsze rozwiązanie... Akop ma ptasi mózdzek. Ale nie widzę innego wyjścia. Na co się tak gapisz?

To mi się tylko wydawało. To po prostu nie mogło być prawdą. Nie mogło! Przecież „Królowa Regina” dawno już opuściła nie tylko Petersburg, ale i całe rosyjskie wody terytorialne. Mimo wszystko jednak... wydawało mi się, że w szybie fitness-klubu, mieszczącego się obok antykwariatu, mignęła mi twarz Rejno...

Przymknęłam na chwilę oczy, potrząsnęłam głową i spojrzałam raz jeszcze. Nie licząc zachęcająco rozkraczanego przyrzędu do ćwiczeń mięśni ud, za szybą nic więcej nie było. Montezuma ma rację, nerwy mam już rzeczywiście doszczętnie zszarpane.

- Co się z tobą dzieje? - Monti zaczęła tracić cierpliwość.

- Nie, nic. Przywidziało mi się. Chodźmy już stąd.

Pojechaliśmy w stronę centrum.

Już po kilku minutach utknęliśmy w korku. Stercząc pomiędzy ohydną niwą i jeszcze ohydniejszym jeepem suzuki, wróciliśmy do rozmowy o wadach i zaletach pana Schamne. I o dobrych i złych stronach naszego spotkania.

Tych drugich było znacznie więcej, starałam się jednak ich zbytnio nie podkreślać, żeby jeszcze bardziej nie zirytować Montezumy. A później już całkiem zamilkłam.

Niestety, naszą wizytę u jubilera trzeba było uznać za porażkę. Może nie całkowitą, ale jednak. Prawdę powiedziawszy, to wszystko było po prostu śmieszne. Dwie dziwaczne szantażystki i jeden dziwaczny okularnik. A w ogóle dlaczego aż tak zaufałyśmy Kaje? Skąd się dowiedziała, że Schamne jest nielegalnym jubilerem? Sklep wyglądał na jak najbardziej legalny, kandelabry również. Ceny były niezbyt wygórowane. Jedno tylko okazało się prawdą - Schamne rzeczywiście znał Kiwi. Ale nie chciał się z tym afiszować. Było jednak coś jeszcze. Jakiś moment, który wniósł do naszej rozmowy coś ważnego. Schamne naprawdę się przestraszył. I wcale nie na wspomnienie Kiwi i tego, że go zabito. Przestraszył się z całkiem innego powodu. Wydawałoby się, bardziej niewinnego. Jedno jest pewne, przestraszył się. Muszę zostać sama i wszystko to sobie porządnie przemyśleć...

- Jadę na Suworowską - odezwała się niespodziewanie Montezuma. - Tak czy inaczej dzisiejszy dzień mam już z głowy, a tak może chociaż dowiem się czegoś o mieszkaniu...

Dopiero kiedy zatrzasnęłam za sobą drzwiczki auta i prawie że wpadłam pod koła nadjeżdżającego jeepa, dopiero wtedy sobie przypomniałam!

Przypomniałam sobie, co takiego poruszyło Schamne.

No jasne, moje pytanie o szlif kamieni!

* * *

Sklep „Legion” mieścił się na peryferiach Rynku Wasilieostrowskiego. Przez jakiś czas w zachwycie przyglądałam się dwóm zakratowanym oknom. Pomiędzy kratami widać było zniszczonego, wypchanego niedźwiadka pandę i równie zniszczoną kukłę myśliwego w indyjskim mundurze. Właściciele „Legionu” porozwieszali wokół nich przeróżne strzelby, noże, termosy, ubranie moro i dwa spinningi na dokładkę. Po co pandzie spinning albo strzelba myśliwska typu sajga - nie miałam zielonego pojęcia. Chyba tylko po to, żeby nie umarła z nudów.

„Legion” był zwykłym sklepem myśliwskim z ogromną ilością wypchanych zwierząt. Rozpoznałam wśród nich wilka, zająca szaraka, ptaka bąka, cietrzewia, kaczkę mandarynkę, a nawet, znajdującego się pod ochroną, sępa białogłowego.

Że też Greenpeace jeszcze się wami nie zajął - pomyślałam, po czym zdecydowanym krokiem skierowałam się w stronę lady, za którą stał krępy chłopak z modnymi baczkami do połowy policzków. Korzystając z nieobecności klientów bawił się, usiłując złapać mola, który najwidoczniej wyfrunął z któregoś ze zwierząt.

Przez kilka chwil oglądałam pistolety gazowe, wyłożone na ladzie, a następnie podniosłam wzrok na sprzedawcę.

- Potrzebny mi jest Dementij - zniżyłam głos do konspiracyjnego szeptu.

- Słucham panią - z miejsca poznałam ten niski, tubalny głos, który bez problemu można byłoby wykorzystać na polowaniu w charakterze rogu myśliwskiego.

- Dzwoniłam do pana. W sprawie konsultacji.

Dementij zmierzył mnie od stóp do głów, bez słowa przeszedł na drugi koniec lady i szepnął coś innemu sprzedawcy. Po czym do mnie wrócił.

- Niech pani poczeka na mnie na zewnątrz - powiedział. - Zaraz przyjdę.

Nie czekałam zbyt długo. Sprzedawca pojawił się przy mnie dosłownie po chwili, bez żadnych wstępów mocno chwycił mnie za ramię i pociągnął w stronę jednej z pobliskich uliczek.

- Idziemy.

- Dokąd?

- Tu niedaleko.

Zanim się obejrzałam, byliśmy już na jakimś podwórzu, zastawionym ciężarówkami, osobówkami i najróżniejszymi skrzyniami. Niezłe miejsce na konsultację, nie ma co! Teraz mogłam już tylko pomarzyć o wypucowanym gabinecie Schamne. Ze skórzanymi fotelami i wielkim zegarem...

Zapuszczone i zawałone gratami podwórze było wprost wymarzone miejsce dla mordercy. Poczulałam lekki niepokój. Dementijowi jednak ani trochę nie przeszkadzały warunki, w jakich się znaleźliśmy. Zaprowadził mnie w kąt, gdzie poniewierały się skrzynki ze zgniłymi pomidorami, i przysiadł na brzegu jednej z nich. Po chwili wahania zrobiłam to samo.

Coraz mniej mi się to wszystko podobało. Czupurne baczki sprzedawcy zaczynały mnie już drażnić, a w dodatku przyczepiło się do mnie kilka much.

- No i? - zapytał, zniecierpliwiony moim milczeniem.

Opędziłam się od najbardziej natrętnego owada i niezdecydowana zaczęłam bawić się zamkiem przy torebce.

- Chciała się pani czegoś dowiedzieć?

- Tak... - było już o wiele za późno na to, żeby się wycofać. Poza tym pomyślałam, że z nożem w ręce będę czuć się pewniej. - Mam nóż. A raczej sztylet. Chciałabym z panem skonsultować...

Wyjęłam z torebki futerał i niespiesznie zaczęłam odkręcać wieczko.

Dementij obserwował moje poczynania z coraz większym zainteresowaniem. Kiedy pokrywka była już prawie odkręcona, znów poczułam to dziwne podniecenie.

- Ale muszę pana uprzedzić. Lepiej nie brać go do ręki.

- Dlaczego?

Odpowiedź na to krótkie i w pełni zrozumiałe pytanie zajęłaby mi zbyt wiele czasu. Darowałam więc sobie zbędne szczegóły.

- Po prostu lepiej go nie brać i tyle. To jest narzędzie zbrodni i na rękojeści widnieją odciski palców - wyszczerzyłam wszystkie trzydzieści zębów, które posiadałam (dwa mądrości, wbrew oczekiwaniom, do tej pory nie wyszły).

- Widzę, że trzymają się pani żarty - Dementij zaśmiał się i spojrzał na mnie z sympatią. - Lubię wesołe dziewczyny.

Zdjęłam wieczko i wytrząsnęłam sztylet na skrzynkę, stojącą między nami, którą rzeczoznawca przykrył swoją chustką do nosa. Sprawca śmierci Olewa Kiwi wypadł na zewnątrz z głuchym łoskotem. I odgłos ten zbiegł się w czasie z naszymi okrzykami: stłumionym - Dementija i rozpaczliwym - moim.

- O, do cholery!!!

Na czubku rękojeści nie było diamentu! Po prostu go nie było! Bezsprzecznie, bezapelacyjnie, nieodwołalnie nie było! Zamiast kamienia, do którego się tak przywiązałam, bezpośrednio nad płatkami kwiatu mętnie połyskiwała jakaś mało sympatyczna gęba. Z grubymi powiekami, strasznym nosem i wykrzywionymi wargami. Cholera, cholera, cholera!!! *Kurat!!!*. Gdzie jest kamień?! Gdzie się podział???

Zaczęliśmy ciągnąć sztylet w różne strony. Ja złapałam za rękojeść (gdzie jeszcze do niedawna mienił się diament), a Dementij - za ostrze.

Jego wargi lekko drgały, moje natomiast trzęsły się na całego.

Warwaro, uspokój się! Kiedy wkładałam nóż do futerału, diament był na swoim miejscu i nie miał zamiaru odpadać. Pokrywka była szczelnie zamknięta... Futerału oprócz mnie nikt nie otwierał...

Siergiej!!!

No jasne! Na pewno grzebał w moich rzeczach. Widział nóż. Sam się do tego przyznał! Ogarnęła mnie prawdziwa wściekłość. Ze złości zaczęło mi brakować powietrza. Do oczu napłynęły łzy i przez moment poczułam to, co z pewnością czuł swego czasu Olew Kiwi: niewolniczą zależność od noża. A to Siergiej!!! Sukinsyn! Dupek!

- Sukinsyn! Dupek! - syknęłam.

Ekspert od japońskich mieczy obmacywał już metalowe płatki, dlatego odparł w roztargnieniu:

- Wiem, że nie jestem zbyt dobry... Ale chyba nie znamy się jeszcze na tyle, żeby przylepiać mi taką etykietkę.

Miał rację, pochopna ocena rzadko kiedy okazywała się prawdziwa. Spróbowałam się uspokoić i podejść do sprawy zdroworoządkowo. Wierzchołek rękojeści wyglądał na absolutnie nienaruszony. Nawet gęba, która nie wiadomo skąd się tam znalazła, wyglądała tak, jakby była tam od zawsze. Gdyby Siergiej wyciągnął kamień, na jego miejscu pozostałaby dziura. Jednak, jakkolwiek nieprawdopodobnie by to brzmiało, sztylet wyglądał na nietknięty.

- Bardzo ciekawa rzecz - powiedział Dementij, dotykając noża z takim pożądaniem, z jakim pewnie pieścił ukochaną dziewczynę.

- Naprawdę?

- Bardzo, bardzo ciekawa... Ma pani godzinę czasu?

- A co?

- Chciałbym przyjrzeć mu się bliżej.

Podniósł się gwałtownie ze skrzyni, zawinął nóż w chustkę i popatrzył na mnie błagalnym wzrokiem. - Nie ma pani nic przeciwko?

- Nie, nie mam. Przecież inaczej bym tu nie przyjeżdżała.

- Świetnie. Chodźmy więc.

- Dokąd?

Jeśli pokazałby mi teraz służbową legitymację i przedstawił się jako przedstawiciel władzy Lemieszonok (zdaje się, że tak właśnie nazywał się nocny koszmar Kaje i jej męża), ani trochę bym się nie zdziwiła. Jednak

Dementij niczego mi nie pokazał, tylko chwycił mnie pod rękę i zaczął ciągnąć w stronę bramy.

- Dokąd mnie pan prowadzi? - zapytałam, stawiając słaby opór.

- Do mnie. To niedaleko stąd. Następna przecznica.

- Po co?

- Chcę się upewnić... Chyba wiem, co to jest... Ale nie mam pewności... To by było zbyt piękne... zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Chce go pani sprzedać?

Jeszcze tylko tego brakowało!

- Nie. Nie chcę go sprzedawać.

- Tak, tak, rozumiem... Bez sensu byłoby pozbywać się takiej rzeczy - mamrotał nieskładnie Dementij. - Palnąłem głupstwo, niech mi pani wybaczy...

Rzeczywiście mieszkał przecznicę dalej, bardzo blisko nabrzeża. Najpierw kluczyliśmy między budynkami, a później weszliśmy na czwarte piętro zrujnowanego domu. Po drodze zdołałam się trochę uspokoić. Bożek, który podstępem zastąpił kamień, doskonale wkomponował się w rękojeść noża. Stanowił jego część. To było pewne. A co, jeśli nikt nie dotykał diamentu? Może kamień cały czas tam jest, tylko schował się pod bożkiem? Nie wiedziałam, skąd mi to przyszło do głowy, ale nagle nabrałam pewności, że tak właśnie jest. Poddana mocy kamienia, jego władzy, czułam z nim jakąś dziwną, mistyczną więź. Czułam, że mam rację, ale musiałam się o tym przekonać i sprawdzić, czy z diamentem jest wszystko w porządku.

Zatrzymałam się na klatce schodowej pomiędzy trzecim a czwartym piętrem i złapałam Dementija za pasek od spodni.

- Proszę zaczekać. Niech mi pan da ten nóż.

- Rozmyśliła się pani? - wyszeptał wyraźnie zmartwiony.

- Nie. Ale niech mi pan go da. Tylko na chwilę!

Bardzo ostrożnie wyciągnął sztylet w moją stronę. Dotknęłam chłodnej stali. Przebiegłam palcami po płatkach, zatrzymałam się przez chwilę na wargach bożka i natychmiast się uspokoiłam. Poczulałam pod nimi wyraźne ciepło. Diament był na swoim miejscu.

Był! Nigdzie nie zniknął! I to najważniejsze! Cała reszta prędej czy później się wyjaśni.

- No to co, idziemy? - zapytałam uprzejmie. - Daleko jeszcze do tej pańskiej kryjówki?

- Już jesteście prawie na miejscu.

Na najwyższym piętrze Dementij otworzył drzwi i zaprosił mnie do środka:

- Proszę wejść.

Dziwny stan oczarowania nożem przechodził powoli. Podobnie jak mętlik w głowie, który miałam już od samego początku tego nieudanego upalnego dnia. Co ja tu właściwie robię? Na tej ciemnej klatce schodowej z jakimś Dementijem? Ciekawe, czy w ogóle to jest jego prawdziwe imię? Dlaczego uwierzyłam ogłoszeniu w gazecie? Dlaczego idę do domu z całkowicie obcym facetem? Z obcym facetem, który na dodatek pracuje w sklepie z bronią i pasjonuje się samurajskimi mieczami. I esesmańskimi sztyletami... Przez moją głowę zaczęły przelatywać okropne obrazy. Wszystkie, bez wyjątku, podobne były do starodawnej pocztówki, wiszącej u mnie w kuchni. Pod pocztówką znajdował się przygnębiający napis: „To już koniec! Nie ma już nic...”.

- Proszę wejść - powtórzył Dementij i prawie siłą wepchnął mnie do przedpokoju. Zaraz potem zatrzasnął drzwi.

Momentalnie poczułam jego bliskość. Odniosłam wrażenie, jakby jego blond włosy i jasne oczy jeszcze bardziej pojaśniały. Pomyślałam, że w roli morderców i maniaków najczęściej występują tacy właśnie blondyni. Natomiast nieogoleni bruneci uganiają się za każdą spódniczką.

„To już koniec! Nie ma już nic...”.

W czasie, gdy oczami wyobraźni widziałam już swoje zmasakrowane zwłoki, mój maniak zostawił mnie w korytarzu i rzucił się do pokoju. Po chwili usłyszałam stamtąd straszny rumor, a potem nagle wszystko ucichło.

Postałam jeszcze przez jakiś czas, nie mogąc się zdecydować, co mam dalej zrobić, po czym ostrożnie ruszyłam wzdłuż korytarza. Przypominało to raczej przedzieranie się przez gęstą dżunglę. Ze wszystkich stron szczyrzyła się do mnie najróżniejsza broń. Ze ścian niczym liany zwieszały się bicze, buławy i maczugi. W drewniane gniazda powtykano halabardy i muszkiety, które pamiętały zapewne jeszcze Noc św. Bartłomieja³¹.

³¹ Noc św. Bartłomieja - potoczne określenie wydarzeń z nocy 23 na 24 sierpnia 1572 roku, związanych z pogromem hugenotów (protestantów) w Paryżu, zorganizowanym przez kilku katolickich książąt (przyp. tłum.).

Pozostały sprzęt był nieco mniejszy, ale też robił wrażenie.

Czułam, jakby wszystkie te przedmioty czujnie mnie obserwowały. Z trudem powstrzymałam się od ucieczki i dzielnie szłam dalej, z każdym krokiem ryzykując otrzymanie ciosu w plecy jakimś mieczem albo piką. W końcu dotarłam do skromnego pokoiku Dementij a. Jednak i tu nie poczułam ulgi.

Na końcu długiego, wąskiego, podobnego do trumny (uchroń mnie, Panie Boże, od takiej trumny!) pokoju było całkowicie bezużyteczne okno - tuż za nim znajdował się bowiem mur. W rogu, tuż przy oknie stało starannie zasłane łóżko polowe. Na kołdrze ustawiono na baczność poduszkę z wykrochmaloną (!) poszewką.

Tuż przy łóżku znajdował się stół z przedpotopowym komputerem. Na podłodze rozłożona była bura wykładzina. Całą pozostałą przestrzeń w pokoju zajmowały sklecone naprędce stelaże. No i broń! Sztylety, miecze, cepy, wachlarze i jakieś dziwne przedmioty, o których przeznaczeniu nie miałam zielonego pojęcia.

Dementij siedział pośrodku pokoju na stercie książek i z zapalem kartkował jedną z nich. Był to gruby, stary foliał. Jedną po drugiej przewracał pożółkłe strony, jednak na żadnej z nich dłużej się nie zatrzymywał.

- Przepraszam bardzo... - postanowiłam przypomnieć o swoim istnieniu.

- Ach... tak... - Dementij podniósł na mnie zamglone oczy - ...niech pani usiądzie.

W zdumieniu omiotłam spojrzeniem pokój. Nie było w nim najmniejszego śladu krzesła.

- A gdzie?

- A gdzie pani chce... można na podłogę... Na podłodze jest bardzo wygodnie.

Po chwili wahania usadowiłam się na podłodze, dokładnie podektnąwszy sobie pod tyłek sukienkę, i zaczęłam obserwować właściciela mieszkania.

Teraz już nie wydawał mi się niebezpieczny.

Był zbyt pochłonięty lekturą. Gdyby tylko mógł, zagłębiłby się w nią niczym w rzekę. Wędrował wzrokiem po kartkach w nadziei na odnalezienie chociażby ziarenka złota w złotodajnym strumieniu. Był podobny do psa myśliwskiego, który zwęszył lisa i podązał teraz jego śladem.

- Mam! - wrzasnął tak przeraźliwie, że prawie dostałam zawału serca.
- Mam!!! Niech pani poda mi na chwilę ten nóż!

Ostrożnie podsunęłam sztylet w jego stronę. Dementij włączył małe, ale dające intensywne światło świetlówki, uzbroił się w lupę i pędzelek, po czym rzucił się na nóż.

- To niemożliwe... I do tego w takim świetnym stanie... To po prostu niemożliwe! Niech pani tu podejdzie, pani... Jak ma pani na imię?

No... Wreszcie raczył mnie o to zapytać!

- Waria. Warwara.

- Niech pani tu podejdzie.

Na kolanach przesunęłam się bliżej Dementija. Sztylet leżał teraz na otwartej książce. Tuż pod nim zobaczyłam jego podobiznę. Cholera jasna! Oryginał był podobny do ilustracji jak dwie krople wody!

- Ta książka nosi tytuł *ARM AND RITUAL* - powiedział drżącym głosem Dementij. - *Broń i rytuał*. Została wydana w Anglii, w 1854 roku. Jej autor - Henry Walling - był pułkownikiem wojsk kolonialnych. Zebrał w niej gigantyczny wprost materiał na temat indyjskiej broni. Wie pani w ogóle, co to za sztylet?

Pewnie, że wiem! To sztylet-obłudnik, sztylet-kusiciel, sztylet-morderca!

- Nie mam pojęcia - powiedziałam ostrożnie.

Dementij popatrzył na mnie przez lupę.

- To jest wadźra. Jest jednym z fundamentalnych sztyletów. Stanowi podstawę białej broni. Wadźra w sanskrycie oznacza „diament”.

- Jak? - drgnęłam.

- Diament. Siła i niepodważalność nauk Buddy. Wadźra jest jedyną drogą zbawienia od złych sił i pokus. Jest symbolem męskiego początku.

Pomyślałam, że całe szczęście, iż nie wzięłam ze sobą Montezumy, bo ten męski początek wyleciałby przez okno. A zaraz po nim jego wielbiiciel. Swoją drogą, ten Budda wyraźnie pomylił się co do zbawiennej roli sztyletu. Moim zdaniem, było odwrotnie. Ten sztylet był skupiskiem wad, które przyciągały do siebie złe siły i wywoływały złe czyny.

Podczas gdy ja oddawałam się tym smutnym rozmyśleniom, Dementij podał mi lupe.

- Niech pani tylko spojrzy. Płatki ozdabiające rękojeść to kwiaty lotosu. Lotos w hinduizmie jest symbolem boskiego i nieśmiertelnego początku w człowieku... - przełknął ślinę. - Z grubsza rzecz biorąc, jest to synonim doskonałości... Widzi pani, ostrze jakby wyrasta z płatków lotosu... Widzi pani?

- No... tak... Tak. A ten gość? Z grubymi wargami?

Ten gość, który zastąpił szlachetny kamień, interesował mnie najbardziej.

- To bóg Wadźrapani. „Ręka trzymająca wadźrę”. Strzeże praw Buddy. Został powołany do zwalczania grzechu i niweczenia tępoty ludzkiej.

Co do tego, że sztylet powołany jest do „niweczenia”, zdążyłam się już przekonać na własnej skórze. I to nie raz.

- Skąd go pani ma? - zapytał niespodziewanie.

Opuściłam lupe. Siedziałam przygnębiona. Każdy głupi się domyśli, że nie dostałam go w spadku po pułkowniku kolonialnych wojsk - sir Henrym Wallingu.

- Dostałam go w prezencie... od bliskiej osoby.

- Niesamowity prezent... To wyjątkowa rzecz. Naprawdę wyjątkowa. Rytualna wadźra i do tego w prawie idealnym stanie... Ktoś ją restaurował?

- Nie mam pojęcia.

- Walling wspomina o kilku możliwych typach rytualnych wadźr. Pani sztylet wygląda na kopię najważniejszego, głównego sztyletu. Idealną kopię. A może...

- Co - może?

Spojrzałam na skupioną twarz Dementija i poczułam przebiegające po całym ciele dreszcze.

- A może to właśnie jest ten sztylet... Ten oryginalny sztylet... Jak ma pani na imię?!

Od nadmiaru emocji przez dobrą chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywam.

- Yyy... hmm... Warwara. Waria. A co tam jest jeszcze o nim napisane w tej pańskiej książce?

- Proszę bardzo, niech sobie pani poczyta!

Prawie wepchnął mi nos w poźółkłe kartki.

Porażka! Angielski przerażał mnie jeszcze bardziej niż chińskie znaczki. Znałam tylko kilka wyrazów. Niestety, o bardzo specyficznym charakterze...

- Nie znam angielskiego - przyznałam szczerze.

- Tu jest ogólnie o broni rytualnej. Ma za zadanie karać grzeszników...

Skuliłam się. Na liście grzeszników zajmowałam miejsce w pierwszej setce. Gdzieś pomiędzy Annie Raamat - gwiazdą porno i Iwanem Groźnym - synobójcą.

- Tak... A w jaki sposób ma ich karać?

Dementij oblesnie się uśmiechnął, po czym przejechał ręką po szyi. Wygląda na to, że śmierć Olewa Kiwi mogła być nieprzypadkowa. Lekceważący wszelkie zasady Siergiej Sinienko również omal nie został ofiarą sztyletu. Być może płatki lotosu same wybierają sobie ofiary. W zależności od tego, kto ich zdaniem powinien odpokutować za swoje grzechy.

- Brahman... - odezwał się Dementij, przesuwając lupę z rysunku na sztylet.

- Słucham?

- Ta rytualna wadźra, przynajmniej w klasyfikacji Wallinga, ma własną nazwę. Własne imię. Tak jak ja albo pani...

- Mam na imię Warwara. Waria - powiedziałam odruchowo.

- Tak, tak. Pamiętam. Tak więc, ma ona własną nazwę - podobnie jak miecz króla Artura. Nazywa się „Brahman”.

- A ile może kosztować ten „Brahman”?

Dementij popatrzył na mnie z takim wyrzutem, że od razu zrobiło mi się głupio. Jak mogłam mu zadać takie pytanie! To profanacja! Ale ze mnie materialistka!

- Nie wiem, ile może kosztować. Powinna się pani skonsultować z jakimś poważniejszym specjalistą. Na przykład, z jakimś pracownikiem muzeum.

Filip Kodrin, jedyny pracownik muzealny, którego znałam, niestety nie nadawał się na poważnego konsultanta. Siedziałam zamyślona. Dementij odebrał moje milczenie po swojemu.

- Jeśli pani chce, to mogę sam zwrócić się do specjalisty. Dam pani pokwitowanie. Wezmę go od pani pod zastaw...

- Jaki zastaw?

- Jakikolwiek... - jego podniecenie wzrastało z każdą chwilą - ...mieszkanie, na przykład...

- Zwariował pan?

- Możemy to poświadczyć u notariusza.

Popatrzyłam na niego ze współczuciem. U notariusza takich rzeczy się nie poświadcza. Jedynie w domu dla czubków.

- Myślę, że to nie jest najlepsze rozwiązanie. Niech mi pan powie... - bożek Wadżrapani nie dawał mi spokoju - ...a czy te noże nie mogą kryć w sobie jakichś tajemnic?

- Jakich tajemnic?

- No... - zawahałam się - ...nie mogą mieć podwójnego dna? Nie może być w nich coś ukryte? Jakiś mały przedmiot...

- Jaki przedmiot? - pobłaźliwie się uśmiechnął. - Niech pani poda jakiś przykład.

- Nie wiem - od razu podkuliłam pod siebie ogon. - Sam pan powiedział, że to jest indyjski nóż. A Hindusi mieli sporo różnych kamieni... Mieli fioła na punkcie kamieni, prawda?

- Na punkcie kamieni?

- Na punkcie drogocennych kamieni - dodałam, kończąc swoją myśl.

Dementij oderwał w końcu wzrok od sztyletu i ponownie zaczął wertować książkę.

- Ma pani na myśli, że rękojeść mogła być ozdobiona klejnotami?

- Otóż to! To właśnie miałam na myśli.

- Praktykowano to, ale raczej przy świeckiej broni. A wadźra - przynajmniej ta - jest świątynnym rytualnym kindziałem. Żadnych niepotrzebnych ozdób, nic w nadmiarze, pełna asceza...

Tak, nic w nadmiarze, oprócz kałuży krwi na prześcieradle...

- Ale może...

Dementij zaczął ponownie oglądać nóż przez lupę.

- Nie - zawyrokował. - Powierzchnia jest absolutnie jednolita. Nie ma żadnych luk na kamienie... Niech sama pani spojrzy.

I bez tej cholernej lupy widziałam, że bożek Wadżrapani na amen wczepił się w płatki lotosu. Nie było najmniejszej ryski, dziurki ani szczeliny. Najmniejszej wypukłości. Nic, zupełnie nic. A może ten pioruński diament (albo kawałek zwykłej miki, kto go tam wie?) po prostu

mi się przywidział? Może nie było żadnego kamienia?! Może to było tylko urojenie? Nie ma co się nad tym teraz dłużej zastanawiać. Pora się stąd związać. I tak wyciągnęłam już z niego sporo informacji. Trzeba mieć swój honor.

- No cóż, proszę pana... Dziękuję bardzo za konsultację. Trzeba przyznać, że udzielił mi pan wielu cennych informacji. Ile jestem panu winna?

- Co ma pani na myśli?

- Mam na myśli pieniądze - cholera, pieniędzy to właśnie nie mam już zbyt wiele, zostały resztki z tych, które dał mi Siergiej. Z trudem uzbieram nieco ponad sto pięćdziesiąt...

- Nie wiem... - położył palce na klindze, tym samym dając mi do zrozumienia, że nie chce się jeszcze rozstawać z nożem. - Nie sądzę... Tu nie chodzi o pieniądze... To jest nadzwyczajna rzecz... Nadzwyczajna! To jest dla mnie wielki zaszczyt... Nawet nie może pani sobie wyobrazić, jak wielki... Dla pasjonata sama możliwość jego dotknięcia jest już najlepszą zapłatą...

- Rozumiem - spróbowałam przysunąć nóż do siebie. - Ale naprawdę muszę już iść.

- Musi pani iść? Tak szybko? - przestraszył się Dementij.

- Tak. I wie pan co... Chyba skorzystam z pańskiej rady. Co do pracownika muzeum.

- To dobry pomysł - drżącym z emocji głosem poparł mnie Dementij. Ja jednak doskonale widziałam, że ten pomysł wcale nie wydaje mu się już taki dobry. Wręcz przeciwnie.

Najważniejsze teraz, żeby jakoś wyrwać nóż z jego łap i bezpiecznie dotrzeć do drzwi! Jednak nie byłam w stanie mu go odebrać. Trzymał ostrze bardzo mocno. Ja również mocno je złapałam i przez chwilę każde z nas usiłowało przeciągnąć sztylet na swoją stronę. Ale żadne z nas nie ustąpiło.

- Może napije się pani kawy? - Dementij doznał nagłego olśnienia. - Mam bardzo dobrą kawę. Parzoną.

Tak. To dobry pomysł. Żeby zrobić kawę, będzie musiał wstać i pójść do kuchni. A ja w tym czasie zdążę się stąd zmyć! Z nożem! Koniecznie trzeba zgodzić się na kawę, bo inaczej Dementij mi się jeszcze oświadczy! Zrobi wszystko, żeby tylko nie stracić wadzy...

- Kawa? O tak, poproszę! - rozplynęłam się w uśmiechu. - Z przyjemnością.

I to był mój błąd, ale czy mogłam przypuszczać, że nie będzie musiał iść do żadnej kuchni? I że wszystko, co potrzebne jest do zaparzenia kawy (włącznie z czajnikiem z wodą!), znajduje się tuż obok w małej wnęce?

Przytrzymując nóż jedną ręką i popisując się cyrkową wręcz akrobacją, Dementij wyciągnął czajniczek do kawy po turecku (stojący na małym palniku), podpałił gaz, wsypał do środka kawę, wlał wodę i... zanim się obejrzałam, kawa była gotowa.

- Proszę bardzo! - powiedział.

- Dziękuję...

Postanowiłam zostawić nóż w spokoju. Przynajmniej na jakiś czas. Wzięłam filiżankę i zaczęłam wodzić spojrzeniem po ścianach ozdobionych martwą naturą, wykonaną z najdziwniejszych urządzeń. Na tyle dziwnych, że mój rytualny nóż zupełnie przy nich wysiadał.

- A do czego panu ten wachlarz? - zapytałam.

- Wachlarz? - Dementij z trudem oderwał wzrok od sztyletu i dopiero po krótkiej chwili dotarł do niego sens mojego pytania: - Aaa... to jest wojenny wachlarz. Taka broń. *Shan zi*. Końcówki są zaostrome, widzi pani? W sprawnych rękach to dość niebezpieczna zabawka. Może pani podejść i przyjrzeć mu się z bliska...

Wstałam i podeszłam do ściany. Otwarty wachlarz, ozdobiony subtelnym, ledwie dostrzegalnym rysunkiem nędznej chatynki, umieszczonej na tle gór. Robił duże wrażenie. Ale jeszcze większe wrażenie robiły wykwintne blaszki, otaczające go ze wszystkich stron.

- To też jest broń?

- Oczywiście - uśmiechnął się Dementij. - Widzi pani te metalowe piórka? Są w zasadzie nie do odróżnienia od prawdziwych. Technika ich wykorzystania podczas walki dokładnie kopiuje ruch ręki przy kreśleniu hieroglifów. Wojownik powinien być malarzem. Albo poetą. Walka musi mieć filozoficzne podłoże. W przeciwnym razie wszystko sprowadza się do zwykłego zabójstwa.

Bardzo cenna uwaga. I na czasie.

- Sam pan to wymyślił? - spojrzałam na niego z zazdrością.

- Nie, dlaczego miałbym sam? Przecież to wynika z istoty broni. Nic nie jest równie doskonałe, jak właśnie broń.

Znów mu pozazdrościłam. Tym razem jego wewnętrznego przekonania.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Broń może udawać, że się pani poddaje, ale w rzeczywistości zmusi panią do zrobienia tego, czego chce. Postąpi z panią, jak Bóg postępuje ze swoim ludem poddanym: idź ze mną, bo inaczej zginięsz. A Bóg jest doskonały. Chyba się pani z tym zgodzi?

Miałam dość napięte stosunki z Bogiem. Zwłaszcza w świetle ostatnich wydarzeń. Uznałam więc za stosowne przemilczeć tę kwestię.

- Osiągnąwszy doskonałość, broń może przybrać dowolne oblicze. O proszę, na przykład, pałeczki... Te obok wachlarza.

Pałeczki to mnie akurat zainteresowały najmniej ze wszystkiego - najzwyczajniejsze w świecie pałeczki do jedzenia. Do tej pory nie nauczyłam się ich używać, mimo że już kilkakrotnie miałam z nimi do czynienia. I z ich wschodnimi właścicielami, których ciała również stanowiły dla mnie niezgłębioną dotąd tajemnicę.

- Nie rozumiem. To pałeczki do jakiegoś makaronu. - Makaron był jedyną chińską potrawą, o której miałam jako takie pojęcie. - Nic szczególnego.

- Zgadza się. To *kuai zi* - pałeczki do jedzenia. Można nimi nieopatrzenie przebierać. Niebyszały efekt podczas walki! Albo *zan zi* - szpilki do włosów. Też tak *à propos*...

Szpilki mi się nie przydadzą. W każdym razie nie w najbliższym czasie. Chociaż, ten zbzikowany na punkcie kłujących i tnących przedmiotów facet jest pewnie w stanie zabawić mnie rozmową do czasu, aż mi odrosną włosy. Pora mu w końcu pokazać, kto tu rządzi.

- To jest naprawdę niezmiernie ciekawe. Ale na mnie już czas.

- Ależ, oczywiście... - po raz kolejny przeżywał męczarnie - ...bardzo przepraszam.

Ponownie usiłowałam odebrać mu nóż. I znów poniosłam klęskę. Ten postrzeleniec nie miał zamiaru wypuszczać go z rąk.

- Proszę mi oddać nóż - moja cierpliwość się wyczerpała.

- Ależ, oczywiście - jeszcze mocniej ścisnął klingę.

- On jest mój.

- Ależ, oczywiście.

- Niech pan zabierze ręce!

- Ależ, oczywiście.
- Co to ma w ogóle znaczyć?! Mam wezwać milicję?!
- Ależ, oczywiście.
- Nikt panu jeszcze nie powiedział, że zachowuje się pan jak wariat?
- Ależ, oczywiście. Oczywiście...

Znów zaczęliśmy ciągnąć nóż - każde w swoją stronę. Miałam nadzieję, że tym razem mi się uda. Dementij okazał się jednak silniejszy. Nie zdołałam utrzymać równowagi i runęłam jak długa na podłogę. Popatrzyłam na niego z tej perspektywy. I wreszcie sobie uświadomiłam, że ten kretyński kawałek gazety z prywatnymi ogłoszeniami zaprowadził mnie do niegroźnego szaleńca. Na razie niegroźnego. Nie było jednak wcale powiedziane, że za chwilę nie stanie się groźny i nie użyje któregoś ze swoich śmiercionośnych cacek. *Kuai zi, shan zi* czy też *zan zi*. Albo ograniczy się do mniej wyszukanego tasaka. Dlaczego, no dlaczego wszystko w moim życiu jest do kitu! Jak u jakiegoś ostatniego menela?!

Dlaczego ze wszystkich możliwych dróg zawsze wybieram tę najgorszą, a potem na oślep nią podążam?! Nie, nie mogę teraz postawić sprawy na ostrzu noża. I bez tego pełno tu ostrych przedmiotów.

Po chwili namysłu postanowiłam poczekać cierpliwie na rozwój wydarzeń, a tymczasem spróbować uspić czujność tego obłąkańca.

- Można jeszcze trochę kawy? - zapytałam.

Dementij z radością rzucił się do spełnienia mojej zachcianki. Był chyba gotowy zgodzić się na wszystko, byle tylko nie dać się wymknąć nożowi.

- Co się dzieje? - zapytałam, siorbiąc kawę małymi łykami.

- Nic - skłamał bez mrugnięcia okiem.

- A mnie się wydaje, że jednak coś się dzieje. Coś nie do końca... hmm... normalnego. Pan nie ma prawa mnie zatrzymywać.

- Ależ ja pani nie zatrzymuję.

Sytuacja była tak kretyńska, że aż się roześmiałam. Dementij uznał to za dobry znak i też spróbował się uśmiechnąć.

- Jest pani bardzo ładna...

Matko jedyna! Zaraz mi się oświadczy!

- Tak ładnie się pani śmieje...

O, w mordę! Naprawdę mi się oświadczy!

- Przecież my się nawet tak naprawdę nie poznaliśmy. Niech mi pani coś o sobie opowie...

Nie, jednak mi się nie oświadczy, ale z mieszkania też mnie tak łatwo nie wypuści.

- A z jakiej racji mam panu coś o sobie opowiadać?

- Tak sobie pomyślałem... No dobrze. Skoro pani nie chce, to nie będę nalegał. A co to za człowiek, który podarował pani nóż?

Tak jak przeczuwałam, wszystko będzie się kręcić wokół noża.

- Niech mnie pan posłucha... - podniosłam głos, ale i tak nie dał mi dokończyć.

Przez następnych kilka godzin nie powiedziałam ani słowa. Początkowo, dopóki byłam jeszcze w stanie cokolwiek kojarzyć, przeklinałam świętej pamięci Stasa Driemowa, który zrobił ze mnie wzorową dziwkę. Tak, właśnie tak - wzorową dziwkę, dla której każda zachcianka klienta była rozkazem. A ten dziwny facet z blond bakami i fanatycznie błyszczącymi oczami okazał się najbardziej wyrafinowanym klientem, jakiego do tej pory spotkałam. Ostrożnie, krok po kroku, niczym wytrawny Casanova, zawładnął moim dziewiczym mózgiem. Łechtał moje, nie do końca jeszcze sformowane, zwoje mózgowe fantastycznymi obrazami. Jakimiś *Listami mistrza Zen* - przejmującymi niczym pierwszy pocałunek mojego pierwszego chłopaka Sulewa Chaasu... Jakąś *Shin Kage-Ryu* - książką o japońskich sztukach walki i władaniu mieczem - nieznoszącą sprzeciwu, jak mój ostatni chłopak, Leszyk Bogomoł... Poszły w ruch całkiem mi nieznanne, najprawdopodobniej japońskie, imiona - Bashō, Shiki, Issa, Buson ³²: dziwaczne połączenia słów, składające się w trzy- i pięciowersze. I ja, jak głupia gęś, zaczęłam rozpaczać nad losem jakiegoś nieznanego mi ptaka, słuchając przejmującego czytania Dementija:

Podróżny śpi -
Chora dzika kaczka
Tłucze się zimną nocą ³³.

Matsuo Bashō, Masaoka Shiki, Kobayashi Issa, Yosa Buson - najwybitniejsi japońscy twórcy haiku (przyp. tłum.).

Podróżny... - *Haiku -poezja chwili zatrzymanej w czasie*; Bashō, 1644-1695; w przekładzie Czesława Miłosza (przyp. tłum.).

Zapłakałam! Jak Boga kocham, zapłakałam! Tak gorzko, jakby co najmniej przeszedł po mnie pluton żołnierzy! A potem ta świnia dobiła mnie kolejną porcją poezji:

Odchodzą
Głęboko we mgle
Chryzantemy³⁴.

³⁴ *Odchodzą...* - *Haiku -poezja chwili zatrzymanej w czasie*; Sampu, 1647-1732; w przekładzie Czesława Miłosza (przyp. tłum.).

Dlaczego nigdy przedtem o tym nie myślałam? Dlaczego nigdy nad niczym się nie zastanawiałam? Przy moim łóżku tyle razy wędły te cholerne jasnożółte chryzantemy, a mi nawet do głowy nie przyszło, żeby ich pożałować! Nawet mi do głowy nie przyszło, jak delikatny i subtelny może być świat... Nawet mi do głowy nie przyszło, jaka jestem głupia i ograniczona... A przecież wszystko mogłoby wyglądać zupełnie inaczej. Gdybym tak spotkała na swojej życiowej drodze nie Stasa, a tego wrażliwego wariata!

Kurat, jak głęboko mnie zwabił! W najtrudniej dostępne ostępy mojej własnej duszy. I niczego cennego nie udało mi się w nich odnaleźć. Żałowany mech, połamane krzaki, zużyte prezerwatywy, puszki po piwie i po oliwkach z sardelami, pomięte banknoty... Sto razy lepiej wyglądało najbardziej zapuszczone wysypisko śmieci!

Nie miałam pojęcia, ile minęło czasu (zastawione okno uniemożliwiało oszacowanie godziny). Ale w sumie to i tak nie miało żadnego znaczenia. Z rzadka jedynie, z trudem wyrrywając się z odmętów słów i łapczywie łykając powietrze, myślałam: czy naprawdę robię to wszystko dla tego przekłętogo noża?!

Dementij niespodziewanie zamilkł, nie opowiedziawszy do końca o kolejnym bekasie, który wypadł ze swojego gniazda. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co się stało. Przyjrzałam mu się uważniej. Miał zamknięte oczy i usta, a jego głowa spoczywała na stelazu.

Zmora spała! Byłam wolna! Przytknęłam palcami przed jego twarzą - żadnej reakcji.

Ostrożnie rozwarłam jego palce, wyciągnęłam nóż, złapałam *ARM AND RITUAL* i na czworakach podpełzłam do drzwi. I dopiero tuż przy

nich odważyłam się odwrócić. Dementij wciąż spał. A wraz z nim, zwinęte w kłębek, spały wszystkie jego noże i od dawna nieżyjący już Japończycy.

Już po chwili znalazłam się na nabrzeżu. Przede mną wznosił się most Lejtnanta Schmidta. Przekłete petersburskie zwodzone mosty! Nigdy się do nich nie przyzwyczaję. Chyba trzeba się urodzić w tym mieście, żeby móc zgrać z nimi swoje życie.

Pierwszą napotkaną parę zapytałam o godzinę. Było przed drugą w nocy. W arsenale obłąkanego Dementija spędziłam więc niemal dziesięć godzin. Miałam totalny mętlik w głowie. Nie potrafiłam nawet wyjaśnić, dlaczego. Od tymczasowego azylu na Kanonierskiej oddzielała mnie wielka woda. Nie miałam ochoty włączyć się po nabrzeżu i szukać przystanków w nocnych barach. Postanowiłam udać się do Montezumy.

* * *

Montezuma mieszkała na rogu Jedenastej Linii i Bolszego Prospektu.

Kilka lat temu, od razu po przyjeździe do Petersburga, wysiedliła skłóconych mieszkańców czteropokojowego mieszkania komunalnego i teraz była szczęśliwą posiadaczką wykuszu, dwóch balkonów, dwóch ubikacji i kominka.

Przez ponad pół godziny stałam przed bramą naprzeciwko jej domu, obserwując, czy nie dzieje się nic podejrzanego. Dopiero upewniwszy się, że nikt mnie nie śledzi, zdecydowałam się wejść do klatki.

Montezuma nie spała.

Zresztą byłam skłonna przypuszczać, że Montezuma nigdy nie śpi i niczego nie je, tylko pali cygara, orze jak wół i cały wolny czas poświęca na pielęgnowanie swojej nienawiści do mężczyzn.

- Znowu to samo? Ilu tym razem? - zapytała z ponurą miną, wpuszczając mnie do mieszkania.

- Co - ilu?

- Ilu facetów cię dziś miało? Wyglądasz, jakby co najmniej setka żołnierzy cię przeleciała.

- Zawodowych? - chciałam się upewnić, przypominając sobie słabosza Dementija.

- Idź się umyć — Montezuma wcisnęła mi ręcznik. — Szlafrok jest na wieszaku, a pasta do zębów - na półce... Wyglądasz okropnie.

- Masz Bashō? - zapytałam ni z gruszki, ni z pietruszki.

- Co ty mi tu z jakimś tam Bashō wyjeżdżasz o trzeciej w nocy? Już zupełnie postradałaś zmysły? - zamknęła za mną drzwi do łazienki i zasunęła zasuwę. - Jak ci przejdzie, to mnie zawołaj.

Zamiast odpowiedzieć, wyrecytowałam:

Odchodzą

Głęboko we mgle

Chryzantemy.

Po czym natychmiast przyłożyłam ucho do drzwi.

- Faktycznie zwariowałaś. Totalnie cię już porąbało - stwierdziła z zadowoleniem Montezuma i poszła do pokoju.

Puściłam wodę, wlałam do błękitnego jacuzzi całą butelkę płynu do kąpieli i dopiero potem odważyłam się spojrzeć w lustro. Co za widok! Monti miała rację: spuchnięte usta, błyszczące oczy, zapadłe policzki, uwydatnione kości policzkowe. Esteta Dementij przez dziesięć godzin bitwy o nóż wykończył mnie bardziej, niż byłby to w stanie zrobić jakikolwiek pluton żołnierzy. I do tego zawodowych. Po podobnych ekscesach trzeba odsypiać co najmniej przez dobę. Odmaczać się w wodzie co najmniej przez pół dnia. I szorować się ostrą gąbką co najmniej przez dwie godziny.

Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy Montezuma wróciła do łazienki. Przypaliła mi papierosa, sobie - cygaro, i ulokowała się wygodnie na brzegu jacuzzi.

- Co ci się stało? - zapytała, wyraźnie zaciekawiona moim losem.

- Nie wiesz? Przypisuje się mi dwa zabójstwa i jestem zbiegiem. Poza tym wszystko w porządku - odpowiedziałam, oglądając koniuszek żarzącego się papierosa. Chyba tak właśnie, jeśli wierzyć poecie Bashō w in-tepr... Tfu... w interpretacji przygłupa Dementija, wyglądają robaczki świętojańskie nad Wewnętrznym Morzem Seto... Boże, o czym ja myślę?!

- Boże, o czym ty teraz myślisz, Warwaro! Nawet nie zapytasz, jak na Suworowskiej...

- Wybacz... - zrobiło mi się wstyd. W czasie, gdy ja fikałam koziółki w zaroślach japońskiego bambusa, Montezuma przejęła się swoją rolą i poważnie zabrała się do pracy.

- Wybaczam, ale musisz mi najpierw powiedzieć, że jestem bardzo mądra.

- Tego nawet nie trzeba mówić. Jesteś bardzo mądrą osobą. - I ta bardzo mądra osoba dowiedziała się czegoś ciekawego. Co prawda, musiała się podać za agenta nieruchomości...

-Kto? Ty?!

- Wyobraź sobie, że nie byłam pierwszym agentem, który dopytywał się o to gniazdko. Ciało jeszcze nie do końca ostygło, a kruki i wrony już nad nim krążą! Ale nie to jest najważniejsze...

„Najważniejszego” doczekałam się dopiero w salonie na dywanie, w otoczeniu całej serii butelek z winem, delikatnych krewetek i przejrzałych czereśni - Montezuma umiała cieszyć się zwycięstwem.

- Wypijmy za Inwentaryzacyjne Biuro Projektów - wydeklamowała, wznosząc kieliszek. - I za urzędasów, którzy na widok studolarowego banknotu dostają drgawek.

Wypiłyśmy, po czym Montezuma wyciągnęła się na podłodze obok imponujących rozmiarów arkusza kalki z jakimś szkicem.

- To plan domu na Suworowskiej. Wyposażenie budynku, instalacje wodno-kanalizacyjne, kanały wentylacyjne i inne tego typu głupoty - przedstawiła pokrótce treść rysunku. - Wypożyczono mi na kilka dni.

- Za sto dolarów?

- Właśnie. Chociaż to zbyt wygórowana cena, ale nie będę się przecież rozdrabniać, kiedy w grę wchodzi życie mojej przyjaciółki. Mam nadzieję, że to docenisz.

- Już doceniłam - wymamrotałam, pochylając się nad planem.

Sporządzony był dość sensownie. Z najdrobniejszymi szczegółami. Od razu poznałam skrzynkę przeciwpożarową, w której Stas chował klucze od strychu, samo mieszkanie Stasa (dwa prostokąty) i mnóstwo innych krutek, symbolizujących sąsiednie mieszkania.

- Zbyt dobrze im się powodzi, tym nędznym kreaturom. Najwyższy czas ich rozkułaczyć.

- Nie zdobyłam tego po to, żeby wysłuchiwać twoich teorii na temat konfiskaty mienia - przystopowała mnie Montezuma. - Otwórz oczy. Nic nie widzisz?

Zimny trup Stasa nie został utrwalony na planie, a nic innego mi się w oczy nie rzuciło. Dlatego, żeby się jeszcze bardziej nie narazić, rozsądnie przemilczałam pytanie Monti.

- Podziemny garaż! - wygłosiła uroczyście po chwili. - Wiedziałaś, że niektórzy mieszkańcy domu korzystają z podziemnego garażu firmy znajdującej się w sąsiednim budynku? Spójrz tylko, widzisz tę odnogę?

Odchodzi od szybu windy...

Jej słowa były dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Nieraz byłam u Stasa, nieraz przyjeżdżałam razem z nim na Suworowską (Stas nie obawiał się zhańbić siedzenia swojego jeepa moim męczeńskim tyłkiem). Jednak zazwyczaj parkowaliśmy obok domu. A teraz, proszę, podziemny garaż!

- Pamiętasz, mówiłaś o windzie, z której nie mogłaś skorzystać, ponieważ ktoś w niej był? - Monti wykazywała niesamowitą zdolność dedukcji.

- No...

- A ta stara portierka powiedziała śledczym, że nikt ani nie przychodził, ani nie wychodził.

- No...

- Z tego wynika, że... - spojrzała na mnie wyczekująco.

- Że co?

- Że winda zatrzymała się dopiero w piwnicy. Tuż przed wejściem do podziemnego garażu!

- A to w ogóle możliwe?

- Jesteś do tej pory na wolności tylko dlatego, że jesteś skończoną idiotką - stwierdziła Montezuma. - A głupi, jak wiadomo, mają szczęście. Zresztą, nie ty jedna.

- A kto jeszcze?

- Organa, w mordę, ścigania! Nawet się nie zainteresowali takim szczegółem, jak podziemny garaż. Przecież tam się mógł cały pułk ukryć!

- Myślisz, że to może mieć jakiś związek ze śmiercią Stasa?

- Jeśli to nie ty go sprzątnęłaś, to na pewno ma. Byłam w tym garażu. Co prawda musiałam wejść od strony tej firmy.

- Puścili cię?

- Dolary, moja kochana, dolary... Dolary otwierają każde drzwi i rozwiązują każdy język. Gdyby milicja miała rezerwy pieniężne, wykrywalność przestępstw zbliżyłaby się do stu procent...

Po tej filozoficznej dygresji Montezuma opowiedziała mi o wizycie w firmie „Ładoga Trade Company”, zajmującej sąsiedni budynek. Sama niejednokrotnie przechodziłam obok jej kuszącego szyldu i małych choinek, którymi ozdobione było wejście.

Czasami obok bramki, prowadzącej do środka, pobłyskiwały pistolety ochroniarzy. Dlatego byłam naprawdę zdumiona, że Montezumie udało się tam dostać. Nawet z dolarami.

Tym niemniej fakt pozostawał faktem: Montezuma przedostała się do podziemnego garażu i dowiedziała się, że rodzina dyrektora firmy mieszka obok. W domu Stasa Driemowa, tylko piętro niżej. I korzysta ze wspomnianego garażu tak samo, jak dwaj inni pracownicy, którym „Ładoga Trade Company” zasponsorowała mieszkania w tym domu.

Ta informacja pochodziła od jednego z ochroniarzy firmy. Jednak o wiele cenniejsze wiadomości przekazał stróż z garażu. Żeby rozwiązać mu język Montezuma posłużyła się butelką wódki, która podziałała na niego lepiej niż jakiegokolwiek pieniądze. Po tym, jak opróżniła z nim butelczynę i z lekka obnażyła swoje ponętne ormiańskie kolana, stróż przypomniał sobie, że pamiętnego dnia o odpowiedniej porze córka dyrektora firmy wyprowadzała z garażu swojego skromnego land rovera. W dodatku nie była sama. Towarzyszył jej mężczyzna...

- Mężczyzna - cudzoziemiec - dodała znaczącym szeptem Montezuma. - Kumasz?

- Myślisz, że to może mieć jakiś związek ze śmiercią Stasa? - powtórzyłam jak katarynka. - Jakaś dziewczyna wyjeżdża z garażu ze swoim boyfriendem... To jeszcze nic nie znaczy.

- Być może nie znaczy. A może znaczy. Dziewczyna ma klucz od podziemnego garażu. Nie wchodzi głównym wejściem... A zatem portierka nie może jej zauważyć. Dziewczyna korzysta z innego wejścia. I wyjścia.

- Myślisz, że...

- Że z windy korzystał morderca. Jeśli oczywiście wszystkie te informacje, którymi uraczyłyście mnie, ty i Kaje, są prawdziwe. Wszystko idealnie zbiega się w czasie. Nie zapominaj, że Teo Lhermitte jest

cudzoziemcem. A swoją drogą, każdego Mołdawianina albo Estończyka można uznać za cudzoziemca. Przynajmniej na bani...

Niespodziewanie poczułam palącą zazdrość.

Montezuma ma jednak zdolności detektywistyczne! A niech ją! Cholera jasna, nie dorastam jej nawet do pięt! Mimo że przecież przestudowałam od deski do deski *Zagadki kryminalne - rozwiąż je sam*.

To było tak niesprawiedliwe, że wbrew własnej woli jej dopieklam:

- No właśnie, na bani! Jak można wierzyć pijackim zwidom-omamom jakiegoś stróża?

- Stróż nie jest osobą zainteresowaną w sprawie. Nie ma powodu, żeby coś ukrywać.

- Zatem chcesz przez to powiedzieć, że w zabójstwo Stasa zamieszana jest jeszcze jakaś kobieta? I że była współniczką mordercy? I że zadziwiająco zbiegiem okoliczności mieszkała w tym samym domu... A nie zbyt wielu już tych współników?

Moje pytania zaskoczyły Montezumę. Co więcej - zdecydowanie się jej nie spodobały.

- A nie zbyt wiele trupów jak na twoją wątłą istotkę? - odparowała.

- Przepraszam... Masz rację. To co z tą dziewczyną?

- Nie udało mi się jej dorwać. Wyjechała ze swoim kochanym tatulem. Gdzieś za granicę. Od razu następnego dnia po morderstwie. Wracła dopiero w przyszłym tygodniu. W środę. Albo czwartek.

- Skąd to wiesz?!

- Stróż mi powiedział. Pilnuje land rovera. Dziewczyna sama go poinformowała o swoim wyjeździe. Poza tym samochód ojca jest zaparkowany w garażu.

Byłam przygnębiona. Montezuma triumfowała. Jednak niedane jej było w pełni nacieszyć się swoim zwycięstwem, gdyż nagle w przedpokoju rozległ się natarczywy dzwonek.

- Ki diabeł niesie kogoś o tej porze? - warknęła i powlokła się w stronę drzwi.

Ja natomiast siedziałam na dywanie, czując, jak całe moje ciało powoli sztywnieje. Najpierw straciłam władzę w nogach, później poczułam mrowienie w nadgarstkach, następnie posłuszeństwa odmówiła mi głowa. Aż w końcu ogarnął mnie całkowity paraliż. Odgłos dzwonka u drzwi nie wróżył niczego dobrego. Był zbyt natarczywy. Tak samo, jak pracownicy

Tallińskiego Departamentu Policji. Z najgorszymi przeczuciami oderwałam się jakoś od podłogi i podpełzłam do wyjścia, po czym wsunęłam zeszywniała szyję do przedpokojku.

Zamyślona Montezuma stała przy niewielkim monitorze, ukazującym fragment klatki schodowej. Widać było w nim tylko czubek głowy jakiegoś faceta, trzymającego wyciągniętą przed siebie legitymację.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziała Monti przez domofon. - Co, według pana, powinnam teraz zrobić? Otworzyć drzwi nieznanemu mężczyźnie o trzeciej w nocy?

- Dlaczego nieznanemu, pani Karine Surienowna? - rozległ się ochrypły głos. - Przecież się znamy... widzieliśmy się kilkakrotnie. Nawet ostatnio. Nazywam się Jewgienij Daniłowicz Lemieszonek.

Lemieszonek, konkurent męża Kaje, sprytny efesbek, prowadzący śledztwo w sprawie Olewa Kiwi. Oto nadchodzi mój wyrok! Moja pokuta za grzechy!

- Ma pan nakaz rewizji? - Montezumę nie tak łatwo było podejść.

- Nie chciałbym uciekać się do ostateczności, pani Surienowna. Ale jeśli pani nalega... Wrócę z nakazem za pół godziny...

- Jeśli byłby pan tak miły...

- Tylko chciałbym panią uprzedzić, że przez te pół godziny pani mieszkanie będzie pod stałą obserwacją... Skutki jakichkolwiek posunięć mogą być opłakane...

- Niech mnie pan nie straszy. Jestem obywatelką Szwecji - w porę przypomniała sobie Montezuma.

- Wiem i dlatego grzecznie proszę, żeby mi pani otworzyła. Chcę tylko spokojnie porozmawiać. Przecież niepotrzebny nam jest żaden międzynarodowy skandal. I bez niego mamy ich wystarczająco wiele. Chyba pani nie zaprzeczy?

Montezuma powoli odwróciła głowę w moją stronę i wykonała gest ręką. Był na tyle czytelny, że nawet ja, sparaliżowana ze strachu, go zrozumiałam: „W pokoju stoi szafa z lustrem. Wejść do niej i nie zapomnij zabrać ze sobą swojego kieliszka i planu domu na Suworowskiej”.

Po cichu wróciłam do pokoju, chwyciłam kieliszek, zrolowałam arkusz ze szkicem, po czym przesunęłam drzwiczki szafy. I schowałam się w niej, spychając w kąt stertę szpilek, czółenek i butów na wysokiej platformie.

Po kilku chwilach usłyszałam szcęk zamka w drzwiach wejściowych, a po kolejnych pięciu minutach dotarł do moich uszu całkowicie opanowany głos Montezumy:

- A więc nazywa się pan Jewgienij Daniłowicz Lemieszonok? Hiena z FSB? Czemu zawdzięczam tak późną wizytę?

- Okolicznościom, Karine Surienowna. Okolicznościom. Nie zaprosi mnie pani do pokoju?

- A z jakiej racji? - w głosie Montezumy wyczuwało się nutki królewskiego zdumienia. Z takim samym rezultatem można byłoby poprosić angielską królową, żeby pokazała, co ma w swoich kieszeniach w eleganckiej garsonce.

- A może ma pani gości?

- A co panu do tego?

- Albo jednego gościa? Kobietę. Tę samą, której poszukujemy i o której już wcześniej z panią rozmawialiśmy?

Zrezygnowana oparłam głowę o tylną ściankę szafy i zamknęłam oczy.

- Jaki ma pan stopień? - Montezuma puściła uwagę Lemieszonka mimo uszu.

- Major.

- Chyba pan żartuje! Co najwyżej starszy szeregowiec. No dobrze - chorąży. Ale na pewno nie major. Proszę bardzo.

Z tymi słowy mimo wszystko zaprosiła intruza do pokoju. Głosy stały się wyraźniejsze. Poczułam gniew Montezumy, przenikający przez ścianki szafy. Przewyciężywszy strach, przytknęłam twarz do szpary pomiędzy drzwiczkami i wreszcie na własne oczy zobaczyłam Lemieszonka. Długa tyka z krótko ostrzyżonymi włosami i twarzą kata. Jakby tego było mało, miał występne czerwone usta i występne błękitne oczy. Zbyt szeroko rozstawione. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że ma zasięg wzroku jak ryba-młot. Albo kameleon...

Monti bezpruderyjnie rozwaliała się w fotelu. Lemieszonok natomiast stanął pośrodku pokoju.

- Jedliśmy kolację? - zapytał, chciwie oglądając pozostałe czereśnie.

- A to jest karalne?

- Nie, ale... O tak późnej porze, na podłodze...

- Ojej, a ja jeszcze wino piłam. Nie zamknie mnie pan?

Lemieszonek westchnął, podrapał się w brodę, zrobił kilka kroków w kierunku szafy i... ukucnął, oparłszy się plecami o drzwiczki.

Teraz dzielił nas zaledwie centymetr. Przez szparę widziałam jego służbowe ubranie w wytartą kratkę. Czulałam nawet jego zapach. Zapach taniej wody kolońskiej, taniego mydła i taniej pasty do zębów.

- Nie podoba mi się pani zachowanie - powiedział Lemieszonek. - W ogóle mi się pani nie podoba.

- Pan też mi się nie podoba - Montezuma nie byłaby sobą, gdyby pozostawiła tę uwagę bez riposty. - Pan i całe to pańskie biuro śledcze. Za czasów sowieckich pewnie zajmowaliście się wyłapywaniem dysydentów! Może nie mam racji?!

- Być może. Jednak mowa nie o mnie, pani Karine Surienowna. Tylko o pani. To pani utrzymuje, że po raz ostatni widziała obywatelkę Warszawę Sulejmienową sześć lat temu.

- Zgadza się.

- W tallińskim ogrodzie botanicznym? - Tak. Niedaleko grządki z *miscanthus sinensis*...

- Słucham?

- Stipa. W języku potocznym - ostnica. Ostnica na wietrze to niesamowity widok, opowiem panu...

- Wierzę, wierzę. Z tym, że mamy tutaj pewną niezgodność.

- Mamy?! - Montezuma była szczerze oburzona. - Nie mam i nie będę mieć z panem nic wspólnego. To więcej niż pewne. Ten trujący środek chemiczny, którym się pan spryskał, to jakiś nowy wynalazek? Przeciwdziałny?

- Słucham?

Montezuma i Lemieszonek zdecydowanie rozmawiali w dwóch różnych językach.

- Woda kolońska - nigdy przedtem nie słyszałam w głosie Monti takiej pogardy. - Co to za cholerstwo?

- „Bryza morska” - odpowiedział odruchowo Lemieszonek.

- Śmiało mogłaby robić za broń jądrową.

- Niech mi pani tu nie mydli oczu, do... - Lemieszonek wyraźnie chciał dodać coś niecenzuralnego, jednak w porę ugryzł się w język. - Pani przyjaciółka czterdzieści minut temu weszła do pani klatki...

- Jaka przyjaciółka?

- Pani poszukiwana przez milicję przyjaciółka. Warwara Sulejmienowa. Radzę, żeby się pani przestała wydurniać i nie pogarszała swojej sytuacji. Lepiej niech się pani zatroszczy o dobrego adwokata. W przeciwnym razie będzie się pani trząść jak ta ostnica na wietrze.

Jego słowa podziałały na mnie w zatrważający sposób. Poczulałam silny odruch wymiotny. Na tyle silny, że siedzący naprzeciwko mnie w niebezpiecznie bliskiej odległości Lemieszonek ryzykował swoją marynarkę.

- Pan mi grozi? - Montezuma się roześmiała. - Pan, zakichany argus, mi grozi?! Obywatelce Szwecji?

Nie miałam pojęcia, co to takiego ten „argus”. Pewnie jakieś soczyste ormiańskie przekleństwo z obszernego zasobu słownictwa Montezumy...

- Proszę się stąd wynosić! I to szybko!

- Będzie pani tego żałowała. Bardzo żałowała!

- Jutro zwrócę się do naszego konsulatu. I do pana przełożonych. I do gubernatora. Ukróć pana zapędy! Przekona się pan!

Zapach wody kolońskiej „Bryza morska” stał się mniej odczuwalny: Lemieszonek w końcu odkleił się od szafy.

- Jeszcze tu wrócę - powiedział, starając się zachować resztki służbowego honoru.

- Chyba że z nakazem. Bez niego proszę się tu nie pokazywać!

- Z nakazem. I ze świadkami.

Kiedy Montezuma otworzyła w końcu szafę, pierwsze, o co ją zapytałam, było znaczenie słowa „argus”.

- Ochroniarz w kolonii karnej - pobłażliwie wyjaśniła. - Ty naprawdę jesteś zacofana. Powinnaś więcej czytać. Wylaż, bo nie mamy za dużo czasu.

Przypomniałam sobie usłyszane przed chwilą groźby Lemieszonka i zaczęłam cicho chlipać.

- Przestań ryczeć! - krzyknęła na mnie Monti. - Przecież nie stało się jeszcze nic złego. Po co ja w ogóle wpuściłam do środka tę pokrakę?! Z nakazem to on oczywiście zalewa, ale...

Przed moimi oczami pojawił się obraz mnie samej w więziennym ubraniu, z lnianą chustką na głowie i tatuażem pod piersią: „Więzienie to piec, który pochłania ludzkie szczęście”.

Rozpłakałam się już na dobre.

Przy akompaniamencie mojego łkania Montezuma podeszła do okna, ostrożnie uchyliła brzeg zasłony i wyjrzała na zewnątrz.

- Co tam? - zachlipałam.

- Stoi jakieś podejrzane żyguli. „Szóstka”. Nic więcej.

- Nikt mnie nie śledził, Monti... Byłam naprawdę bardzo ostrożna...

Przysięgam.

- Ciul z nimi. I tak nie pójda o trzeciej w nocy po nakaz. To nie w ich stylu. Oni potrafią się tylko zaczaić i czekać na drugą okazję.

- Oni? To znaczy kto?

- Jak to kto? Te wstrętne gliny.

Montezuma ruszyła w stronę przedpokoju, otworzyła drzwi na klatkę schodową i krzyknęła w przestrzeń:

- Filer ³⁵! Dupek!

³⁵ Filer - (potocz.) agent policji carskiej (przyp. tłum.)

I natychmiast otrzymała odpowiedź z dolnego piętra:

- Za dupka też pani odpowie...

Monti z impetem zatrzaskała drzwi i zamknęła je na wszystkie możliwe zamki. Po czym stanęła zamyślona.

- Warwara, mam plan. Teraz pójdziemy lulu, a z samego rana wezmę telefon i obdzwonię parę osób. Wyprowadzą tego palanta pod eskortą z należytymi honorami...

- A co ze mną? Mam sterczeć w twojej szafie?

- A masz jakiś lepszy pomysł?

Wyjście znalazło się już po kilku minutach. Montezuma zaprowadziła mnie do kuchni, gdzie na samym środku, w paszczy stylizowanego na gliniany pieca, puszył się, wypucowany na blask, ogromny miedziany kocioł.

Wiedziałam już, że piec nazywa się „tonir” ³⁶ i że postawił go daleki krewny Montezumy - Aszot (podobnie jak Akop pochodził z Erewania), którego zadaniem było doglądanie sprzętu domowego i przygotowywanie jedzenia.

³⁶ Tonir - piec do wypieku lawaszu (przyp. tłum.)

- Chcesz powiedzieć, że mam się schować w tym potworze i poczekać na lepsze czasy? - kiwnęłam w stronę kotła. - To już wolę twoją szafę.

- Nie gadaj głupot, tylko chodź za mną!

Z trudem przedarliśmy się pomiędzy półkami, zastawionymi ceramiką, metalowymi dzbanami i przeróżnymi naczyniami, ozdobionymi zgodnie z narodową ormiańską tradycją. W końcu znalazłyśmy się w małej komórce. Przed nami wisiał gobelin „Wędrówki Mesropa Masztoca”³⁷.

³⁷ Mesrop Masztoc - (359–440) ormiański duchowny i uczony; twórca alfabetu ormiańskiego

Przesunąwszy w bok melancholijnego Mesropa, Montezuma popchnęła mnie w stronę dębowych drzwi.

- Schody awaryjne. Tajemne przejście - wyjaśniła. - Zejdziesz nimi. Wyjdziesz na Dwunastej Linii. Kontaktujemy się przez Akopa. Od pierwszej do trzeciej gra w nardy w „Sevanie”. To kawiarnia na Pietrogradce. O wszystkim cię poinformuje.

Mocno się do siebie przytuliłyśmy. Obie czułyśmy to samo: strach i jednocześnie wdzięczność. Ja - za jej pomoc i wsparcie. Ona - za możliwość zabawy w „wykołuj glińiarza”.

Już po chwili schodziłam po schodach. Po omacku. W całkowitych ciemnościach. Niestety, nikomu nie przyszło do głowy, żeby oświetlić schody awaryjne w eleganckim domu. Pomiedzy drugim a pierwszym piętrem prawie zwichnęłam sobie kostkę.

A pomiedzy pierwszym a parterem...

Pomiedzy pierwszym a parterem czyjeś żelazne palce chwyciły mnie za gardło.

* * *

Przed odejściem z tego świata z wątpliwym hasłem na ustach „na palach zemszczą się ich własne dzieci”, z żalem pomyślałam o trzystu dolarach, które Monti dała mi na drobne wydatki. I o swojej zmarnowanej młodości. I o wyższych uczelniach, których nigdy nie ukończyłam. I o eksperymentalnym kremie przeciwko zmarszczkom, którego nie udało mi się do końca wykorzystać. I o stanie Idaho, do którego już nigdy nie trafię... Nic więcej nie zdążyłam już pomyśleć. Podobnie jak nie zdążyłam ujrzeć światełka w długim białym tunelu, prowadzącym do Boga, który swego czasu nie wlał mi oleju do głowy...

Palce nagle rozluźniły uścisk. Łapczywie zaczerpnęłam stęchłego powietrza.

Aha, czyli nie zamierza mnie zabić. Przynajmniej na razie. Ale...

- Ostrzegam - powiedziałam zdławionym szeptem. - Mam AIDS, rzeżączkę i niedoleczoną kiłę.

- *Tere-tere* - odpowiedział ktoś na moje wyznanie, godne pacjentki w gabinecie ginekologicznym.

Cholera jasna! Znów ten estoński!

Głos, który mnie przywitał, wydał mi się dziwnie znajomy. Podczas gdy ja zastanawiałam się, gdzie go mogłam słyszeć, nieznajomy złapał mnie za kołnierz i pociągnął w dół po schodkach. Prawie siłą wywłókł na podwórze i wepchnął do pogruchotanego opla, stojącego przy kontenerach na śmieci.

Po upływie pół minuty opel ruszył z kopyta: wywrócił śmietnik, omal nie rozjechał kota, złamał krzak bzu, po czym wreszcie wypadł na opustoszałą Dwunastą Linie. A potem pomknął w kierunku Cmentarza Smoleńskiego.

Perspektywa znalezienia się w jednym grobie z jakąś mieszczką Szmatałską, zmarłą w jakimś 1893 roku, nie za bardzo mi się uśmiechała, więc zaczęłam gwałtownie szarpać drzwiczki. W rezultacie oderwałam klamkę. Opel był w jeszcze gorszym stanie niż myślałam.

- Siedz cicho! - niewątpliwie słyszałam już gdzieś ten głos!

Nie chcąc jeszcze bardziej zdenerwować porywacza, powoli przekreśliłam głowę. I spojrzałam...

Rejno!

O, w mordę! Chciwy fotograf z „Królowej Reginy”! Ten sam, który wyłudził ode mnie dwa tysiące dolarów! Ale co on robi w Sankt Petersburgu? Przecież jego statek dawno odplynął i pewnie zdążył już zapomnieć, jak wygląda uboga Północna Palmira.

- Nie rozumiem...

- Siedz cicho! - powtórzył Rejno.

Mimo najszczerzych chęci nie da się usiedzieć bez słowa, kiedy jest się wieszoną na zapuszczony cmentarz. Zaczęłam więc jęczeć:

- Niech mnie pan natychmiast wypuści! Co tu się dzieje?! O co panu chodzi?!

Rejno ostro zahamował, puścił kierownicę, po czym odwrócił się w moją stronę. Ten jego dołeczek na podbródku, te jego bezczelne, przesywające niczym obiektyw nikon, oczy. Miałam wrażenie, jakbyśmy się

nigdy nie rozstawali. Słowo honoru. Jakbyśmy przez cały ten czas siedzieli w kajucie numer 217 na „Królowej Reginie”! Rejno zbliżył do mnie twarz i powiedział:

- Olew Kiwi.

No pewnie, to wszystko wyjaśniają też kiedyś wypowiedziałam te słowa i złapałam fotografa na haczyk. Teraz jednak sama się na nim trzepoczę. Lepiej więc się zamknę, bo łatwo mogę sobie rozerwać wargę.

Ponownie ruszyliśmy, na szczęście jednak nie dojechaliliśmy do smołeńskich mogił. Rejno zatrzymał swojego gruchota na rogu przyległej do cmentarza ulicy, przy podupadłym nocnym sklepie „Eesti”.

Estońska w nim była tylko nazwa. Ale to chyba właśnie ona spowodowała, że Rejno się zatrzymał.

- Może od razu pojedziemy do konsulatu? - zdobyłam się na głupi żart.

- Może od razu na milicję? - odpowiedział mi równie głupio.

W języku rosyjskim. I to całkiem niezłym.

Przygryzłam wargę.

- Porozmawiajmy o Olewie Kiwi - Rejno wyciągnął zza pazuchy wąski nóż, spojrzał wymownie najpierw na niego, potem na mnie i... i zaczął dłużyć nim w zębach.

- Przecież powiedział pan, że więcej nie będzie się pan zajmował jego sprawami - w porę przypomniałam sobie jego słowa.

- Zgadza się. I na pewno bym się nimi nie zajmował, gdyby żył. Ale on nie żyje. Wiedziała pani o tym, kiedy pani do mnie przyszła.

Cholerny Rejno skończył dłużyć w zębach i przystawił wąskie ostrze do mojego podbródka.

- Kawę na ławę!

- Ale co właściwie? - o dziwo, ostrze kompletnie nie przeszkadzało mi w mówieniu.

- Dlaczego to pani zrobiła?

- Ale co?

- Dlaczego zabiła pani Olewa Kiwi?

Dziwna sprawa, ale jego głos był całkowicie beznamiętny. Nie było w nim żadnej złości, żadnego gniewu. Tylko najzwyklejsza w świecie ciekawość. W takim układzie nóż w jego rękach zmieniał się w zwyczajną wykałaczkę. To mi dodało otuchy.

- Nie zabiłam Olewa Kiwi - powiedziałam z godnością, co wyraźnie go rozbawiło.

- Niech pani przestanie. Widziałem pani podobiznę w telewizji pół godziny po tym, jak się pożegnaliśmy. Może nie do końca udaną, ale jednak...

- Ale jednak jest pan fotografem - podpowiedziałam mu.

- Nie jestem fotografem. Jestem prywatnym detektywem - wyjaśnił Estończyk.

- A metody ma pan jak drań od mokrej roboty...

Obrażając go w ten sposób, ulżyłam sobie trochę, po czym się zamyśliłam. Nóż przy szyi zmuszał mój mózg do znacznie intensywniejszej pracy. Myśli w mojej głowie nie wpadały już jedna na drugą, lecz ustawiły się w szereg i grzecznie zaczęły odliczanie: raz-dwa...

- Wie pan co, panie Rejno... Mam trzysta dolarów. Chciałabym pana wynająć. Jako prywatnego detektywa.

Moja wypowiedź po raz kolejny go rozbawiła.

- Za trzysta dolarów to ja nawet z łóżka nie wstaję.

- A te dwa tysiące? - przypomniałam. - Dwa tysiące, które zapłaciłam panu za zdjęcia... To były moje własne pieniądze.

- A skąd mam wiedzieć, że to prawda? A może to są pieniądze tej osoby, którą sfotografowałem... Może wynajął panią, żeby zabiła pani Olewa, a potem wykupiła dowody rzeczowe.

Teraz to ja się roześmiałam. Lektura książki Zagadki kryminalne - rozwiąż je sam! miała jednak swoje zalety.

- Gdyby tak było, zażądałabym od pana negatywów. Czyż nie? A już na pewno nie pozwoliłabym przystawiać sobie do gardła jakiegoś śmiesznego szpikulca.

Rejno niechętnie odłożył nóż, przeznaczony raczej do czyszczenia ryb, niż do zabijania. Moje argumenty go przekonały.

- Mam na imię Warwara. Waria - postanowiłam umocnić pozycję, którą zajęłam.

- To jeszcze o niczym nie świadczy - zauważył filozoficznie Rejno. - Morderca może nosić różne imiona. Imię jeszcze nigdy nikogo nie powstrzymało od zbrodniczych działań.

- Pracował pan kiedyś w Tallińskim Departamencie Policji?

- Nie. A dlaczego pani pyta?

- Nic, tak tylko... Dlaczego pan został w Petersburgu? Dlaczego nie odpłynął pan tym pięknym parostatkiem? Z powodu Olewa Kiwi?

- Tak - odpowiedział z rozbrajającą szczerością estońskiej rasowej krowy. - Z powodu Olewa Kiwi. I z powodu zdjęć.

- Przecież panu za nie zapłaciłam - mój głos wyraźnie upominał się o zwrot pieniędzy.

- Otóż właśnie. Zostałem z powodu Olewa Kiwi. Fotografii. I pani.

- Naprawdę? - uśmiechnęłam się wyzywająco i spróbowałam zarzucić nogę na nogę, jednak przestrzeń w aucie, a raczej jej brak, nie pozwoliła mi na ten manewr.

Moje profesjonalne triki wcale nie ruszały Rejno. Był na nie całkowicie obojętny.

- Zrobiła mnie pani na szaro. Po raz pierwszy ktoś mnie tak owinał wokół palca... I w dodatku kto? Rosjanka!

- Nie chciałam. Naprawdę. Jestem tylko zwykłą ofiarą okoliczności. Znalazłam się w beznadziejnej sytuacji. Jestem oskarżona o morderstwo, którego nie popełniłam. A jeśli zapłacę panu tysiąc dolarów, to mi pan pomoże?

- Jedynie jeśli nie będzie to niezgodne z moją zasadą.

- A co to za zasada? - zapytałam ostrożnie.

- Bardzo prosta - „jeśli w grę wchodzi pieniądze - to wsadź sobie wszystkie swoje zasady w tyłek”. Tysiąc dwieście i wchodzę w to.

- Zgoda.

W końcu zawsze mogę odpracować te pieniądze w szwedzkim tartaku Montezumy... To pomyślawszy, wyjęłam trzysta dolarów otrzymanych od Monti i podałam je Rejno.

- Zaliczka - powiedziałam.

- Zaliczka zwykle stanowi połowę całej kwoty...

O mało co nie wypowiedziałam sakramentalnego zdania „mogę zapłacić w naturze”, ale w porę się powstrzymałam.

- Na razie nie mam więcej. Proszę nie zapominać, że się ukrywam. Resztę otrzyma pan jutro wieczorem. Najpóźniej pojutrze rano. A tak przy okazji, jak mnie pan odnalazł?

- Zapłaciłem sobie pięćdziesiąt dolarów, wyteżyłem wszystkie siły i znalazłem - odpowiedział wymijająco.

Tak to właśnie wygląda, Warwaro. Stawki są niskie jak nigdy. Pięćdziesiąt dolarów to twoja maksymalna cena.

- No dobrze. Skoro nie chce pan mówić, pańska sprawa. Ale niech pan przynajmniej powie, kto jest na tych zdjęciach?

- Nie wie pani?

- Nie.

- Zapłaciła pani dwa tysiące, sama nie wiedząc za co?! - popatrzył na mnie jak na wariatkę.

- Na to wygląda. To kogo pan sfotografował? I po co?

- Powiem pani, ale dopiero po otrzymaniu całej kwoty. Przykro mi.

Nic nie powiesz... Moje własne panoptikum powiększyło się o kolejny osobliwy eksponat. Obok Siergieja Sinienki, który gotów był oddać duszę diabłu w zamian za najmniejszą poufną informację, stanął teraz dziwaczny Rejno, gotów oddać swoją duszę w zamian za kilka nędznych banknotów.

- Podrzuciłby mnie pan teraz do mostu Kalinkina? - zapytałam uprzejmie.

Specjalnie wybrałam to miejsce, żeby nie wydać swojego prawdziwego schronienia.

- Niezbyt się orientuję w tym mieście.

- Pokażę panu.

- Wydatki za przejazdy - płatne oddzielnie - wypalił natychmiast prywatny detektyw. - Później przedstawię pani kosztorys.

A, niechby cię krowa pobodła!

- A jak mam sprawdzić, czy jest pan dobrym detektywem? - postanowiłam dopiec temu palcem robionemu estońskiemu Sherlockowi Holmesowi. - Pieniążki pan weźmie, a jak nic z tego nie wyjdzie?

Rejno się zachnął:

- Odnalazłem panią? Odnalazłem. Pracowałem dla Olewa Kiwi? Pracowałem. A Olew Kiwi był zbyt poważną osobą, żeby powierzać swoje sprawy pierwszemu lepszemu złotodziobowi. Jestem zawodowcem.

- To może ma pan jeszcze licencję?

- No pewnie! - pogrzebał w kieszeniach marynarki i wydobył stamtąd złożone na czworo zaświadczenie, zawinięte w cienką folię.

Dowiedziałam się z niego, że Reino Uuskula rzeczywiście jest prywatnym detektywem, nieposiadającym jedynie prawa do noszenia i używania

broni palnej. Licencja była wydana przez departament policji miasta Móisakúla (O Chryste Panie, strzeż mnie przed takimi wynaturzonymi miejscami!).

- Jak się miewa wasza przedsiębiorca lnu? - zapytałam.

Zdziwiony Rejno uniósł brwi.

- Dawno nie byłem w domu, więc nie mogę powiedzieć nic konkretnego. Pewnie rośnie w potęgę...

- Miejmy nadzieję - uśmiechnęłam się do niego. - To co, podwiezie mnie pan?

Przy moście Kalinkina sterczałam aż do rana. Dopiero pięć po szóstej jakiś zaspany kierowca betoniarki zgodził się podrzucić mnie na Kanonierską. Prawie zasnęłam na podłodze w windzie. Kiedy dotarłam na upragnione szesnaste piętro, z miejsca zauważyłam wetkniętą w drzwi kartkę: „Pojechałem w sprawach służbowych. Spotykamy się o 18.30 przy stacji metra Wasilieostrowska. Nakarm Chodźtu. Twój Siergiej”.

Nasypałam wiecznik niezadowolonemu kotu karmy do miski, ledwie przytomna zwałam się na łóżko i momentalnie zasnęłam. Miałam dziwny sen. Syjamskie bliźnięta: Jewgienij Daniłowicz Lemieszonok i Reino Uuskula, wywijają diabelskiego krakowiaka w takt orkiestry smyczkowej. Kaje, jak na nią przystało, przygrywała z boku na cymbałach, Montezuma rzępoliła na skrzypcach, a mnie się dostała wiolonczela.

Wiolonczela Olewa Kiwi.

I chociaż nie przyśnił mi się ani sam Olew Kiwi, ani Stas, mimo wszystko obudziłam się z ciężką głową. Spojrzałam na przedpotopowy budzik Siergieja i podskoczyłam jak oparzona. Było wpół do dwunastej! O pierwszej powinnam być w kawiarni „Sevan”! Została już tylko godzina, żeby się jako tako ogarnąć: przynajmniej umyć zęby i wziąć szybką kąpiel w tej ohydnej, zapaskudzonej cementem i oblepionej zmarłymi w kwiecie wieku plemnikami, wannie Siergieja.

Gdy tylko wyszłam z klatki, od razu usłyszałam ostry dźwięk klaksonu. Rozejrzałam się wokół siebie. Po przeciwległej stronie ulicy dostrzegłam zaparkowanego grata Rejno.

Skąd on się tu wziął? Mogłabym przysiąc, że dzisiaj rano, śmigając tylnymi ulicami w betoniarce, nie widziałam za sobą żadnego „ogona”. Ulice były puste. Ale przecież ta pijawka nie spadła z nieba!

Rejno wciąż trąbił na całą okolicę, więc nie pozostawało mi nic innego, jak do niego podejść. Niczym odzwierny, otworzył mi przednie drzwiczki, a ja...

Wsunęłam mu do ręki rubla. A niech mnie wszyscy diabli!

A Rejno spokojnie go przyjął. A niech go wszyscy diabli!

- To nic, że nie w dolarach? - zapytałam, wsiadając.

- Wymienię sobie - uspokoił mnie.

- Jak mnie pan znalazł?

- Zapłaciłem sobie dyszkę, wyteżyłem wszystkie siły i znalazłem.

- Ale po co? Przecież umówiliśmy się, że się spotkamy, kiedy będę miała pieniądze.

- Chciałem jeszcze raz na panią popatrzeć - przyznał się Rejno. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że jakaś Rosjanka tak mnie owinęła wokół palca...

- Skoro już tu pan jest, to może podrzuci mnie pan na Pietrogradkę?

- Niezbyt się orientuję w tym mieście.

- Pokażę panu...

- Dobrze. Aha, dowiedziałem się. Kilometr kosztuje pięć rubli. Więc...

- Wiem. Pamiętam. Kilometrówka - uprzedziłam go, wyjęłam z kieszeni pięćdziesiątkę i podałam mu ją. - Wystarczy?

- Zobaczymy, ile licznik nabije.

Ale mi się drań trafił!

- Panie Rejno... powinien pan jednak wziąć pod uwagę stan tego odrzutowca. Klamki odpadły, szyby drżą na każdym kamieniu, wszystkie sprężyny już dawno weszły mi w tyłek. Musi pan nieco spuścić z ceny. Inaczej straci pan wszystkich klientów...

- Pomyślę o tym - odparł dopiero po dziesięciu minutach, gdy już pędziliśmy obwodnicą. W pewnym momencie minęliśmy sklep „Dłużnik”, handlujący skonfiskowanym przez komornika mieniem. Jego widok znów mnie przygnębił. Wszystko wokół przypominało mi o mojej niewesołej sytuacji i perspektywie spędzenia reszty życia za kratkami.

»Sevan» okazał się niewielkim lokalem, wypełnionym po brzegi obleśnymi facetami, którzy zgromadzili się dookoła stołów, pili koniak i różnili w nardy. Przy akompaniamencie maksymalnie ściszonej muzyki

Arama Chaczaturiana ³⁸. Pojawienie się mojej osoby przyjęte zostało przychylnym szumem i lubieżnym wzrokiem kilkudziesięciu par oczu. Rejno, który podążał za mną jak cień, posmutniał na widok takiej reakcji otoczenia. Jednak faceci nie zdążyli mnie rozebrać nawet w myślach, gdyż nagle pojawił się przy nas wierny Akop. Zaprowadził nas do swoje-go stolika i bez słowa nalał do kieliszków koniaku.

³⁸ Aram Iljicz Chaczaturian - (1903-1978) ormiański kompozytor muzyki poważnej, dyrygent i pedagog (przyp. tłum.).

- Prawdziwy. Ormiański - pochwalił trunek.

- Niestety, prowadzę - wymamrotał Rejno.

- A w nardy pan gra? - zapytał Akop.

- No co też pan?! - nawet tu wyniosły Rejno musiał się wyróżnić. - Nardy - to gra dla basmaczów. Ja gram w szachy.

Akop z miejsca stracił całe zainteresowanie Estończykiem. Ujął mnie pod rękę i zaprowadził do bufetu dla honorowych gości.

- Co tam? - zapytałam.

- Mają ją na oku - odpowiedział zorientowany w sprawie Akop. - Lepiej, żeby się pani z nią na razie nie spotykała.

- Rozumiem...

- Da pani znać, kiedy wszystko się ułoży.

- Dobrze.

- W ciągu dnia jestem zawsze tutaj. A wieczorem - w „Pociągu Pancernym”. Ale tam też mogą zacząć węszyć. Niebawem... A co to za gość?

- Przyjaciel... Słuchaj, Akop... Wiem, że to okropne... ale potrzebne mi są pieniądze. Mógłbyś powiedzieć Karine...

Twarz wiernego giermka Montezumy rozplynęła się we współczującym uśmiechu.

- Kobietom zawsze są potrzebne pieniądze. Otrzymałem od niej stosowne instrukcje.

Elegancki barman „Pociągu Pancernego” ani razu nie wspomniał imienia Montezumy. Zapewne w celach konspiracji. Jednak słowa „ją” i „niej” wymawiał z przydechem, jakby chciał włożyć w nie większy szacunek. Montezuma świeciła jasnym słońcem na jego nieboskłonie, a drogocenne mleko, płynące z jej szczodrych sutków, zapewniało mu prawidłowy rozwój. Pomyślałam, że Akopowi można zaufać tak samo jak Monti. Trochę mnie to uspokoilo.

- Ile pani teraz potrzeba? - zapytał.
- Tysiąc - wykrztusiłam, paląc się ze wstydu.

Akop wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa, rozwinął ją i starannie odliczył pieniądze.

- Proszę.
- Pokwituję...
- Jakie znów pokwitowanie!? Czy naprawdę pani sądzi, że ona...

Spojrzałam na Akopa. Jego twarz płonęła z oburzenia. Uznałam, że lepiej będzie, jeśli już nic nie powiem. Pośpiesznie się pożegnałam i poprosiłam, żeby ucałował ode mnie Monti, po czym opuściłam gościnną knajpę „Sevan”.

Kiedy ponownie wsiedliśmy z Rejno do jego auta, wyjęłam brakujące dziewięćset dolarów i pomachałam mu nimi przed nosem.

- To jak będzie? Zabierze się pan za tę sprawę?
- Bez słowa wyciągnął ze schowka czarną teczkę.
- Tu jest umowa. Proszę się z nią zapoznać.
- Jaka znowu umowa?!
- Porozumienie między stronami.
- Oszalał pan? - tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

Rejno, korzystając z mojej konsternacji, szybkoitko wcisnął mi w ręce kartkę z pieczętką i podał długopis.

- A co mam właściwie poświadczyć?

- Że pani, taka a taka, wynajmuje mnie, takiego a takiego, do przeprowadzenia pewnych działań śledczych. W tym celu przekazuje mi pani zaliczkę w wysokości połowy, należnej mi zgodnie z treścią umowy, kwoty.

- A termin? - nie miałam innego wyjścia, byłam zmuszona włączyć się do gry. - Termin został ustalony? A jeśli nie wywiąże się pan z zadania?

- To ma pani prawo nie zapłacić mi drugiej części honorarium. A co do terminu - standardowy. Dwa tygodnie od dnia zawarcia umowy. Po upływie tego czasu złożę pani sprawozdanie z wykonanej pracy. I wtedy sama pani zdecyduje, czy nadal mam się tym zajmować. Jeśli tak, będzie wymagany kolejny wkład finansowy z pani strony.

- Słucham?
- Zawrzemy kolejną umowę.

Właściwie to te wszystkie bzdury miały swój sens. Postanowiłam dłużej nie protestować.

- No dobra, dobra. Gdzie mam podpisać?

- Zaraz wypełnię i wtedy się pani podpisze.

Na wypełnianie umowy potrzebował dobrych dziesięciu minut. Po-tem dał mi ją do przeczytania. Ze zdziwieniem dowiedziałam się, że Ja, Warwara Andriejewna Sulejmienowa, wynajmuję prywatnego detektywa Uuskula Reino (licencja nr 3412856) do prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa obywatela Republiki Estońskiej - Olewa Kiwi". Następnie w dokumencie widniała kwota zaliczki „600 USD” i wolne miejsce, w którym powinnam złożyć swój podpis i tym samym poświadczyc zawie-raną umowę.

Postawiłam kleksa na starannie wypełnionej kartce i westchnęłam z ulgą.

Mam teraz tego prywatnego detektywa do swojej dyspozycji. Muszę to jak najlepiej wykorzystać.

Uświadomiwszy to sobie, z miejsca przystąpiłam do przesłuchania:

- Wróćmy do zdjęć, które od pana kupiłam. Kto jest na nich utrwalony?

- Teo Lhermitte, znawca sztuki...

- Specjalista w zakresie Południowo-Wschodniej Azji - zmarszczyłam się.

Rozwiązanie tajemnicy fotografii okazało się niezbyt zaskakujące. Tak jak się zresztą domyślałam.

- Jest pani zorientowana w temacie? - Rejno zdziwił się, że aż tyle wiem o całej sprawie.

- A po co Olewowi Kiwi był potrzebny ten facet?

- Widzi pani... Jakiś rok temu Olew Kiwi zaczął otrzymywać dość dziwne listy z pogrózkami.

- I nie zwrócił się z tym na milicję?

- Milicji nie zawsze można zaufać. Przynajmniej w tych delikatniejszych sprawach...

- I właśnie dlatego istnieją prywatni detektywi - wtrąciłam.

- Zgadza się.

- A co to była za sprawa?

- Nie chciałbym omawiać z jednym klientem problemu innego klienta.

- Ale przecież on nie żyje!

- To nie zmienia postaci rzeczy.

Postanowiłam podejść go z innej strony.

- Pana zadanie miało coś wspólnego ze śmiercią żony pana Kiwi?

- Bez komentarza.

- A może z jego kolekcją brylantów?

- Bez komentarza. Listy pochodziły zawsze z tego samego urzędu pocztowego. Przychodziły dokładnie co trzy tygodnie. Rozwiązanie kryło się w stemplu. Trzeba go było tylko wnikliwie zbadać. A cała reszta to już sprawa techniki.

- A jaka była treść tych listów?

- Bez komentarza - Rejno znów się nadąsał.

- To niech mi pan chociaż powie, skąd były wysyłane?

- Z poczty znajdującej się w pobliżu domu Teo Lhermitte'a. Jest on obywatelem Szwajcarii, jednak na stałe zamieszkuje w Lappeenranta. To jest miasto w Finlandii.

Nie tak daleko od Estonii. I całkiem blisko Sankt Petersburga.

- Czyli zrobił mu pan zdjęcie, akurat kiedy wysyłał jakieś listy?

Na to pytanie także nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Zdesperowana, wyciągnęłam z torebki kopertę ze zdjęciami, a z niej fotografię przyjęcia z Filipem Kodrinem w rogu.

- A to, co to za impreza?

- To już w Sankt Petersburgu. Dni Kultury Szwajcarskiej w Rosji. Przyjęcie z okazji otwarcia wystawy szwajcarskich eksponatów muzealnych.

- A jak tam się znalazł Teo Lhermitte? Przecież jest specjalistą w dziedzinie...

Rejno nie dał mi dokończyć.

- Ale przede wszystkim jest obywatelem Szwajcarii. A dopiero potem cała reszta... Przede wszystkim powinniśmy być obywatelami swojego własnego kraju.

Od tej patetycznej myśli poczułam ołowiany posmak w ustach. Estońscy zawsze wyróżniali się przerostem patriotyzmu. Sknera Rejno nie stanowił wyjątku.

- To co, może pan jeszcze i podatki płaci zgodnie z prawem? - zapytałam.

- Oczywiście. A co - pani nie?

W tym temacie nie czułam się zbyt pewnie, więc szybkoitko się wycofałam.

- Czy zna pan jeszcze kogoś z tego zdjęcia? - zapytałam.

- Myślę, że nikt inny nie interesował pana Kiwi... Ale porozmawiajmy lepiej o pani sprawie. Zegar już tyka...

Pokróctce opisałam Rejno wszystkie swoje niepowodzenia, podzieliłam się z nim wszystkimi swoimi podejrzeniami i poprosiłam, aby ustalił miejsce pobytu Teo Lhermitte'a. I zaczął go śledzić. Oczywiście było, że Olew i Teo mieli ze sobą coś wspólnego. Tylko co?

Nie posuniemy się ani krok do przodu, jeśli Rejno nadal będzie milczeć jak partyzant.

- Proszę mnie posłuchać, panie Rejno! Nie posuniemy się ani krok do przodu, jeśli pan będzie tak milczał jak partyzant. Co było w tych listach? Rejno wciąż się jeszcze wahał. Postanowiłam wypalić z grubej rury.

- Podpisaliśmy umowę, zgadza się?

- Tak.

- Jestem teraz pana klientką, zgadza się?

- Tak.

- Jestem oskarżona o morderstwo i w każdej chwili mogę zostać zatrzymana. Płacę panu za to, żeby do tego nie doszło. Teo Lhermitte mieszkał w jednym hotelu z Kiwi. Był tam owej nocy, kiedy dokonano zabójstwa. I wyprowadził się następnego dnia. Nie dostrzega pan żadnego związku między tymi wydarzeniami?

- Jest aż nadto widoczny. I to właśnie wzbudza mój niepokój. Nie sądzę jednak, żeby Teo Lhermitte był zdolny do popełnienia zbrodni. Z doświadczenia wiem, że szantażyści rzadko stają się mordercami. Co innego - ofiary szantażu. Po nich można się wszystkiego spodziewać... - Rejno uświadomił sobie, że powiedział za dużo. Zamilkł. Pewnie Olew Kiwi pogroził mu palcem z nieba. Albo z piekła.

- Czyli Lhermitte go szantażował? - kułam żelazo póki gorące.

Rejno się poddał. Wyjął kolejną teczkę, otworzył ją i wyciągnął z niej kartkę. Litery różnej wielkości, powycinane z gazet, tworzyły krótki tekst

w języku angielskim. Musiałam więc zwrócić się do niego o pomoc:

- Co tu jest napisane?

Westchnął, po czym dobitnie przeczytał:

- „PROSZĘ ZWRÓCIĆ SKRADZIONE RZECZY, DOPÓKI PANA NIE ZABIŁY”.

Giga presto

Rozstałam się z Rejno na dziesięć minut przed spotkaniem z Siergiejem na stacji metra Wasilieostrowska. Byłam całkowicie przekonana, że pierwszą osobą, którą spotkam przy wejściu do galerii win „Casa Mare”, będzie właśnie wynajęty przeze mnie prywatny detektyw.

Rejno coraz mniej mi się podobał. Zwłaszcza po tym, jak oświadczył, że do wydatków za transport dochodzą jeszcze wydatki za wyżywienie. Rachunki obiecał dołączyć do sprawozdania. Błagałam Boga tylko o jedno, żeby jadł w zwykłych knajpach, a nie w jakichś ekskluzywnych restauracjach. Oprócz tego w jego bezlitosnej umowie znajdował się punkt „nieprzewidziane wydatki”. W końcu i tak mi nie wyjaśnił, co miał oznaczać. Doskonale zdawałam sobie jednak sprawę, że zamierza zedrzeć ze mnie jak najwięcej kasy.

Ze mnie. Z takiej frajerki jak ja.

Ale w końcu, do cholery, nie jestem już frajerką! Siedząc z butelką piwa przy budce „AUDIO-WIDEO”, rozmyślałam o Teo Lhermitcie i Olewie Kiwi.

Czy znali się osobiście?

A może się nie znali? Taki wariant nie był wykluczony - żeby kogoś szantażować, nie trzeba koniecznie osobiście go znać. Ale Teo Lhermitte wyraźnie nie sprawdził się w roli szantażysty. Żeby wysyłać listy z pogrozkami z pobliskiej poczty? I w dodatku w żaden sposób się nie maskować? Nawet ja nie postąpiłabym tak nierozsądnie. I co ma znaczyć:

„PROSZĘ ZWRÓCIĆ SKRADZIONE RZECZY, DOPÓKI PANA NIE ZABIŁY”.

Było wiele niewiadomych. Udało mi się jednak wyciągnąć z Rejno pewne informacje. Powiedział mi, że listy przychodziły przez cały ostatni rok. Regularnie co trzy tygodnie. Jednak dopiero dwa miesiące temu Olew Kiwi się zламаł. I w ten oto sposób do sprawy włączył się Rejno. Nie mogłam jednak zrozumieć, dlaczego sławny maestro zwrócił się o pomoc do jakiegoś bezetatowego prywatnego detektywa z jakiegoś zakichanego Mõisaküla, gdzie kradną wyprane gacie z linek.

Kiedy powiedziałam to Rejno, bardzo się obruszył:

- Pracuję w Tallinie, pani Warwaro. Bywam we wszystkich dużych skandynawskich miastach. To *esiteks*³⁴. A *teiseks*⁴⁰ - nasi zmarli ojcowie pracowali razem na kolei...

³⁹ *Esiteks* - (est.) po pierwsze. ⁴⁰ * *Teiseks* - (est.) po drugie.

To wszystko tłumaczyło. Wspólne przesuwanie zwrotnic na stacji Mõisaküla to solidny argument. A poza tym Estończycy zawsze czepiają się siebie, jak małe dzieci podczas burzy. Wszystko chcą robić jedynie ze swoimi rodakami.

Ale jeden szczegół nie dawał mi spokoju: co ukradł i czego się właściwie bał Olew Kiwi?

Na to pytanie zna odpowiedź tylko jedna osoba - Teo Lhermitte. Nie pozostało mi nic innego, jak napuścić na niego szpiega Rejno. Jedno było pewne: sprawa ma związek z kamieniami, które z taką pasją zbierał wiolonczelista. Tylko dlaczego musiał przez nie zginąć? A może to była przenośnia - i miał go zabić ktoś, kto przyszedł po kamienie?

O mało co nie zadławiłam się ciepłym piwem.

Nóż.

Nóż, który dostał mi się w spadku po rozplątanej piersi Olewa Kiwi.

Nic nie miało tak bezpośredniego związku z kamieniami i zabójstwem jak nóż. Po pierwsze, został w nim uwięziony kamień, a po drugie, on sam jest sprawcą zbrodni... Może właśnie nóż miał na myśli Teo Lhermitte, kiedy wysyłał listy z pogrózkami? Ale to by oznaczało, że nóż przez jakiś czas musiał być w posiadaniu Olewa.

A w to nie chciało mi się jakoś wierzyć.

Po co zabijać kogoś dla noża, a potem zostawiać ten nóż w ciele ofiary?

Tak się już zaplątałam we własnych myślach i domniemaniach, że Siergiej Sinienko, który pojawił się na schodkach prowadzących do metra, wydał mi się Archaniołem Gabrielem Zwiastującym Dobrą Nowinę.

- Długo czekasz? - wbrew zwyczajowi nie pocałował mnie na powitanie. To był zły znak. Zaniepokoiłam się. Po czym ze zdziwieniem stwierdziłam, że Siergiej spóźnił się całe czterdzieści minut. Pozwalać sobie na coś takiego w stosunku do osoby, o której zamierza się napisać książkę - hm... dziwne... bardzo dziwne...

- Spóźniłeś się... Jak sprawy służbowe?

Spojrzał na mnie. Jego twarz emanowała światłem. W oczach ujrzałam dziki blask.

- Wyobraź sobie - wyszeptał przejęty - że uczestniczyłem w zatrzymaniu maniaka.

- Jasne, jasne!

- Najprawdziwszego maniaka... Seryjnego zabójcy... Trzydzieści ofiar w ciągu czterech miesięcy. Wszystkie były w bluzkach z angory. Totalny nekrofil. Najlepsze jest to, że wykładał kulturoznawstwo na jakiejś wyższej uczelni.

Czułam, jak wędnę w jego oczach. Jak nasz romans, przesiąknięty krwią Stasa i Olewa Kiwi, unosi się w powietrzu niczym pęknięty balonik. Nie stanowiłam już obiektu pożądania. Na mój widok sperma nie uderzała mu do mózgu. I nic w tym dziwnego. Czym są dwa żałosne trupy w porównaniu z trzynastoma, na dodatek odzianymi w angorskie bluzeczki?!

- Rozmawiałem z nim - Siergiej był wyraźnie podniecony. - Nazywa się Roman Popow. Mądry facet, encyklopedysta, swobodnie nawija po łacinie, cytował Plauta i Włochów. „Due cose belle ha il mondo: Amore e Morte!”.

- Że co, że co?

- Na świecie są tylko dwa niezwykle zjawiska: miłość i śmierć.

- Tak powiedział?

- No!!! - Siergiej wywrócił oczami, po czym zaczął wodzić spojrzeniem po placu, przylegającym do stacji metra.

- Co jeszcze mówił?

Ten żaloszny zdrayca i krzywoprzysięzca wydał policzki niczym żaba z rodziny Goliat i oświadczył uroczyście:

- „Killing is no murder!”

- Co to znaczy?

- Uśmiercanie nie jest morderstwem.

Łatwo mogłabym podważyć tę tezę, ale nie chciało mi się wszczynać kłótni. Postanowiłam zapanować nad sytuacją i sprowadzić naszą rozmowę na inne tory.

- Nawet nie zapytasz, jak tam Chodźtu...

- A co mu się może stać? - zapytał beztrósko. - Na jego wykłady przychodziły tłumy...

- Na czyje?! Chodźtu?!

- Romana Popowa! Walili drzwiami i oknami! Z innych uczelni. A on po wykładzie ostrzył scyzoryk - i hyc! w krzaki, wypatrywać kolejną zdobycz! Niesamowity gość! Boże, co to za człowiek!!!

- Wiesz, co się może stać z Chodźtu, jak tak będziesz przepadał na całe dni? - usiłowałam przywrócić opętanego Siergieja do rzeczywistości i z uczuciem wyrecytowałam:

Koteczka, tak chuda

Na miłości

I kaszy jęczmiennej. ⁴¹

⁴¹ *Koteczka...* - *Haiku -poezja chwili zatrzymanej w czasie*; Bashō; w przekładzie Czesława Miłozza (przyp. tłum.).

- To Bashō. Wielki japoński poeta.

- Otóż to! Właśnie! - Siergiej popatrzył na mnie wilgotnymi od łez oczyma. - Wielki! Och! On jest wielkim człowiekiem. Wszystkie je kochał! Wszystkie swoje trzynaście ofiar! Szlochał, kiedy o nich opowiadał. „Virginity is a Luxury”- „Dziewictwo to rozkosz”... A ty mi tu zawracasz głowę jakimś swoim Bashō...

Ostatnie stwierdzenie maniakalnego Romana Popowa wypowiedziane ustami innego maniaka - Siergieja Sinienki, już zupełnie mnie powaliło. Podobnie jak świadomość tego, że pozwoliłam, aby Siergiej wymknął mi się z rąk. Nie mogłam już liczyć na jego pomoc. Dziwiło mnie

tylko, że mimo wszystko przyjechał na spotkanie. Zamiast siedzieć tu ze mną, powinien teraz warować przy areszcie śledczym, gdzie z pewnością jest przetrzymywany wielbiony przez niego gwałciciel-nekrofil.

- Obiecał mi materiał na książkę - Siergiej był bliski omdlenia. - Powiedział, że mogę zostać jego kronikarzem. Podarował mi nawet swoją broszurkę. Spójrz tylko...

Trzęsącymi się dłońmi Siergiej rozpiął plecak i wydobył z niego wątpliwej jakości dwudziestostronicową książeczkę z krzywo wydrukowanym nagłówkiem:

Babilońska nierządnicza w ujęciu świeckim i religijnym.

Poczułam się emocjonalnie obnażona. Chciałam wziąć na chwilę książkę, żeby się z nią bliżej zapoznać. Jednak wystarczyło, że wyciągnęłam po nią rękę, gdy Siergiej momentalnie ode mnie odskoczył. Zupełnie jak od trędownatej.

- Nie dotykaj! - zapiszczał. - To unikalne dzieło! Spróbuj to uszanować!

Przestrzegając wszystkich nakazów i zakazów, pochyliłam się nad broszurą. Zaraz na pierwszej stronie przeczytałam:

„MOJEMU NOWEMU PRZYJACIELOWI - SIERGIEJOWI SI-NIENCIE - Z ŻYCZENIAMI ODWAGI I NATCHNIENIA. Roman Popow”.

- Widzisz! Nazwał mnie swoim przyjacielem... I powiedział, że nasza książka zakasuje Nietzschego i Freuda. Że Dostojewskiego można będzie przekazać do archiwum... A jeszcze...

Siergiej wyrwał mi z rąk butelkę piwa i pociągnął kilka łapczywych łyków.

- A jeszcze podarował mi swoje zdjęcie!

- Co ty powiesz!

- Spójrz...

Wyjął z broszurki fotografię, która przedstawiała wątlą postać z ogromnym czołem, ogromnymi okularami na nasadzie nosa i ledwie dostrzegalnymi sinawymi wargami. Było dla mnie zupełnie niepojęte, jak taki człowiek mógł wysłać na tamten świat trzynaście angorskich bluzek.

- Przystojniak, no nie? - reporter czule pogłaskał fotografię. Zupełnie sfiksował!

- I jakie ma zdradzieckie usta! - dodałam.

- Też to zauważyłaś? - ucieszył się jak dziecko. - Jest po prostu skupiskiem wad. Idealnie nadaje się na Szatana... Tak właśnie nazwę: *Szatan: nienapisane kroniki*.

- Kogo?

- Książkę!

Odwrócił zdjęcie. Na odwrocie widniał jakiś krótki podpis. I nagle sobie przypomniałam inną fotografię, która wciąż poniewierała się gdzieś w mojej torbie. Zdjęcie Ałły Kodriny - „Ałła. Kronsztad. Marcowe refleksy słoneczne”.

Dziwne, że jakoś do tej pory jej w żaden sposób nie wykorzystałam. Trzeba byłoby się nią zająć... W najbliższym czasie. A na razie...

- Idziemy do galerii win? - zapytałam. - Jest już pięć po siódmej. A miało się zacząć o siódmej...

Siergiej skisł w oczach. Wyraźnie nie miał ochoty na ten wypad.

- Pójdziemy, oczywiście - wycedził przez zęby. - Nienawidzę tych wszystkich prostackich wymysłów i spotkań...

- Postaraj się... zrób to dla mnie... - chyba nie był to najlepszy argument. Gdyby go tak poprosił ten maniak Popow, to co innego...

- Zgoda. Idziemy... Tylko mi powiedz, czy jest tu gdzieś w pobliżu toalety?

* * *

Niestety po drodze nie znaleźliśmy żadnej toalety. Siergiej kilkakrotnie chciał już zmienić kierunek i zamiast do galerii, iść poszukać ubikacji. Na szczęście udało mi się go przekonać, że w „Casa Mare” na pewno znajdzie się ustronne miejsce. Dzięki temu w końcu jakoś dotarliśmy na Sriednij Prospekt 70/2.

„Casa Mare” poraziła mnie swoim nadmiernym etnograficznym przepychem.

Przed drzwiami wszystkich zaproszonych gości witała para w zgrzebnych sandałach i strojach narodowych. Chłopak w czapce z barankiem dokładnie obejrzał nasze zaproszenia, a dziewczyna z chustką w koguty wsunęła nam do ust po kawałku przekładańca z bryndzą.

- Placinta - wyjaśniła. - Mołdawia wita państwa serdecznie!

- A gdzie tu jest ubikacja? - chlapnął Siergiej.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i machnęła ręką w stronę galerii. Uroczyste spotkanie z „placinta” zostało sprofanowane.

- Głupek - szepnęłam do Siergieja. - Trzeba szanować uczucia narodowe.

- Przestań - Siergiej szybko opuścił moje towarzystwo i zniknął w tłumie darmozjadów, spragnionych jedynie nachlać się wina, koniaku i na-żreć się za darmo.

Zostałam sama.

„Raczej nie będę się tu nudzić” - pomyślałam na widok ludzi z różnymi kieliszkami, lampkami i pucharami w rękach. Zebrało ich się już całe mnóstwo, gdyż przez te gadki o seryjnym mordercy spóźnił się ponad godzinę. A przez godzinę prości rosyjscy dziennikarze, dopuszczeni do wyśmienitych mołdawskich win, zdążyli się już nawalić jak dzikie świny. Ze wszystkich stron otaczały mnie napuchnięte czerwone gęby, splątane kudły i spocone pachy.

Wokół panował gwar. Wyczuwało się bezwstydnymi myślami, owiane równie bezwstydnymi perfumami.

W rogu zobaczyłam stolik i butelki. Multum butelek. Stał przy nich z korkociągami w rękę kolejny chłopak w czapce z barankiem. Zanim do niego dotarłam, kilku facetów zdążyło mnie już obcałować i zaproponować wypicie bruderszaftu. Najśmieszniejsze było jednak to, że reagowałam na ich zachowanie jak jakaś nowicjuszka z klasztoru św. Urszuli - piszczałam, pojękiwałam i okazywałam oburzenie.

Pan Nasz na niebiosach mógł być ze mnie zadowolony. Jednak niedane mi było ostatecznie powrócić na drogę cnoty, gdyż w pewnym momencie na salę wtoczyła się ogromna dębowa beczka. Jej pojawieniu się towarzyszyły nieskładne okrzyki, oklaski i cmokanie.

- Koniak! - ogłosiła Czapka z Barankiem. - „Bukuria”!

Przekłęci pismacy rzucili się do beczki jak do cudownej ikony. Tratowali wszystko, co napotkali na swojej drodze. Ktoś podstawił mi nogę i o mało co nie wylądowałam na podłodze. Na szczęście w ostatniej chwili czyjaś silna dłoń dosłownie wyrwała mnie ze środka tego kłębowiska. I ta sama dłoń odprowadziła mnie w bezpieczne miejsce - do bufetu.

- Dziękuję - wykrztusiłam i podniosłam oczy na swojego wybawcę.

Mołdawianin. Typowy Mołdawianin.

Kruczoczarne włosy, przyprószone siwizną długie wąsy, garbaty nos, głęboko osadzone ciemne oczy i wargi koloru palonego korka. Prawdziwy

cygański baron, który przez jedną noc potrafi postarać się o dwojaczki.

Cygański baron nachylił się w moją stronę i bezczelnie mnie obwąchał.

- Nie pije pani - powiedział, z trudem usiłując nie pokazać po sobie rozczarowania.

- Jeszcze nie zdążyłam - zaczęłam się usprawiedliwiać. - Dopiero przyszłam.

- Jest pani dziennikarką?

Przeniosłam wzrok na reporterską chmarę i ciężko westchnęłam.

- Tak, jestem dziennikarką.

Mołdawianin oczekiwał bardziej wyczerpującej odpowiedzi. I ją otrzymał. W końcu, nie na darmo Siergiej nadał mi ksywę rozrzewnionej klimakteryczki!

- Rimma Karpuchowa. Gazeta „Petersburska Anomalia”. Zostałam zaproszona wraz z kolegą.

- Pisze pani o życiu towarzyskim i kulturalnym? - całkiem niezłe się wyrażał, jak na Mołdawianina.

- Tak, jeśli różne skandale i afery można uznać za życie towarzyskie... i kulturalne...

- Nie wygląda pani na dziennikarkę.

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Zdaniem Kaje, niegdyś miłośniczki spoconych południowych Słowian, Mołdawianie zawsze wypowiadali kategorię opinie. Ale żeby do tego stopnia! Ten typek, jak każdy cygański baron, był aż nadto przenikliwy.

- Dlaczego nie wyglądam? Mam nawet legitymację. Mogę pokazać.

- Legitymacja jeszcze o niczym nie świadczy - odparł. - Nie zachowuje się pani jak dziennikarka.

- A jak, pana zdaniem, powinna się zachowywać dziennikarka?

- Prawdziwa dziennikarka powinna rzucać się na alkohol, gdy tylko poczuje jego zapach. A pani jest tu już od dziesięciu minut i jak na razie niczego pani nie tknęła.

- Pan mnie obserwował...

- Zawsze wszystko obserwuję. Jestem właścicielem tego lokalu.

Cholera jasna! To on, Aurel Czorbu! Winiarz, zajmujący trzeci pokój na Kriestowce!

Z wyglądu Czorbu dałabym czterdzieści, a może i czterdzieści pięć lat. Nigdy w życiu nie widziałam tak wiarołomnej twarzy. Taki typ jest w stanie wyrznąć w pień wszystkich bywalców przydrożnej karczmy, a ich konie zaciągnąć na bazar do Czadyr Łunga!

- Dlaczego pani tak na mnie patrzy? - Czorbu niespodziewanie się uśmiechnął. Zgodnie z moim wyobrażeniem o łotrach, w czeluściach jego paszczy błysnął złoty ząb.

- Pan jest Aurel Czorbu - powiedziałam.

- Zgadza się. Jestem Aurel Czorbu.

- Chciałabym przeprowadzić z panem wywiad - wybrnęłam sprytnie. - Nie ma pan nic przeciwko?

- Teraz? - zdziwił się. - Nie spróbuje pani moich win?

- Jedno drugiemu nie przeszkadza... Można pić i rozmawiać.

- Nie, nie można - jedyny złoty ząb Czorbu nadal usiłował mnie zahipnotyzować. - Wina są równie zazdrosne jak kobiety. Nie wybaczą, jeśli zajmuje się nimi tylko przy okazji. Wymagają poświęcenia całkowitej uwagi.

Trafnie to ujął.

Muszę się zdecydować, czy się z nim napić, czy zadać mu kilka pytań. Chyba jednak lepiej będzie, jeśli się napiję. Dzięki temu facet się upewni, że jestem tym, za kogo się podaje. Prawdziwą dziennikarką.

- To może zacznijmy od win. - Od jakich?

- Obojętnie...

- Tak nie można, pani Rimmo... Dobrze zapamiętałem pani imię?

- Doskonale - potwierdziłam.

W tej chwili najbardziej się obawiałam, że zażąda okazania legitymacji. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

- Na początek proszę się zdecydować, czego wolałaby się pani napić. Mamy wina wytrawne, półwytrawne, deserowe. A może coś mocniejszego? Koniak?

Chciałam golnąć sobie wódki, ale stwierdziłam, że w galerii win nie przystoi wspominać o tak prymitywnych trunkach.

- A ma pan wytrawne czerwone?

Aurel Czorbu uśmiechnął się ironicznie, po czym podrzucił w ręce ciemną butelkę, która niepostrzeżenie znalazła się w jego zasięgu.

- Cóż za zadziwiająca zgodność gustów. Też lubię czerwone wina... Proszę bardzo! „Rosu de Purcari” - najlepsze wino, jakie posiadam.

Ze zręcznością wprawnego barmana wyciągnął korek, rozlał wino do kryształowych kieliszków i podał mi jeden z nich.

- W niczym nie ustępuje francuskiemu „Bordeaux”. Widzi pani tę grę światła?

Podniosłam kieliszek. Wino rzeczywiście miało niesamowity ciemno-rubinowy kolor z ledwie dostrzegalnym odcieniem granatu.

- No i jak? - zapytał, kiedy skosztowałam już tego magicznego płynu. - Jak by pani określiła bukiet smaku i aromatu?

- Fiołki - przymknęłam oczy.

- Zgadza się, fiołki... Z domieszką safianu. Dodaje aksamitności smaku... Ma pani zadatki na degustatora. A teraz kolejne...

Szybko zmienił lampki i zaprezentował mi nowe wino:

- „Negru de Purcari”!

„Negru de Purcari” okazało się przyrodnim bratem „Rosu de Purcari” tylko zamiast fiołków zalatywało czarną porzeczką. Wyłopałam wszystko co do ostatniej kropli, po czym posłałam przyjazny uśmiech założycielowi „Casa Mare”.

Potem były „Viorika” i „Pinot” w kieliszkach do białego wina stołowego, „Romanesti” i „Merlot” w wysokich kieliszkach, „Trandafirul Moldovei” w kieliszkach do win deserowych, morze „Chersonesususa” i „Kagora”. A na deser diabelski koniak „Bukuria”.

A nad całym tym bukietem aromatów i posmaków unosił się sprytny złotousty diabeł - Aurel Czorbu. Nie przypominał mi już cygankoniokrada... Raczej subtelnego filozofa, patrona czarodziejskiej różdżki, dobrego ducha beczki z koniakiem... Jego oczy mieniły się bursztynowym „Ștefan Vodă”, czoło skrzyło się słomkowym „Fiore”, a w kącikach ust igrał rubinowy „Czurmai”.

Po upływie jakiejś półtorej godziny byłam już tak narąbana, że ocknęłam się dopiero w gabinecie dyrektora, na dyrektorskiej kanapie, pod dyrektorskimi łapami, które ostrożnie usiłowały ściągnąć ze mnie koszulkę.

I zachowałam się jak ostatnia przeklęta dziewica: wyrwałam skraj koszulki ze smukłych mołdawskich palców, złączyłam nogi i uderzyłam Aurela Czorbu kolanem w jego płaski, twardy niczym skała brzuch.

Nie obraził się.

Przeciwnie, nawet go to rozbawiło. Odrzucił do tyłu głowę, po czym opiekuńczo pogłaskał mnie po policzku.

- Zuch dziewczyna! Święta... mimo że kiepska dziennikarka...

Kim jak kim, ale świętą dziewczyną to na pewno nie byłam. Od tego niewyszukanego komplementu zakręciło mi się w głowie. Wszystkie wypite lampki wina na wyścigi rzuciły się w jej stronę.

- Dlaczego kiepska?

- Prawdziwa dziennikarka nigdy nie przepuści okazji, żeby przespać się z wpływową osobą...

- A pan jest kimś takim?

- Powinna to pani wiedzieć. Skoro zamierzała pani przeprowadzić ze mną wywiad... To co, robi to pani?

Dwuznaczność ostatniego zdania mnie rozweseliła. Pozwoliłam sobie nawet na delikatny uśmiech.

- Nie zrobię.

- Dlaczego? - zapytał, jednak w jego głosie nie było ani krzty zdziwienia.

- Rozmyśliłam się.

- I słusznie. Wypijemy sobie jeszcze winka i porozmawiamy o przyjemniejszych sprawach.

- Na przykład?

Aurel Czorbu przeszedł się po gabinecie. Wyciągnął z szafy tacę z owocami i kolejną (o, Boże!) butelkę wina.

- O pani. O mnie. O tym mieście. O moich winnicach...

Obserwując poczynania Aurela Czorbu, który kroił nożykiem jabłko, walczyłam z resztkami winnego chmielu w głowie. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego z całej tej dziennikarskiej watahy Mołdawianin wybrał akurat mnie.

Nie dałam mu ku temu żadnych powodów. Nie sięgałam mu do roz-porka. Nie zaczepiałam go. Nawet go nie zauważyłam!

A może jestem już napiętnowana? Może z daleka wyróżniam się jako dama lekkich obyczajów?

Nie, do cholery! To niemożliwe!

Gdyby mnie wziął za prostytutkę, zachowywałby się zupełnie inaczej. A przecież wyraźnie starał się o moje względy. Chciał mi się spodobać.

Nie chodziło mu wyłącznie o seks. To było dla mnie coś nowego. Jeśli jednak nie chciał mnie tak po prostu zaciągnąć do łóżka, to po co w takim razie wkładał mi ręce pod koszulkę?

- Po co wkładał mi pan ręce pod bluzkę? - zapytałam.

- Nie wie pani? Nikt przedtem tego nie robił? Nikt nie wkładał pani rąk pod bluzkę? - był wyraźnie zdziwiony.

- Ale po co pan to zrobił?

- Niech się pani poczęstuje jabłuszkiem - Czorbu podał mi połówkę soczystego jonatana. - Mołdawskie...

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie - wpiłam się zębami w owoc, po czym popatrzyłam na niego z wyrzutem.

- Rozkoszowałem się widokiem pani ciała. To wszystko. Chciałem popatrzeć, jak drzemie pani skóra.

Ale to było poetyckie! A niech mnie! Zupełnie w stylu japońskiego poety Bashō.

- Natychmiast panią zauważyłem. Od razu, kiedy weszła pani z tym swoim kolegą - zaczął mi się zwierzać. - I od razu sobie pomyślałem: jaka piękna dziewczyna. Szkoda tylko, że dziennikarka.

- Na to już się nic nie poradzi.

- A potem, kiedy z taką łatwością odróżniła pani fiołek od czarnej porzeczki... I wyczuła pani zapach polnych kwiatów w „Izvorase”... Może gdzieś się wybierzemy? Pojedziemy stąd...

- Dokąd? - złapałam się na tym, że mimo tak dużej różnicy wieku, pragnęłam jego palonych ust.

- Na Kriestowkę. Zawsze się tam zatrzymuję. Mały hotel, sami poważni goście...

Czar Aurela Czorbu momentalnie rozpląnął się w powietrzu niczym ostatnie dźwięki walca „Fale Dunaju”.

Ładnie się będę prezentować na Kriestowce, w tej samej pułapce, z której dopiero co udało mi się uwolnić. Moim znajomym ochroniarzom pozostanie jedynie mnie obezwładnić i przekazać w ręce czyhającej już hieny - Lemieszonka...

- Hotel na Kriestowce? - mlasnęłam, kończąc jedzenie jabłka, po czym przepłukałam usta „Isabellą”. - To przypadkiem nie ten hotel, w którym ostatnio ukatrupiono znanego wiolonczelistę?

- Ten sam - potwierdził z zapalem Czorbu. - A skąd pani o tym wie?

- Nie jest tu znów aż tak wiele hoteli. A poza tym, jestem dziennikarką. Dziennikarze zawsze wiedzą o takich rzeczach.

- A co to za różnica! Przecież nie pojedziemy tam w roli świadków. Będzie pani moim gościem..

Już raz byłam tam gościem i doskonale pamiętałam, jak się to skończyło.

- Innym razem.

- Innego razu nie będzie. Za trzy dni wyjeżdżam do siebie, do Kiszyńniowa.

- A swoją drogą, co się tam tak naprawdę wydarzyło? W tym hotelu? - postanowiłam skierować rozmowę na interesujący mnie temat.

- Nie wiem dokładnie. Nie interesowałam się szczegółami. Z tego, co mi wiadomo, zabiła go kobieta.

- Tak, czytałam o tym.

- Najprawdopodobniej z powodu nieodwzajemnionej miłości - dodał, nieznacznie poruszając wąsami. - Wszystkie zbrodnie świata dokonywane są przez kobiety. Przez kobiety i z powodu nieodwzajemnionej miłości. Do mnie samego strzelano trzykrotnie.

- Naprawdę?! - zdumiałam się. - Kto?

- Kobiety, z którymi się nie ożeniłam. I które nie mogły się z tym pogodzić.

- Ale w sumie...

- W sumie to korzystam z usług prostytutek. One przynajmniej nie domagają się obrączki - jak każdy wielki poeta, Aurel Czorbu był cyniczny aż do bólu. - Już z dziesięć lat mam do czynienia jedynie z takimi kobietami. Ale dzisiaj... Pani jest taka niewinna...

Omam nie spadłam z kanapy.

Weź się lecz! Też sobie Dziewicę Orleańską znalazłeś!

- No to co? - raz jeszcze spróbował swoich sił Czorbu. - Pojedziemy na Kriestowkę?

- Przestaną być niewinna, jeśli zgodzę się dzisiaj z panem pojechać. I to zaledwie po dwóch godzinach znajomości - zauważyłam rozsądnie.

- A po trzech? Albo pięciu? - błyskawicznie podnosił stawki.

- Nienawidzę hoteli dla VIP-ów. Nienawidzę ochroniarzy...

- Ochroniarze są po tym, jak sama pani nazwała, „smutnym zajściu”, spokojni jak trusie. Poza tym to nie są ci sami ochroniarze, którzy tam

wtedy byli. Na ich miejsce przyszli już nowi... A w ogóle to nie wejdziemy głównym wejściem... Nikt nas nie zobaczy.

- Nie głównym? Nikt nas nie zobaczy?! - moje zdumienie nie miało granic. - A czy to w ogóle możliwe?

- Oczywiście...

Przełknęłam kolejną porcję „Isabelli”, po czym oddałam się głębokim rozmyśleniom. Aurel Czorbu, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, dał mi niebywałą szansę. Szansę powrotu na miejsce zbrodni i dokładnego przyjrzenia się wszystkiemu. Tym razem z całkiem innej perspektywy. Ale...

Jak on to odbierze? Pewnie pomyśli sobie, że jakaś nowo poznana podpita laska chętnie wskakuje mu do łóżka... Uszczypnęłam się ze złością. To ty?! Warwara Andriejewna Sulejmienowa?! To ty?! Dziewczyna na telefon?! To ty?! Jawnogrzeczniczka?

Aurel Czorbu, widząc moje wahanie, zbliżył się do mnie.

- Nic pani nie grozi, pani Rimmo. Jestem starym, mądrym i zmęczonym życiem człowiekiem...

W jego głosie słychać było autentyczny smutek! Niewinna, niedoświadczona kruszynka z pewnością nabrałaby się na szczerość jego fałszywych słów. Udałam więc niedoświadczoną kruszynkę - zgodnie ze swoim nowym obliczem cnotki-niewydymki.

- Dobrze...

Przez ciało Mołdawianina przebiegł lekki dreszcz. Ujął moją (nieokazującą najmniejszego sprzeciwu!) dłoń i przyłożył do swojej twarzy. Poczulałam klującą szczecinę i miękkie wąsy.

- Daje mi pani w prezencie najpiękniejsze chwile w tym mieście!

Westchnęłam: „A co ja mam powiedzieć?”.

Po upływie kilku chwil wychodziliśmy już z gabinetu. Aurel udał się na główną salę, żeby ogarnąć ją jakoś po imprezie. Ja natomiast - do toalety, żeby usunąć z organizmu nadmiar wina.

Przy wejściu do kibelka zderzyłam się z Siergiejem. Wyszedł stamtąd z półuśmiechem na twarzy i z broszurką Romana Popowa pod pachą.

- A ty wciąż marszczysz Freda - z wyrzutem popatrzyłam na jego kroczce. - Przystopuj trochę z tą masturbacją, Siergiej... Bo od tego robią się pęcherze na dłoniach.

- Tyle wiesz, co zjesz - warknął. - Myślisz, że jak wykończyłaś dwóch dupków, to już ci wszystko wolno? Zjadłaś wszystkie rozumy świata? Są lepsi od ciebie. I się tak nie wymądrzają. I nie pouczają innych...

- Przepraszam - nie zamierzałam kłócić się z Siergiejem. - Przepraszam.

- No już dobrze... - też się wycofał, po czym zapytał z nadzieją w głosie: - Masz jeszcze jakieś plany na dzisiaj?

- Jakież tam mam.

- Kiedy wrócisz?

„Najlepiej nigdy” - można było przeczytać w jego nieobecnym, owładniętym przez maniaka-nekrofila wzroku. W mordę! Wygląda na to, że w bitwie o jego względy poniosłam definitywną klęskę!

- Nie wiem...

- Jeśli mnie nie będzie, to nakarm Chodźtu. I zmień mu piasek, dobrze?

Nie wyrzuca mnie jeszcze z domu - dobre i to. Nabrałam tchu, po czym rzekłam łagodnym głosem posłusznej gospodyni domowej:

- Oczywiście... Wiesz, co sobie pomyślałam, Siergiej... A może byśmy tak zaczęli? Od jutra...

- Co zaczęli? - przestraszył się.

- Pisać książkę. Dojrzałam wreszcie do tego i gotowa jestem wyjawic ci pewne szczegóły z życia kobiety, która zabiła dwóch... - nie zdążyłam dokończyć.

- Wiesz co... Tylko się nie gniewaj, proszę - Siergiej uśmiechnął się skruszony. - Jesteś niezła... Potrafisz zachować zimną krew. Jesteś odważna. I pewnie mogłabyś się ze mną podzielić świetną historią... Ale tego nie wystarczy na książkę. Wybacz. Na artykuł... hmm... Nie, nawet na krótką wzmiankę nie wystarczy. A zresztą artykuły mnie już nie interesują. Wyrosłem z nich.

- Rozumiem - przytknęłam koniuszkami palców w broszurę, wystającą mu spod pachy - Babilońska nierządnicza.

- Nie gniewasz się?

- Pewnie, że nie, ale...

- Ale i tak możesz u mnie pomieszkać... Nie przeszkadzasz mi...

Z wdzięczności cmoknęłam go w policzek - obojętny i zimny niczym pomnik Siergieja Mironowicza Kirowa ⁴², który obsiadły gołębie.

Od dziś nie mogę już liczyć na jego znajomości. Skąd ty się wzięłaś, kulturoznawco, Romanie Popowie?

⁴² Siergiej Mironowicz Kirow - właśc. Kostrikow (1886-1934) - działacz bolszewicki (przyp. tłum.)

Kiedy pojawiłam się w galerii, zgrabne rzędy butelek z winem odniosły już zwycięstwo nad zgrają dziennikarzy. Całkowite i ostateczne. Chustki z kogutami, zatrudnione przez przezornego Aurela Czorbu, doprowadzały do porządku pole bitwy: wynosiły potłuczone butelki, pakowały do reklamówek resztki mamałygi i placinty, ścierały wymiociny i rozlane wino. A czapki z baranka układały przy wyjściu szczególnie wyróżniające się w walce dziennikarskie ciała.

Podeszłam do Aurela i powiedziałam filozoficznie:

- Trzeba będzie przeprowadzić kolejny remont.

- Po Rosjanach zawsze trzeba robić kolejny remont - odpowiedział mi równie filozoficznie. - A wiesz, dlaczego tak jest?

- No, dlaczego?

- Ponieważ traktujecie życie jak wódkę: wypić jak najszybciej, wypalić sobie wnętrze i zapomnieć o świecie. A życie należy traktować jak wino: upić mały łyk i delektować się jak najdłużej. Poczucie jego posmak w ustach. Posmak jest najważniejszy.

* * *

Droga na Kriestowkę zajęła nam bitą godzinę. A wszystko przez to wyborne wino, którym wypełniony był po brzegi mikrobus Aurela Czorbu. Butelki wały się wszędzie: na siedzeniach i pod siedzeniami, w plecionych koszach i lnianych ręcznikach, w jabłkach, w rozgniecionych czereśniach, w ususzonych płatkach kwiatów...

- Wino nie znosi samotności - pouczał mnie Aurel Czorbu, bawiąc się płatkami kwiatów. - Podobnie jak mężczyzna. Ono kocha być kochanym.

Wielbionym. Podobnie jak kobieta.

Teraz byłam już bardziej rozważna. Powoli degustowałam kolejne gatunki wina. Piłam je w minimalnych dawkach i starałam się zachować

trzeźwość umysłu. Tym bardziej, że Mołdawianin przemawiał właśnie do mojej głowy. Miał głęboko gdzieś pozostałe części mojego ciała.

To niesamowite uczucie - czuć się nieco bardziej pijaną, niż jest się w rzeczywistości. I nieco mądrzejszą. A może to właśnie jest prawdziwe życie, które należy traktować jak wino i pozostający po nim w ustach posmak?

Przed wjazdem na Kriestowkę Czorbu nagle zatrzymał samochód. Wsiadł bez słowa, wyciągnął z tyłu kolejną butelkę wina i dopiero wtedy zawołał:

- Niech pani tu przyjdzie.

Spełniłam jego prośbę.

Mołdawianin zaprowadził mnie do starej lipy, która, mimo że już przekwitała, zachowała jeszcze delikatny mdły aromat, a następnie odkorkował butelkę.

- A kieliszki? - zdziwiłam się.

- Proszę nadstawić dłonie - mrugnął porozumiewawczo. - Tylko niech je pani mocniej ściśnie.

Złożyłam dłonie w łódkę, a on ostrożnie nalał w nie wino. A następnie przywarł ustami do powstałej czary. I szybko ją opróżnił.

- Co teraz? - zapytałam, spodziewając się najgorszego.

- Teraz - pani.

Ujęłam butelkę w dłoń (tę samą, którą przed chwilą Aurel osuszył swoimi namiętnymi mołdawskimi ustami) i przechyliłam ją nad kielichem powstałym z jego dłoni.

- Mogę?

- Proszę bardzo - pozwolił mi Czorbu.

Oto co miało stanowić największą atrakcję tego wieczoru - picie wina z rąk mężczyzny! Bardziej naturalnej sceny uwodzenia nie da się już chyba wymyślić. Nie miałam pojęcia, dlaczego wcześniej na to nie wpadłam. Jednak nie chciało mi się nad tym teraz zastanawiać. Przynajmniej dopóki w butelce będzie choć kropla wina.

- No i jak? - zapytał cicho.

- Wyśmienite.

- Może pani zdefiniować bukiet?

Zamyśliłam się.

- Odrobina bazylii - ale to się tyczy wina, nie pana...

- A ja?

- Metal... troszkę drewna... Nie, chyba jednak nie. Sam metal. Ale za to niezwykle... Niezmiernie stary... - o dziwo, bez najmniejszego problemu potrafiłam dobrać odpowiednie słowa.

- Cudownie! - Aurel Czorbu dotknął słodkim od wina palcem mojego podbródka. - Jak nazywa się pani gazeta?

- „Petersburska Anomalia” - przypomniałam sobie z trudem.

- Pasuje do pani. Ma pani nadzwyczajnego nosa do rozróżniania smaków. Takich umiejętności nabywa się latami. Taki dar, jaki pani posiada, to rzadkość. To prawdziwy dar od Boga. Nie jest pani przypadkiem Mołdawianką?

- Nie.

- A może Rumunką?

- Nie.

- Francuzką też nie? I nie Włoszką z Piemontu? I nie ma pani nic wspólnego z uprawą winogron?

- Nie mam.

- W takim razie już nic z tego nie rozumiem... Chodźmy.

Wróciliśmy do busa. Aurel wrzucił sobie do ust garść czereśni, przekreślił kluczyk w stacyjce. Jednak zamiast ruszyć, spojrzał na mnie.

- A nie chce pani wiedzieć, co ja poczułem?

Nie. Tylko nie to. Jeśli pozwolę mu się dalej badać, to na pewno natknie się na dwa trupy tuż na skraju mojej zrozpaczonej duszy. Dwa trupy, które, być może, sam mi podłożył...

Nie. Nie pozwolę, żeby robił ze mną, co mu się żywnie podoba. Nigdy w życiu.

- Tak - powiedziałam, spuszcżając wzrok. - Chcę się dowiedzieć, co pan poczuł.

- Obcą skórę. Nie pani. Obcą krew. Nie pani. I Metal. Też nie pani. I też niezwykle. Niezmiernie stary...

Z jakiegoś niewytłumaczalnego lęku szcęknęłam zębami i sięgnęłam po czereśnię.

- Co pani na to powie? - domorosły mołdawski poeta uśmiechnął się do mnie znacząco, po czym wygładził wąsy.

- Nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wiem nawet, czy to dobrze czy źle?

- Wspaniale. Pani nie jest podobna do innych kobiet.
- Do tych rozwiązań? - na wszelki wypadek postanowiłam się upewnić.
- Roześmiał się i jego złoty ząb zamigotał w ciemności niczym reflektor.
- Jedźmy już...

Aurel wyłączył silnik na sto metrów przed hotelem, nie opodał żywo-
płotu. To właśnie tu całkiem niedawno czekał na klientów Giena. Kie-
rowca, który przypadkiem zeswatał mnie z kolekcjonerem Dementijem.

- Chodźmy. Obiecuję pani romantyczny podbój hotelu. A potem uczymy to koniakiem „Doina”. Dwadzieścia pięć lat leżakowania. Wy-
jątkowo waniliowy bukiet.

- A jak my się tam dostaniemy przez nikogo niezauważeni? Przecież
wszędzie wokół są kamery? - zapytałam.

- A skąd pani wie, że tam są zainstalowane kamery?

Rzeczywiście, skąd ja, zwyczajny obdarty gazetowy śmieciarz, grze-
biący w pseudoludzkim śmietniku, mogę wiedzieć, co jest zainstalowane
w hotelu dla VIP-ów, a co nie?

- Mój kolega... z którym przyszedłam do pańskiej galerii... - natychmiast
zaczęłam się wykręcać - ...zajmuje się właśnie tą sprawą. No i wszystko
mi opowiedział...

- Jest pani kochankiem?

- Ależ skąd. Jest kochankiem wszystkich najgłośniejszych prze-
stępstw w tym mieście - wyjawiałam całą nagą prawdę o Siergieju. - Na
nic innego nie wystarcza mu już czasu.

- Jasne.

- O ile mi wiadomo, dotychczas nie odnaleziono mordercy tego wio-
lonczelisty?

- I mam nadzieję, że nie zostanie odnaleziony - w głosie Czorbu sły-
chać było szczerą obawę. - Kobieta powinna zostać ukarana przez Boga.
Albo diabła. Kobieta jest ponad ludzkim osądem. Podobnie jak wino.

Wysłuchawszy tej wątpliwej, z prawnego punktu widzenia, przemo-
wy, pomyślałam o Montezumie. Tak, Aurel Czorbu z pewnością znalazł-
by wspólny język z głęboko ideową, zaślepioną nienawiścią do mężczyzn,

Montezumą! A gdyby tak jeszcze umoczyła usta w koniaku „Doina”...
Dwadzieścia pięć lat leżakowania!

Czorbu przepchnął mnie przez żywoplot, po czym sam się przez niego przedarł.

Przez chwilę staliśmy bardzo blisko siebie. Tak blisko, że spodziewałam się już nawet ataku mołdawskich wąsów. Jednak, o dziwo, do niczego podobnego nie doszło.

- Co teraz? - zapytałam.

- Chwila.

Nachylił się i, podświetlając sobie zapalkami ziemię, pogrzebał rękami w trawie.

- W tym miejscu biegnie kabel - zaczął tłumaczyć. - Niech się pani trochę schyli, to sama pani zobaczy.

Przykucnęłam obok Czorbu i zajrzałam do małej metalowej skrzynki, pomysłowo zamaskowanej darnią. W skrzynce znajdował się jakiś cylinder, a tuż przy nim - dwa okazałe sworznie. Na nie narzucony był cienki kabel.

- Obwód elektryczny - wyjaśnił mi Czorbu. - Zna się pani trochę na obwodach elektrycznych?

- Ani w ząb - przyznałam uczciwie.

- Ja też nie. Ale to nieważne. A teraz niech pani patrzy uważnie.

Po tych słowach wyciągnął z kieszeni dość długą drewnianą wykałaczkę, przystawił ją płasko do przewodów, powoli owinął je wokół niej, po czym ostrożnie uniósł do góry. W ten oto sposób uwolnił kable od sworzni. Potem podpalił zapałkę, umieścił ją bezpośrednio pod wykałaczką i zamknął schowek.

- A teraz biegiem - szepnął czterdziestopięcioletni dzieciak.

- Ale w którą stronę...

Czorbu nie pozwolił mi dokończyć. Zerwał się z miejsca i pociągnął mnie za sobą. Przeskoczyliśmy niewysoki płotek, przebiegliśmy po słabo oświetlonym podwórzu, aż wreszcie dotarliśmy do tylnego wejścia hotelu.

- Jak to działa? - zażądałam wyjaśnienia, z trudem łapiąc powietrze.

- Wykałaczka pali się dokładnie trzynaście sekund. Potem kable opadają na sworznie, wskakują na swoje miejsce, obwód się zamyka i kamera znów zaczyna działać. Mamy więc całych trzynaście sekund.

- Cudowny wynalazek dla złodziei obrabiających bogate domy - „Oraz dla morderców”- dodałam w myśli. - Kto pana nauczył tej sztuczki? Kto panu pokazał tajniki mechaniki?

- Elektryki - sprostował Czorbu, łapiąc już klamkę. - Taka jedna stara fanka Ilji Slipecowa. Aktora. Zna go pani?

- Pierwszy raz o nim słyszę - skłamałam bez mrugnięcia okiem.

- Dziwne... Wszystkie kobiety powinny znać Ilję Slipecowa... W każdym razie on też mieszka w tym hotelu.

- A jej pozwalał pan pić wino ze swoich dłoni? - zapytałam z niespodziewaną zazdrością. - Tej fance?

- Nie. Piliśmy tylko koniak i tylko z kieliszków. Kiedyś na wspólnej imprezie z Ilją, Niemcem Güntherem, jeszcze jakimś cudzoziemcem i sekretarzem zmarłego wiolonczelisty. Właśnie wtedy wielbicielka Ilji pokazała nam, do czego zdolna jest zakochana kobieta. Jak potrafi poradzić sobie z każdą przeszkodą na drodze do ukochanego. Nawet techniczną przeszkodą. Uwielbiam zakochane kobiety... - Czorbu popatrzył na mnie znacząco. - A pani nie jest przypadkiem zakochana?

- Nie - odpowiedziałam słabym głosem.

- Szkoda. Kobieta powinna być zawsze zakochana...

Przeszliśmy przez pustą kuchnię, jeśli nie liczyć śpiącej sałatki w misce, i weszliśmy do baru.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że tu też jest zupełnie pusto. Jednak, gdy się uważnie rozejrzałam, ujrzałam nikczemną, wstrętną, słabo mówiącą po rosyjsku kanalię - Kalu Kullemie!e!

Na widok tej nędznej kreatury ugięły się podę mną nogi. Na śmierć o nim zapomniałam! Co on tu jeszcze robi? Przecież zwłoki Olewa Kiwi z pewnością zostały już przetransportowane do Estonii.

Najchętniej zwałabym stamtąd jak najszybciej, jednak Czorbu już ciągnął mnie do stolika, przy którym siedział Kalu. A niech go piekło pochłonie!

- *Tere-tere* - Kalu wyraźnie plątał się język.

Obrzucił mnie obojętnym spojrzeniem i... odwrócił wzrok. Nie rozpoznał mnie!

No, ale jakim cudem miałby mnie rozpoznać? Przecież w ostatnich dniach kardynalnie zmieniałam zarówno wygląd zewnętrzny, jak i swoją

osobowość. Zresztą, widział mnie bardzo krótko. Zbyt krótko, żeby mnie teraz rozpoznać.

- To wódka? - Czorbu z wyrzutem kiwnął głową.

- Nie, to jest pana koniak - zaprzeczył Kalu, po czym ponownie na mnie spojrział. - A to kto?

- Najpiękniejsza i najbardziej nadzwyczajna kobieta w tym mieście i tej nocy - górnolotnie przedstawił mnie Czorbu.

Teraz byłam już pewna, że Kalu mnie nie poznał. To na pewno dzięki nowej fryzurze i ubiorowi. I twarzy. A przede wszystkim dzięki oczom, zupełnie inaczej postrzegającym świat.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zainteresował się Mołdawianin.

- Jeszcze nie wiem... Za jakieś cztery dni. Napijcie się ze mną?

Czorbu odmownie pokręcił głową i, chwyciwszy mnie pod rękę, skierował się w stronę wyjścia.

- Kto to? - zapytałam szeptem.

- Rzecznik prasowy zmarłego wiolonczelisty - wyjaśnił Czorbu.

- A dlaczego wciąż tu jest?

- Nie mam pojęcia. Niech sama go pani zapyta, jeśli chce pani wiedzieć. Przez ostatnich kilka dni w ogóle nie opuszcza baru. Biedak. Zaostrzyłem go w dwa kanistry koniak, ale w tym przypadku nawet koniak nie pomoże... Zbyt wrażliwy chłopak.

Odwrociłam się, aby raz jeszcze rzucić okiem na „zbyt wrażliwego chłopaka”. Siedział przygarbiony. Wyglądał jak mały chłopiec, któremu weszła drzazga i który teraz usiłuje ją wyciągnąć. Podobizna równie przygnębionego chłopca wisiała w Tallińskim Departamencie Policji⁴³ i miała głęboki metaforyczny sens. W roli chłopca występowała pozbawiona wad Estonia, a w roli drzazgi, której koniecznie trzeba się pozbyć - cały element przestępczy.

⁴³ Mowa o obrazie przedstawiającym rzeźbę *Chłopca wyciągającego drzazgę* autorstwa Pitagorasa z Region, greckiego rzeźbiarza-brązownika, tworzącego w początku okresu klasycznego w Italii (przyp. tłum.).

Sama nie wiedząc dlaczego, po raz pierwszy poczułam szczerą współczucie dla Kalu i jego pochylonych zniewieściałych ramion. Kto wie, może podkochiwał się w swoim szefie i teraz naprawdę cierpiał?

Rozmyślając o różnorodności stosunków międzyludzkich, weszłam po schodach i stanęłam przed drzwiami do pokoju Aurela Czorbu.

Zatrzymałam się na moment, żeby bardziej poczuć powagę chwili. Po tylu latach przemierzania najróżniejszych ścieżek miłości, po raz pierwszy wchodziłam do pokoju hotelowego nie jako jakaś tam „nędzna lafi-rynda”, lecz jako „najbardziej nadzwyczajna dziewczyna w tym mieście i tej nocy”.

Jednak, jak się okazało, Aurel Czorbu nie zamierzał posunąć się dalej. Ograniczył się jedynie do określenia mnie takim zawilym górnołotnym zwrotem. I nic poza tym. Widać było gołym okiem, że nie będzie się do mnie przystawiał. Szczerze mówiąc, już się w tym wszystkim pogubiłam. Skoro go nie interesowałam jako kobieta, to co miał znaczyć ten przykry epizod z bluzką w jego gabinecie?

Po co mnie w takim razie zaprosił do hotelu? I do tego przemycił w taki dziwny sposób? I jeszcze napoił dwudziestopięcioletnią staruszką „Doiną”? I patrzy na mnie teraz rozweselonymi koniakiem oczami.

- Ot tak, po prostu - Czorbu jakby czytał w moich myślach.

Drgnęłam. Spojrzałam na niego. Wsunął do ust cybuch starej fajki.

- Chciałem, żebyś tu była ot tak, po prostu. Kocham na ciebie patrzeć.

- I to wszystko?

- I to wszystko. Od wina i od kobiety nie wolno żądać więcej, niż są w stanie dać.

- A skąd pan wie, ile jestem w stanie dać? - moje umiejętności zawodowe zostały podane w wątpliwość. Postanowiłam więc ich bronić.

- Po prostu to widzę. Już ci mówiłem: zawsze wszystko widzę i zawsze wszystkich obserwuję. Jestem właścicielem...

W tym momencie dotarło do mnie, że już po raz drugi tej nocy czuję do niego nieodparty pociąg... Było za późno, aby się mu przeciwstawić. Moje ręce oplotły szyję Mołdawianina, a usta wpiły się w jego wąsy.

Wąsy, wilgotne od koniaku, z posmakiem fiołków, bazylii i czarnej porzeczki. I odrobiny granatu. I odrobiny piołunu...

- Tak jak myślałem - szepnął mi do ucha Czorbu, kiedy w końcu ode-rwałam się od jego wąsów. - Nie umiesz się całować.

Słyszac podobne oszczerstwo, o mało nie padłam trupem! Jeszcze mocniej objęłam go za szyję. I wyczułam malutki warkoczyk, w który zebrane były jego włosy. Jego kruczoczarne, lekko przyprószone siwizną włosy. Ciekawe, czy Bashō też się tak czesał?

Jednak bez względu na to, jakiego zdania byłby o tym Bashō, kitka u czterdziestopięcioletniego faceta mogła uchodzić jedynie za swego rodzaju atawizm. Podobnie jak zaniebane wąsy. Żłoty ząb. Kamizelka poprzetykana końskim włosiem. Przepocone pachy.

Jakże chciałabym zapomnieć o wszystkim, o tym całym swoim parzywym życiu. Wyjechać z nim nawet bez ślubu, zamieszkać w zwykłym ceglany domu, co roku rodzić bliźnięta, doić kozy, podwiązywać przeciążone krzewy winogrona i wyciskać „Chardonnay” gołymi stopami...

„Chardonnay”.

Dlaczego przyszło mi na myśl właśnie „Chardonnay”?

Już wiem. „Chardonnay” lubiła Montezuma-Schokolade. A teraz znalazła się przeze mnie w trudnej sytuacji. A ja znalazłam się w trudnej sytuacji przez mordercę Olewa Kiwi. Nie jestem pewna, czy ten zbrodniarz nie siedzi teraz przede mną. Więc dlaczego tak mnie do niego ciągnie? Dlaczego nie mogę się powstrzymać?

Powinłam wsłuchać się w to, co mówi moje ciało.

Ale moje ciało milczało. Podobnie jak ciało Aurela Czorbu. Nie chciało zdradzić mi swoich skrytych pragnień.

Ale przecież, ale przecież...

Ten szorstki mołdawski facet, z daleka tracący myszką, był wyjątkowo nieprzewidywalny. Mógł dźgnąć wiolonczelistę i zostawić nóż w jego piersi. Tylko i wyłącznie po to, żeby pokazać, na co go stać.

Tylko i wyłącznie...

- Widzę, że już zasypiasz - jak przez mgłę usłyszałam głos Czorbu. - Chodźmy spać.

Po tych słowach ostrożnie zdjął mi buty, po czym przeniósł mnie na łóżko. Poczułam, jak unoszą mnie fale wypitego w ciągu tego wieczoru wina... Usłyszałam deszcz za oknem...

A może to Aurel bierze prysznic? A potem położy się obok mnie i nauczy, jak powinno się całować? Jeśli tak, to nie napotka z mojej strony żadnego oporu. Jakże cudownie będzie ujrzeć we śnie jego winnice! A rano obudzić się i...

Podskoczyłam jak oparzona. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, cały alkohol momentalnie wyparował. Ulotnił się. Wywietrzył bez śladu. A to wszystko dlatego, że już raz obudziłam się rano w tym hotelu. Piętro wyżej. I znalazłam obok siebie zwłoki!

Czy warto po raz drugi wystawiać los na próbę?

Rozejrzałam się dookoła. W pokoju nikogo nie było. Aurel gdzieś wyszedł. To dobrze. Dzięki temu nie będę musiała mu nic wyjaśniać.

Złapałam buty, rzuciłam pożegnalne spojrzenie na alkohol, którym umebłowany był pokój Mołdawianina. Po czym szybko wyszłam i ci-chutko zamknęłam za sobą drzwi. Znalazłam się na hotelowym korytarzu.

Nie martwiłam się o to, że Aurel Czorbu rzuci się za mną, żeby mnie zatrzymać.

Byłam pewna, że się nie rzuci.

Był na to zbyt inteligentny. Potrafił uszanować czyjąś decyzję.

Usiadłam na dywanie i zawiązałam buty. A następnie obejrzałam się za siebie. Za mną został pokój Czorbu. Jeśli stanąć do niego tyłem, to po lewej stronie, pod jedyneką mieszka Günther Knoblauch. Po prawej zaś - pod czwórką - Kalu Kullemaie. Obydwaj kiedyś pili razem z Mołdawianinem i aktorem Ilją Slipecowem. Dziwne towarzystwo. Co wspólnego ze sobą mieli tak różni ludzie? Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić biznesmena-pedanta z Hamburga żłopiącego koniak z jakimś chłoptasiem ochlajtusem z Mołdawii.

A na dodatek - Teo Lhermitte. Jako piąty w tym towarzystwie występował Teo Lhermitte. Czorbu wyraźnie powiedział - „i jeszcze jakiś cudzoziemiec”. Tylko dlaczego nie określił go innymi słowami? I zdawkowo się uśmiechnął, kiedy mówił: „jeszcze jakiś cudzoziemiec”? To było bardzo oględne sformułowanie. Zbyt ogólne. Co więcej, upokarzające.

Wszystkich pozostałych imprezowiczów nazwał po imieniu i w kilku słowach powiedział, czym się zajmują. A Teo Lhermitte'a - nie. Mimo że przecież jego działalność była bardzo podobna do działalności obywatela Szwajcarii. A to powinno wzbudzić w nim co najmniej przyjazne odczucia.

Powinno, ale nie wzbudziło.

Chyba nigdy się w tym wszystkim nie połąpię!

Przeszłam korytarzem obstawionym wazonami z kwiatami, po czym znalazłam się przed wyjściem awaryjnym. Zorientowanie się w rozkładzie pomieszczeń zajęło mi zaledwie kilka chwil. Schody prowadzące na parter wychodziły na korytarz, z którego można było dotrzeć do kilku pokoi i kuchni, znajdującej się tuż obok baru.

A na górze, na drugim piętrze, świeciła (obecnie już samotnie) gwiazda melodramatów - Ilja Slipecow. Pozostali sąsiedzi - Olew Kiwi oraz Teo Lhermitte - już dawno go opuścili.

I wyglądała na to, że na zawsze.

Nie odważyłam się podejść do jakichkolwiek drzwi. Ani do drzwi pokoju Olewa Kiwi, z którego uciekłam w tak tragicznych okolicznościach, ani do żadnych innych. Bardzo się bałam, że zaraz ktoś z nich wyjdzie.

Pogrążona w niewesołych rozważaniach, zesłam na pierwsze piętro i prawie od razu wpadłam na Polinę Czarską.

Wyglądała, jakby dopiero wróciła z nocnych zdjęć. Była w złym nastroju. Widocznie znów ktoś jej założył za skórę. Na mój widok zdenerwowała się jeszcze bardziej.

Przez chwilę przypatrywała mi się uważnie. Jej błyszczące ze złości oczy się zaokrągliły, nozdrza - rozdęły, a przez poplątane włosy przebiegła iskra. Jakby nastąpiło w nich wyładowanie elektryczne. Pomyślałam, że jak tylko otworzy usta, natychmiast wyleci z nich piorun.

- Witam - powiedziała łagodnym głosem. - Nadal nie ma pani zamiaru mnie zostawić w spokoju?

Nie miałam w swoich planach spotkania z Czarską. Nie byłam na nieprzygotowana. Posłałam jej wymuszony uśmiech i już zamierzałam się ulotnić, kiedy nagle przypomniałam sobie o prośbie Kaje, żeby zdobyć autograf Tej Suki. Po tym wszystkim, co Kaje dla mnie zrobiła, głupio byłoby nie skorzystać z nadarzającej się okazji. Tak niewiele, a ucieszy przyszlą matkę...

- Nie zajmę pani dużo czasu - powiedziałam.

- Niech pani wejdzie.

- Możemy porozmawiać na korytarzu...

- Niech pani wejdzie.

Jej głos się załamał, ręka wpiła się w mój łokieć i tak - złączone ze sobą niczym partnerzy w tańcu „cza-cza” - wpadliśmy do pokoju.

Czarska przekręciła klucz w zamku, po czym schowała go do tylnej kieszeni dzinsów. Popatrzyła na mnie z dziką żądzą i zapytała:

- Ma pani na imię Kaje?

Zmarszczyłam nos. To ciągle zonglowanie imionami z pewnością do niczego dobrego mnie nie doprowadzi. Ale, o ile dobrze pamiętam, Czarskiej przedstawiłam się właśnie jako Kaje. Tak. Na pewno. To było zaraz

po tym, jak ją nastraszyłam swoim mieczem z kartonu - kaleczonym estońskim.,.

- Zgadza się. Nasze poprzednie spotkanie nie było zbyt udane... - Waria, pamiętaj, że twoim celem jest zdobycie jej autografu. Za wszelką cenę!

- Dlaczego? Moim zdaniem było nawet bardziej niż udane... - uniosła jedną brew. - A jak się miewają pani zleceniodawcy, o których interesy pani tak walczyła? Spadkobiercy Olewa Kiwi.

- Dziękuję. Dobrze...

Nie bardzo wiedziałam, do czego ona tak naprawdę zmierza. Jednak sposób, w jaki wypowiedziała imię „Olew”, wzbudził we mnie niepokój. W jej głosie nie słyhać już było żadnego strachu, rozpachy, czy też desperacji. Wyglądało na to, że Olew Kiwi przestał ją przerażać. Za to była najwyraźniej na siebie wściekła:

Jak mogłam ja, Polina Czarska, uznać za Szatana jakąś parszywą gni-dę?! Próchno wypchane flakami! Padalca z zeszytem z nutami dla początkujących?!”

- A kasetą? Chyba rozumie pani, o czym mówię?

Znowu ta historia z kradzieżą klejnotów! Ale teraz Czarska zachowuje się inaczej, niż za pierwszym razem, kiedy to wisiałyśmy na podnośniku budowlanym nad Sankt Petersburgiem. Albo udało jej się zdobyć tę kas-etę, albo...

- Nie posiadam żadnych informacji na ten temat - rozsądnie wy-par-łam się kasety.

- Aha, nie posiada pani żadnych informacji!

Nawet na mnie nie spojrzała. Jej oczy błyskawicznie zlustrowały cały pokój i zatrzymały się na lampie ceramicznej w latynoamerykańskim stylu.

- A więc mówi pani, że nie posiada żadnych informacji! Ty... czuchoń-ski wycieruchu!!! Za to ja posiadam... informacje! I twoim... parszywym zleceniodawcom jaja pouryvam!

Miała naprawdę poważne zamiary. Potwierdziła je lampa, która pole-ciała w moją stronę. Skuliłam się (jakbym uchylała się przed obślinio-nymi ustami swojego klienta) i lampa z ogłuszającym łoskotem rozbiła się o ścianę.

- O co chodzi?! - pisałam, schowawszy się za najbliższym fotelem. - Co się dzieje?!

- Ty... Nie wiesz, o co chodzi?! To zaraz się dowiesz! Już ja ci to do-
brze wytłumaczę! Ty wstrętna łajzo!!!

Przez następne dziesięć minut Czarska rzucała mi najbardziej wyszukany-
mi przekleństwami w najbardziej wyszukanych kombinacjach. Jakby tego było mało, rzucała przy tym we mnie, czym popadło. Scho-
wana za fotelem starałam się odgadnąć, co przed chwilą wpadło w jej
ręce na podstawie odłamków, które poniewierały się na podłodze.
Oprócz wspomnianej lampy w moją stronę poleciały: telefon, dwie bu-
telki szampana, oszklona reprodukcja obrazu Pietrowa-Wodkina *Pla-
wienie czerwonego konia*, inkrustowany masą perłową kinkiet, wazon z
żywymi różami, kilka kieliszków i filiżanek oraz ekskluzywne perfumy
„Noa Noa” Niemca Otto Kerna (niemieckie wyroby perfumeryjne są
okropne!).

Na tym zapas przedmiotów do potłuczenia się wyczerpał i Ta Suka
przerzuciła się na inne, nietłukące. Na szczęście po parze ciężkich gla-
nów, skórzanej torbie podróżnej i telefonie komórkowym jej bojowy
zapał nieco ostygł. Tym bardziej, że właśnie ktoś ostrożnie zapukał do
drzwi.

Pomyślałam, że to pewnie obsługa hotelowa zaniepokojona hałasem,
dochodzącym z naszego pokoju. W duchu podziękowałam patronowi
hotelowo-turystycznego biznesu.

- Czy coś się pani stało, pani Polino? - rozległ się za drzwiami czyjś
stłumiony głos.

- Zjeżdżaj stąd, gnojku! Ja ten wasz... hotel zmiotę z powierzchni
ziemi...

- Po prostu się martwimy - głos nie dawał za wygraną.

- Wszyscy... się martwią! Tylko ja się nie martwię!

- Jeśli czegoś pani potrzebuje...

- Niczego nie potrzebuję... jasna! O, Boże, nawet nie dadzą odpocząć
artystce!

W pomieszczeniu zapanowała niczym niezmacona cisza. Po chwili
odważyłam się wyrzucić zza fotela. Polina Czarska stała pośrodku pokoju
z szeroko rozstawionymi nogami i skrzyżowanymi na piersi rękami.

- Ja, oczywiście, rozumiem, że kobiety i wielbłądy istnieją po to, żeby
je bić - powiedziałam przymilnie. - Ale może byśmy najpierw porozma-
wiały?

- Wasza przeklęta czuchońska spółka przez pół roku trzymała mnie w garści. Pół roku mnie szantażowaliście. Bez żadnych wyjaśnień. A teraz chcesz ze mną rozmawiać? No, dobrze... Porozmawiajmy.

Z gracją przeszła przez pokój, podniosła swoją skórzaną torbę i wyjęła z niej dość duży, płaski futerał. I rzuciła mi go.

- Poznajesz?

Otworzyłam pudełko. Na aksamitnej poduszce leżały: kolia, kolczyki i pierścionek. Z najprawdziwszymi w świecie, skrzącymi się brylantami! Czy to przypadkiem nie jest ten komplet, który Czarska próbowała zakosić z sejfu Olewa Kiwi? Ale jakim cudem ma go teraz? Przecież go podobno zwróciła? No i obchodzi się z nim z takim lekceważeniem. Dlaczego?

- Poznajesz? - powtórzyła Polina. - Wiolonczelowe beknięcie.

- Ale jak... W jaki sposób do pani trafił?

- Do mnie? Nie, nie do mnie. Do naszego rekwizytora. Ten łajdak kupił go w antykwaracie. Na potrzeby serialu. Możesz mi pogratulować. Będę go nosić w następnej serii.

- No to o co chodzi? Przecież w końcu sama tego chciałaś - odparłam, po czym od razu pożałowałam swoich słów! Wkurzona Czarska właśnie zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu ciężkich przedmiotów.

- Telewizor - odpowiedziałam odruchowo. - Rozbija się z wielkim hukiem i ofiara nie ma żadnych szans.

Moja uwaga nieco ją otrzeźwiła. Westchnęła, na parę minut zniknęła w sypialni i wróciła stamtąd z dwoma (jeszcze nierozbitymi) kieliszkami i butelką brandy.

- Będziesz pić?

Opary wina na wyścigi rzuciły się w stronę mojej głowy i zaczęły mi podszeptować: „Powstrzymaj się, Warwaro! Masz już dość na dzisiaj!”

- Na dzisiaj mam już dość.

- A ja się napiję. Opluczę kamyki.

Po tych słowach niedbale wrzuciła klejnoty do pełnego kieliszka i jednym łykiem go opróżniła.

- Jak widzę, nie jesteś zadowolona...

- Nie jestem zadowolona? - Czarska wybuchnęła śmiechem. - Jestem wręcz szczęśliwa! Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę fakt, że przez cały ten czas rozpaczałam z powodu podróby! Podróby! Podróby!!!

Odniosłam wrażenie, że jeszcze chwila i obłąkana aktorka wpadnie w histerię. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Ponownie napiła się brandy, która najwidoczniej potrafiła ugasić wewnętrzny pożar jej wściekłości.

- To nie są żadne brylanty - powiedziała głuchym, bezbarwnym głosem Czarska. - Tylko najzwyklejszy kryształ górski! Kryształ górski po sto trzydzieści dolarów za kilogram. Dobrze oszlifowany kryształ górski i polącane srebro! Falsyfikat! Ależ jestem głupia! Nie dość, że chciałam ukraść falsyfikat, to jeszcze dałam się złapać! A ten bydlak nagrał to na taśmę, kazał mi się wynosić i zaczął szantażować!

Dopiero teraz zaczął do mnie docierać sens tej chaotycznej wypowiedzi.

Brylanty zmarłej Ałły Kodriny, które wpadły w oko aktorce, wcale nie były brylantami! Ale przecież to po prostu niemożliwe! Przecież posiadacz znanej w całej Europie kolekcji klejnotów, Olew Kiwi, nie trzymałby u siebie w sejfie tombaku. I nie wymierzałby pokazowej chłosty drobnej złodziejce!

- Ale skąd wiesz, że to są te same kamienie? - zapytałam.

Czarska wyraźnie się ożywiła. Widać było, że sprawa fałszywych brylantów zaprzęta ją na tyle, że po prostu musi się nią z kimś podzielić. Z kimkolwiek. Nawet ze mną.

- Tak długo się im przyglądałam, że nauczyłam się ich na pamięć! Jeszcze wtedy, w Wiedniu!

Odwróciła się do mnie plecami, nachyliła cienką, jak u wróbla, szyję i wydała rozkaz:

- Bierz futerał!

Usadowiłam się wygodnie w fotelu i wzięłam etui do rąk.

- Tak mniej więcej siedemnaście centymetrów na osiem i pół. Zgadza się?

- Nie jestem pewna... Nie mam linijki...

- Siedemnaście na osiem i pół - powtórzyła z uporem Czarska. - Ciemnoniebieska skóra. Na powierzchni pokrywki jest mała ryska w lewym górnym rogu.

- Rzeczywiście - koniuszkami palców dotknęłam rysy. - Jest.

- Otwórz!

Posłusznie wykonałam polecenie i zaczęłam wpatrywać się w jego puste wnętrze.

- Czerwony aksamit. I znów lewy górny róg... - zniżyła głos i szeptem dodała: - Odegnij. Powinny tam być inicjały „O.R.K.”. Są?

„Oby ich nie było” - zaczęłam się w duchu modlić. Nie przeżyję kolejnego natarcia ze strony ciężkich przedmiotów!

Jednak inicjały były. Zatwardziałe, bezczelne, dumne niczym paw inicjały: „O.R.K.”.

- Są? - w gardłowym szepcie Czarńskiej słychać było błaganie.

- Są - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

- Są! - wykrzyknęła Ta Suka. - Są! Są! Wiedziałam!

Takiej składnej wiązanki wymyślnych przekleństw jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam. A przecież zabawiałam się z mnóstwem źle wychowanych facetów. Najgorsze lumpy powinny chylić czoła przed tym cudownym słownictwem.

- No dlaczego go nie ukatrupiłam?!

- Kogo?

- Tego drania. Olewa Kiwi! A jeszcze się tak wynętrzał, powoływał na pamięć o swojej żonie! „Prezent ślubny! Prezent ślubny!”. Gnida dworska! Skończone bydlę! Przebrzydły gnój! Śmierdząca łachudra!

- Słuchaj, a gdzie ty się takich słów nauczyłaś?

Czarka się zacięła.

- Poczytaj sobie któryś z tych niskobudżetowych, chusteczkowych scenariuszy, to jeszcze nie tak będziesz ćwierkać - warknęła.

Odetchnęłam, po czym z prawdziwą sympatią spojrzałam na tę łobuziarę. Między nami, o dziwo, całkiem niepostrzeżenie nawiązały się względnie przyjacielskie stosunki. Nie przeszkodziły w tym nawet odłamki reprodukcji *Pławienie czerwonego konia*.

- Nie gorączkuj się tak. Wyciągasz zbyt pochopne wnioski - spróbowałam ją przekonać. - Futerał jeszcze o niczym nie świadczy. Oprócz niego jest kolia...

- Aha. Z kryształem górskim.

- Ale dlaczego? To może jest po prostu kopia, a oryginał...

- Ty naprawdę nie rozumiesz? To jest... oryginał. A przynajmniej to jest właśnie ta rzecz, którą wyciągnęłam z jęgo... sejfu!

Wytrząsnęła kolię z kieliszka i rzuciła mi na kolana. Po czym ponownie odwróciła się do mnie plecami.

- Sprawdźmy?

- Dawaj - ułożyłam kolię porządniej i, korzystając z okazji, uważnie się jej przyjrzałam. Centralna część, ozdobiona mnóstwem drobnych (brylantów? albo, nie daj Panie Boże, kryształków górskich!), uwieńczona była okazałym kamieniem w kształcie gruszki, zatopionym w złocie. Wyglądał jak mała łezka. Cała ta wspaniałość trzymała się na dość sztywnej obręczy.

- Dwadzieścia siedem kamieni - Polina zaczęła raczyć mnie arytmetycznymi obliczeniami. - Szesnaście w centrum. Po pięć z dwóch stron obręczy. I największy - na dole. Jajeczko wielkanocne... mać! Zapięcie w kształcie wężyka... Głowa służy jako sprzączka, a ogon - jako haczyk. Wszystkie kamienie, oprócz tego największego, są ośmiokątne, kwadratowe i owalne... Dupek!!! Tak mnie wyprowadzić w pole!!!

Czarska opisała kolię z fotograficzną dokładnością, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

- No i co, wszystko się zgadza?! - wrzasnęła, gwałtownie odwracając się w moją stronę i wymachując przy tym rękami.

- Tak. Wszystko się zgadza. Ale biżuterię często się podrabia. I to dość precyzyjnie. Wtedy miałaś do czynienia z oryginałem, a teraz wpadła ci w ręce kopia. I tyle.

- Nic nie rozumiesz! - znów sięgnęła po brandy. - Wtedy miałam do czynienia dokładnie z tą rzeczą! Ma zalutowaną sprzączkę! Przyjrzyj się uważnie.

Posłusznie podniosłam kolię do oczu i zaczęłam się jej przyglądać. Po chwili dostrzegłam cienki, cieniutki ślad lutu.

- Przekonałaś się na własne oczy? A teraz najważniejsze. W tym dużym kamieniu jest skaza. Plamka. W samym jego sercu.

Stwierdziłam obecność plamki. Nie pozostawało mi nic innego, jak przyznać jej rację.

- Rozumiem wszystko - kontynuowała swoje wywody Czarska. - Można zrobić kopię na podstawie oryginału. Można nawet zalutować zapięcie, jeśli chce się osiągnąć stuprocentowe podobieństwo. Ale ta... pioruńska plama na kamieniu! Tego nie da się podrobić!!!

Nie da się.

Ma rację. Istnieją podobne kamienie, ale nie identyczne. Tak samo jak odciski palców. O czym zdążyliśmy się już z Monti przekonać po wizycie w Tallińskim Departamencie Policji.

Ta myśl poruszyła mnie do tego stopnia, że musiałam wzmocnić się brandy.

- Ten poroniony smyczek straszył mnie kasetą i groził, że poda mnie na milicję jako złodziejkę jego biżuterii. A jak się okazuje... nabrałam się na podróbkę!

- Rzeczywiście, to dziwne - chciałam po przyjacielsku trącić się z nią kieliszkiem, ale ta raptem przypomniała sobie swoje poniżenie na podnośniku budowlanym.

- A ty też przecież, ty świński ryju...! Ty też próbowałaś mnie szantażować!

- Nie wiedziałam... nie zdawałam sobie sprawy... - zakwiczałam, jak przystało na świński ryj. - Ale teraz nic już do pani nie mam. Naprawdę!

- Za to ja mam sporo do tej waszej czuchońskiej Obszczylandii!

- Tak?

- A żebyś wiedziała! Pojutrze mam wywiad. Już ja wam obsmaruję te wasze estońskie tyłki! Dostaniecie za swoje! Szkoda tylko, że ten... patafian wyciągnął kopyta! Jemu pierwszemu by się oberwało!

- Moim zdaniem, to trochę pani przesadza...

Czarska wreszcie oderwała się od swoich problemów i znów wlepiła we mnie wzrok. Jej oczy zapłonęły nienawiścią.

- Mówisz, że przesadzam? A przychodzić do mnie na plan zdjęciowy, napsuć mi krwi i próbować mnie szantażować - to nie była przesada?

Kątem oka oszacowałam odległość do zbawiennego fotela. Niestety, była znacznie większa niż odległość do trójramiennego, miedzianego świecznika. Niewiarygodne, jakim cudem on jeszcze przetrwał!

Jeśli pójdzie w ruch świecznik, to będzie ze mną krucho.

Na szczęście Czarska ograniczyła się do chluśnięcia mi w twarz brandy. Podobnie jak ja przed kilkoma dniami. Z tym, że wtedy zamiast brandy występowała kawa.

- Jesteśmy kwita - uśmiechnęła się, wyraźnie z siebie zadowolona. - A teraz gadaj, dlaczego mnie szantażowałaś?

- Ale czy ja cię szantażowałam? Sama to sobie ubzdurałaś. A ja chciałam po prostu dowiedzieć się czegoś o tej biżuterii - skłamałam.

- Tak?

- Nic mnie nie obchodzi, co tam wyjęłaś z tego sejfu... Ty mnie w ogóle nie obchodzisz.

- Naprawdę? - Czarska nieufnie bąknęła. - Ale z ciebie mała. Ale to i dobrze. Sama jestem małą. Tak perfidną, że nie dorastasz mi nawet do pięt. Może zaprzeczysz?

- Nie zaprzeczę.

- No widzisz. Golnijmy sobie. Za nasz małą ród...

- A jak do ciebie trafiła? Ta kolia - zapytałam ostrożnie, wycierając resztkę brandy z podbródka.

- Już ci mówiłam. Rekwizytor. W następnej... idiotycznej serii mam szukać... tego cacka. No i przy okazji pieprzyć się do utraty przytomności z jakąś nadgorliwą fujarą, która ma je na oku. I dzisiaj ten kundel, nasz rekwizytor... przynosi... futerał. Że niby kupił w antykwariacie, żeby upiększyć... ten serial, tę denną operę mydlaną. I nadać wiarygodności wydarzeniom.

- A za ile kupił?

- Za sto pięćdziesiąt dolarów! Rozumiesz?! Sto pięćdziesiąt! W mordę kopany! Lepiej by było, gdybym o tym nie wiedziała!

- A w jakim antykwariacie?

Czarska pogrzebała w swojej torebce i podała mi okropnie pognieciony paragon oraz potwierdzenie sprzedaży.

- Wzięłam sobie na pamiątkę. Jak przyjadę do Moskwy, to powieszę w ubikacji... Albo nie - zmarszczyła czoło. - Jeszcze lepiej. Najpierw powiełę na kserokopiarce, a potem wytapetuję cały kibel. Aż do samego sufitu. Żeby przypadkiem nie zapomniała o swojej... głupocie!

Przestałam słuchać jej nadawania i dokładnie obejrzałam kwit. Komplet, składający się z trzech przedmiotów (kolia, kolczyki i pierścionek; kryształ górski; pozłacane srebro), sprzedany został za 4200 (cztery tysiące dwieście) rubli w sklepie z antykami „Turkus”.

Znałam ten salon. To był taki byle jaki sklepik. Podczepił się pod miejski lombard. Specjalizował się w pozyskiwaniu wartościowych przedmiotów od niezamożnych leciwych staruch. Najciekawsze jednak było to, że wcześniej ten komplet został przyjęty w komis od p. I.I. Schamne.

„I.I.” - nie inaczej, tylko „Iłarion Iłarionowicz” - pomyślałam odruchowo.

I natychmiast cały pokój zawirował mi przed oczami, a wraz z nim piekląca się aktorka.

I.I. Schamne.

Hłarion Hłarionowicz Schamne - nielegalny jubiler, specjalista od kamieni, szczywany lis. Związany z Olewem Kiwi. Właściciel podobnego sklepu, noszącego jedynie inną nazwę - „Sklep z antykami”. Ale dlaczego LI. Schamne zaniósł te świcidelka do innego sklepu, zamiast wystawić je u siebie?! Sam osobiście się pofatygował. Sam osobiście oddał do komisu...

To zupełnie pozbawione logiki.

To nie miało żadnego sensu. Potwierdzało jedynie znajomość jubilera i wiolonczelisty. Nie ma co ukrywać - wielkich mistrzów w swoim fachu!

- Co z tobą? - Czarska pstryknęła palcami przed moim nosem.

- Nic... Słuchaj, a nie mogłabyś mi dać tego kwitu?

- Po co?

- Wykołowano mnie tak samo jak ciebie - postanowiłam zagrać z nią w grę „Wszystkie małpy świata łączcie się!”. - Dlatego potrzebny mi ten paperek.

Czarska się zamyśliła. Perspektywa osierocenia moskiewskiej ubikacji z dokumentalnego potwierdzenia jej własnej... głupoty najwyraźniej nie bardzo jej się uśmiechała.

- A ja w zamian za to dowiem się wszystkiego na temat kasety - uciekłam się do ostateczności. - Przecież jeszcze nie odwołano tego szantażu. I jakkolwiek by na to patrzeć, na nagraniu włamujesz się do cudzego sejfu.

Ten argument przyniósł zamierzony efekt.

- Tak sądzisz? - zmarkotniała.

- Jestem tego absolutnie pewna.

- Dobrze. Weź.

Kiedy bezcenny kwit był już w moim posiadaniu, zaczęłam się zastanawiać, jak mogłabym się jeszcze odwdzińczyć Czarskiej.

- Jeśli chcesz, to mogę ci pomóc ogarnąć z grubsza ten bałagan.

- Jeszcze czego! - prychnęła. - Co to za niewolnicze myślenie?! Niech się tym zajmie ten, kto powinien się tym zająć. Ten, komu za to płacą. Nie jestem pokojówką ani sprzątaczką.

- Ale... - omiotłam spojrzeniem pokój. Istne pobojuwisko. Obraz nędy i rozpaczy. Poligon po ćwiczeniach z bronią jądrową. - Nieźle tu narozrabialiśmy. Zbierze się okrągła sumka.

- Ekipa pokryje wszystkie koszty - beztrąsko stwierdziła Czarska. - Z parszywej owcy choć sierści kłak.

- Myślisz, że zapłacą?

- A mają inne wyjście?! Wszędzie, gdzie pracuję, w kosztorysie dokładają dodatkową pozycję. Zatytułowaną „Nieprzewidziane wydatki i niespodziewane okoliczności”. Jeśli nie ma takiego punktu, to nie zaczynam żadnych negocjacji.

- Sprytnie! - zachwyciłam się.

- No! Takie aktorki jak ja na drodze się nie walają. Wszyscy reżyserzy mnie nienawidzą! Ryczą, pomstują, rwą włosy z tyłków. Ale nie mogą nic zrobić. Bo ja ich trzymam w garści, tych... śmierdzących skunksów! - Czarska zacisnęła dłoń w pięść.

- Nieźle... Może skoczę po jakiegoś dopalacza? - wymownie spojrzałam na pustą butelkę po brandy. - Tu jest jeden taki Mołdawianin...

Wspomniawszy Aurela Czorbu, od razu sobie przypomniałam wszystkie minione wydarzenia. Jednak Ta Suka nie dała mi się pogrążyć we wspomnieniach.

- Znam tego Mołdawianina. Partacz. Zapyziały gnojek. Nie uznaje niczego poza tymi swoimi obrzydliwymi pomysłami. Gdyby mógł, toby w nich wszystkich potopił. A potem by duszyczki przesłuchiwał. Na swoim własnym Sądzie Ostatecznym. A poza tym... za zbyt wiele spraw się zabiera. Nie znoszę takich... kołchoźników!

W jej głosie powiało najwykleszą w świecie zawiścią. W walce o dusze i umysły pokornego ludzkiego stada Aurel Czorbu i Polina Czarska stanowili nieprzejednanych konkurentów. Jednak w tej chwili coś innego zaprzętało moją głowę. Przecież Polina już długo tu mieszkała. A więc z pewnością może wiele powiedzieć o każdym z hotelowych gości. A cudzy punkt widzenia jest zawsze ważny, nawet jeśli jest to tylko punkt widzenia skończonej suki.

- Wesolo tu macie - ostrożnie zaczęłam temat. Nie chciałam jej spłoszyć, tym bardziej, że miała wyraźnie lepszy humor.

- Aha. Wesolo. Jak w domu żydowskiej biedoty. Jednego posłali do piachu... Dlaczego ja tego nie zrobiłam?! - znowu zmieniła wątek.

- Podobno jego rzecznik prasowy nadal tu przebywa...

- Naprawdę?

- Sama go widziałam. Dzisiaj w nocy. Co to za gość?

- Taki sam mięczak, jak jego zmarły szef... Spotkałam go zaledwie kilka razy.

- A czy... w Wiedniu go nie było?

Wspomnienie Wiednia, a co za tym idzie - romansu z Olewem i nieudanej kradzieży fałszywej biżuterii, było dość ryzykownym posunięciem. Na szczęście Czarska odebrała moje pytanie stosunkowo spokojnie.

- Ja go tam nie widziałam - odparła. - Ale wtedy w ogóle mało co widziałam. Poza łóżkiem, rzecz jasna. Głupia byłam.

- A jest tu jeszcze jeden aktor - prędko zmieniłam temat i podsunęłam jej kolejną postać. - Ilja Slipecow.

- Slipecow? Nie ma takiego aktora! Pierwszy raz słyszę.

- W gruncie rzeczy to interesuje mnie jeden cudzoziemiec. Teo Lhermitte, znawca sztuki. Też tu mieszkał.

- Teo Lhermitte? - Czarska na chwilę się zamyśliła. - Niemiec?

- Nie. Jest ze Szwajcarii.

- Szwaba znam, mieszka obok kołchoźnika. Biznes-szczur... A znawca sztuki... Nie, nic mi to nie mówi.

Cóż, nieuchwytny Teo Lhermitte wciąż pozostaje nieuchwytny! Najwyższy czas skoczyć po brandy.

- No to co z tym alkoholem? Zorganizować?

- Nie, nie trzeba. Zaraz zamówimy do pokoju - rozejrzała się w poszukiwaniu telefonu i natychmiast odkryła jego zmasakrowane zwłoki na podłodze. I rychło w czas przyznała się do błędu:

- Holender, z telefonem to chyba naprawdę przesadziłam...

- Mogę pójść.

- A weź przestań... Niech chodzą ci, którym za to płacą. Poczekaj, zaraz grzmotniemy czymś ciężkim, to momentalnie się zjawią...

Z „ciężkiej artylerii” w pokoju został jedynie miedziany świecznik, telewizor z magnetowidem i lustro w masywnej oprawie, ozdobionej podobiznami Wenus i Amora. Ociupinka Amora było mi szczególnie szkoda.

- Pójdę. Nie zabawię długo. Brandy może być?

- Nie - przygryzła wargę. - Brandy mają dziadowską. Ale skoro już idziesz, to zamów mi „ostrygę na pustyni”.

- Że co???

- Whisky z dżinem.

Kiwnęłam ze zrozumieniem głową. Tę wątpliwej jakości mieszankę zawsze lubiła Kaje...

A właśnie, Kaje! Trzeba wreszcie zdobyć ten autograf.

- Słuchaj... Póki jeszcze jesteśmy stosunkowo trzeźwe... Nie mogłabyś mi dać swojego autografu?

Czarska rozpląnęła się w uśmiechu.

- No tak! A mówiłaś, że wcale cię nie obchodzi! No już, dawaj go tu!

I zanim się zorientowałam (*kurat!*), Polina wyjęła mi z ręki nieszczęsny kwit z „Turkusu” i odwróciła na drugą stronę. A następnie żarliwie pstryknęła długopisem, wydobytym z torby podróżnej.

- Co mam napisać?

Ze smutkiem popatrzyłam na jedyny dowód rzeczowy przeciwko I.I. Schamne. Ale było już za późno. Nie dałam rady wyrwać go z nieprzewidywalnych aktorskich łap.

- No co? - ponagliła mnie Czarska.

- No to tak - wyróciłam oczami - „Kaje z najlepszymi życzeniami”. No i podpis, ma się rozumieć.

Czarska z wysiłku aż wysunęła język. A napisanie czterech nędznych słów i jednego przyimka zajęło jej znacznie więcej czasu, niż mogłam przypuszczać. Wreszcie skończyła swą poetycką twórczość i podała mi paragon.

- No i jak? Może być?

Jesteś równa babka, Kaje. Przynajmniej jedna normalna gęba w tym przez Boga zapomnianym miasteczku. Zarąbiście się zabawiłyśmy. Czuchońska Obszczylandia to gnojowisko! Ruskie - szambo! Niech żyje Wyspa Wielkanocna! Wszystkie suki świata łączcie się! Polina Czarska”.

- Oryginalnie - zdołałam z siebie wykrztusić. - A co tu ma do rzeczy Wyspa Wielkanocna?

- Tam nie ma tłumów. I dzięki temu nie śmierdzi. Dopisałam ci jeszcze numer swojej komórki. Jeśli się kiedyś wybierzesz do Moskwy, to zadzwoń. Odwiedź mnie. Z przyjemnością cię ugoszczę. Jeśli oczywiście będę w odpowiednim nastroju... w dobrym nastroju...

- A jeśli będziesz w złym?

- Polecisz ze schodów.

Byłam pewna, że nigdy do niej nie zadzwonię. Nawet gdybym nie była już poszukiwana, to przecież nie wiadomo, czy Czarska chciałaby mnie poznać. No i czy ja chciałabym poznać ją...

- Dobrze - wstałam i schowałam kwit do kieszeni. - Lecę po „ostrygę na pustyni”...

* * *

W barze było pusto, jeśli nie liczyć barmana (najprawdopodobniej był to Andron Czulałki, gość z dossier Siergieja Siniienki).

No i rzecz jasna, na wpół śpiącego Kalu Kullemaie, który siedział w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiliśmy z Aurelem.

Barman czytał książkę. Robił to z takim zapalem, że nawet mnie nie zauważył. Dopiero gdy nerwowo postukałam palcami po blacie baru, oderwał się od lektury.

Zamówiłam dla Czarskiej „ostrygę na pustyni”, a dla siebie szklanek wody mineralnej. I od razu skorzystałam z okazji, żeby porozmawiać z tym zrusyfikowanym Grekiem.

- Jakoś tu pusto... nie ma pan klientów?

- Cienizna, to prawda - zblazowany barman z radością włączył się do rozmowy. - A gdyby tak jeszcze częściej kogoś sprzątnęli, to w ogóle zostałyby same stoły. Jest pani z ekipy tej szajbuski?

- Tak - potwierdziłam. - Przywiozłam ją ze zdjęć. Jak się pan tego domyślił?

W odpowiedzi potrząsnął butelką Johnny Walker Black Label”.

- Whisky z dżinem to jej ulubiony napój. Zaraz się ubzdryngoli i zacznie łamać wszystkie sprząty. Te, które jeszcze zostały.

- Tu też?

- A jak! Normalna sprawa... Sama pani powinna o tym wiedzieć, skoro pani z nią pracuje.

- A co to za historia z tym zabójstwem? - zniżyłam głos do poufalego szeptu. - Podobno jakaś kobieta...

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - uciał barman i zaczął przecierać kieliszki. Z miejsca wydał mi się przystojny. Nie szpecił go już nawet długi szpiczasty nos.

- Ale przecież w gazetach było...

- Za dużo pani czyta. Już ja wiem swoje. Wszystkich tu przesłuchiwali. Gości. Na moich oczach... O tam, przy tym stoliku, przy którym teraz

śpi ten chłopak. Tak *à propos*, pomocnik ofiary... I wszyscy równie kiepsko wypadli.

- Kto?

- Mieszkańcy sąsiednich pokoi! Aktoreczka wpadła w histerię. Aż się cała trzęsła. Nawet zemdlła. Takie sceny powinno się filmować! Niech pani to przekaże waszemu reżyserowi! Ta łązga - barman kiwnął w stronę drzemiącego Kalu - przez cały czas nawijał po estońsku. Po rosyjsku powtarzał tylko trzy słowa: „Dziewucha go zabiła”. Tylko tyle. Ze trzydzieści razy to powtórzył. A jeden to w ogóle zjawił się dopiero pod wieczór. I cygańił, że nie znał nieboszczyka. Że go nawet nigdy nie widział...

Tylko jedna osoba wyjechała z hotelu po śmierci Olewa Kiwi - Teo Lhermitte. Zaniepokoiłam się:

- Myśli pan, że naprawdę kłamał?

- No pewnie! Ja nie myślę. Ja to wiem. Oni wszyscy nie po raz pierwszy się tu zatrzymują. A hotel jest mały. Zimą zeszłego roku ci dwaj nawet ze sobą pili. Nieboszczyk i ten, który tak późno wrócił. No i jak pani myśli, dlaczego kłamał, że się nie znali?

- Może chciał uniknąć kłopotów? Zbędnych pytań? Składania dodatkowych wyjaśnień? - poczułam, jak drga we mnie jakaś dziwna struna.

- Ha! - Andron Czulałki przechylił się przez bar i zbliżył do mnie swój nos. - Jakie dodatkowe wyjaśnienia? Wszystkich przesłuchiowano tylko dla czystej formalności. Nikt nikogo o nic tu nie podejrzewał! Przecież podejrzewano dziewczynę, która najpierw przespała się z muzykiem, a potem zwiąła! Wszystkie zebrane dowody świadczyły właśnie przeciwko niej. No to jeśli nikt cię o nic nie posądza i jeśli nie masz nic do ukrycia - to czego masz się obawiać? Nie mam racji?

- Pewnie pan ma. A co, jest pan detektywem? - tym tanim komplemtem chciałam zachęcić barmana do dalszych wniosków.

- Tak w ogóle to bardzo lubię powieści kryminalne. Ale tu nawet nie trzeba mieć zbyt dużo oleju w głowie, żeby się zorientować, że oni wszyscy o czymś wiedzą. O sobie albo o nim. Ale nikt nic nie powiedział. Wszyscy milczeli jak zakłęci.

- Powiadomił pan kogoś o swoich przypuszczeniach?

Barman drwiąco się roześmiał.

- Jeszcze czego! Nie będę pomagał jakimś obdartym szpiclom!

- Powiedział pan - „obdartym”?

- No, może trochę przesadziłem... Jest tu jeszcze jeden taki Niemiec. Już od trzech lat się u nas zatrzymuje. Ale rzadko go widuję, bo nie sprowadza sobie panienek i nie pije alkoholu. Kawał drania. Nawet go tu nie wezwali. Zaczął się awanturować już na korytarzu. Aż tu było sły-
chać. Jestem szanowanym obywatelem szanowanych Niemiec i nie życzę
sobie żadnego przesłuchania!”. Nie rozumiem, kiego diabła tak się
wściekł.

Z szacunkiem popatrzyłam na króla shake'ow i koktajli. Oto kogo po-
winnam była wynająć na prywatnego detektywa. A nie jakiegoś sknerusa
Rejno!

- Tylko Mołdawianin - przerwał moje rozmyślania barman - jako je-
dyny nie zaliczył żadnej wpadki. Nie jąkał się. Wszystko spokojnie wyja-
śnił. Że sobie z kimś popijał.

- Tu, w barze?

- Nie, nie tutaj. Pewnie imprezowali u kogoś w pokoju. Śmigali po ho-
lu jak nienormalni. Wie pani, zapewniali sobie zbiorowe alibi.

- Sądzi pan?

- Sądzę, że jak się ma alibi, nie trzeba się o nic martwić. Jeśli się jed-
nak mimo wszystko martwi, to znaczy, że to alibi nie jest warte złamane-
go grosza. Wystarczy wiedzieć, jak je podważyć. I po sprawie.

I po sprawie.

Andron wyciągnął w moją stronę szklankę z „ostrygą na pustyni”.

- Proszę bardzo. Dla tej szajbuski. Coś szybko dziś przycichła... Śpi
już, czy co?

- Dziękuję...

- Niech pani tu przyjdzie, jak tej zmił urwie się film. To sobie pogadamy... Nudno tu nocami, a ja lubię towarzystwo... jak gra muzyka,
dziewczyny tańczą przy rurze, te wszystkie zabawne gęby... Niech pani
przyjdzie. Opowiem pani jeszcze wiele ciekawych rzeczy...

Nie miałam pojęcia, do jakiej kategorii zaliczył mnie Andron Czułaki -
do zabawnych gęb, czy też może do dziewczyn przy rurze, ale obiecałam
mu, że jeszcze do niego zajrzę. Jeśli uda mi się wyrwać.

Uważając, żeby nie rozlać „ostrygi”, ruszyłam w kierunku wyjścia. Za-
trzymałam się jeszcze tuż przy drzwiach wiodących na korytarz i spojrze-
łam z wdzięcznością na Androna. Jednak on tego nie zauważył, gdyż
ponownie zatopił się w lekturze.

Agatha Christie. *Morderstwo w Orient Expressie*. To była dużo ambitniejsza lektura niż moje *Zagadki kryminalne...* To pewnie właśnie z niej zblazowany barman czerpie swoje natchnienie.

- Nie chciałem... Nie chciałem... - cichy, ledwie słyszalny głos spowodował, że drgnęłam. To po estońsku mówił Kalu Kullemiae.

Podczas gdy ja ucinałam sobie miłą pogawędkę z Andronem, on zdążył już dojść nieco do siebie.

Wstał od stolika i chwiejnym krokiem powlókł się za mną. Przywarłam do ściany, żeby go przepuścić. Nie miałam zamiaru wylać „ostrygi na pustyni” przez jakiegoś pijanego przygłupa. Jednak najwidoczniej Kalu miał wobec mnie zupełnie inne zamiary, gdyż dźgnął mnie palcem i zachichotał:

- *Moldaavlane* ⁴⁴.

⁴⁴ *Moldaavlane* - (est.) Mołdawianka.

Chciałam mu odpyskować w czystym estońskim ze wstawkami rosyjskich epitetów, ale w porę się powstrzymałam. A co mi tam, niech sobie myśli, że chroni go ten jego nieznośny, mały i dumny języczek.

Kalu chyba chciał coś powiedzieć, ale zamiast tego machnął tylko ręką i skierował się do wyjścia. Ruszyłam za nim.

Droga na górę dłużyła się w nieskończoność. Kalu zatrzymywał się na każdym schodku, mamrotał pod nosem wszystkie znane mu estońskie przekleństwa i głupawo przy tym chichotał.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na pierwsze piętro, pijaczek wcale nie wszedł do swojego pokoju, tylko powlókł się dalej schodami. Zaintrygowana postawiłam szklanke z „ostrygą” naprzeciwko mięsistej palmy i udałam się za nim.

Późniejsze wydarzenia przypominały łzawe sceny z mojego ukochanego czasopisma „Relaks dla Ciebie”. Kalu zatrzymał się przed drzwiami do pokoju swojego zmarłego guru i pociągając nosem, wyjął z kieszeni klucz. Dość długo usiłował wetknąć go w dziurkę. Z trudem powstrzymałam się od opuszczenia swojej kryjówki (za wielką wagą z liliami, wydającymi z siebie przenikliwy słodki zapach zleżalej padliny). Żał mi było tego nieboraka i chciałam mu pomóc.

Jednak w końcu sam się uporał z zamkiem, po czym wpadł do pokoju. Odczekałam trzy minuty i ruszyłam za nim. Po chwili ponownie zanurzyłam się w odmętach niedawnego przestępstwa.

W pokoju panowała całkowita ciemność. Nie docierało tu żadne światło z zewnątrz. Okno było szczelnie zasłonięte. I nic dziwnego. Pewnie nie chciano, żeby unoszący się wszędzie zapach śmierci kogokolwiek niepokoił.

Moje oczy w żaden sposób nie chciały przywyknąć do ciemności. Była tak intensywna, że dosłownie czułam, jak przenika przez moje ciało. Wtem przypomniałam sobie o niewidomej żonie przystojniaka Filipa. Jej ciemności nie przeszkadzały i czułaby się tu jak ryba w wodzie. Natychmiast by się zorientowała, gdzie się podział Kalu.

A ja...

Stałam pośrodku tych ciemności zupełnie zagubiona. Bałam się zrobić nawet jeden krok. Nie wiedziałam bowiem, co może dalej nastąpić. Czego się mogę spodziewać.

Kurde, kurde, kurde! Co za dziecinne lęki! Przecież nie ma tu nikogo poza narąbanym Estończykiem. No i mną, rzecz jasna.

Na pewno jesteśmy tylko my.

Przecież nie ukrył się tu morderca, który spóźnił się na pociąg!

Ale co, jeśli to właśnie Kalu jest mordercą? Przecież morderców zawsze ciągnie na miejsce zbrodni. Sama o tym czytałam w czasopiśmie „Relaks dla Ciebie”, w wywiadzie z popularną pisarką, której imienia za żadne skarby nie mogłam zapamiętać...

A co, jeśli to właśnie Kalu jest mordercą?

Może mnie rozpoznał jeszcze wtedy w barze? Może po prostu na mnie czyhał, tak jak wąż czyha na gryzonia, który się zagapił? Może mnie tu specjalnie zwabił i...

Przerażona wizją mordercy czającego się w ciemnościach, wymacałam ręką ścianę i zaczęłam szukać włącznika. Trwało to całą wieczność, ale w końcu pokój zalało światło. Ten sam pokój, w którym dokonano morderstwa.

Morderstwa, które przespałam.

Pokój robił wrażenie wylizanego do czysta. Przygotowanego na długą sterylną śmierć, jak jakiś grobowiec po pogrzebie. Krewni zmarłego obiecują sobie, że będą go często odwiedzać, doskonale wiedząc, że nigdy tu nie przyjdą. Ciekawe, jak długo pokój będzie stał pusty?

Porzuciwszy wszelkie środki ostrożności, obeszałam wszystkie kąty i nawet posiedziałam przez chwilę w fotelu - w tym samym fotelu, w

którym wysłuchiwałam bajdurzenia Olewa Kiwi o jego zmarłej żonie. Być może siedział w nim sam morderca, zanim wymierzył śmiertelny cios Olewowi. Na pewno widział to wszystko, co ja teraz widzę: zasłonięte okna, telewizor z magnetowidem, szklaną ławę, dywan, abstrakcyjny obraz, ceramiczną lampę w latynoamerykańskim stylu - taką samą roztrzaskała Czarska...

I widział mnie.

Mnie.

I pozostawił przy życiu tylko dlatego, że się nie obudziłam. A gdybym się obudziła? A jeśli on jest teraz w mieście? Jeśli jest teraz w hotelu i jest przekonany, że tylko udawałam, że śpię. A tak naprawdę wcale nie spałam...

Poczułam ciarki na całym ciele, a później usłyszałam delikatne nieśmiałe chrapanie. Ruszyłam w jego kierunku.

Raz kozie śmierć.

Na łóżku, na którym jeszcze nie tak dawno leżałam z Olewem Kiwi, spał w najlepsze Kalu. Ten obrazek był tak niewinny, że aż się roześmiałam.

Nagle wszystko stało się jasne. Doszczętnie nawalony Kalu Kullemaie po prostu pomylił piętra. Jak mogłam się tego nie domyślić?! Przecież na planie Siergieja Sinienki jego pokój znajdował się bezpośrednio pod pokojem Olewa Kiwi! Najzwyczajniej w świecie pomylił pokoje. A ponieważ ich rozkład pewnie niezbyt się od siebie różni, zupełnie zrozumiałe jest, że trafił nawet do łóżka.

Po cichu wyszłam na korytarz, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Żadnej tajemnicy. Dlaczego ci Estończycy nie dostarczają żadnych tajemnic?

Zeszłam na pierwsze piętro, nachyliłam się nad szklanką „ostrygi na pustyni” i ze zdziwieniem stwierdziłam, że jest pusta. Szklanka stała na tym samym miejscu, w którym ją zostawiłam. Z tą jedyną różnicą, że nie było w niej ani śladu po whisky i dzinie.

Ciekawe, kogo trzymają się takie głupie żarty?

Sama Czarska raczej nie wyszłaby z pokoju („niech to robią ci, którym za to płacą”), Kalu na moich oczach okupował numer Kiwi, barman Andren Czulaki był przywiązany zarówno do swojego baru, jak i *Morderstwa w Orient Expressie*. Niemiec Günther Knoblauch, jeśli wierzyć słowom Androna, nie pije nic mocniejszego od wody...

Władca alkoholowego imperium, Aurel Czorbu, nie zamieniłby swojego wina i koniaku na trunek podejrzanego pochodzenia... Chyba że Ilja Slipecow ze swoimi baletnicami. Albo ochroniarze. Ochroniarze na pewno chodzą po piętrach...

A niech jej pies mordę lizał, tej „ostrzydze na pustyni”! Tylko jakoś tak głupio przed Czarską.

Przypomniawszy sobie o aktorce, westchnęłam i skierowałam się do jej pokoju. Drzwi były uchylone, a Czarska...

Czarska spała.

Spała w fotelu, zwinięta w kłębek, pośród zepsutych przedmiotów, odłamków szkła i plastikowych telefonicznych wspomnień. Spała tak, jak śpią małe dzieci: z podłożoną pod policzek dłonią i wydętymi wargami.

Pięknie.

Pewnie to jej najlepsza rola...

Delikatnie przyknęłam drzwi, odwróciłam się na pięcie i... poczułam twardą pierś Aurela Czorbu.

- To tu się podziewasz! - uśmiechnął się do mnie jak gdyby nigdy nic. - Dlaczego uciekałaś?

- Nie uciekałam... Wyszłam po prostu na korytarz i spotkałam swoją starą znajomą.

- Tę małą wiedźmę? - najwyraźniej Czarska i Czorbu nie pałali do siebie miłością.

- Tę Sukę - poprawiłam Aurela. - Wszyscy nazywają ją „Ta Suka”.

- Spotkałaś starą znajomą...

- No i musiałam z nią chwilę pogadać.

- Tak, słyszałem - Aurel nastroszył wąsy. - Bardzo głośno rozmawialiście. Wydawało mi się nawet, że uciekałyście się do pomocy pewnych... hmm... przedmiotów.

Rozłożyłam ręce w geście niemocy: co tu zrobić, ma kobieta temperament.

- Ale zaglądałem do niej - dodał po chwili milczenia - i ciebie tam nie było.

- Zeszłam do baru. Po drinka...

Czorbu spojrział na mnie z wyrzutem.

- Dla Poliny. Nie dla siebie... Po pańskich fantastycznych koniakach nie dam rady wypić niczego innego...

- No to może jeszcze po malutkim?

Podniosłam ręce do piersi w błagalnym geście.

- Myślę, że na dziś mam już dosyć...

- Jak chcesz. Więc gdzie byłaś? - w głosie Czorbu dało się słyszeć wyrzut. I to mnie z lekka zaniepokoiło.

- W barze. Przecież już mówiłam.

- Akurat stamtąd wracam. Musiałaś chyba jakoś wcześniej wyjść...

- Nie sądziłam, że będzie się pan niepokoił.

- Czyżby? Przecież to ja cię zaprosiłem do tego hotelu... Mów szybko, co jest grane!

- Ale o co chodzi?

Mołdawianin milczał. Ja natomiast nie potrafiłam odnaleźć odpowiedzi w jego oczach. Choć bardzo się starałam.

- Byłaś na górze. Przy jego pokoju - zlitował się nade mną. - A może się mylę?

Spuściłam głowę i utkwiliam wzrok w jego miękkim obuwiu. Siedzenie w nim kogokolwiek nie stanowiło najmniejszego problemu.

- To prawda. Byłam tam - westchnęłam. - Ale przecież jestem dziennikarką... Musiałam to zobaczyć...

- Co?

- Miejsce przestępstwa - dzięki Bogu, przynajmniej tego nie da się podważyć. Obowiązek zawodowy plus zwykła ludzka ciekawość.

- Dowiedziałaś się czegoś ciekawego?

- Niczego - nie minęłam się z prawdą nawet o milimetr. - Najbardziej interesujący w tym hotelu jest pan.

- To w takim razie może pójdziesz ze mną? - ujął mnie pod ramię. - Tylko daj mi słowo, że już więcej nie uciekniesz...

Obawiałam się powrotu do jego pokoju, gdyż naprawdę mnie pociągał. Był cholernie przystojnym facetem. Przystojnym i jednocześnie niebezpiecznym. I mogłabym się nie powstrzymać...

- A może posiedzimy w barze?

- Już wieki tam nie byłem... Ale skoro nalegasz...

- Nalegam.

- Chodźmy więc.

Andron nadal był pogrążony w mrozących krew w żyłach wydarzeniach podróży w Orient Expressie. Jednak nie był już w barze sam. Przy

najbliższym stoliku siedziała bowiem półsenna parka, która gapiła się w niemy telewizor i popijała sok pomidorowy. Obie osoby widziałam tylko przelotem. Mimo to dużo o nich wiedziałam, gdyż zostały ujęte w dossier Siergieja Sinienki.

Wotiakow i Lisowski.

Kelner, który dostarczył nam kolację, kiedy byłam z Olewem (potencjalny truciciel) i portier (potencjalny współnik truciciela).

Nasze wejście nie wzbudziło żadnego zainteresowania. Dzięki temu już zupełnie się uspokoiłam. Jeżeli do tej pory nikt mnie nie rozpoznał, to nie mam się czego obawiać. Widocznie tak bardzo się zmieniłam, że może mnie rozpoznać jedynie milicja. A i to wyłącznie po odciskach palców.

W myśli podziękowałam przebywającemu w zaświatach Stasowi. Bo to przecież dzięki niemu tak się zmieniłam. To on zmusił mnie do upodobnienia się do Ałły Kodriny. No tak, kurka wodna! Zabójczyni-prostytutka, która ulotniła się z pokoju denata, była znacznie bardziej podobna do Ałły, niż teraz do mnie: z ekstremalną fryzurą i nieoczekiwane odkrytym nimfomańskim zamięłowaniem do rozmyślań. Wszędzie i o wszystkim.

Usiedliśmy przy tym samym stoliku, przy którym jeszcze niedawno siedział Kalu Kullemaie. Nadal stała tu jego szklanka i niedopita butelka koniaku. Wszędzie poniewierały się skorupki po pistacjach. Najwyraźniej barman był tak pochłonięty Agathą Christie, że całkiem zapomniał o swoich obowiązkach i nie zdążył posprzątać po kliencie.

Aurel rozsiadł się naprzeciwko mnie, położył na stole żyłaste ręce i pochylił głowę.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Dwadzieścia sześć.

- Od dawna zajmujesz się dziennikarstwem?

- Nie, od niedawna. A co to, przesłuchanie?

- Powiedzmy. Dziennikarstwo do ciebie nie pasuje. I ta fryzura również.

- Tak? - udałam obrażoną. - A inni mówili, że mam piękny kształt głowy...

- Głowę to masz piękną, ale fryzurę nie bardzo. Chcesz pojechać ze mną do Kiszyniowa?

- W jakim charakterze?

- Jako moja współpracownica. Już ci mówiłem, że masz niebywały nos do alkoholi. Jeszcze trochę cię podszkolę i możesz zostać degustatorem. Będziesz w stanie sama zestawiać bukiety win. To jak?

- Nie wiem...

- Zgódź się, dziewczyno. Winnice są najlepszym miejscem na ziemi... „Nie patrzcie na mnie, żem śniada, że mnie spaliło słońce. Synowie mej matki rozgniewali się na mnie, postawili mnie na straży winnic” - wyrecytował z pamięci. - *Pieśń nad Pieśniami*...

Pieśń nad Pieśniami. To chyba ta z Biblii... A może się mylę... Gdybym była Montezumą, wiedziałabym, co mam mu odpowiedzieć. Może bym mu nawet zawtórowała w tych jego poetyckich wynurzeniach. Jednak nie byłam Montezumą, dlatego też zapytałam po prostu:

- A co dalej?

- Ale co?

- Po tym, jak mnie postawili na straży winnic?

Aurel uśmiechnął się pod wąsem.

- Złapałaś mnie. Za twoim pozwoleniem: „A ja mej własnej winnicy nie ustrzegłam”.

Aluzja była bardziej niż wymowna. Z wyrzutem powiedziałam więc Mołdawianinowi:

- A widzi pan!

- Ale ty nie jesteś Sulamitką, a ja nie jestem Salomonem. Pozostają więc jedynie winogrona. Bez żadnych podtekstów.

- Da mi pan trochę czasu na zastanowienie?

- Wyjeżdżam stąd za trzy dni. Zaczynij więc myśleć już teraz.

Z braku innego wyjścia, zaczęłam myśleć na oczach mojego niespodziewanego przyjaciela i opiekuna. I im dłużej się zastanawiałam, tym bardziej atrakcyjny wydawał mi się ten pomysł. Atrakcyjny, a zarazem niemożliwy do zrealizowania. Przecież, po pierwsze, nie byłam dziennikarką Rimmą Karpuchową. Po drugie, nie miałam żadnych dokumentów. Po trzecie, milicja z pewnością obstawiała drogi wyjazdowe z miasta i czekała na mnie z moim portretem pamięciowym. I wreszcie, po czwarte: nadal nie miałam pewności, kim tak naprawdę jest Aurel Czorbu - przebiegły Mołdawianin, cygański baron i jeden z kilku kandydatów do roli mordercy. Jeśli nóż w zakrwawionej piersi Olewa Kiwi to była jego sprawka, będzie ze mną krucho. Bo przecież nie mógł mnie wtedy nie

zauważyć w łóżku z maestro. W takim wypadku wiadomo już, dlaczego namierzył mnie w tłumie w „Casa Mare”. I tutaj przywiózł. A teraz bawi się ze mną w kotka i myszkę...

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - zapytałam drżącym głosem.

- Czekam na odpowiedź.

- Nie mogę tak od razu.

- W wieku dwudziestu sześciu lat należy się decydować od razu... Gdy miałem dwadzieścia sześć lat, rzuciłem aspiranturę i wyjechałem na wieś. I do tej pory tam mieszkam. I wciąż jestem szczęśliwy. A teraz chcę uszczęśliwić także ciebie.

- A może ja już jestem szczęśliwa. Skąd pan może o tym wiedzieć?

- Nie sądzę, żebyś była szczęśliwa - uniósł mój podbródek.

Szarpnęłam głową, uwalniając się z uścisku jego palców i zahaczyłam łokciem pustą szklankę Kalu. Ta potoczyła się w dół, ale, wbrew moim oczekiwaniom, wcale się nie rozbiła. Włazłam po nią pod stół. I zostałam tam przez kilka dobrych chwil. A wszystko przez to, że obok szklanki i skorupki po pistacjach dostrzegłam kolorowy skrawek papieru. Odruchowo, sama nie wiedząc dlaczego, sięgnęłam po niego i wsunęłam sobie do kieszeni. Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce moje kieszenie przekształcą się w miejskie śmietnisko...

W końcu złapałam szklankę, wyszłam spod stołu i spojrzałam na Aurela.

- Zdążyłem się już za tobą stęsknić - wymruczał. - Coś długo tam zabawiałaś... Znalazłaś coś ciekawego?

- Nie, niczego ciekawego nie znalazłam... - domyślność Czorbu zaczęła mnie już przerażać. - Na czym to stanęliśmy?

- Na tym, że nie jesteś szczęśliwa.

- Niech pan mnie uważnie posłucha - podniesiona karteczka wypalała mi kieszeń. - Nie bardzo rozumiem... Dlaczego się pan tak o mnie troszczy?

- Ponieważ mi się podobasz. Ponieważ chcę zdobyć ten nos - ponownie wyciągnął rękę w stronę mojej twarzy.

Teraz jednak byłam na to przygotowana i w porę się uchyliłam.

Myślałam tylko o jednym. Jak się stąd urwać i w spokoju obejrzeć swoją zdobycz - ten pioruński kawałek papieru, który wprost rozsadał mi kieszeń...

* * *

Miałam wrażenie, że ta noc nigdy się nie skończy. I że do końca życia zostanę w tym cholernym hotelu. Na szczęście nic nie trwa wiecznie, więc wreszcie doczekałam się upragnionego świtu.

Aurel odprowadził mnie do Prospektu Kamiennoostrowskiego, przekazał w ręce pierwszemu napotkanemu taksówkarzowi siedzącemu w używanym volkswagenie i wcisnął mi na pożegnanie butelkę koniaku „Biełyj Aist” w wersji eksportowej.

Obiecałam, że wieczorem zadzwonię do „Casa Mare” i nawet zdobyłam się na pocałowanie go w wąsy.

I zapomniałam o nim natychmiast, kiedy tylko zatrzasnęły się za mną drzwiczki samochodu.

Ta noc była wyjątkowo udana. Zdobyłam wiele cennych informacji, które czekały teraz na przetrawienie i wykorzystanie w śledztwie. Tak samo jak kwit z salonu „Turkus”. Musiały jeszcze poczekać, bo w tej chwili całą moją uwagę zaprzętała kartka, którą znalazłam pod stołem. Nie mogłam się już doczekać, żeby ją obejrzeć.

Dlatego wsunęłam rękę do kieszeni dzinsów, wyciągnęłam ją i rozprostowałam. I aż gwizdnęłam z zaskoczenia.

Papierek nie był zwykłym papierkiem - to był pieniądz! Trzymałam w rękach banknot o nominale dwudziestu austriackich szylingów. Musiał długo przebywać w czyjejs kieszeni, gdyż na zgięciu był przetarty niemal na wylot. Nie dość, że był w opłakanym stanie, to na dodatek na samym środku ktoś nabazgrał dziwny napis: „5101968”.

I nic więcej. Żadnych wskazówek. Absolutnie żadnych.

Byłam pewna, że ta dwudziestka należała do Kalu. On był jedyną osobą, która siedziała przy tym stoliku. Był jedyną osobą w barze. Jadł piastacje i pił koniak. A nie sądziłam, żeby cały ten śmietnik pozostał tam od rana. Status hotelu dla VIP-ów wykluczał możliwość istnienia brudnych stolów. Gdyby nie pożeracz książek, który, pochłonięty *Morderstwem w Orient Expressie*, zapomniał o Bożym świecie, nigdy nie znalazłabym tych dwudziestu szylingów. To był zupełny przypadek.

Ciekawe, co można za nie kupić? Jakąś odlotową szminkę czy tylko filiżankę kawy? Ciekawe też, co oznacza ten zestaw cyfr?

Moim zdaniem był to najprawdopodobniej numer telefonu. Tylko czyjego? Najwidoczniej Kalu wiedział, czyj to numer, dlatego nie wysłał się z dodatkowymi zapisami.

A jeśli banknot nie należał do Kalu, tylko do samego Olewa? Przecież to austriacka waluta, a Kiwi na stałe mieszkał w Wiedniu...

W każdym razie nie zawadzi zadzwonić pod ten numer. Tak, zadzwonię z samego rana.

Uporawszy się z kwestią banknotu i numeru telefonu, zaczęłam się zastanawiać nad tym, czego się dowiedziałam od Androna Czulańskiego. Jego patetyczna przemowa sprowadzała się do dwóch wniosków. Na wiadomość o śmierci Olewa Kiwi wszyscy zareagowali bardzo emocjonalnie. Prawdę powiedziawszy, wręcz nieadekwatnie do sytuacji. Dlaczego? Bo wszyscy mieli coś do ukrycia.

Śledczym nie przyszło do głowy, żeby podejrzewać kogokolwiek z gości. Od razu wydali werdykt: sprawcą była prostytutka (ja). A mimo to wszyscy goście wpadli w popłoch. Zaczęli padać omdleni. I kłamać. Jeśli chodzi o Czarską, to jej zachowanie jest zrozumiałe. Miała swoje powody. Trzęsła portkami z powodu tajemniczej kasety wideo i ewentualnego oskarżenia o kradzież klejnotów. Dlaczego jednak Teo Lhermitte zataił swoją znajomość z Olewem? Przecież on, w przeciwieństwie do Czarskiej, miał niepodważalne alibi. Wraz z kilkoma entuzjastami tankowali koniak Aurela, a potem biegali przed kamerami po korytarzu. Akurat w dniu morderstwa i akurat w następującym składzie:

1. Sam Aurel.
2. Kalu.
3. Slipeczow z lasencją - specem od obwodów elektrycznych.
4. Niemiec Günther Knoblauch, który według zapewnień Czulańskiego, nie bierze alkoholu do ust (?).
5. Nieuchwytny Teo.

Kiedy obliczyłam, ile osób zapewniało sobie grupowe alibi, ze złości zazgrzytałam zębami. Cała piątka! Pięć z siedmiu osób! Przeklęte alibi nie obejmowało jedynie Czarskiej i zmarłego Kiwi.

Czarska jednak nie mogła go zabić, bo martwy stanowił dla niej o wiele większe zagrożenie niż żywy... Ale chyba to już przerabiałam...

W takim razie kto nam jeszcze został?

Kelner? Portier? Barman, który próbuje wszystkich oczernić, żeby odwrócić podejrzenia od własnej osoby?

A może jednak sama to zrobiłam?

Stanowiłam idealny cel. Ja sama pod kierunkiem Noża. Przecież doskonale wiem, jak ten Nóż działa na moją psychikę... A jeśli jestem lunatyczką? Tylko o tym nie wiem? Może zabiłam Kiwi, po czym natychmiast wymazałam to z pamięci...

Ale wtedy...

Do jasnej ciasnej! Co za myśli przychodzą mi do głowy?! Jedyne, za co mogę ręczyć, to za to, że to nie ja zabiłam Stasa Driemowa.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się kierowca. - Na Kanonierskiej...

* * *

Przed domem naturalnie ujrzałam opła Rejno. Stał w swojej wyjściowej pozycji. Ciekawe, ile tym razem sobie zapłacił, żeby tu warować jak pies?

Zwolniłam taksówkę, po czym od razu ruszyłam w stronę „rzęcha”.

- Coś późno pani wraca - skarcił mnie łagodnie.

- Czyżby? Jak dla mnie, o odpowiedniej porze.

Zamiast się ze mną kłócić, podał mi kartkę naszpikowaną cyframi.

- Co to? - zapytałam. - O żesz ty... nadziewany sznycel z sarniny... kapusta po czesku... rolada po karlsbadzku... knedle w serwetce... Co za bzdury mi pan tu podsuwa? Co to mają być za pioruńskie „knedle w serwetce”?!
- To jest rachunek z restauracji...

- Zupełnie się pan już rozwydrzył! - stopniowo zaczęło do mnie docierać przerażające znaczenie cyfr. - To w dolarach?

- Ależ naturalnie... Obiekt obserwacji stołuje się wyłącznie w dobrych restauracjach.

- A pan? Po jaką cholere pan... Co pan tam robił?! - złapałam się na myśli, że jestem w stanie puścić zaraz wiązankę w stylu Poliny Czarskiej, jednak w porę się powstrzymałam. - Przecież to jest trzycyfrowa liczba! Nie mógł się pan ograniczyć do wypicia kawy?!

- Zamówić tylko kawę? W drogiej restauracji? - Rejno zmrużył oczy, w których bezczelnie odbijał się nadziewany sznycel z sarniny. - To jest w złym tonie...

- A nie jest w złym tonie mnie tak rujnować?! Sama w życiu... A teraz mam jeszcze płacić za pana wypchany brzuch?!

- Zawarliśmy umowę - przypomniał mi łagodnie Rejno - która zawiera punkt...

- Nie ma tam żadnego punktu! Wydatki za przejazdy - akceptuję. Ale knedle w serwetce to, za przeproszeniem, pokrywa pan z własnej kieszeni! Skończony drań! - nie wytrzymałam wreszcie. - *Madu!!!* ⁴⁵

⁴⁵ *Madu* - (est.) gadzina.

- Nieprzewidziane okoliczności - usiłował usprawiedliwić się Rejno. - Jeśli wybrałby naleśnikarnię albo zwykłą knajpę... Albo jakąś *sookla* ⁴⁶... Z wielką przyjemnością bym mu towarzyszył.

⁴⁶ *Sookla* - (est.) stołówka.

- Komu?

- Teo. Teo Lhermitte.

- To pan go znalazł?!

- Ma się rozumieć - Rejno pozwolił sobie na wzdardliwy uśmiech. - Proszę, tu są zdjęcia.

Podał mi reklamówkę ze zdjęciami i pudełkiem z negatywami.

- Ostatnie kilka dni spędził w Łomonosowie. Udzielał konsultacji restauratorom Pałacu Chińskiego. Teraz wrócił do Petersburga na konferencję, która będzie się odbywać w Domu Naukowca. Początek już jutro.

Teo Lhermitte wystąpi z obszernym referatem: „Mity w sztuce dekoracyjnej narodów Azji Południowo-Wschodniej”. Zdobyłem jego kopię...

Już po chwili trzymałam w ręku czarną teczkę, która prawie załagodziła kwestię skandalicznego rachunku z restauracji.

- Znakomicie. Świetna robota.

- Co pani dalej zamierza?

- Ja? Na początek poczytam sobie referat. A potem zobaczymy.

- Moja pomoc jest jeszcze potrzebna?

- Nie wiem. Myślę, że może się pan jeszcze na coś przydać. Dam znać, jak będę coś wiedziała. No dobra, uciekam.

Już miałam wysiąść z auta, jednak Rejno chwycił mnie za rękaw.

- Chciałbym, żeby mi pani o wszystkim opowiedziała, pani Wario. O wszystkim oznacza: naprawdę o wszystkim. Pracuję dla pani, dlatego chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi. Jak w rzeczywistości mają się sprawy...

- W rzeczywistości sprawy mają się do bani - przyznałam szczerze. - Nie dopłacam panu jednak za wyplakiwanie się w pańską kamizelkę, więc nie poruszajmy smutnych tematów.

- Wydaje mi się, że mnie pani nie docenia - odparł, bębniąc palcami po kierownicy i patrząc prosto przed siebie. - Ani mnie, ani sytuacji.

- Zastanowię się nad tym, co mi pan powiedział...

- Mam dalej prowadzić obserwację obiektu?

- Jeśli to nie sprawi panu kłopotu.

- Jeśli nie sprawi pani kłopotu wypłacanie mi na czas honorarium... - wtrącił Rejno.

I wszystko popsuł.

- Mnie nie sprawi - wycodziłam przez zęby.

- W takim razie musimy ustalić, w jaki sposób będziemy się ze sobą kontaktować. Muszę racjonalnie gospodarować czasem, a to ciągle czekanie na panią jest... *ebaratsionaalne*⁴⁷... nieracjonalne.

⁴⁷ *Ebaratsionaalne* - (est.) nieracjonalne.

Uśmiechnęłam się. *Ebaratsionaalne* - to ulubione estońskie słówko Montezumy. *Ebaratsionaalne* - dobra broń na szczególnie bezczelnych klientów z mojego poprzedniego życia. Cięta odpowiedź na zarzuty Stasa Driemowa, tracącego łakomy kasek w postaci procentu od mojego zarobku. Tak *à propos*, ciekawe, co tam u dzielnej Montezumy-Schokolade? Koniecznie muszę dzisiaj zajrzeć do „Sevan”...

- To jak będziemy się kontaktować? - powtórzył pytanie.

- Ukrywam się. Jak pan zresztą wie. Telefonu nie posiadam...

- A tu? W pani mieszkaniu?

- Wykluczone.

Rejno nerwowo podrapał się po karku.

- A ten pani znajomy z kawiarni? Bywa tam pani czasem?

- Tak.

- O jakiejś ściśle określonej porze?

- Tak - nie widziałam sensu, żeby to ukrywać.

- Bardzo dobrze. A dzisiaj pani tam będzie?

- Mam nadzieję.

- Jeśli wydarzy się coś nadzwyczajnego, to podjadę.

Wyskoczyłam z samochodu i skierowałam się w stronę klatki Siergieja.

Mieszkanie „zapładniacza” już z daleka powitało mnie wściekłym stukaniem maszyny do pisania. Delikatnie zamknęłam za sobą drzwi i na paluszkach ruszyłam do pokoju. Zatrzymałam się na progu przed sznurkiem, odgradzającym wejście do pokoju. Na sznurku chybotął się kartonik: „NIE PRZESZKADZAĆ!”

A w zaimprovizowanym magicznym kręgu w samych, śmiesznie kolorowych, majtkach siedział sobie Siergiej. Co chwila jego ciałem wstrząsały dreszcze, a głowa podrygiwała w takt uderzeń w klawisze. Cudowny obrazek, a niech mnie! Szkoda tylko, że to nie moja zasługa. Że to nie ja jestem przyczyną tej weny twórczej. Przyciągnęłam do siebie telefon, stojący na podłodze, i udałam się do kuchni.

Nawet nie musiałam wyjmować znalezionej banknotu. Wszystkie cyfry znalazłam na pamięć.

510-19-68.

Czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła, wybrałam tajemnicze siedem cyfr.

- Szkoła średnia numer 113 - powiedział ktoś wyrobionym belferskim głosem.

O jasny gwint! A co to ma znaczyć?! Jaka znów szkoła średnia numer 113?!

Rzuciłam słuchawkę i po chwili zastanowienia wyjęłam dwadzieścia sfatygowanych szylingów. Nie, to nie mogła być pomyłka. Na kartce stało jak byk: „5101968”.

No cóż, spróbujmy jeszcze raz. Ponownie wybrałam numer, dokładnie sprawdzając każdą cyfrę.

- Szkoła średnia numer 113 - usłyszałam ten sam głos.

Milczałam skonsternowana. Ku mojemu zaskoczeniu zostało to odebrane w bardzo dziwny sposób.

- Jeśli, gnojku, powiesz mi, że w szkole jest bomba, to przysięgam, że cię znajdę! Spod ziemi wykopię! Skopię dupę i bratków nasadzę! A twoi rodzice - pijaki - przez całe życie będą za to bulić! Już całkiem się wam poprzewracało w głowach! Trzeci raz w tym tygodniu!!!

- Ze szkołą wszystko w porządku - pisałam i ponownie rzuciłam słuchawkę.

Kurczę blade, jak pech to pech!

Zamyśliłam się. Tak w ogóle, to skąd mi przyszło do głowy, że to jest petersburski numer? Równie dobrze może być moskiewski. Albo hongkoński. Albo wiedeński. Jeśli tak jest, nie mam nawet najmniejszej szansy na sprawdzenie, do kogo należy. Jedyńy sposób, żeby się tego dowiedzieć, to przycisnąć Kalu. A i to nie daje mi pewności, że powie prawdę. Pewne jest tylko to, że osoby mające związek z zapisanym numerem nie są powiązane ze szkołą średnią numer 113.

Zawiedziona niepowodzeniem złapałam swój neseser i wyrzuciłam jego zawartość na stół. Postanowiłam bowiem jeszcze raz obejrzyć wszystkie dowody, jakie do tej pory udało mi się zgromadzić. W sumie nie było ich tak mało. Okazało się, że zebrałam już sporo rzeczy, niemało faktów i poszlak.

Już po chwili wszystkie zdobycze leżały przede mną, ustawione w równym rzędzie:

1. Nóż-wadźra.
2. Fotografia Ałły Kodriny.
3. Kwit z antykwariatu „Turkus” ze wzmianką o LI. Schamne.
4. Fotografie Teo Lhermitte'a (stare, 3 szt.).
5. Fotografie Teo Lhermitte'a (nowe, 5 szt.).
6. Austriacki banknot z numerem 510 - 19 - 68.
7. Pierścionek Ałły Kodriny.
8. Zaproszenie do galerii win „Casa Mare” (obecnie to tylko nic nieznaczący kawałek kartonika).
9. Pseudoanonimowy list Teo Lhermitte'a do Olewa Kiwi, przekazany mi przez Rejno.
10. Książka *ARM AND RITUAL*, zakoszona u sprzedawcy Dementija. I to by było na tyle.

Tak, to chyba wszystko.

Wzięłam do ręki fotografię Ałły Kodriny: „Ałła. Kronsztad. Marcowe refleksy słoneczne”. To właśnie od tego zdjęcia wszystko się zaczęło. Oglądałam je niezliczoną ilość razy, ale do tej pory patrzyłam jedynie na kobietę i różę w jej rękach. Teraz postanowiłam zwrócić większą uwagę nie na nią samą i nie na kwiat.

Tylko na tło.

Tłó może mi wiele powiedzieć. Jeśli oczywiście będę uważnie słuchała.

Wiedziałam już, że w zapaskudzonej przez karaluchy szufladzie kuchennego stołu Siergieja znajduje się lupa. Tak samo zapaskudzona, z mętnym, nadszarpniętym zębem czasu szkiełkiem. Pewnie była towarzyszką jego dzieciństwa wraz ze znaczkami i etykietkami z pudełek od zapalek.

Lupa była na swoim miejscu. Przez dobrych piętnaście minut szorowałam ją pod kranem, usiłując usunąć z niej obrzydliwy nalot, zgromadzony przez długie lata beczynnego leżenia w szufladzie. Doprowadziwszy ją jako tako do stanu używalności, uniosłam ją nad fotografią.

Jednak nie dość, że poszczególne przedmioty na zdjęciu się nie zbliżyły, to na dodatek się jeszcze rozmazały (Oj, Warwara, Warwara! Nie powinnaś oglądać tylu lichych filmów!).

Ała Kodrina została sfotografowana z dosyć bliska, dlatego na zdjęciu zmieścił się jedynie fragment jakiejś szafy z książkami. Za nieboszczką widać było okno. W jego ciemnej dolnej części zauważyłam trzy świecące litery. Jedna pod drugą. Nie znajdowały się w centrum zdjęcia, jednak łatwo je odczytałam: „PAR”. Pewnie to fragment jakiegoś szyldu na domu. Ale co mogą oznaczać te litery: „parodia życia”, „paranoja”, „paruje już mój mózg”, „partaczyć to ja wszystko potrafię”?

Nie doszłam jeszcze nawet do połowy domniemanej listy możliwych znaczeń, ukrytych pod tymi literami, gdy przyszła mi do głowy genialna myśl.

Wiedziałam, że ojczyzną tych liter jest Kronsztad. A przecież to jest małe miasteczko. Znalezienie szyldu zawierającego w sobie „PAR” nie powinno sprawić większego kłopotu. A potem wystarczy sprawdzić, z jakich okien go widać. Właśnie tam była Ała, gdy sfotografowano ją w towarzystwie róży. Ktoś musiał ją spotkać. Ktoś musiał ją znać.

Odchyliłam się na krześle. Postanowione. Jeszcze dzisiaj po spotkaniu z Akopem udam się do Kronsztadu. I znajdę ten piekielny szyld. I znajdę dom, w którym, w otoczeniu marcowych refleksów, została sfotografowana Ała...

Świetnie.

Będę miała dziś sporo zajęć. Jako drugi punkt programu występuje kwit z salonu „Turkus” z panem Schamne pod rękę. Jego też nie zawadzi przyprzeć do muru, tego uczeniaka z wytrzeszczem!

Z takimi planami dotarłam do „Sevana” o godzinie wpół do drugiej po południu.

Akop, którego ani trochę nie zdziwiło moje pojawienie się w barze, w milczeniu wstał zza stołu, zebrał nardy, po czym chwycił mnie za rękę.

- Jedziemy - rzucił przez zaciśnięte usta.

- Dokąd?

- Na spotkanie. Tu niedaleko. Do sauny...

- Chcesz mi umyć plecy?

- Z przyjemnością bym umył... - chrząknął, posyłając mi znaczące spojrzenie - ...jednak nie sądzę, że będziemy mieli na to czas...

- A namydlisz mi chociaż kark?

- Przekonasz się...

* * *

Sauna była ormiańska i rozbrzmiewała żywiołowym *Tańcem z szablami*. W skromnym kąciку przed dębowymi drzwiami zostałam przekazana do rąk grubego kędzierzawego łąziebnego. Ten bez słowa wręczył mi woreczek z gumowymi klapkami i frotowym ręcznikiem. Następnie uchylił drzwi i wepchnął mnie w kłęby pary.

Po omacku dotarłam do małego pomieszczenia, w którym znajdowała się kanapa, dwa skórzane fotele i niski stolik. Na nim stała butelka koniaku i jakaś potrawa z winogronami.

„Chardonnay”.

Ależ oczywiście! „Chardonnay”! Ulubiony gatunek Montezumy-Schokolade.

- Monti! - krzyknęłam. - Monti, gdzie jesteś?!

W odpowiedzi rozległ się cichy plusk wody. Montezuma najwyraźniej rozkoszowała się wodą w basenie. Szybko się rozebrałam, założyłam klapki i ruszyłam w stronę, z której dochodziło pluskanie. Po kilku chwilach spostrzegłam pełną wdzięku głowę Montezumy, lekko unoszącą się nad taflą wody.

Monti pomachała mi ręką: „Wskakuj!”.

Wzięłam rozpęd i wskoczyłam do wody. Już po chwili znalazłam się obok zuchwale pięknej i pięknie zuchwałej Monti, która złapała mnie za krótko ostrzyżoną głowę i wepchnęła pod wodę.

- Cała, zdrowa i na wolności? - powitała mnie. - To dobrze!

- Względnie żywa... Dziękuję za pieniądze... Odpracuję... Jak tylko skończy się ten cały koszmar...

- Nie wygłupiaj się. Nie jesteś mi nic winna. Nic a nic...

Wiedziałam, że nie ma sensu się z nią kłócić. Zmieniłam więc temat.

Interesowało mnie, co zrobiła z Lemieszonkiem:

- A jak u ciebie? Jak twój „ogon”?

- Odrąbałam - rzuciła krótko.

- O, to ciekawe. W jaki sposób?

- Poskarżyłam się na niego jednemu w miarę obrotnemu stróżowi prawa. Został wezwany na dywanik, a ja w tym czasie zwiałam... Gnida! Kanalia! Hiena! Cholerne bezmózgowce! Fiutogłowy pioruńskie! Za jaja powinno się ich wieszać!

Dalsza część jej wypowiedzi przekroczyła już wszelkie granice. Była zbyt wulgarna. Nawet jak na zaślepioną nienawiścią do mężczyzn Montezumę. Bluzgała jak najgorszy zbir. Zmieszała z błotem nieszczęsnego Lemieszonka najpierw po rosyjsku, potem przeszła na estoński, następnie posłużyła się wiązką ormiańskich przekleństw, aż w końcu uciekła się do nazwania biedaka „bezczelnym kawałem specdupka” w języku szwedzkim.

- Tylko po to mnie wezwałaś? - cierpliwie odczekałam, aż z wulkanu o nazwie Karine Surienowna Arzumianian wypłynie cała lawa.

- Nie tylko... Chodźmy się ogrzać. Zaraz ci wszystko opowiem.

Wyszłyśmy z wody i skierowałyśmy się do sauny. Montezuma wyciągnęła się na ręczniku, po czym obróciła głowę w moją stronę.

- Masz pozdrowienia od Kaje - powiedziała.

- Też ją ode mnie pozdrów. I przekaz, że zdobyłam dla niej autograf Czarskiej...

- O Chryste Panie! - Monti wywróciła oczami.

- Dostanie ode mnie przy najbliższej okazji...

- Ona też coś dla ciebie zdobyła... A raczej dla nas wszystkich. W Petersburgu zjawił się wiedeński adwokat Kiwi. Jego pełnomocnik.

Natychmiast przypomniałam sobie, że Kaje rzeczywiście wspominała o jakimś prawniku. I o tym, że Olew Kiwi zapisał w testamencie swojej żonie cały majątek.

- No i?

- No i tu zaczyna się najciekawsze - Montezuma wytarła pot pod nosem. - Jak wiesz, Olew Kiwi kopnął w kalendarz. Ale jego żona zdążyła kopnąć jeszcze wcześniej. Ponad rok był wdowcem, ale nie zdążył zmienić testamentu! Nie przepisał na nikogo innego! Przez cały ten czas zajmował się nie wiadomo czym, a kiedy wreszcie wykitował, to wiesz, kto okazał się jego jedynym spadkobiercą?

-Kto?

- Brat Ałły, Filip Donatowicz Kodrin. No i jego żona... Nieźle, co? Ten adwokat przyjechał teraz na wstępne rozmowy. Ustalenia spadkowe. Łączna kwota...

W tym miejscu Monti wyraźnie się zawahała.

- No? - zachęcałam ją. - Jaka jest łączna kwota spadku?

- Nawet nie chcę o tym mówić... Mieszkanie w Wiedniu, domek letniskowy w Estonii, kilka samochodów... Konto w banku... Kolekcja klejnotów.

- Powiedz przynajmniej, ile zer?

- Powyżej sześciu - aż ją skręcało, gdy to mówiła.

Gwizdnęłam. Powyżej sześciu, to już wychodzi co najmniej milion dolarów!

- A o ile więcej? - zapytałam ostrożnie.

- O dwa. A może nawet trzy...

A to ci Fila, a to sukinkot! On i ta jego ociemniała żoneczka! A jak udawał, jak udawał - gołąb pokoju w ciasnej muzealnej klitce! Łotr i tyle! Poczulałam, jakby spadła mi zasłona z oczu. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego tak się starał zrzucić odpowiedzialność za zamordowanie jego siostry na Olewa Kiwi. Dlaczego za wszelką cenę usiłował go oczernić. Przyczyną były te wszystkie zera na koncie w banku i w testamencie...

- A to sukinsyn! - krzyknęłam oburzona.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Jest jeszcze coś innego. O wiele ciekawszego - powiedziała z zadowoleniem Montezuma i odwróciła się do mnie błyszczącymi od potu plecami.

- Coś ciekawszego?

- Tak. Wyobraź sobie, że Filip Donatowicz Kodrin odmówił przyjęcia spadku.

To było tak niedorzeczne, że dopiero po chwili dotarł do mnie sens jej słów.

- Czekaj, czekaj... czyli co... ale jak... jak to zrezygnował?!

- Ot, tak. Wziął i zrezygnował. Powiedział adwokatowi: niech pan stąd zmiata do tego swojego Wiednia ze swoimi śmierdzącymi dolarami. A ja, jako dumny rosyjski obywatel, będę żyć ze swojej własnej pensji, pić co wieczór kefir owocowy i kochać się ze swoją żoną na niewygodnej kanapie...

- Chyba coś ci się pomyliło... Jak można zrezygnować z kilku milionów dolarów?

- Z kilkudziesięciu milionów - poprawiła mnie Montezuma.

- Tym bardziej... Nie, musiałaś coś pokręcić... Albo mnie po prostu okłamujesz!

- To są sprawdzone informacje. Z wiarygodnego źródła. Kaje potrafi urobić swojego gliniarza, zresztą sama wiesz najlepiej.

- Czy on przynajmniej jakoś uzasadnił swoją decyzję? Mówię o Kodrinie, oczywiście.

- Podobno oświadczył, że jest przesądnym człowiekiem. Że dwie osoby mające bezpośredni związek z tymi pieniędzmi, jego szwagier i siostra, już się przekręcili i że on nie chce być następnym...

- Ale to przecież jakieś brednie! Sama widziałam, jak dorabiał sobie na ekspertyzie broni... - jakaś niewyraźna myśl zamajaczyła w mojej głowie, jednak z miejsca pochłonęło ją dzikie stado innych myśli. - Żeby, mając niewidomą żonę i słabo opłacaną posadę znawcy sztuki, zrezygnować z takiego majątku... On musi być nienormalny.

- Albo aż zanadto normalny - powiedziała niespodziewanie Montezuma. - Kiedy w grę wchodzi miliony dolarów, nie może być mowy o żadnym przesądzie. Tu musi chodzić o coś zupełnie innego. Tylko o co?

- Tylko o co? - powtórzyłam jak echo.

- Myślę, że on coś wie. I to „coś” jest ważniejsze od pieniędzy.

- Nie rozśmieszaj mnie! Co może być ważniejsze od pieniędzy?

- Sama mi mówiłaś, że martwą siostrę znalazł właśnie Kodrin ze swoją żoną. Różnie to...

- Chcesz powiedzieć, że to oni zabili Alę w nadziei, że dostaną pieniądze? W takim razie po co teraz z nich zrezygnowali? I skąd mogli wiedzieć o testamencie Kiwi? Skąd mogli wiedzieć, że nie został zmieniony? Kiwi mógł go w każdej chwili zniszczyć. Co więc, powinien to uczynić.

Jeśli, oczywiście, miał wszystkie klepki na swoim miejscu. Więc, wybacz, ale gadasz głupoty...

Montezuma i bez moich wywodów zrozumiała, że palnęła głupstwo. Kopnęła mnie okrągłą różową piętą, podskoczyła na rozżarzonych deskach i poszła ochłonać w basenie. Powlokłam się za nią.

Zanurzając się w chłodnej błękitnej wodzie, przez kilka chwil obserwowałam jej niezależny i śmiertelnie obrażony kark, a potem cichutko zaskomlałam:

- No, nie gniewaj się już... Nie chciałam cię urazić...

Monti zanurkowała, po czym po upływie paru sekund, plując i prychnając, wynurzyła się obok mnie.

- Masz rację. Oskarżanie Kodrina i jego żony o zabójstwo Ałły to kompletna bzdura. Ale przecież musi być jakiś powód. Powód, dla którego odmawiają przyjęcia pieniędzy. I to dość istotny.

Obie spojrzaliśmy na wyłożone płytkami dno basenu, jak gdyby to właśnie tam ukrywał się ten nieznany, ale dość istotny powód.

- A co, jeśli... - powiedziałyśmy jednocześnie i jednocześnie się roześmiałyśmy.

- Mów pierwsza - zaproponowałam Montezumie.

- Nie, najpierw ty - jej wspaniałomyślność nie znała granic. - Co tam ci chodzi po głowie...

- A co, jeśli państwo Kodrinowie nie są jedynymi spadkobiercami? To znaczy figurują jako pierwsi na liście, ale oprócz nich jest jeszcze ktoś inny... Ktoś, kto skorzysta z tych pieniędzy, jeśli oni z nich zrezygnują... I ten ktoś grozi teraz Filipowi... No rozumiesz, jeśli nie zrezygnujesz, to urządzimy ci „jesień średniowiecza”... Albo zawiążemy „kolumbijski krawat”... Albo coś w tym rodzaju... Myślisz, że to niemożliwe?

Zanim skończyłam, sama poczułam, że moje przypuszczenia nie są wcale lepsze niż wcześniejsza wizja Montezumy. Spojrzałam na nią. Ona też tak uważała.

- Cienusieńko - skomentowała moją przemowę. - Po jaką cholere grozić Kodrinowi i przyciągać powszechną uwagę do tej sprawy? A poza tym przed takimi pogrózkami zawsze można się obronić... Ale, szczerze mówiąc, nie przychodzi mi do głowy żadne inne wyjaśnienie...

- Jeśli się nie powalało w gównie - wypowiedziałam złotą myśl, patrząc w przestrzeń.

- Słucham?

- Przed takimi pogroźkami zawsze można się obronić, jeśli się nie powalało w gównie... A jeśli masz rację i Kodrinowie mają coś na sumieniu? W takim wypadku można by ich było zaszantażować.

O w mordę, świat dookoła mnie roi się od szantażystów! Najpierw Teo, który szantażował wiolonczelistę - za pomocą listów. Potem ten sam wiolonczelista, który szantażował Polinę Czarską - kasetą wideo. A teraz niejasne podejrzenia odnośnie do Filipa i jego żony. Ale co takiego można im zarzucić? Jego urodę i jej ślepotę? Nawet jeśli komuś zależało na śmierci Kodriny, to z pewnością nie jej krewnym. Dopóki żył Kiwi, niczego nie zyskiwali na jej śmierci. Chyba że dodatkowy ból głowy... Jednak Filip wyraźnie coś ukrywa.

Pierścionek Ałły!

Jak mogłam o nim zapomnieć?

Olew Kiwi, kiedy przyjechał, żeby zidentyfikować zwłoki żony, odmówił przyjęcia jej klejnotów (swoją drogą, bardzo mnie ciekawi, dlaczego?) i zostały one przekazane najbliższemu krewnym. A po upływie roku pierścionek, który nosiła nieboszczka, pojawia się nagle u Stasa Driemowa.

Pytanie - kto mu go dał? Odpowiedź - Filip Kodrin. Nie mógł tego zrobić nikt inny.

Skuliłam się w sobie. Wygląda na to, że mam w swoim posiadaniu nie jednego świadka przestępstwa (nóż), a dwóch świadków dwóch przestępstw (nóż i pierścionek). No dobrze, ale dlaczego Filip tak się wystraszył, kiedy zobaczył zdjęcie z Teo Lhermitte'em? Pewnie to jedna i ta sama szajka. Porządnie narozrabiali, a teraz ze strachu robią w portki. Pogratulowałam sobie logicznego rozumowania i...

I zaraz zrzędnęła mi mina.

W tym łańcuchu logicznym brakowało jednego ogniwa. Tylko jedno, ale jakże ważnego: dlaczego Filip Kodrin zrezygnował ze... spadku? - swoją ostatnią myśl skończyłam już w wodzie, bowiem podstępna Monti po cichu podpłynęła i ściągnęła mnie za nogi do basenu. Popływałyśmy jeszcze dobre pół godziny, po czym wyszłyśmy, wypiliśmy po kieliszku koniaku i ustaliłyśmy plany na najbliższy czas. Montezuma obiecała, że przez swojego prawnika dokładnie sprawdzi, jak wygląda procedura przyjęcia bądź rezygnacji ze spadku. A także, kto jeszcze może do niego pretendować, jeśli brak bezpośrednich i pośrednich spadkobierców.

Poza tym jutro, najdalej pojutrze, powinna wrócić lasencja od land rove-ra, która jechała w jednej windzie z mordercą Stasa.

Rozpracowanie córki dyrektora Ładoga Trade Company i konfrontację świadków w podziemnym garażu Monti wzięła na siebie.

- A skąd będziesz wiedziała, że już wróciła? - zapytałam naiwnie.

- Zdziwiasz mnie, Warwara! Małpi cudotwórczy napój! Małpi napój jest niezastąpionym narzędziem w budowaniu sieci wywiadu! Głupią córkę głupiego tatusia wystawię mi na talerzu!

„Małpim napojem” Montezuma określała czasami wódkę, gdyż niektórzy dostawali po niej małpiego rozumu. - I kto się tak płaszczy przed tobą?

- Stróż, przecież już ci mówiłam... A ty masz dla mnie jakieś nowiny?

Przy resztkę koniaku opowiedziałam jej o dzisiejszej nocy i o tym, że jakimś cudem zdołałam znaleźć wyliniały azjatycki „ogon” - Teo Lhermitte. Sprawę Rejno rozsądnie przemilczałam. Jednak Montezuma sama o niego zagadnęła.

- A co to za łachudra, która wczoraj z tobą przyjechała? - zapytała. - Akop mi powiedział... To jest właśnie ta twoja kryminalna łąęga z... Cholera, no jak się nazywa ten szmatławiec?

- „Petersburska Anomalia”.

- No właśnie. Kto to jest?

- Jak sama powiedziałaś - kryminalna łąęga - nie chciałam jej obciążać kolejną postacią z dramatu mojego życia.

- Tylko uważaj na siebie, Warwara!

- Nie martw się... Jestem niebywale ostrożna.

- Gdzie, powiadasz, wystąpi z tym referatem? W Domu Naukowca?

- Co? A... No tak. W Domu Naukowca. Jutro o 15.00. „Mity w sztuce dekoracyjnej Południowo-Wschodniej Azji”.

- Zawsze interesowałam się Południowo-Wschodnią Azją... Sama jestem, można powiedzieć, Azjatką - Montezuma cmoknęła językiem. - Ujdę za Soripatę?

- Za kogo? - wybałuszyłam ze zdziwienia oczy.

- No tak... Idiotka z ciebie, idiotka... Jest taki jeden bożek... na tym Południowym Wschodzie. Wypełzył, tak *à propos*, z larwy motyla.

- Jaka ty jesteś mądra, Monti!

- Myślę, że znajdę z tym znawcą sztuki wspólny język.

- Nie zapomnij zahaczyć o sypialnię w indyjskim stylu.

- Niech cię o to głowa nie boli, postaram się nie zapomnieć, moja droga - Montezuma opiekuńczo pogłaskała mnie po głowie. - No dobrze. Spotykamy się jutro w Domu Naukowca...

Montezuma wyszła jako pierwsza, zostawiając po sobie zapach perfum i świeżo umytej skóry. Ja natomiast, wzięwszy ze sobą resztki koniaku i kilka kiści winogron, znów wskoczyłam do basenu. W tak komfortowych warunkach zabrałam się za dręczenie tygrysa z kartonu o imieniu Filip.

Do tej pory nagromadziło mi się od groma i ciut-ciut pytań. Odpowiedzi - też.

Z tego, co już wiedziałam, jasno wynika, że Fila nie jest jedyną osobą związaną z Driemowem i Lhermitte'em.

Bez wątpienia to właśnie on dostarczył Stasowi pierścioneł, fotografię i wyposażył w wiedzę o pewnych intymnych szczegółach z życia swojej siostry. Inaczej nigdy bym nie zbajerowała wiolonczelisty. Jest też dla mnie zupełnie zrozumiałe, dlaczego tak się wystraszył na widok zdjęcia, które mu pokazałam. Bał się, że fotografia ujawni jego znajomość z Lhermitte'em. Nie ulega również wątpliwości, że wie o śmierci Ally więcej, niż osoby prowadzące oficjalne śledztwo. Myślę, że wie równie dużo na temat zabójstwa Olewa Kiwi.

Ponadto pozostaje jeszcze kwestia noża.

Artysta nie został zabity zwyczajnym nożem do krojenia chleba, lecz nożem rytualnym. A Kodrin jest przecież ekspertem właśnie w tej dziedzinie! Niewykluczone, że widział ten nóż. Niewykluczone, że sam przekazał go mordercy. I całkiem prawdopodobne, że zgodnie z zamierzeniem tego ostatniego, nóż powinien był pozostać w ciele ofiary.

Ale on wziął i nie został.

Skończyłam podjadanie winogron i wygramoliłam się z basenu. Postanowiłam dłużej nie zwlekać i jak najszybciej obejrzeć dom, w którym zabito Ałę. Nawet nie zdążyłam porządnie wysuszyć włosów. Tuż przed samym wyjściem na zewnątrz podrzuciłam w górę monetę: Jeśli wypadnie orzeł, to do Kronsztadu pojedę kłamotem Rejno, a jeśli reszka...

Wpadł orzeł.

Wiedziłam, że tak będzie. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Byłam pewna, że przez cały ten czas na mnie czekał. Nawet więcej,

nie tylko czekał, na pewno szukał szpary w deskach, żeby podejrzeć kąpiącą się przedstawicielki płci pięknej.

Wyszłam na ulicę. Dokładnie naprzeciwko łaźni stał obrzydły do bólu w jajnikach „opel-trup”. Przestałam się już dziwić takiej bacznej uwadze ze strony Rejno. Podeszłam do auta, otworzyłam drzwi i opadłam na przednie siedzenie.

- *Kerge Leitsak!* ⁴⁸ - powitał mnie Estończyk, wyszczerzywszy nieprzyzwoicie białe zęby.

⁴⁸ *Kerge Leitsak!* - (est.) witaj wśród czystych!

- Dlaczego się pan do nas nie przyłączył? - burknęłam. - Krępuje się pan czy woli podglądać przez szparę?

- Słucham?

- Nieważne... To był taki żart. Trochę niefortunny. Ma pan dla mnie jakieś nowiny? Zdarzyło się coś nadzwyczajnego?

- Na razie jeszcze nie.

- Niech pan mnie posłucha, panie Rejno! Plącę panu za to, żeby obserwował pan kogoś innego. Nie mnie. Tymczasem zamiast zająć się zleceniem, łązi pan za mną. Czy to wchodzi w warunki umowy?

Rejno podrapał się w brodę, po czym wyciągnął ze schowka, zawiniętą w folię, umowę. I zaczął ją przeglądać.

- No i, znalazł pan coś ciekawego?

- Powinienem był ustalić miejsce przebywania obywatela Szwajcarii, Teo Lhermitte'a. Ustaliłem. Podstawowy punkt umowy został więc wykonany. Ponadto mam prawo do dwóch dni wolnych od pracy. Przewiduje to konstytucja waszego kraju i odpowiednie ustawy... Mam je odczytać?

- Niech mi pan oszczędzi tych prawniczych dyrdymałów!

- Chodzi mi o to, że dzisiaj zrobiłem sobie dzień wolny od pracy.

- Szkoda... chciałam poprosić pana o pewną przysługę.

- O przysługę?

- Muszę się dostać do Kronsztadu. Nie mógłby pan mnie tam zawieźć?

- Niezbyt dobrze orientuję się w tym mieście. I w podmiejskich miasteczkach również - nastawił swoją starą, jeszcze nie do końca zdartą, płytę.

- Pokażę panu.

- No dobrze. Tylko musimy ustalić jedną rzecz. Jeden warunek.

- Jaki znów warunek? - zaniepokoiłam się. Chyba mi tu nie wyjmie spod kierownicy *Kodeksu cywilnego* albo *Zbioru prawa administracyjnego Federacji Rosyjskiej* (bądź Estonii, Finlandii, Liechtensteinu, wysp Trynidad czy też Tobago).

- Ponieważ mam dzisiaj dzień wolny, a pani zamierza skorzystać z moich usług, nie powiadomiwszy mnie o tym wcześniej... Na mocy punktu o nieprzewidzianych okolicznościach... Zapłaci mi pani podwójnie.

Sytuacja była na tyle niedorzeczna, że nawet nie potrafiłam znaleźć trafnej riposty. Montezumo, gdzie jesteś?! W odróżnieniu ode mnie, znalazłabyś odpowiednie słowa, charakteryzujące tego estońskiego pingwina. Pewnie nie tylko słowa...

- A zatem podwójnie?

- Tak. Zresztą to jest również zawarte w naszej umowie. Po prostu nie do końca się z nią pani zapoznała.

- Aha... I pewnie powinnam jeszcze powiadamiać pana o wszystkim pisemnie?

- Nie, dlaczego... To nie jest konieczne...

- A żebyś się smażył w piekle! - rzuciłam ze złością i wyskoczyłam z samochodu.

A żebyś się smażył w piekle, ty przebrzydły gnojku! „Padalcu, gnido dworska, kanalio, śmierdzące ścierwo”, jakby to określiła wielka furiatka, Polina Czarska.

Im dalej odchodziłam od auta Rejno, tym bardziej opuszczała mnie pewność, że dobrze robię. Samo wzięcie jakiegoś innego samochodu i śmignięcie nim do Kronsztadu, to jeszcze pół biedy. Ale co ja zrobię tam na miejscu? Będę przemierzać miasto, dzielnica po dzielnicę, w poszukiwaniu cholernych liter „PAR”? A co zrobię, jeśli je znajdę? Wtedy przydałyby mi się usługi prywatnego detektywa. Jeszcze jak by mi się przydały!

Nie uszłam nawet stu metrów, kiedy już zawróciłam. Opel stał na tym samym miejscu i czekał na moją decyzję. Machnęłam ręką. Natychmiast do mnie podjechał.

- Niech pana szlag trafi, nadbałtycki dupku - zgrzytnęłam zębami. - Zgadzam się. Zapłacę podwójnie. Tylko pod jednym warunkiem...

- Wszystko jest już ustalone w umowie - przypomniał mi delikatnie Rejno. - Inne warunki wymagają aneksów.

- Niech się pan na chwilę przymknie! Pod jednym warunkiem: niech mnie pan więcej nie męczy tymi papierkami. Niech pan prowadzi sobie swoją durną księgowość po kryjomu. A potem przedstawi mi pan wszystko od razu. A ja podpiszę.

- Dobrze - zlitował się nade mną Rejno. - To gdzie mam jechać?

- Do Kronsztadu. To nie jest aż tak daleko. Za jakieś pięćdziesiąt minut powinniśmy być na miejscu.

Droga do Kronsztadu zajęła nam znacznie więcej czasu niż przypuszczałam.

Najpierw Rejno utknął w tunelu tamy. Biegał tam i z powrotem jak nienormalny i krzyczał w jej przedzwiałym już wnętrzu stosowne do sytuacji „a-a-a!!!”, „o-o-o!!!” i „haa-a-loo!!!”, czym mnie doszczętnie skołował.

Następnie przyszła kolej na dwa rozpadające się mosty i trzy na wpół rozpadające się konstrukcje z czerwonej cegły, które zaklasyfikowałam jako pozostałości po imperatorskim burdelu. Rejno z rezerwą skrytykował odwieczne rosyjskie bałaganiarstwo i dał do zrozumienia, że gdyby ta miejscowość przeszła w ręce Republiki Estońskiej, to ich pracownicy i twórczy naród przemieniłby ją na podobieństwo Riwiery Francuskiej. Albo w etnograficzne muzeum pod gołym niebem.

- A może po prostu zwieźć tu wszystkich „nie-obywateli” i urządzić dla nich rezerwat? - zapytałam. - Tama i tak już ledwo zipie. Zanim byśmy się obejrżeli, zatopiłaby wszystkich wewnętrznych wrogów Republiki Estońskiej jak szczenięta.

Rejno obraził się na mnie za to stwierdzenie i aż do posterunku milicji drogowej, znajdującego się przy wjeździe do miasta, nie wypowiedział ani słowa.

Dopiero kiedy mijaliśmy patrol drogowy, mój pedantyczny prywatny detektyw zainteresował się, po co w ogóle jedziemy do Kronsztadu.

Zamiast odpowiedzieć wyciągnęłam fotografię Ałły Kodriny i mu ją podałam. Rzucił na nią jednym okiem i natychmiast się przeraził.

- Pani chyba zwariowała! Znam tę kobietę. To jest żona Olewa Kiwi. Nie żyje od jakiegoś roku!

- Dokładnie od trzynastu miesięcy. Ale mnie interesuje nie ona, tylko to, co znajduje się za nią. Widzi pan te trzy litery? Trzeba znaleźć miejsce, do którego się przyczepiły.

- Po co?

- Tego jeszcze nie wiem. Po prostu trzeba i tyle.

- Wydaje mi się, że to nie jest zbyt przyjemna historia... Warto poruszać stare morderstwo, jeśli nie uwolniła się pani od nowych?

To pytanie zadawałam sobie już kilkakrotnie. Jednak moja nowo narodzona intuicja podpowiadała: pomiędzy zabójstwami Olewa i Ałły istnieje mistyczny związek. Ten sam mistyczny związek, który istniał pomiędzy nimi za życia. Przyczyn morderstwa Olewa należy doszukiwać się w śmierci jego żony...

- Przyczyn morderstwa Olewa należy doszukiwać się w śmierci jego żony - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Moja wypowiedź zrobiła na Rejno takie wrażenie, że o mało co nie wjechał w rząd, idących do sauny, marynarzy.

Wściekli mężczyźni zaczęli nam wygrażać dębowymi miotłami i przeklinać naszego grata. Ratując się przed pobożnym gniewem, Rejno skręcił i pomknął do końca przecznicy, po czym znaleźliśmy się przed ogromnym Soborem Morskim. Potężny gmach zrobił na mnie przytłaczające wrażenie.

Rejno się zatrzymał i odetchnął z ulgą. A następnie zapytał:

- Ma pani mapę miasta?

- Mapę miasta? A po co nam mapa?

- Gdybyśmy mieli mapę - nieznoszący myślowego bałaganu Rejno ciężko westchnął - nie stracilibyśmy czasu na bezsensowne poszukiwania. Znaleźlibyśmy na niej to, czego szukamy. Na mapach zazwyczaj są pozaznaczane wszystkie punkty zbiorowego żywienia.

- A skąd panu przyszło do głowy, że to jest punkt zbiorowego żywienia? Równie dobrze to może być jakiś sklep.

Rejno zaczął wpatrywać się w zdjęcie.

- Dostyc niewygodne połączenie liter... - powiedział po chwili. - „PAR”... Mnie przychodzi do głowy jedynie „parówka”.

- A mnie - „parszywy paragraf cię za to czeka”...

- Kogo ma pani na myśli? - zaniepokoił się Rejno.

- Niech się pan nie martwi. Mam na myśli siebie. Tylko i wyłącznie siebie.

Moje słowa najwidoczniej go uspokoiły, gdyż po chwili włączył silnik i powiedział:

- Najpierw objedziemy miasto dookoła. Niech pani weźmie kartkę i ołówek. Będzie pani nakreślać schemat. I przy okazji zaznaczać ulice, które będziemy mijać. Nie jest duże to miasto?

- Miejmy nadzieję...

Przechasywanie cytadeli Floty Bałtyckiej zajęło nam godzinę. I właśnie pod koniec tej godziny na jednej z cichych uliczek z wieloma domami z czerwonej cegły znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Podpierające się nawzajem neonowe litery „PAROWIEC”. Przy czym R i O się nie świeciły. Nie miałam żadnych wątpliwości: to był właśnie ten napis, którego fragment został uwieczniony na fotografii.

„PAROWIEC” okazał się knajpką dla podejrzanych wilków morskich.

Zamówiliśmy sobie po filiżance kawy z likierem (na mój rachunek, ma się rozumieć) i ulokowaliśmy się przy oknie. Bezpośrednio przed nami stał dwupiętrowy dom z przechylonymi drzwiami wejściowymi. To był jedyny dom mieszkalny po przeciwległej stronie ulicy. Z prawej strony przylegał do niego niski budynek jakiejś kancelarii, a z lewej - ciągnął się ceglany mur.

- I co pan na to powie, panie Rejno? - zapytałam, sącząc jęczmienny surogat kawy, doprawiony z pewnością nie likierem, a co najwyżej spirytusem z cukrem.

- Myślę, że to jest właśnie to, czego szukaliśmy. Trzeba tam teraz iść i sprawdzić. Chociaż i bez tego jestem pewien, że tak mogą wyglądać litery jedynie z perspektywy pierwszego piętra.

- Dobrze. Chodźmy więc.

Dopiwszy lurę, wyszliśmy z „Parowca” i skierowaliśmy się w stronę dwupiętrowego domu. Tuż przy wejściu Rejno nagle się zatrzymał i zadarł do góry głowę.

- Okna mieszkań są położone nieco wyżej niż te na korytarzu. To też trzeba wziąć pod uwagę.

- Weźmiemy.

Po upływie pół minuty staliśmy już na pierwszym piętrze. Stąd widzieliśmy litery „PA.. W”. R i O się nie świeciły, a W pojawiła się tylko dlatego, że okna na klatce schodowej rzeczywiście okazały się położone nieco niżej niż te w mieszkaniach. Na piętrze mieściły się cztery

mieszkania. Do trzech z nich prowadziły drewniane drzwi. A do jednego - znajdującego się najbliżej schodów - obite dermą. Z przyklejonym pośrodku numerem lokalu - „ósemką”.

Rejno wybrał akurat te drzwi. Według najprostszych kalkulacji wychodziło nam, że to właśnie tu, w tym mieszkaniu, została uwieczniona Ała Kodrina.

- A czy - spytał, nie wiadomo dlaczego zniżywszy głos - już pani wymyśliła, co powiedzieć właścicielom?

- Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że w trakcie rozmowy doznam naglego olśnienia. Z panem poszło przecież jak po maśle... na „Królowej Reginie”. Wtedy, wchodząc do pańskiej kajuty, też nie wiedziałam, co ze mną będzie.

Rejno nadął się i zaczął przepuszczać powietrze z jednej strony buzi na drugą.

- Mam nadzieję, że ludzie, którzy tu mieszkają, będą mniej uprzejmi.

- Mniej uprzejmi?

- Zrzucą panią ze schodów i po krzyku.

Wyjęłam z kieszeni pierścioneł Ałły Kodriny i zaczęłam nim obracać przed jego nosem.

- Posiadam przedmiocik, który potrafi otworzyć każde drzwi.

- W takim razie do dzieła.

Podeszłam do drzwi, nabrałam powietrza w płuca i na chwilę się zamysliłam. Wszystko zależy od tego, kto mi otworzy. Istnieje kilka całkiem bezpiecznych wariantów. Można nawiązać do pierścionka, powołać się na zmarłego Olewa lub cieszącego się dobrym zdrowiem Filipa, czy wreszcie na gazetę „Petersburska Anomalia”.

Ostatnia opcja wydała mi się najlepsza. Była najbardziej uniwersalna.

To myśląc, bez wahania nacisnęłam dzwonek. A potem jeszcze raz, i jeszcze raz.

Nie było żadnej odpowiedzi.

To było tak niesprawiedliwe, że aż potrząsnęłam głową. I ponownie zaczęłam dobijać się do drzwi - raz za razem naciskając dzwonek. Przestrzeń za dermą ponownie odpowiedziała mi drwiącą ciszą.

- No i jak? - zainteresował się Rejno.

- Jak pan widzi... Nijak. Nikogo nie ma w domu.

Rejno wszedł po schodach, stanął przy mnie i spojrział na zegarek.

- Dwudziesta druga czterdzieści cztery. O tej porze ktoś powinien być już w domu.

- Sądzi pan po estońskich wzorowych mężach?

- No i co teraz zrobimy? - udał, że nie słyszy mojej sarkastycznej uwagi-

- Chodźmy z powrotem do „PA.. W”- zaproponowałam, schodząc po schodach. Tak właśnie wyglądał stąd szyld „ PA.. WIEC”. - Poczekamy jakiś czas. W końcu kiedyś powinno się tam zapalić światło. Rejno najwyraźniej nie chciał wracać do lokalu.

- No nie wiem, nie wiem... nie wiadomo, czy kiedykolwiek się zaświeci.

- Chce pan przez to powiedzieć...

- Jest lato. Może lokatorzy wyjechali na urlop... Wszyscy normalni ludzie wyjeżdżają latem na urlop.

Taka prosta i oczywista myśl nie przysłała mi wcześniej do głowy. I kiedy Rejno głośno ją wypowiedział, wpadłam we wściekłość. Przyjechać tu z Sankt Petersburga tylko po to, żeby napić się zjełczałego jęczmienia na spirytusie w jakiejś śmierdzącej spelunie i pocałować klamkę?! Utkwiłam wzrok w Rejno i stanowczo powiedziałam:

- Niech pan coś wymyśli! W końcu panu za to płacę!

- Ale co ja mogę wymyślić?

- A niech to! Do diaska! Dobra, idziemy... Zadzwonimy do sąsiadów. Na pewno coś wiedzą o tych mieszkańcach.

- I co im pani powie?

- O Chryste Panie! Zadam najprostsze pytania: co, gdzie, po co i kiedy wróca...

- A jeśli są jednak w mieście?

- Tym lepiej. Wtedy zostaniemy i będziemy czekać na nich tak długo, aż się wreszcie zjawią.

Pociągnęłam Rejno w stronę klatki. Ten najpierw się opierał, jednak po chwili przyspieszył, aż w końcu zostałam daleko w tyle. Detektyw wbiegł po schodach i zaczął obmacywać dermę. Miałam zamiar zapukać do sąsiednich drzwi, gdy usłyszałam, jak leciutko przekręca się klucz w zamku...

Nie, *kurat*, to nie był klucz!

Rejno majstrował czymś przy zamku. Najprawdopodobniej jakimś wytrychem. Ze zdumienia opadła mi szczęka.

- Co pan ro...

Nie zdążyłam dokończyć, gdyż drzwi stały otworem. Rejno szybko wszedł do środka, wciągając mnie za sobą siłą. Po czym zatrzasnął drzwi.

Przez parę chwil staliśmy bez ruchu, przyzwyczajając się do ciemności. W mieszkaniu panowała martwa cisza.

- Oszalał pan?! - powiedziałam przeraźliwym szeptem. - Co pan najlepszego narobił?! Przecież to jest... Przecież to jest włamanie! Najzwyklejsze w świecie ordynarne włamanie. Jak panu w ogóle mogło przyjść do głowy, żeby coś takiego zrobić?!

- Ma pani lepszy pomysł? - warknął równie przeraźliwym szeptem. - Nie chcę wracać do tej knajpy... *Jubé vaaterpilt!*⁴⁹

⁴⁹ *Jubé vaaterpilt!*- (est.) potworny widok!

- A to nie jest potworne? Lada chwila mogą nas... Zważywszy na to, że ciągle jeszcze jestem poszukiwana... O Boże!!! - na oślep machnęłam pięścią w kierunku, z którego dochodził przytłumiony głos Rejno. - Włamywacz! Bydlak!

Sukinsyn bez trudu uchylił się przed ciosem.

- Niech się pani uspokoi... Przecież sama pani chciała się tu jakoś dostać...

- A jeśli wrócą właściciele?

Rejno ponownie zaczął manipulować przy zamku, świecąc sobie, wziętą nie wiadomo skąd, latarką.

- Zabezpieczyłem drzwi - oświadczył radośnie. - A zatem jeśli wrócą, będziemy mieli czas, żeby wykombinować, co dalej robić.

- Ale z pana gość - powiedziałam i nie wiadomo, czego w moim głosie było więcej - potępienia czy też podziwu. - Czym je pan...?

- Ma się kilka specjalnych narzędzi - wyjaśnił mi pobłaźliwie. - Mam jednak nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę... że to jest dodatkowa usługa i powinna zostać dodatkowo opłacona. Według cennika...

- O Chryste!

- W umowie jest punkt o dodatkowych usługach. Pewnie po prostu niezbyt dokładnie się z nią pani zapoznała.

- Dobrze, obiecuję panu, że, kiedy to wszystko się skończy, na pewno jeszcze raz ją gruntownie przeczytam... Obiecuję. A co my teraz będziemy robić?

Ale on już się ulotnił. Po krótkiej chwili, gdzieś z przodu, ujrzałam przyćmioną smugę światła. To najprawdopodobniej Rejno otworzył drzwi do pokoju.

- Proszę tu przyjść! - zawołał.

Ruszyłam w stronę światła.

Rejno stał z nosem przy szybie i uważnie przyglądał się literom tworzącym szyld. Ponad wszelką wątpliwość to było to samo okno, obok którego stała z różą w rękach Ała Kodrina. To stwierdziwszy zaciągnął zasłony i ruszył w głąb pokoju. Następnie włączył lampę, którą, jak wiadać, już wcześniej sobie upatrzył. Teraz, w nikłym świetle lampki nocnej, obcy pokój w obcym mieszkaniu stanął przed nami w całej swojej krasie.

Nie ulegało wątpliwości, że jest to mieszkanie mężczyzny. W dodatku samotnego mężczyzny. Samotnego, niewyróżniającego się zbyt wybrednym gustem, faceta. Ogromna rozłożona kanapa z czarną pościelą (staroświecki krzyk seksu), lustrzany sufit, wieża, telewizor, odtwarzacz wideo, stojący bezpośrednio na podłodze, imponująca ilość butelek z drogim alkoholem pod ławą... I ogromny plakat amerykańskiej aktorki Demi Moore (akt w ostatnim miesiącu ciąży).

- Tak... - powiedziała z nietypowym jak na mnie i dlatego przerażającym mnie samą obrzydzeniem w głosie. - Gniazdo rozpusty...

- Niech pani nie będzie taka nietolerancyjna, pani Wario - Rejno zapelował do mojego poczucia wyrozumiałości. - Rozumiem, że czystość i cnota zdobi kobiety... Ale to jest przecież zwykle męskie mieszkanie. U mnie samego...

Spojrzałam na niego znacząco. Natychmiast się zamknął.

- Co robimy?

- Skoro już tu jesteśmy, poszukajmy śladów obecności zmarłej - czego jak czego, ale praktycznego i trzeźwego podejścia do sprawy nie można mu było odmówić.

- A w jaki sposób będziemy ich szukać? I co to mają być za ślady?

- Jakikolwiek - Rejno zaczął węszyć po pokoju niczym śledczy pies.

- Zdjęcia, notatki, klisze, listy... Może coś znajdziemy, jeśli się nam, oczywiście, poszczęści. Niech pani zacznie od biurka, a ja w tym czasie zajmę się regałami z książkami. I całą resztą...

Krytycznie popatrzyłam na książkową kolubrynę, ciągnącą się od ściany do ściany. Potem zerknęłam na biurko, wyglądające jak ciało obce w tym z lekka frywolnym pomieszczeniu.

- Przecież to jest zajęcie na dobrych kilka godzin...

- A co nam pozostaje? - odparł Rejno. - Niech się pani zabiera do roboty.

Zanim podeszłam do biurka, postanowiłam zobaczyć, jakim alkoholem raczy się facet, który tu mieszka. Złapałam butelkę egzotycznej whisky „Lagavulin” i odpowiednią do niej, w miarę czystą szklanę. Zdążyłam tylko odkręcić nakrętkę, kiedy Rejno napadł na mnie niczym jastrząb.

- Niech pani tego nie dotyka! - zaczął lamentować, wycierając chustką do nosa ślady po moich paluchach.

- A, tak. Odciski. Jasne. Człowiek się uczy do końca życia.

- Nie tylko odciski - Rejno wyciągnął z przepastnych kieszeni swojej kamizelki parę cienkich rękawiczek i mi je podał. - Nie powinna pani wykorzystywać sytuacji i okradać właścicieli...

- W jakim sensie - okradać?

- To są cudze trunki. Pani za nie nie płaciła. Nie wolno brać cudzych rzeczy...

Otworzyłam usta i przez kilka chwil w zdumieniu na niego spoglądałam. Ześwirowany prywatny detektyw robił mi wymówki! Stojąc pośrodku mieszkania, do którego sam się włamał! I to z jakiego powodu! „Nie wolno brać cudzych rzeczy”, a niech mnie!

- Dawno pana wypuścili? - zapytałam ckliwym tonem.

- Skąd?

- Z zakładu psychiatrycznego. To, co pan mówi, to są urojenia paranoidalne. Zaćmienie umysłu. Zamroczenie świadomości...

„I wrodzone obciążenie debilizmem” - chciałam dodać, ale w porę się powstrzymałam.

Wszystkie te wymyślne terminy pamiętałam jeszcze ze szkolnych czasów. Z czasów, kiedy po raz pierwszy się zakochałam. Sulew Chaasu już wtedy marzył o karierze lekarza-psychiatry. Dlatego w przerwach między młodzieńczym seksem czytał mi książkę *Psychiatria ogólna*.

- Tak pani sądzi? - zasapał Estończyk. - Wy, Rosjanie, jesteście jednak okropni. Zwykłą ludzką przyzwoitość oceniacie jako urojenie. A w dodatku

aż się rwiecie do tego, żeby coś świsnąć. Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie dogonicie Europy! Nigdy nie staniecie się jej częścią.

Tylko spokojnie, Warwara. Najważniejsze, żeby się teraz nie wdawać w te wszystkie, wybacz Panie Boże, moralno-etyczne kwestie.

Demonstracyjnie odwróciłam się plecami do tego obrońcy idei i kryształu sprawiedliwości, po czym wypaliłam:

- Niech się pan zajmie swoją pracą. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Po tych słowach podeszłam do biurka i obejrzałam z bliska front, na którym miałam stoczyć walkę. To było zwykłe biurko, z dwiema szafkami i trzema szufladami po każdej stronie. Na jego powierzchni ktoś przyklejał mnóstwo gum do żucia. Jednak myśl o tym, że mam grzebać w cudzych rzeczach, nie stanowiła dla mnie najmniejszego problemu. W swoim poprzednim - jakże odległym, beztroskim i bynajmniej nie świętobliwym - życiu czasami pozwalałam sobie na szperanie w kieszeniach klientów.

W celach czysto zapoznawczych.

Po kilku takich wybrykach ustaliłam średnią statystyczną zawartość męskiej kieszeni. Znajdowały się w niej zazwyczaj:

- zdjęcia rentgenowskie zębów,
- pudełka zapalek z numerami telefonów kobiet,
- paczki papierosów z numerami telefonów kobiet,
- banknoty z numerami telefonów kobiet,
- portmonetki z kalendarzykami gorących lasek na plaży,
- kapsle po piwie,
- klucze od mieszkania przyjaciela,
- prezerwatywy.

W biurku, które zaczęłam z zapalem przeszukiwać, znalazłam prezerwatywy. I zdjęcie rentgenowskie górnego prawego siekacza. Na tym podobieństwo do męskiej kieszeni się kończyło. Szuflady wypełnione były po brzegi czasopismami „Mistrz Broni”⁵⁰, instrukcjami sprzętów domowych, wykałaczkami, patyczkami do uszu, drobnialcami w zagranicznej walucie, zużytymi wkładami do długopisów i kilkoma kopertami ze zdjęciami.

I nabojami.

⁵⁰ „Mistrz Broni” - (ros.) „Mastier Ruzje” - czasopismo dotyczące broni i polowania (przyp. tłum.).

Najbardziej zainteresowały mnie fotografie. Głównie były to zdjęcia z różnych weekendowych imprez (zimowych i letnich) oraz z rodzinnych uroczystości. Nic szczególnego. Takimi fotografiami wypełniona jest większość albumów w większości domów. Na ich podstawie nie udało mi się stwierdzić, kto jest właścicielem tego mieszkania.

Sprawa wyjaśniła się, kiedy w dolnej szufladzie znalazłam pudełko z dokumentami. W środku leżał dowód osobisty na imię Igora Arkadiewicza Piestieriewa, a także legitymacja myśliwska o numerze 1354 i zaświadczenie służbowe prywatnej firmy ochroniarskiej „LOKIS” o numerze 19. Odłożyłam na bok legitymację oraz zaświadczenie i skupiłam się na dowodzie osobistym.

Wynikało z niego, że Igor Arkadiewicz Piestieriew, Rosjanin, urodził się 14 kwietnia 1965 roku w mieście Ałapajewsk w obwodzie Swierdłowskim. I.A. Piestieriew był zameldowany w Kronsztadzie, przy ul. Kronsztadzkiej 73, mieszkania 8.

Pod tym samym adresem, za tymi samymi drzwiami z dermy, które otworzył Rejno. W tym samym mieszkaniu, w którym załatwialiśmy teraz swoje ciemne sprawy.

Przez jakiś czas przyglądałam się uważnie twarzy właściciela mieszkania.

Nie wyróżniał się niczym szczególnym: krótko ścięte włosy, krótki nos, krótka szyja. Po chwili rozstałam się z czarno-białą fotografią Igora Arkadiewicza i przerzuciłam się na stronę „stan cywilny”.

Okazała się absolutnie, wyzywająco, dziewiczo czysta.

I.A. Piestieriew był zatwardziałym kawalerem.

Odłożyłam dowód osobisty i wzięłam do ręki pozostałe dokumenty. I tu znalazłam kilka ciekawych informacji. Po pierwsze, członek koła myśliwskiego, I.A. Piestieriew, posiadał jednolufowy karabinek „Antares” włoskiej firmy „Famars”. Oprócz tego na jego nazwisko były zarejestrowane dwa myśliwskie noże. Jeden z nich znalazłam w kącie szuflady, pod pudełkiem z dokumentami. Był to imponujących rozmiarów tasak.

Ale to jeszcze nie wszystko.

W tej samej szufladzie, tuż obok tasaka, znalazłam jeszcze jeden, najcięższy, plik fotografii. Wreszcie ujrzałam wszystkich uczestników dramatu - w całej krasie. Liczba osób na zdjęciach wahała się od trzech do

czterech. Zawsze były to jedne i te same postacie: Ała Kodrina, Filip Kodrin, niewidoma Janka i sam I.A. Piestieriew! Bez wątpienia całą czwórkę łączyły przyjacielskie stosunki. A pomiędzy Ałą i Igorem wyglądały na wręcz miłosne!

Śmiejąca się Ała siedziała na kolanach Piestieriewa, leżała w jego objęciach, stała przy nim w niebezpiecznej i całkowicie niedwuznacznej odległości. Brat i szwagierka nie sprzeciwiali się tym bezeceństwu. Wprost przeciwnie, wyglądali na zadowolonych. Na niektórych zdjęciach Igor mocno przytulał do siebie Jankę, na innych Filipa. Na jeszcze innych wszyscy wisieli na jego masywnych, napakowanych od ciężkiej pracy w agencji ochroniarskiej, ramionach.

I ani śladu po prawnym mężu Kodriny - Olewie Kiwi.

Chociaż w sumie to jeszcze o niczym nie świadczyło. Na żadnym ze zdjęć nie było daty. Całkiem więc możliwe, że cała ta sielanka miała miejsce na długo przed pojawieniem się wiolonczelisty.

Złożyłam swoje zdobycze na gromadkę, po czym zawołałam Rejno. Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi.

Odwróciłam się i zamarłam na widok tego, co ujrzałam.

Rejno porzucił obowiązki prywatnego detektywa i siedział na podłodze ze strzelbą w objęciach! Gładził jej lufę, zakradał się zachłannymi palcami pod jej spust, zapamiętałe pieścił kolbę. Był tak pochłonięty tym zajęciem, że nawet nie zauważył, jak podeszłam i przy nim ukucnęłam.

- To jest cudza strzelba - powiedziałam pieszczotliwie. - Pan za nią nie płacił. Nie wolno brać cudzych rzeczy...

Rejno drgnął.

- Ja po prostu...

- Karabinek „Antares” o gwintowanej lufie, firmy „Famars”, zgadza się? - powstrzymałam potok jego usprawiedliwień.

- Istotnie - spojrzał na mnie z uznaniem. - Mario Abbiatico i Remo Salvinelli. Bardzo droga zabawka. I bardzo dobra. Dzieło sztuki. Skąd pani to wie?

- Wiem znacznie więcej. Właściciel strzelby, Igor Arkadiewicz Piestieriew jest członkiem koła myśliwskiego. Oprócz niej posiada także to.

Podalam Estończykowi nóż, jednak nie wziął go do ręki.

- Okuty nóż z Damaszku - rzucił hasłem. - Rękojeść z karelskiej brzozy. Ale to jest seryjna produkcja. A „Antares” jest niestandardowym wyrobem. Nie jest produkowany w dużych ilościach...

- Wydaje mi się, że nie przyszliśmy tu podziwiać cudzej broni.

- Tak, tak, oczywiście... - najwyraźniej nie umiał się rozstać ze strzelbą.

- Znalazłam jego dowód osobisty. I pewne dokumenty. I fotografie. Dość ciekawe.

- Ja też znalazłem fotografie. Również dosyć ciekawe - rzucił w roztrągnięciu. - Leżą na podłodze.

Rzeczywiście, obok niego stała okazałych rozmiarów szkatułka, wykonana na wzór wyrobów z Palecha. Na pokrywce widniał stary jak świat motyw: ranny dowódca Czapajew ⁵¹ przepływający rzekę Ural. Nacieszyszy oczy widokiem łąkowego Czapajewa, otworzyłam szkatułkę.

⁵¹ Wasilij Iwanowicz Czapajew (1887-1919), rosyjski i radziecki wojskowy. W latach 1914-1917 brał udział w I wojnie światowej. Otrzymał za odwagę trzykrotnie Order św. Jerzego. W sierpniu 1917 wstąpił do partii bolszewickiej. Dowodził 2. Dywizją Nikołajewską oraz 25. Dywizją Strzelecką. 5 września dywizja Czapajewa stacjonowała w Łbiszczeńsku (obecnie Czapajew, Kazachstan) gdzie została zaatakowana przez „białych”. Czapajew został zabity w czasie próby ucieczki przez rzekę Ural. Jego ciała nigdy nie odnaleziono (przyp. tłum.).

I o mało nie padłam obok niej trupem!

Tam też była Ała Kodrina. I też w tym mieszkaniu, w którym się obecnie znajdowaliśmy. Ale w jakim stanie! Śmiało zaliczyłabym te ujęcia do kategorii najokrutniejszej twardej pornografii. Nawet Annie Ramat, gwiazda estońskich amatorskich filmów porno, wyglądała nędznie na jej tle.

A to ci dopiero wielbicielka Bacha we wiołonczelowej intepre... Tfu, interpretacji! A to ci dopiero przeciętna naiwniara ze starodawnym „paziem” na głowie i różą w rękach!

Ciekawe, co by na to powiedział impulsywny mąż Kaje, Jurij Kiria-kow?!

Ciekawe, co by na to powiedziała Kaje?!

A najciekawsze, co by na to powiedział sam Olew Kiwi?!

- Gdzie pan to znalazł? - zapytałam.

W odpowiedzi machnął za siebie ręką. Spojrzałam w tamtym kierunku i zobaczyłam całkowicie opróżnioną półkę, a za nią niewielkie, niemal niewidoczne drzwiczki w ścianie: pornosejf.

Dlaczego spośród kilkunastu innych Rejno wybrał właśnie tę półkę? I bezbłędnie trafił w dziesiątkę? Żadnej innej nie tknął nawet palcem!

- Jakim cudem się panu udało tak szybko... - wymamrotałam.

- Sam bym sobie sprawił taki sejf za książkami, po które nigdy nie sięgam. Za książkami, które nie przyciągają niczyjej uwagi. Widzi pani, cała jego literatura dotyczy broni. W większości są to drogie albumy. A tu, proszę, mamy jakieś poradniki chemiczne... podręczniki z chirurgii jamy brzusznej... Momentalnie rzuca się w oczy.

Spojrzałam na niego z uznaniem, po czym zajęłam się resztą skarbów ze szkatułki. Oprócz zdjęć porno, znajdowała się w niej jakaś paczka, zawinięta w celofan. Szybko go zdjęłam i właśnie zabierałam się za rozwiązywanie sznurka, kiedy Rejno chwycił mnie za rękę.

- Słyszała pani? - zapytał szeptem.

- Niczego nie słyszałam.

- Samochód podjechał.

- No i co z tego?

Jednak on już nie słuchał. Pieszczoty z jednolufowym karabinkiem „Antares” dobiegły końca. Rejno wetknął strzelbę tam, skąd ją wyciągnął: w kąt pomiędzy meblościanką a regałami na książki. A następnie odebrał mi paczkę i wsunął do niej niewielką książkę. Całość wraz z kilkoma aktami Ałły znikła w wewnętrznej kieszeni jego kamizelki.

- A to po co?

- Potrzebne.

- Jest pan miłośnikiem takich widoków?

- Niech pani nie wygaduje bzdur. Co pani tam jeszcze znalazła?

- Zdjęcia... Ale nie takie... hmm... ekstremalne. Ałły i właściciela mieszkania w kręgu rodzinnym.

- Niech pani kilka weźmie, a resztę odłóż tak jak było. Szkatułkę proszę także odstawić na swoje miejsce i zasłonić książkami. Czas nagli.

Wydawszy polecenia, Rejno pobiegł do przedpokoju. Zaczęłam gorączkowo wrzucać wszystko do szuflady: zdjęcia (pięć z nich odłożyłam), nóż i dokumenty. Kiedy zasuwiałam szufladę, z przedpokoju dobiegł zgrzyt zamka. Ktoś zawzięcie usiłował przekręcić w nim klucz.

Nie „ktoś”!!! To musiał być spóźniony właściciel!

Drżącymi rękami wsunęłam szkatułkę w otchłań sejfu, po czym go zamknęłam. Drzwiczki natychmiast zwały się w jedno z tapetą, stylizowaną na cegłę. Nie miałam zielonego pojęcia, jakim cudem Rejno udało się odkryć ten sejf?!

Zgrzytanie w zamku nie ustawało. A po chwili rozległo się głucho uderzenie w drzwi. O mały włos nie upuściłam ostatniej książki, której nie zdążyłam jeszcze odstawić na swoje miejsce.

Kiedy posprzątałam do końca, do pokoju wrócił Rejno.

- Mamy jeszcze półtorej minuty - oświadczył uroczyście. - Właściciel pójdzie teraz do okna, a my spokojnie wyjdziemy drzwiami.

- A...

- Na pytania przyjdzie czas później.

Wystarczyło mu czterdzieści sekund, żeby zatrzeć ślady naszej obecności w mieszkaniu. Przetawił dwie książki na półce, nadał szklance i butelce whisky „Lagavulin” pozycję wyjściową, wyłączył lampkę nocną i rozsunął zasłony.

A następnie, złapawszy mnie za rękę, pociągnął za sobą na korytarz. Już po chwili staliśmy na klatce schodowej. Jednak zamiast zejść po schodach, weszliśmy jeszcze wyżej.

- Musimy poczekać - szepnął mi na ucho Rejno. - Co najmniej z dziesięć minut. On zaraz...

Nie zdążył jednak dokończyć swojej myśli, gdyż piętro niżej otworzyły się już drzwi. Ponownie usłyszeliśmy dźwięk przekręcanego w zamku klucza, a potem czyjeś kroki. Struchlała ze strachu wtuliłam się w skórzaną kamizelkę Rejno, położyłam głowę na jego piersi i straciłam kontakt z rzeczywistością.

Ocucił mnie chwilę po tym, jak drzwi na klatce się zatrzasnęły.

- Chodźmy - powiedział. - Tylko cicho.

- Ale mówił pan... dziesięć minut...

- Zmieniłem zdanie. Musimy już iść.

Przemknęliśmy koło drzwi numer 8. Rejno najwyraźniej postanowił, że będziemy odgrywać zakochaną parę, gdyż położył mi rękę na ramieniu i mocno do siebie przyciągnął. Trzeba przyznać, że niezbyt nam to wyszło.

Przy klatce stało zaparkowane żiguli. Dziewiątka. Jeszcze czterdzieści minut temu jej tu nie było.

- Jego samochód - szepnął Rejno.

- Widzę.

Dokładnie po ośmiu minutach opuszczaliśmy błogosławione i jakże wyrozumiałe wobec włamywaczy miasteczko Kronsztad. I dokładnie po ośmiu minutach zapytałam:

- A jak się pan domyślił, że wejdzie oknem?

- To silny mężczyzna. Silny mężczyzna, który mieszka na pierwszym piętrze. Tylko głupiec wylamywałby drzwi, skoro spokojnie może dostać się do mieszkania inną drogą. Poza tym obok jego okien znajduje się rynna. Sam mieszkam na pierwszym piętrze i mam rynnę przy oknie. Już kilkakrotnie...

- A nie zastanawiał się pan, dlaczego czasami nie otwierają się pańskie drzwi? - zapytałam złośliwie.

Moje pytanie go zdenerwowało.

- Co chce mi pani dać przez to do zrozumienia? - zapytał.

- To, że w pańskim bungalowie też ktoś może czegoś szukać. Czegoś, co mogłoby pana skrompromitować.

- U mnie? U mnie nie ma żadnych kompromitujących materiałów. Jestem uczciwym człowiekiem.

- A zestaw wytrychów? - przypomniałam. - Z pewnością to nie jedyne pańskie narzędzia pracy. Pewnie posiada pan też sprzączkę do szpiegostwa gospodarczego... No, niech się pan przyzna.

- Nie zajmuję się szpiegostwem gospodarczym - obruszył się Rejno. - Nie robię niczego, co mogłoby zaszkodzić mojemu krajowi! My, Estońscy, jesteście porządnymi obywatelami...

No to teraz znów się zacznie patriotyczne głędzenie. Ale mi się typek trafił! Aż strach się bać!

- Dobrze, już dobrze... Tylko żartowałam. Niech mi pan da to zawiniątko.

- Zawiniątko?

Ze zdziwienia aż zatrzymał samochód i spojrzał na mnie jak na wariatkę. - Nie mogę go pani oddać.

- Jak to, nie może pan?

- Najpierw sam się muszę zapoznać z jego zawartością... I kiedy już to uczynię, sporządzę sprawozdanie. W formie pisemnej. I je pani przedstawię.

- Zgłupiał pan? To jest być może kwestia mojego życia i śmierci, a pan się tu stawia! Proszę mi je natychmiast oddać!

Ponieważ Rejno nie chciał zmienić zdania, musiałam mu to inaczej wytłumaczyć. Dałam upust swojej złości i po krótkiej szarpaninie (w rezultacie której Rejno stracił część włosów i miał spuchnięty od ugryzienia palec) doszliśmy do kompromisu. Z zawartością zapoznamy się razem.

W charakterze poligonu do badań specjalnych wybraliśmy jego mieszkanie. Nie mogłam go przecież zaprosić na Kanonierską do Siergiejowej nory.

- Ma pan własne mieszkanie w Petersburgu? - byłam ogromnie zaskoczona.

- Mam własne mieszkanie w Estonii. A tu jedynie wynajmuję...

Zanim udaliśmy się na Kolomiagę (właśnie tam, na obrzeżach miasta, Rejno wynajmował jednopokojową ruderę), zajechaliśmy na Kanonierską po moje rzeczy. Nie żebym się obawiała o ich bezpieczeństwo, ale totalne zafascynowanie maniakałnym Romanem Popowem sprawiło, że zachowanie Siergieja stało się nieprzewidywalne. Mógł na przykład wyrzucić moją torbę do zsypu na śmieci. Albo ją komuś oddać.

Kiedy wpadłam do mieszkania, zastałam ten sam surrealistyczny obrazek pod tytułem: „NIE PRZESZKADZAĆ!”

Siergiej napaarzał na maszynie do pisania z jeszcze większym zacięciem niż wtedy, gdy wychodziłam.

Kasznęłam znacząco za jego plecami, jednak nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu.

Zrezygnowana machnęłam ręką, złapałam swój nesesor, pogłaskałam zdziczałego Chodźtu, po czym skierowałam się w stronę drzwi. I dopiero w ostatniej chwili przypomniałam sobie o jeszcze jednej rzeczy.

O dossier Ałły Kodriny.

W świetle ostatnich wydarzeń i możliwości, które tak nieoczekiwanie stanęły przede mną otworem, te dokumenty mogły mi się jeszcze przydać.

Wróciłam do pokoju, ostrożnie prześliznęłam się pod sznurkiem, po czym podeszłam do stelaży z książkami. Teczka ze sprawą zmarłej żony Olewa Kiwi stała na swoim miejscu. Wsunęłam ją pod pachę i tą samą drogą wróciłam do drzwi. Tylko tym razem nie poszło mi już tak sprawnie

z tabliczką „NIE PRZESZKADZAĆ!” Zahaczyłam o nią głową i usłyszałam dźwięk dzwonka, zaczepionego na końcu sznurka.

Siergiej odwrócił się nerwowo i chyba nie od razu mnie rozpoznał, gdyż w jego błyszczących oczach wyczytałam pytanie:

„A ty kim jesteś, łysy kocie?”

- To ja, Siergiej...

- Aaa... Ale przecież tam jest napisane - „NIE PRZESZKADZAĆ”! - z miejsca na mnie naskoczył. - Nie rozumiesz prostych słów?!

- Przepraszam...

- Zamknij drzwi z tamtej strony! - zaczął krzyczeć.

- Nie zapominaj karmić Chodźtu, ty pomyłeńcu! - rzuciłam na odchodnym i trzasnęłam lichutką dyktą udającą drzwi z takim impetem, że aż spadł tynk ze ściany.

Inaczej. Całkowicie inaczej wyobrażałam sobie swoje pożegnanie z korespondentem specjalnym gazety „Petersburska Anomalia”. No cóż, mówi się trudno i żyje się dalej. Kiedyś w końcu przejdzie mu ta fascynacja. Jeśli wyjdę z tych tarapatów cało i zdrowo, obalimy razem niejedną butelkę „Chianti”.

Wino, które uwielbiają romantyczne kobiety-morderczynie...

* * *

Osiedle, na którym mieszkał Rejno, położone było na krańcach miasta, a jego dom stał na samym końcu. Przed naszymi oczami roztaczał się malowniczy widok na cuchnące bagno i nędzne poszycie leśne. O gdzie ty, Kanonierska?! O gdzie ty, północne Porto-Franko z surowym klimatem?! O gdzie wy, wieżowe suwnice?! O gdzie wy, przelotne oceaniczne liniowce?!

Dziwnym zbiegiem okoliczności mieszkanie Rejno miało numer 96 i mieściło się na szesnastym piętrze. Zupełnie jak nora Siergieja. Z tą różnicą, że było absolutnie puste.

Żadnego krzesła, stołu, filizanki czy łyżki. Tylko jeden ręcznik w łazience, wałek od tapczanu w przedpokoju i łóżko polowe w pokoju. Nie było nawet popielniczki!

Teraz już rozumiałam, skąd u Rejno to upodobanie do drogich restauracji.

- Tak... - westchnęłam, oglądając gołe okna i gołe ściany. - Kajuta na „Królowej Reginie” wyglądała przytulniej...

- Ja pani tu nie zapraszałem - warknął. - Sama się pani wprosiła.

Po tej krótkiej wymianie zdań ulokowaliśmy się bezpośrednio na podłodze. Rejno wyjął z kamizelki pakunek i uroczyście go rozwinął. W środku znaleźliśmy plik listów i telegramów. I nic więcej. Telegramy Rejno przekazał mi, sam zaś zajął się listami.

Telegramów było pięć. Wszystkie zagraniczne.

Zanim zaczęłam je przeglądać, na pewien czas zamknęłam się w toalecie ze swoją ulubioną książką *Zagadki kryminalne - rozwiąż je sam*. I uważnie przestudiowałam rozdział o badaniu poszlak, a raczej jego podrozdział *Listy, notatki i szyfry*.

Kiedy kończyłam akapit „...i uszeregować je w porządku chronologicznym, starannie porównując z kolejnością wydarzeń przestępczych”, ktoś zapukał do drzwi.

- Co tam pani robi? - usłyszałam podniesiony głos Rejno. - Zasnęła pani czy co?

- Już idę - odparłam, spuszczać wodę.

Wróciwszy do pokoju, zastałam Rejno oglądającego z przejęciem nieprzyzwoite zdjęcia Kodriny. Ten ukryty estoński zboczeniec był na dodatek uzbrojony w lupę! Świntuch!

- Rozumiem, oczywiście, że ten kawałek ciała zajmuje ważną pozycję w śledztwie - powiedziałam - ale chyba nie warto było dla niego podejmować takiego ryzyka i jeździć do Kronsztadu. Spokojnie można było poprzestać na seks-shope na placu Powstania. Jak pan chce, to mogę podać panu dokładny adres.

- Tak jak przypuszczałem, nie jest pani taką cnotką, na jaką pani usilnie pozuje - stwierdził niezawstydzony moją uwagą. - Niech się pani nie miesza w nie swoje sprawy. Wszystkie poszlaki powinny być dogłębnie zbadane.

- Zwłaszcza te.

- Tak, te w szczególności - przybrał pogardliwą minę, po czym odwrócił się do mnie plecami.

Zrobiłam to samo i rozłożyłam przed sobą telegramy.

Wszystkie były z różnych miesięcy, a nawet z różnych lat. Jednak zawsze był ten sam nadawca i ten sam odbiorca: Ała Kodrina i Igor Piestieriew. Uporządkowałam je chronologicznie (zgodnie z zaleceniami

rozdziału *Poszlaki*). Telegraficzny romans Kodriny i Piestieriewa przedstawiał się w następujący sposób:

1. Tallin, 12.10.96 r.:

„MUSIAŁAM. WYBACZ MI, JEŚLI MOŻESZ. AŁŁA”.

2. Wenecja, 25.12.97 r.:

„TO MIASTO JEST STWORZONE DLA NAS. UWIELBIAM. ALIKA”.

3. Wiedeń, 11.02.98 r.:

„REJS NR 888. BOŻE, CZY TO PRAWDA? UWIELBIAM. ALIKA”.

4. Martynika, Le Lamentin, 04.01.99 r.:

„DLACZEGO NIE TY? UWIELBIAM. ALIKA”.

5. Wiedeń, 12.06.99 r.:

„»ASTORIA«. 14.00. UWIELBIAM. ALIKA”.

Odłożyłam telegramy i westchnęłam.

Nawet te malutkie, dawno już pożółkłe skrawki papieru wystarczyły, by przed moimi oczami ukazała się historia niezwyklej miłości. To była jakaś niezemska, rozciągnięta w czasie dzika namiętność. Wyglądało na to, że tej kobiecie nie była obca miłość na wieki. Podobnie jak jej mężowi. Z tym, że ona nie kochała światowej sławy muzyka, Olewa Kiwi. Nie. Kochała innego. Żalnego pracownika nędznej firmy ochroniarskiej „Lokis”, Igora Piestieriewa! Płonęła rozpaczliwie nieustającym żarem namiętności. Oczyma wyobraźni widziałam Ałłę Kodrinę, tańczącą przy okienkach pocztowych w Tallinie, Wenecji, Wiedniu i jakiejś nieznanej mi Martynice.

Ałłę Kodrinę, obsypującą pocałunkami zimne, obojętne kawałki papieru...

Na podstawie tych telegramów łatwo można było odtworzyć historię ich romansu. Z pewnością poznali się na długo przed pojawieniem się Olewa. A potem diabeł ją podkusił, żeby pójść do głupiej filharmonii na głupi koncert wiolonczelowy. I usiąść w głupim rzędzie w głupiej czerwonej sukni.

Tam właśnie dopadła ją szaleńcza miłość artysty. Szaleńcza miłość, która szła w parze ze znacznie smaczniejszym kąskiem, niż jednopokojowe mieszkanie w Kronsztadzie, jednolufowy karabinek „Antares” i nóż z Damaszku z rękojeścią z brzozy karelskiej.

Oczywista sprawa, że nie była w stanie się oprzeć i wybrała dom letniskowy w Estonii, mieszkanie w Wiedniu, samochody, występy gościnne, kronikę światową, kolekcję klejnotów... Jak stwierdził braciszek Fila: „cały świat u swych stóp”.

Ja też bym się nie oparła tym bogactwom. Tylko że mnie nie było dane spotkać na swojej drodze zamożnego wiolonczelisty.

Nie oparła się perspektywie bogatego życia. Wyszła za mąż za maestra, tym samym odrzucając swojego kronsztadzkiego kochanka. Myślała, że łatwo o nim zapomni. Na tyle łatwo, że postanowiła się usprawiedliwić i prosić o zrozumienie. To był pierwszy suchy telegram.

A potem...

Łatwo można sobie wyobrazić, co nastąpiło potem. W żaden sposób nie była w stanie wyrwać go z serca i myśli.

Można by do woli doszukiwać się przyczyn. Można wyolbrzymiać rolę, jaką odegrała w tym wszystkim Wenecja. Być może jednak nie miało żadnego znaczenia, że było to akurat to, a nie inne miasto. Być może po prostu nieszczęsna Ała obudziła się któregoś ranka w jakimś weneckim hotelu (równie dobrze mogła się obudzić w barcelońskim, marsylskim, ateńskim, marokańskim), rozsunęła zasłony, spojrzała na świat, po czym popatrzyła na swojego śpiącego, białogłowego, flegmatycznego estońskiego męża i wtem do niej dotarło...

Dotarło do niej, że to miasto, podobnie jak i wszystkie inne miasta, stworzone jest nie dla Olewa i Ały, lecz dla Igora i Ały. I wtedy się zaczęło. Skorzystała z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby wrócić do Sankt Petersburga. Wysłała telegram z numerem rejsu. I on się z nią spotkał. Na pewno się spotkał. A później były kolejne telegramy.

I kolejne potajemne spotkania. I nareszcie miała cały świat u swych stóp. Lecz „Boże, dlaczego nie ty?”.

Mój Boże, dlaczego nie ty...

Jakże smutna, a zarazem piękna, chwytająca za serce historia...

- Proszę - odezwał się nagle Rejno.

- Słucham?

- Proszę wziąć ode mnie chusteczkę. Szlocha już pani od piętnastu minut... Aż żal patrzeć. Czyżby te telegramy tak panią wzruszyły?

Spojrzałam na niego z nieukrywana nienawiścią. Oto cała naga prawda o facetach. Przejaw najpodlejszego męskiego cynizmu!

- Dlaczego mężczyźni niczego nie czują? - zadałam retoryczne pytanie. - Dlaczego są tak niereformowalnie, ograniczenie i odrażająco cyniczni?

- Jeśli będzie pani mylić cynizm ze zdrowym rozsądkiem, a rozklejanie się z byle powodu z głębokimi uczuciami, to daleko pani nie zajdzie... Przejrzałam wszystkie listy. W niektórych są dość dziwne fragmenty. Zaznaczyłem je. Może pani zobaczyć.

- Tak, oczywiście - wymamrotałam, ale nawet się nie ruszyłam.

Rejno odebrał mi telegramy i przebiegł po nich wzrokiem. Żadnej reakcji. Co za gruboskórne zwierzę! Zwierzę nigdy nie zazna miłości!

Niezapomniany Leszyk, do tej pory odsiadujący wyrok w Kriestach - ten na pewno by się rozczulił!

- Ma pani coś odnośnie do sprawy Ałły Kodriny? - przyjął służbowy ton.

- Mam dossier...

- Niech pani da.

Z oczami pełnymi łez chwyciłam torbę i wyciągnęłam stamtąd czerwoną teczkę z historią zabójstwa Ałły Kodriny. Podałam ją Rejno, po czym znów pograżyłam się w słodkiej, głębokiej, melancholijno-płaczliwej zadumie.

Ale ten prostak bez najmniejszych skrupułów mnie z niej wyrwał.

- Cztery telegramy można spokojnie wyrzucić do kosza. Chociaż mogę się oczywiście mylić... Za to piąty... Niech pani tylko spojrzy!

Podał mi go i zmusił do przeczytania na głos.

- „»ASTORIA«. 14.00. UWIELBIAM. ALIKA” - wyrecytowałam z uczuciem i ponownie się rozkleiłam.

- Niech pani wreszcie przestanie być sentymentalną idiotką - krzyknął. - I spojrz na datę!

- Dwunastego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku...

- Otóż to. Telegram został wysłany na dzień przed przylotem Kodriny do Sankt Petersburga. Na dzień przed dokonaniem morderstwa.

Ostatnie zdanie, wypowiedziane całkowicie obojętnym tonem, po-działało na mnie otrzeźwiająco. Łzy momentalnie wyschły.

- Co ma pan na myśli?

- Ja? - zdziwił się Rejno. - To nie ja. To organa śledcze. Czytała pani w ogóle to dossier?

- Taa...

- A pamięta pani szczegóły związane z jej przylotem do Sankt Petersburga?

- Nie za bardzo...

- Tak też myślałam... Jakim cudem miała pani na tyle rozumu, żeby zdobyć tę teczkę? To dla mnie niepojęte...

- A jakim cudem miałam na tyle rozumu, żeby nie dać się złapać!? - warknęłam.

- To świadczy nie tyle o obecności pani szarych komórek, ile o ich braku u milicji - odciął mi się Rejno.

- Ale...

- Niech się pani na chwilę przymknie i posłucha. Ała Kodrina przyleciała trzynastego czerwca z Wiednia. Rejsem DF 895. Samolot wylądował zgodnie z planem. O 12.15. Na lotnisku Kodrina wzięła taksówkę. Kierowca twierdzi, że wysadził ją przy hotelu „Astoria” około godziny drugiej. A teraz proszę ponownie przeczytać telegram. Wszystko się zgadza.

- „»ASTORIA«. 14.00. UWIELBIAM. ALIKA” - powtórzyłam jak papuga.

- Widzi pani! Dzień przed odlotem posyła swojemu petersburskiemu kochankowi wiadomość. Wyznacza spotkanie przy „Astorii”. Dlaczego?

- Dlaczego wyznacza? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

- Nie dlaczego wyznacza! Dlaczego akurat przy „Astorii”? W poprzednim telegramie podała tylko numer rejsu. I to było całkowicie zrozumiałe! Piestieriew na pewno wyjechał po nią na lotnisko, jak przystało na zakochanego mężczyznę. Swoim własnym samochodem. Niech pani nie zapomina, że ma „dziewiątkę”. Po co Ała miałaby, mając takiego namiętnego kochanka, brać taksówkę i pędzić do centrum miasta? Przecież z tym jest za dużo zachodu. Nie wspominając już o wydatku... To jest kompletnie pozbawione sensu.

- No chyba - nie wytrzymałam. - Wydatki dla pana zawsze są pozbawione sensu! A jeśli on po prostu nie mógł się wyrwać z pracy... żeby pojechać na lotnisko...

- Nie miał czasu, żeby pojechać na lotnisko, ale miał czas, żeby się szwendać przy „Astorii”?

- A może pracuje gdzieś w pobliżu? O drugiej wypada akurat przerwa obiadowa. Być może tak bardzo się kochali...

- ...że mogli poczekać - Rejno zrobił skwaszoną minę. - Ale rzecz w tym, że trzynastego czerwca zeszłego roku była niedziela!

- Niedziela? - zdziwiłam się. - Na pewno?

- Na sto procent. Niestety, pani wersja o ciężkiej pracy odpada...

- A skąd pan wie, że to była niedziela?

- Mam wieczny kalendarzyk - Rejon napuszył się jak paw i podał mi kartonik z jakąś podzięką. - Od 1980 do 2000 roku włącznie. Może pani sama sprawdzić, jeśli mi pani nie wierzy...

- To zaledwie dwadzieścia lat... A powiedział pan - wieczny! A zresztą... Wierzę panu... - ilość drobnych cyfr na tekturce mnie przerażyła, dlatego czym prędzej oddałam „wieczny kalendarzyk” prawowitemu właścicielowi.

- Dla niektórych dwadzieścia lat może stanowić wieczność - zaczął filozofować i wymownie na mnie spojrzął. - A dla kogoś innego i dwadzieścia dni... No dobrze, wróćmy do telegramu. Co z niego wynika?

- No co takiego?

- Dotychczas za ostatnią osobę, która widziała Alę Kodrinę przy życiu, uważany był kierowca. Teraz jednak sędzę, że to...

- Igor Piestieriew... - wypaliłam.

Rejno popatrzył na mnie z wyrzutem.

- Proszę mi nie przerywać. Rzeczywiście, to mógł być Igor Piestieriew. W każdym razie wszystko na to wskazuje. Romantyczny wieczór przy świecach w rodzicielskim domu. Zgadza się?

- Zgadza się - przytaknęłam.

- Załóżmy, że mieli swoje powody, żeby spotkać się nie obok terminalu Pułkowo o dwunastej piętnaście, tylko obok hotelu „Astoria” o drugiej. Przypuśćmy nawet, że pojechali stamtąd do tego Kukkariewa... A tak przy okazji, gdzie to w ogóle jest?

- To jest, zdaje się, nad jeziorem Ładoga... Taka mała wioska nad samym brzegiem...

- Tu też pojawia się pytanie...

- Jakież?

- Z tych materiałów, które mi pani przekazała, jasno wynika, że w kukkariewskim domu nikt nie mieszkał. I że małżonkowie Kodrinowie pojawiali się tam tylko latem. Zgadza się?

- Tak. I co z tego?

- Dużo - Rejno uśmiechnął się pobłaźliwie. - Zwłoki Ałły albo, jeśli pani chce, będziemy ją nazywać Aliką... Tak więc to właśnie oni znaleźli zwłoki Aliki, kiedy przynosili się tam na lato. Zgadza się?

- Tak. No i co z tego? - powtórzyłam pytanie, usiłując nie stracić wątku.

- Czyli...

- Czyli? - skłębione myśli wypełniały całą moją głowę.

- Czyli dom stał pusty. Przynajmniej przez większą część roku. Czyli był zaniedbany. Dopiero Kodrinowie powinni byli doprowadzić go po zimie do stanu używalności. W takim razie niech mi pani wytłumaczy, po kiego diabła jechać do jakiegoś zapuszczonego Kukkariewa? Skoro w Kronsztadzie znajduje się zagospodarowana i zadbana kawalerka? No niech mi to pani wytłumaczy! - zażądał.

- Ja... Nie wiem.

- Otóż to. To przeczy zdrowemu rozsądkowi. Normalni kochankowie udaliby się do Kronsztadu... Do gotowego gniazdko. I co mamy w rezultacie?

- Zwłoki - palnęłam.

Rejno popatrzył na mnie tak, jakbym powiedziała jakieś świństwo.

- W tym przypadku zwłoki obchodzą mnie najmniej. Natomiast najbardziej zastanawia mnie splot nielogicznych poczynań. Po co spotykać się obok hotelu „Astoria”, skoro można spotkać się na lotnisku? Po co jechać do zapomnianego przez Boga i ludzi Kukkariewa, jeśli pod bokiem znajduje się Kronsztad z czarną pościelą na łóżku? A poza tym ci jej krewni... Też nielogiczni ludzie...

- Tak pan sądzi?

- A pani nie? - Rejno poszperał w zdjęciach i wręczył mi dwa z nich. Na obu była przedstawiona cała waleczna czwórka: Ałła siedziała na kolanach u Piestieriewa, a ślepa Janka - na kolanach u Filipa. Piestieriew zupełnie się nie krępował, obejmując cudzą żonę w ich obecności.

- A w czym pan widzi nielogiczność? - zapytałam obojętnie, chociaż doskonale wiedziałam, o co mu chodzi.

- Idylla, nieprawdaż? Cała czwórka dobrze się znała. Ciekawi mnie tylko, dlaczego ani Kodrin, ani jego żona nigdy nie wspomnieli imienia Piestieriewa?

Uniósł teczkę z dossier Alły i potrząsnął nią przede mną.

- Dlaczego, pytam panią?

- Co się pan tak na nich wziął? - warknęłam. - Może po prostu nie chcieli pracować przy tych brudach... Może było im niezręcznie przed wdowcem...

Rejno wybuchnął drwiącym śmiechem.

- W takim razie jedno z dwóch. Albo Kodrin panią oszukał, albo pani - mnie.

- Ja?!

- Kiedy opowiadała mi pani o Kodrinie, wspomniała pani, że nienawidził Olewa. Nienawidził do tego stopnia, że gotowy był utopić go w łyżce wody. Zrobić z niego miazgę. Czy może pani przesadziła?

Przypomniałam sobie pełen obrzydzenia wyraz twarzy Fili, kiedy rozmowa zesłała na Olewa Kiwi i wypowiedziane przez niego zdanie: „Jej życie zmieniło się w piekło”. I gniew pogrążonego w smutku po zmarłej siostrze brata, zwrócony przeciwko wiolonczeliście. I jego bezpośrednie wściekłe oskarżenia. Nie, Rejno ma rację. Filip nie krępowałby się przez wzgląd na szwagra i nie ukrywałby związku siostry z innym mężczyzną. Ten związek dotkliwie godził w dumę Kiwi. Byłoby grzechem nie skorzystać z takiej okazji.

- Nie przesadziłam. Filip Kodrin rzeczywiście nienawidził swojego szwagra. I gotowy był utopić go w łyżce wody. I zrobić z niego miazgę.

- W takim razie dlaczego w czasie przesłuchań nigdy nie powiedzieli nic o Piestieriewie? Nawet nie po to, żeby narobić kłopotów Olewowi. Czort z nim. Ale po to, żeby sprawdzić wszystkie możliwe tropy. Kochanek w porwywie zazdrości odbiera życie swojej ukochanej. A dlaczego nie?

Wtem przypomniałam sobie jeszcze jeden cytat z Filipa Kodrina: „Olew był wręcz patologicznie zazdrośny”. I przypomniawszy sobie, nie omieszkałam wdać się w dyskusję z Rejno.

- Jest jeszcze inna wersja. Mąż w porwywie zazdrości zabija żonę. Też niezła, no nie?

- Zazwyczaj w porywie zazdrości zabija się rywala. Nie żonę. W ostateczności obu winowajców. Ale żeby zabić żonę i puścić wolno jej kochanka? Nie, to nie w estońskim stylu - Rejno ponownie zapalał narodowym patriotyzmem. - W gruncie rzeczy samo zabijanie nie jest w estońskim stylu...

Warwara, opanuj się!

- Ale przecież Kiwi w tym czasie znajdował się w Moskwie! - wrzasnęłam z przejęciem. - I miał przerwę w występach. Niemal dwie doby. Mógł dotrzeć do Kukkariewa, załatwić co trzeba i najspokojniej w świecie wrócić. A może nie?

- Nie znam tutejszych odległości...

- To już wiem!

- Tę opcję również musimy rozpatrzyć...

- Dzięki Bogu.

- Ale najpierw niech mi pani dokładnie wytłumaczy, dlaczego nikt nie zajął się kochankiem Kodriny? Dlaczego w ogóle nie było o nim mowy? Może Filip Kodrin nie lubił nie tylko swojego szwagra, ale i swojej siostry?

- Nie sądzę...

- I dlatego krył kochanka, jeśli ten rzeczywiście jest mordercą - dobił mnie Rejno.

- Dlaczego się pan tak do mnie przyczepił z tymi wątpliwościami? Niech sam go pan zapyta. On, dzięki Bogu, jest jeszcze żywy. Nie wszyscy umarli, na całe szczęście.

- Nie wszyscy - potwierdził Rejno i znów przykleił nos do fotografii bezwstydnie obnażonej Ałły. - Chociaż ma pani rację. Po kimś, kto fotografuje kobiety w takich pozycjach, można się spodziewać wszystkiego. Nawet morderstwa. I po kobiecie, która pozwala się fotografować w takich pozach, można się spodziewać wszystkiego. Nawet śmierci.

- A czego można się spodziewać po osobie, która z lupą w rękach analizuje te bezeceństwa?!

Zamiast odpowiedzieć, zebrał telegramy i list, po czym wstał i przeniósł się na łóżko polowe. Nie miałam zielonego pojęcia, jak mam się teraz zachować i co ze sobą zrobić. Jakiś czas milczałam a potem sięgnęłam po swój nesesor. Postanowiłam ponownie zająć się drogocennymi (zebranymi tylko i wyłącznie przeze mnie!) poszlakami.

Jednak nie zdążyłam otworzyć torby. Usłyszałam bowiem głos Rejno:

- Niech tu pani przyjdzie, kompletna oszołomko!

Przez chwilę zastanawiałam się, czy zareagować na to wołanie, czy też, zachowując resztki i tak już solidnie nadszarpniętego honoru, oddać się do ubikacji...

- Niech tu pani przyjdzie, to naprawdę jest bardzo interesujące!

Nie wytrzymałam. Wstałam i podeszłam do łóżka. Moja decyzja została niezwłocznie wynagrodzona.

- Proszę przeczytać - rzucił mi zapisaną wymyślnym charakterem piśma kartkę.

- Ale co dokładnie?

- Drugą stronę, trzeci akapit od góry.

- A wie pan, że czytanie cudzych listów to grzech?

- Ale to już nie jest list. To poszlaka. Może nawet stanowić dowód w sądzie.

Rozumowanie Rejno było w gruncie rzeczy bardzo racjonalne, dlatego dłużej nie protestowałam i posłusznie zagłębiłam się w lekturze trzeciego akapitu.

- Co to za bezsens? - zapytałam po kilkakrotnym przeczytaniu fragmentu.

- Nie wiem. Ale za tym musi się coś kryć.

Tekst był dość oryginalny i rzeczywiście mógł wzbudzić ciekawość: „Ten idiota nie zgadza się na »HUGO BOSS«. Obnosi się z »Byblos« jak kura z jajem. Daj Flajowi w prezencie taki sam. Na urodziny, żeby nie wyglądało podejrzanie. Ma 19 maja, mam nadzieję, że pamiętasz. Przez trzy tygodnie powinni się przyzwycząić”.

Ten cholerny trzeci akapit wyraźnie wyłamywał się ze zwartego szyku wszystkich pozostałych akapitów, wypełnionych najzwyczajszą miłosną treścią.

- Kto to napisał? - zapytałam.

- Przyszły trup - zażartował ponuro Rejno. - Interesujące, prawda?

- A do kogo?

- Jak zwykle do tego samego króla seksu. Igora Piestieriewa.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę.

Do diabła, te przekłete trzy linijki mi nie pasowały. Mąciły obraz romantycznej namiętności. Były zbyt rzeczowe. Zbyt trzeźwe. I Alła

wydawała się zbyt trzeźwa. I aż do bólu cyniczna. Spojrzałam na Rejno, a ten spojrzał na mnie.

- Pomyślała pani o tym samym? - westchnął.

- O czym?

- O tym, że jak na szaleńczo rozkochaną kobietę, jest zbyt trzeźwa. Zbyt rzeczowa. Zbyt oszczędna w słowach. I zbyt cyniczna. Tekst też jest jakiś dziwny. Tym idiotą miał być pewnie Olew.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Jak już pani mówiłem, nasi ojcowie pracowali razem na kolei.

- Móisakúla. Pamiętam.

- Zgadza się. Po raz ostatni widziałem Olewa w Tallinie miesiąc temu. „Byblos” to była jego ulubiona woda kolońską. Używał jej przez wiele lat. A kiedy długo się czegoś używa, stanowi to już coś w rodzaju relikwii. Świętości. Niemalże religii. A religii nie zmienia się zbyt często.

- I co z tego wynika? Mam na myśli, z tych trzech linijek?

- Jeszcze nie wiem. Najwyraźniej Alika podarowała mu nową wodę kolońską „Hugo Boss” i poprosiła, żeby zaczął się nią skrapiać. Jednak Olew był Estończykiem z krwi i kości. A Estończycy są niezmiernie konserwatywni. Mogą zdradzić żonę, ale w stosunku do zapachu pozostaną wierni aż do końca.

- Nie odpowiedział mi pan jednak na moje pytanie: co z tego wynika?

- Żeby to zrobić, muszę się najpierw dowiedzieć, kto to taki ten Flaj. Doczytała pani list do końca?

- Nie. Myślałam, że...

- Niech pani zerknie na ostatnie linijki. I na datę.

Ostatnie linijki wyglądały o wiele bardziej niewinnie, niż tyrada o Flaju, który nie powinien nabrać żadnych podejrzeń. Prostota i piękno sformułowań wzruszyły mnie do głębi. „Obiecuję Ci cały świat, Mój Aniele. Tylko bądź ze mną i niczego się nie bój. Uwielbiam Cię. Przesyłam Ci tysiąc pocałunków i dwa tysiące Igorkowi-juniorowi. Uwielbiam cię! Ubóstwiam!!! Twoja Alika. 21 kwietnia (dzień naszego spotkania). P.S. Teraz pójdę i zaleję się w trupa. Najważniejsze, żeby nie nazwać go Twoim imieniem. Obecnie sprawia mi to największy problem”.

Cholera jasna, gdzie jest chusteczka?!

Niewierna, cyniczna, rozwiązała (O Boże, i kto to mówi?!) Alika ogromnie mi się podobała. Szanowałam jej prawo do szaleństwa w miłości. Ale Rejno, jak przystało na konserwatywnego Estończyka, był całkowicie odmiennego zdania.

- Przeczytała pani? - zapytał zniecierpliwiony.

- Bardzo wzruszające... Wydaje mi się, że przed nami pojawiła się nowa postać. Jak pan myśli, kim jest ten tajemniczy Igorek-junior? Wiedziałam jego dowód osobisty. Rubryka „dzieci” świeciła pustką. A może... - niespodziewana myśl przemknęła mi przez głowę - ...może to ich wspólne dziecko?! Które zostało w Rosji.

Rejno dziwnie się zaśmiał, wstał z łóżka i podszedł do ściany. Z ciekawością go obserwowałam. Moje nagłe przypuszczenie wyraźnie go poruszyło (ja sama byłam równie przejęta swoim pomysłem). Poruszyło go to do tego stopnia, że chrząknął, położył ręce na podłodze i stanął na głowie. I zastygł w tej pozycji na pewien czas. Ze zdumieniem spoglądałam na jego odwróconą do góry nogami twarz, na rzęsy, które opadły mu niemal do samych brwi, na swobodnie bujające się kosmyki włosów.

- Upodobanie do tanich melodramatów panią zgubi. To po pierwsze. A po drugie, nie sądzę, żeby mieli wspólne dziecko. Przy takiej niepokromionej namiętności nie ma miejsca dla dziecka. I słusznie. Namiętność jest zbyt zazdrosna, żeby pozwolić na obecność osób trzecich.

- W takim razie, kto to jest ten Igorek-junior?

Rejno zamknął oczy.

- Miałem kiedyś zabawną dziewczynę. Wie pani, jak nazywała mojego członka? Rejno-młodszy. Proszę mi wybaczyć...

To powiedziawszy, zaczął się przeraźliwie śmiać.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - burknęłam.

- Przecież z góry panią przeprosiłem...

- A niech pan idzie do diabła!

- A co by pani powiedziała na to, żebyśmy razem poszli? - Rejno nie zamierzał rozpoczynać ze mną kłótni.

- Dokąd?

- Dokądkolwiek. A choćby i do Kukkariewa. Nie orientuję się wprawdzie w terenie... Ale, mam nadzieję, że mi pani pomoże.

- Oszalał pan?

- Tak czy owak nie ma na czym spać. Mam tylko jednoosobowe łóżko polowe i w życiu go pani nie odstąpię.

- Nawet za stosowną opłatą? - wyrwało mi się.

- Nawet za opłatą. Po Rosjanach zawsze pozostaje...

Nie miałam ochoty słuchać, co pozostaje po Rosjanach w nieskazy-nych, chirurgicznie sterylnych czuchońskich wyrach. Dlatego rzuciłam w Rejno swoim neserem (w stylu ekstremistki - Poliny Czarskiej). Rejno bez najmniejszego trudu złapał torbę.

- No to jak, jedziemy?

- Ani mi się śni...

* * *

Mieliśmy szczęście.

Sami się tego nie spodziewając, zdążyliśmy przed drugim podnosze-niem mostów. Przeskoczyliśmy przez Pałacowy, potem - przez Tuczko- i Kantemirowski. A następnie przejechaliśmy na skrót koło „Aurory” (po prawej) i hotelu „Sankt-Petersburg” (po lewej) i wydostaliśmy się na nabrzeżne przestworza.

- Niech pan tak nie pędzi - zaczęłam błagać, podskakując na wybojach i raz po raz uderzając głową w niegrzeszący czystością sufit. - Pańska bryka zaraz się rozsypie. Ani się obejrzymy, jak odpadnie nam któreś koło.

- Nie odpadnie - uspokoił mnie Rejno. - Niech się pani mocniej trzy- ma.

- Czego? Przecież wszystkie klamki są pourywane. Nie ma żadnego pasa bezpieczeństwa. A praworządny obywa...

„Opla” gwałtownie podrzuciło, a ja po raz kolejny zaliczyłam sufit. By- liśmy akurat naprzeciwko nabrzeża Robespierre'a, u którego podnóża znajdował się wytworny budynek ze „Sklepem z antykami” U. Schamne. Od antykwariatu dzieliła nas obecnie Newa i podniesione mosty. Jednak jutro nie będzie tak nieosiągalna. Koniecznie muszę odwiedzić drogiego Iłariona Iłarionowicza i pomachać mu przed nosem kwitem z „Turku- su”. Ciekawe, co na to powie? Ciekawe, czy puści farbę...

- Gdzie to *vihatud*⁵² Kukkariewo? - wyrwał mnie z zadumy głos Rej- no.

⁵² *Vihatud*- (est.) przekłete.

- Nie wiem dokładnie... Gdzieś obok Ładogi.

- W schowku jest mapa. Niech ją pani wyjmie.

Posłusznie wychyliłam się do przodu i złapałam za drzwiczki skrytki. Z trudem podważając paznokciami pokrywkę, uchyliłam ją w końcu i zaczęłam grzebać w ciemnym wnętrzu. Papiery, papiery i jeszcze raz papiery. To są pewnie te umowy i kopie umów, i kopie kopii umów, którymi Rejno doprowadza do szalu swoich klientów. Po chwili pod stertą makulatury namacałam rękojeść pistoletu.

- Znalazła pani? - ponaglił mnie posiadacz pukawki.

- Nie. Ale za to... zdaje się, że ma pan tu pistolet... Wie pan o tym?

- Gazowy. Mam pozwolenie. W białej teczce. Może pani sprawdzić. Tylko niech pani nie pomyli kolorów. W czarnej są umowy...

- A nie, nie ma potrzeby. Wierzę panu.

- Mapa leży w lewym rogu.

Kiedy ją w końcu wyciągnęłam, zatrzymaliśmy się przy pierwszej napotkanej latarni, żeby ją dokładnie obejrzeć. W samochodzie bowiem nie świeciła się ani jedna lampka.

- W kierunku Wsiewołożska... - powiedział basem Rejno. - Wie pani, gdzie leży ten *vihatud* Wsiewołożsk?

- Obok Sankt Petersburga... A za nim, trzymając się cały czas tej samej trasy, powinniśmy wyjechać prosto na Ładogę. A co do Kukkariewa... To nie mam pojęcia. Nigdy tam nie byłam.

- Jakoś sobie poradzimy - uspokoił mnie Rejno.

Do samego Wsiewołożska nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym myśli. I czy w ogóle o czymkolwiek myśli. W każdym razie jego tępawy profil, od razu odrzucał wszelkie podejrzenia o wzmocnym wysiłku umysłowym. Ja natomiast nie mogłam oderwać myśli od listów i telegramów, które Ałła Kodrina z taką intensywnością wysyłała swojemu kochankowi. Ich związek trwał nieprzerwanie przez całe trzy lata małżeństwa Ałły. Takiej namiętności, takiego żaru uczuć nie da się zbyt długo ukrywać przed otoczeniem. Olew Kiwi musiał coś podejrzewać. W końcu poznałam go osobiście i śmiało mogę stwierdzić, że miał oczy na głowie, a nie na tyłku. I te oczy widziały wszystko, w odróżnieniu od, przykładowo, oczu Janki Soszalskiej. Ale i Janka, mimo że była niewidoma, też potrafiła nieźle nawtykać swojemu mężowi przez telefon, podejrzewając go o zdradę. A co tu dopiero mówić

o kimś, kto widzi! Oskarżenia Filipa o patologiczną zazdrość Olewa są więc po prostu bezpodstawne...

- Spi pani? - zapytał Rejno.

Dlaczego, gdy tylko zaczynam intensywnie o czymś myśleć, sprawiam wrażenie, jakbym spała?!

- Nie - moja odpowiedź była skrajnie zimna i skrajnie lakoniczna.

- W szkatułce znalazłem coś jeszcze.

- Nie za dużo tych niespodzianek jak na jeden dzień?

- Sam się dziwię. To coś jest w kieszeni... górnej zewnętrznej, z pani strony. Proszę wziąć...

- Przecież tu jest ciemno jak...

- Tam jest też mała latarka.

Wsunęłam rękę do kieszeni i wyciągnęłam z niej najpierw latarkę (rzeczywiście miniaturkę, przeznaczoną wyraźnie do niecnych celów), a następnie równie mały plik połączonych zszywaczem karteczek. W zasadzie to nie był plik, tylko pliczek mikroskopijnych rozmiarów. Dlatego nie od razu go znalazłam w przepastnej kieszeni kamizelki.

Rozłożyłam te kawałki na kolanach i usiłowałam zapoznać się z ich treścią.

- Nic nie rozumiem...

- To są pokwitowania - rzucił od niechcienia Rejno. - Wysłanych telegramów. Wygląda na to, że Igor Piestieriew także był zwolennikiem przesyłania wiadomości drogą telegraficzną.

- Ale pan jest podły. Dlaczego pan tak drwi z uczuć innych ludzi? Z pewnością nigdy pan nie kochał...

- Pani natomiast na pewno wylewała wiadra łez po utracie każdego ze swoich licznych kochanków...

Odchyliłam się na siedzeniu. Kochanków rzeczywiście miałam wielu, ale żaden z nich nie był wart ani jednej mojej najmniejszej łezki. Chyba, że sentymentalny Leszyk Bogomoł, amator pettingu, cieplej wódki i programu „W świecie zwierząt”. Ujmował mnie nieustannymi prośbami „wstąpienia z nim w związek małżeński” i zamięłowaniem do kolekcjonowania woreczków na wymiociny. Zbierał je podczas lotów międzynarodowych. Wystarczyło, że wyleciał w swoich bandyckich sprawach za granicę, a jego obszerna kolekcja powiększała się o kolejne samolotowo-medyczne arcydzieło z emblematem następnego przedsiębiorstwa lotniczego.

Tak, tylko Leszyk zasługiwał na ciche westchnienie...

- Niech się pan uspokoi, niczego nie wylewałam. Nie chcę po prostu, aby pan drwił z czyichś uczuć. Para zakochanych wymienia się telegramami - co w tym złego?

- W tym właśnie rzecz, że nie było żadnej wymiany! Niech pani zwróci uwagę na miasto, do którego kierowane były telegramy.

Jeszcze raz przyjrzałam się kwitom, wciąż leżącym na moich kolanach. Przy okazji stwierdziłam, że są cztery. Na każdym z nich powtarzała się jedna i ta sama kombinacja liter: „Miej...”, „Miejsc...”, „Miejscowy”.

- Rozumie pani, o co biega?

- Nie do końca... Chce pan powiedzieć, że telegramy były wysyłane z Petersburga do Petersburga?

- Tak. Właśnie to chcę powiedzieć - to mówiąc, dodał gazu i nawet na mnie nie spojrzął. Najwyraźniej miał gotowe odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Nawet te niezadane.

- I co to ma znaczyć?

- Nic poza tym, co widać na kwitach. Pamięta pani namiętne hasła z telegramów Aliki? Z różnych miesięcy, z różnych lat i z różnych krańców świata. A tu... Wszystkie cztery - w ciągu jednego miesiąca, w tym samym mieście, jedynie z różnych urzędów pocztowych. Ale chwila!

Rejno tak ostro zahamował, że auto o mało co nie wpadło na drogowskaz „Rachia - 5 km”. A ja o mało co nie wyleciałam przez przednią szybę.

- Kuźwa mać! - przeklełam, ukradkiem sprawdzając językiem liczbę ocalałych zębów. - Nie wiezie pan worków z kartoflami, do cholery!!!

Rejno nie przejął się ani moim krzykiem, ani moją biedną szczęką.

- Niech mi pani to da! Szybko! - prawie siłą wyrwał mi z rąk latarkę i karteczki. I zaczął je dokładnie oglądać. Po chwili wyjął jeszcze jedną pomoc - „wieczny kalendarzyk”.

Nie miałam ochoty patrzeć na jego podnieconą mordę, dlatego wysiadłam z samochodu i zaczęłam spacerować po poboczu, rozprostowując nogi. Było zupełnie ciemno. Gdzieś w oddali (pewnie w miejscowości Rachia) czekały psy. Chłodny wilgotny wiatr przenikał przez moją kurtkę. „Właściwie to dlaczego nie miałybyś pojechać do Mołdawii?” - pomyślałam nagle. Tam jest mało wody, za to dużo słońca. Mało lasów, za to wiele winnic. Mało deszczu, za to mnóstwo gwiazd na niebie. Mało

wódki, za to morze wina. Mało dziwek, za to wiele dzieci. To dobre miejsce na ujarzmienie Aurela Czorbu... Na zdobycie jego serca...

- Gdzie się pani podziewa? - usłyszałam. - Sądzi pani, że będę jej szukał w tych diabelskich ciemnościach?

- Już idę...

Westchnęłam. Wilgotne marzenia o Aurelu Czorbu trzeba odłożyć na lepsze czasy...

- No i co, odkrył pan coś nowego? - zapytałam obojętnym głosem, wsiadając do samochodu.

- Jeszcze nie wiem. Brakuje mi pewnych elementów w tej układance. Jednak pewne rzeczy budzą niepokój.

- Jakie rzeczy?

- Potwierdzenia pocztowe. Wszystkie cztery zostały wysłane z Petersburga do Petersburga. To pierwsze. A drugie: wszystkie cztery zostały wysłane w przeciągu miesiąca.

- Powtarza się pan.

- Trzecie: wszystkie cztery zostały wysłane z różnych urzędów pocztowych.

- Powtarza się pan.

- Czwarte - Rejno miał gdzieś moje komentarze - wszystkie cztery zostały wysłane z różnych placówek, ale za to w tych samych godzinach, zawsze o tej samej porze dnia. Pomiędzy dziesiątą a jedenastą. I, wreszcie, piąte: wszystkie cztery zostały wysłane w dni powszednie. Żadnych sobót. Żadnych niedziel.

- Tylko tyle? A gdzie szóste? I siódme? - przyczyna dziwnego niepokoju Rejno nadal była dla mnie niejasna. - Siódemka - to magiczna cyfra.

- Siódme? W sumie chyba jest... - ucieszył się z mojego pytania. Narazie znalazłam się o właściwym czasie we właściwym miejscu i nawet zdołałam zadać właściwe pytanie. - Miesiąc, w którym nadeszła fala tych telegramów... to był maj. Maj zeszłego roku. Zaś ostatni list Aliki został wysłany w kwietniu tego samego roku. A w czerwcu została zabita. Nie sądzi pani, że to za dużo wydarzeń jak na marne sześćdziesiąt dni?

Milczałam przygnębiona. Niewykluczone, że wczoraj wieczorem włamaliśmy się do mieszkania mordercy. I że ta mroczna strzelba, którą aż chce się przystawić do jakiejś zagapionej klatki piersiowej... I że ten

mroczny nóż, który aż prosi, żeby go zagłębić w jakimś opóźnionym w rozwoju mózgu...

A przecież Ała... Ała została zabita niezidentyfikowanym przedmiotem... Najprawdopodobniej nożem. Świadczył o tym charakter rany!

Co za drań! Co za dupek! Co za gnój z tego Igora Piestieriewa! Nie wybaczyć swojej ukochanej pochopnej decyzji! Gromadzić w sobie nienawiść przez tyle lat! A potem zwabić do Rosji ufającą mu bezgranicznie kobietę i z zimną krwią się z nią rozprawić!

Mężczyźni! Żalosne tchórze, skunksy, gryzonie! Nedorajdy życiowe, które w mówiły sobie, że to właśnie one rządzą światem! Nikczemne mrówkojady, które nawet Boga przekabaciły na swoją stronę! Dokleily mu brodę i przebrały w spodnie, kiedy smacznie spał... Montezuma ma rację - po mężczyznach nie można się spodziewać niczego dobrego! W najlepszym wypadku zostawią cię w spokoju i ograniczą się do składania na rękach obślinionych pocałunków. A za każdym takim ślinotokiem kryje się jadowite żądło!

- Świnia! - walnęłam się po kolanie. - Wszyscy mężczyźni to świnie!

- No tak, jeszcze jedna potłuczona feministka - pokiwał głową Rejno.

- Co złego zrobili pani mężczyźni? Czym panią obrazili, biedactwo moje?

- Uganiają się za mną jak za zającem... - zaczęłam, jednak nie zdążyłam dokończyć, gdyż Rejno ponownie gwałtownie zahamował. I ponownie o mało co nie wybiłam głową przedniej szyby. - Tego już za wiele! Będzie mnie pan musiał wysłuchać i nie pomogą panu żadne techniczne sztuczki!

- Oczywiście. Jestem gotowy pani wysłuchać. Tylko później, bo według mnie dotarliśmy na miejsce.

Zamilkłam i zapatrzyłam się w krąg oświetlony przednimi reflektorami. Przed nami znajdowała się tablica z nazwą „KUKKARIEWO”.

- Faktycznie, dotarliśmy... I co teraz zrobimy?

- Przecież czytała pani dossier Kodriny - przypomniał mi Rejno. - Tam był adres.

- Tak? - niesłychanie się zdziwiłam.

- Okoniowa Ścieżka 1. No to co, w drogę?

- Skoro już tu jesteśmy...

Kukkariewo okazało się nieprzyciągającą uwagi wioseczką zjedną ulicą, otoczoną ze wszystkich stron szuwarami. Jedna jedyna ulica o nazwie

- Okoniowa. Wszystkie domy były zwrócone przodem do jeziora Ładogi i odpowiednio tyłem do ulicy. Od każdej chatki aż do samego jeziora prowadziła ścieżka odgradzona nieprzebytym sitowiem. Wyglądało na to, że mieszkańcy Kukkariewa byli bardzo ekscentryczni. Mało im było jednej ulicy, więc szybciotko sobie zorganizowali kilkadziesiąt nowych. Zgodnie z ilością domów.

Okoniowa ścieżka 1.

Okoniowa ścieżka 2.

Okoniowa ścieżka 3 - i tak dalej.

Dom rodu Kodrinów stał na samym początku. Jako pierwszy. To wyjaśniało, dlaczego pojawienie się Ałły (i jej śmierć) pozostało niezauważone. Ani Ałła, ani jadący z nią (albo po niej) morderca nie musiał wjeżdżać do samej wsi. A trzciny swoim niemilknącym szemraniem dodatkowo zagłuszały wszystkie inne odgłosy.

Rejno zatrzymał samochód na poboczu, wysiadł i natychmiast zniknął w ciemnościach. Mimo że na zewnątrz zaczęło się już z lekka przejaśniać, i tak nie można było jeszcze nic dostrzec. Odchyliwszy się do tyłu, wsłuchiwałam się w szelest sitowia i ledwie słyszalny plusk wody. Od strony Ładogi wiał delikatny wiatr.

Natarczywe stukanie w szybę rozległo się tak niespodziewanie, że mimo woli drgnęłam.

Bezwzględnie rodzice Rejno, stare kolejowe wygi, wydali go na świat z jedną konkretną misją: żeby nie dawał mi, Warwarze Sulejmienowej, spokojnie żyć. Z rozkoszą płoszył moje i bez tego spłoszone myśli.

- Niech pani wyłazi - rozkazał. - Zwiedzimy sobie tę *vihatud* Doline Śmierci.

- Ale tam ktoś...?

- Tam nikogo nie ma. Wygląda na to, że członkowie klanu, którzy zostali przy życiu, na zawsze wyrzekli się tego domu.

- Może poczekamy, aż się rozwidni?

- A może poczekamy, aż nastanie zima? Albo Sąd Ostateczny?

Gwałtownie pociągnął drzwiczki i omal nie wypadłam prosto na niego.

- Niech pani się trzyma za mną. Ścieżka jest prawie niewidoczna, a do tego zarosła pokrzywami...

- Dziękuję, że mnie pan uprzedził...

To rzeczywiście był z jego strony wspaniałomyślny gest. Dziewięciu na dziesięciu Estończyków nie powiedziałoby o pokrzywach, a na dodatek jeszcze podstawiłoby nogę, żeby ruski babsztyl wywalił się i narobił sobie bąbli na imperialnej, gwałcącej wolność słowa i prawa mniejszości narodowych, gębie.

Złapałam za skraj jego kamizelki, zamknęłam oczy i szczęśliwie przedarłam się do oszklonej werandy.

Na drzwiach wejściowych wisiała kobylista kłódka.

- Na co pan czeka? No, dalej - powiedziałam - niech pan otwiera te drzwi na oczach zdumionego społeczeństwa! Niech pan gwizdże na prawo do nietykalności cudzego mienia! Dobrze to panu wychodzi.

Rejno zmierzył mnie pogardliwym wzrokiem i wszedł na ganek - paścić się nad zardzewiałym zamkiem.

- Czy ja o czymś nie wiem? Czyżby w Rosji już można było wyciągać łapy po cudzą własność bez żadnych prawnych konsekwencji? - Co za diabeł we mnie wstąpił?! Dlaczego w żaden sposób nie mogę przestać gadać takich głupot?!

- O co pani chodzi? Wy najpierw zróbcie porządek ze swoją prywatyzacją, a dopiero potem nakazujcie innym narodom, co mają robić... - wtem przerwał, po czym rzucił ze złością: *o, kurat!*

- Co się tam stało?

Zamiast odpowiedzieć, włożył do ust zdarty do krwi palec.

- Na drugi raz będzie już pan wiedział, jak się powinno wyrażać o wielkim państwie - powiedziałam, po czym bez skrupowania wsunęłam rękę do jednej z jego licznych kieszeni i wyjęłam stamtąd chustkę do nosa. - Niech pan stoi spokojnie. Opatrzę ranę.

Kiedy skończyłam zakładanie prymitywnego opatrunku, Rejno wrócił do swoich wytrychów. Ale teraz zachowywał się nad podziw cicho i nie pouczał rosyjskiej baby, jak najlepiej wsunąć pierogi do pieca. Wreszcie skomplikowana machina ustąpiła i mogliśmy wejść do środka.

- Nie boi się pani? - zapytał.

- Ja? - zdziwiłam się szczerze. - Po tym, jak obudziłam się w jednym łóżku z trupem nr 1, a trupa nr 2 oglądałam z lotu ptaka? Chyba pan żartuje. Nawet myszy się nie boję. Mnie nawet członek... - „Członki nie przerażają. Pod żadną postacią, w żadnym rozmiarze czy kolorze” - chciałam dodać, ale w porę ugryzłam się w język.

- Członek? - Estończyk poruszył nozdrzami, przypomniawszy sobie pewnie Rejno-młodsze.

- Członkonogi - wymyśliłam na poczekaniu. Przed detektywem, zamiast wulgarnej kobiety, ponownie stanęła Przenajświętsza Bogurodzica Dziewica z dyplomem z biologii w zębach. - Skorpiony, skorupiaki, pajęczaki. .. Owady... Jednym słowem...

- Aha... W takim razie nie było pytania.

- To w którą stronę idziemy?

- Najpierw sprawdzimy układ pomieszczeń.

Włączył latarkę, pomyszkował dookoła i już po chwili siedział na schodach prowadzących na pierwsze piętro i studiował plan domu, wyciążnięty z dossier Ałły Kodriny.

Po raz kolejny przysięgłam sobie, że kiedyś obalę z szaleńcem Siergiejem buteleczkę „Chianti”.

- Więc tak: kuchnia, dwa pokoje, pokój, włącz do piwnicy, coś w rodzaju warsztatu. Łazienka... To na parterze. Teraz piętro. Też dwa pokoje i łazienka, nieźle... Zwłoki Ałły znaleziono na piętrze, w najdalej położonym pokoju. Tam też się teraz udamy.

Wstał zwinnie jak kot i chwycił mnie pod rękę. Och, mam już dosyć tej chutorskiej elegancji!

Na piętrze było znacznie jaśniej. W każdym razie spokojnie rozróżniałam, gdzie się kończy korytarz i dokąd prowadzą uchylone drzwi.

Rejno odważnie ruszył do przodu i pchnął jedno z nich.

- To tu.

Pokój był niewielki, ale dosyć przytulny: kanapa, niski stół, stary fotel na biegunach i okno. Ogromne, robiące niesamowite wrażenie okno. Wychodziło bezpośrednio na jezioro. Jednak samo jezioro nie było zbyt dobrze widoczne, gdyż większą część mętnej, dawno już niemytej szyby zasłaniały trzciny. Nawet tu, w szczelnie odizolowanym od świata zewnętrznej pokoju, docierało ich delikatne dziecięce gaworzenie. Podeszłam do okna i rozpląszczyłam nos na szybie.

Ależ tu pięknie!

- Jak na Saaremaa - Rejno najwyraźniej nie był zupełnie pozbawiony poetyckiej żyłki. - Dlaczego, wy, Rosjanie, zawsze wybieracie nieodpowiednie miejsca do zabijania?

- A jakie są odpowiednie?

Zamiast odpowiedzieć, usiadł w fotelu i podparł dłonią brodę.

- A zatem wszystko rozegrało się właśnie tu. Ała leżała na kanapie. Możliwe, że spała. Twarzą w dół. Lubi pani spać na brzuchu?

- Ja? - intymność pytania trochę mnie zaskoczyła. - Kiedy śpię, nie zastanawiam się, co lubię, a czego nie.

- Logicznie. A więc, spała, kiedy zadawano jej śmiertelny cios...

Nie, nie mogę milczeć!

- Rejno - nie wiedziałam, jakich użyć słów, żeby go nie spłoszyć. - Widział pan jej fotografie. I widział pan jej twarz...

- Na tych zdjęciach twarz nie była na głównym planie...

- Nie chodzi mi o pornozdjęcia, tylko o te pośmiertne. Pamięta je pan?

- Do czego pani pije? - zrobił nachmurzoną minę.

- Chodzi o to, że w momencie, kiedy zadawano jej śmiertelny cios, Ała nie spała.

Rejno znów otworzył dossier i wyciągnął fotografie, zrobione na miejscu przestępstwa. I przez parę chwil bacznie je oglądał.

- Tak - przyznał niechętnie. - Ma pani rację. Ona nie spała...

- Co więcej... Czy zwrócił pan kiedyś uwagę na twarz swojej dziewczyny... kiedy się pan z nią kochał? - mój zdrętwiały język z trudem wypowiedział te słowa.

- A o co chodzi?

- Nie chcę pana obrazić... Bynajmniej... Albo zdenerwować. Proszę tak przypadkiem nie pomyśleć... Po prostu wydaje mi się, że ona wtedy nie spała, tylko... zajmowała się... no tym...

Boże, Warwara, czy to ty?! Za twoją prostytutką służbę możesz się ubiegać o Nagrodę Nobla! A tu raptem zaczęłaś się krygować, krępować i omijać wielkim łukiem słowo „pieprzenie się”! Weź się opamiętaj! Weź się ocknij, póki nie jest za późno!

Jednak nie miałam ochoty się ocknąć. Najwidoczniej przez wydarzenia, które nastąpiły po śmierci Olewa Kiwi, całkowicie postradałam zmysły.

- Ona zajmowała się no, tym... - powtórzyłam.

- Ale czym?

- No... kochała się - wypaliłam i się zaczerwieniłam (!!!).

- Tak? - Rejno pochylił głowę, po kryjomu zerknął na swoją papużkę-nierozłączkę, Rejno-młodszego, po czym znów wetknął nos w fotografię.

- Zwykle nie zwracam na to uwagi... Ale chyba ma pani rację...

- Na pewno mam rację.

Ten mały pokój - niemy świadek tragicznych wydarzeń, ten pokój, w którym raz na zawsze została pochowana pamięć o morderstwie, ten właśnie pokój wyczyniał ze mną nieprawdopodobne rzeczy. Czułam, że zaczynam dostrzegać pewne sprawy oczami duszy... Nie, samego morderstwa nie zobaczyłam, za to niemal udało mi się dojrzeć całą otoczkę i wyczuć atmosferę towarzyszącą Alice w ostatnich chwilach życia. To się chyba nazywa natchnienie, a może się myłę...

- Na pewno mam rację. A teraz niech pan sobie przypomni, w jaki sposób zadano cios? Z góry na dół, z ogromną siłą. Jeśli ona była na górze, a mężczyzna - pod nią... to nie byłby w stanie tego zrobić... Tak?! Co pan o tym myśli?

Rejno miętosił palcami brodę i patrzył na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. A potem znów wetknął nos w dossier.

- Co pan na to powie? - zapytałam zniecierpliwiona przedłużającym się milczeniem.

- Chyba znów ma pani rację.

- A to znaczy...

- Poddaję się - Rejno usiłował się uśmiechnąć. - Świadków tragedii było nie dwóch, lecz trzech. To chciała pani powiedzieć?

- Tak - poczułam, jak mój zmęczony mózg powoli się kurczy. - Właśnie to chciałam powiedzieć.

- Ała Kodrina. Igor Piestieriew. A kto trzeci?

- Ktokolwiek- natchnienie opuściło mnie równie szybko, jak się pojawiło. Nie było w stanie przebywać w niewoli. - Może Olew Kiwi...

- Też pani wymyśliła...

- Miał „okienko” w występach. Niech pan o tym nie zapomina...

- Hmm... „okienko” w występach... - Rejno zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pokoju. - Niech będzie. W Moskwie wsiada do samochodu. Niech będzie. Jedzie do Petersburga. Niech będzie. Z Moskwy do Petersburga jest siedemset kilometrów. Osiem godzin jazdy. No, niech będzie... Przyjeżdża tutaj i widzi zdradzającą go żonę... *À propos*, dlaczego przyjechał właśnie tu?

- Na pewno wiedział o domu Kodrinów...

- Dobrze. Wiedział zatem o tym domu i dlatego tu się zjawił. I dokonał morderstwa. Po czym najspokojniej w świecie odjechał. Z powrotem

-

do Moskwy. A po dwóch dniach krewni odnaleźli ciało. To miała pani na myśli?

- Ja...

Nie dał mi dokończyć. Podszedł do ściany i stanął na głowie. I zamknął oczy. Zupełnie jak w pustym mieszkaniu w Kołomiadze.

- To *tais kaasasundinud nodrameelsus!* ⁵³

⁵³ *Tais kaasasundinud nodrameelsus!* - (est.) kompletny bezsens!

- Dlaczego? - wymamrotałam.

- Dopuszczam wszystkie opcje wydarzeń, nawet te najbardziej nieprawdopodobne. Ktoś powiadamia światowej sławy wiolonczelistę, że zdradza go żona. Podaje czas i miejsce spotkania kochanków... Kwestię tego „kogoś” na razie sobie darujmy. Nim zajmiemy się później... Olew wsiada do samochodu i jedzie z Moskwy do Petersburga. Przyłapuje żonę na gorącym uczynku i puszcza w ruch nóż... Kwestię kochanka też sobie na razie odpuśćmy. Chociaż założenie, że cały czas milczał i nie zawiadomił odpowiednich władz o tym, co się stało, wydaje się co najmniej szalone. Nie zawiadomił i spokojnie zostawił ciało swojej ukochanej, żeby się tu rozłożyło... Niech tylko pani pomyśli...

- Ale...

- Proszę mi nie przerywać! - zbeształ mnie Rejno. - A zazdrosny mąż wsiadł do samochodu i wrócił do Moskwy. Ot, tak po prostu. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Czy to chciała pani powiedzieć?

- Nnnie wiem - cholerne natchnienie opuściło mnie raz na zawsze. - I dał kolejny koncert! Mogę nawet w to uwierzyć...

- Dzięki Bogu.

- Tylko w jedno nie uwierzę nigdy w życiu! -W co?

- W to, że nie został zatrzymany na trasie. Ani razu! Jeśli śledztwo było prawidłowo prowadzone od samego początku, to organa śledcze zobowiązane były sprawdzić wszystkie wersje... wszystkie możliwe osoby.

Również Olewa. Powinny ustalić, gdzie wtedy przebywał. A osoba bezpośrednio po dokonaniu morderstwa nie może zachowywać się zupełnie normalnie. Gdyby jechał samochodem, na pewno odbiłoby się to na stylu jego jazdy. Na pewno wcisnąłby gaz do dechy. I został zatrzymany przez patrol drogowy.

Nareszcie powróciło natchnienie! Nareszcie zbudziła się z letargicznego snu moja kobieca intuicja!

Roześmiałam mu się w twarz. Ten greczny osesek nie miał najmniejszego pojęcia o zwyczajach panujących na naszych drogach.

- Nie ma pan najmniejszego pojęcia o zwyczajach panujących na naszych drogach! Też mi się znalazł ekspert od rosyjskich zachowań! Z drogówką można się zawsze dogadać! To tylko kwestia pieniędzy. Niczego więcej.

Rejno runął na podłogę i przez jakiś czas leżał pokonany.

- Mimo wszystko - upierał się przy swoim - to jest zbyt nieprawdopodobne... Przejechać ponad półtora tysiąca kilometrów i nie pozostawić po sobie żadnych śladów? A poza tym jest jeszcze kwestia kochanka. Zapomniała pani o nim. Na pewno by nie milczał...

- Nie, jeśli... - zaczęłam. - Nie, jeśli co?

- Nie, jeśli ta dwójka nie była ze sobą w zмовie. A jeśli była?

- Wystarczy - gwałtownie wstał. - Chodźmy stąd, bo inaczej wymyślimy Bóg wie co...

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę na oszklonej werandzie. Był wczesny ranek. Z rzedającego mroku wylaniał się dom, w którym zginęła Ała. Coraz wyraźniej widziałam, do jakiego stopnia zaniedbany jest ten, niegdyś wspaniały, budynek. Zapuszczenie wylaziło ze wszystkich szczelin i kątów, popiskiwało różnymi głosami, uwidaczniało się w zaschniętych ciałkach owadów, szczątkach kwiatów, zatęchłej wodzie w szczelinach podłogi.

- Jedźmy stąd - zaczęłam błagać. - To nie był dobry pomysł, żeby tu przyjeżdżać...

- Tak, tak, zaraz... - odparł, po czym wszedł do środka, jak gdyby czegoś zapomniał.

Zostałam sama w towarzystwie cienkich, drżących od wiatru szyb.

- Rejno!

Żadnej odpowiedzi.

Westchnęłam, po czym wzięłam do ręki przezroczyste skrzydełko ważki, leżące na samym brzegu stołu. Owad już od dawna nie żył, jednak skrzydełko wciąż było sprężyste. I pełne energii. I chęci życia. Podobnie jak listy zmarłej Aliku...

Podniosłam je bliżej oczu i zwróciłam się w stronę okna, skąd docierało nagle światło.

I natychmiast ujrzałam ciemne, złowieszcze kontury jakiejś postaci.

Człowiek zbliżał się w stronę okna. Siedziałam sparaliżowana jakimś nierealnym, nieludzkim strachem. Oczami wyobraźni widziałam, jak z półmroku wyłania się kudłata głowa wilka... Głowa mordercy, który zawsze powraca na miejsce zbrodni... Zaraz... Zaraz...

- Ej, niech tu pani przyjdzie!

omatko! Kudłata wilcza głowa w rzeczywistości okazała się nieszkodliwą krowią czaszką Rejno.

- *Kurat!* Co za bałwan z pana! Ale mnie pan wystraszył! - wyrzuciłam z siebie i w złości zgmiotłam skrzydełko. - Nie powinno się wyrabiać takich rzeczy z wrażliwymi kobietami!

- I to pani jest tą wrażliwą? - wyszczerzył się.

- A żeby pan wiedział... Jak się pan tu dostał?

- Wyszedłem tylnymi drzwiami. Przez warsztat...

- Przez jaki znów warsztat?

- Ślusarski albo stolarski... Tam są nawet narzędzia, ale już porządnie zardzewiały. To co, jedziemy?

- O niczym innym nie marzę...

I tak przez nikogo niezauważeni (kolejny argument przemawiający za tym, że mała miejscowość to najlepsze miejsce na dokonanie morderstwa), opuściliśmy Kukkariewo. Nie zdążyliśmy jednak ujechać nawet kilometra, kiedy złapaliśmy gumę.

Opona pękła akurat po mojej stronie, więc przez kilka sekund mogłam z satysfakcją przysłuchiwać się, jak felga zgrzyta o asfalt. A mówiłam mu, że ten gruchot długo nie wytrzyma! Rejno zatrzymał się na poboczu, klnąc przy tym, na czym świat stoi.

- No i co teraz zrobimy? - zapytałam zgryźliwie.

- Wymienimy koło.

- Ma pan zapasówkę?

- To tylko wy, Rosjanie, nie macie wyobraźni. Wybieracie się w drogę bez żadnego przygotowania. Estończyk tak nie postępuje.

- Oby tak było!

Bez żalu opuściłam gruchota i jego właściciela. Miałam już ich serdecznie dosyć.

Niech Rejno sam się grzebie z tym kołem, nawet palcem nie kiwnę! Znajdę sobie jakieś wygodne miejsce i będę się beczelnie objajać. Polezę na trawce i trochę odpocznę.

Jednak po chwili, kiedy wykończona nocnymi przygodami zamierzałam właśnie ulokować się na trawie, ujrzałam przed sobą pochyle ogrodzenie wiejskiego cmentarza.

Cóż za egzotyka!

Natychmiast zapomniałam i o Rejno, i o kole, a nawet o swoim świętym prawie do wylegiwania się w trawie. Wiejski cmentarz stanowił jedno z nielicznych miejsc, w których nigdy nie byłam!

Weszłam na teren wiecznego spoczynku. Okazało się, że to malutki cmentarzyk z kilkoma starymi grobami. Może okoliczni staruszkowie mieli sklerozę i nie pamiętali o czymś takim jak śmierć. A może to ich dzieci zapominały o pochówku... Albo ten kawałek świata jest tak nieważny, że umknął uwadze kostuchy z kosą... Nie wiadomo. Fakt pozostał faktem: nie było tu żadnych nowych grobów. Jedynie: wrzos, paprocie i ciemne karłowate sosny. I stare, porośnięte mchem, mogiły. Niestety.

A może na szczęście?

Chodziłam jakiś czas wśród pagórków, usiłując odczytać nazwiska wyryte na nagrobkach. Niestety, moje wysiłki okazały się bezskuteczne, gdyż większość napisów zdążył zmyć deszcz.

Wreszcie dotarłam na skraj ogrodzonego terenu. Tam, w samym rogu, oddzielono niewielki kawałek terenu. Okalały go krzaki dzikiej róży, dlatego ciężko było zobaczyć, co za nimi ukryto. Róże skutecznie broniły dostępu, a ich kolce zniechęcały do wycieczek krajoznawczych. Mnie jednak jakaś siła wyższa pchała prosto na kłujące gałęzie.

I kiedy wreszcie, grzęznąc w mokrej trawie, przedostałam się na drugą stronę, moim oczom ukazała się niewielka, zadbana, pokryta czystym piaskiem polana.

I miejskie ogrodzenie solidnej roboty.

Za ogrodzeniem znajdowały się dwa groby, rzetelnie zbudowany stolik i solidna ławeczka. Na pomniku z granitu umieszczono lakoniczny tekst:

DONAT KIRYŁŁOWICZ KODRIN
HELENA ALEKSIEJEWNA KODRINA
15.8.1938-30.12.1995
8.8.1940-11.11.1996
NA ZAWSZE POZOSTANIECIE W NASZEJ PAMIĘCI,
KOCHANI...
DZIECI

Kurat!

Nie wierzyłam własnym oczom. Chociaż, w sumie, dlaczego nie miałam im wierzyć? Imię ojcowskie Ałły brzmiało - Donatowna. Z jej dossier wiedziałam, że rodzice umarli kilka lat temu, a w Kukkariewie znajdował się dom rodzinny Kodrinów... Oczywiście było to, że pochowano ich właśnie tutaj. Za to drugi grób...

Żeby dojrzeć napis, musiałam podejść bliżej. Nie bardzo wierząc w to, co widzę, wpatrywałam się w niedbale ociosany kawałek granitu, przypominający...

Tak. Tak, cholera jasna!

Wiolonczelę!

Nie mogłam się mylić - to był grób Ałły Donatowny Kodriny. Ałły. Aliki.

Wyglądało na to, że w ten pomnik były włożone ogromne, jak na wiejski cmentarzyk, pieniądze. W każdym razie było widać, że ktoś, kto sklecił granitową wiolonczelę, znał się na rzeczy. Struny (naturalnie porwane) udawały kawałki dobrze oszlifowanej armatury. Jakim cudem nikt ich jeszcze nie wyrwał?

To myśląc (choć co mnie to w końcu obchodzi!), spojrzałam na napis. Nie był tak lakoniczny jak to, co przeczytałam na poprzednim nagrobku:

KODRINA AŁŁECZKA 5.10.1968 - 13.6.1999

Dalej następował rymowany lament:

PIĘKNO MUZYKI POŚRÓD SMUTKU GINIE
LODOWATY DOTYK ŚMIERCI ZABRAŁ DUSZĘ

BÓL ROZSTANIA NA WIEKI NIE MINIE
ŚLUBÓW MIŁOŚCI NIGDY NIE NARUSZĘ

Spij spokojnie, kochanie moje...

Pogrążony w smutku mąż

Jeszcze jak pogrążony!

Tylko dlaczego te strofy pozostawiały tak dużo do życzenia? Dlaczego były tak wątpliwej jakości? Czy słynny maestro, laureat i dyplomata, gwiazda światowej sławy z mieszkaniem w Wiedniu i dumnym estońskim obywatelstwem - czy ktoś taki mógłby sklecić coś tak kiepskiego? Nie, to niemożliwe. Ten „wiersz” musiał wymyślić w wolnym czasie jakiś nie do końca trzeźwy wiejski listonosz. W przerwie pomiędzy dostawą czasopisma „Hodowla i fermy trzody chlewnej”, a gazety „Sześć arów”.

Jednak było jeszcze coś, co mnie w tym wszystkim zastanowiło. Nawet bardziej niż napis na grobie. W końcu Olew Kiwi kochał swoją żonę. Naprawdę ją kochał. A zakochany człowiek może wypisywać różne bzdury. Ale w takim razie dlaczego ona leży tutaj, na wsi, ukryta za ścianą dzikiej róży? Tu, a nie na jakimś eleganckim cmentarzu? Dlaczego wdowiec nie zapobiegł pojawieniu się na topornej, granitowej płycie koślawego poetyckiego wyznania?

Za moimi plecami rozległ się trzask łamanych gałęzi, a po chwili usłyszałam oddech Rejno.

- To tu się pani podziewa! - rzucił.

- Nie tylko ja - kiwnęłam głową w stronę grobu Ałły Kodriny.

Tak jak przypuszczałam, kamienna wiolonczela była dla niego taką samą niespodzianką jak dla mnie. Przez chwilę przyglądałam się, jak uważnie studiuje napis i kawałki armatury, sterczące z kruchej granitowej bryły.

- No i co pan na to powie? - zapytałam.

- Estończyk nigdy nie stworzyłby takich bredni. To jest w waszym, rubasznym stylu...

- Co pan powie! A podpis pan widział? Pogrążony w smutku mąż.

- To jeszcze o niczym nie świadczy...

- Wy, Estończycy, jesteście naprawdę bardzo dziwni... Mąż, podobno pogrążony w smutku, nawet się nie zatroszczył o sprawienie swojej ukochanej godnego pomnika. Mam na myśli, z artystycznego punktu

widzenia. A swoją drogą... Jeśli mam być szczerą, to myślałam, że Ała została pochowana w Wiedniu. Albo w ostateczności w Tallinie. Przecież Kiwi przebywał w Rosji bardzo rzadko.

- Tak. Zgadza się z panią, że to jest bardzo dziwne. Ale być może miał ku temu jakieś ważne powody. A może to krewni upierali się przy wyborze miejsca jej wiecznego spoczynku...

- Myślę, że Ała Kodrina niewiele obchodziła swoich krewnych. I na odwrót. Jej jedynym krewnym był Igor Piestieriew. Wie pan przecież...

- Nie będę tu z panią o tym dyskutował. Chodźmy już. Zmieniłem koło.

Westchnęłam i po raz ostatni zerknęłam na grób namiętnej Aliki: 5.10.1968 - 13.6.1999. Nie skończyła nawet trzydziestu jeden lat... Rejno pociągnął mnie za łokieć.

- Chodźmy już. Musimy wracać do miasta. I chociaż kilka godzin się przespać...

- Na podłodze? - zapytałam z ironią w głosie, ale mimo wszystko powlokłam się za nim. Najwyraźniej chciał jak najszybciej się stąd ulotnić. Tak samo, jak się opuszcza beznadziejne przedstawienie: nie czekając na koniec pierwszej odsłony. Ale z niego esteta, niech mnie drzwi ścisną!

Droga powrotna była o wiele trudniejsza niż mogłoby się wydawać. Po pierwsze, boleśnie podrapałam sobie brodę, a po drugie, w pewnej chwili ogarnęło mnie jakieś dziwne przecucie. Pod jego wpływem nagle się zatrzymałam. A raczej nie zatrzymałam, tylko stanęłam jak wryta! I nawet wstrzymałam oddech, żeby nie spłoszyć myśli, która tak niespodziewanie przysłała mi do głowy.

- Panie Rejno - zawołałam po cichu. - Panie Rejno, powinniśmy wrócić...

- Dokąd? - Rejno zdążył już przeskoczyć przez krzaki i teraz czekał na mnie przy uschniętej sośnie.

- Tam. Do grobu...

- Jeszcze zdąży pani do grobu - zazartował. - Prędzej czy później. Nie ominie to pani.

- Muszę tam wrócić...

- Po co? Zapomniała pani czegoś?

- Tak - odparłam krótko. - Zapomniałam.

- Czego?

- Muszę coś sprawdzić.

Miałam chyba naprawdę nieszczęśliwą minę, bo Rejno bez dalszych głupich komentarzy zawrócił w stronę ukrytej polanki.

- No i co? - zapytał, kiedy ponownie znaleźliśmy się przy grobie.

- Widzi pan datę?

- Widzę.

- Niech ją pan przeczyta - powiedziałam słabnącym głosem.

- Piątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku - trzynastego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku - burknął Rejno.

- Nie tak! Cyfry! Niech pan po prostu przeczyta cyfry. Te z pierwszej daty!

- 5,10,1968... 5101968.0 co tu chodzi?

510 - 19 - 68! Wprost mistyczna zbieżność cyfr! Data urodzenia Ałły Kodriny zgadzała się z cyframi na banknocie. Z tymi samymi cyframi, które początkowo uznałam za numer telefonu.

„5101968”.

To właśnie było napisane na wyświechtanym dwudziestoszylingowym banknocie!

- Rejno - zaczęłam tragicznym szeptem - nie powiedziałam panu o wszystkim...

- Wcale w to nie wątpię...

- Proszę mi nie przerywać... Rzecz w tym, że wczoraj w hotelu... w nocy... znalazłam pewien banknot... który wypadł rzecznikowi prasowemu zmarłego Kiwi.

- Gdzie go pani znalazła?

- Nieważne... pod stołem, w barze... To był austriacki banknot. Dwudziestoszylingowy. I było na nim napisane: „5101968”. 5101968. Data urodzenia Ałły Kodriny jest taka sama - piątego października 1968 roku. 5.10.1968. Być może to tylko zbieg okoliczności... Początkowo myślałam, że to jakiś numer telefonu. I nawet zadzwoniłam...

- I ktoś odebrał?

- Tak.

- I co powiedział?

- Że mi dupę skopią i bratków nasadzą - przyznałam szczerze. - Okazało się, że to numer telefonu jakiejś szkoły. Najwyraźniej uczniowie cały

czas dręczą grono pedagogiczne. Dzwonią, żeby zawiadomić, że w szkole jest bomba...

- Tak, słyszałem o takich *lapselik vallatus*⁵⁴... I to właśnie w Rosji. Powinniście jakoś ratować przyszłe pokolenie...

⁵⁴*Lapselik vallatus* - (est.) dziecięce wybryki.

- Niech się pan nie odrywa od głównego tematu. Jak pan sądzi... napis na banknocie i data na pomniku... mają ze sobą coś wspólnego?

- Siedem cyfr z siedmiu. I w tej samej kolejności?

- W identycznej.

- Musiałbym obejrzeć ten banknot. Ma go pani ze sobą?

- W torbie...

- Tej, która została u mnie w mieszkaniu?

- Tak.

- No dobra. Proszę zaczekać przy samochodzie. Zaraz wrócę...

- Co chce pan zrobić?

Rejno nie odpowiedział. Ciągnęło go w stronę grobu niczym wytrawnego nekrofila. Przelazł przez ogrodzenie i zaczął grzebać przy stoliku. Potem przeszedł w stronę podnóża granitowej wiolonczeli. Nawet z daleka widziałam, jak obmacuje rękami ziemię i wkłada coś do małego woreczka. Skończywszy poszukiwania, spojrzał w moją stronę i pomachał ręką. Po chwili był już z powrotem.

- Znalazł pan coś ciekawego?

- Jeszcze nie wiem... Zobaczmy, co tu mamy... kilka niedopałków... Złożę pani sprawozdanie.

- Byłabym wdzięczna...

- Tak... W takim razie musimy sporządzić dodatkową umowę. Dotyczącą śledztwa w sprawie śmierci Ałły Donatowny Kodriny. A to oczywiście wiąże się z dodatkowymi wydatkami, jak sama pani rozumie...

- Co pan powie!

- No, ale to nie miejsce na takie dyskusje... Tak pośród grobów...

- Właśnie! Jeszcze tego brakowało, żebyśmy tu rozmawiali o pieniądzach i interesach! - prychnęłam. - To byłby brak szacunku z naszej strony.

- Ma pani rację - zgodził się ze mną i pociągnął mnie w stronę kołacych krzaków dzikiej róży. - To byłoby świętokradztwo.

* * *

Do Sankt Petersburga dotarliśmy około ósmej rano. Wydarzenia na cmentarzu całkiem odebrały mi ochotę na sen. Rejno również nie wykazywał żadnych oznak zmęczenia.

- Niech mi pani da ten banknot - rozkazał, gdy tylko zatrzasnęły się za nami drzwi jego mieszkania.

- Moment...

Przysiadłam przed torbą i zaczęłam w niej grzebać. Nie chciałam wyciągać przed nim wszystkich swoich skarbów.

- No i co tam? - ponaglił mnie. - Zgubiła go pani, czy co?

- Nie wiem... Nie powinnam była...

- Niech pani wysypie wszystko na podłogę. Będzie łatwiej szukać.

Powiedział to zupełnie obojętnym głosem, jednak jego rozszerzone nozdrza i podejrzany wyraz twarzy zdradzały wszystko: pragnął dotknąć każdej rzeczy, która miała związek ze sprawą.

Mruknęłam coś w stylu „zaraz znajdę”, ale w dalszym ciągu nie mogłam odszukać tych przeklętych dwudziestu szylingów.

Po pięciu minutach Rejno stracił wszelką cierpliwość. Podniósł mnie niczym szmacianą lalkę, wyrwał torbę z rąk (nawet nie zdążyłam otworzyć ust) i wysypał jej zawartość na podłogę.

Żeby uratować swoje własne (jakże bezbronne!) poszlaki, nakryłam je ciałem i popatrzyłam na niego z góry na dół.

- Idiotka - podsumował. - Nie zamierzam grzebać w pani majtkach i podpaskach... To ten?

Trzymał w rękach zdradzieckie dwadzieścia szylingów.

- Tak - potwierdziłam, posapując. - Ale najpierw - umowa.

- Dobrze.

Rejno wyszedł do przedpokoju i po chwili wrócił z legendarną czarną teczką. Rozłożył się na parkiecie i zaczął wypełniać dokumenty.

- Niech pan zaczeka... To powinna być inna umowa. Nie pomiędzy panem a mną, tylko pomiędzy mną a panem. To ja mam prawo sprzedać panu wszystko, co do tej pory zebrałam. A pan powinien to kupić. W przeciwnym wypadku nie będzie miał pan pełnego obrazu sytuacji. Zgadza się pan odkupić ode mnie dowody rzeczowe?

Rejno wyraźnie się nie spodziewał takiej subtelnej podłości. Podrapał się długopisem po nosie i zaczął mi się bacznie przyglądać.

- Uważa pan, że to jest niesprawiedliwe? - kontynuowałam natarcie.
- Ale przecież to pani jest moją klientką...
- Niech sam pan pomyśli. Zbiera pan poszlaki w pewnej sprawie.

Tak?

- Przypuśćmy...

- To nie są żadne przypuszczenia. To fakt. W pańskiej umowie jest taki punkt... Zdaje się, że ma numer 5.1.2... Mowa w nim o możliwości odkupienia przez pana brakujących informacji od osób trzecich. Rachunki ma pan mi potem dołączyć do tych z „Nieprzewidzianych wydatków”. Mam rację?

- Tak, z tym, że to punkt 5.1.3 - poprawił mnie łamiącym się głosem.

- Jeden diabeł. Najważniejsze, że jest. To co, zgadza się pan kupić ode mnie te informacje? To bardzo ważne wiadomości. Przydałyby się panu. Chce pan?

Rejno wstał i wybiegł z pokoju. Po chwili usłyszałam odgłos spuszczonej w toalecie wody.

- *Vilets santazeerija!*⁵⁵ - burknął z nienawiścią, pojawiając się w progu. - A niech to licha! Zgoda...

⁵⁵ *Vilets santazeerija* - (est.) żalсна szantażystka.

- No to świetnie.

- Jesteśmy kwita... Nie wezmę już od pani żadnych pieniędzy... Przeprowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Kodriny za darmo.

- A niech mnie, jaka zmiana! Niech pan tylko nie zapomni o benzynie - bawiłam się na całego. - Nie muszę płacić panu za benzynę. I za obiady w drogich restauracjach. Za knedle po czesku w serwetce też nie, w mordę jeża!

Rejno zrobił skwaszoną minę.

Spojrzałam na jego ruchomą - niczym rybie łuski, piaszczyste wydmy i gałęzie sosen razem wzięte - twarz. I zaczęłam się zastanawiać. Czy aby na pewno dobrze robię? Za chwilę oddam mu wszystko (w tym również nóż) i wszystko mu opowiem. Wszystko. Absolutnie wszystko. Ale przecież sama sobie nie poradzę! A on jest dość rozsądny. A przy tym nie jest pozbawiony awanturniczej żyłki. Z pewnością będzie umiał połączyć ze sobą pewne fakty...

- Ale te bary dla klasy średniej... Nie odpowiada mi tam jakość jedzenia.

- To już pański problem. Chce pan żreć jakąś gęś po flamandzki... Albo wypasioneho homara - proszę bardzo. Ale na swój rachunek. Kawie espresso i kanapce z serem jeszcze podołam. Ale całą resztę - bardzo mi przykro. Nie mam tyle pieniędzy i nie będę płacić za pana zachcianki.

Dla lepszego efektu wzięłam dwadzieścia szylingów, zwinęłam je w rulon, po czym spojrzałam przez niego jak przez lunetę.

- To co? Nadal się pan zgadza?

- Zgadzam się na wszystko! - drgnął mu podbródek. - Podzielmy się naszą wiedzą. Połączmy nasze siły.

- Wspaniale! - nie zdołałam ukryć zadowolenia.

- I nie robię tego dlatego, że mi pani płaci... I nawet nie dla samego Olewa... Łączyły nas czysto służbowe stosunki.

- Robi to pan dla siebie. Dla samego rozwiązania zagadki! - wtrąciłam.

- Tak. Dla samego rozwiązania zagadki... Co to za przyrząd? W tym futerale, który ma pani w torbie? - jego wprawne oko intuicyjnie wychwyciło najważniejszy przedmiot.

- Najpierw pan. Co znalazł pan na dacy? I na cmentarzu...

Rejno usiadł tuż przede mną po turecku, po czym wyciągnął z jednej kieszeni woreczek z kilkoma niedopałkami. Z innej: lupe, pincetę i jeszcze jakąś jedną paczuszkę. Przez gruby plastik prześwitywały zarysy jakiegoś postrzępionego pudełka.

Następnie ostrożnie chwycił pincetą jeden z niedopałków i zbliżył do niego lupe.

- Papierosy „Piotr Pierwszy”. Trzy niedopałki, z czego dwa w lepszym stanie...

- Co to znaczy - „w lepszym stanie”?

- To, że jeden niedopałek był pozostawiony przy grobie nieco wcześniej. Najprawdopodobniej o kilka dni...

- Albo miesięcy - spróbowałam wnieść swój wkład w jego rozważania.

- Raczej nie. Grób wygląda na zadbane. Ktoś musi się nim opiekować. Sprzątać wokół i myć pomnik. Sądząc po jego stanie - nie rzadziej niż jeden raz w tygodniu.

- Ale kto?

- Pewnie ktoś z miejscowych.

- A w drugim woreczku? - zadowolony się tym wyjaśnieniem, zerknęłam na kartonowe pudełko. - Co tam jest?

Rejno złapał drugi woreczek i wyjął z niego pudełeczko. Od razu zauważyłam, że jest to opakowanie po jakiejś wodzie kolońskiej.

- Znalazłem to w warsztacie - oświadczył uroczyście. - W wiadrze z trocinami. To jest „Byblos”.

„Ten idiota nie zgadza się na »Hugo Boss«. Obnosi się z »Byblos« jak kura z jajem”.

Fragment listu, pisanego przez Ałłę, stanął mi przed oczami jak żywy. Kto by pomyślał, że będę go w stanie zapamiętać? A myślałam, że jedyne, czego nie zapominam, to nazwy firm szyjących ubrania i bieliznę!

- Wygląda jak nowe... Tylko trochę pogniecione.

- Jak już mówiłem, opakowanie schowano w wiadrze z trocinami. Dlatego nie możemy stwierdzić z całą pewnością, jak długo tam leżało. Żeby to zrobić, musielibyśmy użyć specjalistycznego sprzętu i skorzystać z pomocy laboratorium kryminalistycznego...

Spojrzałam na niego błagalnym wzrokiem. Wciągnięcie do śledztwa laboratorium kryminalistycznego byłoby dla mnie równoznaczne z wyrokiem śmierci. Na szczęście, Rejno podzielał moje obawy.

- Nie wierzę w siłę nauki, jeśli reprezentują ją niekompetentne osoby. A zważywszy na fakt, w jaki sposób przeprowadzono śledztwo w sprawie śmierci Ałły Kodriny, śmiało można stwierdzić, że zajmowały się nim niekompetentne jednostki...

- Też bym im nie ufała - wyrwało mi się.

- Teraz pani kolej - Rejno złożył na gromadkę swoją nędzną zdobycz.

- Obiecała pani wyjawić mi pewne szczegóły, których jeszcze nie znam. Co tam jest w tym futerale?

No, Warwara, dalejże! Trzeba działać! Niemożliwe, żeby Bóg nie docenił twoich starań i wysiłków na drodze do poprawy! Na drodze do pełnej szczęścia, świetlanej, urzekającej i wolnej przyszłości!

- To jest narzędzie zbrodni - powiedziałam.

- Gdzie jest to narzędzie zbrodni?

- W futerale.

Rejno wyciągnął rękę, ale ja, zamiast podać mu tubę z nożem, zaprotestowałam.

- Nie. Zanim go panu pokażę... Najpierw muszę coś wyjaśnić... To jest nóż, którym zabito Olewa Kiwi.

- Co?!

- Nóż, którym zabito Olewa Kiwi - przeniosłam wzrok z Rejno na futerał. - Ale...

- Skąd ma pani ten nóż?

- Wyjęłam go z ciała...

- Pani? - szybko zamrugał. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatnim momencie się rozmyślił i zamknął je z głośnym kłapaniem.

- Proszę nie zapominać, że obudziłam się obok martwego mężczyzny... Zobaczyłam nóż...

- Po co go pani wyciągała?! Pani jest naprawdę skończoną kretynką!

- Nie wiem... Nie wiem, dlaczego to zrobiłam... Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię...

- Według mnie nigdy nie zdaje sobie pani z tego sprawy. Po co to pani zrobiła?! Jeśli, oczywiście, to nie pani go zabiła...

- Nie! Nie zabiłam go! Przysięgam! - puściłam w ruch ciche, pełne opanowanej godności łzy.

- A jeśli tam były odciski palców, idiotko?

- Żeby tylko mógł go pan wtedy zobaczyć...

- Martwego Olewa Kiwi?

- Nie... Nóż...

- No to niech mi go pani w końcu pokaże! - ponownie wyciągnął łapę w stronę futerału.

- Tak, oczywiście... Ale najpierw muszę pana uprzedzić. To jest nóż-morderca... Wystarczy wziąć go do ręki - i nie można się powstrzymać... Myśli się tylko i wyłącznie o tym, żeby dostać się do czyjegoś ciała... On jest niczym dowódca, popycha nas do... Sama się o tym przekonałam na własnej skórze... Sama...

- Zaszlachtowała pani kogoś?

- Nie! - zamilkłam na dłuższą chwilę. Czy warto mu opowiadać o incydencie z pępkiem Siergieja Siniienki i odważnym kocie Chodźtu?

Chyba jednak warto. Przecież i tak zdecydowałam się iść na całość.

- Chciałam... Chciałam zabić... To znaczy nie ja, tylko... To Nóż mną kierował... To on chciał zabić... A ja posłużyłabym mu jako narzędzie... Zrobiłabym to... Gdyby mnie nie spłoszono... A dokładniej, gdyby nie spłoszono Noża... - wydusiłam z siebie z trudem i poczułam, jak włosy jeżą mi się na głowie.

Wolny od morderstw i przesądów, pragmatyczny Rejno popatrzył na mnie sceptycznie.

- Wy, Rosjanie, zawsze zrzucacie winę za swoje świństwa, nikczemne zamiary i nieczne postęпки na karb kogoś innego... Na zimę, na satelity amerykańskie, na złe drogi. Byście się wstydzili!

- To pan niech...

- Niech mi go pani da...

- Uprzedzałam.

- Czekam.

Już nie słuchał. Jego cierpliwość się wyczerpała. Westchnęłam, złapałam futerał i popchnęłam go w stronę detektywa. Po czym wyszeptałam:

- Proszę. Może pan otworzyć. Tylko nie teraz...

- A kiedy?

- Kiedy odejdę na bezpieczną odległość! - ostatnie słowo wypowiadałam, stojąc przy drzwiach.

- Już mogę? - Rejno pobłażliwie się uśmiechnął.

Na wszelki wypadek uchyliłam drzwi wejściowe, prędko oszacowałam odległość od siebie do Rejno i od niego do drzwi, i dopiero wtedy powiedziałam:

- Teraz można...

Z jakim pożądaniem chwycił za wieczko! Jak zaczarowana, niepomna na czyhające niebezpieczeństwo, obserwowałam jego ruchy. Rejno zdjął pokrywkę i wytrząsnął Nóż na podłogę. Przez chwilę bezmyślnie spoglądał na śmiercionośne narzędzie. Na jego doskonale linie, na kształtne płatki i na wyniosłe czoło boga Wadźrapani...

- Nie - powiedziałam ledwie słyszalnym szeptem. - Nie... Niech pan tego nie robi... Nie...

Ale było już za późno. Nie posłuchał. A Nóż... Nóż niczym wąż wśliznął się w jego dłoń.

Cholera jasna, on był w tej dłoni od zawsze... On był stworzony dla dłoni.

Rejno powoli się odwrócił, spojrzął na mnie i... I się uśmiechnął. Nóż, który znalazł schronienie w jego dłoni, również się uśmiechnął. Bładym, żądnym krwi ostrzem. Detektyw podniósł się z kolan i ruszył w moim kierunku.

Ruszył w moim kierunku, a ja nie miałam nawet przy sobie kota-obroncy Chodźtu!

Zrobiłam krok do tyłu, potem jeszcze jeden... Do drzwi wejściowych nie jest już daleko. Zdążę uciec. Co za szczęście, że nie będę musiała traścić czasu na otwieranie żadnych zamków... Co za szczęście, że okazałam się być taką mądrą i zawnazaszu przygotowałam drogę odwro...

Zrobiłam jeszcze jeden krok i nagle zaczęłam nogą o leżący na podłodze wałek od kanapy. Runęłam jak długa.

Ile drogocennych sekund straciłam? Jedną, dwie, pięć? Nie wiem. Ale to i tak nie miało już żadnego znaczenia. Ta chwila wystarczyła, żeby Rejno... Nie, żeby Nóż... Pochylił się nade mną. Wydałam z siebie nieartykułowany dźwięk (Chryste Panie, to naprawdę mój własny głos?!), po czym zamknęłam oczy.

Nadeszło.

Koniec, basta, finito - jak zwykły mawiać Stas Driemow. Cóż, przynajmniej nie zdąży się za mną stęsknić. Ani on, ani Olew Kiwi... Niebawem wszyscy się spotkamy w zapuszczonym piekle pośród nowiutkich teflonowych patelni...

Tylko dlaczego on tak zwleka?

- Mocno się pani potłukła? - usłyszałam nad sobą głos Rejno.

- Co?

- Pytam, czy mocno się pani potłukła? Nic się pani nie stało? Nieśmiało otworzyłam jedno oko. Potem drugie. Rejno stał tuż nade mną z Nożem w ręce. I najnormalniej w świecie się uśmiechał...

- A... - wypuściłam powietrze.

- Proszę mi podać rękę.

- Ale dlaczego... Dlaczego nic się nie stało?

- A co się miało stać? - popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

- Pan powinien... - zacięłam się.

- Co powinienem?

- Powinna pana... ogarnąć nieodparta chęć popełnienia przestępstwa... Powinien pan zaprzagnąć mojej śmierci...

Rejno przysiadł na nieszczęsnym wałku i zaczął się bawić nożem.

- Ma pani rację, pani Warwaro. Czasami tak mnie korci, żeby panią zabić, że aż strach. Zdzielić panią *piki nupp*⁵⁶ czymś ciężkim. Ale tak się dzieje tylko wtedy, gdy zaczyna pani wygadywać bzdury i plątać mi się pod nogami.

⁵⁶ *Piki nupp* - (est.) po głowie.

- A teraz?

- Nie bardziej, niż zwykle - nawet na mnie nie spojrział. Uważnie studiował fizjonomię Wadżrapani.

- Chwileczkę... Czyli nie miał pan żadnego odruchu... Nie poczuł pan nawet najmniejszej pokusy? Nie miał pan ochoty... Nie miał pan ochoty wbić noża w czyjeś ciało?

- Wy, Rosjanie... naprawdę mnie zadziwiacie! Rzeczywiście jesteście jak Azjaci... Krwiożerczy Azjaci... Jak można czerpać przyjemność z puszczania krwi?

No nieźle! Nóż, który zrobił na mnie takie wrażenie, najwyraźniej nie zadziałał na flegmatycznego Estończyka. Poskromił swoją prawdziwą naturę i ukazał się światu jako potulny przyrząd do krojenia warzyw. Nie mogłam się z tym ot, tak po prostu pogodzić...

- Czyżby pan naprawdę niczego nie poczuł?

- Po tym, jak wziąłem go do ręki? Nie.

A może Nóż działa wybiórczo? Zapędza w kozi róg tylko ludzi o wrażliwej naturze, takich jak ja. A nikczemne, patologicznie cyniczne typki w stylu Rejno są zupełnie bezpieczne. To byłby niezły materiał do „Relaksu dla Ciebie”. Można by go było umieścić w dziale: „Późnym wieczorem”...

- Tak jak przypuszczałam, jest pan absolutnie bezdusznym człowiekiem. Nic nie jest pana w stanie wzruszyć. Nawet nóż-morderca połamał sobie na panu zęby...

Rejno nadal przypatrywał się nożowi. I intensywnie się nad czymś zastanawiał.

- Znalazła go pani na podłodze? - zapytał ni stąd, ni zowąd.

- Dlaczego na podłodze? Przecież już mówiłam, że był wetknięty w pierś Olewa Kiwi.

- I pani go wyciągnęła, tak? - popatrzył na mnie z rosnącym zainteresowaniem. - Tak po prostu wzięła i wyciągnęła?! I niczego się pani nie obawiała?

- Szczerze mówiąc, nie pamiętam...

- Jasne... Albo jest pani szalona, albo umysłowo chora, albo...

Nie miałam ochoty na wysłuchiwanie steku obelg pod swoim adresem.

- Wie pan co... Gdyby mógł go pan wtedy zobaczyć... Gdyby zobaczył pan ten nóż... Taki, jakim ja go zobaczyłam...

- Wystarczy, że widzę go teraz. Sympatyczna zabawka... Na pewno by się spodobała jakiemuś kolekcjonerowi...

- To nie to samo. Wtedy wyglądał nieco inaczej.

Było za późno na odwrót. Skoro się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć i „b”!

Przeżegnawszy się w myśli, rzuciłam się na głęboką wodę.

- W rękojeści był diament! Albo jakiś inny kamień... Ale z pewnością bardzo cenny...

- Doprawdy?! - Rejno popatrzył na mnie z kpiącym uśmieszkiem. - I gdzie się teraz podział?

- Nie mam zielonego pojęcia...

- Ale przecież, jeśli dobrze zrozumiałem, przez cały ten czas miała go pani przy sobie?

- Tak... To znaczy... Po tym, jak omal nie zabiłam Siergieja... Ograniczałam z nim kontakt do minimum...

- Z Siergiejem?

- Nie, z nożem! Nadąza pan za mną?

- Staram się, chociaż jest to niezwykle trudne...

- Tak więc, schowałam nóż do futerału... A potem, kiedy po raz kolejny go wyjęłam, kamienia już nie było...

Rejno bez słowa wstał z wałka i poszedł do pokoju. Zostałam sama.

- Mówi pani, diament? - krzyknął. Przez szparę w drzwiach widziałam, jak siada na podłodze, bierze lupę i zaczyna oglądać nóż ze wszystkich stron. Każde nacięcie. Każdy zawijas. Centymetr po centymetrze.

- Nie mogę tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością! - krzyknęłam.

- Ale ja mogę! - wsunął lupę do kieszeni kamizelki i wrócił do przedpokoju.

- Ze stuprocentową pewnością... Nie ma tu najmniejszego śladu po kamieniu. Całkowicie jednolita powierzchnia. Ani jednej rysy. Ani jednej szczeliny. Pani Warwaro, tak na poważnie, po co mnie pani próbuje nabrać?! Tak dla hecy?

- Kamień był - powtórzyłam z uporem. - Był w miejscu, gdzie teraz znajduje się głowa tego bożka. Bożek nazywa się Wadźrapani. „Ręka trzymająca wadźrę”. A wadźra w sanskrypcie oznacza diament...

Jak widać lekcja, której swego czasu udzielił mi sprzedawca Dementij, nie poszła na marne.

- Wszystko możliwe, ale kamienia tu nie ma - Rejno pozostał obojętny na niespodziewany przeblysłk mojej inteligencji.

- On tam był.

- Czy pani nie słyszy? Nóż jest nienaruszony. Nie może być mowy o żadnym kamieniu.

- On tam był.

- To jest absolutnie wykluczone.

- Był.

- Nie.

- Tak!

- Nie!

-Tak...

- Nie, do jasnej cholery!!!

Wściekły, rozszłoszczony do granic możliwości, tracący nad sobą panowanie Estończyk - to niespotykany widok. Przepiękny! Nie zdążyłam się nim nacieszyć, gdyż Rejno, w porywie szaleńczej złości, podrzucił nóż na dłoni, po czym ze wszystkich sił wbił go w leżący między nami wałek. Nóż wszedł w wytartą starą skórę aż po samą rękojeść. Widząc to, gorący estoński mężczyzna momentalnie się uspokoił.

- Ma pani rzadko spotykaną umiejętność doprowadzania ludzi do szweskiej pasji - powiedział, ciężko dysząc.

- Dzięki Bogu, że chociaż coś we mnie zrobiło na panu wrażenie... Ale kamień naprawdę tam był, przysięgam... Kamień był w miejscu, gdzie teraz jest głowa bożka... Nie jestem wariatką, niech mi pan wierzy...

- Wymyśla pani kolejne wykręty, żeby się uwolnić od podejrzeń o zabójstwo?

- Dlaczego mi pan nie wierzy? Przecież nigdy pana nie oszukałam... O, Boże!!! Patrzcie tylko! Patrzcie! To on! To kamień!!!

Nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Jak zaczarowana wpatrywałam się w rękojeść noża. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą widziałam boga Wadźrapani - teraz mienił się przeróżnymi barwami najprawdziwszy w świecie diament! Oboje z Rejno patrzyliśmy na niego jak urzeczeni. To był zadziwiający, niemal nierealny widok. Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu.

- No i kto miał rację? - wreszcie zdołałam z siebie wydusić.

- *Et voib-olla!!!*⁵⁷ - on również z trudem wydobył z siebie głos. Jego zwykle niewzruszone włosy splątały się na moich oczach. Jego zwykle niewzruszone brwi podniosły się do góry. Jego zwykle niewzruszone usta samoistnie się otworzyły.

⁵⁷ *Ei voib-olla!* - (est.) niemożliwe!

Szkoda, że nie miałam przy sobie aparatu fotograficznego. Widok jego zaskoczonej miny godny był uwiecznienia.

- To niemożliwe... Niemożliwe... Niemożliwe... - powtarzał w kółko, lekko się przy tym kołysząc. - To niemożliwe.

Jeśli o mnie chodzi, to drugie spotkanie z kamieniem zniosłam dość spokojnie. Ale za to Rejno! Wyglądał, jakby lada moment miał dostać zawału serca. Kto by pomyślał, że ten opanowany człowiek ma takie słabe nerwy? Muszę mu jakoś pomóc, bo jeszcze mi tu padnie trupem. Trzecim trupem.

- To niemożliwe - powtórzył po raz kolejny, a ja pobiegłam do kuchni. Cholera, nie ma tu nawet jednej filiżanki! Czy on nic nie pija?

Odkręciłam do oporu kran z zimną wodą i podstawiłam pod niego złączone dłonie. A następnie rzuciłam się do przedpokoj.

I chlusnęłam wodą w twarz otępiełego detektywa.

Podziękowało. Nareszcie oderwał oczy od kamienia i spojrzał na mnie. Zupełnie świadomie.

- Lepiej już? - zapytałam.

- Tak... Dziękuję... Ale jak to możliwe?

- Już się pan nie dziwi, dlaczego zabrałam ze sobą główny dowód rzeczowy?

- Nie... Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego... Niech mi pani powie o tym nożu wszystko, co pani wie.

- Lepiej będzie, jak pokażę.

To mówiąc, zostawiłam go pod opieką Noża i ugodzonego w samo serce walka. Weszłam do pokoju, gdzie pośród gromadki innych dowodów leżała *ARM AND RITUAL*.

Masz, czego chciałaś. Spełniło się twoje kretyńskie marzenie: pewny siebie Estończyk potrzebuje cię jak niemowlę matki. Pragnie, abyś otworzyła mu oczy na świat rytualnej broni. Złapałam książkę i wróciłam do przedpokoju.

- Co z panem? - zapytałam. - Jest pan gotowy na przyswajanie wiedzy?

- Szczerze mówiąc... - Rejno z wahaniem pokręcił głową. - Tak. Jestem gotowy.

Rozłożyłam przed nim książkę. Czulałam się jak wróżka rozkładająca karty. Zebrałam się w sobie i zaczęłam wykład. Mówiłam głośno i wyraźnie. Tak, żeby Rejno lepiej mnie zrozumiał. Od czasu do czasu wspomagałam się przyniesioną pomocą naukową. W ten sposób udało mi się powtórzyć wszystko, czego wcześniej dowiedziałam się od Dementija.

Kiedy skończyłam, Rejno popatrzył na mnie z uznaniem.

- Pani nie jest wcale taka głupia, na jaką pani wygląda. Na pierwszy rzut oka.

- Myli się pan - ciągle jeszcze brałam aktywny udział w pochodzie w obronie prawdomówności, który sama zorganizowałam. Szłam w pierwszym szeregu z transparentem „Szczerość do bólu”. - Jestem taka głupia. Albo jeszcze bardziej. Inaczej nie wplątałabym się w tę historię.

- Skąd ma pani tę książkę?

- Zabrałam od takiego jednego. Na jakiś czas. Udzielał mi porady.

- Rozumiem.

Rejno upadł na kolana przed nożem, wyciągnął lupę i zaczął przyglądać się diamentowi.

- Jak pani sądzi, to jest droga rzecz?

- Ja nie wiem, ale jubiler tak powiedział. Jeśli to rzeczywiście jest diament, to chyba faktycznie nie jest tania. W każdym razie, jego

rozmiary robią wrażenie. Nie mogę zrozumieć tylko jednego. Dlaczego właśnie teraz nastąpiła ta zamiana? I na miejscu bożka pojawił się kamień.

Doznałam nagłego, niespodziewanego olśnienia. „Legionista” (Dementi) ze swoim oddawaniem czci duchom broni wciąż mnie nie opuszczał.

- Pamięta pan, mówiłam panu, że Wadźrapani... Ten bożek... Jest powołany, aby strzec praw Buddy. Diament jest symbolem siły i niepodważalności Nauczania Buddy. Może to sam Wadźrapani ma stać na straży Siły i Nienaruszalności? Rozumie pan, co mam na myśli? Wadźrapani osłania diament przed niepowołanym wzrokiem.

- To już wiemy. Przekonaliśmy się o tym na własne oczy - zbagatelizował moje wywody. - Mnie bardziej interesuje sam mechanizm. Zasada działania. Jak to jest skonstruowane. Niech pani przeczyta, co tam jest jeszcze napisane?

Ze smutkiem spojrzałam na litery, zbite w jeden niezrozumiały ciąg znaków. Nie miałam żadnych szans na oddzielenie ich od siebie i wykrycie ich tajemnego sensu.

- No co się pani tak ociąga?

- To jest po angielsku... Obawiam się, że nie dam rady...

- Tak też myślałem - Rejno w końcu znalazł okazję, żeby się na mnie odegrać. - Wy, Rosjanie, pretendujecie do panowania nad całym światem, a nie znacie niczego, oprócz swoich przysłów i porzekadeł... Niech mi pani da tę książkę.

Posłusznie wręczyłam mu *ARM AND RITUAL*. Natychmiast pogрузił się w lekturze. Po przeczytaniu pierwszej i drugiej strony, przerzucił się na spis treści i przypisy do tekstu. Dość długo trwało, zanim oderwał się od swojego pasjonującego zajęcia i spojrzął na mnie ze źle ukrywanym triumfem.

- Sprytne sztuczki, które Hindusi przejęli od Chińczyków. Miała pani rację. To jest rytualny nóż. Używany podczas świątynnych obrządków.

- No przecież od razu mówiłam...

- Proszę nie przerywać. Tu jest napisane: „Kiedy dotknie twego ciała, oko Buddy otworzy się i nadejdzie moment przeobrażenia sansary⁵⁸...” - Rejno chwycił nóż i wyciągnął go z walła. - Rozumie pani?

- W ogólnych zarysach...

⁵⁸ Sansara - w filozofii indyjskiej pełen cierpienia uwarunkowany świat, w którym istnieje konieczność nieustannego odradzania się (przyp. tłum.).

Nie chciał wypuścić ze swoich rąk niebezpiecznej zabawki. Przeciwnie, pragnął ją trzymać jak najdłużej. Zbliżył rękojeść do twarzy i potarł kamień zewnętrzną stroną dłoni.

- Oko Buddy... Wydaje mi się, że jest podobne do... Chwila!

Po raz kolejny tego dnia go olśniło. Odwrócił nóż i zaczął oglądać spodnią część rękojeści. Pozwolił sobie nawet zagwizdać.

- Genialne! Najprostsza z możliwych konstrukcja, ale mimo to robi wrażenie! Niech pani tylko spojrzy.

Wcisnął mi lupę i zmusił, abym przyjrzała się zastygłym płatkom lotosu.

- Widzi pani te dwa małe kółeczka? Są ledwie dostrzegalne. Wyglądają jak zwykłe nacięcia... Widzi pani?

- Nie...

- To niech pani otworzy szerzej oczy.

Poszłam za jego radą i z największym trudem udało mi się dostrzec kółka, o których mówił. Chociaż osobiście nazwałabym je raczej splotami płatków, nakładającymi się na siebie. Tak czy inaczej, wreszcie je ujrzalam!

- I co to takiego?

- Najprawdopodobniej widelki, które wprowadzają w ruch mechanizm rękojeści. Kiedy nóż napotyka na jakąś przeszkodę... Na przykład, na wałek od kanapy...

- Albo czyjeś ciało - powiedziałam cicho.

- Albo czyjeś ciało - poparł mnie z zapalem. - Osłona opada i pojawia się diament. Oko Buddy powołane jest zatem, aby nadzorować prawidłowy przebieg rytualnej śmierci. Pilnuje składania ofiary.

Popatrzyłam na niego z szacunkiem.

- Rozważa pan jak uczestnik takiego obrządku.

- Tak - przybrał filozoficzny wyraz twarzy. - Każdego dnia oddaję się w ofierze takim klientom jak pani.

- Bardzo zabawne... A za osłonę robi głowa boga Wadżrapani?

- Na to wygląda.

- I jak długo diament będzie się teraz znajdować na wolności?

- Mnie pani o to pyta? Pewnie do momentu, aż oko Buddy nie zmęczy się oglądaniem ludzkich bezceństw. Możemy zanotować czas, jeśli pani chce...

- Nie chcę. Kiedy... Kiedy go wzięłam... kamień był w rękojeści ponad dobę. A potem zniknął.

- Wszystko zależy od mechanizmu... A może pani sama w jakiś szczególny sposób ujęła sztylet. Tak przy okazji, jak on był umieszczony W ciele Olewa?

- Głęboko wbity. Aż po samą rękojeść.

- A widzi pani! Ja też nie byłem gorszy. Zniszczyłem skórzane obicie... Też wepchnąłem tego gogusia po samą rękojeść. Dawni Hindusi znali się na morderstwach. Potrafili nadać im piękno...

- Nie to co my, Rosjanie - odpowiedziałam usłużnie.

- Otóż to! Wyjęła mi to pani z ust. A teraz, kiedy wyjaśniliśmy już kwestię tego tasaka, może zadziwi mnie pani czymś jeszcze...

Rejno zmieniał się w oczach. I to zdecydowanie na lepsze. Nie koncentrował się już tylko na jednej sprawie. Zrozumiał tajemnicę sztyletu, odgadł jego zagadkę, i jak przystało na wytrawnego detektywa, stracił wszelkie zainteresowanie wadźrą. I Buddą. Skupił się natomiast na dwudziestoszylingowym banknocie.

- Gdzie go pani znalazła? - zapytał, kiedy usadowiliśmy się już wygodnie na podłodze w pokoju.

- W barze. Jak już zresztą wspominałam. W barze w hotelu. Walał się pod stołem.

- A zatem poszła pani do hotelu... żeby powęszyć na miejscu przestępstwa... A jak się pani dostała do środka? Po sznurowej drabinie?

- Nie, dlaczego? Zaprosił mnie tam pewien miły mężczyzna... Gość hotelowy.

Na samą myśl o wspomniałym Aurelu Czorbu, wąsatym Salomonie ze złotym zębem, poczułam dziwne ukłucie w sercu, a w ustach - posmak winogron.

- Aha, czyli dochodzi nam jeszcze pewien gość hotelowy.

- Jest właścicielem galerii win na wyspie Wasiliewskiej. Nie ma nic wspólnego z morderstwem.

- Naprawdę?

- W tym czasie pił w pokoju znanego aktora. Aurel ma niesamowite wina. Wymowne wina... I tak o nich opowiada... Jak o swoich najbliższych.

- Osobiście wolę grog - przystopował mnie Rejno. - O winach możemy porozmawiać potem. Najpierw skończmy z naszymi papierkami.

Po tych słowach zaczął obracać w rękach banknot.

- „5101968”. Co pani o tym sądzi? Jakie ma pani przypuszczenia?

- Swoje przypuszczenia wygłosiłam już przez telefon - przypomniałam. - Szkoła numer 113.

- Gdzie zamierzano pani skopać tyłek i bratków nasadzić - Rejno miał niezawodną pamięć. - Zostaje więc jedno z dwóch. Albo to jest numer telefonu do innego miasta... Albo do innego kraju... Albo...

- Albo?

- Albo to w ogóle nie jest numer telefonu.

- Tylko co?

- Cokolwiek. Szyfr do przechowalni bagażu. Szyfr do sejfu... Muszę się zastanowić - Rejno starannie wyprostował papierek i położył go obok Noża, niedopalków w celofanie i zgniecionego opakowania po wodzie kolońskiej. - Ma pani coś jeszcze?

Z zapalonym zaczęłam przerzucać rzeczy wysypane z torby. Całkowicie podporządkowałam się Rejno.

- Mam jeszcze to.

- A co mi tu pani daje? - Rejno zrobił nachmurzoną minę i przeczytał z uczuciem:

Jesteś równa babka, Kaje. Przynajmniej jedna normalna gęba w tym przez Boga zapomnianym miasteczku. Zarąbiście się zabawiłyśmy. Czuchońska Obszczylandia to gnojowisko! Ruskie - szambo! Niech żyje Wyspa Wielkanocna! Wszystkie suki świata łączcie się! Polina Czarska”.

Wspomnienie Czarskiej oraz jej wypociny wywołały piorunujący efekt. W pokoju zaległa grobowa cisza.

- Co to za paszkwil? - estoński akcent Rejno stał się tak nieznośny, że aż się skuliłam i położyłam uszy po sobie. - Co to ma znaczyć - „Czuchońska Obszczylandia to gnojowisko”? To ma znaczyć, że „Estonia to gówno”?!

- Nie sądzę - wyszeptalam. - A poza tym, niech pan spojrzy, „Ruskie” też „szambo”... Jedziemy na tym samym wózku.

- Ruskie może i są jak szambo, ale nikomu nie pozwolę obrażać mojej ojczyzny. Wypraszam sobie!

- Ta Polina Czarska jest aktorką... I przy okazji wariatką.

- To po co bierze pani autografy od nienormalnych aktorek?

- To nie dla mnie... Tylko dla mojej przyjaciółki Kaje.

- To Estonka? - Rejno ścisnął brodę zbielełymi od gniewu palcami.

- Tak... Z Piarnu.

- I chce to pani dać Estonce? Czy ona nie uznaje swojego pochodzenia? Jest odszczepieńcem?!

- W życiu! Jest patriotką! - zapewniłam żarliwie.

Chciał porwać na strzepy haniebne oszczerstwa pod adresem jego ukochanej Estonii. Na szczęście byłam od niego szybsza. Rzuciłam się na niego z pazurami i po krótkiej, lecz rozpaczliwej walce podstępem udało mi się go capnąć za skaleczony palec. Po czym zręcznie wyrwałam mu kwit.

- Cymbał! - wypaliłam i ciągle jeszcze ciężko dysząc, przesunęłam się na kolanach w stronę kaloryfera. - Żeby niszczyć dowód rzeczowy! Już do reszty pan zgłupiał?!

- Jaki dowód rzeczowy? - zapytał, ssąc pechowy palec.

- Na odwrotnej stronie jest kwit ze sklepu z antykami.

- Niech pani od razu wymieni wszystkie dowody rzeczowe, które pani posiada. Bo inaczej się kompletnie pogubię. A tak swoją drogą, to zamkniemy się teraz w pokoju...

- A to po co?!

- Tak będzie lepiej. Zamkniemy się i nie wyjdziemy stąd, dopóki mi pani o wszystkim nie opowie. O wszystkim i o wszystkich. W najdrobniejszych szczegółach. Niczego nie pomijając i niczego nie zatajając... Zgoda? - wstał, podszedł do drzwi i dokładnie je zamknął.

- Zgoda - westchnęłam. - Tylko niech pan zawczasu przygotuje sobie chusteczkę do nosa. To będzie bardzo smutna historia...

W ciągu następnych dwóch godzin opowiedziałam mu o wszystkim. Począwszy od wizyty w gabinecie Stasa, a skończywszy na ostatniej rozmowie z Czorbu na nabrzeżu Prospektu Kamiennoostrowskiego. Przemilczałam jedynie rodzaj wykonywanego zawodu. Obawiałam się, że Rejno-starszy przestanie się mną interesować, za to wzbudzę niezdrowe zainteresowanie Rejno-młodszeo. Nie chciałam ani jednego, ani drugiego. Ani dosłownie, ani w przenośni.

Początkowo tylko słuchał, a potem zaczął robić notatki.

Niektóre wydarzenia minionego tygodnia musiałam kilkakrotnie powtarzać. Na inne nie zwracał żadnej uwagi. Zestawiał ze sobą postaci dramatu, wypytywał o ich przyzwyczajenia, sposób mówienia i zachowania.

Masę czasu poświęciliśmy małżeńskiej parze Kodrinów (*Oh, pime vaeseke!*⁵⁹), telefonicznym scenom zazdrości i ogromnej chęci Filipa Kodrina, aby zwalić całą winę za morderstwo siostry na Olewa Kiwi.

⁵⁸ *Oh, pime vaeseke!*- (est.) oj, biedna niewidoma!

Natomiast Polina Czarska wcale go nie zainteresowała. Nawet historia jej związku z wiolonczelistą i kradzież klejnotów nie zrobiły na nim większego wrażenia. Słuchając tego, tylko ironicznie się uśmiechnął. Wyglądało na to, że do końca życia będzie pamiętał niewyszukaną tezę Czarskiej - „Czuchońska Obszczylandia to gnojowisko”. Estończycy potrafią być pamiętliwi i mściwi, jeśli chcą.

Tylko w jednym miejscu wyraźnie się ożywił - w rym samym, w którym ożywił się również Olew Kiwi. Wedy mowa zesłała na ukrytą część sejfu. Niestety, nie mogłam mu na ten temat wiele powiedzieć. Sama wiedziałam jedynie, że taki schowek istnieje.

Potem przysłała kolej na Iłariona Iłarionowicza Schamne z jego kramikiem ze starociami. Wiadomość o tym, że przekazał fałszywe klejnoty do innego antykwariatu, najpierw go rozweseliła. Ale kiedy powiedziałam mu, że to był ten sam komplet, z powodu którego Czarską wypędzono z wiolonczelowego raję, zanotował coś w swoim notesie.

Wysłuchawszy wszystkiego do końca i uporządkowawszy sobie wiadomości o wszystkich i o wszystkim, jeszcze raz wypytał o każdą osobę. Żądał ode mnie rzeczy niemożliwych. Kazał mi nazywać marki win, którymi poił mnie prosto z rąk Aurel Czorbu. Pytał o to, w jaki sposób przebrał obwód elektryczny i jak Kalu Kullemaie pomylił piętra i trafił do pokoju zmarłego Kiwi... Prosił, żebym z detalami powtórzyła mu rozmowę z jubilerem Iłarionem Iłarionowiczem... A nawet zażądał, żebym nakreśliła schemat hotelu. I schemat domu Stasa Driemowa.

Po dwóch godzinach byłam totalnie wyczerpana. Wycisnął mnie jak cytrynę.

A po kolejnej półgodzinie beczelnie wyprosił mnie z mieszkania.

- Muszę to wszystko przemyśleć... Na osobności... - powiedział, tym samym dając mi do zrozumienia, że mam zabierać swój zmęczony długim przesłuchaniem tyłek i wynieść się z jego pokoju. - Przeczytać w spokoju notatki, wyjaśnić kilka rzeczy... Wszystkie dowody zostają u mnie. Czuję, że jeszcze niejedno ukrywają...

- A... Co ja mam w tym czasie robić?
- Co pani chce... Może sobie pani posiedzieć w kuchni.
- Tam nie ma nawet krzesła...
- Przykro mi...
- A nie mógłby mi pan odstąpić łóżka polowego? Nie spałam już prawie całą dobę...
- Ja też - Rejno był nieustępliwy. - Nie można mi teraz przeszkadzać. Muszę się przygotować do złożenia sprawozdania. Bo chyba chce pani otrzymać sprawozdanie? Czy nie?
- Chcę.
- No widzi pani... Niech pani zamknie za sobą drzwi...

Koniec końców zostałam wyrzucona do kuchni. Jedyną rzeczą, którą udało mi się ze sobą zabrać, była książka *ARM AND RITUAL*. To właśnie w jej towarzystwie spędziłam kolejnych kilka godzin. Dokładnie zapoznalam się ze wszystkimi buddyjskimi przedmiotami rytualnymi, różnymi sztyletami ze wzmocnioną bądź osłabioną gardą, modyfikacjami wadźry i sztuką władania białą bronią. Jednym z chwytów, przedstawionym przez sir Henry Willinga w dość poetycki sposób, byłam wprost urzeczona. Nosił nazwę „NÓŻ W OBŁOKACH”. Wytrwale ćwiczyłam odpowiednią pozycję, którą należało przyjąć przy zadawaniu ciosu. Żalowałam tylko jednego: że nie mam teraz przy sobie zuchwałego mordery noża-wadźry.

Wadźra była stworzona do tego chwytu, ponieważ istotnie sprawiała wrażenie nieziemskiej. Bujającej w obłokach. Nierealnej.

I tak rozmyślając o nożu, chmurkach i Reino Uuskuli (robiącym z siebie superdetektywa), zasnęłam. Z kolekcjonerskim wydaniem *ARM AND RITUAL* pod głową.

Obudziłam się, czując, jak ktoś niemilosiernie szarpie mnie za ramię.

- Niechże pani wstanie! Też sobie pani wybrała czas na spanie! Muszę jechać w pilnej sprawie. Być może na długo...

- Nic nie szkodzi. Zaczekam tu na pana.

- Nic z tego. Nie pamięta pani? Dzisiaj o trzeciej, w Domu Naukowca, Teo Lhermitte. Dobrze byłoby, żeby tam pani była.

O kurde, na śmierć o tym zapomniałam! Teo Lhermitte, szantażysta w profesorskiej todze! Specjalista od Azji Południowo-Wschodniej, którego jakimś cudem do tej pory nie można było namierzyć. Mimo że

wszędzie zostawiał po sobie ślady. Nieuchwytny Teo, którego nikt nigdy nie widział. A jeśli nawet widział - to i tak tego nie pamiętał. - I co mam tam robić?

- Nic. Po prostu siedzieć i słuchać. Podobno te jego referaty są całkiem niezłe...

- A pan?

- Już mówiłem... Muszę wyjechać w sprawach służbowych. Będę bardzo późno... Jeśli pani chce, może pani pójść do kina albo spotkać się z przyjaciółką... Z tą pani... Moceulą.

- Montezumą! - poprawiłam.

- Bez różnicy...

Świnia! Zadowolona z siebie, skończona estońska świnia! Nawet nie podwiózł mnie do metra!

* * *

Nie miałam żadnych kłopotów z dostaniem się do Domu Naukowca. Wystarczyło potrząsnąć przed nosem roztargnionego ochroniarza teczką z referatem Teo Lhermittea („profesor czeka, proszę pana!"). Weszłam do środka i znalazłam się w epicentrum tajfunu o nazwie „Azja Południowo-Wschodnia”.

Do wystąpienia Teo Lhermitte'a zostało jeszcze pół godziny. Postanowiłam ten czas poświęcić na swoją metamorfozę. Chciałam choć w niewielkim stopniu upodobnić swoją prostacką gębę do tych, obciążonych szarymi komórkami, znawców sztuki. A poza tym doprowadzić jako tako do porządku swoje idiotyczne dzinsy! Dzinsy, w których pełzałam po domu Kodrinów w Kukkariewie i zwiedzałam wiejski cmentarz. Przedzierałam się przez krzaki dzikiej róży i bezczelną wiejską trawę.

Weszłam do nieskazitelnie czystej toalety i zamknęłam się w pierwszej z brzegu kabinie. Usiadłam z westchnieniem na sedesie i zaczęłam się gapić na zegarek, który wyblagałam od Rejno, zanim wyszłam z domu. Dał mi go z bólem serca, ale nie omieszczał zrobić mi przy okazji wykładu na temat:

„Dla was, Rosjan, czas nie ma żadnego znaczenia. Wszędzie się spóźniacie”.

Wskazówki przesuwały się powoli, zaczepiały się o siebie, zlepiały się w jedno i zamieniały rolami: sekundowa stała się raptem minutową.

A minutowa - godzinową. Na godzinową, którą rozpierały wygórowane ambicje, bałam się nawet spojrzeć.

„Dzięki Bogu, że przynajmniej nie idą do tyłu” - pomyślałam i w tym samym momencie usłyszałam ostrożne pukanie do drzwi.

O mało co nie spadłam z muszli klozetowej.

- Warwara, wiem, że tu jesteś - rozległ się znajomy władczy głos.

- Monti! - wrzasnęłam i natychmiast otworzyłam drzwi.

Wśliznęła się do kabiny i usiadła obok mnie. Wyciąłowałyśmy się i mocno przytuliłyśmy do siebie, chociaż ubikacja nie była najlepszym miejscem do okazywania przyjacielskich uczuć.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytałam.

- Znam cię jak własną kieszeń... Zawsze czyścisz piórka przed ważnymi zadaniami - zaczęła, po czym natychmiast urwała, spojrzawszy na moją wyświechtaną koszulkę.

- Monti! Spójrz tylko na mnie! Prawie od dwóch tygodni nie depilowałam brwi! Nie maluję się, nie stosuję kremów ani maseczek... Nie mam nawet czym ogolić się pod pachami. Jestem ściągana listem goń-czym, Monti!!!

- Biedactwo ty moje... - Montezuma objęła mnie, ale zaraz potem gwałtownie się ode mnie odsunęła. - Co tu w takim razie robisz?

- Czekam na wystąpienie Teo Lhermitte'a.

- Mam nowe wieści. Przyjechała córka tego dyrektora. Postaram się z nią spotkać dzisiaj wieczorem. Może uda mi się wyjaśnić, z kim się wtedy zabawiała w windzie. Aha, tak przy okazji, kupuję jego mieszkanie.

- Kogo?

- Stasa.

- Aaa... - z trudem sobie przypomniałam o jej chęci nabycia mienia byłego, znenawidzonego sutenera. Wyglądało na to, że mówiła poważnie. - Moje gratulacje.

- Na razie jeszcze nie ma czego gratulować. Będzie jatka, ale i tak dopnę swego.

Westchnęłam. Montezumie nie wystarczyła jedna niepozorna, nikomu niepotrzebna śmierć jednego niepozornego, nikomu niepotrzebnego człowieka. Montezuma była gotowa wynająć brygadę stolarzy, żeby wciąż od nowa wbijali gwoździe do trumny Stasa. Żeby przez resztę swojego życia mogła się cieszyć zwycięstwem nad znenawidzonym alfonsem.

- Papugę już zabrałam - nie przestawała mnie zadziwiać. - Od portierki. Co prawda musiałam wyłożyć za nią dwieście dolarów...

- Za Starego Toomasa?

- Zgadza się. Zabawia mnie teraz przekleństwami. Ma identyczną intonację jak Stas.

Przypomniałam sobie zakrwawioną głowę Stasa. I Starego Toomasa, który napaskudził na prześcieradło. Ptaszysko widziało zabójstwo. Nietety jako świadek było tak samo nieprzydatne, jak pierścionek Kodriny, jak nóż-morderca, jak ja sama...

Stary Toomas był świadkiem-pechowcem.

Mnie również można zaliczyć do świadków-pechowców. Świat jest wypełniony po brzegi świadkami-pechowcami. Wszędzie się od nich aż roi. Z głowy ofiary nie spadnie żaden włos bez milczącego błogosławieństwa jakiegoś nikomu niepotrzebnego, pogryzionego przez psa kaptia. Kapeć będzie leżeć pod fotelem i gapić się na miejsce przestępstwa... Żadne gardło nie zostanie podejrzięte bez milczącej zgody jakiejś porcelanowej pasterki z odbitymi rękami. Pasterka będzie stać na komodzie i gapić się na miejsce przestępstwa... Tak jak ja...

I w ogóle, cholera jasna... Areny morderstw są otoczone przedmiotami! Przedmioty gromadzą się, rozpychają, stają na palcach - byleby wszystko dokładnie zobaczyć, byleby nie przepuścić najważniejszej sceny! Sycą się nią. Zawsze żądają śmierci. Niemal nigdy - życia.

Nikogo nie ocala. Nie można na nie liczyć.

Ciekawe, co na ten temat myśli Rejno-starszy?

- Hej! Co się z tobą dzieje? - Monti wyprowadziła mnie z filozoficznego (zgiń, przepadnij!) transu.

- A dlaczego pytasz?

- Masz taką minę...

- No jaką?

- Głupkowatą. Ostatnie stadium oligofrenii. Tylko się nie gniewaj...

Kurat! Doigrałam się! Nie trzeba było tyle rozmyślać o podniosłych sprawach! Muszę jak najszybciej z tym skończyć. Nie mogę tak dużo myśleć, i jeszcze do tego wyciągać daleko idące wnioski. Jednak Stas miał rację: kobietom takim jak ja myślenie nie służy. Od zbyt intensywnego używania szarych komórek robią się zmarszczki na czole...

- To dlatego, że się nie maluję. Zupełnie się już zaniedbałam.

- Nie szkodzi. Kiedy się z tego wykaraskamy, zaprowadzę cię do mojej kosmetyczki.

- Ja też mam swoją kosmetyczkę, Monti... I swoją masażystkę. I swoją manikiurzystkę...

Oparłam się ręką o spłuczkę i się zamyśliłam. Masażystka miała chyba na imię Lenka. A manikiurzystka - Swietka... A może odwrotnie? To w takim razie kim jest Nadia? Wywiadowcą w sprawie zabójstwa Olewa Kiwi, czy może jednak fryzjerką? W mojej nieszczęsnej głowie poplątały się wszystkie imiona i zdarzenia. Pozamieniały się miejscami i zastępowały się nawzajem. Zmarły Olew Kiwi chował się za plecami zmarłego Stanisława Driemowa. Prawdziwa kolia została zamieniona na fałszywą. Nawet bohaterka serialu Poliny Czarskiej nie byłaby w stanie się w tym wszystkim połapać. Odnaleźć się w tym bagnie, które mnie otaczało...

- No i znowu - odezwała się przestraszona Montezuma. - Znowu masz ten dziwaczny wyraz twarzy. Nie martw swojej ukochanej przyjaciółki. Błagam cię!

- Już nie będę - obiecałam.

Już nigdy, przenigdy nie będę się zastanawiać. Nad niczym! To niewdzięczne zajęcie zostawię Rejno. Niech wreszcie ruszy tą swoją łepetyną. W końcu podobno po to ją ma...

- Słuchaj, a dlaczego siedzimy w kibelku?

- Szybko się zorientowałaś - odsunęłam zasuwę i przepuściłam ją przodem.

Wypadłyśmy z kabiny i od razu nadziałyśmy się na oziębłe spojrzenie jakiejś paranaukowej kobry, która stała na ogonie przy umywalce. Przeglądała się w lustrze i poprawiała tandetne odznaki na swojej piersi.

Na nasz widok żmijowe medale brzęknęły.

- Przepraszam najmocniej, nie orientuje się pani przypadkiem, czy Teo Lhermitte już zaczął swój referat? - zapytała Monti, nadając swojemu głosowi światowy ton i ze wszystkich sił usiłując wyglądać na znawcę sztuki.

- Teraz występuje Nguyen Van Chong. Profesor Lhermitte jest zaraz po nim - odpowiedziała wyniośle Kobra. - A kto panią wpuścił na sympozjum w takim stanie?

To ostatnie zdanie było skierowane oczywiście do mnie i dotyczyło mojego połowego wyglądu. Monti zasługiwała pod tym względem na

najwyższą pochwałą: wystroiła się na to pioruńskie sympozjum jak na występ zespołu Maurice'a Bejarta ⁶⁰. Brakowało jej tylko brylantów w uszach i teatralnej lornetki.

⁶⁰ Maurice Bejart - właśc. Maurice Jean-Berger (1927-2007) - francuski tancerz i choreograf, założyciel i kierownik cenionych w świecie zespołów baletowych (przyp. tłum.).

- Tak w ogóle to znalazłam się tu przypadkowo... Szukałam strzykawki... - uśmiechnęłam się promiennie do Kobry. - Nie ma pani przypadkiem strzykawki?

Monti wydała z siebie bynajmniej nie światowy jęk, wykonała coś w stylu dygnięcia i zaczęła mnie ciągnąć w stronę wyjścia.

- Oszalałaś, czy co?! Co to za teksty? - wyszczała. - Chcesz, żeby nas stąd wyrzucili na zbity pysk?

- Przestań, Monti... Nie wolno już nawet zażartować?

- Nie możesz zostawiać po sobie śladów, idiotko!

Rzuciła mnie na kanapę w ciemnym kącie holu, usiadła obok i zaczęła szperać w torebce.

- Masz. Weź - podała mi komórkę. - Już działa.

- Po co?

- Po to, żebym była spokojna. Żebym w każdej chwili mogła się z tobą skontaktować. A ty ze mną. Możesz mi to obiecać?

- Oczywiście.

Prezent był równie szczodry, jak niespodziewany. Rozczuliłam się i nawet uroniłam łzę.

- Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć!

- Drobiazg. Odwdzięczysz się. Będiesz harować u mnie w tartaku. W Szwecji. Pośród reliktowych lasów. Z chłopów występują tam jedynie bobry i wiewiórolotki. Odpoczniesz sobie. Duszą i ciałem. Ciałem, rzecz jasna, najbardziej. Chodźmy już, bo inaczej przegapimy wystąpienie naszego profesorka!

No i wykrakała. Przegapiłam je. A dokładniej przespałam.

Zasnęłam, gdy tylko przystąpił do głównej części swojego referatu i zaczął dosyć błyskotliwie, ale mimo wszystko mętnie, wyjaśniać podstawy zupełnie mi obcej balijskiej mitologii. I jej panteonu, uwiecznionego w postaci masek, papierowych latarni i świeczników. Gdy tylko wypowiedział imię najwyższego bóstwa (Sang Chyang Tunggal), wzdrygnęłam się nerwowo, zsunęłam słuchawki z uszu i zwyczajnie zasnęłam.

A obudziłam się wyłącznie dlatego, że Monti szarpała mnie za ramię.

- No dalej, wstawaj, dno moralne! Jak można spać, kiedy ktoś opowiada takie rzeczy!

- Co opowiada? - powrót do rzeczywistości zawsze przychodził mi z trudem.

- O istocie wszechświata - po wypielegnowanej twarzy Karine Surienowny Arzumianian przemknął cień zrozumienia. Przenigdy nie posądziłabym jej o religijny fanatyzm!

- Ale cię wzięło! - powiesiłam słuchawki na oparciu fotela. - Dokąd pojedziesz na misję?

- Nie twoja sprawa...

Odpuściłam sobie. W końcu Montezuma troszczy się o mnie jak o przyrodną siostrę. Nawet jeśli ta siostra jest niezbyt udana, bo wyszła na świat Boży nie głową, lecz tyłkiem. A komórka! Przypomniałam sobie o cacku, które sprezentowała mi Montezuma i od razu powiedziałam pojednawczo:

- Naprawdę było ciekawe?

- Było fantastyczne! Tylko ty możesz spać w tak podniosłym momencie, ty umysłowa kaleko!

- Zmusiły mnie do tego pewne okoliczności... Nie spałam całą noc. Robiliśmy z Rejno...

- Daruj sobie szczegóły dotyczące swoich facetów. Ty chyba nawet w trumnie znajdziesz sposób, żeby się z kimś przespać!

- W trumnie to raczej nie. Za to tobie, jeśli będziesz tak reagować na wystąpienia wszystkich kaznodziejów, otworzą się rany na rękach i nogach... Jak to się nazywa, bo zapomniałam?

- Stygmaty...

- Właśnie, stygmaty.

- Lepsze już stygmaty, niż ciągłe spanie. Nawet zabójstwo przespałaś. Co prawda, to prawda. Montezuma była naprawdę dobra w robieniu trafnych uwag. Ziewnęłam jej w twarz.

- Tak à propos zabójstwa. Nie zapominaj, że on jest jednym z podejrzanych. Nikt go jeszcze z nich nie oczyścił...

- Może warto byłoby wziąć od niego autograf? Jak myślisz?

Dobra sugestia. A to Montezuma! Nie jest lepsza od Kaje, która pragnęła kilku linijek od Poliny Czarskiej. Chociaż, z drugiej strony...

Autograf i Polina Czarska momentalnie złąły się w jedno. W mojej głowie zrodziła się kolejna cenna myśl.

Anonim Teo Lhermitte'a, który dał mi Rejno. Mam go cały czas przy sobie. W tylnej kieszeni dżinsów. Dlaczego nie miałabym go teraz wykorzystać?

W tym momencie poczułam silne uderzenie. Zachwiałam się i upadłam na podłogę. To Monti podstawiała mi nogę.

- Co jest grane? - wysyczałam szeptem.

- Leż cicho - odpowiedziała. - Na sali jest hiena.

- Jaka znów hiena?

- Efesbeczna. Cham niemyty. Lemieszonek.

- Lemieszonek? - instynktownie podkurczyłam kolana pod brodę. - A co on tu robi?

- Wypatruje mnie, drań. Myśli, że doprowadzę go do ciebie.

- A zrobisz to?

- Już się rozpędziłam! Mało sobie nóg nie połamię! Co za bydlę! - Monti ze złością kopnęła mnie w łydkę. - Nie bój się. Nie mam zamiaru go na ciebie nasyłać. Doprowadzę go do ruiny. Zdegraduję! Pozbawię godności. Będzie tyrał w drogówce na jakimś wygwizdowie!

- A ja myślałam, że już go odsunęli od sprawy... Że twoje modlitwy zostały wysłuchane... - jęknęłam.

- Nie odsunęli, jak widzisz. Lemieszonek wiecznie żywy. Nie do pokonania. Jak hemoroidy i prątki gruźlicy. Idę się go pozbyć, a ty tu zostań.

Szeleszcząc wąską spódnicą, wstała z podłogi i ruszyła w stronę wyjścia. Zostałam sama, leżąc między fotelami. Najpierw poleżałam chwilę na boku, potem odwróciłam się na brzuch i podparłam brodę rękami. Dzięki Bogu referat Teo Lhermitte'a był ostatni przed krótką przerwą, inaczej miałabym poważny problem. Stado ekspertów w dziedzinie sztuki dekoracyjnej Azji Południowo-Wschodniej zadeptałoby mnie porządnym, ortopedycznym obuwiem.

Leżąc na podłodze, podziwiałam okolice: papierki od cukierków, puste butelki po piwie, lupinki po słoneczniku, a nawet podarte pudełko po prezerwatywach.

Kto by pomyślał! Okazuje się, że uczeni to też ludzie. Najbardziej zaskoczyło mnie opakowanie po prezerwatywach. Ciekawe, kto ich używał?

I kiedy? W czasie, gdy się nad tym zastanawiałam, w polu mojego widzenia pojawiły się czyjeś buty na grubej gumowej podeszwie. Buty przestępowały z nogi na nogę dokładnie naprzeciwko mnie i nie miały zamiaru odejść. Po chwili usłyszałam głos:

- Źle się pani czuje?

Właściciel głosu mówił po rosyjsku, ale z obcym, bardzo silnie brzmiącym akcentem.

- Nie, wszystko w porządku. Guzik mi się oderwał - odpowiedziałam i podniosłam głowę.

Przedemną stał Teo Lhermitte. We własnej osobie.

Natychmiast go poznałam. Przecież tyle razy oglądałam go na fotografiach: Teo na poczie, Teo w todze, Teo na imprezie, Teo w Pałacu Chińskim, Teo pośród natchnionych rosyjskich restauratorów... Prawdziwy Teo prawie w ogóle nie różnił się od tego na zdjęciach. Ta sama ponura twarz wegetarianina, te same siwawe włoski, okalające nieśmiałą uniwersytecką łysinę...

Facet, który ciągle mi się wyślizgiwał z rąk, na którego tak długo i usilnie polowałam, teraz sam wpadł w moje ręce. I merdał śliskim ogonem, gotowy pomóc dziewczynie, która zgubiła guzik.

- Wszystko w porządku - powtórzyłam i podniosłam się z kolan, po czym szybko rozejrzałam się po sali. Nie było widać ani Montezumy, ani Lemieszonka. Tylko na oddalonym scenie wałęsało się kilka osób i po kątach porozrzucanych było kilka grupki wielbicieli sztuki dekoracyjnej.

To była dla mnie wspaniała szansa. W obecności takiej liczby ludzi mogłam czuć się bezpiecznie. W takich warunkach Teo nie ucieknie się do przemocy. Nie zrobi mi ciasno pod szyją, ani nie dźgnie mnie wyjętym zza pazuchy szpikulcem. Za to ja powinnam podjąć ryzyko i spróbować go zręcznie podejść. Muszę to zrobić! Wystarczy, że spojrzę mu w oczy i będę już wiedziała, czy jest w nich stygnące ciało Olewa Kiwi.

Przekonywałam samą siebie, że warto pójść na całość. Zanim jednak zdecydowałam się na konkretne posunięcie, podejrzany odwrócił się do mnie tyłem i ruszył w stronę wyjścia.

Nie mogę zmarnować takiej okazji!

- Niech pan zaczeka! - krzyknęłam.

Zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

- Tak? Chciała pani o coś zapytać? - był wzorem uprzejmości.

- Niezupełnie...

Teraz albo nigdy! Chciwy szarak Rejno będzie okryty hańbą!

- Pan jest Teo Lhermitte, prawda?

- Tak. To ja.

- Chciałabym prosić pana o autograf. Jeśli nie ma pan nic przeciwko.

- Nie mam - zaczerwienił się.

A niech mnie! Naprawdę się zaczerwienił!

Czym prędzej do niego przyskoczyłam, w biegu wyjmując kartkę z anonimem.

- Gdzie mam się podpisać? - przytrzymał łokciem ciężką teczkę i wyciągnął długopis.

- O tutaj, poproszę...

Podalam mu rozłożoną kartkę. Czekając na jego reakcję, instynktownie zaczęłam oceniać swoje szanse na dobiegnięcie do najbliższej grupy ludzi. Teo odruchowo machnął podpis i dopiero po tym zaczął się uważniej przyglądać podanej przeze mnie kartce.

- Sorry - wymamrotał, wyjmując okulary.

- Ale ja się nie gniewam.

Okulary w niczym mu nie pomogły. Na kartce nadal widniał ten sam napis:

„PROSZĘ ZWRÓCIĆ SKRADZIONE RZECZY, DOPÓKI PANA NIE ZABIŁY”.

Teo podniósł na mnie wzrok. Zobaczyłam w nim jedynie lekką obawę i zdziwienie. I nic więcej. Nie takiej reakcji się spodziewałam. Widać było, że nie ma zamiaru się na mnie rzucić.

- Skąd to pani ma? - zapytał.

- A co za różnica? Po rosyjsku to się nazywa anonim. To pana dzieło, prawda?

Lhermitte milczał.

- Podobno jest pan naukowcem, a zniża się pan do poziomu szantażysty...

- Skąd to pani ma? - powtórzył pytanie.

- A jakie to ma znaczenie?

- Jest pani z milicji? - wyraził przypuszczenie, a ja o mało co nie roześmiałam mu się w twarz.

- Nie. Nie jestem z milicji...

Natychmiast pożałowałam swoich słów. Z nieoczekiwaną siłą chwycił mnie za rękę i niemal rzucił na fotel.

- Pracuje pani dla niego?

- Dla kogo?

- Niech pani nie struga z siebie wariata. Dla tego cmentarnego złodzieja. Dla Olewa Kiwi!

Oho! Czego my się tu dowiadujemy!

- Olew Kiwi nie żyje - przypomniałam Teo, usiłując uwolnić się z jego uchwytu. Jednak jego palce mocno wczepiły mi się w ramię.

- Co z tego. Zostali tacy jak pani. Którzy pomagali mu w jego machlojkach! - głośno wypuścił powietrze i zaczął się rozglądać po sali.

Kurat! Spoglądał na ludzi, podobnie jak ja przed chwilą. I tak samo jak ja był zaprzątnięty jedną myślą: „Kimkolwiek by była ta dziewczyna, nie odważy się mnie zaatakować w obecności tylu świadków. Nie zrobi mi ciasno pod szyją, ani nie dźgnie niczym ostrym”.

Teo Lhermitte bał się mnie tak samo, jak ja jego! Działal w pojedynkę tak samo jak ja. Tym samym zostaliśmy sojusznikami. Cichymi, przestraszonymi sojusznikami.

- Olew Kiwi został zamordowany - powtórzyłam spokojnie. - Został zamordowany w tym samym czasie, gdy przebywał pan w hotelu. Krótco potem pan się stamtąd wyprowadził... Jak pan sądzi, jak może na to zareagować milicja?

- Milicja nie będzie zawracała sobie głowy praworządnyimi obywatelami - wysunął wątpliwe przypuszczenie.

- Praworządni obywatele nie piszą takich rzeczy! - zręcznym ruchem wyrwałam mu kartkę z ręki i zaczęłam machać mu nią przed nosem. - To jest rozpatrywane na drodze prawnej. Za to grozi kryminal.

- Straszy mnie pani?

- Nie. Tylko pana ostrzegam. Jeśli jakaś zainteresowana osoba połączy ze sobą fakty: śmierć Olewa Kiwi i treść tego listu - będzie z panem bardzo źle.

- Ze mną? - zdjął okulary i przetarł je rękawem marynarki. I piskliwym głosem powiedział: - To z wami będzie źle. Z wami, niszczycielami świątyń! Miałem rację pisząc, że zabijają go kamienie! Kamienie, które ukradł Bogu!

- Nie mam nic wspólnego z Olewem Kiwi. Ani z nim, ani z jego kamieniami. Po prostu chcę poznać prawdę... To jest dla mnie bardzo ważne.

To może uratować życie niewinnej osoby... - ze zdenerwowania zaczęłam mówić o sobie w trzeciej osobie.

Teo milczał. Jego pasją była dekoracyjna sztuka wieczności. Co go może obchodzić jedno życie? Nawet jeśli jest to życie kogoś niewinnego. Postanowiłam uciec się do jego własnych metod - do szantażu. Tylko podły szantaż może poskromić podłego szantażystę.

- Jeśli powie mi pan wszystko, co pan wie, zniszczę tę kartkę. I wszystkie pozostałe również. Wszystkie, które wysyłał pan z Lappeeranty. Z poczty koło pańskiego domu... I zdjęcia, na których został pan uwieczniony podczas wykonywania tego interesującego zajęcia. A negatywy przyślę panu pocztą. Niech się pan dobrze zastanowi...

Łśniaca łysina Teo mówiła wszystko: już się zastanowił. Niepotrzebne mu były drobne niczym pluskwy (ani spore niczym żuki-gnojowniki) kłopoty „z policją”.

- Proszę bardzo, mogę pani powiedzieć całą prawdę. A z tym listem niech sobie pani robi, co chce. Nie boję się. Wcześniej też się nie bałem. I jego też się nie bałem... - zakończył wyniośle, po czym zręcznie wyjął z moich palców nieszczęsny anonim.

* * *

Z Domu Naukowca wysłałam z kwadratową głową. Nie żeby opowiadanie Teo Lhermitte'a wywarło na mnie jakieś większe wrażenie - po tym wszystkim, przez co przeszłam, wstrząsnąć mogła mną jedynie kolejna Noc św. Bartłomieja. Albo wojna nuklearna.

Albo informacja o rozwodzie Ałły Pugaczowej i Filipa Kirkorowa, ulubionych postaci czasopisma „Relaks dla Ciebie”.

Jedno było pewne - Teo Lhermitte nie był zabójcą. On nawet nie był w stanie sobie wyobrazić samego procesu zabijania. Zbyt długo przebywał pośród bezbronnych, milczących, ponadczasowych dzieł sztuki. Nie pragnął śmierci Olewa Kiwi. Nie pragnął niczyjej śmierci. Dlatego właśnie pisał listy. W sumie nie można ich nawet określić mianem szantażu. To było raczej ostrzeżenie. Nieważne, że w formie wyciętych z gazety i naklejonych na kartkę liter.

Wszystko, czego się dowiedziałam, rzucało nowe światło na życie szczęśliwego wiolonczelisty. I tym oślepiającym światłem chciałam teraz zalać Rejno.

Na pewno się zdziwi! I wreszcie zrozumie, że przynależność do nie-licznej, ale dumnej estońskiej nacji - to jeszcze nie powód, żeby nie uznawać istnienia innych narodów. Ani żeby twierdzić, że wszyscy Estończycy, bez żadnych wyjątków, są aniołami dobroci. Tylko im skrzydeł i aureoli brak.

Dość długo włóczyłam się ulicami miasta. Dopiero po jakimś czasie wsiadłam do pierwszego lepszego tramwaju i spojrzałam na zegarek. Była za pięć ósma.

Rejno na pewno nie zdążył jeszcze wrócić. Trzeba będzie iść do jakiegoś kina i usiąść gdzieś w ostatnim rzędzie z fantastyczną historią Teo Lhermitte'a w objęciach.

Byłam święcie przekonana, że ta historia nie da mi spokoju i po jakiejś półgodzinie zacznie mnie dręczyć i wyrywać się na zewnątrz.

Muszę. Muszę się nią z kimś podzielić. Koniecznie.

Ciekawi mnie tylko, dlaczego Filip Kodrin tak się przestraszył zdjęcia, które mu pokazałam. Tego, na którym był także nieszkodliwy Teo. Filip z pewnością pracował dla Kiwi. Więc pogróżki zawarte w listach dotyczyły także jego. A nie mógł wiedzieć, że Teo Lhermitte nie nadaje się na mordercę. Moim zdaniem nawet potulny baranek jest od niego bardziej niebezpieczny...

Pogrążona w zadumie patrzyłam bezmyślnie przez okno tramwaju. Na dworze lał deszcz. Wreszcie dotarłam do celu.

Na Wasiliewską.

Montezuma czy Aurel Czorbu?

Aurel Czorbu czy Montezuma?

Montezuma na pewno usiłuje zgubić efesbeczną hienę, Lemieszonka. Ciąga go po najokropniejszych petersburskich kniejach i kanałach, zapędza w sieć ormiańskiej mafii, zwabia do „Sevana”...

A Aurela Czorbu przegapiłam już wczoraj.

Obiecałam mu, że pojawię się w „Casa Mare”. Tyle, że to miało być wczoraj, nie dziś. Na pewno już na mnie nie czeka. Trudno, zajdę do winiarni i kupię butelkę wina, którym raczył mnie Aurel. Ze swoich dłoni.

Był tylko jeden mały problem. Za żadne skarby świata nie mogłam sobie przypomnieć nazwy tego wina...

Do „Casa Mare” dotarłam w asyście straszliwych grzmotów i błyskawic. Byłam przemoknięta do suchej nitki. Jakby tego było mało, na drzwiach zobaczyłam wiszącą tabliczkę „CLOSED”.

Galeria była czynna od 11 do 20. Codziennie, bez przerwy obiadowej.

Niestety, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: wszędzie przychodzę za późno. Potrafię przegapić najlepszą okazję. Nawet na kupno wina.

Nadal lało jak z cebra. Deszcz strumieniem wlewał mi się za kołnierz. Żeby się przed nim schronić, przywarłam do szklanych drzwi. I rozplaszczylałam nos na szybie.

I zobaczyłam...

Zobaczyłam tego, kogo chciałam zobaczyć.

Aurela Czorbu.

Stał pochylony nad barem i coś pisał. Zupełnie jak Salomon, obliczający wszystkie bogactwa świata, które otrzymał od Boga. Serce znów zaczęło mi mocniej bić - czy to ze strachu, czy... Nie, lepiej o tym nie myśleć.

Tak czy inaczej, nie będziesz mogła pojechać do Kiszyniowa.

Żeby zagłuszyć, stłumić to wściekle kołatanie w piersi, a może wprost przeciwnie, jeszcze je wzmocnić, zaczęłam dobijać się do drzwi.

Aurel podniósł głowę i spojrzał w moją stronę. Przez chwilę usiłował dojrzeć kogoś za zwartą ścianą deszczu. A tym „kimś” byłam ja. Podszedł do drzwi. Uśmiechnął się do mnie i przekreślił tabliczkę: „OPEN”.

Teraz mogłam już wejść do środka.

Wpadłam prosto w jego ramiona, parszkając i usiłując otrząsnąć się z wody i z uczuć, które mnie nagle ogarnęły. Aurel potargał moje ciemne szorstkie włosy swoimi ciemnymi szorstkimi palcami i soczyście ucałował w policzek.

- Wybijanie szyby nie było konieczne. Tam jest dzwonek.

- Dobrze. Będę pamiętać. Następnym razem...

- Następnego razu nie będzie. Jutro wyjeżdżam. Nie będziesz już miała po co tu przychodzić. A tak na marginesie, to czekam tu na ciebie od wczorajszego wieczoru.

- Naprawdę?

Wziął mnie na rękę, zaniósł w głąb lokalu i posadził na barze.

- Nie. Tylko żartowałem. Miałem dzisiaj kilka spraw do załatwienia, no i się trochę zasiedziałem. Papierkowa robota. Porządkuję dokumenty.

- Rozumiem.

- Siedź tu i nigdzie się nie ruszaj.

- Będę tu siedzieć i nigdzie się nie ruszę - przyrzekłam solennie.

Zostałam sama. Siedziałam na barze i patrzyłam w dół. Na podłodze zrobiła się już spora kałuża. A przy niej czekały na swoją kolej butelki z najróżniejszymi nalepkami. Tuż obok nich, w niskiej skrzynce obitej orzechowym drewnem, w małych przytulnych gniazdkach zobaczyłam, pograżone w głębokim śnie, wino. Różnych gatunków. Każde miało swoją własną czułą nazwę. Kiedyś nauczę się tych nazw. Wszystkich bez wyjątku...

Zamknęłam oczy, zrzuciłam buty i zaczęłam majtać bosymi stopami.

- Rozbieraj się!

Aurel stał tuż obok mnie. Z koszulą i włochatym kocem w rękach.

- Słucham? Co pan powiedział? Jak to, się rozebrać? - zapytał słabnącym głosem.

- Normalnie. Po ludzku. Zdjąć ubranie. A jak jeszcze można się rozebrać?

- Ale...

- Jesteś cała mokra. Musisz się ogrzać i poczekać, aż wyschną twoje rzeczy.

- Ale...

- Wstydzisz się? - był niezmiernie zdziwiony. - Wstydzisz się mnie? Niepotrzebnie... Jestem już bardzo stary.

- Dobrze...

Zaczęłam ściągać koszulkę przez głowę. Aurel natomiast zaczął otwierać butelkę koniaku. Kiedy kompletnie naga zawinęłam się w twarde kłujący pled, podał mi kieliszek.

- Wypij to.

Upiłam trochę i poczułam jak cierpki, bursztynowy płyn pali mnie w gardle.

- „Călărași” - jego wasy zabawnie drgnęły. - Trzymam specjalnie na takie okazje. Żeby rozgrzać przemokniętą kobietę.

- I często musi je pan otwierać?

- Nie. Niezbyt często. Prawdę mówiąc - to jest pierwszy raz...

Położyłam dłonie na jego ramionach i roześmiałam się: - Jest pan niesamowity!

- Jestem zwykłym szarym człowiekiem - poprawił koc, który bezwstydnie rozchylił się na mojej piersi. Chociaż słowo „bezwstydnie” tu nie pasowało.

Z Aurelem nic nie było bezwstydnego. Wszystko było naturalne. Jak w biblijnych winnicach. Nigdy co prawda nie podwijałam gałązek winogron, jednak mimo wszystko...

- Jesteś głodna? - zapytał, a ja ponownie się roześmiałam:

- Jak wilk.

- Nie uda mi się nakarmić wilka. Mam tylko winogrona i jabłka.

- A czereśnie?

- Czereśnie się już skończyły. Wczoraj zjadłem ostatnie. Miałaś przyjść wczoraj. Ale nie przyszłaś, więc co miałem robić?

Ciekawe, dlaczego nie pojawiłam się tu wczoraj? Jakie niecierpiące zwłoki sprawy mnie zatrzymały? Co takiego ważnego miałam do załatwienia? Nie odrywając wzroku od pokrytej zmarszczkami twarzy Aurela, usiłowałam przypomnieć sobie przebieg wczorajszego wieczoru. Jednak nie byłam w stanie tego zrobić.

- Mogę spróbować dowolnego wina?

- Jakiego tylko chcesz. Powiedz, a obudzę je dla ciebie z wiecznego snu.

- Dziękuję. Najpierw wolałabym winogrona i jabłka.

- Dobrze. Najpierw winogrona i jabłka.

Aurel wszedł za bar, nachylił się i wyciągnął tacę z jabłkami i kiściami winogron. Nie było nawet śladu po „Chardonnay”. Dobrze, że nie pojechałam do Montezumy, tylko do Aurela...

- Obrać ci?

- Poproszę.

Pamiętałam jeszcze z naszego pierwszego wspólnie spędzonego wieczoru, jak łatwo i zręcznie obiera jabłka. I jak seksownie. Teraz też podrzucił w ręce największy owoc i wyciągnął nożyk zza cholewki. Niczym prawdziwy cygan-koniokrad...

To był ten sam nożyk. Fikuśnie ozdobiony...

- To co, pojedziesz ze mną? Nauczę cię rozróżniać wina. I koniaki. Opowiem ci, w jaki sposób rodzi się wino. Nawet dzieci przychodzą na świat w mniejszych męczarniach... Hej... Słyszysz mnie?

Nie słyszałam. Patrzyłam na nóż.

Już go gdzieś widziałam. Bez wątpienia. Wąska sierpowata klinga, wąska rękojeść z małym dzwonkiem. I trójzab na wierzchołku. Tak, z pewnością go widziałam. Tylko gdzie?

Kurat!

Sir Henry Willing.

ARM AND RITUAL!

Dzisiaj rano, kiedy Rejno wyrzucił mnie z pokoju, jeszcze raz przejrzałam tę książkę. I widziałam tam taki właśnie nóż. I czytałam jego opis. Nie, nie szedł w parze z zabójcą-wadźrą, dzieliło ich dobre kilkanaście stron. Jednak on także należał do rytualnej świątynnej broni.

A tu proszę, mołdawski winiarz ot, tak obiera nim teraz jabłko.

- Nie słuchasz mnie - powiedział, jednak w jego głosie nie słyhać było urazy. Był zbyt mądry, żeby się tak od razu obrażać. Na wszystko był zbyt mądry.

Poczułam przebiegające przez całe moje ciało dreszcze.

- Zabawna rzecz... Mam na myśli nóż.

Aurel uśmiechnął się, pokazując swój złoty ząb, i wprawnymi palcami ujął go za ostrze.

- Podoba ci się?

- Bardzo - przelknęłam ślinę.

- Trzymaj.

Nóż aż się rwał, żeby prześliznąć się do mojej dłoni. Nie mogło być mowy o żadnej pomyłce. Identyczny dzwonek na rękojeści i pociemniały trójzab. I ostrze. Wygięte, przypominające uniesioną ze zdziwienia brew. Wyglądało, jakby pragnęło krwi. Moje serce zamarło z trwogi-

- Nie... Nie cierpię noży.

- A to wielki bład. Noże to najbardziej interesujące rzeczy na świecie. Od razu po winie, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyłam jak echo.

- Wiesz, ile ten nóż ma lat?

- Domyślam się...

- Czyżby? - koniuszki jego wąsów uniosły się ze zdziwienia.

- Myślę, że nie tyle lat, ile wieków - o matko jedyna, kto mnie ciągnie za język?! Po co to mówię?!

- Zgadza się. Ma pięć wieków, a ja obieram sobie nim jabłka. Dla przemokniętej kobiety. Mam wiele takich noży. I prawie dla każdego z nich znalazłem niezwykle zastosowanie - uśmiechną się złowieszczo.

Co racja, to racja. Cóż może być bardziej niezwykłego od klingi w piersi wiolonczelisty!

Wino i noże. Noże i wino. Dla wina Aurel Czorbu był Bogiem. Dla noży zaś - dzieckiem. Widziałam to gołym okiem. A co może zrobić z nożem dziecko? Wszystko, co mu się żywnie spodoba! I nigdy niczego nie będzie żałować. Dzieci nigdy niczego nie żałują...

Zdaje się, że na chwilę straciłam kontakt z rzeczywistością. A kiedy się ocknęłam, zobaczyłam, że Aurel Czorbu mnie obejmuje! Złączył ręce za moimi plecami i mogłam przysiąc, że czuję przez koc, jak wilgotnieją. Jak pokrywają się czerwoną wilgocią. Ręce Aurela były po łokcie we krwi. Nie wydawał mi się już Bogiem. Jego śniada cera została splamiona. Jakby zabijał swoje ofiary, a krew fontanną bryzgała mu w twarz. I on usiłował zmyć ją z siebie tak, jak wywabia się z ubrania podejrzanego plamy...

A niech to wszyscy diabli! Piłam wino z rąk mordercy! Z rąk, które wymierzyły tylko sobie zrozumiałą sprawiedliwość.

Poczułam mdłości.

Ale co ja teraz mogę zrobić - goła, owinięta w koc mordercy? Goła, owinięta rękami mordercy... Miał mnie w garści.

- Co z tobą? - usłyszałam nagle głos Czorbu.

- Nie, nie...

Jedyne wyjście - wziąć się w garść. We własną - nie Mołdawianina.

- Przyniósłby mi pan jakiegoś wina?

- Oczywiście. Możesz wybrać, jakie tylko chcesz.

- Chciałabym tamto - gwałtownie kiwnęłam brodą - które stoi o tam, w kącie...

...Niech odejdzie ode mnie jak najdalej, to może uda mi się...

- Bo tam stoją wytrawne wina, prawda?

- Deserowe.

- A, wszystko jedno. Może być deserowe.

- Proszę bardzo...

Nie zdążył jeszcze zrobić nawet trzech kroków, kiedy rozległ się dźwięk telefonu. Zobaczyłam, jak wsuwa rękę do kieszeni, wyjmując komórkę, przygląda się jej, po czym wzrusza ramionami.

To nie dzwonił jego telefon!

Nie jego, lecz mój!

To mogła być tylko Montezuma!

Zsunęłam się z baru i podpełzłam na czworakach do swoich rozłożonych na podłodze mokrych dżinsów. Wszystko się zgadzało: dźwięk dzwonka dochodził właśnie stamtąd. Wyciągnęłam telefon z kieszeni, wcisnęłam guzik z zieloną słuchawką i przyłożyłam aparat do ucha.

- To ja! - usłyszałam bliski mi głos Monti. - Siedzisz?

- Tak... - dokładniej rzecz ujmując nie siedziałam, a leżałam.

- Wyciągnęłam wszystko z tej durnej dziewczuchy. Córki dyrektora. Wszystko mi wyśpiewała. Tego dnia rzeczywiście jechała windą z jakimś facetem. To nie był żaden cudzoziemiec. A dokładniej, już nie jest cudzoziemcem. Śniada cera. Z wąsami. Słyszysz?! Z wąsami! I złotym zębem!

„Casa Mare” zawirowała mi przed oczami. Nie mam co liczyć na jakąkolwiek pomoc. Jestem zdana tylko na siebie. Każda butelka wina, każdy zalakowany korek stanie po jego stronie. Po stronie mordercy - Aurela Czorbu.

- Wspominałaś kiedyś Mołdawianina, pamiętasz? Sądzę, że to on...

- Też tak myślę - odpowiedziałam odruchowo, nie odrywając wzroku od potylicy Aurela Czorbu, który pochylał się nad winem.

- Tak? - powiedziała Montezuma obrażonym tonem. - Nie możesz tak myśleć. To ja...

- Monti - wyszeptalam gorączkowo, przysuwając wargi jak najbliżej słuchawki. - Hiena jest w pobliżu?

- Nie mam pojęcia. Chyba udało mi się go zgubić... Tak, zdaje się, że go wykiwałam.

- Znajdź go i przyjedźcie... Na Wasiliewską... Do galerii win „Casa Mare”... Tylko błagam, jak najszybciej!

Po tych słowach się rozłączyłam.

A Aurel Czorbu pałętał się już przy mnie z butelką deserowego „Gratieszty”.

- Zaprosiłaś kogoś do nas? - zapytał.

- Nie - skłamałam i szczerzej opatuliliam się w koc.

- Jeśli jednak kogoś zaprosiłaś, to na próżno. I tak nikomu nie otworzę. Sam wybieram sobie gości. Wybacz, ale dzisiaj to ty jesteś moim gościem. Jedynym gościem. I tak już zostanie.

Nie, muszę stąd uciekać. Spojrzałam Czorbu prosto w twarz. A potem przeniosłam spojrzenie na...

Na tył jego głowy.

Na tył jego głowy z małym warkoczykiem. Już go kiedyś gdzieś widziałam. Tak samo jak nóż. Przypomnienie sobie, gdzie i kiedy się z nim zetknęłam, nie zabrało mi dużo czasu.

Tak! Zdjęcie z imprezy.

Filip Kodrin w lewym górnym rogu.

I gość z kitką pośrodku - sfotografowany od tyłu. Tak. To był Aurel Czorbu.

Tyle że teraz zamiast kitki miał warkoczyk. Fotografia nabrała zupełnie innego sensu. Teraz było już jasne, kogo tak naprawdę przestraszył się Filip Kodrin. On nie znał Teo Lhermitte'a i to nie jego się bał. Nie. W rzeczywistości przestraszył się Aurela.

W przeciwieństwie do mnie Fila nie widział tam znawcy sztuki.

On widział Mołdawianina!

Na zdjęciu Aurel stał tyłem do obiektywu, a tym samym był zwrócony twarzą do Kodrina. I Filip nie mógł o tym zapomnieć... Boże, skąd dzwoniła Monti? Mam nadzieję, że od siebie z domu... W takim przypadku powinna się tu zjawić lada moment. Od Bolszego Prospiektu do Średniego - rzut beretem. Jeśli jednak nie z domu... Albo nie może znaleźć Lemieszonka, bo ten zaszył się gdzieś w poszukiwaniu kolejnego kryminalnego obiektu do gnębienia?

- Co z tobą? - nie dawał mi spokoju.

- Niedobrze mi... - wymamrotałam. - Muszę iść do domu.

- Nie - powiedział śpiwnie. Jego głos był podejrzanie lekki. - Nigdzie nie pójdziesz!

- Dlaczego?

- Bo pada.

- „A deszcz zmywa wszelkie ślady” - chlapnęłam pierwsze, co mi przyszło do głowy. Tak nazywał się film, uznany przez sentymentalne czytelniczki „Relaksu dla Ciebie” za najlepszy w ostatnim trzydziestoleciu.

- Tak? - Aurel był wyraźnie rozweselony.

- To tylko tytuł filmu.

- A jednak brzmi prawdziwie. Tak życiowo...

Rozejrzałam się bezradnie wokół siebie. Nóż leżał na barze. Jeśli Aurelowi Czorbu strzeli do głowy, żeby się nim posłużyć, nie będę miała żadnych szans.

- Coś mi się nie podobasz... Jakoś niewyraźnie wyglądasz - powiedział, nie odrywając ode mnie wzroku.

A jak ty mi się nie podobasz!

Cały jego urok wyparował bez śladu. Teraz widziałam przed sobą wprawnego mordercę. Z nożem zatkniętym za cholewkę.

- Tak? - uchwyciłam się tej myśli. - To co, ja jednak już pójdę. Tak będzie lepiej.

- Nie - uciał Aurel. - Nie. Deszcz.

Perspektywa bieganina na golasa po galerii win wcale mi się nie uśmiechała. Gdy usiłowałam wymyślić najlepszy sposób wydostania się z „Casa Mare”, nagle ktoś mocno zapukał do drzwi.

Nareszcie! Monti! Dzięki Bogu!

Skoczyłam na równe nogi, jednak Aurel był szybszy. Zręcznie mnie ominął i pierwszy znalazł się przy drzwiach.

Za nimi stał Rejno.

Cudowny. Wspaniały. Najlepszy na świecie Rejno.

- Zamknięte - powiedział Aurel przez drzwi.

- Przecież wisi tabliczka „OPEN” - głos detektywa, tłumiony przez szkło, brzmiał w moich uszach jak boska muzyka. - Skoro wisi, to znaczy, że jest otwarte i można wejść. Przynajmniej tak jest we wszystkich cywilizowanych krajach.

- Rejno! - krzyknęłam zza ramienia Czorbu. - Rejno, jestem tutaj!

Wczepiłam się palcami w łokieć Mołdawianina.

- Niech pan otworzy. Niech pan otworzy albo wybiję szybę.

- Myliłem się co do ciebie. Coraz bardziej mi się podobasz - powiedział, po czym otworzył drzwi.

Rejno wszedł do „Casa Mare” i uważnie się rozejrzał. Był całkowicie suchy, mimo że na dworze wciąż lało jak z cebra. Nic dziwnego, Estońscy nawet z deszczu wyjdą obronną ręką.

- On jest mordercą! - krzyknęłam, odbiegając w stronę baru. - On jest mordercą i ma nóż!

Rejno pociągnął nosem, a Aurel roześmiał się i spojrzał na mnie.

- Niech się pani uspokoi, pani Warwaro - detektyw nie wyglądał na zdziwionego ani moją obecnością tutaj, ani ekstrawaganckim strojem.

- Warwara? - Czorbu odwrócił się w moją stronę. - A nie Rimma?

- Nie - potwierdził Rejno. - Warwara.

- I dzięki Bogu - ucieszył się Mołdawianin. - Warwara bardziej do ciebie pasuje.

Rejno przespacerował się po galerii, po czym przyjrzał się uważnie Aurelowi.

- Pan Aurel Czorbu?

- Tak, to Aurel Czorbu - pośpieszyłam z odpowiedzią. - Morderca - Aurel Czorbu! Widziano go w domu Stasa. A nóż...

- Ani słowa! - krzyknął Rejno, po czym ponownie zwrócił się do Aurela: - Pan to Aurel Czorbu, producent i sprzedawca win oraz kolekcjoner białej broni?

- Powiedzmy. A ja z kim mam przyjemność?

- Reino Uuskula. Obywatel Republiki Estońskiej. Prywatny detektyw.

- No, no - Aurel dobrze się bawił. - I czego pan ode mnie chce, obywatelu Republiki Estońskiej?

- Czy to pańska własność?

Rejno, mój cudowny, wspaniały, najlepszy na świecie Rejno, wyciągnął wadżrę. W jej rękojeści nadal mienił się diament. Czy on naprawdę zamierza przekazać go mordercy? Chce oddać dowód rzeczowy?

Zamierzał.

Aurel wziął nóż do ręki i przez chwilę go oglądał.

- Gdyby nie ten dziwaczny kamień, powiedziałbym, że mój.

- Kamień łatwo można wyjąć. Proszę sobie wyobrazić, że go tam nie ma.

- Ale on tam jest.

- Proszę sobie wyobrazić, że go nie ma. Co było w miejscu tego kamyka? W pana nożu.

- Nie pamiętam dokładnie. Głowa jakiegoś bożka.

- Zgadza się - Rejno spojrział na mnie znacząco. - Kiedy panu zginął?

- Mam ich tyle, że... Nawet wszystkich nie pamiętam... Chyba jakiś rok temu. Napije się pan koniaku?

- Nie. A w jakich okolicznościach go pan zgubił?
 - Nie zgubiłem go. Tylko... Oddałem do ekspertyzy chłopakowi z Ermitażu. Już wcześniej kilkakrotnie wyceniał moje noże.
 - I co się potem wydarzyło?
 - Powiedział mi, że pracował na dachy... I że go tam okradli.
 - I pan w to uwierzył?
 - Uwierzyłem. Ten chłopak nigdy wcześniej mnie nie oszukał. Później przywiózł mi w ramach rekompensaty inny nóż. Podobny do tego. Nawet jeszcze ładniejszy. Tylko bez kamyka...
 - Jak się nazywa ten chłopak?
 - Kodrin. Filip Kodrin. A co?
 - Możliwe, że kamień, który pan widzi, to ogromny diament.
- Aurel podrzucił nóż na ręce i wadźra wykonała w powietrzu zadziwiający piruet, podobny do machnięcia pędzlem. Takim pędzlem można byłoby narysować dowolny obraz.
- „Nóż w obłokach” - ten właśnie chwyt ćwiczyłam dzisiaj w kuchni. Tylko bez noża.
- Bez kamienia był ładniejszy... - powiedział w zamyśleniu Czorbu. - Kamienie niszczą noże. I nie tylko noże...
 - Niech pan zadzwoni do Filipa Kodrina.
 - Po co?
 - Niech pan zadzwoni i zaprosi go do hotelu. Proszę mu powiedzieć, że chce mu pan dać kolejną rzecz do ekspertyzy.
 - Ale ja nie mam niczego do ekspertyzy.
 - Myli się pan - Rejno ruchem głowy wskazał wadźrę. - To jest pańska własność.
 - A czy to naprawdę konieczne? Szczerze mówiąc, wołałbym napić się wina z dziewczyną. I nigdzie się stąd nie ruszać.
 - Dziewczyna zaraz się ubierze i pojedzie z nami. Od tego zależy jej życie. Pańskie również, w pewnym stopniu.
 - Moje życie od niczego nie zależy. Tylko od Boga i od wina...
- Przyjrzałam mu się uważniej. Jak mogłam pomyśleć, że ten szlachetny człowiek jest bezwzględny mordercą? Ale Monti przecież...
- Monti powiedziała, że Aurela widziano w domu Stasa Driemowa...
- Czyli to nie on jest mordercą? - zapytałam.

- Obawiam się, że nie. Ale niech się pani nie martwi. Morderców już znalazłem. Co najmniej dwóch. Pan Aurel Czorbu na pewno nimi nie jest. Dlaczego wy, Rosjanie, uwielbiacie wszystkich z góry szufladkować?

* * *

W opłu, do którego wszyscy się wpakowaliśmy, czuć było intensywny zapach jakiejś wody kolońskiej. Również od Rejno rozniósł się ten mdlący zapach. Gdzieś już go spotkałam.

- Co to za woń? - Aurel Czorbu jakby czytał w moich myślach.

- To „Hugo Boss”. Dosyć droga woda kolońska. Mnie się podoba.

- A naszej pani? - zapytał Czorbu.

- Naszej pani - nie - odpowiedziałam.

- No i co z tego? - odrzekł. - Kiedy Filip ma się pojawić w hotelu?

- Za godzinę. Powiedziałem mu, że sprawa jest pilna. Ale nie myślę, żeby...

- Wy, Rosjanie, nigdy nie myślicie... - rozpoczął Rejno, jednak natychmiast mu przerwałam radosnym głosem:

- Rejno, kochaniutki, on nie jest Rosjaninem, tylko Mołdawianinem.

- Jeden diabeł - odparł równie radośnie. - Wy, Rosjanie, odebraliście zniewolonym narodom zdolność prawidłowego myślenia...

- Naprawdę jest taki głupi, czy tylko udaje? - zapytał mnie Aurel.

- To patriota - wyjaśniłam.

Następne dwie godziny przeleciały jak we śnie. Dowodził Rejno a Aurel dzielnie go wspierał. Do naszej trójki dołączył zakochany w kryminałach barman Andron Czulałki. Wszystko wskazywało na to, że plany Rejno w stosunku do Filipa Kodrina kardynalnie się zmieniły. Kiedy ten wreszcie przyjechał, powitała go wesoła piątka: ja (Filip z miejsca rozpoznał we mnie przeciwniczkę mężczyzn - Rimmę Karpuchową), Rejno, Aurel, Andron Czulałki i niezawodny Ilja Slipecow (był o dziwo sam, bez swoich wiernych laleczek).

Razem z odludkiem Filą było nas sześcioro.

Cóż za zadziwiający zbieg okoliczności. Tej nocy, gdy zabito Olewa, w hotelu odbywało się przyjęcie, na którym obecnych było sześć osób. Tak jak dziś. Tylko skład był trochę inny: Teo Lhermitte już dawno opuścił hotel, a Günther Knoblauch - wczoraj wieczorem. Kalu Kullemaie natomiast po prostu nam nie otworzył. Wszystko wiedzący Andron

poinformował nas, że rzecznik prasowy wiolonczelisty powinien opuścić hotel jutro rano.

Po tym, jak zebrani opróżnili dwie butelki koniaku, Rejno poprosił Aurela Czorbu, żeby pokazał mu sławny trik „wyłączenie kamery wideo”, o którym tyle ode mnie słyszał. Rozdzieliliśmy się na dwie grupy (w zupełnie dowolnym porządku). Jedna grupa (na czele z Czorbem) wyszła na zewnątrz, druga zaś (na czele z Rejno) skupiła się w holu.

Kiedy operacja została pomyślnie zakończona, udaliśmy się do baru na koniak „Bukuria”, zafundowany przez Aurela. Po drodze opuścił nas Ilja Slipecow: dorwała go kolejna fanka.

Czy to pod wpływem koniaku, czy też poczucia solidarności, które odczuwają względem siebie wszystkie nieliczne narody, Rejno i Aurel bardzo szybko się zaprzyjaźnili. W pewnym momencie poczułam nawet lekkie ukłucie zazdrości.

- Podobno jest pan prywatnym detektywem? - zapytał Aurel, dolewając Estończykowi zdradzieckiego koniaku.

- Podobno...

- I prowadzi pan jakieś śledztwo?

- Jakież... Mogę opowiedzieć panu o pewnym morderstwie - Rejno podniósł kieliszek z „Bukurią” i obejrzał ją pod światło. - Albo od razu o trzech. Ale to będzie długa historia.

- Niech pan opowie o trzech - amator powieści kryminalnych Andron Czulański zadrżał z niecierpliwości. A jakże, trzy morderstwa! Taka gratka nie zdarza się często.

- O trzech morderstwach i o trzech mordercach. Dwa z nich były przypadkowe, a trzecie - perfekcyjnie zaplanowane, ale beznadziejnie przeprowadzone.

Filip Kodrin przewrócił swój kieliszek i wszyscy odwrócili się w jego stronę. Ja również (o, niezapomniany Francuz - Patrick Dewaere ⁶¹, który w tak młodym wieku odszedł z tego świata!). Nagle poczułam słaby zapach wody kolońskiej „Hugo Boss”, dochodzący od czubka jego głowy...

⁶¹ Patrick Dewaere - właśc. Jean-Marie Patrick Bourdeau (ur. 1947 - zm. śmiercią samobójczą w 1982) - francuski aktor i kompozytor (przyp. tłum.).

- Nie będę zdradzać imion bohaterów historii, którą opowiem - wyglądało na to, że na Rejno spłynęło natchnienie. - Jednak sądzę, że wszyscy

docenią zadziwiającą osobliwość losu. Albo, jeśli wolicie, przeznaczenia.

- Niech pan przejdzie do meritum! - zawołał Andron Czułaki. - Tylko bez lirycznych dygresji.

Rejno znacząco na mnie spojrział i mrugnął porozumiewawczo. Zrozumiałam, że zaraz opowie nie abstrakcyjną, lecz całkowicie realną historię.

Historię, która ostatnio spędzała mi sen z powiek. Historię Olewa Kiwi. I jego żony. Tylko ja byłam zorientowana we wszystkich wydarzeniach. A Rejno - Rejno uczciwie pracował na swoje wynagrodzenie.

- Zaczniemy od tego, że w świecie muzyki przez długi czas był znany pewien... Powiedzmy... Wiolonczelista. Rzeczywiście był znakomitym artystą. A poza tym świetnym biznesmenem. Jeździł po całym świecie i skupował klejnoty. Szczególnie upodobał sobie Azję Południowo-Wschodnią. Miał dobrze zorganizowany kanał dostawy rubinów z Birmy.

- Skąd pan to wie? - nie wytrzymałam.

- Otrzymałam tę informację od jubilera, z którym przez długie lata współpracował - Rejno z wyrzutem pokiwał głową. „Proszę o więcej cierpliwości, pani Warwaro! I niech pani uruchomi szare komórki: przecież sama mi pani wręczyła kwit z gryzmołami LI. Schamne, który jest właścicielem sklepu z antykami” - przeczytałam w jego spojrzeniu.

- Oprócz tego zajmował się ich podrabianiem. A to jest, tak między nami, bardzo dochodowy interes. Ten... Wiolonczelista... nigdy nie popełniał błędów. Albo prawie nigdy. Albo, powiedzmy tak, popełnił błąd tylko raz w swoim życiu. Kiedy ożenił się z miłą rosyjską dziewczyną o imieniu... Alika.

Filip gwałtownie uniósł głowę. I niewyraźnie się uśmiechnął. - Jakie dziwne imię...

- Imiona bywają różne - powiedział Rejno z uśmiechem. - Ale fakt pozostaje faktem: Wiolonczelista szalenie zakochał się w Alice. Do tego stopnia, że zapisał jej w testamencie cały swój majątek. I tym samym wydał na siebie wyrok śmierci.

- Wyrok śmierci? - teraz ja się speszyłam. Niezły zwrot akcji!

- Sęk w tym, że jeszcze przed pojawieniem się Wiolonczelisty Alika miała kochanka. Ich związek trwał przez wiele lat. Kochanek miał na imię...

- Igor! - nie wytrzymałam i nerwowo zakaszłam.
- Dlaczego Igor?! - oburzył się Filip. - Dlaczego akurat Igor?!
- Ot, tak... - spojrzałam na Rejno, szukając u niego wsparcia. - To ładne imię. Mnie się podoba.

- Dlaczego akurat Igor?! - Filip nie mógł się uspokoić.
- Niech będzie tak, jak powiedziała dama. Alika miała kochanka - Igora. Poza tym był jeszcze brat i żona brata. Żeby było wygodniej opowiadać nazwijmy ich... - tu Rejno zrobił znaczącą pauzę, której długości nie powstydziliby się sam Stanisławski.

Jako jedna z tallińskich prostytutek, często wykorzystywałam to dla podkreślenia wzbierających w człowieku emocji.

- Nazwiemy ich... - Rejno najwyraźniej się rozkręcał. - Przystojniakiem i Niewidomą.

„Przystojniak” Filipa nie ruszył, natomiast na dźwięk słowa „Niewidoma” zaczęły mu drżeć wargi.

- Dlaczego - Niewidoma? - odezwał się niespodziewanie barman.

- Ponieważ żona Przystojniaka była niewidoma. Całkowicie niewidoma. Straciła wzrok wiele lat temu. Odwarstwienie siatkówki. Nikt nie był w stanie jej pomóc...

Natychmiast obiecałam sobie, że nie będę patrzeć na Filipa Kodrina. Przynajmniej do czasu, aż Rejno nie skończy swojego opowiadania.

- Cała czwórka pozostawała ze sobą w miłosno-rodzinnych stosunkach. Kobiety były powierniczkami, mężczyźni - dobrymi przyjaciółmi. A potem pojawił się Wiolonczelista i Alika nie mogła mu się oprzeć. Przeżyła z nim... a raczej z jego majątkiem, sławą i klejnotami, trzy lata. Jednak nie da się spać z biżuterią, prawda? Spać można tylko z kimś, kogo się kocha. Z człowiekiem. Dlatego po pewnym czasie Alika wróciła do byłego kochanka. Jednak nie zamierzała się rozwodzić z Wiolonczelistą, gdyż w takim przypadku zostałaby bez grosza przy duszy. Dlatego postanowiła sprzątnąć maestra-milionera.

- Nie! - Filip poderwał się, ale natychmiast bezsilnie opadł z powrotem na taceczan.

- Tak - Rejno był nieugięty. - Tak. Razem ze swoim kochankiem postanowili sprzątnąć Wiolonczelistę. Udało mi się zdobyć jej listy do ukochanego. Pisała w nich o planowanym morderstwie z najdrobniejszymi

szczegółami. Czytając je, nie trzeba się niczego domyślać, nie trzeba nawet czytać pomiędzy wierszami.

- Ale przecież to ona została zabita! - zawołał drżącym głosem Filip.

- To był przypadek. Fatalny przypadek. Alika i Igor obmyślali swój plan przez pół roku. Przyszedł im (a raczej jej, gdyż to Alika była mózgiem całej operacji) do głowy genialny pomysł - wykorzystać ślepą żonę Przystojniaka. Ślepą w dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż jak już mówiłem wcześniej, ona była niewidoma. Nie widziała od wielu lat, dlatego nauczyła się korzystać z innych zmysłów. Między innymi doskonale wyczuwała zapachy. Ale, ponieważ nie była ślepa od urodzenia, wychwytywała tylko te najmocniejsze, najintensywniejsze. Ostry zapach był dla niej doskonałą, często jedyną wskazówką. A ulubioną wodą kolońską jej męża był „Hugo Boss”...

- A co tu ma do rzeczy woda kolońska? - Andron pożerał Rejno wzrokiem.

- Alika postanowiła ją wykorzystać w celu zmylenia niewidomej kobiety. Żeby to osiągnąć, trzeba było jednak nakłonić Wiolonczelistę, aby zaczął używać tej samej wody kolońskiej. Ta część planu okazała się niewypałem. Maestro miał inny gust i używał tylko i wyłącznie „Byblos”. Nie dał się namówić do zmiany upodobań. Dlatego Igor podarował Przystojniakowi na urodziny „Byblos”. Jak się mówi: nie przyszła góra do Mahometa... Para Przystojniak i Niewidoma nie mieli pojęcia o perfumeryjnych upodobaniach swojego bogatego krewnego. Nie pałał do nich szczególną sympatią i nie zaszczycał ich zbyt często swoją obecnością. Spiskowcy nie musieli się obawiać, że zostaną zdemaskowani. A teraz kilka słów o koncertujących artystach. Mają bardzo sztywny grafik. Występy są zaplanowane na rok do przodu. Alika wiedziała, że w czerwcu Wiolonczelista będzie występował w Moskwie.

- Jakim czerwcu? - barman po raz kolejny przerwał opowiadanie.

- W czerwcu zeszłego roku. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, którego dokonano rok temu. A zatem Alika wiedziała, że w czerwcu Wiolonczelista będzie występował w Moskwie. I umówiła się z nim na potajemną randkę.

- Z kim? - teraz to ja nie wytrzymałam.

- Ze swoim bogatym, zakochanym mężem.

- Po co mieliby się umawiać na randkę? Przecież byli małżeństwem...

- Dla Wiolonczelisty to było bardzo ważne. Szalenie kochał swoją żonę i oczekiwał równie szalonej i zwariowanej miłości. A co może być bardziej szalonego od randki z ukochaną kobietą.... jeśli trzeba całą dobę nie spać i pędzić samochodem siedemset kilometrów. Wiolonczelista miał „okienko” w występach, więc bez najmniejszych oporów na to przystał.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ona wyznaczyła spotkanie swojemu mężowi? - dopiero teraz zaczął do mnie docierać sens listów Ałły Kodriny.

- Tak. Potajemne spotkanie. Jednak nie po to, żeby oddać się z nim namiętej miłości. Lecz po to, aby go zabić. Zabić rękami żony Przystojniaka.

Słyszałam przerywany oddech Filipa. Usiłował zapanować nad emocjami.

- Ale... przecież sam pan powiedział, że... że te dwie kobiety... były powierniczkami... Bliskimi przyjaciółkami. Bardzo bliskimi - dodał od siebie Filip.

- Co znaczy przyjaźń, nawet bardzo bliska, jeśli w grę wchodzi miliony dolarów? Igor znał Niewidomą. Doskonale wiedział, jak bardzo jest zazdrosna o swojego męża, dlatego wysyłał do niej telegramy... O tym, że Przystojniak... Delikatnie rzecz ujmując, nie jest jej do końca wierny. Było ich kilka, akurat niedługo przed przyjazdem Wiolonczelisty na występy gościnne do Moskwy.

- Co za brednie - Andron Czułaki po raz kolejny zaszokował mnie swoim zdrowym rozsądkiem. - Jak można posyłać telegramy niewidomej kobiecie?

- Niewidoma kobieta miała gosposię, która przychodziła do niej w dni powszednie przed południem. To ona je przyjmowała i czytała żonie Przystojniaka. Telegramy przychodziły zawsze w ciągu dnia i zawsze w dni powszednie.

- A co nastąpiło potem? - patrzyłam na Rejno jak urzeczona.

- Alika umawia się z dwoma mężczyznami naraz. Wiolonczelistę prosi, żeby przyjechał do niedużej wioski pod Sankt Petersburgiem, do domu jej zmarłych rodziców. A Igorowi każe nie spuszczać z oczu Niewidomej i czekać na wiadomość. Alika przylatuje do Sankt Petersburga i spotyka się z kochankiem w mieście. Nie zostawia niczego przypadkowi.

Przystojniaka się najpierw pozbyła. Tego dnia wezwano go poza miasto. Miał przeprowadzić ekspertyzę jakichś przedmiotów i otrzymać za nią przyzwoitą sumę.

- Może do Wyborga? - wymamrotał Filip. Nie wierzyłam własnym uszom: włączył się do gry! - To daleko. Na dotarcie tam potrzebny jest cały dzień.

- Niech będzie Wyborg - łaskawie zgodził się Rejno. - A potem został wykonany pewien telefon. Do żony Przystojniaka. Zadzwoiła do niej jakaś kobieta i oznajmiła, że Przystojniak zabawia się na daczce z kochanką. I że wcale nie ma żadnej sprawy do załatwienia w Wyborgu. Niewidoma miała tylko jedno wyjście - pojechać na daczę i przyłapać męża na gorącym uczynku. Zadzwoiła do ich wspólnego znajomego. Nie miała wielu przyjaciół i w zasadzie wiadomo było, że o pomoc zwróci się właśnie do Igora. Na to liczyła Alika i miała rację.

Kobieta opowiedziała o dziwnym telefonie. Igor zgodził się jej pomóc. Oczywiście wszystko było z góry zaplanowane. Wiedział przecież, że na daczce czeka już na niego ukochana kobieta. I że powinien ją ubezpieczać. I nie spuszczać oczu z Niewidomej. I w razie, gdyby zachowała się inaczej, niż to zakładała Alika, pomóc wypełnić jej plan. Igor zawiózł Niewidomą. Jednak nie odjechał. Czekał na dole, na werandzie. A zazdrosna żona Przystojniaka udała się w kierunku, skąd roznosił się zapach wody kolońskiej. Tej samej, którą jej mąż dostał w prezencie. I której używał już od miesiąca. Wszystko było przygotowane do przedstawienia. Pomieszczenie zostało skropione „Byblos”.

Natychmiast przypomniałam sobie zgniecione opakowanie w wiadrze z trocinami.

- A na górce, na piętrze, Alika oddawała się namiętnej miłości z Wionczelistą. A na dole w kuchni czekała wysunięta szuflada z nożami.

I Niewidoma postąpiła tak, jak przypuszczała jej najbliższa przyjaciółka. Z zazdrości wpadła w szal i chwyciła nóż. Tyle, że nie z kuchni, tylko z warsztatu. Tam właśnie Przystojniak zwykle przechowywał mniej ważne przedmioty, które przyjmował do ekspertyzy. O, proszę, to ten nóż...

I Rejno efektownym gestem rzucił wadźrę na stół przed Filipem. Ten nawet nie mrugnął.

- Na krótko przed tymi wydarzeniami pewien mężczyzna, dla którego Przystojniak już wcześniej przeprowadzał kilka ekspertyz, poprosił o

dokonanie kolejnej. Chodziło o nóż. Ten, który tu leży. I żona Przystojniaka wzięła właśnie ten nóż. I weszła na górę. Zbliżyła się do łóżka. I tu miał miejsce fatalny przypadek. A wszystko przez Wiolonczelistę. W ostatnim momencie w porywie namiętności przewrócił Alikę, a sam znalazł się pod nią... Cios, który był przeznaczony dla niego, dosięgnął głowy Aliki. Żona Przystojniaka zabiła siostrę Przystojniaka. W świetle prawa jest to traktowane jako zabójstwo w afekcie...

Filip podniósł oczy na Rejno - swojego kata. Jego idealna twarz rozsypała się w proch, momentalnie się postarzała i stała się raptem taka wściekła, a jednocześnie pełna rozpacz, że omal się nie udusiłam. Jeśli bóstwo kiedykolwiek ukazywało światu swoje prawdziwe oblicze, to musiało ono tak właśnie wyglądać.

- Kiwi... Czyli z Ałłą był Kiwi... Mój Boże... - Filip kołysał się z boku na bok. - Nie... Dlaczego robi pan z niej krwiożerczą morderczynię... Janeczka jest delikatną istotą...

- Co pan opowiada, panie Filipie... - Rejno popatrzył na Kodrina ze współczuciem. - Przecież już kilkakrotnie rzucała się na pana z nożem. Dowiedziałem się o tym z pewnych źródeł.

W tym momencie Filip nie wytrzymał. Jego usta zniekształciły się i zaczął krzyczeć - najbardziej przeraźliwym szeptem, jaki tylko można sobie wyobrazić:

- To kłamstwo. Wszystko, co pan teraz opowiedział, to wierutne kłamstwo! Odpowie pan za to! Ja... Pociągnę pana do odpowiedzialności... Ja...

- Byłem u pańskiej żony. Na początku wzięła mnie za pana. Na ułamek sekundy. Przez zapach. Byłem skropiony taką samą wodą, jakiej pan używa. Nie odzywałem się zbyt wiele. Powiedziałem zaledwie kilka słów. Nie otworzyła mi. Szczerze mówiąc, myślę, że pańska żona jest jedynie ofiarą... Jedynie ofiarą...

Filip już nie słuchał. Wstał, przewrócił kieliszek i wyszedł, powłócząc nogami. Patrząc na jego zgarbione plecy, zaczęłam płakać.

- A muzyk? - Andron Czulaki nie tracił czasu na sentymenty. - Też go zabiła?

- Nie. Muzyk pozostał wśród żywych. Tym razem. Teraz mogę już ujawnić jego prawdziwe imię.

- To ten, którego stuknęli w zeszłym tygodniu - barman chytrze zmrużył oczy. - Olew Kiwi.

- Zgadza się.

- A co było dalej? - zapytałam.

Gdyby nasze oczy, moje i barmana, były w stanie ciskać gromami, Rejno już dawno padłby trupem, podziurawiony na wylot. Jedyne Aurel niewzruszenie popijał koniak.

- Nóż. Cała rzecz w nożu. Kiedy Filip brał go do ekspertyzy, nie było mowy o żadnym kamieniu. Kiedy jednak ostrze zagłębiło się w potylicy Ałły... Pani już się orientuje w działaniu tego mechanizmu, pani Warwaro. Prawdopodobnie po zadaniu śmiertelnego ciosu Jana Soszalska na pewien czas straciła przytomność. Olew Kiwi został sam na sam z trupem, nieprzytomną kobietą i kamieniem. A przecież przez całe życie miał do czynienia z kamieniami. Zdawał sobie sprawę, że diament w rękocyści jest bajecznie drogi.

- I? - zapytaliśmy równocześnie z Andronem.

- I postanowił zabrać ten diament. A dokładniej - uciec z nim z miejsca przestępstwa. Strasznie kochał swoją żonę, jednak kamienie... Kamienie miały nad nim mistyczną władzę. I skoro żony i tak już nie można było przywrócić do życia, to kamień... Kamień można było sobie przywłaszczyć.

- Gadzina! - wypuściłam powietrze, zapomniawszy kompletnie, że jeszcze parę dni temu zrobiłam to samo.

- Ależ... pani Warwaro! - przystopował mnie Rejno. - Przyganiał kociół garnkowi! A poza tym, myślę, że Olew również działał w afekcie. Nie potrzebował zbyt wiele czasu, żeby usunąć odciski palców i zatrzeć ślady swojej obecności w domu...

- Niezłe działanie w afekcie!

- I wydostać się stamtąd. I wrócić do Moskwy. Mógł, rzecz jasna, zostać i wezwać milicję i wydać niewidomego mordercę... Wtedy jednak musiałby się pożegnać z diamentem. A tego Olew nie chciał. To było ponad jego siły. Dlatego odjechał, zostawiając wszystko tak jak było.

- A Niewidoma? - zapytał Andron.

- Odzyskała przytomność dopiero, kiedy w domu pojawił się Igor. Kochanek Ałły. Widział Olewa, kiedy ten opuszczał dom. I w mig zorientował się, że plan nie wypalił. Że coś poszło nie tak. Wszystko stało się jasne, kiedy wszedł na górę. I wysłuchał chaotycznych wyjaśnień tracącej

zmysły niewidomej kobiety. Mózgiem całej operacji była Ała. Bez niej Igor okazał się bezradny. Nie miał pojęcia, co dalej robić. Ale jako jedyny wiedział, kto był z Ałą na dacy. Odwiózł Janę do miasta. Potem przyjechał Filip. Żona wszystko mu opowiedziała. Po krótkiej naradzie cała trójka stwierdziła, że co się stało, już się nie odstanie. Jedyne, co można zrobić, to postarać się uratować skórę Janie.

- I kochanek Ały na to poszedł? - coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu o braku lojalności mężczyzn.

- Nic innego mu nie pozostawało - powiedział Rejno. - Bał się, że jeśli zaczną kopać, to przypadkowo może wyjść na jaw nie tylko jego wieloletni związek z Ałą Kodriną, ale również operacja, którą zaplanowali. Najprawdopodobniej cała trójka zawarła coś w rodzaju porozumienia. Ani Filip, ani Jana nigdzie nie wspominają o Igorze. A ten, ze swej strony, milczy o wydarzeniach na dacy.

- Niezła historia. I niezłe morderstwo - wtrącił barman, do tej pory z zapiętym tchem słuchający opowiadania. - Ale zeszłoroczne. A zeszłoroczne morderstwa są tak samo interesujące, jak zeszłoroczny śnieg. I nie naświetlają sprawy zabójstwa Wiolonczelisty. Kto go w końcu zabił? Były kochanek żony, czy jak?

- Igor Piestieriew - powiedział dobitnie Rejno. - Igor Piestieriew jest mordercą...

- Wiedziałam! - wypuściłam powietrze.

- ...ale nie Wiolonczelisty.

- Jak to - nie Wiolonczelisty?

- A tak to. Igor rzeczywiście zabił. Zabił pani hmm... przyjaciela.

- Stasa?!

- Tak, Stasa. W dodatku sądzę, że to również było przypadkowe zabójstwo. Wiadomo, że tylko Igor wiedział, kto znajdował się na dacy z Ałą. I wiedział o gigantycznym majątku Olewa. Ale operacja „otrzymaj spadek” skończyła się fiaskiem. Igor stracił kochankę i został sam. Nie był zdolny do wymyślnych kombinacji, dlatego zdecydował się na zwykły szantaż. Sądził, że Olew Kiwi może mu odpalić pewną sumę za milczenie. To było znacznie rozsądniejsze niż szantażowanie naiwnych Kodrinów. Począł, aż Kiwi pojawi się w Rosji. I kiedy się dowiedział, że ten przyjeżdża, poprosił o pomoc przyjaciela - Stasa Driemowa. Ten miał dokładnie wybadać artystę i przygotować grunt.

- Co za brednie pan wygaduje!?! - krzyknęłam. - Skąd jakiś ochroniarz mógł znać Stasa?

- Jeszcze o tym nie wspomniałem? - Estończyk czarująco się uśmiechnął. - Firma ochroniarska „Lokis”, w której pracuje Piestieriew, zawarła umowę na ochronę mienia z „Ładoga Trade Company”.

„Ładoga Trade Company”- właściciel podziemnego garażu, przylegającego do domu Stasa na Suworowskiej!

- Na pewno Igor Piestieriew dokładnie wyjaśni odpowiednim władzom, w jaki sposób poznał Driemowa. Ale w sumie to nie ma już teraz większego znaczenia. Ważne, że przekazał Driemowi fotografię Ałły i jej pierścionek, który dali mu Kodrinowie w zamian za milczenie. Zresztą myślę, że dostał od nich znacznie więcej... Nie wiem, komu przyszedł do głowy pomysł wykorzystania sobowtóra Ałły... Może pani przyjacielowi. Piestieriew był zbyt głupi na takie sprytnie posunięcia... Najprawdopodobniej zamierzali naciągnąć muzyka na większą sumę. Niestety, nic z tego nie wyszło, ponieważ zanim doszło do decydującej rozmowy, ktoś zamordował Wiolonczelistę. O tym smutnym fakcie zawiadomił Piestieriewa jego przyjaciel - Nowak.

Nowak, Nowak... Zdaje się, że już gdzieś pojawiło się to nazwisko.

- Nasz Tolik Nowak? - Andron był niezmiernie zdziwiony. - Były ochroniarz?

- We własnej osobie. Oprócz tego opowiedział o dziewczynie, która zabiła Olewa Kiwi.

Instynktownie wcisnęłam głowę w ramiona.

- Dziewczynie, którą wynajął Stas. Piestieriew o tym wiedział. I pojechał na zwiady. Wszedł jak zwykle przez podziemny garaż. Najprawdopodobniej się pokłócili. Wszystko wskazuje na to, że zabił Stasa przez przypadek. Rana na skroni Driemowa jest bardzo charakterystyczna. Musiał uderzyć głową o marmurowy blat stołu...

- A tam ze stołem! - Androna obchodziło tylko jedno. - Niech pan wreszcie powie, kto zabił muzyka?!

- Udał wam się ten muzyk - po raz pierwszy Rejno nie wykazał solidarności z nieżyjącym współrodakiem.

- Jest coś do picia? - rozległo się za naszymi plecami. To wszedł do baru zaspány Kalu Kullemaie.

Andron z trudem przypomniał sobie o swoich obowiązkach, podskoczył do gościa i nalał mu koniaku. Do kieliszka po Filipie.

- A zatem ciekawi pana, kto zabił Olewa Kiwi? Powiem panu - Rejno zarzucił nogi na stół i jakoś dziwnie się rozluźnił. - Jedna z osób obecnych na koniakowej imprezie u pana Czorbu. Na imprezie odbywającej się w noc morderstwa.

- Też tam byłem - uśmiechnął się Kalu. - Dobrze, że się obudziłem. Nie przegapię najciekawszego.

- Nie, nie przegapisz - odpowiedział mu z takim samym uśmiechem Rejno i przeszedł na płynny estoński. Mówił tak szybko, że zrozumiałam zaledwie kilka słów: Schamne, kamień, kod, Czarska, kamera wideo...

Pod koniec tej tyrady Kalu zrobił się ze złości czerwony na twarzy, chlusnął koniakiem na buty Rejno i... I rzucił się w stronę wyjścia. I nadszedł się na Monti i efesbeczną hienę - Lemieszonka.

- Wiadomo już, kto jest mordercą? - krzyknął Rejno, zrywając się na równe nogi. - Brać go!

Słowo „brać” podziało na Lemieszonka niczym zakłęcie. Nie był już hieną. Był bulterierem. Natychmiast rzucił się do przodu. Na mnie! Po chwili leżałam na podłodze, skrępowana powrozami jego mięśni.

- Dureń!!! Nie ją!!! Jego! - Rejno usiłował go ode mnie odciągnąć.

A Montezuma, wierna, odważna Monti, rzuciła się na Kalu. Po chwili przyłączył się do niej Andron Czulałki.

Jednak ja nie widziałam, co się wokół mnie dzieje. Po policzkach spływały mi łzy. Łzy szczęścia. Byłam niewinna. Byłam wolna!

* * *

- Ale dlaczego Kalu? Dlaczego akurat on? - zapytałam Rejno, jednym haustem wypijając cały koniak. Siedziałam w niewinnych ojcowskich objęciach Aurela Czorbu.

- Przecież sama mi pani powiedziała, że Olew Kiwi znał Schamne. Jubiler dla niego pracował. Podrabiał klejnoty. Szlifował prawdziwe kamienie, które Kiwi szmugłował z Azji Południowo-Wschodniej. Kiedy w jego ręce trafił nóż z diamentem, od razu się zorientował, jaka jest jego rzeczywista wartość. I poinformował o nim Schamne.

- I co dalej?

- Ilarion Ilarionowicz oszalał na punkcie tego kamienia. Podobnie jak Kiwi, który powiedział mu o swoim odkryciu wyłącznie dlatego, że postanowił przepiłować diament na kilka mniejszych części. Jednak nie wyjawiał najważniejszej rzeczy. A mianowicie, gdzie dokładnie znajduje się kamień. Powiedział po prostu, że ma wartościowy diament - i tyle. O wiele cenniejszy i większy niż „Orłów ⁶²”. Albo „Victoria ⁶³”. I tu pojawia się Kalu Kullemiaie. Przez jakiś czas pracował z Schamne, był jego tallińskim partnerem. I Schamne, któremu nie dawała spokoju myśl o istnieniu tak drogocennego diamentu, postanawia wtajemniczyć go w sprawę. Ten przyjeżdża do Wiednia i szybko zatrudnia się jako sekretarz prasowy Olewa. Zaczyna szukać skarbu. Wie, że ten jest ukryty w sejfie, jednak nie zna do niego szyfru. I tu z pomocą przychodzi mu przebiegły Schamne.

⁶² Orłowy - jeden z największych i najpiękniejszych diamentów świata, posiada szlif rozetowy, waży 194.75 karatów. Umiejscowiony był w berle carów rosyjskich. Obecnie znajduje się w skarbcu diamentowym w Moskwie (przyp. tłum.).

⁶³ Victoria - diament znany również jako Imperial, Great White, Nizam (przyp. tłum.).

- Banknot z numerem! - wyrwało mi się. Koniak dobrze wpływał na moje szare komórki.

- Otóż to. Najprawdopodobniej Schamne domyślił się, że miłość do Ałły Kodriny nie mogła przejść bez echa. Założył, że Kiwi jako kod wybrał datę jej urodzin.

- A dlaczego nie śmierci?

Rejno popatrzył na mnie z wyrzutem.

- Dlaczego wy, Rosjanie, uznajecie tylko czarny humor?

- Przepraszam, że przerwałam. Niech pan kontynuuje.

- Dobrze. Schamne zadzwonił do współnika i powiedział mu o swoich przypuszczeniach. A Kalu zapisał go na tym, co miał w danej chwili pod ręką. Na banknocie. Zamierzał włamać się do sejfu, jednak wtedy miała miejsce cała ta afera z Poliną Czarską i próbą kradzieży klejnotów. Dzięki temu Kalu dowiedział się, że sejf jest pod stałą obserwacją. Naprzeciwko niego była zamontowana kamera wideo.

- Ale dlaczego Olew pozbył się Czarskiej?

- Ponieważ widziała nóż - Rejno ze zdenerwowania zaczął się drapać: „Dlaczego wy, Rosjanie, jesteście tacy niedomyślni?!”

- Nie widziała noża. Powiedziałyby mi o tym.

- Ale przecież powiedziała: „broń mnie nie interesuje”. A nóż to też broń... Zgodzi się pan ze mną, panie Czorbu?

- Nie mogę się z tym zgodzić - Aurel położył rękę na moim karku.

- Wy, Rosjanie...

- Mołdawianie - sprostowałam i Rejno z irytacją machnął ręką.

- Niech pan sobie nie przerywa. Proszę mówić dalej.

- Kiwi się wystraszył. Bał się, że Czarska zobaczyła w sejfie w tajnej skrytce nóż. Postanawia z nią zerwać. Cudowny diament jest dla niego najważniejszy. Oskarża aktorkę o kradzież koliai, która, tak na marginesie, była podróbką. I za pomocą szantażu szybko się jej pozbywa. Kalu ma związane ręce. Nie może dotrzeć do diamentu. Nadchodzi lato i Kiwi powiadamia Schamne, że przywiezie do niego swój skarb. To wielka szansa dla Kalu. Musi wykraść diament, dopóki znajduje się poza sejfem. Najlepszym miejscem na „skok” jest hotel, w którym się zatrzymali. Trzeba tylko wybrać odpowiedni moment.

- Kiedy Kiwi pojawi się w pokoju z babką, żeby potem wszystko na nią zrzucić? - byłam wściekła.

- Niekoniecznie. Po prostu tego wieczoru wszystko jakoś się dziwnie ułożyło. Po popijawie imprezowicze poszli patrzeć na trik z kamerą wideo. Połowa udała się na zewnątrz, a druga połowa - do holu. Kalu nie przyłączył się do żadnej z grup z prostego powodu: jeśli pojawiłyby się jakiegokolwiek pytania, pierwsza grupa będzie przekonana, że był w holu. A druga - że na zewnątrz. Był wszędzie i nigdzie... Tym samym zapewnił sobie idealne alibi.

- On...

- Wszedł do pokoju, żeby przeszukać rzeczy Kiwi. Tylko przeszukać. Doskonale wiedział, że diament znajduje się w bagażu Olewa. Nie wiedział tylko, że jest ukryty w nożu. I to go zgubiło. Znalazł nóż, jednak przecież szukał czegoś zupełnie innego! Wtedy najprawdopodobniej obudził się Kiwi. Zobaczył, że sekretarz szpera w jego rzeczach. Kalu, który trzymał w rękach nóż, po prostu wbił go w pierś wiołonczelisty. Myślę, że zrobił to ze strachu. Nie chce mi się wierzyć, że śmierć Olewa była wcześniej zaplanowana. Kalu potrzebował jedynie kamienia. Niczego więcej. A artysta stanął mu na drodze.

- Nikt nie chce zabijać, ale wszyscy jakimś dziwnym trafem to robią - mruknął Andron Czulałki.

- Tak to zwykle bywa - wtrącił Aurel.

Boże, jak ja uwielbiam tego filozofa win!

- Myślę, że Kalu wszystko wyjaśni milicji... - zakończył swoje opowiadanie Rejno i zamknął oczy.

- A dlaczego Kodrinowie zrezygnowali ze spadku? - zapytałam niespodziewanie.

- Najprawdopodobniej chcieli uniknąć plotek. No i bali się, że ktoś może się zainteresować nierozwiązaną sprawą zabójstwa Ałły...

Popatrzyłam na Aurela.

- A pan? Co pan robił w domu na Suworowskiej?

Odpowiedź Czorbu zaskoczyła mnie swoją prostotą.

- Tam mieszkają moje córki. Jeszcze ci nie mówiłem, że mam córki?

Allegro vivace

Stałyśmy z Montezumą w kącie i sprzeczałyśmy się.

- Wytłumacz mi, jak to się mogło stać? - rozłoszczonym szeptem powiedziała Monti. - I dlaczego biorę udział w tej całej szopce?!

- Bo... - poprawiłam falbanki sukni ślubnej - on jest bardzo miły. Mądry. Przystojny.

- Naprawdę ci się podoba?

- Bardzo.

- A mnie się wydaje, że jest jakiś niedorobiony.

- Wszystko jest z nim w jak najlepszym porządku - zapewniłam z zapalem.

- Czy ty chociaż wiesz, jakie on książki czyta? Chodź, pokażę ci tego głupola, a wszystko zrozumiesz.

Monti uchyliła drzwi. Przy palarni dla narzeczonych stał Lemieszonek i z pasją czytał jakąś książeczkę w miękkiej okładce. Zerknęłam na okładkę: Roman Popow, Siergiej Sinienko *W objęciach kata*.

- Widzisz! - Montezuma wzniosła ręce do nieba. - I za tego człowieka wychodzę za mąż. Gdzie ja mam oczy?

- Na swoim miejscu - dokładnie się jej przyjrzałam i poprawiłam małutki welon na jej głowie.

Po jakichś piętnastu minutach urzędniczka z Urzędu Stanu Cywilnego wezwała do siebie świadków, czyli Rejno i mnie. Mieliśmy złożyć swoje podpisy.

Pochyliliśmy się nad dokumentem i nasze dłonie na krótką chwilę się zetknęły.

- Dlaczego unika pani spotkania? - zapytał. - Wy, Rosjanie, zawsze tak postępujecie. Nie chcecie regulować rachunków. A suma, tak na marginesie, wcale nie jest astronomiczna. „Hugo Boss” staniał!

Spis treści

Preludio andante	5
Allegro ma non presto	43
Sarabanda	134
Giga presto	249
Allegro vivace	421